

MICHAEL DIMERCURIO

OSTATNIA MISJA „PHOENIXA”

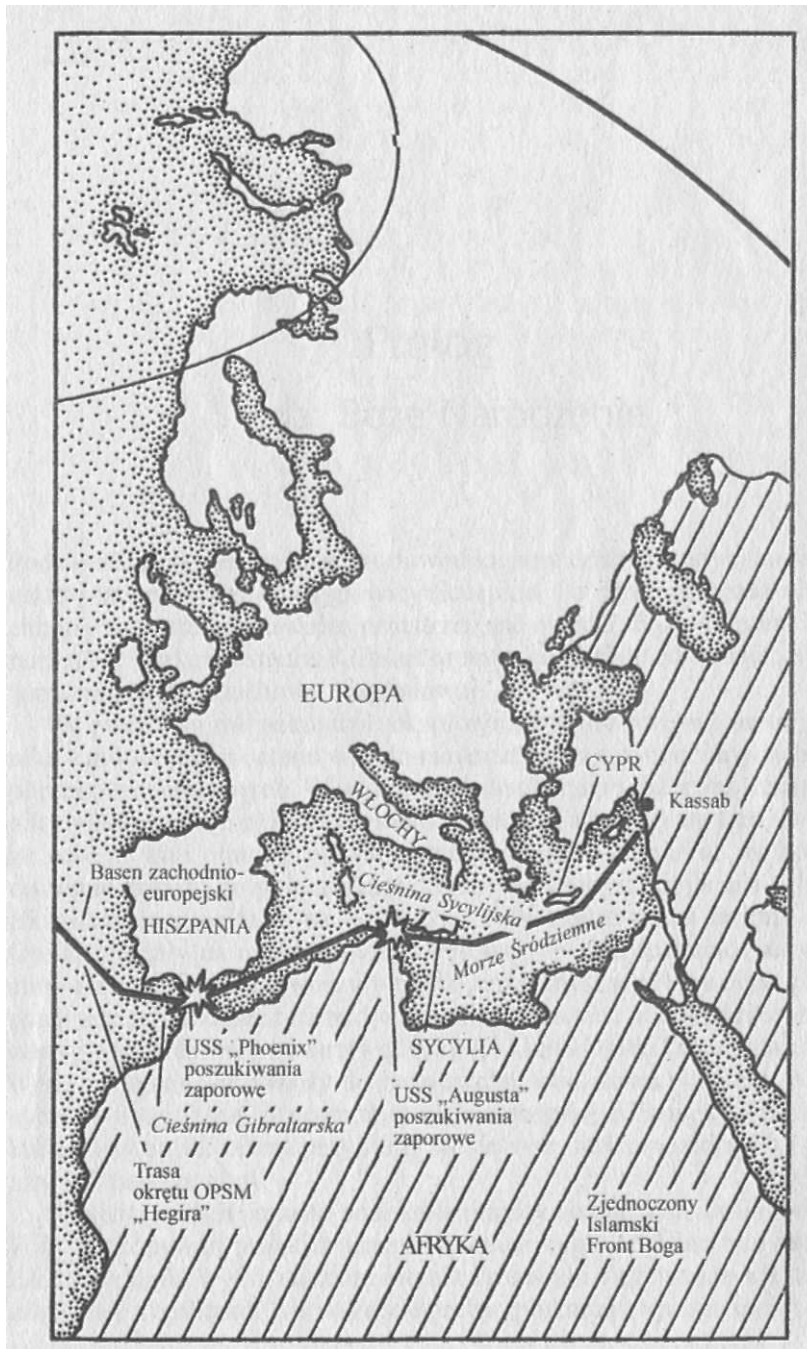
Przekład Maciej Pindara

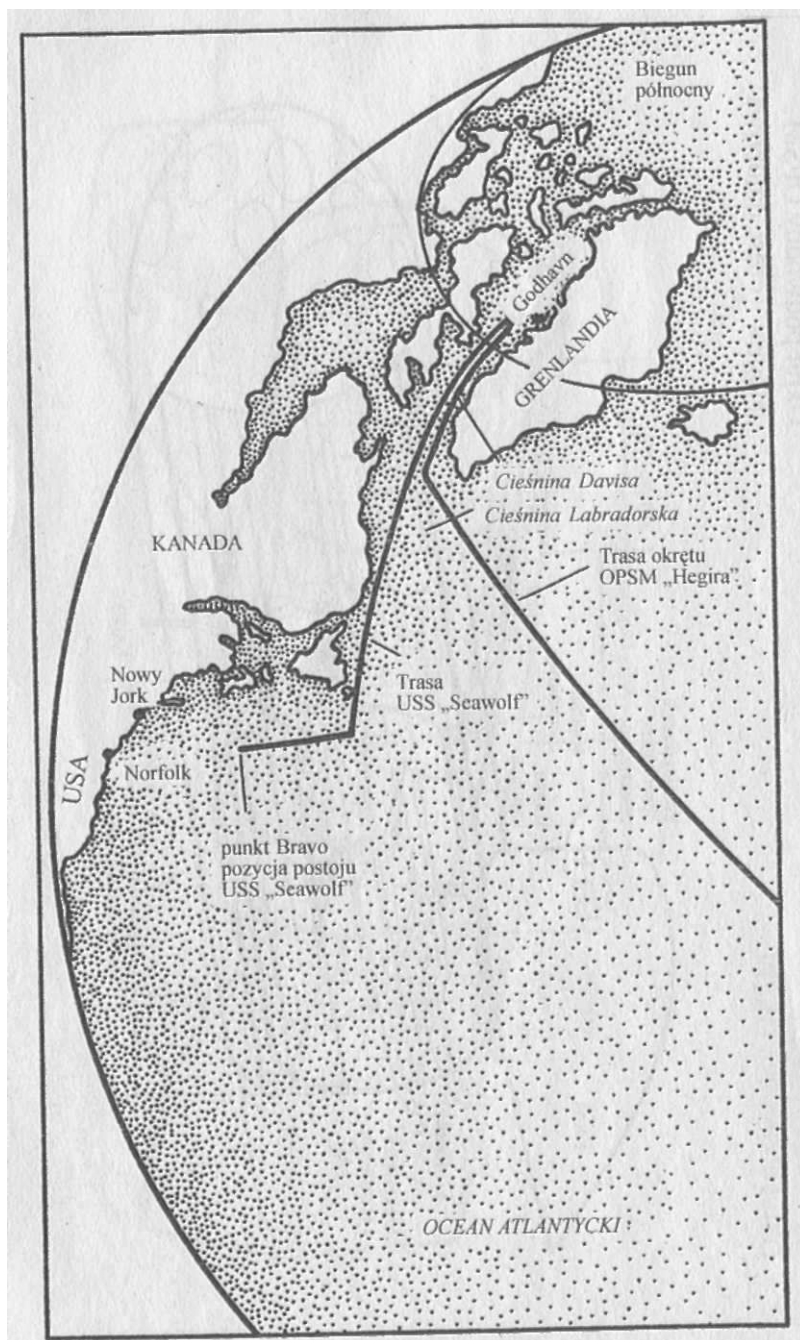
Wszystkim, którzy opuszczają się w ciemność, słyszą skrzypienie stalowego kadłuba trzeszczącego pod ciśnieniem głębin, tęsbiją za snem, świeżym powietrzem, gorącym prysznicem i czystą pościelą i stawiają czoło śmierci - jeśli nie od wrogich torped i bomb głębinowych, to z ręki samego morza. Wszystkim, którzy byli, są lub będą podwodniakami.

Ta książka jest dla was...

Zważaj na to, co mówisz, by język, którego używasz, brzmiał mądrze, by wśród słów, które dobierasz, nie znalazło się „niemożliwe”...

Admirał R.A. Hopwood Królewska Marynarka Wojenna *Regulamin Marynarki Wojennej*





Prolog

Środa, Boże Narodzenie

Pocisk raketowy Hiroshima znurkował ku powierzchni pustyni i uzbroił ostatni ładunek detonatora głowicy Scorpion. Po przejściu przez niskie chmury wydostał się na

wolną przestrzeń nad opuszczonym miastem Bajram-Ali w Turkmenistanie. Kilkaset metrów na wschód od centrum i meczetu materiał wybuchowy eksplodował.

W pierwszej milisekundzie eksplozji nastąpiło rozerwanie pojemnika z monomerem octanu winylu zmieszanego z tuzinem innych komponentów chemicznych. W następnej milisekundzie rozerwał się zbiornik etylenu pod wysokim ciśnieniem. Chemikalia łączyły się i reagowały ze sobą w kuli ognia o wysokiej temperaturze i ciśnieniu. W końcu ciśnienie dotarło do pojemnika z drobno zmielonymi opiłkami żelaza. Eksplozja rozrzuciła je na wysokości 1000 metrów nad Bajram-Ali. Opiłki opadały na miasto. Kiedy dryfowały w dół, reagujące ze sobą chemikalia z pocisku utworzyły rzadki, mleczny, rozpylony płyn, który spadł z góry jak deszcz na budynki i ulice. Dziesięć minut później płyn zastygł i zamienił się w warstwę lepkiego kleju. Opiłki żelaza zmieszały się z klejem i przywarły do nawierzchni ulic, ścian i dachów wałących się budynków. W promieniu tysiąca metrów od miejsca detonacji Hiroshimy opiłki żelaza przykleiły się do wszystkich poziomych i pionowych powierzchni.

Godzinę później miasto podzieliła między siebie mała armia techników. Wykopywali próbki z jezdni, wycinali cegły ze ścian budynków, badali chodniki wykrywaczami metalu i rozwijali węże strażackie, żeby zmyć klej z opiłkami. Ale wszelkie próby spłukania kleju zawiodły.

Później tego samego wieczoru do kwatery głównej Zjednoczonego Islamskiego Frontu Boga dotarła pilna, zaszyfrowana wiadomość radiowa, że test broni okazał się wielkim sukcesem i można oczekiwać, że kiedy opiłki żelaza w głowicy testowej Scorpion zastąpi się wysoce radioaktywnym i zabójczym plutonem z dodatkiem kobaltu 60, miasto-cel zostanie tak skażone, że nie będzie mogło być zamieszkane przez dwadzieścia tysięcy lat i każdy człowiek, który znajdzie się w promieniu dwóch kilometrów od strefy zero, umrze powolną, bolesną śmiercią od napromieniowania. A wszystko to da się osiągnąć przy użyciu zaledwie ułamka ilości plutonu potrzebnej do zbudowania najmniejszej bomby nuklearnej.

Wiadomość kończyła się konkluzją, że kiedy głowica Scorpion zostanie użyta przeciwko amerykańskiemu celowi - w tym wypadku miastu Waszyngton - bieg wojny światowej odwróci się i wkrótce nadejdzie zwycięstwo.

Po drugiej stronie kuli ziemskiej, na czwartym poziomie strefy E w Pentagonie, szef operacji morskich admirał Richard Donchez wziął do ręki memorandum sprzed sześciu miesięcy, które wysłał do prezydenta, i przeczytał je z mieszanymi uczuciami. Był rozbawiony, że miał absolutną rację i jednocześnie żałował, że zignorowano jego sugestie. Na czterech stronach grubego papieru zgłosił propozycję zabicia generała Mohammeda al-

Sihouda, dyktatora i przywódcy koalicji trzydziestu krajów nazywanej Zjednoczonym Islamskim Frontem Boga i obejmującej całą Afrykę Północną, większość Półwyspu Arabskiego i połowę Azji. W tamtym czasie Sihoud właśnie rozpoczynał inwazję na Indie, po zajęciu Czadu i Etiopii w wyniku zwycięskiej jednomiesięcznej wojny błyskawicznej.

Gdyby atak zaplanowany w memorandum przeprowadzono wtedy, gdy został zaproponowany, wojna nigdy by nie wybuchła. Ale stało się inaczej i w końcu, po apelu Indii do Narodów Zjednoczonych, Ameryka oraz główne kraje europejskie utworzyły Koalicję Zachodnią i wypowiedziały wojnę Zjednoczonemu Islamskiemu Frontowi Sihouda. Po niekończących się przygotowaniach do inwazji, wojna lądowa zamieniła się w krwawą jatkę na trzech frontach, zgodnie z przewidywaniami Doncheza. A teraz, pół roku później, prezydent Dawson rozkazał admirałowi, żeby marynarka przedstawiła „najbardziej innowacyjne propozycje” szybkiego wygrania wojny. Donchez rozważał ponowne wysłanie prezydentowi starego memorandum z planem zamachu, gdyż główne założenia pozostały aktualne, ale taktownie nie zrobił tego. Wreszcie, w poniedziałek, Dawson zgodził się na zlikwidowanie generała Sihouda. Donchez zaproponował, żeby operację „Wczesna Emerytura” przeprowadzić natychmiast, w Boże Narodzenie, ale prezydent sprzeciwił się zabijaniu generała w święta. Donchez ustąpił i rozkazał przeprowadzić operację nazajutrz, dwie minuty po północy czasu lokalnego, czyli późnym, świątecznym popołudniem czasu wschodnioamerykańskiego.

Donchez położył nogi na wielkim biurku, założył ręce za łysą głowę i popatrzył przez okno na śnieżny krajobraz wzdłuż rzeki Potomac i znajomą panoramę Waszyngtonu. Na ulicach miasta było pusto; stołeczni urzędnicy, prawnicy i politycy spędzali święta w domach z rodzinami. Za pół godziny rozpocznie się operacja: wystartuje samolot transportowy pełen komandosów z sił specjalnych marynarki, Sea/Air/ Land, i w kierunku bunkra - głównej kwatery Sihouda - zostaną wystrzelone z morza pociski samosterujące Javelin. W czwartek, wczesnym popołudniem, Donchez zamierzał wystąpić na konferencji prasowej i podać wiadomość o śmierci generała i kalifa Mohammeda al-Sihouda oraz zakończeniu wojny, w której mogły zginąć miliony Amerykanów.

Donchez przez chwilę patrzył przez okno, potem postanowił skrócić sobie czas oczekiwania na rozpoczęcie operacji przeciw Sihoudowi przekopaniem się przez pilną robotę papierkową. Zdjął nogi z biurka i przejrzał dokumentację oznaczoną: Test pocisku Vortex - próba »Maczuga« - okręt podwodny kontra okręt podwodny, strzelanie na żywo, poligon morski Autec. Przeczytał dokumenty i odłożył je z powrotem na biurko. Przesunął dłonią po łysej czaszce, skrzywił się z niezadowoleniem i sięgnął po telefon.

Michael Pacino usiadł z powrotem w głębokim fotelu przed kominkiem. W Virginia Beach zrobiło się tak chłodno, że trzeba było rozpalić ogień. Przez ostatnią godzinę Pacino drzemał w oczekiwaniu na świąteczną kolację, wreszcie zapadł w głęboki sen. Śpiąc, krzywił się i pociał; najwyraźniej dręczyły go koszmary.

Na dźwięk telefonu wyprostował się i otworzył szeroko oczy. Obraz pokoju powoli się wyostrzył, z oddali dobiegł niski głos z południowym akcentem - Janice odebrała telefon. Zanim poprosiła go, żeby podniósł słuchawkę, jego serce zwolniło do normalnego rytmu. Wstał z fotela i podszedł do aparatu. Zastanawiał się, czego chce jego oficer dyżurny w leniwe, świąteczne popołudnie. Okręt podwodny Pacina, USS „Seawolf”, stał nieruchomo i bezradnie w suchym doku stoczni z wielkim otworem wyciętym w burcie kadłuba, z torpedownią zdemolowaną przez stoczniovców i olbrzymimi wyrzutniami pocisków Vortex wtłoczonymi do środka. To zbrodnia, żeby w samym środku wojny na drugiej półkuli najnowocześniejszy okręt podwodny U.S. Navy spoczywał beczynnienie na blokach w suchym doku.

- Kapitan Pacino - powiedział krótko do słuchawki. Spodziewał się, że młody porucznik zamelduje o kolejnym problemie. Ale to nie był telefon z okrętu.

- Mikey - zadudnił mu w uchu głos admirała Doncheza. - Wesołych świąt.

Hillary Janice Pacino, szczupła atrakcyjna kobieta o złocistych włosach, wijących się do połowy pleców, zapaliła papierosa i słuchała rozmowy telefonicznej w tle. Gdy stało się oczywiste, że Pacino ma wyjechać, na jej twarzy pojawił się wyraz niezadowolenia. Trzydzieści sekund po zakończeniu rozmowy pojawił się w kuchni.

- Dokąd tym razem? - zapytała z zaskakującym spokojem.

- Do Aulec, na poligon doświadczalny na Bahamach. Na test pocisku Vortex. Donchez chce, żebym to zobaczył. Jego odrzutowiec zabierze mnie za dwie godziny.

- W święta Bożego Narodzenia?

- Test pocisku jest jutro.

- Po co taki wielki pośpiech? Nie idziesz na wojnę. Myślałam, że w tym roku wreszcie spędzisz Gwiazdkę w domu. Twój okręt jest w doku i za dwa miesiące odchodzisz. Więc dlaczego teraz wyjeżdżasz? Zrywasz się, bo prosi cię szef operacji morskich?

- Nie. Zrywam się, bo prosi mnie Dick Donchez. Zdamy jeszcze zjeść kolację.

- Ile to potrwa?

- Dwa, może trzy dni.

Pacino patrzył, jak jego żona, milcząc, krząta się po pokoju i hałasuje talerzami. Poszedł na górę i spakował torbę. Zastanawiał się, dlaczego test broni jest taki ważny, że musi wszystko rzucać w święta Bożego Narodzenia, żeby to zobaczyć.

Dziesięć minut później stał przed telewizorem. Kanał informacyjny podawał wiadomość, że Koalicja dokonała inwazji na południowy Iran. Pacino zagryzł wargi. Po raz setny szukał odpowiedzi na pytanie, dlaczego „Seawolf nie może brać udziału w wojnie. Pomyślał, że jeśli musi wyjechać w święta Bożego Narodzenia, to przynajmniej mógłby wyruszyć okrętem z jakąś misją. Pomyślał o swoim dawnym kapitanie Ronie „Rakiecie” Daminskim, który teraz patrolował Morze Śródziemne na pokładzie USS „Augusta”. Był tam od Święta Dziękczynienia. Pewnie spędza Gwiazdkę na oglądaniu starych filmów w mesie oficerskiej i narzeka, że jest na morzu, doprowadzając swoją załogę do szału.

Szkoda, pomyślał Pacino, że w czasie wojny lądowej okręt podwodny nie ma nic do roboty. Może tylko włączyć się po oceanie. Przynajmniej na to wygląda.

Część I

1

Ron Rakiet

Czwartek, 26 grudnia

Wschodnie Morze Śródziemne

10 mil morskich na wschód od przylądka Greco na Cyprze

Operacja „Wczesna Emerytura”

USS „Augusta”

Pocisk samosterujący Javelin wytrysnął z ciemnych wód Morza Śródziemnego. Na moment zamarł w powietrzu ponad obłokiem rozbryzanych słonych kropeł, potem silnik rakietowy odpalił w jaskrawej kuli ognia i pocisk pomknął ku niebu z ogonem oślepiająco jasnego płomienia.

Siatka obrazu peryskopowego obejmowała ognistą parabolę trajektorii, gdy wystrzelony z okrętu podwodnego Javelin szybował do jej szczytu na wysokość niemal sześciuset czterdziestu metrów pod rozgwieżdżonym niebem, po czym opadł łukiem na spotkanie ze swoim celem naziemnym. Komandor Ron Daminski prowadził widok

peryskopowy w dół, dopóki silnik raketowy pocisku nie wyłączył się i lecący automat nie zniknął w ciemności nocy. Daminski na moment odsunął oko od modułu optycznego peryskopu i spojrzał na swoich ludzi obsługujących stanowiska bojowe w ciasnej, zaciemnionej sterowni okrętu podwodnego unowocześnionej klasy Los Angeles, USS „Augusta”. Z zadowoleniem powrócił do obserwacji i powoli obrócił peryskop, przeszukując powierzchnię morza. Załoga przygotowywała się do wystrzelenia drugiego pocisku Javelin z dziobowej wyrzutni pionowej.

- Pocisk numer 2 na zasilaniu wewnętrznym, kapitanie. Cel namierzony, odczyty nominalne - zameldował XO, zastępca Daminskiego, Danny Kristman, głosem tak beznamiętnym, jakby mówił o pogodzie. - Gotowość do odpalenia za trzy sekundy.

- Otworzyć wrota wylotowe wyrzutni - rozkazał Daminski i skierował obraz peryskopowy na dziób, żeby zobaczyć drugie wystrzelenie.

- Wrota otwarte, zbiornik wyrzutni pod ciśnieniem... Pięć sekund, sir. Trzy, dwie, jedna, zero.

- Strzelać - padła komenda Daminskiego.

- Ognia! - warknął Kristman i jego rozkazowi zawtórował huk wyrzutni.

Daminski patrzył, jak drugi Javelin wyłania się z wody i wznosi ku wschodowi. Kiedy zniknął, kapitan opuścił peryskop i odwrócił się do Kristmana.

- XO, obejmujesz platformę. Zabezpieczyć stanowiska bojowe, sprowadzić okręt głębiej i nadal krążyć w punkcie oczekiwania.

- Tak jest, sir.

Kristman wydał rozkazy i pokład pochylił się w dół. „Augusta” zaczęła się pogrążyć w głębinach; kadłub jęczał i trzeszczał głośno gnieciony rosnącym ciśnieniem morskim. Komandor porucznik Dan Kristman zerknął ze stanowiska peryskopowego na kapitana. Daminski ziewnął, przeciągnął się i starał się zwalczyć senność - nie spał już trzy noce.

Ron „Rakieta” Daminski zawdzięczał to przewisko swojej energii i wybuchowemu temperamentowi. Właśnie przekroczył pięćdziesiątkę, więc jak na dowódcę okrętu podwodnego „Augusta” był zaskakująco stary. Krępy i niski Daminski zaczynał łysieć, ale wciąż jeszcze poruszał się jak sportowiec, którym kiedyś rzeczywiście był. Grał w futbol amerykański, miał uszkodzone kolana i dziesiątki innych kontuzji z dawnych lat. Mówił z ciężkim akcentem brooklyńskim i często nazywał siebie „niedouczoneym, nowojorskim Polaczkiem”, ale pomijał milczeniem fakt, że ukończył Politechnikę Rensselaer i był znakomitym inżynierem. Mimo to stwarzał problemy jako oficer, zawsze pomijano go przy

awansach i nie miał żadnych złudzeń, że jego dalsza kariera może mu przynieść jakiegokolwiek niespodzianki.

Daminski był na pokładzie „Augusty” od czterech miesięcy - od czasu, kiedy poprzedni kapitan został zwolniony ze stanowiska za to, że dowodzony przezeń okręt wpadł na mieliznę. Dochodzenie wykazało, że załoga rozleniwiła się i była kiepsko wyszkolona. Admirał dowodzący flotą podwodną na Atlantyku wysłał na „Agustę” Daminskiego, gdyż Ron Rakieta miał dziesięcioletnie doświadczenie w robieniu porządków na okrętach podwodnych i był specjalistą od skopywania tyłków tym, którzy na to zasługiwali.

Początkowo nowy kapitan budził przerażenie załogi. Nie bez powodu. Natychmiast po wejściu na pokład Daminski zmienił się w huragan. Przelatywał przez wszystkie działy i znajdował błędy każdej sekcji, każdego oficera, podofficera i większości marynarzy. Każde niedociągnięcie, bez względu na jego wagę, traktował jako osobistą obrazę. Każdy kolejny dzień był koszmarem dla załogi. Nowy dowódca stawiał kilkadziesiąt żądań i kilkadziesiąt razy wybuchał gniewem. Ale po kilku tygodniach pojawiły się efekty. Nawet ci, którzy zniecierpliwił Rona Rakietę, nabrali do niego zaufania, gdy okręt zaczął gładko funkcjonować, z zakały eskadry stał się jej chlubą i mógł obecnie zwyciężyć w każdych ćwiczeniach. Daminski już rzadziej się wściekał, częściej wygłaszał inspirujące przemowy i od miesiąca niemal jowialnie chwalił marynarzy i oficerów. Okręt został skierowany na Morze Śródziemne, by wspierać działania wojenne przeciwko Zjednoczonemu Islamskiemu Frontowi i przybycie „Augusty” było powodem do świętowania.

Przez cały ciężki okres przywracania porządku na okręcie załoga niewiele zdołała się dowiedzieć o życiu prywatnym Rona „Rakiety” Daminskiego. Wiedzano, że ożenił się po raz drugi, poślubił młodszą od niego, piękną i zmysłową kobietę o imieniu Myra i ma z nią troje małych dzieci. Daminski trzymał w swojej kajucie mnóstwo fotografii rodzinnych, niemal wytapetował nimi całą ścianę. Kristman zauważył, że na żadnym zdjęciu nie było samego Daminskiego. Parę dni temu widział, jak kapitan rozmyślał nad listem od żony. Daminski był tak głęboko pogrążony w zadumie, że Kristmanowi dopiero po trzech próbach udało się przyciągnąć jego uwagę. Kapitan zawsze nosił ten list przy sobie - nie w kieszeni koszuli czy spodni, lecz przy ciele na piersi. Podczas jednego z ostatnich alarmów ćwiczebnych Daminski wpadł do sterowni w bokserkach i T-shircie - co w tej sytuacji było normalne - i list od Myry miał schowany za pasem pod koszulką. Teraz także Kristman widział lekką prostokątną wypukłość pod kombinezonem Daminskiego w miejscu, gdzie znajdował się list. Kapitan znów ziewnął i przeczesał włosy wielkimi, zdeformowanymi palcami byłego futbolisty.

Okręt wyszedł z nurkowania i pokład wrócił do poziomu. Daminski zszedł ze stanowiska peryskopowego i podszedł do stołów nawigacyjnych. Włożył papierosa do ust i pochylił się nad mapą. Przez masyw lądu na wschodzie biegly cienkie kręte linie wykreślone pomarańczowym ołówkiem. Wyznaczały trasy pocisków Javelin i kończyły się w położonym tuż obok granicy irańskiej Aszchabadzie, stolicy Zjednoczonego Islamskiego Frontu Boga, leżącej w państwie zwanym Turkmenistan. Dawna, drugorzędna republika radziecka, którą pięć lat temu z trudem można było znaleźć na mapie, stanowiła teraz centrum konfederacji trzydziestu krajów muzułmańskich. Proces jednoczenia się państw islamskich trwał niemal pięć lat, mimo to jednak zachodnie agencje wywiadowcze wydawały się zaskoczone, że do niego doszło, i dopóki nie zrobiło się za późno, by można było przeciwdziałać, uważały, że muzułmanie nadal bardziej niż Zachodu nienawidzą siebie nawzajem. Szpiedzy mylili się w tym wypadku, podobnie jak to im się zdarzyło w miesiącach poprzedzających upadek szacha Iranu.

Historia raz jeszcze dowiodła, że jeden zdeterminowany człowiek potrafi dokonać wszystkiego. W XX wieku różni dyktatorzy zdobywali władzę i stawali się zagrożeniem dla świata, ale większość z nich nie mogła się równać z Mohammedem al-Sihoudem, przywódcą Zjednoczonego Islamskiego Frontu Boga. Sihoud uczynił Turkmenistan najważniejszym regionem ZIF, a Aszchabad jego stolicą. Wspólna Agencja Wywiadowcza Koalicji Zachodniej obserwująca teraz bardzo uważnie to miasto doniosła, że dyktator przebywa tam od dwóch dni.

Generał i kalif Mohammed al-Sihoud mieszkał w betonowym bunkrze na północnych obrzeżach Aszchabadu i wkrótce miała go tu spotkać bardzo przykra niespodzianka. Planowanej operacji nadano kryptonim „Wczesna Emerytura” - oddawał on trafnie cel i istotę przedsięwziętych działań. W żadnej spośród światowych wojen toczonych dotychczas w tym stuleciu przeciw dyktatorom nie podjęto tak precyzyjnie przygotowanej próby zabicia dyktatora. Ta wojna miała być inna.

Zastępca kapitana Kristman stanął przy mapie obok Daminskiego. Obaj mężczyźni przez kilka chwil w milczeniu studiowali trasy pocisków samosterujących Javelin. Kristman odezwał się pierwszy:

- Myśli pan, że to się uda, kapitanie?
- Nie wiem, Danny. To chyba zależy od komandosów SEAL. My jesteśmy tylko ubezpieczeniem.
- Przynajmniej wystrzeliliśmy coś w tego skurwiela.

Daminski skinął głową. Wiedział, o co chodzi Kristmanowi. Przez ostatnie dziesięć miesięcy wojny robotę odwalały głównie wojska lądowe i marines, a chwałę bojową zdobywali piloci myśliwców marynarki wojennej i sił powietrznych. Tymczasem okręty nawodne i podwodne, nieprzerwanie przemierzając morza wzdłuż i wszerz, były w gruncie rzeczy zupełnie bezużyteczne w walce przeciwko ogromnym połączonym siłom lądowym Zjednoczonego Islamskiego Frontu.

- Prześlę się trochę - powiedział Daminski. - Niech wachtowy oficer pokładowy obejmie platformę, a ty dowodzenie jako oficer dyżurny. Jeśli coś wyskoczy, wezwijcie mnie przez telefon.

- Tak jest, sir.

Daminski poszedł do swej niewielkiej kajuty kapitańskiej, zamknął drzwi i opadł na wąską koję. Był na nogach od czterdziestu godzin, od momentu otrzymania pilnej wiadomości radiowej o rozpoczęciu operacji. Czuł się wykończony, ale wiedział, że jest za bardzo podniecony wystrzeleniem pocisków samosterujących, żeby móc zasnąć.

Wyjął zza koszuli list od żony - papier miał już pozaginane rogi, tyle razy miał go w rękę - i znowu przeczytał. Swoim okrągłym pismem Myra oznajmiła mu, że go kocha, ale mimo to odchodzi od niego.

Jesteś po prostu za bardzo wymagający, żebym potrafiła z Tobą żyć... Nie mogę patrzeć, jak rządzisz w tym domu, tak jak rządzisz na okręcie. Dzieci płaczą, kiedy wracasz do domu i śmieją się, kiedy wyjeżdżasz. Nie mogę już tego znieść. Proszę Cię, poszukaj czegoś, co Ci pomoże, i kiedy się uspokoisz, wróć do nas. Ale zanim się to stanie, nie przyjeżdżaj do domu...

Daminski z powrotem schował list za koszulę i przez chwilę wpatrywał się w słabo oświetlony sufit. W końcu zamknął oczy. Spróbował wyobrazić sobie Javeliny i to, co się z nimi dzieje w tym momencie, gdy mkną wśród nocy z szybkością ponad tysiąca kilometrów na godzinę, zaledwie sześć metrów nad ziemią, ponad terenem Turkmenistanu, zdążając do ukrytego bunkra generała Sihouda.

Turkmeńska równina

120 kilometrów na północny zachód od Aszchabadu

Komandorowi Jackowi Morrisowi bardzo brakowało jego brody, która opadała mu na pierś i sięgała niemal do guzika na brzuchu. Brakowało mu także długich włosów, ich również musiał się pozbyć. Ilekroć odwracał głowę i nie wyczuwał na plecach dawnego

kucyka, czuł się jakoś dziwnie. Jego ludzie z Siódmej Kompanii SEAL jeszcze przed kilkoma miesiącami bardziej przypominali gang motocyklistów niż najlepszy pododdział antyterrorystyczny w marynarce wojennej. Wybuch wojny lądowej przeciwko ZIF wszystko zmienił i wymusił na komandosach z Sea/ Air/Land, czyli SEAL, powrót do regulaminowych mundurów marynarki i przepisowego wyglądu. Jackowi Morrisowi nie podobało się to - osłabiała integralność pododdziału. SEAL musieli być inni. Widział coś naturalnego w tym, że wracając do bazy, wyglądali jak kierowcy ciężarówek i nikt się ich za to nie czepiał. To była konkretna oznaka, że Siódma Kompania SEAL różni się od reszty żołnierzy marynarki, bo jest lepsza. Morris po raz ostatni przesunął dłońmi wzdłuż dziwnie krótkich włosów i rozejrzał się po ładowni odrzutowca transportowego sił powietrznych, KC-10H/A, oświetlonej tylko przyćmionym blaskiem osłoniętych czerwonych lamp.

Bez ładunku wewnątrz KC-10 było przestronne, ale dzisiejszej nocy samolot wiozł dwadzieścia cztery tony sprzętu bojowego i trzy wzmocnione plutony Siódmej Kompanii. Każdy pluton liczył trzydziestu trzech najgorszych skurwysynów w Siłach Zbrojnych Stanów Zjednoczonych, a może w siłach zbrojnych całego świata. Morris spojrział wokół po swoich ludziach. Prawie wszyscy spali. Właściwie należało się tego spodziewać, bo wydawało się, że lecą od wielu dni, i dawno minęła północ czasu lokalnego. Ale jednocześnie było to trochę dziwne, bo tylko godziny dzieliły ich od największej i najniebezpieczniejszej operacji bojowej od czasu krwawego uwolnienia USS „Tampa”, dokonanego przed dwoma laty. Można było przewidywać, że wielu z owych ludzi nie powróci z tej misji, a niektórzy pozostawią na polu walki kawałki swych ciał. Morris uważał jednak, że mimo wszystko będą w lepszym stanie niż żołnierze ZIF znajdujący się w bunkrze generała Sihouda.

Jeden z lotników przyszedł z kabiny pilotów do ładowni i pokazał Morrisowi dziesięć palców - za dziesięć minut będą nad strefą zrzutu. Morris usłyszał, jak silniki samolotu zaczynają nagle pracować na zwiększonych obrotach. Ich grzmot rozsadał mu czaszkę. Ładownia transportowca odchyliła się gwałtownie, gdy maszyna wzbijała się do góry. Morris odpiął pasy przy siedzeniu i wstał. Od długiego lotu bolały go mięśnie. Zrobił krok do przodu i obudził klepinięciem swojego zastępcę komandora porucznika Czarnego Barta Bartholomaya. Kiedy Bart otworzył oczy, Morris krzyknął mu w twarz: „dziesięć minut”. Bart wstał i poderwał ludzi na nogi. Morris ruszył w kierunku dziobu samolotu i wszedł do krótkiego wąskiego korytarza w przedniej części ładowni. Drzwi po obu stronach prowadziły do pomieszczeń załogi, kuchni i toalety. Morris dotarł do końca przejścia, pchnął drzwi do kabiny pilotów i wcisnął się do środka. Piloci ledwo zwrócili na niego uwagę, nawigator-mechanik pokładowy wiedział, o co chodzi.

- Na pewno jesteśmy we właściwym miejscu? - zapytał Morris. Miał przykre doświadczenia z siłami powietrznymi. Kiedyś zrzucono go osiemdziesiąt kilometrów na południe od planowanego punktu desantu i zamiast na plaży, wylądował ze swoim plutonem kilka mil morskich od brzegu.

- Przylecieliśmy tu nieco okrężną drogą, komandorze. Po drodze mieliśmy kilka namiarów radarowych. To panu wystarczy? - Facet w skafandrze lotniczym wskazał Morrisowi odczyt z satelity nawigacyjnego i podsunął mu mapę pod nos. Po chwili Morris krótkim mruknięciem wyraził swoją aprobatę.

- Już idziemy w górę, komandorze. Czas, żeby przygotował pan swoich chłopaków.

- Żadnych śladów aktywności? - zapytał Morris, ignorując radę oficera. Lotnicy rozumieją, co mam na myśli, uznał. Czy nikt nie będzie próbował nas zestrzelić?

- Jak dotąd, nie. Jest czysto.

Morris odwrócił się bez słowa, wyszedł z kabiny i pobiegł ku tyłowi samolotu.

Po dwóch minutach wszystkie trzy plutony Siódmej Kompanii szybko i sprawnie przygotowywały sprzęt. Pokład odrzutowego transportowca był ciągle odchylony - samolot nadal wznosił się szybko do pułapu prawie czterestu tysięcy metrów. Na dużej wysokości będziemy w znacznym stopniu bezbronni, pomyślał Morris. Spojrzał na zegarek. Bardzo chciał znaleźć się już na zewnątrz i swobodnie opadać w powietrzu, a nie tkwić jako część ładunku w tej cholerniej maszynie.

Włożył maskę tlenową i sprawdził uszczelnienie. Kiedy wszyscy jego ludzie byli już gotowi, skinął głową lotnikowi, który otworzył panel i obniżył ciśnienie w ładowni. Niemal od razu w środku zrobiło się lodowato. Morris wzdrygnął się i natychmiast okłamał sam siebie, że to z zimna, nie ze strachu. Sprawdził połączenie ze swoją skrzynią transportową - on i każdy z komandosów miał być w czasie swobodnego opadania i lotu na spadochronie przyczepiony do pojemnika z ciężkim sprzętem. Po wydających się nieskończonością pięciu minutach rampa ładunkowa została odryglowana i otworzyła się powoli. W ciemnym otworze ukazało się tylko kilka gwiazd. Morris podłączył swoje radio bezpiecznej łączności taktycznej InterSat VHF do mikrofonu na wysięgniku pod maską tlenową.

- Słuchajcie, palanty - powiedział do swoich ludzi. - Mamy cholernie mało czasu w strefie zrzutu. DPV-y mają być zmontowane w najwyżej cztery minuty i ruszamy. Nie zapominajcie, że cel jest jeden i tylko jeden - przywieźć z powrotem głowę Mohammeda al-Sihouda na patyku. Wszyscy to kapują? Zabieramy się z tego autobusu i w drogę.

Pierwszy podszedł do krawędzi rampy. Palce jego nóg przez chwilę wisały jedenaście tysięcy metrów nad pustynią. W słuchawce zatrzeszczał głos Czarnego Barta:

- Piętnaście sekund.

Morris spędził czas oczekiwania, myśląc o swej misji. Próbował wyobrazić sobie główny bunkier w ruinie, ochronę biegnącą bezradnie wokół, zaskoczonego i zdezorientowanego Sihouda - usiłującego być może uciec samochodem wojskowym - i lufę amerykańskiego pistoletu maszynowego MAC-10 przy jego nosie.

- Pięć sekund... dwie, jedna, już!

Morris skoczył w ciemność.

Aszchabad w Turkmenistanie Kompleks głównego bunkra

Kwatera główna Połączonych Sił Zbrojnych Zjednoczonego Islamskiego Frontu

Z zewnątrz główny bunkier wydawał się być wielkim meczetem, który nie różnił się od setek innych świątyń, jakie można oglądać w krajach islamskich na Półwyspie Arabskim, w Azji i Afryce Północnej. Budowla miała cztery wysokie ściany. Ze wschodniej wystrzelał w górę minaret, górując nad kwadratowym dziedzińcem centralnym. Ściana zachodnia, skierowana w stronę Mekki, mieściła sanktuarium. Pięć razy w ciągu upalnego, wiosennego dnia wierni z głównego bunkra pojawiali się na dziedzińcu w odpowiedzi na przywoływania z minaretu i odprawiali rytualne modły, pochylając się głęboko w kierunku Mekki. Nad dziedzińcem rozbrzmiewały rytualne okrzyki „Allah Akbar”, skierowane ku niebiosom i głoszące wielkość Allaha.

Dziesięć metrów pod dziedzińcem, poniżej trzymetrowej warstwy zbrojonego betonu i dwudziestocentymetrowej osłony z ołowiu, zaczynał się górny poziom bunkra. Na pierwszym półpiętrze mieściły się kwatery niższych rangą żołnierzy Połączonych Sił Zbrojnych Zjednoczonego Islamskiego Frontu Boga. Na dwóch następnych poziomach znajdowały się kwatery młodszych i starszych oficerów. Trzeci poziom zajmowały eleganckie kwatery generała i kalifa Mohammeda al-Sihouda, choć dyktator spędzał tam mało czasu; wołał kierować swoimi wojskami z polowych stanowisk dowodzenia. Na ostatnim poziomie, trzydzieści pięć metrów pod skalistym terenem południowego Turkmenistanu, mieściła się kwatera główna z całym wyposażeniem: mapami, komputerami i konsolami komunikacyjnymi połączonymi z antenami ukrytymi w minarecie, czterdzieści metrów wyżej.

Na cichym i słabo oświetlonym poziomie kwatery głównej, naczelny dowódca Połączonych Sił Zbrojnych i szef sztabu generała Sihouda, pułkownik Rakish Ahmed, podszedł do konsoli komunikacyjnej usytuowanej przy wschodniej ścianie sali dowodzenia taktycznego, która znajdowała się na czwartym półpiętrze bunkra. Kilku młodych operatorów

konsoli wyprężyło się w fotelach na baczność. Ahmed pochylił się nad wyświetlaczami i przez jakiś czas szukał na ekranach komputerów dobrych wiadomości, ale nie znalazł ani jednej. Odwrócił się do kalifa Mohammeda al-Sihouda, „Miecza Islamu”, który stał na środku sali z niezadowoloną miną. Biała jedwabna szata generała, zwana *shesh*, sięgała kafelków podłogi sali komputerowej centrum dowodzenia. Na biodrze nosił długi sztylet w ozdobnej pochwie przypiętej do kolorowego pasa. Ahmed zauważył znaczące spojrzenie Sihouda i zaczął się zastanawiać, czy generał odgadł, co za chwilę usłyszy. Ahmed od ponad roku pracował jako szef jego sztabu i każdy z nich dobrze znał sposób myślenia tego drugiego.

Generał Sihoud był doskonałym przywódcą a jednocześnie bardzo przystojnym mężczyzną. Niezwykle wysoki, jak na potomka beduinów, miał ciemną skórę, ale zaskakująco europejskie arystokratyczne rysy i wspaniałe fioletowe oczy, płonące władczym blaskiem. Ahmed przez chwilę wpatrywał się w te niebieskawofioletowe oczy, wiedział, że Sihoud niemal się ich wstydzi, bo zdradzały, że jest półkrwi beduinem, półkrwi Rosjaninem. Dziadek Sihouda ze strony ojca urodził się w Turkmenistanie - w owym czasie była to Turkmeńska Socjalistyczna Republika Radziecka - i dosłużył się stopnia generała Armii Czerwonej. Generał Tallinn ożenił się z młodą muzułmanką Rają Sihoud, otrzymał stanowisko w Moskwie i dziesięć lat później powrócił do kraju, w którym przyszedł na świat, z małym synem. Zginął podczas marszu na hitlerowski Berlin. Jego syn Jurij Tallinn wyrósł na islamskiego, nastawionego antyradziecko rewolucjonistę, zmienił imię i nazwisko - stał się Ali Abbą Sihoudem - i w trzydziestym siódmym roku życia został rozstrzelany za zbrodnie przeciwko państwu radzieckiemu. Mohammed al-Sihoud miał wówczas zaledwie siedem lat. Teraz, trzydzieści lat po tym, jak radziecki pocisk przeszył mózg ojca, uważał swoje oczy za brzemień przypominające mu, że jest Rosjaninem. Ale dla Ahmeda te ciemnofioletowe oczy były potwierdzeniem, że przywódca zostałznaczony ręką opatrności.

Co prawda opatrność nie pomagała im teraz: zaczynało wyglądać na to, że losy wojny się odwracają. Brązowe smugi biegnące przez mapy komputerowe umieszczone na ogromnych konsolach na zachodniej ścianie kwatery głównej symbolizowały nacierające siły pancerne Koalicji Zachodniej, trzy obecne ofensywy wojsk Zachodu na ziemi ZIF. Żołnierze o białych twarzach mogli wkrótce wtargnąć dalej w głąb terytorium Zjednoczonego Islamskiego Frontu. Było tylko jedno wyjście, istniał tylko jeden sposób na to, żeby armie islamskie przestały się wykrwawiać na pustyniach: należało wprowadzić w życie plan Ahmeda, wykorzystać Scorpiona - broń rozpraszającą polimer plutonu - przeciwko liderom Koalicji, Amerykanom. Ahmed zastanawiał się, czy Sihoud zgodzi się na użycie pocisku. Byłoby dziwne, gdyby kalif zlekceważył taką superbroń, ale generał wciąż wierzył, że

bojownicy islamscy zaangażowani całym sercem i duszą w dżihad potrafią pokonać przekarmionych żołnierzy Koalicji bez cudów nowoczesnej techniki. Sihoud mylił się jednak. Rakish Ahmed pomyślał, że być może zawiódł Zjednoczony Islamski Front, bo to z jego winy generał nie rozumie, jaka jest sytuacja. Być może nadszedł czas, żeby uświadomić Sihoudowi, że nie można zwyciężyć w bezpośredniej konfrontacji wojennej z Koalicją.

Ahmed miał jeszcze jeden trudny problem: docierały doń meldunki, że Koalicja chce zabić Sihouda. Generał uparcie odmawiał dowodzenia z bunkra, co ułatwiało wrogom osiągnięcie ich celu. Sihoud mógł zginąć przez własną brawurę.

- Generale i kalifie - powiedział Ahmed. - Niepokoją mnie ofensywy Koalicji. Kazałem przeprowadzić symulację komputerową dotyczącą wyniku przyszłych działań wojennych. Przyjąłem optymistyczne założenia co do strat naszych wojsk, zużycia paliwa i zaopatrzenia. Założyłem też, że dostawy zaopatrzenia Koalicji docierają z opóźnieniem i że jej siły są źle rozmieszczone. Ale mimo to komputer pokazuje, że nim minie rok, oddziały Koalicji wkroczą do Aszchabadu.

Sihoud sięgnął do pasa i wyjął sztylet z pochwy. Broń miała długie lśniące ostrze i piękną rękojeść z masy perłowej, wysadzaną co najmniej tuzinem drogich kamieni, które błyszczały nawet w słabym świetle opromieniającym centrum dowodzenia. Sihoud wolno przesunął palcem po krawędzi klingi. Robił tak zawsze, gdy zamyślał się nad czymś głęboko, i Ahmed czasami dziwił się, że generał nigdy się nie skaleczył.

- Symulacja komputerowa - odrzekł Sihoud. - Jakby maszyna do liczenia mogła oszacować ducha walki naszych ludzi. Za dużo w tobie technika, specjaliści od maszyn latających, Rakish, a za mało frontowego żołnierza.

Ahmed wskazał ogromny monitor nad konsolą komputerową. Na ekranie widniała mapa Afryki Północnej, Bliskiego Wschodu i zachodniej Azji - terytoriów Zjednoczonego Islamskiego Frontu Boga atakowanych teraz przez amerykańskie i europejskie siły inwazyjne. W Afryce Północnej Koalicja zajęła zachodnie wybrzeże Maroka. Główne siły inwazyjne zdobyły przyczółek na półwyspie Synaj i za kilka tygodni mogły dotrzeć do Kairu. Trzecia grupa wojsk wylądowała w południowo-wschodniej części południowego wybrzeża Iranu. Bombardowania poprzedzające inwazję były tak intensywne, że znaczna część ludności cywilnej południowego Iranu, łącznie z mieszkańcami rodzinnego miasta Ahmeda, Chan Bahar, poniosła śmierć w ich wyniku. Rakish Ahmed widział na własne oczy tę zbrodnię wojenną - był w mieście, żeby dopilnować obrony wybrzeża, i za zgodą kalifa wstąpił do domu, chcąc się zobaczyć z żoną i synkiem. Godzinę po jego przyjeździe nadleciały bombowce Koalicji i zrównały miasto z ziemią. Rodzina Ahmeda zginęła, on ledwo uszedł z

życiem. Był to dla niego ogromny wstrząs, od tego czasu nocami śniły mu się koszmary, w dzień musiał stale się zmagać z dręczącymi wspomnieniami.

Siły Koalicji dotrą tutaj, pomyślał Ahmed. Ich celem jest Aszchabad. I Sihoud.

- Kalifie, nie mamy środków potrzebnych do przeprowadzenia kontrofensywy na trzech frontach. Są problemy materiałowe. Japońskie czołgi, ciężarówki i działa samobieżne sprawdzają się znakomicie, pod warunkiem że jest do nich paliwo. Z myśliwcami Firestar są problemy techniczne. Urywają się łopaty turbin silnikowych. Cóż da najbardziej wyrafinowana elektronika lotnicza, jeśli samoloty nie mogą latać? Mamy poważne problemy zaopatrzeniowe, wszystkie zapasy się kończą. Z trudem będziemy mogli wyżywić ludzi na froncie. Zabitych żołnierzy nie możemy zastąpić rekrutami. Koalicja zaczyna bombardować rafinerie. Niebo robi się czarne od dymu płonącej ropy. Za sześć miesięcy zacznie nam brakować paliwa do czołgów i samolotów.

Sihoud wolno przesuwał palcem po ostrzu sztyletu.

- Więc uważasz, że nasz džihad, który dopiero się zaczął, nie ma sensu - odezwał się w końcu melodyjnym głosem.

Przez moment Ahmed myślał nie o treści jego słów, lecz o samym głosie, mającym jakąś hipnotyczną moc, która sprawiła, że przywódcy i narody krajów islamskich wbrew wzajemnym animozjom połączyli się w ogromną, silną konfederację. Ta konfederacja prawie zjednoczyła centralną Azję, Afrykę Północną i wszystkie państwa arabskie. Konsolidacja pogłębiła się podczas inwazji na Czad i Etiopię i ich okupacji. Obie kampanie zajęły niecałe cztery tygodnie. Ale ekspansja Sihouda została raptem zahamowana w Indiach. Czad i Etiopia zaskoczyły świat. Media zdeorientowała propaganda obu krajów, która głosiła, że to stanowiący duży procent ich mieszkańców muzułmanie „zaprosili” Sihouda. Podobnej iluzji nie udało się stworzyć przy wkraczaniu do Indii. Hindusi dzielnie walczyli i głośno apelowali do Zachodu o pomoc. W końcu Zachód zdecydował się zająć stanowisko w tej sprawie. Awantura indyjska nie poszerzyła terytorium ZIF, a co gorsza, spowodowała utworzenie Koalicji Zachodniej. Amerykanie, Brytyjczycy i Niemcy wystąpili zbrojnie przeciwko Sihoudowi. Nie było szans, żeby Sihoud, mimo swej niezwyklej charyzmy, mógł stawić im czoło. Dopiero po chwili Ahmed zdał sobie sprawę, że generał i kalif Mohammed al-Sihoud przygląda mu się uważnie, czekając niecierpliwie na odpowiedź.

- Przepraszam, zamyśliłem się. O co pan pytał?

- Mówisz mi o problemach, Rakish, i może spodziewasz się, że machnę tym sztyletem i wszystkie znikną - odparł Sihoud i przez moment wpatrywał się w Ahmeda fiołkowymi oczami. Ciemne tęczęwki świdrowały pułkownika, jakby poszukując ukrytych wad jego

charakteru. - Jesteś pilotem, naukowcem, który ma ciągle do czynienia z liczbami i kawałkami metalu. Ja jestem żołnierzem piechoty i mam stale do czynienia z sercami i duszami walczących ludzi. Jesteśmy tu po to, by bronić naszych roszczeń do tego kontynentu, nie po to, żeby rozprawiać o zasobach ropy i łopatach turbin.

- Generale, nigdy nie jest łatwo przyjąć do wiadomości, że można przegrać bitwę lub wojnę - odrzekł Rakish, starannie dobierając słowa. Wiedział, że jeśli rozgniewa Sihouda, może zostać zdegradowany lub nawet odsunięty od udziału w wojnie, w której chciał i musiał walczyć. - Ale mam plan przewidujący użycie nowej broni skonstruowanej w naszym wojskowym ośrodku naukowym w Mashhad. Sam ją zaprojektowałem, ale nie powiedziałem panu o niej, obawiając się, że może zawieść.

Zawsze spokojne oczy Sihouda napotkały spojrzenie Ahmeda. Generał patrzył na pułkownika z jawną niechęcią. Ahmed mówił dalej:

- Wyobraźmy sobie na chwilę broń potężniejszą od bomby nuklearnej. Broń, której nawet nie będziemy musieli zastosować, żeby zatrzymać Koalicję. Bombę tak przerażającą, że wystarczy sama groźba jej użycia, by Waszyngton wycofał siły koalicyjne z naszych terytoriów. Ale proponuję, żebyśmy nie ograniczyli się do gróźb. Sugeruję, żeby wykorzystać ją, kiedy tylko...

- Mówił mi pan, pułkowniku Ahmed, że mimo moich rozkazów, nie mamy plutonu do wyprodukowania broni nuklearnej. A teraz nagle znalazła się superbroń?

- Zaczęliśmy od korpusu rakiety bojowej Mitsubishi Hiroshima, ponaddźwiękowego pocisku samosterującego wysokiego pułapu, który z takim trudem kupiliśmy od naszych japońskich doradców.

Sihoud patrzył gniewnie na Ahmeda, ale wyglądało na to, że słucha bardzo uważnie.

- Wypełniliśmy przestrzeń głowicy naszą własną głowicą o nazwie Scorpion. Jej rdzeniem jest lekki materiał wybuchowy o dużej sile eksplozji. Ładunek otaczają trzy warstwy: płynna osłona z monomeru octanu winylu, wysokociśnieniowy zbiornik etylenu i pojemnik z drobno zmielonymi cząsteczkami plutonu.

Ahmed spojrział czujnie na Sihouda. Wiedział, że generał nie cierpi opisów technicznych, ale nie było innego sposobu na objaśnienie działania systemu.

- Pocisk samosterujący leci w kierunku celu z szybkością ponad-dźwiękową na wysokości osiemnastu kilometrów. W ostatniej chwili zwalnia i nurkuje do około tysiąca metrów nad strefę zero. Ładunek wybuchowy detonuje i wdmuchuje monomer i pył plutonowy do zbiornika etylenu, który się rozrywa. Temperatura i ciśnienie eksplozji tworzą rodzaj systemu reaktorowego. Monomer i etylen reagują ze sobą i formują płynną emulsję

polimerową - klej, jeśli pan woli, generale - który zawiesza pluton w matrycy opadającej ku ziemi. Klej cementuje pluton na każdej powierzchni, z którą ma kontakt. Ani wiatr, ani deszcz, ani odkażanie nie mogą usunąć plutonu, a jego radioaktywność wystarczy do zabicia całej populacji w promieniu około dwóch kilometrów od strefy zero. Śmierć na skutek skażenia nie jest łagodna, ale powolna i bolesna, właśnie taka, na jaką zasługuje nasz wróg. Teren jest tak napromieniowany, że ludzie muszą go opuścić na zawsze.

Sihoud spojrzał na Ahmeda i wsunął sztylet do pochwy. W twarzy generała Ahmed dostrzegł coś, czego nie było jeszcze kilka chwil wcześniej, i uznał to za oznakę nowej nadziei.

- Ile takich pocisków możemy wyprodukować?

- Trzy, może cztery.

- Tę broń, tego Scorpiona... montujecie w pocisku samosterującym Hiroshima. Ale taki pocisk ma zasięg tylko trzech tysięcy pięciuset kilometrów. To niewiele.

- Z terytoriów ZIF możemy wziąć na cel Europę, ale...

- Ale to nie wystarczy. Musimy osiągnąć ośrodek ich potęgi.

- Waszyngtonu... Mam plan, który pozwoli, by głowica uderzyła w to miasto, ale realizacja zajmie trochę czasu - odrzekł Ahmed i wskazał mapę elektroniczną, ukazującą zbliżające się armie Koalicji. - Musimy się pospieszyć.

- Jaki to plan?

Ahmed zerknął na mapę elektroniczną. Zastanawiał się, czy to właściwy moment na przekazanie generałowi reszty złych wiadomości, być może tych najgorszych. Dostrzegł przenikliwe spojrzenie Sihouda i uznał, że generał powinien poznać fakty, bez względu na to, czy zechce mu uwierzyć, czy nie. - Zanim przejdę do planu wysłania Scorpiona, muszę panu powiedzieć o czymś innym. Ta sprawa jest sprawą najpilniejszą...

- O kolejnym planie zabicia mnie, pułkowniku?

- W pewnym sensie, generale. Widziałem meldunki wywiadu. Siły Koalicji mogą przygotowywać operację zmierzającą do zlikwidowania pana. Mogą próbować wyeliminować pana i musimy na to szybko zareagować.

- Nie będzie żadnej próby zlikwidowania mnie, Rakish. To ci sami ludzie, którzy walczyli z Hitlerem, Ho Szi Minem i Husajnem. Żadnego z nich nie zamordowano, pułkowniku.

- Właśnie, generale. Dlatego obawiamy się, że pan będzie pierwszy.

- Zaczyna z ciebie wychodzić twoja paranoja, Rakish. Wojownik nie obawia się spisków przeciwko swojemu życiu. Ale mów. Masz jakiś dowód?

- Kilka godzin temu z Wołgogradu wystartował wielki odrzutowiec pasażerski. Odleciał do Alma-Aty i zniknął nad Jeziorem Aralskim. Nigdzie nie wylądował, ale nie ma go na naszych radarach. To bardzo podejrzane. W tym samolocie mogą być spadochroniarze.

- Samolot - powiedział sceptycznie Sihoud. Jego zainteresowanie wyraźnie osłabło. - Samolot, którego nie ma na ekranie radaru. Nie warto nawet o tym dyskutować, pułkowniku.

- Tak jest, generale, na pewno ma pan rację, ale... Prawie w tym samym czasie wystartował jakiś tajemniczy odrzutowiec. Nasz satelita na orbicie geosynchronicznej wykrył trzy nagle wykwyty ciepła na Morzu Arabskim u wybrzeży Karaczi i dwa inne na Morzu Śródziemnym na wschód od Cypni.

- Wykwity ciepła...?

- Źródła ciepła zaobserwowane w podczerwieni. Nagłe i bardzo gorące.

- Może testowano broń albo wystrzelono flary. Być może pozbyto się uszkodzonej amunicji.

- A może Koalicja atakuje nas pociskami samosterującymi. Te wykwyty ciepła mogły pochodzić z wydechów ich raket startowych.

- To wszystko?

- Nie możemy wykryć pocisków samosterujących z ziemi, generale. Nie wiemy, czy nadlatują. A ten samolot jest niepokojący. Jak powiedziałem, to mogą być spadochroniarze.

- Wystarczy, pułkowniku - odparł Sihoud. - Dwa tygodnie temu był pan pewien, że pod Aszhabadem wylądowali komandosi i idą po mnie.

Nie pokazali się. Nie będę prowadził tej wojny, siedząc na tyłach. Musimy wrócić na front.

Ahmed skinął głową. Był sfrustrowany, że Sihoud nie chce go słuchać, ale zarazem miał nadzieję, że generał ma rację.

11 kilometrów na południe od Kizyl Arvat w Turkmenistanie

Pierwszy pocisk samosterujący Javelin, wystrzelony z „Augusty”, trzymał się blisko ziemi, leciał zaledwie sześć metrów nad zaroślami porastającymi turkmeńskie równiny z szybkością ponad tysiąca kilometrów na godzinę. Co sześć minut komputer pokładowy JavCalCor nakazywał pełną autodiagnostykę i systemy pocisku składały meldunki. Ilość paliwa zmalała do czterdziestu procent - zużycie mieściło się w normie. Temperatura w kanale dolotowym sprężarki, komorze spalania i kanale wylotowym turbiny była nominalna. System głowicy bojowej meldowało zadowolającym sprzężeniu z wyłączonym i otwartym

obwodem detonatora. System sterowania donosił, że stery pionowe i poziome działają. System nawigacyjny nieprzerwanie brał namiary pozycji na radarze konturowym, śledzącym ład. Ukształtowanie terenu zgadzało się z pamięcią komputera. Płaskość turkmeńskiej równiny stwarzała pewien problem, ale dodatkowy namiar pozycji z gwiazd pokazywał, że nawigacja według terenu przebiega w wyznaczonych granicach. Pocisk był około ośmiuset metrów dalej, niż powinien być według zegara. Dotarcie do celu w precyzyjnie określonym momencie miało decydujące znaczenie, więc komputer postanowił zmniejszyć szybkość o sześć metrów na sekundę. Zawór sterujący przepływem paliwa przymknął się lekko i ograniczył zasilanie paliwem komory spalania. Temperatura w jej kanale wylotowym spadła i turbina nieco zmniejszyła obroty. Ciąg silnika minimalnie zmałał i pocisk zwolnił.

Komputer śledził mapę terenu w swojej pamięci i podjął do kompleksu głównego bunkra na obrzeżach Aszchabadu. Pocisk miał nadlecieć z północy na małej wysokości, dotarłszy na odległość półtora kilometra od celu, wzbić się niemal pionowo do pułapu sześciuset metrów i znurkować po linii prostej do bunkra. Komputer przypomniał sobie, że po uderzeniu ma odczekać dwieście milisekund, zanim zdetonuje kompaktowy ładunek wybuchowy w głowicy bojowej, żeby upewnić się, czy przed eksplozją pocisk dotarł do czwartego półpiętra bunkra - cel leżał ponad czterdzieści metrów pod poziomem parteru meczetu.

Pocisk powinien już tylko pokonać bez żadnych problemów kilometry dzielące go od celu i detonować we właściwej sekwencji.

112 kilometrów na północ od Aszchabadu w Turkmenistanie

Zaśmigłowy strumień powietrza uderzył w dowódcę SEAL Jacka Morrisa z szybkością trzystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, co groziło mu przeokożkowaniem, mimo prawidłowej, podręcznikowej pozycji ciała. Podskakiwał w turbulencji i gdy szok spowodowany podmuchem zaczął słabnąć, doznał kolejnego szoku - tym razem powodem było zimno. Szybował, opadając swobodnie, w huczącym wietrze, z prędkością stu osiemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę - graniczną szybkością przy jego termicznym kombinezonie spadochroniarskim. Zastanawiał się, jaka może być temperatura wiatru przy tej prędkości, skoro temperatura powietrza wynosiła czterdzieści stopni poniżej zera. W każdym razie było tak zimno, że gdyby nie ogrzewany elektrycznie kombinezon, w ciągu kilku sekund zamrzłby na kulę lodową. Leciał ku czarnej pustyni w dole i próbował dostrzec podświetlony wysokościomierz. Przy tym skoku spadochron miał się sam otworzyć po

niecałej minucie swobodnego opadania. Jak się tego spodziewał, odczuł lekki wstrząs, gdy zza jego pleców wystrzeliła nagle czasza. Wysokościomierze automatycznie uwolniły spadochrony całej kompanii na tym samym pułapie. Czasza nad jego głową uniosła się i jedwab rozciągnął się do kształtu materaca jak w paralołtni. Morris poczuł silne szarpnięcie, jakby otworzyła się pod nim zapadnia szubienicy, i miał za moment zawisnąć na stryczku. Ale zamiast go dusić, uprzęż dała mu mocnego kopniaka w krocze.

Pół sekundy później lina bungee, przymocowana jednym końcem do jego uprząży, drugim do skrzyni z ciężkim sprzętem, napięła się; kontener nadal swobodnie opadał. Ciężar skrzyni na chwilę niemal wypchnął spod czaszy powietrze. Morris zaczekał i pozwolił, żeby spadochron wyhamował. Wiedział, że właśnie w tym momencie ginie najwięcej skoczków. Rozwijająca się czasza mogła się splątać i wejść w drogę spadochronowi zapasowemu. Tak się zdarzyło Bony'emu Robbinsowi przed Gwiazdką. Jego spadochron główny zwinął się w papieros i bezużytecznie trzepotał nad nim na wietrze niczym papierowa serpentyna. Bony usiłował go odciąć, ale zadziałał wysokościomierz spadochronu zapasowego i otworzył drugą czaszę, która splątała się z główną. Bony uderzył w zamrożone pole kukurydzy z szybkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ale główny spadochron Morrisa zachował się właściwie i wypełnił powietrzem, kiedy skrzynia ustabilizowała się dwanaście metrów niżej. Morris wysterował na południe i rozejrzał się za resztą stuosobowego pododdziału. Noc była bezksiężycowa i nie mógł niczego zobaczyć, ale słyszał wokół siebie otwierające się czasie spadochronów. Ryk samolotu KC-10 już ucichł. Po zrzuceniu grupy SEAL transportowiec natychmiast znurkował z powrotem na wysokość bliższą ziemi. Najprawdopodobniej wracał do domu tak szybko, jak tylko potrafili nim lecieć popijający kawę i przekładający papierki piloci.

Punkt zrzutu leżał sto dwanaście kilometrów od głównego bunkra ZIF. Wyskoczyli z samolotu na wysokości prawie czternastu tysięcy metrów i otworzyli spadochrony po minimalnym czasie swobodnego opadania. Morris liczył, że z wiatrem przelecą na spadochronach jakieś trzydzieści kilometrów. Kiedy wylądują na pustyni, będą mieli jeszcze około osiemdziesięciu kilometrów do kwatery Sihouda. Zakładając, że montaż pustynnych pojazdów patrolowych potrwa kwadrans, powinno im zostać półtorej godziny na dotarcie do ogrodzenia bunkra z półgodzinnym zapasem czasu. Jak dotąd, wszystko poszło dobrze: samolot nie został zestrzelony i przyjmując, że kierowcy autobusu powietrznego wiedzieli, gdzie - do cholery - się znaleźli, zrzut przebiegł bez problemów. Ale w trakcie każdej misji gdzieś coś nawala. Jedyna różnica między udanym atakiem i żalosną klęską to liczba nieprzewidzianych wpadek. Mnóstwo rzeczy może jeszcze pójść nie tak, pomyślał Morris,

patrzac na wysokošciomierz i kompas. Lądowanie ze skrzyniami pełnymi sprzętu może być trudne, niektórzy mogą nawet odnieść obrażenia. DPV-y mogą się porozbijać, a bez pustynnych pojazdów patrolowych ludzie nie pokonają na czas osiemdziesięciu kilometrów. Mogą zostać „gorąco powitani” - w strefie zrzutu, wokół bunkra albo gdzieś po drodze. A nawet jeśli zdobędą bunkier, mogą w nich trafić cholerne pociski samosterujące Javelin i powtórzy się to, co było w Iranie za czasów Jimmy’ego Cartera.

Morris podkreślił termostat w swoim kombinezonie. Tkaninę wypełniały oporniki elektryczne jak w podgrzewanym kocu. Nadal szybował na południe i czekał na koniec powietrznej podróży. Pod nim kołysała się skrzynia ze sprzętem. Wreszcie wysokošciomierz pokazał trzysta metrów i Morris odczepił skrzynię. Uwolniony od ciężaru spadochron, jakby uniół się na moment. Moms wyteżył słuch i usłyszał odgłosy czasz, otwierających się nad setką odczepionych skrzyń. Wysokošciomierz cyfrowy pokazywał coraz mniejsze liczby, aż wreszcie stopy Morrisa znalazły się zaledwie kilkadziesiąt metrów nad ziemią. Teraz wyteżył wzrok. Wpatrywał się tam, gdzie powinien dostrzec horyzont, gdyby był widoczny. Próbował wyczuć ziemię. Nie cierpiał skoków w bezksiężycowe noce, noktowizyjne gogle nie pomagały mu, bo soczewka wspólnego, pojedynczego okularu pozbawiała obraz głębi i powodowała zawroty głowy. Zawsze w ostatniej sekundzie potrafił jakoś wyczuć bliskość ziemi i wyhamować. Skoczek, któremu nie udało się ściągnąć w dół krawędzi czaszy i wytracić w ten sposób szybkości, mógł uderzyć w ziemię z prędkością do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Taka energia kinetyczna wystarczała do okaleczenia człowieka.

Wstrzymał oddech i czekał, wyteżając wszystkie zmysły. W końcu bardziej usłyszał, niż zobaczył ziemię. Wyciągnął linki sterownicze spadochronu z pasów uprząży do samych kolan i czasza w kształcie skrzydła, przypominająca paralołnię, odchyliła się w kierunku przepływu powietrza i ustawiła ukośnie do góry, niczym samolot zwalniający nad pasem startowym. Aerohamowanie się udało i Morris prawie się zatrzymał. Gdy jego wojskowe buty dotknęły gruntu, czasza zgrabnie opadła. Morris uwolnił się od leżącego na piasku spadochronu i pozwolił mu trzepotać na wietrze. Zwolnił sprzączki uprząży, odpiął suwak, zdjął kombinezon spadochroniarski, rzucił maskę tlenową na stos, zwinął wszystko w kłębek i zakopał w piasku. Wokół niego setka komandosów robiła to samo. Morris sięgnął do kamizelki, wyjął gogle noktowizyjne i włożył je. Pustynia dokoła niego ożyła, jego ludzie pobiegli ku skrzynkom ze sprzętem. Wyciągali z nich broń, amunicję i części pustynnych pojazdów patrolowych.

Morris kroczył przez piasek, przyglądając się, jak komandosi otwierają skrzynie. Kilku ludzi wysłał na poszukiwanie ładunków, które wylądowały kilkadziesiąt metrów poza

strefą zrzutu; Zawartość skrzyń szybko zgromadzono w jednym miejscu: ramy przestrzenne z rur aluminiowych, opony bez powietrza z butlami do pompowania, składane siedzenia z lekkich materiałów i pianki. Najcięższe były silniki, układy przeniesienia napędu i karabiny maszynowe. Morris schylił się, żeby pomóc jednej z grup przy zamontowaniu silnika w przedniej części ramy DPV-a. Ludzi pracowali gorączkowo, skręcali po ciemku silniki o dużej mocy, widząc tylko tyle, ile pozwalały zobaczyć niewygodne gogle noktowizyjne. Morris cofnął się. Na chwilę nad innymi uczuciami wzięła górę duma. Z taką ekipą mechaników każdy kierowca wyścigowy startujący w Indianapolis zostałby zwycięzcą. Cała ta satysfakcja zgasła nagle, gdy Morris spojrzął na zegarek. Upłynęło osiem minut od momentu, kiedy dotknął butami ziemi. O wiele za dużo, cholera.

Odszukał Czarnego Barta Bartholomaya i po raz ostatni przeanalizowali plan ataku. Przez ten czas chorąży i bosman złożyli do kupy ich DPV-a. Gotowy, wyglądał dość dziwnie, przypominał nieślubnego syna pojazdu księżycowego i samochodu do wyścigów w Baha. Mógł pomieścić czterech ludzi łącznie z kierowcą, miał specjalne opony dojazdowe po wydmach, dwa karabiny maszynowe zamontowane na ramie i silni Chevroleta o mocy trzystu koni mechanicznych. Kierowcy zapalili silniki i pustynia zadrżała od nagłego hałasu. Morris założył podobny do motocyklowego kask, wyregulował mikrofon radia i wcisnął magazynek do pistoletu maszynowego MAC-10. Broń przyjemnie ciążyła mu w dłoni. Bart zdążył tymczasem skontrolować strefę zrzutu i zameldował, że wszystkie DPV-y są na drodze i że podczas lądowania nikt nie odniósł obrażeń. Misja nadal przebiegała pomyślnie, choć z kilkominutowym opóźnieniem.

Morris sprawdził geosatelitarny system nawigacyjny DPV-a; odbiornik Navsat nie był większy od bochenka chleba. Spojrzął na mapę. Kurs jeden siedem siedem prowadził prosto do głównego bunkra. Wdrapał się do DPV-a, Bart usiadł za kierownicą, chorąży przy tylnym karabinie maszynowym, bosman obok niego. Morris klepnął Barta w udo i ten ruszył ostrożnie, żeby nie zakopać się w piasku, po czym dodał gazu; maszyna przyspieszyła i pomknęła na południe. Dwadzieścia cztery pojazdy pustynne popędziły za nią z hukiem jak na wyścigach.

Aszhabad w Turkmenistanie

Kompleks głównego bunkra

Kwatera główna Połączonych Sił Zbrojnych ZIF

- W jaki sposób będziemy w stanie zniszczyć Scorpionami Waszyngton? I jak prędko możemy to zrobić?

Generał Sihoud patrzył na mapę elektroniczną na ścianie i myślał o przyszłości narodów wyznających islam. Żołnierze Koalicji Zachodniej wdarli się na ziemie ZIF, należało zrobić wszystko, by zmusić ich do odwrotu.

Ostatecznie, czternaście wieków temu, sam Mahomet uciekł z Mekki do Medyny. To była święta emigracja, *hegira*, podczas której Mahomet stworzył islam. Prorok odniósł potem zdumiewające zwycięstwo w wielkiej bitwie, triumfalnie powrócił do Mekki i zyskał nieśmiertelną chwałę. Zanim ukończył czterdzieści lat, on i islam zawładnęli światem arabskim.

Teraz Sihoud otrzymał Scorpiona, właśnie tak samo jak Mahomet otrzymał nadprzyrodzoną siłę od archanioła Gabriela, i wygra wojnę. Niewierni uciekną i będą się kryć, przerażeni, a on Mohammed al-Sihoud zatriumfuje. Sihoud naprawdę wierzył, że tak się stanie.

Czwartek, 26 grudnia

Aszhabad w Turkmenistanie

Kompleks głównego bunkra

Kwatera główna Połączonych Sił Zbrojnych ZIF

Sihoud ziewnął. Minęło wiele godzin od czasu, gdy wydawało mu się, że wkrótce będzie mógł się trochę przespać. Przed świtem miał przecież jeszcze bardzo wiele pracy. Musiał dowodzić oddziałami, wyznaczać zadania armiom - musiał wygrać wojnę. Ale najpierw chciał się rozmówić ze swoim irańskim szefem sztabu, grzeszącym skłonnością do nadmiernego pesymizmu, graniczącego z defetyzmem, technokratą Rakishem Ahmedem. Przypomniał sobie jednak, że Ahmed jest więcej wart, niż zarabia - dostarczył przecież Scopiony. Dlatego Sihoud z pobłażaniem odnosił się do jego obaw i lęków. Chciał tylko, żeby Ahmed zrozumiał jedno - zwycięstwo jest im przeznaczone. Sihoud wierzył w to niezłomnie.

Pułkownik Ahmecf ze zmarszczonym czołem rozmawiał cicho z jednym z oficerów przy konsoli dowodzenia taktycznego. Oficer od czasu do czasu podnosił do góry palec i coś mówił do swojego bezpiecznego radiotelefonu. Sihoud zauważył, że Ahmed pochmurnieje. W końcu pułkownik odwrócił się od konsoli i spojrzał na Sihouda z ponurą miną.

- Generale, musimy natychmiast opuścić bunkier. Wkrótce nastąpi atak na nasze centrum dowodzenia.

Ahmeda nauczono w irańskich siłach powietrznych, żeby najpierw wyciągać wnioski, a dopiero potem przedstawiać dowody na ich poparcie. Ten zwyczaj irytował Sihouda, ale czekał cierpliwie.

- Północne stanowisko obrony przeciwlotniczej - ciągnął Ahmed - zameldowało o dużym samolocie na radarze wysokiego pułapu. Maszyna bardzo szybko wzbiła się z poziomu zero na wysokość czternastu kilometrów, po czym znów znurkowała. Początkowo nie wierzyliśmy w to, ale właśnie otrzymaliśmy potwierdzenie ze stanowiska południowego - widzieli to samo. To ma zapewne związek z odrzutowcem pasażerskim, o którym już panu meldowałem. Muszą to być spadochroniarze, generale.

Ahmed przerwał, chwycił radio i rzucił kilka rozkazów do mikrofonu, powiedział coś, co dotyczyło myśliwca Firestar i samochodu wojskowego Kawasaki U-10, znajdującego się przy wyjściu z południowego tunelu technicznego.

Sihoud spokojnie pokręcił głową. Nie było żadnych spadochroniarzy i nie będzie odwrotu przez tunel. Ahmed ma za mało wiary.

Poprzedniej nocy Sihoudowi śniło się zwycięstwo. Aniołowie z nieba walczyli u jego boku i jeden powiedział mu, że będzie rządził całą Azją i Afryką, a niewierni zostaną zepchnięci do mórz. Sen nie zapowiadał żadnego zagrożenia. Sihoud miał co do tego absolutną pewność. Teraz liczyło się tylko rozlokowanie i wystrzelenie pocisków plutonowych Scorpion z ich śmiertelnościami ładunkiem, jako kara za grzechy wymierzona przez ziemskiego przedstawiciela Allana, generała Sihouda.

Ahmed wciąż stał z radiem przy uchu.

- Wystrzeliliśmy pociski w tamten samolot, generale. Ale żaden nie trafił, maszyna była już za daleko. Generale, czeka na nas samochód U-10 i firestar na pasie startowym...

- Dostyc. Jeśli tamten samolot był tak daleko, że nie dosięgły go nasze pociski przeciwlotnicze, to musiał się znajdować w bardzo dużej odległości od bunkra. W jakiej?

- Około stu kilometrów, może trochę więcej.

- Sto kilometrów. Ci spadochroniarze będą mieli długą drogę do przejścia. Czy wasze radary pokazały jakieś spadochrony?

- Nie, generale, ale...

- Proszę ze mną, pułkowniku.

Sihoud zaprowadził Ahmeda w oddzielony plastikowymi ściankami róg sali i strzelił palcami. Adiutant przyniósł dwie filiżanki parującej herbaty. Sihoud pociągnął łyk i popatrzył

przez obłok pary na Ahmeda. W jego oczach pojawiło się współczucie. Generał miał donośny głos, ale teraz powiedział cicho i łagodnie:

- Pułkowniku Ahmed, Rakish, mój przyjacielu. Myślisz o swojej żonie i synu, prawda?

- Zawsze będę o nich myślał, ale to nie ma nic wspólnego z zagrożeniem tego bunkra.

- Zastanawiam się, Rakish, czy po stracie rodziny i domu nie obawiasz się, że możesz stracić również mnie. Zapewniam cię, że to się nigdy nie zdarzy.

Kiedy Sihoud wypowiadał te ostatnie zdania, Ahmed był myślami gdzie indziej... U wylotu dwustumetrowego tunelu technicznego czekał na nich obu samochód wojskowy U-10. Cztery kilometry dalej na południe wyciągnięto z hangaru myśliwiec Firestar, zatankowano i grzano silniki. Wszystko na rozkaz Ahmeda. Jako szef sztabu, pułkownik odpowiadał również za bezpieczeństwo Sihouda. Uważał to zadanie za najtrudniejsze, bo odwaga Sihouda graniczyła z brawurą. Ten człowiek naprawdę wierzył, że nic mu się stać nie może - w niebezpieczny sposób oszukiwał samego siebie. A skoro nie chciał być chroniony, niewiele można było na to poradzić, dopóki nie zdarzy się najgorsze. Może wtedy zaczniesz słuchać rad. Ahmed postanowił trzymać samochód i samolot w pogotowiu. Sihoud nadal mówił, a Ahmed wyjął mały pistolet maszynowy w skórzanej kaburze i przypasał do munduru polowego. Ciężar broni sprawił, że poczuł się lepiej i odprężył na chwilę. Sihoud pytał teraz o Scorpiony.

- Scorpiony, pułkowniku. Jak je przetransportujemy i jak prędko? Ahmed czekał na to pytanie. Wiedział, że odpowiedź nie spodoba się generałowi, ale jemu też się nie podobała.

- Użycie samolotu nie będzie możliwe. Wszystkie myśliwce są w pełni wykorzystywane tutaj i mają za mały zasięg, by przelecieć Atlantyk. Samoloty pasażerskie nie nadają się; ich części są zużywane do utrzymania w powietrzu eskadr naszych myśliwców i wszyscy mechanicy są na froncie. Rozważałem taką ewentualność: porywamy samolot i lądujemy tam, gdzie moglibyśmy załadować pociski, ale to mogłoby zdradzić nasz plan. Transport pocisków musi być utrzymany w całkowitej tajemnicy.

Sihoud zaczął podejrzewać, że pomysł pułkownika Ahmeda musi być rzeczywiście niezwykle, skoro szef sztabu wygłasza taką przemowę.

- Poza tym, generale, wystrzelenie pocisku nie może zostać wykryte. To jeszcze jeden powód, dla którego transport lotniczy nie wchodzi w rachubę. Amerykanie mają ultranowoczesny system kontroli ruchu powietrznego. Natychmiast wykryliby obiekt zrzucony z niezidentyfikowanego samolotu i poruszający się z szybkością ponaddźwiękową...

Sihoud skinął głową. Pułkownik mówił dalej. Jego amerykańskie wykształcenie drażniło generała nawet w takich momentach, jak teraz, kiedy pomagało w osiągnięciu celu. W epoce szacha Ahmed przeszedł szkolenie w siłach powietrznych Stanów Zjednoczonych i studiował inżynierię na jednym z tak zwanych prestiżowych uniwersytetów na północnym wschodzie USA. Twierdził, że rozpracował swoich amerykańskich przeciwników i zna ich słabe strony. Oczywiście, jak dotąd nie uchroniło to ZIF przed porażkami w wojnie z Koalicją. Sihoud postanowił pohamować elokwencję Ahmeda.

- W porządku, pułkowniku. Żadnego transportu lotniczego. Jaka jest alternatywa?

- „Hegira”, kalifie. Możemy dostarczyć pociski w pobliże wybrzeża Stanów Zjednoczonych i odpalić je z morza. Amerykanie będą kompletnie zaskoczeni.

Morris patrzył, jak porucznik Bawół Sauer celuje w przednią lewą oponę samochodu wojskowego U-10. Strzał był trudny, bo pojazd jechał z szybkością około trzydziestu kilometrów na godzinę. Moment później pocisk wystrzelony z broni zaopatrzonej w tłumik trafił w oponę i rozerwał gumę. U-10 skręcił, niemal wymknął się spod kontroli, potem zwolnił i stanął. Wysiedli z niego dwaj żołnierze, zrzucili broń na ramię, i zaczęli się przyglądać uszkodzonemu kołu. Przez chwilę dyskutowali, w końcu jeden skinął głową i ruszył ku tyłowi samochodu po zapasowe koło. Schylił się, żeby poszukać lewarka i zginął, zanim zdążył się wyprostować - ostrze noża chorążego Dobbsa rozplatało mu gardło. Drugi żołnierz wciąż jeszcze patrzył na oponę, kiedy bosman Hansen pozbawił go życia za pomocą swojego noża - ciało zabitego ostrożnie położył na piasku. Obaj żołnierze umarli, nie wydawszy żadnego dźwięku. Hansen czyścił klingę szmatą z samochodu, gdy w pojeździe odezwało się radio, wyrzucając z głośnika szybkie arabskie sylaby. Hansen wyciągnął swój pistolet maszynowy MAC-10, sprawdził tłumik i strzelił w konsolę radiową. Aparat rozleciał się na kawałki i na pustyni znów zapadła cisza.

Morris zbadął horyzont we wszystkich kierunkach w poszukiwaniu innych patroli. Od północnej strony za wysokim meczetem otwierała się pusta przestrzeń. Od południa w pobliże świątyni dochodziły obrzeża miasta, ale w domach i na ulicach panował spokój. Morris skinął na Łajna Clitesa, który podszedł do elektrycznego ogrodzenia, włożył grube gumowe rękawice i sprawdził napięcie ręcznym miernikiem. Drutami nie płynął prąd - drużyna pracująca po zachodniej stronie meczetu już wyłączyła transformator wysokiego napięcia. Clites wyjął nożyce, wyciął w ogrodzeniu dużą dziurę i cofnął się. Morris dał znak swoim ludziom, żeby wchodzili. Zajęli pozycje wokół meczetu w odległości niecałych dwustu metrów od budowli.

Morris spojrział na zegarek. Czas akcji miał wyliczony co do sekundy. Na razie nie było opóźnień. Drużyny zostawiły DPV-y trzy kilometry na zachód od bunkra i ostatni odcinek drogi przebyły po cichu pieszo. Komandosi szli powoli, żeby zużyć zapas czasu. Plan zakładał, że pociski samosterujące Javelin uderzą w momencie, gdy ludzie Morrisa wejdą na teren kompleksu. Gdyby nadleciały wcześniej, pozostali przy życiu Arabowie - w tym i sam Sihoud - mogliby uciec. Gdyby Javeliny nie spieszyły się i przyleciały z opóźnieniem, komandosi SEAL, leżąc na piasku i czekając na pociski samosterujące, byłiby odsłonięci. Żołnierze ZIF mogliby ich odkryć i natychmiast zlikwidować. Albo, co gorsza, wziąć do niewoli i poddać przesłuchaniom. Morris nie ufał pociskom samosterującym. Miały niebezpieczną tendencję do gubienia się lub spadania za blisko. Dawały się też zestrzelić. Czasem zdarzało się wszystko naraz. Gdyby on zaplanował tę operację, zachowałby Javeliny na następną wojnę i wszedłby od razu do bunkra, strzelając z MAC-10. Ale jakiś admirał w Pentagonie chciał się podzielić tą akcją z oficerkami marynarki w czarnych półbutach i rozkazał wystrzelić pociski samosterujące z morza oddalonego o dwa tysiące kilometrów. Morris zagryzł wargi. Wiedział, że kosztowne zabawki bardzo się podobały szefostwu, ale wojny wygrywają tył ko piechurzy z karabinami. SEAL był ekstremalnym rozwinięciem tej koncepcji - piechurów z karabinami zastąpili komandosi z wyciszonymi pistoletami maszynowymi.

Morris wytężył słuch. Zastanawiał się, czy ten lekki szum to krew krążąca szybko w jego głowie, czy hałas Javelinów. Odgłos stawał się głośniejszy, pełniejszy. Dźwięk wirników szybkoobrotowych turbin. Silników odrzutowych. Morris skierował okular gogli noktowizyjnych w niebo. Zdawało mu się, że widzi korpus jednego z pocisków, wzbijającego się do góry, rozpoczynającego wznoszenie. Jeszcze tylko kilka sekund, pomyślał.

Sihoud na moment osłupiał. Ale Ahmed oznajmiwszy mu, że to „Hegira” dostarczy pociski do wybrzeża Ameryki i wystrzeli je, patrzył na niego spokojnie. „Hegira”! Okręt podwodny? To wydawało się Sihoudowi tak absurdalne, że niemal sensowne w jakiś pokrętny sposób.

„Hegira” była pomysłem poprzednika Ahmeda i to pomysłem głupim. Do tej pory Sihoud żałował, że zgodził się poprzeć ów zakup. Ale teraz zaczął się zastanawiać.

Poprzednim szefem sztabu Sihouda był główny dowódca marynarki egipskiej, admirał Al Abbad Mansur. Upierał się, że są bezbronni od strony Morza Śródziemnego i Oceanu Indyjskiego. Sihoud odpowiadał, że to śmieszne, żeby potęga lądowa bała się ataku z morza, a próby stworzenia silnej floty obronnej i dorównania siłom morskim Zachodu są czymś głupim. Mansur zaproponował inne rozwiązanie - zakup trzech japońskich okrętów

podwodnych klasy Destiny. Sihoud początkowo stanowczo się nie zgadzał, ale w końcu wysłuchał wszystkich argumentów Mansura.

Mansur przekonywał go, że mały kraj uzbrojony w okręty podwodne może zmienić wynik wojny. Przypomniwał wojnę o Falklandy. Brytyjskie okręty podwodne powstrzymały wtedy flotę argentyńską, której dowództwo bało się ryzyka utraty okrętów nawodnych w konfrontacji z nieznanym zagrożeniem spod powierzchni morza. Powołał się też na sytuację podczas wojny w Zatoce Perskiej swobodny ruch okrętów Zachodu pozwolił koalicji na zmasowanie sił na lądzie. Mansur upierał się, że flota przybrzeżna wyposażona w okręty podwodne może obronić ZIF. Sihoud wreszcie ustąpił.

Japończycy zaprojektowali okręt podwodny klasy Destiny z myślą o eksporcie. Był skonstruowany z typową dalekowschodnią starannością i stosunkowo niedrogi jak na jednostkę pływającą tego rodzaju - kosztował tylko pięćdziesiąt pięć miliardów jenów. Trzy lata temu suma nie była wielka, choć równała się cenie całej eskadry myśliwców Firestar. Zdaniem Mansura, okręt podwodny umożliwiłby ZIF patrolowanie Morza Śródziemnego i obronę swojego terytorium przed atakiem z morza. Drugi taki okręt na Oceanie Indyjskim chroniłby ich od tamtej strony. Gdyby trzeci umieścić na Atlantyku, nie zagroziłaby im żadna grupa operacyjna lotniskowca. W tamtym czasie to miało sens i mimo znacznych kosztów pozwoliłoby ZIF na posiadanie floty na trzech morzach, choć miałyby zaledwie trzy okręty. Być może Mansur rozumował słusznie, ale zakup okrętów okazał się błędem.

Japończycy mieli problemy techniczne. Klasa Destiny była czymś zupełnie nowym i prawdopodobnie mogłaby zrewolucjonizować walkę podwodną. Ale dostawa dla ZIF opóźniła się o ponad dwa lata. Trwała już inwazja na Czad i Etiopię. Zanim pierwszy okręt podwodny był gotowy, Sihoud rozpoczął atak lądowy na Indie. Zachodnie floty nie wykonały jeszcze żadnych groźnych posunięć. Tymczasem Mansur popełniał inne, równie fatalne błędy - inwazja na Indie była pasmem niepowodzeń. Sihoud nie miał innego wyjścia - nakazał egzekucję Mansura. Szkolenie załogi pierwszego okrętu podwodnego klasy Destiny zajęło pół roku. Od chwili dostawy stał bezużytecznie w porcie Kassab na Morzu Śródziemnym. Wypływał co prawda w rejsy, ale miał wciąż problemy techniczne - jeden za drugim. Mansura zastąpił pułkownik Ahmed, bo Sihoud chciał mieć na tym stanowisku oficera sił powietrznych. Zraził się do marynarki, a potrzebował eksperta do spraw lotnictwa. Sihoud był ekspertem od wojsk lądowych i sam potrafił nimi dowodzić. Wiedział, że zachodnie media stawiają go w jednym rzędzie ze sławnymi generałami, porównują nawet z takimi wodzami, jak Aleksander Wielki, Napoleon czy król Hunów Atylla. Kiedy Ahmed objął stanowisko szefa sztabu, Sihoud wysłał go do portu Kassab na inspekcję okrętu klasy Destiny, nazwanego

przez admirała Mansura „Hegirą” na cześć świętej emigracji proroka. Ahmed oświadczył, że to cud techniki, ale bezużyteczny dla takiej potęgi lądowej jak Zjednoczony Islamski Front Boga. Sihoud wciąż pamiętał raport Ahmeda: „Amerykanie mają specjalne określenie na taką rzecz - biały słoń”. Ahmed wyraził opinię, że siły powietrzne potrafią dokonać tego samego, co taki okręt podwodny, nawet więcej. Sihoud zgodził się z tym i od tamtej pory okręt tkwił beczynnie w porcie.

I teraz, jak na ironię, Ahmed wspominał o „Hegirze” jako o środku transportu dla pocisków Scorpion. Dziwne, że oficer lotnictwa zrezygnował ze swoich ukochanych samolotów i wybrał taki okręt jak „Hegira”. Ale to miało zapewnić, że pociski dotrą do celu, zanim wrogowie zdążą się dowiedzieć o grożącym im niebezpieczeństwie. Tyle że wszystko potrwa o wiele za długo...

- Ile czasu zajmie dotarcie do miejsca, z którego wystrzelony pocisk doleci na pewno do Waszyngtonu?

- Generale, mam nadzieję, że wybaczy mi pan samodzielne działanie w tej sprawie, ale wydałem rozkaz, żeby na okręt załadowano komponenty pocisków, i wczoraj „Hegira” wyszła w morze. Produkcja trzech głowic bojowych trochę potrwa, być może tydzień lub dwa. Będą składane na okręcie podczas rejsu. Zanim „Hegira” dopłynie do punktu odpalenia pocisków, Scorpiony będą gotowe. Nawet gdybyśmy mieli dostarczyć je do Stanów Zjednoczonych samolotem, musielibyśmy czekać, aż zostaną zmontowane. Przepraszam za zwłokę, której nie da się uniknąć, ale za kilka tygodni ta wojna będzie wyglądała zupełnie inaczej.

Sihoud powoli pokiwał głową. Zastanawiał się, do czego doprowadziłyby następne tygodnie ciężkich walk lądowych. Z zadumy wyrwało go nadejście dyżurnego oficera taktycznego. Młody wojskowy miał zapadnięte policzki, a strach malujący się na jego twarzy szpecił ją jeszcze bardziej.

- Panie pułkowniku...

- O co chodzi, Massoud?

- Straciliśmy kontakt radiowy z patrolami wokół kompleksu. Ze wszystkimi. W jednym aparacie słyhać było dziwne zakłócenia, jakby ktoś chciał nadawać, potem zapadła cisza. Wysłałem pluton, żeby to sprawdzić, ale...

- Przejmij dowodzenie - rozkazał Ahmed. - Wyślij w teren wszystkie oddziały wartownicze, potem zabezpiecz wszystkie wejścia. Kalif i ja jedziemy na lotnisko. Wezwij Siódmą Gwardię Islamską na pozycje obronne wokół bunkra i czekaj na dalsze rozkazy.

Javelin numer 1, wystrzelony pierwszy z „Augusty” Daminskiego, leciał nad płaską pustynią i z każdą sekundą zbliżał się do celu. Ukształtowanie terenu zgadzało się z danymi. Ostatni namiar pozycji z gwiazd pokazał, że pocisk znajduje się już w odległości kilometra i siedmiuset metrów od bunkra - dzieliłoby go pięć sekund od celu, gdyby nadal leciał w linii prostej. Ale teraz przyszedł czas nato, aby wzbił się do góry. Stery się obróciły, zawór przepływu paliwa otworzył się do pełnego przelotu przepustnicy. Temperatura w komorach spalania wzrosła, turbina zwiększyła obroty, siła ciągu w dyszy wylotowej skoczyła do pełnych tysiąca trzystu sześćdziesięciu kilogramów. Pocisk wznosił się ku niebu, pustynia w dole oddalała się coraz bardziej, w górze widać było tylko gwiazdy. Wysokościomierz ciśnieniowy wskazywał odległość od ziemi. Pocisk przekroczył trzysta metrów, potem sześćset, w końcu zamieniwszy już szybkość na wysokość, zwolnił u szczytu toru wznoszenia i stery zażądały, żeby znurkował.

Komputer JavCalCor sprawdził status uzbrojenia ładunku wybuchowego. Detonator był gotów i czekał tylko na iskrę z zapalnika. Pocisk obrócił się w powietrzu i rozpoczął nurkowanie. Okno radaru poszukiwawczego dostrzegło najpierw horyzont, potem meczet w kompleksie głównego bunkra osiemset metrów niżej. Pocisk przyspieszył na pełnym ciągu w kierunku celu. Nabierał szybkości, meczet rósł w wizjerze dziobowym, aż przesłonił resztę widoku. Javelin przekroczył barierę dźwięku i osiągnął prędkość 1,1 macha, kiedy płyty na dziedzińcu meczetu zbliżyły się gwałtownie i uderzyły w stożek radarowy.

Sihoud poczuł, jak Ahmed chwyta go za ramię i ciągnie w stronę południowych schodów. Pułkownik zatrzymał się tylko na moment, żeby zabrać dwa karabinki automatyczne. Generał pobiegł za nim. Wiedział, co myśli Ahmed, i zaczął się zastanawiać, czy obawy jego doradcy nie są słuszne, choć w duchu nadal sprzeciwiał się takiemu nagłemu opuszczeniu bunkra. Ale ostatecznie Ahmed miał rację, że lepiej być na zewnątrz niż w podziemnym schronie.

Dwaj mężczyźni wspięli się szybko po stopniach. Ahmed wręczył Sihoudowi karabinek. Na ostatnim podejściu przed wyjściem na dziedziniec meczetu znajdowały się metalowe drzwi do tunelu technicznego. Ahmed wystukał na klawiaturze kod, odblokował zamek i wciągnął Sihouda do środka. Dotarli przez brudny magazyn do następnych drzwi. Ahmed odryglował je i wepchnął generała do ciasnego, niemającego nawet dwóch metrów średnicy tunelu z szorstkiego betonu. Wypełniały go rury wodociągowe i kanalizacyjne, kable elektryczne, druty telefoniczne i przewody wentylacyjne - człowiek ledwo się tu mieścił w półprzysiadzie. Sihoud ruszył pospiesznie tunelem, czuł się jak cholerny tchórz. Po przejściu dwudziestu metrów powziął decyzję i szarpnął Ahmeda za rękaw. Pułkownik przystanął i

usłyszał od Sihouda, że mają zawrócić do centrum dowodzenia. Nie było to odpowiednie miejsce na klótnię z generałem, ale Ahmed nie miał wyboru.

Następne milisekundy upłynęły Javelinowi numer 1 bardzo szybko. Pocisk niemal zakończył misję. Okno radaru poszukiwawczego zmiażdżyła siła uderzenia w nawierzchnię dziedzińca meczetu, ale umieszczona za szybą pancerna osłona z uranu ochroniła komputer JavCalCor i przebiła podłogę meczetu. Energia kinetyczna pocisku wystarczyła do przedziurawienia warstwy ołowiu, a potem wzmocnionego betonu. Po drodze pocisk znacznie wytracił szybkość, ale miał jeszcze na tyle duży moment pędu, by przeniknąć przez pierwsze i drugie pół-piętro, kwaterę Sihouda i sufit centrum dowodzenia taktycznego. Zegar pocisku, uruchomiony w chwili uderzenia w dziedziniec powyżej, prawidłowo przewidział czas dotarcia Javelina do czwartego półpiętra. W oczekiwaniu na to, włączył zapalnik dziesięć metrów wyżej, kiedy pocisk przedzierał się jeszcze przez piętro z kwaterami starszych oficerów. Od zapalnika zajął się ładunek pośredni, który rozpoczął detonację materiału wybuchowego, gdy tylko pocisk wylądował w centrum dowodzenia.

Tona materiału wybuchowego PlasticPac - opatentowanej, tajnej mieszanki o dużej spoistości i ponadsiemnastokrotnej sile eksplozji tej samej ilości trotylu - wyzwoliła energię chemiczną i wybuch skierowany na zewnątrz dosięgnął konsoli i ludzi w pomieszczeniu. Betonowe ściany podziemnego centrum dowodzenia były zabezpieczone sprasowanym piaskiem. Eksplozja w zamkniętej przestrzeni rozrzucała zawartość sali po wzmocnionych ścianach. Fala uderzeniowa zadziałała jak młot, otoczone piaskiem mury zmieniły się w kowadło. Siła wybuchu mogła ująć tylko w górę. Rozerwała strop i podłogi pięter powyżej.

Javelin numer I był pierwszym pociskiem, który przybył na miejsce skoordynowanego ataku. Następne cztery miały zaprogramowany ten sam czas detonacji. Spóźniły się o milisekundy, ale ich eksplozje dopełniły zniszczeń spowodowanych pierwszą. Porozrywana zawartość bunkra została wyrzucona pod niebo w czarno-pomarańczowym grzybie śmieci zmieszanych z ludzkimi szczątkami.

Pięć sekund po uderzeniu pierwszego Javelina w podłogę meczetu z centrum dowodzenia pozostało niewiele - tylko fruujące odłamki, dym i ogień wewnątrz dziury w ziemi, gdzie kiedyś był bunkier.

Deszcz szczątków spadał z nieba na piasek wokół czarnego od dymu dołu przez ponad dwie minuty. Kawalki betonu i metalu sypały się na ziemię niemal bezdźwięcznie. Jeśli sprawiały jakiś hałas, to ginął on w huku pomarańczowego grzyba, który wyrastał kilkaset metrów ponad powierzchnię pustyni.

Jack Morris bardziej poczuł, niż zobaczył detonacje pocisków samo-sterujących. Po uderzeniu pierwszego Javelina w podłogę meczetu najpierw lekko zadrżała ziemia. Kiedy pocisk eksplodował poniżej, pustynia się zatrzęsała. Odgłos wybuchu stłumiła początkowo podziemna warstwa betonu, ale gdy cztery następne pociski trafiły w bunkier, z dziury wybitej w ziemi doszedł huk potężnych eksplozji. Minaret rozpadł się chyba na tysiąc kawałków, które poszybowały powoli w ciemność. Pomarańczowy, zniekształcony grzyb wyrósł na wysokość kilkuset metrów i bezksiężycowa noc zamieniła się w późne popołudnie. Morris przywarł do ziemi, gdy wokół niego zaczęły spadać szczątki bunkra, głównie deszcz piasku i cementowego pyłu. Kiedy ten niezwykle deszcz ustał, Morris spojrział w górę i gwizdnął, ale był tak ogłuszony, że nawet nie usłyszał wydanego dźwięku, którym wyraził swoje niedowierzanie.

Admirałowie, wysyłając Javeliny, przeliczyli się, pomyślał. Z nowym materiałem wybuchowym pociski są przesadnie skuteczne. Leżąc na piaskowym pagórku, Morris niewiele mógł zobaczyć, ale wyglądało na to, że z bunkra nic nie zostało. Pomyśl, że ktoś przeżyje, należało uznać za mrzonkę biurokratów z Pentagonu. Morris wstał i dał swoim ludziom sygnał do wejścia. Pożary wywołane eksplozją dogasały, z krateru pozostałego po bunkrze kwatery głównej Połączonych Sił Zbrojnych całego cholernego ZIF wciąż buchał dym. W słuchawce radia Morrisa trzeszczały krótkie meldunki dowódców plutonów SEAL, otaczających bunkier. Potwierdzały podejrzenia Morrisa, że nikt się nie uratował i nie będzie kogo wziąć żywcem. Nie uda się przesłuchać generała Sihouda. Morris zbliżył się do dziury w ziemi, zajrzał do środka, pokiwał głową i dał rozkaz do odwrotu.

Ahmed jeszcze nie zdążył wypowiedzieć pierwszego słowa, żeby przekonać Sihouda, że trzeba iść dalej, gdy tunel nagle odwrócił się do góry nogami. Ściany eksplodowały i droga ucieczki zamieniła się w grobowiec bez powietrza.

Przez następne pięć minut w zawałonym tunelu grzmiały huki wybuchów, potem wszystko ucichło.

Cała ta podróż tylko po to, pomyślał gorzko Morris, żeby zobaczyć, jak kilka pocisków po milion dolarów za sztukę zawała robotę, którą SEAL potrafiliby wykonać precyzyjnie. On i jego komandosi wyszli z kompleksu bunkra przez te same dziury w ogrodzeniu, które wcześniej wycięli. Dobiegli do DPV-ów w tempie szesnastu kilometrów na godzinę, odpalili silniki i odjechali sześć i pół kilometra dalej na północny wschód. Trzy buggy odmówiły posłuszeństwa - piasek w turbosprężarkach, domyślił się Morris - więc kilka pojazdów trzeba było obciążyć dodatkowymi pasażerami. Kiedy odezwał się jego odbiornik nawigacji satelitarnej, Morris wydał rozkaz pozostawienia pojazdów. Zaparkowali buggy w

trzech rzędach po siedem. Każdy, kto wysiadał z DPV-a jako ostatni, wyciągał zawleczkę urządzenia pod fotelem. Komandosi przebiegli sto metrów w kierunku północnym i padli na piasek. Kilka sekund później w pojazdach zadziałały mechanizmy niszczące i wybuchy zamieniły DPV-y w dymiące wraki. Błyski eksplozji naprowadziły na kurs samolot odbiorczy.

Morris czekał sfrustrowany. Wiedział, że zaplanowano późniejszy odbiór, bo zakładano, że akcja w meczecie potrwa dłużej. Ale nie cierpiał czekać na kierowców latających autobusów, zwłaszcza tych z sił powietrznych. Wydawało mu się, że minęło dwadzieścia minut - choć naprawdę upłynęło pięć - gdy usłyszał odgłosy rotorów. W górze pojawiły się cztery Ospreye V-22 z obrotowymi silnikami. Zatoczyły krąg, ustawiły wirniki poziomo i usiadły pionowo na piasku. Morris i jego ludzie wdrapali się do dziwacznych pół helikopterów, pół transportowców i zapięli pasy. Samolot Morrisa uniósł się, obrócił rotory pionowo i zamienił się w szybki turbośmigłowiec transportowy. Kiedy odlatywał na południe w kierunku okupowanego południowego Iranu, Morris po raz ostatni spojrzał na płonące szczątki meczetu. Nie było mowy, żeby ktoś mógł przeżyć eksplozję. Ale Morris miał nadzieję, że załaduje na pokład V-22 trupa Sihouda jako zdobycz wojenną. No cóż, powiedział sobie, każda misja w jakiś sposób się pieprzy. Tym razem była za duża siła ognia.

Wyciągnął się na siedzeniu i choć leciał teraz zaledwie trzydzieści metrów nad terytorium ZIF i był dopiero kilka minut po akcji, zapadł w głęboki sen.

3

Chah Bahar było spokojnym miasteczkiem nadmorskim. Ahmed pojechał na przepustkę do domu, żeby zobaczyć się z żoną i czteroletnim synkiem Nadharem. Szedł z rodziną ulicą, grzało słońce, za kilka godzin musiał odlecieć z powrotem do Aszhabadu. Nagle z południa dobiegł odgłos silników odrzutowych, zbyt potężnych na samoloty ZIF. Uszy Ahmeda wypełnił dźwięk bombowców Stealth Koalicji Zachodniej, gwizd spadających bomb kasetonowych, dziwnie stłumione kasznięcie żony, gdy trafił ją odłamek. Ahmed poczuł, że biegnie z ciałem Nadhara w ramionach. Kiedy uderzyła pierwsza bomba, obaj padli na ziemię. Ahmed leżał na górze, wokół nich eksplodowały bomby. W uszach dzwoniło mu od huku nisko przelatującego czarnego bombowca. Skulił się, gdy na ziemię spadł wybuchowy pojemnik paliwowo-powietrzny i nastąpiła detonacja. Uderzył w niego podmuch eksplozji, poczuł trafienie odłamkiem, potem pożar wyssał powietrze z nieba. Stracił oddech, był pewien, że tylko sekundy dzielią go od śmierci. Ale w końcu płomienie zgasły i zdołał

zacerpnąć powietrza. Jeszcze zanim to zobaczył, wyczuł, że jego synek został także trafiony odłamkiem. I pułkownik Rakish Ahmed, głównodowodzący Połączonymi Siłami Zbrojnymi Zjednoczonego Islamskiego Frontu Boga, szef sztabu generała i kalifa Mohammeda al-Sihouda, mógł tylko patrzeć bezsilnie, jak umiera jego dziecko. Potem nadleciała ostatnia fala bombowców Stealth z brzuchami wypełnionymi następną partią bomb kasetonowych. Ahmed musiał zostawić ciało Nadhara, uciekać i ukryć się. Jego gniew i smutek połączyły się w żądę odwetu. Nie zdawał sobie sprawy, że podobne osobiste tragedie przeżyły tysiące jego żołnierzy. Nigdy nie przyszło mu to do głowy.

Uwięziony w zniszczonym tunelu technicznym bunkra kwatery głównej, Ahmed miał mundur mokry od potu, waliło mu serce, ciężko dyszał. Obraz dymiących ruin Chah Bahar zniknął w wirującej burzy kropek - żółtych, czerwonych i niebieskich.

Potrząsnął głową i powoli zdał sobie sprawę, że stracił przytomność. Nie mógł się uwolnić od koszmaru Chah Bahar nawet wtedy, gdy zwałił go z nóg nieprzyjacielski atak na bunkier. Usłyszał szum, kapanie, odgłosy wpadającego i uchodzącego powietrza. Dźwięki nasilały się, ciemną przestrzeń wypełniły odgłosy dławienia się, rżenia i wymiotów. Spróbował się poruszyć. Nie udało się. Poczł, że coś na nim leży, przygniata go. Człł coś śliskiego i jakąś twardą powierzchnię. Płyn. Krew lub wodę.

Znów spróbował się poruszyć. Najpierw ramię. Był zaskoczony, że okazało się posłuszne. Drugie ramię, potem nogi. Usiłował się podnieść, ale był przygwożdżony. Usiłował się obrócić i poczuł między żebrami poszarpany kawałek stali. Obrócił się w drugą stronę i ucisk zelżał. Mógł już oddychać. Wciąż panowała ciemność, ale usłyszał nowy dźwięk - coś tryskało, lało się.

Zaatakowano bunkier. Tak, jak przewidział. Tunel, który według planu miał stanowić drogę ucieczki w sytuacji najwyższego zagrożenia, częściowo się zawalił. Eksplozje rozniosły górną połowę betonowej rury w drobny mak. Na podłodze tunelu walały się wyrwane kawałki betonu, piasek, ziemia, druty i kable. Ani śladu Sihouda.

Wtedy zrozumiał... Sihoud nie żyje, a wraz z nim umarły nadzieje trzydziestu krajów i pół miliarda ludzi. W ciągu minut los Zjednoczonego Islamskiego Frontu został przesądzony. Tak, jak obawiał się Ahmed, atak na bunkier był egzekucją. Bez Mohammeda al-Sihouda wszystko przepadło. Ahmed usłyszał własny głos wołający kalifa.

Wkrótce jego wołanie zagłuszył inny dźwięk. To, co wcześniej przypominało słaby odgłos tryskającej gdzieś i leżącej się cieczy czy może cichy odgłos deszczu, przeszło teraz w głośny szum. Rura wodna, zasilająca kiedyś bunkier, pękła i zalewała ruiny tunelu technicznego. Twarz Ahmeda znalazła się pod wodą. Przekręcił się gwałtownie. Ten sam

kawałek stali dźgnął go między żebra. Ahmed pomyślał, że woli być zakłuty na śmierć stałą zbrojeniową, tkwiącą w kawałku betonu, który go przygniatał, niż utonąć w powodzi z rury wodnej. Stal wbiła mu się w ciało, przecięła skórę na żebrach, rozerwała mięsień, zazgrzytała o kość i omal nie przedziurawiła płuca pod kością. W końcu jego klatka piersiowa straciła kontakt z metalem i zetknęła się z gładką powierzchnią kawałka betonu. Tymczasem wzbierająca woda przykryła go całego. Ahmed zaczął się wić i poczuł, że szoruje plecami o betonowy blok. Był przygotowany na śmierć, ale jakąś cząstką umysłu uświadomił sobie, że się uwolnił. Poruszał gwałtownie nogami, odpychał się rękami od betonu i jakoś zdołał częściowo wstać.

Wynurzył głowę z wody, otoczyła go wilgotna ciemność na wpeł zawałonego tunelu. Woda sięgała mu do pasa. Musiał znaleźć Sihouda. Musiał powstrzymać potop. Musiał wydostać się wraz z generałem z tunelu i zabrać go w bezpieczne miejsce. Kiedy szukał Sihouda w przybierającej wodzie, zdał sobie sprawę, że nie wystarczy po prostu dotrzeć z kalifem do innego punktu dowodzenia, do jakiejś kompanii walczącej na froncie. To, co się stało, będzie się powtarzać, dopóki wróg nie osiągnie celu - nie zabije Sihouda i nie rozgromi Unii. Trzeba znaleźć takie miejsce, gdzie koalicyjni komandosi i zabójcy nie dosięgną kalifa.

Przybierająca w tunelu woda coś niejasno przypominała Ahmedowi, ale na razie nie był pewien, co. A potem nagle wszystko stało się oczywiste. Sihoud musi wyemigrować jak prorok Mahomet do Medyny prawie czternaście wieków temu. Emigrację proroka nazwano *hegira* i tak też będzie nazywany pobyt poza krajem Sihouda. I jak prorok Mahomet, Sihoud powróci w chwale. Nie konno i z mieczem, lecz z niewidzialnym dla radaru ponaddzwiękowym pociskiem samosterującym wysokiego pułapu, wypełnionym radioaktywnym plutonem.

Po pięciu krokach w głąb tunelu Ahmed potknął się o coś. Sięgnął w dół, chwycił to i pociągnął z całej siły. Sihoud był uwięziony pod kawałkiem metalu, ale metal dał się łatwo usunąć. Głowa generała wynurzyła się z wody. Nie oddychał. Ahmed odchylił mu głowę do tyłu i zaczął robić sztuczne oddychanie metodą usta-usta.

Woda w tunelu podnosiła się. Ahmed czuł, że betonowy tunel się przesuwa - woda podmywała sprasowany piasek. Nadal wdmuchiwał Si-houdowi powietrze do ust. Poziom wody wciąż rósł. Jak długo jeszcze powinienem próbować reanimować Sihouda, kiedy trzeba będzie dać za wygraną i próbować uratować siebie, pomyślał nagle. Ale potem pomyślał, że brak decyzji to w istocie podjęcie decyzji. Bez Sihouda nie ma żadnej nadziei dla ZIF i dla niego samego. Po stracie rodziny, śmierci Sihouda i przegranej wojnie nie będzie miał po co żyć. Nagle Sihoud zeszywniał i zaczął wypluwać wodę.

Dawno minęła trzecia nad ranem i działo się coś bardzo niedobrego. Lotnik Abdul Djaliz wpatrywał się zmrużonymi oczami w horyzont. Dym w oddali rozwiewał się, płomienie dogasały, ale wciąż były widoczne w słabym blasku kilku sodowych lamp łukowych oświetlających asfalt aszhabadzkiej bazy lotniczej Sunni.

Mniej więcej czterdzieści minut temu z bunkra kwatery głównej przyszedł telefoniczny rozkaz, żeby wyciągnąć z hangaru najbardziej sprawny myśliwiec Firestar, rozgrzać go i napełnić ciekłym helem zbiornik w głowicy broni elektronicznej. Zajęło to zaledwie piętnaście minut. Smukły odrzutowiec o skośnych skrzydłach stał na płycie, turbiny mruczały łagodnie, w gorącym powietrzu za dyszami wylotowymi falowały lekko światła wzdłuż pasa startowego. Kopuła kabiny była podniesiona, do kokpitu przystawiono drabinę. Po raz piąty w ciągu pół godziny Djaliz wspiął się na jej szczyt, spojrzął na konsolę pilota i przeprowadził piątą z kolei komputerową kontrolę przedstartową. Wyświetlacz ciekłokrystaliczny pokazywał ostatnie dane. Na ekranie pojawiały się obrazy graficzne i wykresy, profile temperatury, wartości ciśnienia oleju i status układu hydraulicznego. Wszystko w normie. Djaliz opuścił się z powrotem na ziemię i ponownie sprawdził głowicę podwieszoną pod szpiczastym dziobem dużego odrzutowca broni elektronicznej, którą napełnił schłodzonym ciekłym helem. Rozmiary niezgrabnej głowicy szpeciły smukłą opływową linię pięknego samolotu. Głowica stanowiła nowość, wprowadzono ją przy ostatniej modyfikacji Firestara. Ten egzemplarz dopiero co wyjęto ze skrzyni dostarczonej z Osaki. Djaliz poczuł przez moment niepokój i znów wspiął się po drabince. Tym razem usiadł w kokpicie i odłożył hełm lotniczy pilota na konsolę obsługi silników. Wyświetlił menu dla głowicy broni elektronicznej i wybrał funkcję autodiagnostyki.

Zaczekał chwilę, aż komputer sprawdzi moc wejściową i odczyty z głowicy oraz przetestuje obwody zasilające wielkich nadajników ukrytych wewnątrz. Wyświetlacz pokazał, że głowica jest gotowa do walki powietrznej, zdolna do spalania elektroniki w każdym wrogim samolocie, który zbliży się do firestara. Djaliz sprawdził czas i zastanowił się, czy nie powinien zawiadomić przez radio kwatery głównej, że marnuje paliwo odrzutowca i że do tej chwili nikt się nie pokazał, żeby wyruszyć w jakąś tajemniczą misję.

Młody lotnik wstał, wyszedł z kokpitu i opadła mu szczeka - zobaczył pędzący U-10, który staranował kontrolną bramkę bezpieczeństwa. Djaliz zeskoczył na ziemię i wyciągnął pistolet z kabury, chcąc zatrzymać intruza. Samochód podjechał do myśliwca i zaparkował przy końcu prawego skrzydła, jakby kierowca nie chciał blokować firestarowi drogi startowej. Djaliz wycelował automatyczny pistolet w kierowcę, po czym ostro krzyknął na niego, ale mężczyzna zdawał się go ignorować, otworzył drzwi, wysiadł i okrążył przód samochodu.

Djaliz patrzył ponad lufą na... pułkownika Ahmeda, głównodowodzącego Połączonymi Siłami Zbrojnymi. Szybko schował broń do kabury. Ahmed, nie zwracając na niego uwagi, podbiegł do drzwi pasażera. Kiedy je otworzył, Djaliz zobaczył samego kalifa Mohammeda al-Sihouda. Miał przynajmniej tyle przytomności umysłu, że wyprężył się na baczność i utkwiał wzrok w przestrzeni. Ale kątem oka dostrzegł, że generał jest w kiepskim stanie.

- Pomóż mi, lotniku - rozkazał Ahmed.

Dwaj mężczyźni chwycili kalifa pod ramiona. Wydawał się przytomny, lecz słaby, oszołomiony.

- Co się stało, panie pułkowniku?

Ahmed, wciąż wlokąc generała do samolotu, pokręcił tylko głową.

- Wsadź go na tylne siedzenie - powiedział przy drabinie. - Generale, może pan wejść na górę?

- Chyba tak.

Lotnik pomógł kalifowi wspiąć się po stromych szczeblach.

Ahmed wrócił do samochodu, znalazł klipbord ze skrawkiem papieru i coś nabazgrał. Przeczytał to, spojrzął na zegarek i znów zaczął pisać. W końcu złożył kartkę na pół, potem raz jeszcze. Pobiegł do samolotu. Djaliz umieścił już Sihouda na tylnym siedzeniu i zapiął mu pasy, włożył generałowi hełm lotniczy i przypiął maskę tlenową. Zszedł po drabinie i spojrzął na pułkownika Ahmeda.

Pułkownik przyglądał się lotnikowi przez chwilę, potem wręczył mu kartkę.

- Wiesz, gdzie jest baza łączności Quchara?

- Dwadzieścia kilometrów na północ drogą numer 2, panie pułkowniku.

- Weź U-10 i jedź tam. Gaz do dechy. Niech nadadzą to natychmiast na VLF, na bardzo niskiej częstotliwości. Zapamiętasz? Bardzo niska częstotliwość.

- Czy wykonają moje polecenie, panie pułkowniku? Jestem zwykłym lotnikiem...

Ahmed sięgnął pod bluzę, szarpnął i zerwał z szyi łańcuszek. Wręczył lotnikowi swój identyfikator z kodem kreskowym.

- Daj im to. Jeśli będą mieli wątpliwości, zawiadom mnie na dyżurnej częstotliwości UHF dla lotnictwa. Wszystko zrozumiałeś?

Djaliz stanął na baczność i zasalutował.

Ahmed był już na czwartym szczeblu drabinki. Djaliz patrzył, jak pułkownik wkłada hełm lotniczy, opuszcza kopułę kabiny i macha do niego. Djaliz podbiegł do blokad kół, odciągnął je i uciekł sprzed samolotu. Kiedy spojrzął w górę, Ahmed już rozkręcił turbiny do

połowy ciągu i kołował z hukiem na kraniec pasa startowego. Niecałą minutę później pułkownik dał pełną moc i silniki zagrzmiały na dopalaczach. Rozbieg startowy trwał tylko sekundy. Dziób firestara skierował się ku niebu, myśliwiec oderwał się od ziemi i uniósł niemal pionowo w powietrze. Po chwili Djaliz widział już tylko dwa płomienie z dysz wylotowych, potem i one zniknęły w ciemności.

Djaliz jakby ocknął się ze snu. Kartka była mokra od jego spoconych dłoni. Rozłożył ją i przeczytał treść nabazgraną pospiesznie przez pułkownika:

Do okrętu podwodnego Połączonych Sił Morskich „Hegira”. Z rozkazu kalifa wynurzyć się o świcie na pozycji 35 stopni północ/30 stopni wschód i przygotować do zabrania dwóch rozbitków. Bóg jest wielki. Od pułkownika R. Achmeda.

Czwartek, 26 grudnia

Wschodni basen Morza Śródziemnego

Spokojne wody Morza Śródziemnego otulał mrok przedświt, w słabym blasku gwiazd ledwo dawało się dostrzec granicę między ciemną morską powierzchnią i czarnym niebem na horyzoncie. Za trzy godziny woda miała się stać szafirowoniebieska, lśniąca, piękna i przejrzysta, ale teraz była czarna i odpychająca. Morze wypełniały dźwięki - w centralnym i zachodnim basenie zawsze panował duży ruch statków handlowych, nawet teraz, gdy kraje leżące na wybrzeżu północnym prowadziły wojnę z tymi z wybrzeża południowego. Wojna wręcz przyspieszyła przepływ frachtowców i tankowców przez Gibraltar i na przestrzeni wielu mil morskich rozbrzmiewało dudnienie ich kawitujących śrub. Odgłosy setek statków przeplatały się z odgłosami wydawanymi przez morskie stworzenia, zamieszkujące ciepłe wody. Pod powierzchnią rozchodziły się fale dźwiękowe wywoływane gaworzeniem delfinów, zawodzeniem wielorybów.

Wśród tych hałasów, sto metrów pod wodą, przez ławicę krewetek przepłynął milczący stwór. Intruz miał długą i smukłą sylwetkę, wydłużony, elipsoidalny nos, cylindryczny tułów przypominający cygaro, średnicę dwunastu metrów, długość siedemdziesięciu pięciu metrów i zwężał się ku tyłowi. Nad środkiem cygarowatego tułowia biegła wysoka płetwa. Jej tył opadał pod kątem w dół i wyglądała jak płetwa grzbietowa egzotycznej ryby. Na zwężonym końcu cielska znajdowały się płetwy ogonowe - stery rufowe przymocowane pod kątem do kadłuba, tworzące literę X. Podwodny obiekt, sunąc cicho przez głębinę, płynął na wschód.

Milczący kształt był okrętem podwodnym „Hegira” Połączonych Sił Morskich.

Wewnątrz gładkiej stalowej obudowy zewnętrznej mieściło się dwadzieścia jeden wyrzutni torped, ciasny kadłub ciśnieniowy i ogromny silnik na prąd zmienny w osłonie olejowej, połączony z wirnikiem napędowym wielkości połowy średnicy kadłuba. Cylindryczny kadłub ciśnieniowy wypełniał połowę długości okrętu. Zaczynał się tuż przed kioskiem w kształcie płetwy i kończył pięć metrów przed iksowatym sterem rufowym. Cylinder miał tylko trzydzieści osiem metrów długości, z czego jedynie pierwszych trzynaście metrów zajmowali ludzie. Resztę wypełniały modułowe przedziały maszynowe. W przedziale rufowym mieścił się akumulator i silnik dieslowski, w dwóch modułach przed nim - reaktor jądrowy i instalacja parowa. Gdy okręt był zanurzony, nie można było wchodzić do żadnego z modułów rufowych. Pracą maszyn sterował komputer.

Moduł dziobowy, przeznaczony dla załogi, był modułem dowodzenia i miał trzy poziomy. Na dolnym pokładzie mieściły się głównie urządzenia elektroniczne systemu nazywanego Drugim Kapitanem, ale pod lewą przegrodą ciągnął się rząd ciasnych koi. Przestrzeń pokładu środkowego była podzielona na cztery kajuty, mesę, małą kuchnię okrętową i toaletę. Pokład górny zajmowała rozległa, otwarta sterownia, kabina komputerowa, kabina radiowa i dwie dodatkowe kabiny znajdujące się w eliptycznej części dziobowej kadłuba ciśnieniowego. Mniejsza kabina dziobowa była kajutą pierwszego oficera, większa - kajutą kapitańską. Miała kształt litery L; w rogu znajdowała się wspólna toaleta dla kapitana i pierwszego oficera.

U szczytu stołu konferencyjnego w kajucie kapitańskiej siedział mężczyzna. Przyglądał się ze zmarszczonym czołem wielkim planom okrętu rozłożonym na blacie. Rozwinięte rysunki przytrzymywały ustawione na ich rogach talerze i szklanki. Mężczyzna był w średnim wieku, ciemnoskóry i siwy. Szczupła twarz o władczych rysach zdradzała w tej chwili wyraźną frustrację.

Komodor Abbas Alai Sharef spróbował kęs jedzenia. Było bez smaku, podobnie jak poprzednie posiłki tego dnia. Odsunął talerz, skrzyżował ramiona i spojrzał w dół na plany. W końcu pochylił się nad stołem i wpatrzył w pionowy przekrój okrętu. Szukał uparcie rozwiązania dręczących go problemów, aż w końcu zaczęła go boleć głowa. Czekał na zadanie wydawało się niewykonalne.

Przeciągnął się i potoczył wzrokiem wokół siebie. Ta kabina nie była dlań ciasną kłitką, lecz azylem przed trudnymi sprawami. Pomieszczenie w kształcie litery L miało niewiele ponad pięć metrów długości. Krzywizna kadłuba sprawiała, że tylko część lewej strony kajuty nadawała się do użytku. Były tam koja i biurko. Na końcu blatu stał moduł komputerowy z dwoma ekranami i klawiaturą. Stanowił część systemu Drugi Kapitan, który

nadzorował funkcjonowanie całego zautomatyzowanego okrętu podwodnego; Sharef miał do niego ambiwalentny stosunek. Lampa z zielonym kloszem obok konsoli Drugiego Kapitana rzucała ciepłe światło na papiery rozłożone na dużym drewnianym blacie. Na tylnej ścianie kajuty wisiał perski kilim o skomplikowanych wzorach, które przyciągały wzrok. Otrzymał go w prezencie od swej matki w tym samym roku, kiedy umarła. Patrzył teraz przez chwilę na kilim i szukał celowego błędu w wykonaniu, przypominającego, że ludzka doskonałość jest obrazą dla Allaha. Ale jak zwykle nie znalazł. Pod kilimem stał stół konferencyjny dla ośmiu osób, który zajmował znaczną część pomieszczenia. Nad krańcem stołu, na ścianie biegnącej wzdłuż osi okrętu, wisiał groźny portret Mohammeda al-Sihouda. Sharef ledwo go zauważył; tylko na moment zmarszczył ciemne czoło. Prawy przedni róg kajuty odgradzały ściany otaczające wspólną toaletę. Prowadziły tam drzwi z kajuty kapitańskiej i kajuty pierwszego oficera.

Sharef wrócił do planów okrętu. Próbował od nowa znaleźć rozwiązanie i ponownie doszedł do wniosku, że misja jest niewykonalna. Przeczesał palcami siwe, niemal srebrzyste włosy. Po kruczo czarnej czuprynie sprzed pięciu lat nie pozostało prawie śladu. Posiwiwały mu również wąsy. Sharef miał czterdzieści pięć lat, wcale niewiele jak na jednego z najwyższych rangą oficerów w Połączonych Siłach Morskich. Był średniego wzrostu, ale dzięki wojskowej postawie i muskularnej budowie wydawał się wyższy. Przez jego policzek i szyję biegła długa blizna jak po cięciu szabłą - pamiątka z czasów służby w marynarce irańskiej. Został ranny, gdy nadbudowa fregaty Mark 5 „Sahand” eksplodowała po trafieniu amerykańskim pociskiem raketowym. W Japonii poznał chirurga, który zaproponował mu zatuszowanie blizny, ale nie skorzystał z tej oferty. Blizna przypominała mu o poległych kolegach i o tych czasach, kiedy naiwnie sądził, że jest niezwyciężony. Zatopienie „Sahanda” było dla niego granicą między młodością i cynicznym wiekiem średnim, który zaczął się dlań w trzydziestym szóstym roku jego życia.

Sharef zazwyczaj zachowywał spokój, nawet w sytuacjach krytycznych. Przypuszczał, że być może głównie z tego powodu mianowano go dowódcą okrętu flagowego Połączonych Sił Morskich. Szybko się uczył i potrafił natychmiast ocenić sytuację taktyczną, choć zdawał się mieć ten dar tylko w sprawach morskich. Kiedy chodziło o zrozumienie ludzi, często się gubił, a z kobietami w ogóle sobie nie radził. Czasami zastanawiał się, czy nie dlatego w młodości postanowił zostać marynarzem. Nie z miłości do morza i przygód, lecz z chęci ucieczki przed nakazanym zwyczajowo normalnym życiem z żoną i dziećmi.

Zwykle miał pełną kontrolę nad swym umysłem, ale teraz, chodząc po kajucie, wrócił myślami do kobiety, którą kiedyś znał. Cofnął się we wspomnieniach wiele lat, aż do roku

1978, kiedy studiował w Oksfordzie przed rewolucją irańską. W Anglii czuł się skrępowany. Wiedział, że ciemna skóra i ciężki akcent skazują go na izolację. Ale poznał dziewczynę, która dała mu jasno do zrozumienia, że interesuje się nim. Zachodnie kobiety... Takie bezpośrednie i podniecające... Czuł się bezbronny, kierowała nim własna młodość, uległ swobodnym obyczajom panującym w obcym kraju. Zakazy islamu były daleko. Ale kiedy nastał ajatollah i wraz z nim rewolucja, Sharef musiał dokonać wyboru między piękną Brytyjką - i nowym światem, który mu pokazała - a swoją ojczyznę i kulturę. Wrócił do domu - świadome poczucie obowiązku okazało się silniejsze niż miłość do Pameli - i choć nadal uważał swoją decyzję za słuszną, wciąż czuł pustkę. Od czasu gdy otrzymał list od Pameli, w którym napisała mu, że wyszła za mąż i przenosi się do Stanów Zjednoczonych, już nigdy jej nie zobaczył ani nie dostał od niej żadnej wiadomości.

Sharef przez chwilę stał przy przedniej przegrodzie kajuty, gdzie wisiały zdjęcia jego poprzednich okrętów. Z lewej strony widniała fregata marynarki irańskiej „Alvand”, jego pierwsza jednostka pływająca. Służył na niej jeszcze przed studiami w Oksfordzie, poznaniem Pameli i rewolucją. Obok wisiała fotografia niszczyciela „Damavand”. Przez cztery lata po rewolucji Sharef był nawigatorem na tym okręcie. Pod rządami ajatollaha wszystko było takie niepewne, że „Damavand” rzadko wypływał z portu. Dalej wisiało zdjęcie fregaty klasy Vosper Mark 5 „Sahand”. W wieku trzydziestu dwóch lat Sharef dostał tam przydział na pierwszego oficera. Trzy lata później, w kwietniu 1988 roku, „Sahand” spoczął na dnie Zatoki Perskiej, rozerwany na kawałki podczas ataku amerykańskiej marynarki wojennej Ronald Reagana, która zatopiła wówczas połowę floty irańskiej. Sharef uważał to za przesadną reakcję na zatrzymywanie przez Irańczyków statków handlowych, transportujących do Zatoki Perskiej sprzęt wojskowy dla Iraku. Świat szybko zapomniał o incydencie, bo wydarzenie miało miejsce na morzu, z dala od kamer telewizyjnych, ale Sharef nadal o nim pamiętał. Wciąż zastanawiał się, dlaczego przeżył zatopienie „Sahanda”.

W wieku trzydziestu pięciu lat objął dowództwo fregaty klasy Mark 5 „Alborz”. Wspominał tamte trzy lata z nostalgią. Po kilku latach służby lądowej w połączonym sztabie Zjednoczonego Islamskiego Frontu stwierdził, że to nie dla niego. ZIF zakupił rosyjski okręt podwodny klasy Kilo „K-102” z napędem dieslowsko-elektrycznym. Jego zdjęcie wisiało jako następne. Sharef, weteran floty nawodnej, przewyższał rangą kapitana „K-102”, gdy zameldował się na pokładzie jako pierwszy oficer. Szybko nauczył się służby podwodnej i dwa lata później (przed kapitanem „K-102”) został wybrany na dowódcę dawnego rosyjskiego atomowego okrętu podwodnego Victor III „Tabarzin”. Zdjęcie „Tabarzina” zrobiono z góry, kiedy stał w suchym doku. Zgrabną, smukłą sylwetkę okrętu szpeciły

rusztowania, pomosty i platformy remontowe. Sharefowi podobało się pierwsze doświadczenie z napędem jądrowym, podziwiał jego przydatność do walki podwodnej. Tura dowodzenia poszła mu tak dobrze, że Połączone Siły Morskie wysłały go do Japonii po okręt podwodny klasy Destiny „Hegira”.

Zdjęcie „Hegiry” pokazywało okręt płynący na powierzchni z pełną szybkością. Fala dziobowa zalewała krawędź czołową kiosku w kształcie płetwy, na wysokim maszcie łopotała bandera ZIF. Można było rozpoznać Sharefa, stojącego na mostku na szczycie kiosku. Prowadził swój nowy okręt ze stoczni, przed sobą miał morze, za sobą rok pobytu w Japonii. Kobieta, którą tam poznał, nazywała się Yashiko Una, była inżynierem atomistą, szkoliła załogę w obsłudze napędu jądrowego i pozostała w swej ojczyźnie. I podobnie jak kiedyś obowiązek nakazał Sharefowi zostawić Oksford i Pamelę, tak teraz nakazał mu zostawić Yashiko.

Ktoś zapukał do drzwi. Sharef sądził, że tym kimś jest Abu-i-Wafa, dyrektor programu testowego broni, który przyszedł po odpowiedź na pytanie bez odpowiedzi. Kiedy Sharef podszedł do drzwi kajuty, wpadł mu do głowy pewien pomysł. Pomysł wydawał się głupi i ryzykowny, ale mógł stanowić rozwiązanie problemu wymagań stawianych przez Abu. Był do tego stopnia ryzykowny, że mógł kosztować ZIF utratę okrętu podwodnego.

Ale w progu stał nie Abu, lecz jeden z młodszych oficerów, podporucznik Omar al-Maari. Wręczył Sharefowi kartkę z wiadomością. Sharef przeczytał dziwny rozkaz Ahmeda, doradcy kalifa Sihouda. Co Ahmed miał na myśli, pisząc o dwóch rozbitkach? Rozbitkach skąd?

Sharef wyszedł z kajuty i poszedł do sterowni, kręcąc w zadumie głową.

Arlington w Wirginii Strefa E w Pentagonie

Dowództwo Marynarki Stanów Zjednoczonych

Admirał Richard Donchez był chyba dopiero drugim szefem operacji morskich w historii marynarki, który zawracał sobie głowę szczegółami operacji bojowych. W ciągu ostatnich pięciu lat biuro admirała numer 1 w U.S. Navy zmieniło się z dowództwa administracyjnego w sztab operacyjny. Szczęśliwie dla Marynarki Stanów Zjednoczonych, gdyż Dick Donchez nie przyjąłby tego stanowiska, gdyby nie mógł być bardziej taktykiem niż urzędnikiem. Co okazało się korzystne dla floty i przebiegu wojny ze Zjednoczonym Islamskim Frontem. Ostatnim tego dowodem była opracowana przez niego operacja

„Wczesna Emerytura”, czyli misja, której celem było zabicie Sihouda. Gdyby ta akcja się powiodła, wojna mogłaby się szybko zakończyć.

Donchez był wysokim sześćdziesięcioletnim mężczyzną. Przysięgał, że ilekroć patrzy w lustro, traci dwa i pół centymetra wzrostu. W rzeczywistości jedynymi zauważalnymi oznakami jego wieku była łysa jak kolano głowa, siwizna krzaczastych brwi i nieco mniejszy wzrost. Ale umysł miał obecnie bystrzejszy niż kiedykolwiek. Był teraz w codziennym, granatowym mundurze z rękawami ciężkimi od lśniącego złota. Dół każdego rękawa zdobił szeroki pasek, trzy wąskie bieły niemal do łokcia, nad nimi górowała gwiazda. Nad lewą górną kieszenią sześć rzędów baretek sięgało prawie do ramienia, powyżej widniała złota odznaka sił podwodnych. Przypominała skrzydełka noszone przez lotników, ale patrząc uważnie, można było dostrzec dwie łuskowate ryby z zakrzywionymi ogonami skierowanymi na zewnątrz i głowami patrzącymi na staroświecki, dieslowski okręt podwodny płynący po wzburzonym morzu. Odznaka z litego złota była prezentem od wdowy po współlokatorce Doncheza z Annapolis z okazji awansu na admirała.

Donchez stał przed jedną ze ścian z mapami elektronicznymi i patrzył na projekcję Morza Śródziemnego. Kolory, linie i kropki oznaczały rozmieszczenie jego sił morskich. Admirał trzymał prawą rękę w kieszeni marynarki mundurowej, w lewej ścisnął długie cygaro hawańskie z rozżarzoną końcówką. Dym unosił się w górę ku wiszącej na ścianie czerwonej tablicy z napisem PALENIE WZBRONIONE. Obok Doncheza stali admirałowie odpowiedzialni za poszczególne grupy operacyjne: admirał Kenny McKeigh - głównodowodzący siłami morskimi na Atlantyku, admirał John Traeps - głównodowodzący siłami morskimi na Morzu Śródziemnym i admirał Dee Watson - zastępca Doncheza do spraw operacyjnych. Był tu również doradca Doncheza, pulchny i rozczochrany kapitan z wywiadu marynarki nazwiskiem Fred Rummel.

Donchez wypuścił kłęb dymu. Rummel kontynuował odprawę:

-...mniej więcej godzinę po eksplozji Javelinów, z bazy lotniczej Sunni w Aszchabadzie wystartował myśliwiec Firestar i odleciał na zachód. Analizy wektorowe pokazują, że kieruje się nad Morze Śródziemne. Oczywiście, od kilku dni widzimy setki firestarów, ale ten wystartował tak krótko po ataku - w dodatku z samego Aszchabadu - że według nas, może to mieć związek z kimś w strukturach dowodzenia.

- Jak dawno temu? - zapytał Donchez.- Dwadzieścia pięć minut.

- Co z tym robimy?

John Traeps odpowiedział za swoje siły śródziemnomorskie. Wskazał mapę i wyjaśnił:

- Sir, u wybrzeży Libii, na wysokości Trypolisu, jest grupa operacyjna lotniskowca USS „Reagan”. Około dziesięciu minut temu wysłali w powietrze dwa F-14. Powinny przechwycić firestara za pół godziny, o ile uda nam się utrzymać namiar na niego. Dowódca grupy operacyjnej dostał zgodę na zestrzelenie go.

- Nie - powiedział spokojnie Donchez, patrząc na koniuszek swojego cygara.

- Słucham, sir?

- Nie zestrzelimy go. Jeśli to zrobimy, nigdy się nie dowiemy, kto, do cholery, uciekł z Aszchabadu.

- Tak jest, sir, ale jak mamy...

- Zamiast zestrzelić firestara, niech myśliwce dogonią go i zmuszą do lądowania.

Odprawa się skończyła. Donchez opuścił salę i ruszył szybko do swojego biura. Rummel i zastępca Doncheza do spraw operacyjnych Dee Watson za nim. Watson mówił sam o sobie, że jest najbrzydszym i najbardziej nieznośnym admirałem w całej flocie. Trudno było z nim wytrzymać i Donchez może i nie wybrałby go na swojego zastępcę, gdyby nie to, że Watson był zdolnym wojskowym dysponującym dogłębną znajomością taktyki i szczegółową wiedzą o operacjach specjalnych. Kiedyś dowodził krążownikiem klasy Aegis i był jedynym oficerem sił nawodnych w najbliższym otoczeniu Doncheza zdominowanym przez lotników i podwodniaków. Nikt się nie odezwał, dopóki nie weszli do specjalnej, wydzielonej części informacyjnej biura.

- Podejrzewa pan to samo, co ja, sir? - zapytał Doncheza Rummel. Donchez skinął głową i zduł cygaro w popielniczkę.

- Sihoud.

- Skurwysyn wymknął się nam - powiedział Watson.

- Dowiemy się za godzinę - odrzekł Donchez, wyjął następną hawanę i przysunął zapalniczkę do koniuszka cygara.

- Wrócę do sali sztabowej i zobaczę, co będzie grane - zaproponował Watson z wyraźnym południowym akcentem. - Za pańskim pozwoleniem, sir.

- Przyjdę, jak tylko będziemy coś mieli, Dee.

Donchez przez chwilę palił w milczeniu, potem spojrzał na Rummela.

- Myślisz, że powinienem zadzwonić do generała Barczyńskiego?

- Ma pan jakiś pomysł, sir? Donchez zachichotał.

- Staram się - odparł.

- Może jednak powinniśmy zestrzelić firestara, sir.

- Firestary nie są przeciwnikami dla F-14 Tomcatów. Chłopcy z lotnictwa przywiozą nam Sihouda, skoro ci cholerni SEAL spieprzyli sprawę.

- Do diabła z tym firestarem, admirale. Może to tylko jakiś spanikowany porucznik próbuje uciec przed naszymi pociskami raketowymi.

- Miejmy nadzieję.

Wschodnie Morze Śródziemne

Firestar od blisko godziny leciał bez żadnych incydentów. Utrzymywał pułap dwunastu kilometrów i szybkość półtorakrotnie większą od prędkości dźwięku. Podczas podróży Ahmed pozostawił pilotowanie komputerowi i zadowolił się monitorowaniem systemów. Skoncentrował się na nawigacji i uważnym śledzeniu sensorów elekfronicznych, chroniących samolot przed pociskami raketowymi i radarami. Oprócz normalnej obserwacji radarowej wody i powietrza z Morza Śródziemnego i południowego wybrzeża Grecji, nie było żadnych oznak wzmożonej aktywności. Ahmed zaczynał się nawet zastanawiać, czy może nie jest za spokojnie. Od czasu do czasu przełączał monitor pokładowy na kamerę skierowaną wstecz i sprawdzał, co się dzieje z generałem Sihoudem. Kalif przeważnie spał z hełmem lotniczym opartym o kopułę kabiny. Zanim się obudził, firestar ominąwszy od północy terytorium Izraela, znalazł się nad Kassabem i ciemnymi wodami Morza Śródziemnego.

Generał postukał w oparcie fotela Ahmeda, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

- Niech pan mówi do maski tlenowej, generale. Ma wbudowany interkom.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał słabym i ochryplym głosem Sihoud.

- Jak pan się czuje, generale? Jeśli chce się panu pić, pod prawą konsolą jest butelka z wodą.

Sihoud odszukał butelkę. Ahmed obserwował go na swoim monitorze i zauważył, jak niepewnie porusza się kalif. Zastanawiał się, czy generał będzie miał siłę dotrzeć do okrętu podwodnego; Oprócz bardzo ryzykownego wodowania, był tylko jeden sposób, by się dostać na pokład „Hegiry” - skok ze spadochronem przy minimalnej dopuszczalnej wysokości i szybkości samolotu, jak najbliższej wynurzonego okrętu. Ale przeciążenia w powietrzu, uderzenie w wodę i dopłynięcie do „Hegiry” nie byłyby czymś łatwym dla chorego człowieka. Ahmed zagryzł wargi.

- Chyba jest mi potrzebny lekarz, Rakish. Jak tylko wylądujemy. Sihoud zakaszłał gwałtownie.

- Nie wylądujemy, generale. To ostatni lot tego odrzutowca. Opuścimy go w powietrzu. „Hegira” będzie na nas czekać.

- Co?! Co my robimy?

- Generale, przez następne dwa tygodnie wojna będzie się toczyć bez pana. Zawiadomiłem już generałów: Ihaffe’a, Ramadana i Ben Abbasa. Wszyscy zameldowali, że dostali od pana wyraźne rozkazy, żeby prowadzić kampanie w Afryce Północnej, na Synaju i w południowym Iranie. Powiedziałem im, że podstawowym zadaniem nie jest kontrofensywa, lecz utrzymanie się na pozycjach przez siedem do dziesięciu dni, bo tyle zajmie nam montaż pocisku Scorpion i dostarczenie go do celu.

- Powiedziałeś im o Scorpionie przez radio, Ahmed?

- Nie, kalifie. Powiedziałem im tylko, żeby się utrzymali i dali nam czas. Nie muszą wiedzieć o Scoipionie, przynajmniej na razie. Im mniej wtajemniczonych, tym mniejsze ryzyko spalenia operacji, która ma być zaskoczeniem. Nie chcę, żeby Amerykanie czekali na nas.

- Ci generałowie to inteligentni ludzie i zdolni wojskowi, ale beze mnie zabraknie im koordynatora, Rakish. Muszę wrócić na front, żeby dowodzić obroną. Jestem tam potrzebny, żeby...

- Generale, gdziekolwiek pan się znajdzie, nasi przeciwnicy będą pana obserwować. Nadal będą wysyłać oddziały, które otrzymają za zadanie zabicie pana. Jeśli obawia się pan, że nasze armie nie poradzą sobie bez pana przez czternaście dni, to niech pan wyobrazi sobie wojnę po pańskiej śmierci. Właśnie o tym myślą tamci i nie są głupi. Atak na główny bunkier nie ograniczył się tylko do ostrzału raketowego...

Ahmed czuł, że musi powiedzieć resztę. Nie z chęci udowodnienia, że miał rację, lecz żeby przekonać kalifa, że Koalicja chce jego głowy.

- Tam byli spadochroniarze, około stu ludzi. Zapewne zrzucano ich z samolotu, który wykryliśmy. Znaleźliśmy na pustyni ich pojazdy. Przedostali się w pobliże bunkra i zlikwidowali nasze patrole. Mieli pana zabić, gdyby zawiodły pociski raketowe. Nigdzie nie jest pan bezpieczny, generale, dopóki Scoipiony nie są w drodze do celu. Na razie najlepiej będzie, jeśli pan znajdzie się na pokładzie „Hegiry” i przeczeka najgorszy okres, odzyska siły i wyleczy rany.

Ahmed czekał, aż Sihoud przemyśli jego słowa. Obawiał się, że kalif odrzuci ten plan, bo sam tak by zrobił na miejscu generała.

Ale z tylnego fotela nie dobiegła żadna odpowiedź.

Porucznik Joe Galvin przeglądał mapnik wielkości notesu stenograficznego przypasany do jego uda. Szukał kodów alfanumerycznych taktycznego planu ataku. Wiedział, że właśnie go wyrolowali.

Kilka sekund temu szef operacji lotniczych nadał do niego przez radio słowa: „*sierra delta foxtrot*” oznaczające, że zadanie zostało zmienione. Po raz dziesiąty w ciągu tej wojny Galvin miał ochotę wyłączyć radio po starcie swoim F-14 Tomcatem z pokładu „Reagana”; przynajmniej wtedy szefostwo nie mogłoby skierować go gdzie indziej. Ale zaraz odrzucił ten pomysł. Co jest wart myśliwiec, z którym nie ma kontaktu podczas lotu? Niewiele więcej niż bezmyślny pocisk raketowy. Gdyby wszyscy piloci myśliwców myśleli tak, jak przed chwilą myślał on sam, zastąpiłyby ich zrobotyzowane pociski samosterujące.

Wreszcie na stronie z planem taktycznym zobaczył wielkie drukowane litery SDF. Kod oznaczał: „Zbliżyć się do nieprzyjaciela, nawiązać kontakt, zmusić do lądowania. Użycie broni zakazane, z wyjątkiem odpowiedzi na ogień przeciwnika”.

- No cóż, Żyrafa... Wygląda na to, że są drobne zmiany w instrukcji, którą otrzymaliśmy! - zawołał Galvin.

- Niech zgadnę - zabrzmiała w jego hełmofonie odpowiedź RIO, oficera przychwytywania radarowego. - Wracać na okręt i zapomnieć o całej sprawie.

Galvin wyobraził sobie kwaśną minę swojego RIO. Eugene Fredericks, kod radiowy Żyrafa, był sarkastycznym, zabawnym, niezgrabnym wielkoludem. Stąd wzięło się jego przydomko, nie bardzo w stylu macho. Brzmiało jeszcze gorzej niż przydomek Galwina - Ogon - pochodzący z czasów jego gry w drużynie Annapolis, która w 1988 dokopała reprezentacji wojsk lądowych.

- Gorzej - odparł Galvin. - Mamy rozkaz podejść do faceta i zmusić go do lądowania.

- Jasna sprawa. Rozumiem, o co ci chodzi. Co powstrzyma skurwiela od strzelania do nas?

- Absolutny strach przed Maiynarką Stanów Zjednoczonych?

- Już jesteśmy martwi.

- Podaj mi wektor przechwycenia i przekaz go Vinny'emu.

- Przyjąłem. Weźmiemy jego godzinę siódmą, Vinny piątą.

Ahmed patrzył na wschód. Wiedział, że do świtu zostało kilka minut. Punkt spotkania leżał niecałe dwadzieścia minut lotu przed nimi. Ahmed zaczął myśleć o swoim rozkazie dla „Hegiry”. Zastanawiał się, czy młody lotnik nadał przez radio wiadomość, a jeśli tak, czy kapitan okrętu podwodnego odebrał ją i uwierzył w jej autentyczność. Nagle w cichym kokpicie zabrzmiał ostro sygnał alarmowy.

Centralny monitor wideo przestał wyświetlać obrazy nawigacyjne i pokazał na środku ekranu widok taktyczny firestara z dwoma wrogimi samolotami zbliżającymi się od ogona. Cztery błyskające wyświetlacze zasygnalizowały uzbrojenie pocisków NI 6 wycelowanych wstecz. Nadlatujące maszyny były w odległości pięćdziesięciu kilometrów, w zasięgu naprowadzanych radarem pocisków przeciwlotniczych NI6. Komputer miał je wystrzelić za kilka sekund, ale Ahmed zmienił polecenie.

Przyszło mu na myśl, że kiedyś komputery były o wiele za proste i linearne. Ekran taktyczny przeanalizował zbliżające się radary i pokazał, że pochodzą z F-14, amerykańskich myśliwców nazywanych tomcatami. To były stare samoloty, pierwsze ich modele opracowano w latach siedemdziesiątych. Szach Iranu zakupił kilka tuzinów, żeby unowocześnić swoje eskadry. Ahmed był wtedy kapitanem i przed rewolucją przez rok latał taką maszyną. Duży i ciężki myśliwiec skonstruowano z myślą o wymagającej służbie na lotniskowcach amerykańskiej marynarki wojennej. Jako samolot sił powietrznych był co najwyżej kompromisem. Dla skomputeryzowanego firestara stanowił małe zagrożenie - przynajmniej dla sprawnego i dobrze utrzymanego firestara, który nie gubił łopat wirników turbin w trakcie walki i nie spadał na ziemię, zanim zdążył się zbliżyć nieprzyjacielski pocisk.

Zagadka polegała na tym, że te odrzutowce należały do marynarki, nie do sił powietrznych. To nie były myśliwce eagle stacjonujące na Cyprze, lecz maszyny z lotniskowca. W tej chwili jedynym lotniskowcem na Morzu Śródziemnym był „Reagan”, znajdujący się u wybrzeży Libii, ponad dwa tysiące kilometrów na zachód. To nie miało sensu. Ahmed dziwił się, dlaczego do tej pory samoloty nie wystrzeliły pocisków średniego zasięgu powietrze-powietrze, a okręty z grupy operacyjnej lotniskowca dawno temu nie odpaliły raket dalekiego zasięgu woda-powietrze. Poza tym, dwa F-14 powinny nadlecieć z przodu albo z północy, albo południa. Podejście do firestara z tyłu przeczyło taktyce ataku raketowego i oznaczało walkę powietrzną. Piloci tomcatów zmarnowali cenny czas na ten manewr. Nie zrobiliby tego, gdyby zamierzali zestrzelić firestara.

Ahmed ubiegł zamiar komputera, żeby odpalić pociski NI6 wycelowane wstecz. Na moment przed podjęciem tej decyzji poczuł głębokie niezadowolenie, że Amerykanie w ogóle wykryli firestara. Elektroniczny system niewidzialności zawiódł albo też Amerykanie wymyślili przeciwsrodki. Ale Ahmed był pewien, że nie mają przeciwsrodków na broń elektroniczną podwieszoną pod dziobem firestara.

Wyświetlacz taktyczny pokazał aktualne namiary, oparte na przechwytywanych sygnałach radarowych z F-14. Myśliwce stale się zbliżały, ale zamiast dogonić firestara na pełnej szybkości, podchodziły ostrożnie. Ahmed po raz ostatni rozważył możliwość

zaatakowania odrzutowców, ale z niej zrezygnował. Z lotniskowca wystartowałyby następne samoloty i wystrzelono by pociski. Jeśli w firestarze nie działały systemy przeciwdetekcyjne, Amerykanie mogli go znaleźć i strącić. Mieliby przewagę ogniową i liczebną - Ahmed i Sihoud byłiby sami przeciwko wszystkim F-14 z lotniskowca. Poza tym, tak blisko punktu spotkania Ahmed nie miał czasu na walkę z Amerykanami.

F-14 były już trzydzieści kilometrów za nim. Ahmed zmniejszył moc silników do sześćdziesięciu procent. Szybkość spadła z maksymalnej do takiej, która pozwalała dolecieć o czasie do punktu spotkania. Mógł rozkręcić turbiny i uciec myśliwcom, ale to by tylko opóźniło konfrontację. Zwłoka przydałaby się, gdyby mógł dolecieć do punktu spotkania, mając F-14 daleko z tyłu.

Ale przejrzał zamiary tomcatów. Chciały zmusić jego i Sihouda do lądowania, żeby sprawdzić, kim są, a może wziąć ich do niewoli. To było logiczne. Sam by tak zrobił na miejscu amerykańskiego dowódcy. On i Sihoud nie mogli opuścić firestara w asyście F-14. Może udałoby się skoczyć do wody, ale Amerykanie zobaczyliby „Hegirę”.

Więc zestrzel ich, pomyślał. Jesteśmy tylko piętnaście minut od punktu spotkania. Ale drugi głos wewnętrzny, silniejszy i rozsądniejszy, podpowiadał mu: Jest ich więcej. Czekają. Zestrzelisz tych, to przyleci pięć razy tyle. Albo dziesięć razy tyle. Nie zrezygnują, dopóki nie zabiją kalifa albo nie zakują go w łańcuchy. Stawką było przetrwanie Unii. Ahmed zagryzł wargi i czekał. Kiedy odrzutowce znalazły się w odległości dziesięciu kilometrów, podjął decyzję.

Głowica broni elektronicznej. Niesprawdzony wynalazek japoński, który miał ponoć działać rewelacyjnie, ale jego użycie niosło za sobą wielkie ryzyko. Ahmed nie tracił więcej czasu. Włączył obwody głowicy i zaczekał, aż układ chłodzenia ciekłego helu wokół nadprzewodzącej cewki magazynowania energii oziębi się do temperatury pracy. Komputer zameldował o udanym schłodzeniu i poprosił o zgodę na zarządzanie lewym silnikiem odrzutowym. Ahmed przyjął to do wiadomości i pozwolił maszynie odłączyć jeden z silników firestara. Prawy silnik zrekompensował to zwiększeniem obrotów. Lewy silnik osiągnął pełną moc, gdy jego turbina przestała wytwarzać ciąg napędowy i zaczęła obracać dodatkową turbinę przeznaczoną tylko do dostarczania mocy cewce magazynującej energię w głowicy broni elektronicznej. Ładowanie głowicy musiało potrwać kilka denerwujących minut. Ahmed wciąż miał ochotę wystrzelić pociski w zbliżające się myśliwce.

Gdyby głowica broni elektronicznej zadziałała, oba F-14 zostałyby zniszczone.

Ich staromodne chipy półprzewodnikowe stopiłyby się na bezużyteczne masło. Niestety, broń mogła zniszczyć również firestara, który spadłby wówczas do morza sto kilometrów od punktu spotkania. Kalif zginąłby wówczas lub zostałby wzięty do niewoli.

Lewy silnik ryczał na pełnym otwarciu przepustnicy. Cała jego ogromna moc przepływała do cewki energii w głowicy broni elektronicznej. Napięcie elektryczne dochodziło do niespotykanego poziomu. Ahmed czekał. Wiedział, że broń może ubiec jego rozkaz i wyzwolić energię w niepowstrzymanej eksplozji. Napięcie uwolnione z cewki rozerwałoby wtedy firestara na kawałki.

Od punktu spotkania dzieliło go już tylko pięć minut lotu, ale temu krótkiemu czasowi przy szybkości ponaddźwiękowej odpowiadała odległość ponad stu kilometrów za horyzontem, bardzo długi dystans do przepłynięcia.

Nad wschodnim Morzem Śródziemnym wstawał świt. Amerykańskie F-14 zbliżyły się do końców skrzydeł firestara.

5

Czwartek, 26 grudnia

Wschodnie Morze Śródziemne

Komodor Sharef przycisnął oko do okułam peryskopu. „Hegira” wznosiła się ku powierzchni ze swojej głębokości rejsowej trzystu metrów. Gdy zimna, gumowa osłona okularu zetknęła się ze skórą wokół oka Sharefa, sterownia zniknęła. Zastąpiła ją ciemność, nie węglowa czerń, lecz lekki półmrok, zaledwie trochę jaśniejszy od mroku północy. Światła wystarczyło do tego, by Sharef uznał, że dostrzega siatkę peryskopu na tle ciemnego obrazu. Głęboki, wyścielany fotel obserwacyjny z podparciem lędźwiowym przechylił się do tyłu, kiedy pokład okrętu uniósł się pod kątem do góry, wspinając się ku niebezpieczeństwu czyhającemu być może na powierzchni. Sharef obrócił soczewkę peryskopu pionowo w górę, poszukując dna fal.

- Sto metrów, komodorze. Wszystkie anteny kadłubowe sygnalizują obecność dalekich kontaktów na powierzchni - zameldował oficer pokładowy, komandor Omar Tawkidi, ze stanowiska sensorowego w prawym tylnym rogu sterowni.

Ekran video Drugiego Kapitana wyświetlały tam dźwięki, kierunki i częstotliwości wykrywane przez anteny kadłubowe dalekiego zasięgu - suche dane - jak również przeanalizowane oceny Drugiego Kapitana, co oznaczały te dźwięki i ich źródła dla „Hegiry”.

W tej chwili kadłubowe anteny sonarowe śledziły dziesięć okrętów nawodnych. Wszystkie znajdowały się daleko, najbliższy ponad czterdzieści cztery mile morskie na zachód.

Wysoko w górze woda zaczynała jaśnieć. Sharef obrócił soczewkę w dół i patrzył teraz pod kątem czterdziestu pięciu stopni w stosunku do pionu. Cichy serwomotor zaczął obracać jego fotel obserwacyjny wokół osi peryskopu. Sharef zobaczył wkrótce fale sunące ponad nimi. Duże srebrzyste boki ich dolnych powierzchni wskazywały, że na górze jest dobra pogoda. Kiedy fale przybliżyły się, Sharef zaczął szybciej obracać fotel obserwacyjny i ustawił soczewkę bardziej poziomo. Nie zauważył cieni kadłubów nie wykrytych przez anteny sonarowe. Soczewka peryskopu przebiła powierzchnię morza i obraz się wyostriżył. Pokład wrócił do poziomu.

- Głębokość dwadzieścia siedem metrów, komodorze - oznajmił Tawkidi.

- Bardzo dobrze, komandorze.

Sharef przez kilka minut siedział przy peryskopie, zataczał fotelem powolne kręgi i koncentrował się na morzu dookoła. Wciąż zastanawiał się, co oznacza wiadomość od pułkownika Ahmeda. Lśniące morze miało barwę głębokiego błękitu, niebo pokrywały pasma obłoków. Nad horyzontem, gdzie ciemne Morze Śródziemne stykało się z jaśniejszym niebem, właśnie weszło słońce. Gdzieś tam powinni być „rozbitkowie”. Nawigator Tawkidi zawiadomił, że okręt znajduje się pięćset metrów od punktu spotkania.

Sharef postanowił wynurzyć „Hegirę”, ale zrobił to wbrew swojemu instynktowi. Cała przewaga taktyczna okrętu podwodnego sprowadzała się do błogosławionej możliwości bycia niewidocznym. Wynurzenie oznaczało wyjście z ukrycia w głębinach i pojawienie się tam, gdzie mógł go zobaczyć każdy radar śledzący powierzchnię morza, każdy samolot patrolowy i gdzie jego obecność mogły wykryć satelity szpiegowskie. Tajna misja byłaby wtedy zaprzepaszczone. Powiedziano mu, że od jej powodzenia zależy przyszłość Islamskiego Frontu. Więc po co to ryzyko? Żeby znaleźć dyfuzję lub jacht z „rozbitkami” czekającymi na niego?

Ale to sam kalif wydał wyraźny rozkaz: „wynurzyć się o świcie”. Ostatecznie, misja była sprawą kalifa i mógł on rozkazać, żeby okręt zrobił wszystko, do czego jest zdolny. Wynurzenie było możliwe, choć nierozważne. Rozkaz nie przyszedł bezpośrednio od kalifa i nie zawierał jego zwykłego zdania identyfikacyjnego, lecz został wysłany w jego imieniu przez szefa sztabu, oficera sił powietrznych Rakisha Ahmeda. Sharef wiedział, do czego był zdolny Ahmed, pragnąc wygrać wojnę swoimi sposobami. Ale jeśli wiadomość była prawdziwa i została wysłana w sytuacji alarmowej, niewynurzenie się mogło uniemożliwić

wykonanie planu istotnego dla bezpieczeństwa świata islamskiego, a coś takiego trudno było sobie wyobrazić.

Przez chwilę instynkt Sharefa walczył z poczuciem obowiązku. Obowiązek zwyciężył. Sharef jeszcze raz przyjrzał się morzu, żeby sprawdzić, czy może się wynurzyć. Zobaczył tylko wodę i niebo.

- Oficer pokładowy, wynurzyć okręt. Maszyny stop.
- Tak jest, komodorze. Sterowanie okrętem...
- Wynurzenie - zawołał operator na stanowisku sterowania okrętem.

Okręt ruszył do góry. Obraz powierzchni w peryskopie Sharefa rozciągnął się. Pod widokiem peryskopowym wyłoniła się z morza w rozbryzgach wody i piany krzywizna kiosku, potem cylindryczny kadłub. Okręt, poruszający się naprzód tak powoli jakby pętał, zmniejszył szybkość jeszcze bardziej i zaczął kołysać się łagodnie na falach, pozornie bez celu.

Sharef wysłał zespół sterowania okrętem do pomieszczenia obserwacji powierzchni morza na szczycie kiosku, przekazał peryskop oficerowi sensorowemu, a sam podbiegł do drabinki prowadzącej na górę. Właz był otwarty, panele kiosku odchylone na boki. Od ściany niewielkiego pomieszczenia odbijały się promienie porannego słońca. Sharef wydostał się na powietrze i wciągnął je głęboko w nozdrza, rozkoszując się zapachem. Cieszył się z wynurzenia, choć uważał je za nonsens taktyczny. Spojrzał ponad łagodnymi falami w dal, myśląc o tym, ile potrwa czekanie i kiedy skończy się ta głupia sprawa. W wyobraźni zobaczył utrwaloną w jego pamięci mapę morską tego rejonu. Zastanawiał się, jak się stąd wydostać, żeby satelity szpiegowskie nie ustaliły jego kursu. Być może powinien upozorować awarię i zawrócić na wschód w kierunku portu Kassab, po kilku minutach zanurzyć się, popłynąć dalej na wschód, potem pod osłoną morskich głębin wziąć znów kurs na zachód i skierować się do Gibraltaru. Postanowił nawet nakazać jednemu z oficerów, żeby wziął uprząż i wyszedł na pokład, jakby coś miał sprawdzić lub naprawić, tylko po to, by zobaczyły go satelity szpiegowskie.

Odwrócił się do Tawkidiego, żeby wydać rozkaz, gdy nagle po niebie przetoczył się odległy grzmot. Sharef uniósł lornetkę i spróbował zlokalizować źródło dźwięku, ale niebo wydawało się puste. Szukał dalej. Nic. Spojrzał na zegarek i zastanawiał się przez chwilę, czy wkrótce nie zjawią się siły przeciwpodwodne Koalicji, żeby zatopić okręt podwodny, który stracił swoją jedyną cechę dającą mu przewagę nad przeciwnikami - niewidzialność. Postanowił czekać na pułkownika Ahmeda jeszcze przez godzinę. Potem się zanurzy i będzie kontynuował misję.

Na niebie było cicho, na morzu pusto. Jeśli misja zakończy się tak, jak się zaczęła, okaże się prawdziwą porażką.

Ahmed spojrział z kabiny na myśliwiec F-14 Tomcat przy jego lewym skrzydle. W coraz jaśniejszym świetle poranka widział wyraźnie oznakowanie odrzutowca. Na szarym kadłubie pod umieszczonym wysoko skrzydłem w kształcie delty widniały drukowane litery NAVY. Na dziobie widać było gwiazdę w okręgu z poziomymi pasami po obu stronach. Samolot miał podwójny czarny ogon z białą trupa czaszką nad skrzyżowanymi puszczelami i symbolem VF-69 poniżej. Pod skrzydłami wisiały pociski rakietowe. Pilot na przednim fotelu tomcata wskazał na Ahmeda, potem na siebie. Gest był zrozumiały: leć za mną. Ahmed zerknął w kierunku prawego skrzydła i zobaczył identycznego tomcata. Kiedy patrzył na niego, drugi odrzutowiec zwolnił i pozostał sto metrów za firestarem. Manewr także był czytelny: jeden fałszywy ruch i otwieram ogień z działek.

Pilot przy lewym skrzydle znów pomachał dłonią. Pokazywał, że wszystkie trzy samoloty mają zawrócić. F-14 przechylił się w lekkim skrucie w lewo. Ahmed zrobił to samo. W końcu ekran pokazał, że lecieli teraz na wschód. W kierunku Cypru. Bez wątplenia na lotnisko na wyspie, gdzie on i Sihoud zostaną wzięci do niewoli. Gdzieś za horyzontem na zachodzie wynurzy się atomowy okręt podwodny i kapitan będzie się zastanawiał, co się - z nimi stało. Na centralnym ekranie statusu uzbrojenia pojawiła się informacja: Naładowanie głowicy broni elektronicznej 85%. Ahmed po raz ostatni zastanowił się, czy nie zaatakować tomcatów. Ale przez ten czas F-14 lecący za nim znalazł się za blisko, by trafił go pocisk N16. Ahmet zaczął żałować swojej wcześniejszej decyzji, żeby nie walczyć z amerykańskimi i myśliwcami. Gdyby to zrobił, byłoby już nad „Hegirą”. Postanowił użyć głowicy broni elektronicznej, ale istniało duże prawdopodobieństwo, że uszkodzi wszystkie trzy samoloty i spadnie razem z Sihoudem do morza. Jedno wiedział na pewno: lepsza śmierć niż niewola. Minuty wlokły się w nieskończoność. Ahmed czekał. Ustalony punkt spotkania z „Hegirą” pozostawał coraz dalej w tyle. Lewy silnik odrzutowy wciąż był przeraźliwie i ładował cewkę w głowicy broni elektronicznej.

Eskortujący tomcat przy lewym skrzydle zaczął schodzić niżej. Ahmed znurkował za nim. Wyświetlacz wysokościomierza pokazywał coraz niższy pułap. Sihoud dotąd spał, teraz nagle się obudził. Przeraziła go bliskość dwóch F-14 i nieoczekiwana pozycja słońca. Na konsoli centralnej zmieniały się szybko kolory tła. Wreszcie pojawił się napis: Głowica broni elektronicznej uzbrojona. Odliczanie rozpoczęte. Czas do uwolnienia 10 sekund.

Wartości liczbowe na ekranie zmniejszały się powoli, aż doszły do zera. Głowica broni elektronicznej niemal bezdźwięcznie oderwała się od dziobu firestara i poszybowała w

dół ku morzu. Ahmed po raz ostami spojrział na konsolę instrumentów i mocniej zacisnął palce na drążku sterowym.

Joe Galvin zerknął na myśliwiec Firestar. Dręczyło go uczucie, że za łatwo to poszło. Pilot odrzutowca ZIF powinien walczyć. Przypomniawsobie stare zdjęcie w „Newsweeku”, na którym setki Irakijczyków poddawały się Amerykanom trzy dni po rozpoczęciu wojny lądowej w Zatoce Perskiej. Wyglądało na to, że propaganda o muzułmanach walczących na śmierć i życie często bywa pustą retoryką. W każdym razie pilot firestara zachowywał się jak tamci Irakijczycy. Był to zapewne jakiś spanikowany porucznik pilotujący maszynę, której działania tak naprawdę nie rozumiał. Kiedy firestar wylądował na lotnisku w Nikozji, technicy z sił powietrznych rozbiorą go do ostatniej śrubki. Przeanalizują każdy obwód drukowany i każdą linijkę kodu zapisanego na twardym dysku komputera. Piloci zostaną zatrzymani i przesłuchani, a potem wysłani do obozu jenieckiego na Sardynii. Posiedzą tam do końca wojny, która dla nich już się prawie skończyła. Muszą tylko wypuścić podwozie, wysunąć klapy i usiąść na lotnisku Koalicji.

Galvin wyobraził sobie dzień na przepustce w Nikozji. Zastanawiał się, jakie są tamtejsze kobiety.

Głowica oderwała się od firestara i odliczała sekundy. Komputer samolotu wyznaczył jej wysokość inicjującą i głowica czuwała, żeby nie spaść za nisko i nie uderzyć w wodę, zanim zrobi swoje. Kiedy firestar lecący wyżej przed nią przekroczył założoną odległość minimalną, zwarły się zestyki przekaźnika w sterowniku głowicy. Przekaźnik zamknął obwód uruchamiający włącznik wyjściowy wysokiego napięcia - dwa styki młoteczkowe, każdy wielkości ludzkiej pięści, umieszczone w niezwykle wytrzymałej obudowie otoczonej osłoną olejową. Młoteczki zaopatrzone w silne sprężyny uderzyły w kowadełka styków obwodu prądu stałego wysokiego napięcia i energia drzemiąca w chłodzonej helem cewce nadprzewodzącej popłynęła do oscylatorów i anteny nadawczej. Prąd stały płynący z cewki wysokiego napięcia przekształcił się w oscylatorach w prąd zmienny i przepłynął do nadajników, które wysłały powstałą energię elektromagnetyczną w przestrzeń.

Urządzenie było proste. Jediną nowością stanowiła cewka oraz zdolność zmagazynowania ogromnej ilości energii w małym pojemniku, a potem przekazania całego potencjału jednocześnie do odpowiednio wytrzymałych komponentów. Głowica nie była bardziej skomplikowana niż nadajnik radiowy i w rzeczywistości miała wiele takich samych podzespołów; funkcjonowała tak podobnie, że właściwie można ją było uznać za rodzaj takiego nadajnika. Różnica polegała na innej konstrukcji - braku elektroniki. W głowicy działały albo światłowody, jak w okablowaniu firestara, albo technika stosowana w

próżniowej lampie elektronowej, wykorzystująca wzmacniacze magnetyczne - duże rdzenie stalowe z miedzianym uzwojeniem, pierwotnym i wtórnym, wokół obu końców transformatora. Nie było tranzystorów, półprzewodników, obwodów scalonych, mikroprocesorów ani nawet taśm magnetycznych. Głowica nie miała konwencjonalnej elektroniki, gdyż służyła do jej niszczenia.

Emitowanie do atmosfery sygnałów przez przeciążone nadajniki było zjawiskiem znanym od dziesięcioleci, ale dopóki japońska firma Yokashiba nie skonstruowała głowicy, takie efekty mogła wywołać tylko broń nuklearna. Amerykańscy wojskowi nazwali ten rodzaj transmisji EMP, od impulsu elektromagnetycznego, nagłej fali energii elektromagnetycznej emitowanej natychmiast po gwałtownej eksplozji nuklearnej. EMP długo były zimą konstruktorów elektroniki i nie bez powodu - po emisji EMP każde urządzenie elektroniczne przestawało działać. Zastanawiano się nad środkami przeciwdziałającymi, przeprowadzano badania, wyposażano urządzenia w osłony, by „utwardzić” elektronikę i uodpornić na EMP, ale nie dało to żadnych istotnych efektów, nic nie mogło ochronić sprzętu Pentagonu przed wrogiem detonującym kilka tuzin głowic nuklearnych na dużej wysokości. Ostateczną obroną przed EMP była Inicjatywa Obrony Strategicznej - SDI - nazywana Gwiezdnymi Wojnami. Multimiliardowe koszty SDI uzasadniano koniecznością stworzenia cywilnej obrony raketowej, ale w rzeczywistości chodziło o ochronę trylionów zainwestowanych w maszynę wojenną Pentagonu przed głowicami EMP zdetonowanymi pod niebem Stanów Zjednoczonych i niszczącymi komputery, radary, pociski raketowe, samoloty i łączność - zbudowaną przy użyciu elektroniki krzemowej, niezbędnej, lecz podatnej na uszkodzenia sieć, która łączyła kraj, strzegła go i zapewniała jego funkcjonowanie.

Transmisja z głowicy trwała, dopóki cewka nadprzewodząca nie wyczerpała swojej energii elektrycznej. Napięcie spadało gwałtownie, aż w końcu całkowicie zanikło. Urządzenie wyłączyło się i wylądowało w morzu.

Fala elektromagnetyczna wysłana przez głowicę rozszła się kuliście z prędkością światła i w ułamku milisekundy dotarła do trzech odrzutowców lecących powyżej.

Porucznik Joe Galvin poczuł na moment drżenie drążka sterowego. Spojrzał w dół na panel i zobaczył, że wszystkie kontrolki i wskaźniki gasną, wszystkie wskazówki skaczą do pozycji braku zasilania, jedne do górnego ogranicznika, inne do dolnego, jeszcze inne zatrzymują się w takiej pozycji, jak w momencie awarii. Jednocześnie zamilkły oba silniki odrzutowe. Interkom przestał działać i dlatego Joe nie usłyszał przekleństw Żyrafy, gdy wyłączył się ekran radaru i panel statusu pocisków raketowych.

Ostatni model F-14 miał zaawansowaną elektronikę i próbowano uodpornić obwody na impulsy EMP, ale konstruktorzy w końcu wrzucali ramionami, nie chcąc zwiększać ciężaru maszyny. Ekranowanie zostało spenetrowane w pierwszej mikrosekundzie transmisji z głowicy firestara. Podobny los spotkał wszystkie moduły elektroniczne odrzutowca, każdy radar, obwód kierowania ogniem, instrument awioniczny, radio i komputer. Wszystko usmażyło się na frytki po pięciu sekundach ataku elektronicznego. Silniki sterowane komputerem pokładowym - z wtryskiem paliwa regulowanym przez potężne mikroprocesory - straciły zasilanie po zniszczeniu chipów, przestały się obracać i pozbawiły odrzutowiec ciągu i prądu, zresztą regulatory napięcia w generatorach zepsuły się niezależnie od tego. Konstruktorzy nie zgodzili się na zastosowanie elektronicznego sterowania samolotem „fly-by-wire” i stery torneata były poruszane hydraulicznie za pomocą linek połączonych z zaworami siłowników. Toteż przez pierwsze pięć sekund po transmisji z głowicy, F-14 Tomcat pilotowany przez porucznika Joego „Ogona” Galvina i porucznika Eugene’a „Żyrafę” Fredericksa nadal leciał. Był głuchy, niemy i ślepy, ale leciał.

W szóstej sekundzie po transmisji impulsu odrzutowiec - a właściwie teraz już trzydziestopięcioletni szybowiec - zaczął się kołysać na boki, tracić wysokość i zbacać z kursu. Stery, choć poruszane za pomocą potężnej hydrauliki obsługiwanej przez człowieka, były stabilizowane komputerowo. Bez ingerencji komputera w sterowanie, F-14 wpadłby do morza kilka sekund po wystrzeleniu z katapulty na lotniskowcu. Ów wkład komputera był wprawdzie niewielki, ale niezbędny. Gdy go zabrakło, latająca maszyna Galvina zaczęła wibrować, gdy skierował ją ku morzu w desperackiej próbie utrzymania przepływu powietrza nad skrzydłami przy braku napędu.

Galwin usiłował koiygować kołysanie. Ściągał drążek sterowy w prawo, kiedy samolot przechylał się w lewo, a gdy korekta okazywała się przesadna, wracał do przechyłu w lewo. Jednocześnie dziób odrzutowca stale próbował się wznosić i Galwin przeciwdziałał temu, mocno naciskając drążek w dół. Dziób domagał się uwagi, samolot wymykał się w lewo i potrzebował sterowania w prawo, potem znów uciekał w prawo.

Galwin poczuł potężną dawkę adrenaliny. Był młody, w znakomitej formie i świetnie wyszkolony. Przelatał czas za miliony dolarów. Podczas ćwiczeń na symulatorach w Pensacoli stykał się z sytuacjami, w których następowała utrata całej elektroniki. Nie były takie niebezpieczne jak ta przygoda, a mimo to uświadamiały kursantom wyraźnie, że pozostawanie w samolocie nie daje wówczas żadnej nadziei, jest czymś bez sensu. Galwin przypomniał sobie jakąś cząstką umysłu tak zwaną koncepcję łona. Podobnie jak niektóre telewizory mogą wyświetlać mały obraz w rogu ekranu, co pozwala oglądać dwa programy

jednocześnie, umysł Galvina prezentował mu widowisko dodatkowe, niezależnie od programu głównego - rozpaczliwych prób zapanowania nad samolotem.

Co się stało, do cholery, że nastąpiła taka wielka awaria? Został trafiony jakimś pociskiem raketowym? Niemożliwe - skrzydła i stery nadal działają. I jakież to pocisk wyłącza silniki odrzutowe i zasilanie awioniki? Co teraz robić? Samolot nie ma napędu, żadna próba uruchomienia silników bez elektryczności czy elektroniki się nie uda. Poza tym, taka próba wymagałaby znurkowania, żeby można było osiągnąć maksymalną prędkość i napędzić wiatrem wirniki sprężarek, a to tylko przyspieszyłoby śmierć. Standardowa procedura w takim wypadku to katapultowanie się. Samolot najwyraźniej przestał być sterowny. Nie da się odzyskać kontroli nad nim, a próba lądowania na wodzie przy tych przechyłach na boki to samobójstwo. Więc na co on czeka? Właśnie wtedy pomyślał o „koncepcji łona”, jak to nazywał posiwiasty po licznych dramatycznych przeżyciach instruktor latania z Korpusu Marines, który trzy razy wyskoczył z odrzutowca i w konsekwencji nigdy nie awansował powyżej stopnia majora. „Chłopie - mówił major - przychodzi moment, kiedy nagle kapujesz, że twoja maszyna to złom. Wtedy trzymasz się kurczowo tego drążka jak noworodek cycka mamusi. A wiesz, dlaczego? Ten samolot może się cały rozpaść wokół ciebie, a ty chcesz zostać w tym skurwielu, bo w środku - nieważne, jak kiepsko to wygląda - czujesz się wygodnie i bezpiecznie. Kontrolujesz sytuację. Na zewnątrz jesteś tylko pasażerem i prawdopodobnie kolacją dla rekina. W środku zawsze byłeś kimś, kto tu rządził, i przywykłeś do tego, na zewnątrz jesteś ofiarą. I powiem ci, synu, że więcej lotników ginie przez »koncepcję łona« niż z jakiegoś innego powodu. Cholerni głupole wiedzą, że powinni wyskoczyć, bo samolot jest do kasacji, ale co robią? Pozostają w kokpicie, bo tam jest ciepło i bezpiecznie jak w łonie matki, a na zewnątrz zimno, trudno i niebezpiecznie. Powtarzam: piloci giną najczęściej dlatego, że nie chcą się rozstać z łonem, więc kiedy przyjdzie twój czas, a przyjdzie na pewno, pamiętaj o jednym: spierdalaj stamtąd”.

Wykład majora zdawał się docierać gdzieś do wnętrza Galvina. Albo może przypomniał sobie, że lada chwila w hydraulicznym układzie sterowania zacznie spadać ciśnienie. Bez energii potrzebnej do ponownego naładowania akumulatorów hydraulicznego ciśnienia w końcu zabraknie i wtedy straci panowanie nad samolotem. Pociąganie lub popychanie drążka nic już nie da. A bez sterowania odrzutowiec wpadnie bokiem w strumień powietrza i rozleci się szybciej niż prom kosmiczny „Challenger”. Galvin pospiesznie puścił drążek, pociągnął półkolisty uchwyt znajdujący się pod krocem aż do pasa i spróbował policzyć do dwudziestu. Przy tym poziomie podniecenia wywołanego adrenaliną liczenie do

dwudziestu mogło trwać tylko dwie sekundy, może trzy. Do samoczynnego odpadnięcia kopuły kabiny i wystrzelenia fotela katapultującego potrzebne były pełne dwie sekundy.

Galvin czekał i myślał o tym, czy tajemnicze „coś”, które sparaliżowało samolot, mogło uszkodzić także mechanizm katapultujący. To pytanie praktycznie nie miało znaczenia, bo gdyby mechanizm zawiódł, F-14 za kilka sekund i tak rozleciałby się na kawałki. Pierścień ładunków wybuchowych odstrzelił kopułę kabiny i w kokpicie nagle zahuczała turbulencja. Jeszcze kilka uderzeń serca i fotel kopnął Galvina w tyłek, po czym uniósł się w prowadnicach. Linka przymocowana do spodu siedzenia wyciągnęła bolec z silnika rakietowego i fotel wystrzelił w zakadłubowy strumień powietrza. Galvin mocno zaciskał powieki, ale gdyby miał otwarte oczy, widziałby, jak jego F-14 nurkuje ku morzu, koziółkuje, skrzydła odrywają się, obłok oparów paliwa eksploduje i szczątki odrzutowca spadają do wody.

Galvin koziółkował przez moment, jego ciało rozstało się z fotelem. Kilka chwil później w górze rozkwitł spadochron, uprząż napięła się i ścisnęła mu krocze, gdy czasem wypełniło powietrze. Kiedy otworzył oczy, zauważył, że kilkadziesiąt metrów niżej otwiera się spadochron Żyrafy. Na horyzoncie zobaczył - a potem usłyszał - eksplozję, gdy drugi F-14 wymknął się spod kontroli i uderzył w powierzchnię morza. Spadochronów nie było. Vinny i Scully najwyraźniej potwierdzili groźną moc „konceptji łona”. Później usłyszał odgłos, który najpierw zbił go z tropu, a potem rozwścieczył.

Silniki odrzutowe. Wysoko nad nim unosił się myśliwiec Firestar. Ten sam skurwiel, którego eskortowali na Cypr. Zawrócił i odleciał na zachód, jakby nic się nie stało.

Galvin zaklął. Woda podeszła do góry i chlapanęła mu do nosa przy lądowaniu. Uwalniając się od spadochronu, pomyślał, że chyba nie krwawi i nie zwabi rekina.

Ahmed poczuł oderwanie się głowicy; liczył sekundy i czekał na uwolnienie przez nią energii, jednym okiem patrząc na konsolę centralną. Przez moment zastanawiał się, czy impuls wprowadzi firestara w korkociąg i strąci do morza. Nagle konsola zgasła i obraz zmniejszył się do wielkości kropki, potem całkiem zniknął. Zamierający panel świadczyło śmierci komputera pokładowego. Ahmed spodziewał się, że to koniec lotu, ale silniki pracowały dalej, ich obwody sterujące nadal funkcjonowały. Ahmed lekko przyciągnął drążek, żeby sprawdzić, czy działają stery. Firestar zaczął się wznosić. Dopiero wtedy Ahmed zauważył, że nie ma już tomcatów. Kontynuował wznoszenie, wiedząc, że zderzenie z F-14 spowoduje jego śmierć równie szybko, jak pocisk rakietowy. Zobaczył, że odrzutowiec, któiy pilnował jego lewego skrzydła, nurkuje spiralnie ku morzu, wibruje i kołysze się na boki. Kopuła kabiny tomcata odpadła i z kokpitu wystrzeliły dwa fotele katapultujące. F-14

przechylił się gwałtownie i wpadł poprzecznie w prąd powietrzny. Strumień zadziobowy urwał skrzydła i przełamał samolot na pół. Paliwo eksplodowało w pomarańczowej kuli ognia, która szybko zamieniła się w czarny obłok. Rozkwitły dwa spadochrony. Ahmed wyrównał firestara i zatoczył krąg, próbując znaleźć drugi F-14. Szukał go wzrokiem, w końcu zauważył tylko rozprysk wody i krótką eksplozję, gdy tomcat wpadł do morza. Nie dostrzegł żadnego śladu pilotów drugiego odrzutowca.

Zerknął ku słońcu, zawrócił na zachód i poleciał w kierunku punktu spotkania. Miał nadzieję, że kapitan okrętu podwodnego jeszcze czeka. Stracił najwyżej pięć minut, ale wiedział, że dowódcy okrętów to niecierpliwi i niezależni ludzie, którzy czasem niechętnie przyjmującego rozkazy lub nawet je ignorują.

Po zgaśnięciu ekranu konsoli systemy komputerowe już nie działały, pozostała elektronika również. Ale rezerwowy system nawigacyjny nadal funkcjonował. Był staromodnym urządzeniem z liczbami wytłoczonymi na plastikowych krążkach, którymi obracał kalkulator według przekazu z satelity nawigacyjnego na orbicie geosynchronicznej nad Morzem Śródziemnym. Po odczycie z konsoli Ahmed zorientował się, że punkt spotkania jest już niedaleko.

Wkrótce zobaczył wysoki kiosk „Hegiry”. Okręt podwodny stał w miejscu - jednak czekał. Ahmed okrążył go na wysokości zaledwie kilkuset metrów, potem wzbił się pod niebo, żeby przygotować się do opuszczenia firestara.

- Kalifie? Nie śpi pan?

- Nie... - odpowiedział Sihoud.

Sądząc po głosie, był półprzytomny. Może to i lepiej, pomyślał Ahmed. Obawiał się, że generał nie wytrzyma szoku przy wystrzeleniu z kabiny, ale nie było innego wyjścia. Ahmed wzbijał się nadal, nie bardzo wiedząc, na jakiej jest wysokości, po awarii komputera pilotował samolot na wyczucie. Przymknął przepustnice i wytracił szybkość. Musiał doprowadzić do wyhamowania myśliwca, żeby po katapultowaniu strumień zakadłubowy był jak najślabszy.

- Generale, za chwilę będziemy się katapultować. Jeśli pan może, niech pan spróbuje trzymać łokcie przyciśnięte do klatki piersiowej, a stopy na podnóżku. Wystrzelę pański fotel za pana. Musi pan tylko opaść w dół na spadochronie.

Odpowiedzi nie było. Ahmed czuł w ustach smak miedzi, skafander lotniczy miał mokry od potu. Nie mógł się uwolnić od myśli, że to zły pomysł... katapultowanie może zabić generała. Sihoud potrzebował natychmiastowej opieki medycznej, a dryfowanie przez godzinę po morzu nie było z pewnością dobrym sposobem na jej uzyskanie. Ale Ahmed

wiedział, że nie ma innej możliwości. Przyciągnął mocno drążek sterowy i sięgnął do uchwytu ręcznego otwierania kopuły kabiny. Obrócił czerwony uchwyt do pozycji uzbrojenia, potem do pozycji uwolnienia. Trzydzieści ładunków wybuchowych odpaliło i kopuła zniknęła, do kokpitu wdarło się zimne powietrze strumienia zadziobowego. Gwałtowny podmuch o mało nie zerwał im masek tlenowych i hełmów lotniczych. Ahmed kilkakrotnie uderzył hełmem w zagłówek i przypomniał sobie, że trzeba się katapultować, zanim silny pęd powietrza doprowadzi ich do śpiączki. Zmniejszył obroty silników do biegu jałowego i przyciągnął drążek aż do krocza. Odrzutowiec zadarł dziób i wyhamował. Drążek drżał, kiedy samolot protestował przeciwko utracie siły nośnej na skrzydłach. W momencie pełnej bezwładności maszyny i jej minimalnej energii kinetycznej Ahmed uniósł osłonę ochronną nad włącznikiem uruchamiającym katapultę tylnego fotela. Przesunął dźwignię poza zapadkę, potem do wewnątrz pod kątem prostym. Za jego plecami odpalił silnik rakietowy fotela Sihouda. Gdy generał poszybował w powietrze, Ahmed poczuł falę gorąca i żar płomieni. Odrzutowiec całkowicie wytracił szybkość, jego dziób skierował się ku morzu. Ahmed pozostał w kabinie, dopóki nie usunął samolotu z toru opadania Sihouda. Potem uzbroidł włącznik znajdujący się między jego nogami, katapultując jego własny fotel. Tuż przed użyciem włącznika ustawił turbiny na pełny ciąg. Na moment poczuł przyspieszenie, później puścił drążek i sięgnął do włącznika katapulty.

Wszystko stało się tak szybko, że jego zmysły uległy raptownemu zaćmieniu. Zadrżał mu kręgosłup, kiedy fotel trzasnął go w pośladki, przeciążenie omal go nie zamroczyło. Uderzył w niego strumień powietrza, zerwał mu maskę tlenową i mapnik udowy na skafandrze lotniczym. Świat zawirował wokół niego wściekłą spiralą. Ahmed poczuł się tak, jakby leciał w dół niebieskim tunelem. W końcu turbulencje ustały i pozostał tylko pęd swobodnego opadania. Spadochron fotela rozwinął się i szarpnął Ahmeda do góry. Pułkownik rozejrzył się za Sihoudem, ale nie udało mu się go odnaleźć. Szybował w dół ku morzu.

Lot się skończył i Ahmed znalazł się w błękitnej gościnnej wodzie. Odciął fotel, znalazł pakiet przypasany do siedzenia, wyciągnął go, potem zwolnił zatyczkę. Pakiet wypełnił się powietrzem i przybrał kształt dwuosobowej tratwy ratunkowej z zapasem jedzenia i wody pitnej. Ahmed wdrapał się do środka, po czym rozpoczął poszukiwania generała Sihouda i okrętu podwodnego.

Arlington w Wirginii Pentagon

Śnieg zaczął padać w środę wieczorem i teraz, we wczesnych godzinach sennego, czwartkowego poranka, jego warstwa sięgała niemal trzydziestu centymetrów. Tylne drzwi służbowego samochodu Richarda Doncheza otworzyły się, admirał wysiadł i wspiął się po oblodzonych schodach do wejścia dla VIP-ów, pokonując po dwa stopnie naraz. Tuż za progiem przywitał go kapitan Rummel. Donchez ledwo go zauważył, zignorował windę dla VIP-ów i wbiegł po schodach na czwarty poziom. Po drodze zdjął ciężkie palto i wręczył Rummelowi. Potem to samo zrobił z kapeluszem.

Zajrzał do sali sztabowej, po czym wszedł do środka. Zapalił pierwszą hawanę tego dnia i przyłączył się do admirałów, Dee Watsona i Johna Traepsa, którzy stali przy stole sztabowym zaśmieconym wiadomościami, publikacjami kodowymi i informacjami wywiadowczymi. Na przeciwległej ścianie jarzyła się zielono powiększona mapa elektroniczna z jaśniejszym odcieniem wokół wybrzeży Morza Śródziemnego, pełna hieroglificznych oznaczeń okrętów, samolotów i baz. Od niektórych symboli biegly wyrysowane wektory, inne poruszały się wyraźnie, gdy co trzydzieści sekund uaktualniano dane.

Donchez nie tracił czasu. Spojrzał przez obłok dymu z cygara na swojego zastępcę Watsona i dowódcę sił śródziemnomorskich Traepsa.

- Co jest? - zapytał krótko.

Obwisłe policzki Watsona sięgały niemal do brudnego kołnierzyka, prze poczonego mimo chłodu panującego w sali.

- Chodzi o myśliwiec Firestar, admirale. Skurwysyn pozbył się eskorty F-14, jakby to były muchy. Oba spadły do morza. Nie mamy pojęcia dlaczego. Jedna załoga się uratowała. Pilot zameldował, że stracił całe zasilanie. Podejrzewa, że to robota firestara. Skurwiel odleciał na zachód. Ale to nie wszystko. Pokaż admirałowi, John.

Traeps wziął ze stołu zdjęcie satelitarne. Siwe włosy miał porządnie uczesane, jego mundur wyglądał jak na fotografii w regulaminie marynarki. Prezencja Traepsa zawsze irytowała Doncheza. Facet przypominał jednego z tych podstarzałych, absurdalnie przystojnych amantów, którzy występują w serialach dla kobiet albo w reklamówkach witamin.

- Sir, mamy coś dziwnego z satelity szpiegowskiego KH-17, który był o świcie nad Cyprzem. Gdy tylko to otrzymaliśmy, siły powietrzne wysłały samolot zwiadowczy RF-4, żeby się temu bliżej przyjrzał.

Traeps położył na stole drugie zdjęcie obok pierwszego.

Donchez, wypuszczając kłęby dymu, przyglądał się pierwszemu. Ziarnista fotografia zrobiona przez satelitę z dużej wysokości ukazywała morze widziane z lotu ptaka krótko po wschodzie słońca - wskazywał na to podłużny cień obiektu na środku zdjęcia. Obiekt miał kształt cygara wybrzuszona na jednym końcu i spiczastego na drugim. Więcej mówił inny cień w kształcie pionowej płetwy. Kiosk. Wieżyczka obserwacyjna okrętu podwodnego. Donchez odłożył zdjęcie satelitarne i wziął drugą fotografię - duże, błyszczące powiększenie. Czarno-białe zdjęcie pokazywało dużo więcej szczegółów niż pierwsze. Widać było na nim cień w wodzie z boku. Bez wątplenia kształt okrętu podwodnego. Każdy szczegół wyraźny, łącznie z oknami w wieżyczce obserwacyjnej. Nawet ludzie stojący w klitce na szczycie płetwy. Donchez podniósł wzrok. Miał wściekłą minę.

- Ten okręt podwodny to zakup ZIF od Japończyków?

- Tak jest, sir - odrzekł Rummel. - Klasa Destiny, typ dwa, atomowy.

- Czy ten okręt nie był tydzień temu na liście celów? Miał być zatopiony przy swoim nabrzeżu.

- Zgadza się, sir, ale była zła pogoda i kilka celów o wyższym priorytecie. Zatopienie okrętu zostało przełożone na jutro. Zła koordynacja. Niestety. Wczoraj... wczoraj wypłynął w rejs.

- Mam dobrego haka na wywiad marynarki - stwierdził cierpko Donchez. - Chcę mieć raport, dlaczego ten drobny fakt uszedł wczoraj naszej uwadze. Więc co to ma wspólnego z firestarem?

Odpowiedział mu Rummel.

- Myśliwiec wpadł do morza około mili morskiej od okrętu podwodnego. Podejrzewamy związek między jednym i drugim. Okręt miał prawdopodobnie wyłowić pilotów firestara.

Donchez wpatrywał się w Rummela.

- A kto leciał firestarem?

- Nie wiemy, sir.

- Ale domyślacie się.

- To tylko przypuszczenia, admirale.

- Może jednak podzielisz się nimi ze mną, Fred?

- Sihoud, sir.

- Dokąd popłynął okręt?

- Na wschód, w kierunku Kassabu, potem się zanurzył. Mamy więcej zdjęć, jeśli chce pan zobaczyć...

Donchez pokręcił głową.

- Od dwudziestu czterech godzin robię, co mogę, żeby wyeliminować generała Sihouda, a wy, panowie, chcecie mi powiedzieć, że wszystkie działania floty dały taki efekt, iż Sihoud uciekł na okręt podwodny, który jest teraz Bóg wie gdzie, i nie tylko uciekł, ale w dodatku nie możemy go znaleźć? Taka jest konkluzja?

- Obawiam się, że tak, admirale - odrzekł Watson. - Ale mamy plan...- Jestem pewien, że macie, Dee. Wprost nie mogę się doczekać, kiedy go poznam.

Watson wskazał gestem mapę ścienną.

- Mamy na Morzu Śródziemnym dwie jednostki na dobrych pozycjach do wytopienia tego Destiny. Grupa lotniskowca „Reagan” na wysokości Trypolisu jest eskortowana przez okręt podwodny zmodernizowanej klasy Los Angeles «Phoenix”. Możemy go skierować do zablokowania Gibraltaru, żeby Destiny nie wydostał się na ocean. Na wschodzie mamy „Augustę” u wybrzeży Cypru. Może przeczesać Morze Śródziemne ze wschodu na zachód. Pomiędzy tymi dwoma jednostkami złapiemy Destiny. Spodziewam się, że zawinie do Kassabu lub innego portu w Afryce Północnej, żeby Sihoud mógł dotrzeć do któregoś z polowych stanowisk dowodzenia i dalej prowadzić kampanię lądową.

- Zabranie „Reaganowi” „Phoenixa” jest ryzykownym posunięciem - zauważył Donchez. - Cała grupa bojowa będzie łatwym celem, jeśli Destiny czegoś spróbuje. Nie zapominajmy, że Destiny może sobie być okrętem eksportowym Trzeciego Świata, ale zbudowali go pierwszorzędni fachowcy. Niektórzy uważają, że jest na poziomie „Centuriona” albo nawet lepszy. Poza tym, dlaczego, do cholery, Sihoud miałby uciekać na Atlantyk? To by mu nie pomogło w prowadzeniu wojny. Musi wejść z powrotem do akcji. Zostawmy „Phoenixa” tam, gdzie jest.

- Słuszna uwaga, sir - przyznał Traeps. Donchez zgromił go wzrokiem. Nie lubił podlizywania się.

Jego zastępca do spraw operacyjnych admirał Dee Watson potrząsnął z dezaprobatą obwisłymi policzkami.

- Admirale, jestem tylko frajerem z floty ślizgaczy - powiedział, mając na myśli swoją przeszłość oficera operacyjnego na okrętach nawodnych, które podwodniacy nazywali drwiąco „ślizgaczami”. - Ale jeśli zostawimy „Phoenixa” grupie bojowej, Barczynski będzie miał kolejny argument przeciwko „samolizzącemu się rożkowi lodowemu za dziesięć miliardów dolarów”, jak to nazywa.

Donchez zastanawiał się przez chwilę. Przewodniczący Kolegium Szefów Połączonych Sztabów, generał Rod Barczynski, był zagorzałym przeciwnikiem grup bojowych lotniskowców. Twierdził, że samoloty i okręty z grupy lotniskowca zbyt często nie mają nic do roboty, poza ochroną samego lotniskowca; stąd wziął się epitet „samolizujący się rozek lodowy”. Barczynski oczywiście grubo przesadzał, ale w obronie swoich dolarów wszystkie służby używały przeciwko sobie wielu brudnych sztuczek. Watson trafnie wskazał, jaki będzie polityczny rezultat decyzji taktycznej, ale do diabła z polityką, kiedy trzeba wygrać wojnę. Poza tym należało wziąć pod uwagę coś jeszcze. Sihoud uciekł okrętem podwodnym, o którym nikt nic nie wiedział, możliwości tej jednostki pozostawały w sferze domysłów. Zabicie Sihouda stanowiło zadanie priorytetowe, a ewentualność, że się wymknie, była nie do przyjęcia. Po rozważeniu, czy ważniejsze jest bezpieczeństwo grupy bojowej lotniskowca, czy znalezienie Sihouda, wydawało się jasne, że warto zaryzykować. Donchez zmienił zdanie. Sihoud musiał być schwytyany.

- Dee, zrobimy po twojemu. Wyślij „Phoenixa” na patrol do zachodniego basenu morza przy Gibraltarze. Niech wystartują wszystkie samoloty do działań przeciw i w podwodnych stacjonujące w rejonie śródziemnomorskim, P-3 z Sigonellii i wikingi z „Reagana”.

- W tej chwili, sir, większość obszaru Morza Śródziemnego najlepiej może kontrolować „Augusta”. Ona też jest najbliżej pozycji Destiny. Jeśli ktokolwiek złapie tamten okręt, to tylko „Augusta”.

Watson nie wyglądał na zachwyconego; chciał zapewne dysponować większą siłą ognia.

- Kto dowodzi „Augustą”? - zapytał Donchez.

- Ron „Rakieta” Daminski - odparł Watson z dziwnym uśmiechem na twarzy.

- Jezu, ten Destiny nie ma szans - powiedział Donchez. - Ron „Rakieta” Daminski...

Nadal jest postrachem Siódmej Eskadry?

- Tak - odrzekł Traeps.

- To dobre narzędzie - orzekł Watson. - Proponuję go wykorzystać. Trzeba wydać mu rozkaz zatopienia Destiny przy pierwszym kontakcie.

- Powiedzcie mu, żeby przesłał nam meldunek sytuacyjny, zanim pośle tamtego na dno. Tak na wszelki wypadek. To chyba wszystko, panowie. Wyślijcie „Augustę” i Daminskiego za Destiny. Jeśli Rakieta znajdzie tamten okręt, zatopi go w ciągu piętnastu minut. Dajcie mu jakąś pomoc, John, i niech P-3 i wikingi szukają z powietrza Destiny. Weźcie od „Reagana” jedną z fregat do zwalczania okrętów podwodnych. Nie obchodzi mnie, co będzie potrzebne, ale zatopcie tamten okręt. Daminski ma prawo żądać wszystkiego. I

niech oficer dyżurny zadzwoni do mnie do domu, jak tylko coś będziemy mieli. A wy trochę odpocznijcie. Nie przydadacie mi się, jeśli nadal będziecie tacy wykończeni.

Środkowe Morze Śródziemne

Komodor Sharef marszczył brwi, patrząc w dół na pokład z pomieszczenia obserwacji powierzchni morza na szczycie kiosku, położonego dziesięć metrów ponad krzywizną kadłuba. Prawdopodobnie w innych okolicznościach byłby mniej spięty - zaczynał się piękny poranek, na zimowym niebie słońce wschodziło coraz wyżej, błękitna woda Morza Śródziemnego była taka przejrzysta, że widział pod powierzchnią kształt kadłuba, od eliptycznego dziobu po iksowatą rufę. Czyste powietrze pachniało wspaniale po dwudziestu czterech godzinach pobytu we wnętrzu „Hegiry”. Przebywanie na powierzchni morza działało orzeźwiająco, mimo że tę powierzchnię należało uważać za wroga okrętu podwodnego. Jakby dla przypomnienia o potencjalnym niebezpieczeństwie, gdzieś daleko rozległ się odgłos silników samolotu. Sharef spojrział w górę, ale nic nie zobaczył. Nawet przez lornetkę nie mógł zlokalizować odrzutowca, pomyślał, że to pewnie transportowiec lecący na dużej wysokości. Przynajmniej taką miał nadzieję.

- Pokład! - zawołał bez pośpiechu, ale lekko spiętym głosem. - Zabrać tych ludzi na dół! Już!

Drużyna ratunkowa właśnie wyciągnęła z pontonu drugiego mężczyznę. Jeden z rozbitków, ten młodszy, wyglądał zdrowo, ten starszy pochylał się i sprawiał wrażenie słabego - potrzebował pomocy, żeby utrzymać się na nogach na krzywiznie pokładu. Ratownicy i rozbitkowie weszli przez właz z lewej strony kiosku i zeszli po drabince do sterowni. Sharef wychylił się z kiosku i zobaczył, że ostatni z grupy zamyka klapę. Oprócz Sharefa, w pomieszczeniu obserwacji powierzchni morza został tylko oficer pokładowy Omar Tawkidi. Sharef zerknął na zegarek i rozkazał Tawkidemu zejść na dół. Podniósł klapy panelowe i małe pomieszczenie na szczycie kiosku zniknęło. Płetwa stała się znowu zwarta i opływowa. Sharef sprawdził, czy na górze nie zostały jakieś przedmioty, które mogłyby powodować hałas, na przykład luźno leżące latarki lub lornetki. Nic nie znalazł, więc opuścił się do szybu wejściowego i zamknął właz. Dwadzieścia szczebli niżej, gdzie kiosk łączył się z kadłubem zewnętrznym, w pionowym tunelu znajdowało się szerokie pomieszczenie. Sharef sprawdził właz w bocznej ścianie kiosku, upewnił się, że kłapa jest zaryglowana, po czym opuścił się do włazu wejściowego modułu dowodzenia. Pochylił głowę, pociągnął w dół kłapę włazu do tunelu kiosku i obrócił koło ryglujące. Zszedł po drabince na pokład i

przesunął dźwignię hydrauliczną. Dolny wąż nad jego głową obrócił się do pozycji pod górnym wężem, zarygłował i wszedł ruchem obrotowym na swoje miejsce. Teraz okręt mógł się już zanurzyć.

Sharef wszedł do sterowni, zamrugał w przyćmionym świetle i poszukał wzrokiem Tawkidiego.

- Pokład, jesteś gotowy do zanurzenia?

- Tak jest.

- Zejść okrętem na sto metrów, kurs na wschód, szybkość minimalna. Trzymać ten kurs przez dziesięć minut, potem zrobić samodezynfekcję komputerową i zameldować.

- Tak jest. Sternik, minimalna naprzód, głębokość sto metrów.

- Gdzie nasi rozbitkowie?

- W pańskiej kajucie. Jest z nimi kapitan al-Kunis.

- Wiemy, kim są?

Tawkidi wziął głęboki oddech.

- Nie uwierzy pan, komodorze. Lepiej niech pan sam zobaczy.

Sharef wyszedł szybko ze sterowni, poszedł wąskim przejściem między kabiną komputerową z prawej strony a kabiną radiową z lewej i dotarł do swojej kajuty. Otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz z „Mieczem Islamu”, generałem Mohammedem al-Sihoudem. Jakaś cząstka jego mózgu sygnalizowała mu pospiesznie, że powinien wyprężyć się na baczność, ale on po prostu stał i patrzył na Sihouda, swojego pierwszego oficera al-Kunisa i drugiego rozbitka Rakisha Ahmeda.

Wschodnie Morze Śródziemne USS..Augusta”

Drzwi otworzyły się wolno ze skrzypieniem zawiasów. Jasne światło z korytarza poraziło oczy pod opuchniętymi od snu powiekami.

- Panie kapitanie? Podają południowy posiłek, sir. Oficer pokładowy pyta, czy nie zechciałby pan zejść do mesy oficerskiej.

Komandor Ron Daminski odrzucił na bok przeпоcone prześcieradło i usiadł na wąskiej koi. Kajuta zdawała się pływać wokół niego. Chronometr wskazywał jedenastą dwadzieścia pięć czasu Greenwich. Daminski przeczesał włosy zdeformowanymi palcami i próbował przypomnieć sobie, kiedy zasnął. Dziesięć godzin temu. Powinien być wypoczęty i pełen energii, ale czuł się zmęczony i stary. Spojrzał zmrużonymi oczami na kucharza okrętowego.

- Powiedz oficerom, żeby nie czekali na mnie.

Daminski wiedział, że w ten sposób łamie tradycję, ale w jego odczuciu byłoby to jakoś nieuczciwe, gdyby najpierw żartował i gawędził z oficerami przy jedzeniu, a pół godziny później opieprzał ich za zaniedbywanie obowiązków. Przez całą turę na pokładzie rzadko jadał w mesie oficerskiej, choć protokół wciąż wymagał, żeby go zapraszać na wypadek, gdyby zmienił zdanie. Wiedział, że jego nieobecność na posiłkach młodszy oficerowie uważają za objaw nadmiernej powściągliwości, chłodnego stosunku wobec podwładnych, może nawet za arogancję, ale taki miał sposób bycia i nie potrafił ani nie chciał go zmieniać.

- Tak jest, sir. Mam przynieść panu posiłek tutaj?

Daminski ziewnął. Zastanawiał się, czy wygląda tak źle, jak się czuje. Ciekawe, co by pomyślała Myra o jego wyglądzie. Boże, gdzie się podział jej list? Znalazł go na pogniecionej pościeli i wetknął za pas szarych bokserek.

- Co? Nie, nie. Nie jestem głodny, marynarzu March.

Idź do cholery, pomyślał. Daj się rozbudzić staremu facetowi.

Drzwi zamknęły się powoli. Daminski wstał i zatrzeszczały mu kolana. Pomyślał, że prysznic pomoże mu oprzytomnieć, wrzucił bokserki do torby na pranie i wszedł do ciasnej toalety między kajutami kapitana i pierwszego oficera, wyposażonej w niewielki sedes, kabinę prysznicową wielkości budki telefonicznej i malutką umywalkę. Cała toaleta, z wyjątkiem podłogi, była pokryta blachą ze stali nierdzewnej. Daminski wszedł do lśniącej kabiny prysznicowej i puścił zimną wodę. Przez chwilę trząsał się w lodowatych strumieniach, potem zamknął zawór i namydlił się. Na jego okręcie nie marnowało się wody bieżącej na mycie pod prysznicem. Każdą jej kroplę trzeba było destylować z wody morskiej i większość szła do reaktora i instalacji parowej. Okręt podwodny to nie hotel. Po namydleniu się Daminski znów odkręcił wodę - tym razem zimną zmieszaną z gorącą - i opłukał ciało. Masaż wodny dobrze mu zrobił. Zakręcił kurek i naraz poczuł, że zrobiło mu się zimno w tej stalowej, pionowej trumnie. Wytarł ściany gumową wycieraczką i wysuszył ciało ręcznikiem.

W lustrze nad umywalką zobaczył bladą, stale ukiwaną przed słońcem twarz człowieka, który najlepsze lata ma dawno za sobą. Zmarszczki na czole znów się pogłębiły, z każdym rokiem ubywało mu włosów na głowie. Siwiały i były za długie, niemal kudłate. Wytarł je do sucha i zaczesał do tyłu. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zapuścić z powrotem brody. Po trzech tygodniach - tyle jeszcze pozostało do końca patrolu - miałby bujny zarost maskujący coraz większe fałdy na szyi. Pokręcił głową. Kapitan powinien być gładko ogolony. Zawsze tak twierdził. Przeciągnął brzytwą po twarzy i umył zęby sodą oczyszczoną w tubie. Wrócił do kajuty i włożył czyste bokserki, T-shirt i nowy, czarny

kombinezon z flagami amerykańskimi na ramionach, jego nazwiskiem nad lewą kieszenią i złotym emblematem delfina wyhaftowanym powyżej. Potem wciągnął czarne reeboki i był już gotów rozpocząć następny dzień na morzu.

Ale mylił się, sądząc, że prysznic poprawi mu humor. Opuścił suwak kombinezonu i schował na piersi list od Myry. Nie pozbył się przygnębienia, usunął tylko jego wierzchnią warstwę, reszta trwała, było głębokie i mocne, jak niemal zawsze w ostatnich czasach. Ale jeden człowiek zawsze potrafił go rozbawić - starszy bosman Terry Betts, główny torpedzista. Już powinien chyba skończyć lunch. Daminski wyszedł z kajuty i poczłapał po stopniach do toipedowni mieszczącej się dwa poziomy niżej, w czeluściach przedziału dziobowego.

Wszedł do tylnej części „Sali”, jak załoga nazywała torpedownię, dużej i przestronnej, gdy nie było w niej uzbrojenia i ciasnej przy pełnym ładunku. Podczas tego rejsu „Augusta” wiozła komplet torped. Daminski ruszył wąskim przejściem między stojakami z uzbrojeniem. Po drodze przesuwiał krzywymi palcami po torpedach Mark 50. Chłodne stalowe korpusy, pomalowane na zielono, lśniły w jasnym świetle pomieszczenia. Przy dziobach nosiły czarne napisy: „Pocisk bojowy Mk. 50, mod. Alpha, ser. 1178”. Daminski słyszał przez ramię sapanie mężczyzny podnoszącego ciężarki. Torpedownia była jednym z niewielu pomieszczeń nadających się do ćwiczeń, choć większość wolnego czasu załoga spędzała na kojach wielkości trumny. Im dłużej spali, tym krótszy wydawał się rejs.

Starszy bosman Terry Betts siedział na wyściełanej ławce przy przedniej przegrodzie toipedowni, obok konsoli obsługowej. W specjalnym uchwycie konsoli tkwiła dwulitrowa butelka coli. Betts popijał colę z kubka do kawy z emblematem „Augusty”. Był wielkim facetem z brzuchem sięgającym niemal do kolan. Z podwiniętych rękawów wyłaziły grube przedramiona. Kombinezon miał szyty na miarę, bo inaczej w żadnym by się nie zmieścił. Daminski podszedł z uśmiechem do siwego szefa toipedowni.

- Cześć, Terry. Nie śpisz? Coś nie tak? - zapytał z nagłą wesołością.

- U mnie? Słyszałem, że to ty jesteś zdołowany od ostatniej salwy, Rakietka.

Betts pociągnął długi łyk coli.

- Dla ciebie jestem kapitan Rakietka, bosmanie.

Daminski i Betts znali się już dwadzieścia lat, od czasów wspólnej służby na okręcie podwodnym USS „Dace”, starym dinozaurze klasy Permit. Daminski był wtedy zielonym oficerem torpedowym w stopniu chorążego, Betts podoficerem wachtowym w stopniu mata. Ilekroć stacjonowali w Norfolk, obaj zawsze grali w drużynie eskadry - wiosną w softball, jesienią w futbol amerykański. Kiedy Daminski się nudził, lubił wspominać dawne mecze z Bettsem, przeżywał od nowa radość z mistrzowskiego przyłożenia lub lot piłki softballowej,

która wydawała się szybować na odległość pół kilometra. Daminski usiadł obok podoficera i ciężko westchnął. Mimo towarzystwa Bettsa, znów zaczęło go ogarniać przygnębienie.

- Będziemy w domu za trzy tygodnie, kapitanie? - zapytał Betts.

- Chyba tak. Nie bardzo jest po co wracać.

Betts wpatrywał się w torpedę Mark 50 na środkowym stojaku.

- Myra znów ma robaki w tyłku?

- Jest gorzej niż zwykle. Tym razem...

Odezwał się telefon stojący obok Bettsa. Starszy bosman wyciągnął rękę, czarna słuchawka utonęła w jego wielkiej dłoni.

- Torpedownia, Betts... Tak, jest tutaj. Moment... Betts wręczył Daminskiemu słuchawkę.

- Platforma do ciebie, kapitanie.

- Kapitan.

- Oficer pokładowy, sir. Proszę o pozwolenie na podejście na głębokość peryskopową, sir.

- Jaka sytuacja?

Oficer pokładowy podał kurs okrętu, szybkość, zanurzenie i odległości do namierzanych jednostek nawodnych. Zadowolony, że nie grozi mu kolizja z jakimś zardzewiałym tankowcem płynącym do Neapolu, Daminski dał rozkaz podejścia na głębokość peryskopową. Okręt miał pozostać w zanurzeniu - ukryty pod osłoną fal - i kontaktować się ze światem na górze tylko za pomocą wysuniętego masztu radiowego, słuchając satelitarnych transmisji wiadomości radiowych i obserwując powierzchnię przez peryskop, by uniknąć kolizji. Daminski oddał słuchawkę Bettsowi. Kiedy wielki podoficer torpedowy sięgał do widełek, by odłożyć ją na miejsce, pokład odchylił się do góry pod kątem piętnastu stopni - oficer pokładowy już skierował „Augustę” ku powierzchni znajdującej się sto pięćdziesiąt metrów nad nimi.

Betts znów zapytał o Myrę. Daminski już zamierzał powiedzieć mu coś więcej o niej, ale się rozmyślił i zbył problem grożącego mu rozpadu małżeństwa machnięciem ręki.

- Do diabła z tym, Terry. Przyszedłem tu dlatego, że ostatnio wyglądasz, jakbyś trochę wymiękł. Chyba przybyło ci tłuszczu na ramionach. Co ty na to, żeby się sprawdzić? Przegrany stawia browar.

Betts popatrzył na Daminskiego. Kapitan uwielbiał przesiadywać w portowych barach i siłować się na rękę z każdym, kto był na tyle głupi, że przyjął wyzwanie, ale rozum zawsze go ostrzegał, żeby nigdy nie walczył z Bettsem.

- Złamię ci rękę, kapitanie, i zdegradujesz mnie do stopnia bosman-mata.

- Nie wygłupiaj się.

Betts podniósł ławkę i postawił ją obok stojaka torpedowego przy prawej burcie, w miejscu gdzie nie było uzbrojenia i pozostało trochę wolnej przestrzeni. Schylił się i przeniósł skrzynię narzędziową na przeciwną stronę rogu stojaka. Uklęknął na skrzyni, oparł wielkie ramię na stojaku i spojrzał na Daminskiego.

Pokład wrócił do poziomu i teraz kołysał się lekko na falach blisko powierzchni. Dwa pokłady wyżej OOD czuwał przy peryskopie, antena radiowa Bigmouth sterczała ku niebu i łapała sygnały biegnące z satelity komunikacyjnego krążącego po orbicie. System nawigacyjny GPS połykał dane dostarczane przez satelitę nawigacyjnego i określał pozycję okrętu na wielkim morzu z dokładnością do kilku metrów.

Daminski uklęknął na skrzyni narzędziowej mimo protestu kolana (przeszedł trzy operacje uszkodzonej chrząstki). Oparł łokieć na stojaku, jego dłoń wielkości szynki była o jedną trzecią mniejsza od ręki Bettsa. Mężczyźni zwarli dłonie. Daminski miał tak pokrzywione palce, że musiał trzymać środkowy prosto, by móc zacisnąć pozostałe wokół ręki Bettsa.

- Pokazujesz mi palec, co? - zapytał poważnie Betts. - To mnie tylko wkurzy i będziesz miał otwarte złamanie ręki.

Daminski uśmiechał się tak szeroko, że rozciągnięte wargi odsłaniały wszystkie zęby. Miał bojową minę, którą ćwiczył od czasów służby na „Dace”. Na Bettsa to nie działało. Dwadzieścia lat temu przyglądał się, jak Ron Rakietka sprawdza i doskonali ten wyraz twarzy przed lustrem.

- Na trzy - powiedział Betts; poczerwieniał już trochę i naprężywszy nadgarstek, szykował się do zgięcia go, kiedy zacznie się walka. - Raz, dwa, trzy!

Dwa ramiona podskoczyły, ścięgnęła i mięśnie napięły się. Na czoło Bettsa wystąpił pot. Mięśnie twarzy Daminskiego drżały. Dwaj, potem trzech mężczyźni stanęli cicho w pobliżu, by przyjrzeć się pojedynekowi.

Pięść Bettsa przechyliła się lekko do wewnątrz, pociągnęła dłoń Daminskiego i wygięła ją pod nienaturalnym kątem. Ale ramię Daminskiego nie przesunęło się nawet o centymetr. Pozostało proste niczym wycior, pozwalając obrócić się nadgarstkowi i napierając na rękę przeciwnika. Starszy bosman był jednak cięższy od kapitana o blisko pięćdziesiąt kilogramów. Oba ramiona zaczęły drżeć, najpierw lekko, potem bardziej wyraźnie. Pod naciskiem Bettsa ręka Daminskiego zaczęła się przechylać w tył ku powierzchni stojaka. Daminski stęknął i odzyskał równowagę, jego ramię wróciło niemal do pionu. W torpedowni

zabrzmiał przeraźliwy trzask, gdy puścił szew w rękawie kombinezonu kapitana. Daminski stęknął i jego ramię popchnęło masywną rękę podoficera w tył, może o dwa centymetry.

Zadzwiezczał telefon ze sterowni. Betts aż podskoczył. Daminski wyczuł okazję, ale podoficer wziął oddech, napiął ramię i odepchnął rękę mniejszego Daminskiego z powrotem do pionu, potem dalej. Ramię kapitana powoli sunęło w dół ku powierzchni stojaka.

Jeden z mężczyzn w torpedowni odebrał telefon.

- Kapitanie, to do pana, sir. Oficer pokładowy.

- Powiedz mu, żeby zaczekał.

Betts wykorzystał przerwę i zdobył przewagę. Dopchnął rękę Daminskiego jeszcze niżej, tak że tworzyła z powierzchnią stojaka kąt niemal czterdziestu pięciu stopni. Daminski nie poddawał się, oddychał chrapliwie.

- Kapitan mówi, żeby pan zaczekał, sir - powiedział mężczyzna przy telefonie. - Tak jest, sir.

Potem odwrócił się do Daminskiego.

- Kapitanie, OOD mówi, że jest pilna wiadomość radiowa dla pana. Osobiście do kapitana. Mówi, że potrzebuje pana w sterowni. Natychmiast.

Daminski podniósł wzrok na Bettsa. Podoficer uśmiechał się.

- Lepiej tam pójde, bosmanie.

Ręka Bettsa nadal napierała na dłoń Daminskiego, ale wysiłek, na który się zdobył, chcąc pokonać kapitana, drogo go kosztował. Ramię Daminskiego wracało do pionu.

- Jasne, lepiej tam idź - odrzekł Betts, sapiąc między słowami. Pięść Daminskiego znalazła się już niemal w pozycji pionowej.

- Na trzy, puszczaamy.

- Okay.

- Jeden - zaczął liczyć Daminski.

Miał zamknięte oczy, wciąż nie rezygnował z walki. Pokład znów ustawił się pod kątem. Okręt podwodny opuszczał niebezpieczną strefę pod powierzchnią i wracał w objęcia głębin pod warstwą termiczną, gdzie tylko taki okręt wojenny, któremu dopisałoby wyjątkowe szczęście, mógłby go wykryć.

- Dwa - wysapał. Jego pięść przechylała teraz dłoń Bettsa i pchała wielkie ramię w dół, ku powierzchni stojaka. Betts był czerwony na twarzy, zaciskał powieki i zagryzał wargi. Ramię Daminskiego zaczęło przesuwac jego rękę w dół. Podoficer postękiwał. Kapitan wziął ostami oddech i pochylił jego ramię jeszcze niżej. Ręka Bettsa drżała. Po chwili podoficer

rozluźnił uchwyt i Daminski dopchnął wielką pięść do stojaka. Betts zsunął się ze skrzyni warsztatowej, trzymając się za ramię i łapiąc gwałtownie powietrze.

Daminski wstał.

- Trzy. Jesteś okay, Terry?

- Pieprzę cię - odparł z pokładu Betts, kiedy czterech torpedzistów próbowało podnieść go do pozycji pionowej. - Sir.

Daminski roześmiał się. Pomacał palcami miejsce, w którym kombinezon się rozpruł, i ruszył w stronę schodków wiodących na środkowy poziom.

- Następnym razem na pewno, zgadza się, starszy? Betts podniósł się i popatrzył na Daminskiego.

- Nie przeżyjesz następnego razu, szyper.

Daminski pomachał ręką podoficerowi na pożegnanie i wspiął się po stopniach. Pokonał następne schodki prowadzące na górny poziom, skręcił za róg i poszedł w kierunku rufy do sterowni. Był zdumiony tym, jak dobrze się teraz czuł. Prawie zapomniał o liście od Myry. Prawie.

Oficer pokładowy porucznik Kevin Skinnard stał na podwyższonym stanowisku peryskopowym. Był szczupły, dobiegał trzydziestki, miał ślady po trądziku na policzkach pod głęboko osadzonymi oczami. Wyglądał na wykończonego, co było skutkiem braku snu. Wręczył Daminskiemu metalowy klipbord z wydrukiem wiadomości radiowej odebranej w zanurzeniu peryskopowym.

Daminski otworzył okładkę klipbordu i przeczytał tekst.

26 grud. 11.57 Pilne

Od: Głównodowodzącego Siłami Morskimi na Morzu Śródziemnym

Do: USS „Augusta” SSN-7 63

Dot: Zmiana zadania

Ścisłe tajne - „Wczesna Emerytura”

Osobiście do oficera dowodzącego

1. Zmiana zadania z natychmiastowym wejściem w życie.
2. USS „Augusta” otrzymuje rozkaz przechwycenia i zatopienia przy pierwszym wykryciu atomowego okrętu podwodnego klasy Destiny, typ 2, jednostka numer 1, Zjednoczonego Islamskiego Frontu.

3. Wspomniany okręt podwodny ZIF wynurzył się na krótko o 06.35 czasu lokalnego na szerokości geograficznej November trzy pięć, długości geograficznej Echo zero trzy zero. Wyłowił pilotów płynących na tratwie ratunkowej, wziął kurs na wschód i zanurzył się.

4. Zamiary okrętu podwodnego ZIF nieznane. Cel podróży i misja również nieustalone. Analitycy uważają jednak, że na pokładzie może być generał Sihoud jako pasażer. 5. Samoloty patrolowe P-3 z Sigonelli będą szukały okrętu podwodnego ZIF. Wykrycie go zostanie przekazane drogą satelitarną z wezwaniem do odbioru na głębokości peryskopowej.

6. USS „Augusta” otrzymuje rozkaz przekazania meldunku sytuacyjnego głównodowodzącemu Siłami Morskimi na Morzu Śródziemnym natychmiast po potwierdzonym wykryciu okrętu podwodnego ZIF. Po wysłaniu meldunku sytuacyjnego „Augusta” jest upoważniona do użycia broni i zatopienia jednostki ZIF.

7. Po potwierdzonym zatopieniu okrętu podwodnego ZIF USS „Augusta” ma rozkaz skierować się do Neapolu we Włoszech w celu złożenia raportu z patrolu w Dowództwie Floty Śródziemnomorskiej.

8. Życzę powodzenia Tobie i Twojej załodze, Ron. Udanych łowów.

9. Wysłał admirał J. Traeps.

Daminski uśmiechnął się, pokwitował wiadomość, zerknął na chronometr i zanotował czas. Oddał klipbord OOD Skinnardowi i podszedł do stołu sztabowego, wygrzebał z szafki nową mapę Morza Śródziemnego i zaznaczył niebieską kropką miejsce wynurzenia się Destiny. Wziął okrągły suwak nawigacyjny i kilkakrotnie obrócił krążek. Potem narysował na morzu kółko ze środkiem kompasu na niebieskiej kropce. Skinnard sprawdził jego obliczenia i skinął głową. Daminski wskazał mapę.

- Kurs dwa osiem pięć z szybkością maksymalną, dopóki jesteśmy tutaj, potem zwolnić do dziesięciu węzłów i zrobić przeszukanie w dużym sektorze. Przekazać szefowi operacyjnemu, żeby odrobił pracę domową na temat klasy Destiny i zawiadomić, że odprawa dla oficerów o 14.00.

- Zanurzenie, zejść na głębokość dwustu sześćdziesięciu metrów. Sternik, cała naprzód maksymalna, ster dwa stopnie w prawo, stały kurs dwa osiem pięć - rozkazał Skinnard.

Daminski patrzył na niego przez moment ze zmarszczonym czołem. Chłopak był oficerem sonarowym i Daminski chciał zobaczyć, co potrafi.

- Skinnard, masz plan poszukiwań sonarowych dla klasy Destiny? Porucznik nawet nie mrugnął.

- Przejrzałem go osobiście dwa dni temu, kapitanie. Jest aktualny. Moi sonarzyści załadują go za pięć minut. Jeśli tamten frajer gdzieś jest, dorwiemy go.

Daminski nadal marszczył czoło, ale w duchu uśmiechał się. Chłopak odpowiedział prawidłowo. Dlatego, że został dobrze wyszkolony. Przez niego samego.

- Wiem, że go dorwiecie - odrzekł Daminski z twarzą przy twarzy Skinnarda. Odwrócił się i poszedł do swojej kajuty, pogwizdując fałszywie. Kiepski dzień okazał się w końcu całkiem dobry. Daminski pomasaował prawy bark i biceps i skrzywił się. Okręt podwodny Destiny mógł przynajmniej zatopić bez ryzyka wyrwania sobie ramienia ze stawu. Cholerny Betts. Następnym razem trzeba będzie trochę poćwiczyć ciężarkami przed wyzwaniem torpedzisty na pojedynek.

7

Czwartek, 26 grudnia

Wschodnie Morze Śródziemne USS „Augusta”

Drzwi do kabiny sonarowej otwały się gwałtownie. Główny sonarzysta w stopniu bosmana odwrócił się i spojrzał na kapitana Daminskiego. Miał włosy zaczesane do tyłu i czerwone okulary z boczną ochroną na okrągłych oczach. Bosman Bruce Hillsworth z brytyjskiej Royal Navy uczestniczył w programie wymiany i normalnie służył na HMS „Triumph”, bojowym okręcie podwodnym klasy Trafalgar. Po kursie obsługi sonaru BSY-1 BATEARS w San Diego dostał czasowy przydział na „Augustę”, wyznaczono mu funkcję asystenta stałego szefa sonaru. Ale bezczelny Angol okazał się tak dobry w swojej robocie, że U.S. Navy uległa namowom Daminskiego, zaaprobowała dopuszczenie Hillswortha do spraw ściśle tajnych i zaproponowała admiralicji brytyjskiej, żeby odbył trzyletnią turę.

Daminski zatrzasnął drzwi kabiny sonarowej, łamiąc zasady ciszy patrolowej na okręcie, które nakazywały delikatne ich zamykanie. Hillsworth zerwał słuchawki z głowy i zgromił kapitana wzrokiem, potem przemówił. Jego południowolondyński akcent brzmiał dziwnie egzotycznie w marynarce zdominowanej przez potomków emigrantów z początku XX wieku i prawników konfederatów.

- Sir, jeśli nadal będzie pan trząsał drzwiami, będę zmuszony poprosić pana o opuszczenie mojego przedziału sonarowego. Daminski poklepał Hillswortha po ramieniu.

- A twoja królowa nosi buty wojskowe. Hillsworth przechylił nos ku górze.

- Czy jest coś konkretnego, w czym byłbym w stanie panu pomóc, sir?

Daminski rozejrzał się po kabinie, jakby widział ją pierwszy raz lub może ostatni. Było tu cicho, szumiały konsole wyświetlaczy sonaru, mruczała wentylacja. Pomieszczenie

oświetlał przyćmiony blask niebieskich lamp fluorescencyjnych i zielona poświata ekranów wideo. Z głośnika na ścianie dochodził dźwięk wybranej wiązki sonarowej z anteny sferycznej. Fonia została tak przyciszona, że trzeba było wyęźać słuch, żeby rozpoznać odgłos śruby statku handlowego dobiegający z oddali. Wirowanie jej łopat brzmiało dziwnie ponuro.

- Chcę zobaczyć plan poszukiwań sonarowych dla klasy Destiny. Hillsworth skinął głową, odłożył słuchawki i zaprowadził Daminskiego do komputera zainstalowanego w przednim rogu ciasnej kabiny. Daminski przejrzał strony oprogramowania, patrząc głównie na spodziewane częstotliwości tonalne przewidziane dla okrętu skonstruowanego przez Japończyków. Niewiele wiadano o jego sygnaturze dźwiękowej. Kiedy Destiny opuścił stocznię koncernu Mitsubishi w Yokosuce, okręt podwodny zmodernizowanej klasy Los Angeles „Louisville” wyruszył za nim, prowadząc obserwację „podkadłubową”, to znaczy śledząc przez peryskop nowy okręt, gdy tamten płynął na powierzchni. Nagranie wideo z tej obserwacji dało wywiadowi marynarki bardziej kompletny obraz niż ten, jaki by zdobyto, odbywszy wycieczkę po suchym doku Destiny. Kiedy japoński okręt zanurzał się, „Louisville” pozostawał pod powierzchnią i okrążał go, żeby wykonać tak zwane SPL - nagranie poziomego natężenia dźwięku. Taśmy z nagraniami szerokopasmowymi analizowano przez tydzień w NAVSEA - Dowództwie Systemów Marynarki - dopóki nie stworzono planu poszukiwań sonarowych. W tym planie zapisano różne czyste tony emitowane przez okręt podwodny Destiny jako funkcję odległości od kontaktu i kąta odchylenia samego okrętu. W systemie sonarowym BATEARS BSY-1 poszukiwania prowadził głównie detektor wąskopasmowy, nasłuchujący określonej czystej częstotliwości, czyli tonacji, w wąskim wycinku morza. Ograniczenie obszaru nasłuchu i zakresu poszukiwanych częstotliwości zmniejszało niemal nieskończoną liczbę danych, które musiałby przetworzyć komputer sonaru, by znaleźć nieprzyjacielski okręt. Ale skuteczność planu zależała w dużym stopniu od tego, jakie tony emituje cel.

Daminski zmarszczył brwi.

- To SPL jest sprzed roku - powiedział z wyrzutem.

- Obawiam się, że tak, kapitanie.

- Więc może wcale nie brzmieć tak, jak Destiny dzisiaj.

- Może.

- Nic z tego, bosmanie. Te dane zebrano podczas dziewiczego rejsu Destiny. Bóg jeden wie, że nasze okręty podczas prób morskich brzmią zupełnie inaczej niż rok później, po

poprawieniu przez nas wszystkich niedoróbek stoczniovców i wyciszeniu wszystkiego, co się da. Uważam, że powinniśmy rozszerzyć zakresy tonacji.

- Sir, podwoi pan lub potroi liczbę danych. To spowolni nasze działanie. Możemy wcale nie wyłowić łobuza.

Daminski odwrócił wzrok od ekranu komputera i spojrzął na sufit.

- Nie mogę się pozbyć wrażenia, że tamci nas wyprzedzają. Jest coś, o czym nie pomyśleliśmy.

Zadzwoił telefon z platformy.

- OOD do pana, kapitanie. Prosi pana do mesy oficerskiej na odprawę. Pewnie na temat naszego przyjaciela Destiny.

- Zgadza się - westchnął Daminski. - Nie zapomnij rozszerzyć tych zakresów, bosmanie. Przynajmniej o parę herców.

- Rozważę przedyskutowanie tego z oficerem uzbrojenia, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, sir.

Daminski roześmiał się. Hillsworth trzymał się sztywno drogi służbowej, choć wiedział, że oficer uzbrojenia dostanie rozkaz od Daminskiego.

- Nasłuchuj tamtego palanta, bosmanie.

- Jak zawsze, sir - odrzekł Hillsworth i z powrotem włożył słuchawkę.

Daminski wyszedł z kabiny sonarowej. Tym razem delikatnie zamknął drzwi i poszedł korytarzem do drabinki w śródkręciu, prowadzącej na środkowy poziom. Wszedł do przepełnionej mesy oficerskiej, usiadł na swoim miejscu u szczytu stołu pokrytego skórą i dał znak ręką nawigatorowi i oficerowi operacyjnemu, komandorowi porucznikowi Timowi Turnerowi, żeby zaczął odprawę.

Turner był średniego wzrostu. Najbardziej wyróżniał się fryzurą, dość dziwną jak na trzydziestotrzyletnią - włosy postawione na żel sterczały mu niemal pionowo z czoła niczym gwiazdorowi rocka. Wyglądał na młodszego o dziesięć lat, niż był w istocie, ale pod dziecięcą buzią i otwartym, przyjaznym sposobem bycia krył się wybuchowy charakter. Załoga „Augusty” przekonała się o tym tylko raz, kiedy Daminski przeholował i wykrzykiwał komandorowi porucznikowi w twarz, jak ma wyglądać przekazywanie wiadomości radiowych. Turner eksplodował i powiedział Daminskiemu, gdzie może sobie wsadzić klipbord do przekazywania wiadomości. O dziwo, kapitan wycofał się, przeprosił i odszedł. Wydawało się wręcz, że celowo spróbował wyprowadzić Turnera z równowagi, żeby wiedzieć na przyszłość, gdzie leży granica jego wytrzymałości. Od tamtej pory stosunki między nimi układały się bardzo dobrze.

- Witam panów - zaczął Turner. - Ta odprawa jest ściśle tajna. Dotyczy operacji „Wczesna Emerytura”. Wszyscy sąpoważnieni do udziału, Jamie?

- Tak jest, sir - odrzekł oficer łącznościowy, porównując nazwiska obecnych z listą upoważnionych.

- Okay. Kilka godzin temu dostaliśmy pilną wiadomość, że mamy przechwycić okręt podwodny klasy Destiny Zjednoczonego Islamskiego Frontu, który, według meldunków, jest w tym rejonie.

Turner wskazał mapę, którą wcześniej przykleił taśmą do ściany, i postukał w elipsę wyrysowaną we wschodnim basenie Morza Śródziemnego, między Cyprem i Kretą.

- Po wykryciu i sklasyfikowaniu kontaktu mamy dwa zadania. Po pierwsze, przekazać do głównego dowództwa wiadomość, że Destiny tam jest. Po drugie, zatopić go.

Turner znów postukał w mapę.

- Płyniemy tam z maksymalną prędkością. Za dwie godziny zwolnimy do dziesięciu węzłów, żeby zmniejszyć hałas naszego własnego okrętu i dokonać wielkoobszarowego przeszukania sonarowego. Jamie rozda wam teraz wydruki szczegółowego planu poszukiwań sonarowych z tonami emitowanymi przez Destiny i wynikami SPL. Jest na nich również zdjęcie Destiny.

Daminski przerzucił plan poszukiwań sonarowych i znalazł zdjęcie nieprzyjacielskiego okrętu podwodnego. Amerykańskiemu podwodniakowi okręt wydawał się dziwny. Przypominał grubą torpedę z zaokrąglonym dziobem i cylindrycznym korpusem, zwężającym się gwałtownie ku tyłowi. Rufa kończyła się mającym kształt litery X połączeniem steru kierunkowego z głębokościowym. Jeszcze dziwniejszy wydawał się napęd - użyto przepływowej turbiny wodnej zamiast śruby. Ale najdziwniejszy był kiosk, nazywany w siłach morskich ZIF płetwą. Jego wysokość dorównywała niemal średnicy kadłuba i przekraczała dziesięć metrów.

- Jak widzicie, ten okręt różni się radykalnie od naszych konstrukcji i bardzo odbiega od rosyjskich - powiedział Turner; prowadził teraz wykład i najwyraźniej podobała mu się ta rola. - Nie ma tu sfoicycznej czy dziobowej anteny sonarowej. W dziobie znajdują się wyrzutnie torpedowe, jak w łodziach podwodnych z czasów II wojny światowej. Wyrzutnie są w istocie umieszczone poza kadłubem ciśnieniowym i torpedy są w nich szczelnie zamknięte. Dlatego też wyrzutnie sąjednostrzałowe. Nie nadają się do ponownego ładowania i nie mają mechanizmu ładowniczego. Dzięki temu okręt ma prostszą budowę i jest lżejszy, a w kadłubie ciśnieniowym jest mniej otworów. Ma trzynaście wielkokalibrowych wyrzutni stucentymetrowych i osiem małokalibrowych wyrzutni pięćdziesięcio-trzycentymetrowych.

Mimo braku możliwości ich ponownego naładowania, Destiny może was zatopić dwadzieścia jeden razy. Ten okręt ma podwójny kadłub, co stanowi ogromną zaletę - pozwala na przyjmowanie trafień torpedami bez szkody dla reszty okrętu. Wewnętrzny kadłub ciśnieniowy to zwykły cylinder z eliptycznymi końcami. Japończycy zminimalizowali średnicę kadłuba, główną wadę okrętów o podwójnym kadłubie. Po prostu umieścili zbiorniki balastowe przed i za kadłubem ciśnieniowym. I zauważcie, panowie: z czterech przedziałów w kadłubie ciśnieniowym tylko jeden przeznaczony jest dla ludzi. Reaktor i instalacje parowe są tak zautomatyzowane, że obsługuje się je całkowicie ze sterowni w dziobie pod kioskiem. Wał nie wchodzi do kadłuba, bo wirnik napędowy obraca silnik elektryczny na prąd zmienny w osłonie olejowej; wchodzi doń tylko kable. Silnik jest cholernie cichy, podobnie jak nisko-obrotowy wirnik. Reaktor jest chłodzony ciekłym metalem i ledwo słyszalnymi pompami magnetohydrodynamicznymi. Przy napędzie elektrycznym nie ma też przekładni redukcyjnej. Generatory turbinowe są podobno głośne przy podwójnej częstotliwości około stu pięćdziesięciu pięciu herców. Sensory okrętu to wielkie sonarowe anteny kadłubowe, które pokrywają prawie całe poszycie. Jego uszy są o wiele większe od naszych, co jakby rekompensuje brak anteny sferycznej w dziobie.

Jamie Fernandez, oficer łącznościowy, podniósł rękę. Turner dostrzegł młodego chorążego i skinął dłonią w jego stronę.

- Sir, ta klasa Destiny. Czy znamy prawdziwą nazwę tego konkretnego okrętu? Muzułmanie chyba nie nazywają go Destiny? I co wiemy o jego kapitanie? Jak zareaguje, kiedy zbliżymy się do niego? Co mówi wywiad?

- Nie mamy aż tak szczegółowych danych...

- To bzdurne pytania, Fernandez - zadudnił głos Daminskiego. - Odpowiedź brzmi: nieważne, kim, do cholery, jest kapitan, i jak oni, do cholery, nazywają swój zasrany okręt. Naszym zadaniem jest posłać go na dno.

Daminski rozejrzył się po oficerach.- Dajcie spokój, trzymajmy się tematu. Proszę kontynuować, panie Turner.

Turner mówił dalej. Przekazał informacje wywiadu o okręcie dotyczące wyporności, szybkości, głębokości zanurzenia. Po kwadransie zakończył i spojrzał na Daminskiego.

- Chciałby pan coś dodać, sir?

- Tylko parę rzeczy, panie Turner.

Daminski przeciągnął się i strzelił palcami, żeby dać mu kubek kawy. Główny mechanik Mark Berghoffer - wysoki i chudy potomek holenderskich farmerów z Pensylwanii,

o głosie jak syrena okrętowa - podskoczył, porwał ze stojaka kubek, nalał gorącego napoju i postawił przed kapitanem. Daminski siorbnął głośno, potem powiedział:

- Ja to widzę tak, panowie. Nie krępujcie się i poprawcie mnie, jeśli się mylę. Uważam, że możemy załatwić tamtego koleśia, podkradając się do niego. Przy tych wielkich antenach kadłubowych jest zupełnie głuchy za rufą, a przepływ powierzchniowy będzie głośny dzięki wirnikowi. Sam okręt jest cholernie dobry, ale założę się, że załoga nie oswoiła się z nim, nie poznała go dostatecznie i jest kiepsko wyszkolona. Przez ostatnie pół roku byliśmy na morzu o wiele dłużej niż tamci. Kiedy wywyszmy faceta, mamy rozkaz przesłać raport sytuacyjny. Załaduję ten tekst zawczasu do boi radiowej i wystrzelę z wyrzutnika sygnałowego, żeby w czasie podejścia nie wychodzić na głębokość peryskopową. Potem dam salwę poziomą z czterech torped Mark 50, zaczekam na detonacje, a później popłyniemy na noc do Neapolu na piwo, włoskie żarcie i kobitki. Jakież pytania?

Nie było żadnych. Odprawa się skończyła. Daminski siedział przez jakiś czas u szczytu stołu, dopijał kawę, patrzył na profil wywiadowczy Destiny i zastanawiał się nad pytaniami Fernandeza: kim jest kapitan Destiny? I jak oni, do cholery, nazywają swój okręt? Co zrobi tamten kapitan, jeśli wykryje ich podejście? Daminski nie znał odpowiedzi na te pytania, a czuł, że znać powinien.

Arlington w Wirginii Strefa E w Pentagonie

Wydzielone pomieszczenie specjalne Połączonych Sztabów

Admirał Donchez zgromił wzrokiem wartownika z sił powietrznych, czuwającego przy ufortyfikowanym wejściu do kwatery głównej Połączonych Sztabów. Nawet admirał numer 1 U.S. Navy, chcąc się dostać do SCIF - specjalnego wydzielonego pomieszczenia informacyjnego - musiał pokazać identyfikator i przepustkę Pentagonu z kodem kreskowym, a potem poczekać, aż dwaj wartownicy porównają jego twarz ze zdjęciami na obu dokumentach. W końcu wpuszczono go do labiryntu korytarzy, prowadzących do dużej sali odpraw. Zanim Kongres zaaprobował tę zachciankę Połączonych Sztabów, sala była gabinetem wojennym, pomieszczeniem do prezentowania informacji prezydentowi, członkom rządu, kongresmanom i generałom. Kiedy po zakończeniu zimnej wojny zagrożenia dla świata zmieniły się, Połączone Sztaby wypatroszyły i przemodelowały pomieszczenie. Teraz bardziej przypominało plan filmowy niż dawny, funkcjonalny gabinet wojenny. Duża sala odpraw Połączonych Sztabów była tak zapchana konsolami komputerowymi, że sprawiała wrażenie wręcz ciasnej. Miejsca nie brakowało tylko przy czarnym stole zajmującym środek

sali. Miał trzy metry szerokości i osiemnaście metrów długości. Gładki, marmurowy blat lśnił w blasku zestawu wiszących lamp fluorescencyjnych o kształcie bieżni stadionu. Północną i południową ścianę sali zajmowały mapy elektroniczne, obsługiwane przez konsole komputerowe ustawione na wschodniej i zachodniej ścianie. Obok dużego stołu konferencyjnego stał drugi mniejszy, na dwanaście osób, z którego lubił korzystać, prowadząc spotkania, szef Połączonych Sztabów. Całą salę nazywano SCIF - specjalnym wydzielonym pomieszczeniem informacyjnym. Zbudowano ją według skomplikowanej dokumentacji technicznej, tak aby uniemożliwić założenie podsłuchu. Nie było tu okien ani przewodów wentylacyjnych, prowadzących do reszty budynku. Konsole komputerowe łączyły się tylko między sobą i z komputerem barierowym. Tylko on mógł się komunikować ze światem zewnętrznym za pomocą bezpiecznych linii telefonicznych i kabli przesyłowych, potem kontrolował przychodzące dane, żeby się upewnić, czy nie ma w nich wirusa. Drugi system komputerowy był przeznaczony wyłącznie do monitorowania komputera barierowego - sprawdzał jego integralność. Każdy telefon w sali był aparatem przeciwpodsłuchowym i wszystkie połączenia przechodziły przez moduły komputera barierowego.

Całość wydawała się doskonała do narad taktycznych czy strategicznych, ale przewodniczący Kolegium Szefów Połączonych Sztabów, generał Rod Barczynski, upodobał sobie tę salę również do zebrań administracyjnych. Po trzydziestu pięciu latach życia i walki w czołgu nie mógł się przyzwyczaić do pokoi z oknami, zasłonami i drewnianymi stołami. Donchez rozumiał go, choć czuł się dosyć dziwnie, dyskutując, na przykład, o ostatniej zmianie umundurowania w pomieszczeniu szefów sztabów przeznaczonym do prowadzenia wojny. Ale tego poranka zebranie oczywiście nie dotyczyło spraw administracyjnych. Barczynski chciał uzyskać odpowiedzi na kilka istotnych pytań. Dick Donchez w ciągu swojej kariery uczestniczył już w bardzo wielu takich spotkaniach. Uważał, że sukces nie polega na unikaniu błędów, lecz na podejmowaniu właściwych decyzji i prawidłowych działań w obliczu porażki.

Donchezowi towarzyszył jego sztab: John Traeps - głównodowodzący Siłami Morskimi na Morzu Śródziemnym, Kenny McKeigh - głównodowodzący Siłami Morskimi na Atlantyku, oraz Fred Rummel, doradca Doncheza. Zastępca Doncheza do spraw operacyjnych, Watson, czuwał w sali sztabowej admiralicji. Donchez usiadł przy stole naprzeciw generała i jego sztabu. Ludzie Doncheza usadowili się przy nim. Donchez spojrzał na Barczynskiego.

- Dzień dobiy, generale - powiedział. - Jak tam wakacje? Barczynski miał zwyczaj wyjeżdżać z Waszyngtonu na weekendy i święta. Bez względu na to, czy trwała wojna, czy nie, praca w Boże Narodzenie nie była w jego stylu.

- Miewałem lepsze, Dick - odrzekł generał.

Barczynski nie wyglądał na dowódcę Narodowych Sił Zbrojnych. Był wielkim facetem z wystającym brzuchem pod beczkową klatką piersiową, ale nie wydawał się gruby, tylko potężny. Ktoś, kto zobaczyłby go w sklepie spożywczym, mógłby pomyśleć, że to palacz okrętowy lub robotnik portowy. Generał lubił zdejmować kurtkę mundurową i podwijać rękawy koszuli, z których wystawały wtedy grube przedramiona. Zawsze patrzył rozmówcy w oczy z rozbijającą szczerością. Zwłaszcza gdy prosił - rzadko rozkazywał - by podjąć jakieś działania. W oczach miał wtedy uśmiech, na twarzy wyraz wesołości, jakby chciał powiedzieć: wiem, że możesz to zrobić, pomożesz mi? Jego spojrzenie potrafiło wydobyć z podwładnych prawdę, kiedy chcieli coś ukryć i ochronić własne tyłki. Potrafiło też zahipnotyzować przełożonych i obezwładnić ich. I oczarować prasę, która go uwielbiała. Chodziły słuchy, że po przejściu w stan spoczynku Barczynski może wygrać nominację do wyborów prezydenckich. Był jednym z niewielu dowódców, którzy potrafili połączyć troskę o swoich ludzi z bezkompromisowym zaangażowaniem w aktualną operację. Oficerowie, podoficerowie i żołnierze robili dla niego rzeczy, których nie zgodziliby się zrobić dla nikogo innego. Podejmowali się niewdzięcznych misji, brali ciężkie tury służby i brudne roboty wojskowe. W nagrodę za ciężką pracę dla niego uczestniczyli w organizowanych przez generała przyjęciach piwnych, które miały służyć tworzeniu ducha zespołu. Gdziekolwiek dostał przydział w swojej długiej karierze, zawsze można go było spotkać po godzinach w klubie oficerskim, zwykle z heinekenami w obu wielkich dłoniach i w otoczeniu młodszych kolegów. Ale jego powierzchowność i piwna dyplomacja maskowały ogromną przenikliwość i umysł taktyka, z którym nie była w stanie rywalizować większość absolwentów akademii wojskowych.

Donchez miał dla Barczynskiego ogromny szacunek zawodowy i osobisty, a jednocześnie lubił go jako kolegę oficera i od kilku lat łączyła ich przyjaźń. Mimo to Donchez był z nim ostrożny, bo czuł, że oficer wojsk lądowych niezbyt dobrze zna się na operacjach morskich. Głównym źródłem wiedzy Barczynskiego o flocie były operacje połączonego dowództwa, podczas których nabrał niechęci do grup bojowych lotniskowców, czym naraził się marynarce. W ciągu ostatnich kilku lat Donchezowi udało się przekonać Barczynskiego do zalet okrętów podwodnych, przydatności komandosów SEAL, desantów w wykonaniu batalionu marines i wartości bojowej wystrzeliwanych z morza pocisków samosterujących

Javelin. Ale generał nadal nie zgadzał się z Donchezem, że dywizjony samolotów na lotniskowcach są warte swojej ceny. Wolał myśliwce i bombowce sił powietrznych stacjonujące na lądzie, które znał dobrze od ukończenia West Point. Donchez stale wywierał nań presję i Barczynski niechętnie akceptował plany taktyczne szefa marynarki. Grupy bojowe lotniskowców bardziej jednak tolerował, niż popierał.

Barczynski spojrział teraz na Doncheza.

- Co jest, Dick? - zaczął nagle. - Słyszałem, że Sihoud uciekł. Zdaje się, że twoi SEAL mieli temu zapobiec? Wiesz, jak trudno było przekonać Dawsona do tego planu zamachu? Obiecaliśmy mu wyniki. Jak dotąd, nie mamy niczego.

- Sir, nie wiem, co mógł pan usłyszeć ze swoich źródeł. Atak raketowy nie powiódł się i SEAL przeoczyli ucieczkę Sihouda z bunkra. Musiał się stamtąd wydostać przed uderzeniem Javelinów, bo komandosi potwierdzili, że z bunkra nic nie zostało. Uważamy, że Sihoud uciekł myśliwcem firestar, który poleciał nad Morze Śródziemne i zrzucił go na okręt podwodny ZIF klasy Destiny.

Donchez pokazał zdjęcia.

- Okręt podwodny Destiny. To diesel, tak? Twoi ludzie mogą go znaleźć i zatopić?

- Niestety atomowy, sir. Japoński. Cud techniki, choć to tylko jednostka na poziomie eksportowym. Niech Bóg ma nas w opiece, gdyby kiedyś Japończycy przystąpili do wojny ze swoim sprzętem.

Barczynski nie wydawał się ubawiony.

- Do rzeczy, admirale.- Załoga składa się z Egipcjan, Irańczyków, Irakijczyków i Libijczyków. Uważamy, że nie są dobrze wyszkoleni i nie działają jak zgrany zespół...

- Masz na Morzu Śródziemnym eskadrę okrętów podwodnych do złapania tego faceta, zgadza się?

- Mamy dwie jednostki bojowe. Obie są okrętami podwodnymi klasy Los Angeles. Jedna pilnuje Gibraltaru u wyjścia z Morza Śródziemnego, druga przeczesuje wschodni basen morza w kierunku zachodnim i szuka Destiny. Mamy w powietrzu kilkadziesiąt patrolowych samolotów przeciwpodwodnych. Niektóre z nich należą do grupy bojowej „Reagana”. Dopadniemy tamtego.

- Dokąd on płynie? Co robi?

- Uważamy, że na razie ukrywa się przed nami, potem zejdzie na ląd i dołączy do jednego ze swoich dowódców, prawdopodobnie w Afryce Północnej. Ale dostaniemy go... Sihoud jest już martwy.

- Miejmy nadzieję, Dick. Prezydent chce wiedzieć, jaka jest sytuacja po jego ucieczce. Sihoud ma trzech cholernie dobrych generałów frontowych. Bobby Kent z CIA uważa, że ci generałowie nawet bez Si-houda mogą całkiem dobrze prowadzić wojnę.

Donchez wręczył Barczynskiemu teczkę z dokumentami. Na okładce pełno było stempli i nagłówek sygnalizujących ich tajność.

- To operacja „Wczesna Emerytura”, faza druga, generale. Zlikwidujemy wszystkich dowódców frontów. CIA zgadza się z moim sztabem, że po wyeliminowaniu generałów na niższym szczeblu dowodzenia...

Wszedł generał Félix Clough z U.S. Air Force. Szef sztabu sił powietrznych Clough był młody jak na generała, nawet gdy się przyjęło standardy lotnictwa. Większość jego kolegów z tego samego rocznika akademii nie zaszła jeszcze tak wysoko - zdobyli stopień pułkownika, niektórzy majora. Clough miał okrągłą twarz i nosił okulary w drucianej oprawce, które nadawały mu wygląd naukowca. Potężnie zbudowany, tak jak Barczynski, choć wyższy od przewodniczącego Kolegium Szefów Połączonych Sztabów, miał także wydatny brzuch, ale w przeciwieństwie do Barczynskiego sprawiał wrażenie raczej grubego niż muskularnego. Clough piął się do góry w środowisku oficerów sił powietrznych najpierw jako dowódca podziemnej wyrzutni pocisków nuklearnych, potem jako naukowiec. Poznał Barczynskiego dwadzieścia lat wcześniej na jakimś seminarium i z niewiadomego powodu zaprzyjaźnili się. Za zgodą dowództwa sił powietrznych kilkakrotnie pełnił funkcję oficera łącznikowego Barczynskiego. Donchez prywatnie nie miał nic przeciwko Cloughowi, ale w Pentagonie szef sztabu sił powietrznych był jego najgorszą zmorą. Generał lotnictwa z doktoratem uważał, że wie wszystko o systemach wojskowych. Cloughowi wszystko wydawało się proste: okręty podwodne Trident uważał za marnotrawstwo, można je było, jego zdaniem, z powodzeniem zastąpić wyrzutniami sił powietrznych i bombowcami B-2. Lotnictwo morskie zawdzięczało swe istnienie wyłącznie polityce przydzielania funduszy państwowych po znajomości; samoloty na lotniskowcach nie dorównywały niewykiwalnym, szybkim i zabójczym myśliwcom dalekiego zasięgu należącym do sił powietrznych. Korpus marines był zbędny; jego obowiązki mogły z powodzeniem przejść siły lądowe i powietrzne oraz marynarka, wykonująca niezbyt atrakcyjne, lecz pożyteczne zadanie transportowania wojska na pola bitew. Donchez podejrzewał, że to Clough wymyślił określenia: „samolizujący się rozek lodowy” dla grup bojowych lotniskowców, „wyrzutnie pocisków zagubione na morzu” dla okrętów podwodnych Trident i „armia marynarki” dla marines. Niestety, Barczynski chętnie słuchał Clougha. Clough usiadł. Donchez mówił dalej:

- Po wyeliminowaniu generałów na niższym szczeblu dowodzenia - po tych słowach zerknął znacząco na Clougha - w Połączonych Siłach Zbrojnych ZIF zabraknie utalentowanych dowódców, co niemal natychmiast powinno doprowadzić do klęski. Na polach bitwy zapanuje wówczas chaos...

- Tak jest zazwyczaj - wtrącił Barczynski. Donchez zrozumiał podtekst. Generał wojsk lądowych walczył na polach bitew w Wietnamie i Iraku, ryzykując tam życie. Donchez... choć nie z własnego wyboru... nie.

- Sir, kiedy komandosi marynarki zlikwidują generałów: Ben Abbasa, Ramadana i Ihaffe'a, ta wojna będzie wygrana.

Clough uśmiechnął się do Doncheza.

- Pańscy ludzie przynajmniej będą mieli co robić. Pieprzę cię, pomyślał Donchez i odwzajemnił uśmiech.

- To chyba wszystko, Dick. Zawiadom mnie, co z Sihoudem.

- Tak jest, sir - odrzekł Donchez i wstał.

- Aha, jeszcze jedno - powiedział Clough do Barczynskiego i dał znak głową Donchezowi, żeby usiadł. - Nie chciałby pan zapytać admirała Doncheza o test pocisku Vortex? Słyszałem, że marynarka robi jutro strzelanie na żywo z dwoma okrętami podwodnymi.

Donchez wziął głęboki oddech i usiadł z powrotem. Zastanawiał się intensywnie, co może obchodzić Clougha pocisk Vortex, który dotąd ciągle zawodził. Chyba właśnie te niepowodzenia chciał wykorzystać przeciwko marynarce. - Myślałem, że to narada wojenna, generale Barczynski. Gdybym wiedział, że padnie takie pytanie, przyniosłbym kasety wideo, mapy morskie i plany programu „Vortex”.

Barczynski uniósł ręce, jakby chciał rozdzielić Doncheza i Clougha.

- Spokojnie, spokojnie. Dick, co to za historia z tym strzelaniem na żywo? Ten Vortex może kogoś zabić, o ile dobrze zrozumiałem raporty.

Donchez zacisnął zęby. Musiał się już tłumaczyć z fiaska operacji zlikwidowania Sihouda, a teraz Clough jeszcze go dobił, wyciągając sprawę programu „Vortex” Łatwiej byłoby to znieść, gdyby Vortex był pomysłem kogoś innego. Ale to Donchez wymarzył sobie ten pocisk, chciał go zostawić w spadku marynarce. Jak dotąd, program był pasmem niepowodzeń. Donchez otworzył neseser i wyjął dokumenty. Myślał o dwóch ostatnich latach i długiej drodze Vortexa do testu operacyjnego.

- Generale, tu jest skrót programu „Vortex”. Po tamtym nieszczęśliwym zdarzeniu sprzed kilku lat, kiedy straciliśmy „Devilfisha” pod polarną pokrywą lodową, chcieliśmy

skonstruować broń przeciwko okrętom podwodnym, która dorównywałaby rosyjskiej Magnum - wielkiej, stucentymetrowej torpedzie z głowicą nuklearną. Szczerze mówiąc, byliśmy trochę rozczarowani torpedami Mark 50, choć spisały się całkiem dobrze w walce z flotą chińską podczas operacji „Ucieczka z więzienia”, kiedy „Seawolf” oswobodził „Tampę”. Ale wtedy strzelaliśmy do okrętów nawodnych, nie podwodnych. Rezerwowa broń przeciwpodwodna, czyli AS W, lub inaczej Owsow, również użyta przeciwko Chińczykom, była wielkim przełomem, ale okazała się doskonałym zabójcą okrętów nawodnych, nie całkiem skutecznym przeciwko okrętom podwodnym. Tymczasem okręty podwodne naszych przeciwników stały się szybsze. Na przykład japońska klasa Destiny może wyciągnąć niemal czterdzieści siedem węzłów, a torpeda Mark 50 tylko około pięćdziesięciu. W dobrych warunkach okręt podwodny Destiny może uciekać przed naszą Mark 50 sunącą za jego rufą wystarczająco długo, żeby torpedzie zabrakło paliwa.

- Czy to znaczy, że nie będziemy mogli zatopić Destiny?

- Nie, sir. Mamy taktyczną przewagę nad Destiny. Nie ucieknie przed torpedą, jeśli nie będzie wiedział o jej wystrzeleniu.

- Ten Vortex to pańska inicjatywa, zgadza się, Dick? - zapytał Clough.

Donchez domyślił się, że Clough chce postawić znak równości między nim osobiście i nieudanymi testami Vortexa.

- Pomysł był mój, zgadza się. Broń, którą w końcu nazwano Vortex, otwiera nową erę w historii torped, generale Barczynski. To broń hybrydowa, pół torpeda, pół pocisk raketowy na paliwo stałe, który podróżuje do celu cały czas pod wodą. Rozwija szybkość trzystu węzłów. Nie ma przed nim ucieczki. Ma głowicę bojową pięciokrotnie większą niż Mark 50, ponad siedem ton materiału wybuchowego PlasticPac o sile eksplozji zbliżonej do kilotony trotylu przy konwencjonalnym ładunku. To optymalny system uzbrojenia do walki okrętu podwodnego z innym okrętem podwodnym.

- Tyle tylko, że eksploduje, kiedy próbuje się go użyć - dodał Clough.

- Felix - upomniał go bezbarwnym głosem Barczynski. - Mów dalej, Dick.

- Podczas pierwszych prób rzeczywiście były problemy. Odkryliśmy, że w momencie wystrzeliwania pocisku paliwo raketowe musi być gorące, to znaczy zapalone w wyrzutni. Inaczej pocisk traci stabilność. Ale takie zapalenie wymaga niewiarygodnie mocnych wyrzutni. Poza tym paliwo stałe jest bardziej lotne niż typowe paliwo raketowe i mieliśmy kłopoty, spowalniając tempo spalania. Przy wystrzeliwaniu ciśnienie przejściowe w wyrzutniach przekraczało dopuszczalną wartość, co powodowało wzdlużne uszkodzenia naprężeniowe...

- Co to znaczy? - zapytał Barczynski.

- To znaczy, że wyrzutnie się rozrywały - odparł Donchez. - Na dwanaście wystrzeżeń statycznych dziewięć było nieudanych. Zrobiliśmy szczegółowe badania trybu uszkodzeń i całkowicie przekonaliśmy broń. Nowy pocisk został nazwany Mod Bravo. Podczas dwóch pierwszych prób statycznych spisał się doskonale. Jutrzejszy test Mod Bravo będzie polegał na wystrzeleniu go na morzu z USS „Piranha”, wycofanego ze służby bojowego okrętu podwodnego klasy 637. Celem będzie stary, dieslowski okręt podwodny „Bonefish”, przystosowany dla celów testu do zdalnego sterowania.

- Chcecie wystrzelić tego Vortexa ze starego bojowego okrętu podwodnego? Czy to nie ryzykowne po tych wszystkich eksplozjach wyrzutni? Ten okręt nie zatonie?

- To się nie zdarzy, sir. Poza tym na wystrzeliwującym okręcie nie będzie załogi. Jest w pełni zautomatyzowany i nafaszerowany aparaturą. Jeśli coś pójdzie nie tak, będziemy mogli określić powód bez narażania czyjegoś życia.

- Użycie dwóch zdalnie sterowanych okrętów jest raczej kosztowne, nie uważa pan, admirale? - zapytał Clough, przerzucając papiery. - Chyba mam tu wysokość budżetu...

Donchez wstał i zwrócił się do Barczynskiego:- Jeśli to wszystko, sir, pójde do sztabu admiralicji zająć się operacją „Wczesna Emerytura”.

Wyszedł z sali, zanim Clough zdążył jeszcze coś powiedzieć.

8

Piątek, 27 grudnia

Poligon morski na wschód od wyspy Andros na Bahamach Atlantyckie Centrum Badań i Testów Podwodnych (AUTEK) Próba „Maczuga” USS..Piranha”

Kapitan Michael Pac ino zszedł z wąskiej drabinki na podest w pomieszczeniu sterowania żyroskopowego i pobiegł truchtem w lewo do drzwi torpedowni. Był po czterdziestce, chudy jak szczapa i wysoki, miał niemal metr dziewięćdziesiąt wzrostu, więc przy schodzeniu z podestu musiał się schylić. Czarne włosy zaczynały mu siwieć na skroniach. Wokół przenikliwych niebieskozielonych oczu od wieloletniego mrużenia powiek przy peryskopie utworzyły mu się zmarszczki. Miał na sobie letni, bawełniany mundur khaki z orłami na kołnierzu, podwodniackim delfinem nad lewą kieszenią i okrągłą mosiężną odznaką dowódcy okrętu bojowego pod guzikiem kieszeni. Po wejściu do torpedowni Pacino zacisnął zęby. Wyglądał teraz na rozgniewanego lub ogromnie zdeterminowanego.

Patrzył na pomieszczenie, starając się uwolnić od uczucia déjà vu, od rozbrzmiewających mu natarczywie w uszach głosów przeszłości. USS „Piranha” był bliźniakiem jego dawnego okrętu „Devilfish”. Każdy szczegół pobudzał wspomnienia, które Pacino chciał wyrzucić z pamięci - rozkład pomieszczeń, kolor, ciasne wnętrza, skromnie urządzona sterownia, nawet dziwny wilgotny zapach oleju, spalin diesla, ozonu i potu z domieszką kwasu akumulatorowego. Pacino nie mógł się pozbyć myśli, jak wygląda teraz jego „Devilfish”. Implodował od ciśnienia w głębinach czy wypełniła go w całości woda morska wlewająca się przez otwarty właz na mostku, gdy osiadał na dnie zimnego Oceanu Arktycznego prawie trzy tysiące czterysta metrów pod powierzchnią? Spoczął poziomo na kilu czy przechylony? A może utkwiał pionowo, wbił się rufą w piasek niczym włócznia? Te pytania zawsze dźwięczały w jego umyśle, ale nigdy tak uporczywie, jak teraz, we wnętrzu bliźniaka „Devilfisha”, lidera i prototypu swojej klasy okrętów podwodnych, dowodzonego we wczesnych latach siedemdziesiątych przez Richarda Doncheza.

Wydawało się w jakiś sposób właściwe, że Vortex Doncheza zostanie odpalony z okrętu, którym obecny admirał dowodził dawno temu, kiedy ojciec Pacina - przyjaciel Doncheza i jego współlokator w akademii - jeszcze żył i był kapitanem „Stingraya”, cumującego jedno nabrzeże dalej. Pacino wrócił do terażniejszości, gdy jego przewodnik, opalony komandor porucznik, przedstawił go kierownikowi testu broni.

- Doktorze Rebman, to kapitan Michael Pacino, dowódca okrętu podwodnego „Seawolf”, na którym po zakończeniu tego testu Vortexa będzie przeprowadzony następny, już z załogą. Doktor Rebman jest z laboratorium zbrojeniowego w Dahlgren i kieruje programem „Vortex”.

Rebman był ciemnowłosym, puciołowatym mężczyzną. Jego drogi szary garnitur wydawał się czymś nie na miejscu w otoczeniu maszyn i sprzętu. Nosił wąsy i kozią bródkę, być może po to, by dolna część mięsistej twarzy wydawała się mniejsza, ale w efekcie wyglądał demonicznie i śmiesznie zarazem. Kiedy usłyszał, że Pacino dowodzi „Seawolfem”, rozpromienił się.

- Kapitanie! To wspaniale, że pana poznałem! Właśnie pytałem o pana i „Seawolfa”. Jak idzie instalowanie wyrzutni Vortexow?

Pacino potrząsnął jego miękką spoconą dłonią. Nie uśmiechnął się.

- Stocznia się spóźnia - odparł bezbarwnym głosem. - Są problemy z wyrzutniami Vortexow.

Rebman zmarszczył brwi.

- Może powinienem tam pojechać po tym teście i zobaczyć, jaka jest sytuacja? Pokazałby mi pan, o co chodzi?

- Chyba tak - odrzekł Pacino, rozejrzał się po torpedowni i zatrzymał wzrok na wyrzutni Vortexa zainstalowanej przy lewej burcie. Wyrzutnia pocisku zastąpiła obie lewe wyrzutnie torpedowe. Ciągnęła się w kierunku rufy od przedniej do tylnej przegrody pomieszczenia i wystawała na zewnątrz. Musiano zlikwidować pralnię okrętową, żeby pomieścić masywną broń. Sama wielkość pocisku wystarczyła, by Pacino i załoga „Seawolfa” zniechęcili się do tego uzbrojenia. Jedna wyrzutnia Vortexa na okręcie „Piranha” zajmowała cały dolny poziom. System trzech wyrzutni na „Seawolfie” wypełniał większość przestrzeni torpedowni przy sterburcie, gdzie mieściło się dwadzieścia pięć torped. Normalną liczbę pięćdziesięciu torped „Seawolfa” zmniejszono o połowę tylko po to, żeby zrobić miejsce dla trzech pocisków, które miały tendencję do rozrywania wyrzutni. Pacino pokręcił głową i spojrzał na Rebmana. Naukowiec od minuty udzielał mu fascynującego wykładu na temat Mod Bravo. Mówił, jak bardzo różni się ten pocisk od dotychczasowego uzbrojenia i jak zrewolucjonizowałyby walkę podwodną.

- Chyba zgodzi się pan, kapitanie, że jeden podwodny pocisk rozwijający szybkość trzystu węzłów wystarczyłby panu do zatopienia przeciwnika?

- Doktorze Rebman, jeśli naprawdę jest pan ciekaw, co myślę, powiem panu. Rzadko załatwiamy wroga jednym strzałem. Nie tak wygląda walka. I byłoby miło - jeśli nie żądam zbyt wiele - gdyby pocisk można było wystrzelić bez rozwalenia wyrzutni. Wracam na „Diamonda”. Powodzenia, doktorze.

Rysy Rebmana stężały.

Pacino oparł się o drewniany reling „Diamonda” i popatrzył na lśniące niebieskozielone morze. Nad Bahamami wschodziło słońce, na zachodzie drzemała wyspa Andros. Sceneria przypominała zdjęcia z wakacyjnego folderu biura podróży. Niewiele było na świecie tak pięknie położonych poligonów morskich, przeznaczonych do testów okrętów podwodnych, jak AUTEK, ale nie wybrano tego rejonu ze względu na cudownie przezroczyste morze i wspaniałe plaże. Chodziło o pas głębokiego oceanu otoczony płycznami i wyspami. Płycizny gwarantowały, że nie podkradnie się tu żaden szpiegowski okręt podwodny strony przeciwnej, ale pas głębszej wody był na tyle szeroki, że pozwalał prowadzić walkę ćwiczebną między dwoma okrętami podwodnymi bez obawy, że zabraknie miejsca. Cały akwen monitorował trójwymiarowy system sonarowy, połączony z superkomputerem DynaCorp Frame 90, zdolnym do gromadzenia olbrzymiej liczby danych i ich szybkiego przetwarzania. Pobliska wyspa Andros nie nadawała się do wypoczynku, z

wyjątkiem miasta Andros Town; była tak skalista, że gdyby nie karłowata roślinność, przypominałaby powierzchnię Księżyca. Na jej wschodnim wybrzeżu stał kompleks budynków należący do działu systemów monitoringu dźwiękowego firmy DynaCorp. W małym osiedlu mieszkali technicy, oficerowie marynarki, inżynierowie, naukowcy i nurkowie ratownicy, potrzebni do przeprowadzania testów. Poza cotygodniowym połączeniem lotniczym z Palm Beach, wyspa była odizolowana od świata, co bardzo odpowiadało marynarce. Pacino spędził w kompleksie DynaCorp dwie noce. Nie miał nic do roboty, oprócz popijania w budynku z prefabrykatów, służącym za klub oficerski. Ucieszył się, kiedy w końcu rozpoczęto test; chciał już wrócić na „Seawolfa”. Miał mnóstwo do zrobienia i bardzo mało czasu. Musiał wydostać okręt z suchego doku i przygotować go do pierwszego załogowego wystrzelenia Vortexa na żywo. I... przekazać dowodzenie okrętem nowemu kapitanowi, przypomniał sobie. Nie chciał o tym myśleć. Wiedział, że oddanie „Seawolfa” odczuje jak rozstanie z synem...

- Kapitanie Pacino - rozległ się głos doktora Rebmana. - Może chciałby pan to zobaczyć od wewnątrz?

W mesie załogi, na krytym pokładzie za sterownią urządzono centrum dowodzenia. Przez kilka wielkich okien zainstalowanych w przegrodzie za plecami Pacina widać było kilkunastu mężczyzn wpatrujących się w osiem wielkich monitorów wideo. Pacino wszedł do pomieszczenia i niemal natychmiast okiłył się potem. Klimatyzacja nie radziła sobie z karaibskim upałem i ciepłem wydzielanym przez ludzi i ekrany wideo. Cztery monitory na przedniej przegrodzie pokazywały wypatroszone wnętrze okrętu-celu „Bonefish”. Kamera rufowa była skierowana na dziób, dziobowa na rufę. Jeszcze inna pokazywała górny pokład, spoglądając w kierunku rufy na kiosk, następna widok poniżej pokładu. We wnętrzu pustego okrętu znajdowały się tylko rzędy specjalnie sprowadzonych lamp i akumulatory do ich zasilania. Usunięto wszystkie przegrody, konsole, zawory, rury i kable, by nie zasłaniały kadłuba. Stary okręt nie miał już silników, ale pozostawiono szczątkowy system sterowania zanurzeniem. Do dziobu „Bonefisha” przymocowano linę, którą ciągnął holownik dowodzony z „Diamonda”. Sygnały wideo z kamer trafiały na „Diamonda” za pomocą telemetrii. Dane z kamer wideo były przesyłane światłowodami do modułu telemetrycznego na zdalnie sterowanym kuterze. Kamery na „Bonefishu” miały transmitować obraz nawet po detonacji pocisku, gdy okręt będzie szedł na dno.

Naukowcy chcieli przestudiować, jak okręt tonie, jak wygląda dziura, jakie zniszczenia spowodowało trafienie Vortexem - wszystko po to, by ocenić skuteczność głowicy bojowej pocisku. Szczątki kadłuba miały być wyłowione i zbadane przez ekspertów

materiałowych. Dane z trójwymiarowego sonaru zamierzano przeanalizować i zaprezentować gronu zainteresowanych osób, pokazując drogę pocisku i to, czy był stabilny po wystrzeleniu oraz czy jego trajektoria do celu była prosta i kontrolowana, czy też zygzakowata i przypadkowa.

Nie wszystkie dane przychodziły z celu. Czujne oczy techników z DynaCorp obserwowały także strzelający okręt. Dwa monitory pokazywały wnętrze okrętu „Piranha”, łącznie z grubym i długim stalowym cylindrem wyrzutni Vortexa prezentowanym pod różnymi kątami. Wyrzutnię pokrywały czujniki naprężenia i kilometry kabli. Chciano sprawdzić, jak zachowa się wyrzutnia pod dużym obciążeniem w momencie wystrzału. Dane wizualne i elektroniczne miały docierać do świata zewnętrznego przewodami wychodzącymi z tylnego krańca kiosku okrętu podwodnego i biegnącymi do unoszącej się na powierzchni morza boi, która miała przekazywać obrazy i informacje o naprężeniach w wyrzutni do centrum dowodzenia na „Diamondzie” poprzez łącze do transmisji danych. Boja miała długi zwój kabla z napinaczem sprężynowym, toteż bez względu na pozycję transmitującego okrętu podwodnego, na pokład „Diamonda” mogły stale napływać dane. Boja przesyłała również sygnały sterujące z „Diamonda” do systemu manewrowego okrętu „Piranha”. W tylnej części gorącego pomieszczenia na „Diamondzie” ulokowano konsolę sterowniczą, przy której zasiadło dwóch techników. To oni prowadzili zdalnie „Piranhę”: zmieniali jej szybkość, zanurzenie i kurs.

W przeszłości, w podobnej sytuacji, dane zebrano by również z samej broni. Głowicę bojową zastąpiono by rejestratorem danych - czarną skrzynką. Naukowcy dowiedzieliby się z niej, co widziała torpeda w każdej sekundzie swojej podróży do celu, a więc i pościgu oraz „eksplozji”. Zamiast detonacji nastąpiłby manewr wymijający. Ale w tym teście energia kinetyczna pocisku przy szybkości trzystu węzłów była tak ogromna, że po minięciu celu Vortex pędziłby dalej, gdyż nie było sposobu na zgaszenie stałego paliwa raketowego. Pocisk trafiłby w przeciwny, pionowy brzeg akwenu i zniszczyłby sensory sonarowe warte setki tysięcy dolarów. Naukowcy prowadzący test zdecydowali, że Vortex zdetonuje swoją głowicę bojową z dwóch powodów. Po pierwsze, dzięki temu uzyskali możliwość przestudiowania skutków trafienia w cel, po drugie, samodestrukcja pocisku miała uratować anteny sonarowe w akwenu.

Pacino obserwował pracę ekipy prowadzącej test i słuchał strzępów rozmów mieszających się ze sobą. W miarę jak zbliżał się moment wystrzelenia pocisku, gwar narastał. W ciągu następnej godziny „Bonfish” zniknął z powierzchni morza i pogrążył się pod kontrolą holownika w czystych wodach akwenu. Na komendę techników siedzących przy

konsoli sterującej „Piranhą” okręt z Vortexem zanurzył się i popłynął wolno do punktu wystrzelenia pocisku. Poranne przygotowania do testu trwały, dopóki słońce nie znalazło się wysoko na upstrzonym obłokami niebie. W końcu nadszedł czas finałowego odliczania.

Koszula letniego munduru Pacina była mokra od potu. Kapitan zajął miejsce przy wielkim oknie wychodzącym na akwen i czekał w napięciu. Doktor Rebman stanął obok niego. Zamiast marynarki od garnituru miał teraz na sobie biały wykrochmalony fartuch laboratoryjny. Zaczęło się odliczanie. Kiedy doszło do zera, Pacino wpatrzył się w morze, w to miejsce, gdzie holownik ciągnął cel. W pomieszczeniu zapadła cisza. Wszyscy z wyjątkiem Pacina utkwili wzrok w monitorach wideo.

Pacino zobaczył w oddali lekko pienisty ślad. Strzelający okręt był tam, gdzie on przypuszczał, że jest. Chwilę później morze na kierunku celu eksplodowało dziwnie kulistym gejzerem, z kopuły wodnej powstałej od wybuchu wystrzeliły w koło rozbryzgi. Słup wody urósł, przybrał kształt grzyba, rozrósł się, wspiął ku niebu i opadł. Potem z oddali dobiegł donośny grzmot. Zadzźwięczały szyby w oknach, potężny basowy huk poraził uszy Pacina. Kapitan uśmiechnął się, nie potrafił ukryć radości, uniósł ręce do klaskania i odwrócił się do mężczyzn zebranych w pomieszczeniu, spodziewając się, że będą tak samo uradowani sukcesem jak on.

Zamiast tego zobaczył ponure twarze. Wszyscy z niedowierzaniem wpatrywali się w dwa monitory wideo odtwarzające nagraną scenę. Rebman pochylał się nad konsolą sterowniczą w słuchawkach na uszach i krzyczał do mikrofonu na wysięgniku. Zwolnione nagranie wideo pokazywało wyrzutnię Vortexa na okręcie „Piranha”. Wyrzutnia pękła, a potem, gdy torpedownię wypełniły płomienie wydechu odpalonego pocisku, eksplodowała. W tym momencie kamera najwyraźniej przestała istnieć, bo na ekranie pojawił się „śnieg”. Monitory po prawej stronie pokazywały śmierć „Bonefisha” zarejestrowaną przez kamery wideo na okręcie-celu. Wyglądało na to, że pocisk go zatopił, ale „Piranha” też poszła na dno. Jeszcze jedno rozerwanie wyrzutni.

Rebman cisnął słuchawki na konsolę i znów stanął przy oknie obok Pacino. Kapitan bez słowa wyszedł na odkryty pokład, oparł się o drewniany reling i zapatrzył na morze, gdzie holownik ciągnął już tylko urwaną linę. Rebman dołączył do niego.

- Przynajmniej zatopił cel - powiedział Pacino.

Rebman milczał przez kilka minut, potem odezwał się tak cicho, że Pacino musiał wytężyć słuch, żeby go zrozumieć.

- To koniec „Vortexa”. Próbowaliśmy już wszystkiego. Wycofujemy się z tego programu.

Pacino milczał. Znając Doncheza, wcale nie był przekonany, że tak się stanie.

Po kilku minutach „Diamond” zawrócił i skierował się ku nabrzeżu przy kompleksie DynaCord.

Dwie godziny później Pacino leciał samolotem DC-9 należącym do marynarki do Palm Beach i zastanawiał się, ile czasu zajmie stoczniovcóm usunięcie z „Seawolfa” wyrzutni Vortexów. Miną zapewne co najmniej trzy miesiące, zanim okręt wróci do poprzedniego stanu - myślał - a wtedy już nie będę kapitanem. Fakt, dostanę dobrą posadę - któż nie zgodziłby się przyjąć awansu na kontradmirała i stanowiska dowódcy sił podwodnych Floty Atlantyckiej? Ale miał wielką ochotę jeszcze raz wypłynąć „Seawolfem” w morze jako kapitan. Sprawa Vortexów uniemożliwiła mu to. Dowodzenie okrętami podwodnymi jest dobre dla młodych, pomyślał w końcu Pacino. Mam już czterdzieści dwa lata. Trzeba iść dalej. Im szybciej się z tym pogodzę, tym szybciej przywyknę do pracy za biurkiem. Czas przestać bawić się zabawkami. Ale nie bardzo wierzył w to, co próbował sobie wmówić.

Na lotnisku międzynarodowym w Palm Beach, kiedy szedł do samolotu rejsowego, którym miał odlecieć do Norfolk, zatrzymał go chorąży w mundurze marynarki.

- Admirał Pacino?

- Kapitan, synu. Tylko kapitan.

- W wiadomości jest napisane „admirał”, sir. W każdym razie, admirał Donchez przesyła pozdrowienia i prosi pana o przybycie do Pentagonu. Czeka na pana odrzutowiec Falcon, sir.

- Wiesz, o co chodzi?

- O jakiś test broni, sir. Wiem tyle tylko.

Gdy odrzutowiec zbliżał się do Narodowego Portu Lotniczego w Waszyngtonie, pilot wykonał efektowny manewr nad Pentagonem. Pacino patrzył w dół na charakterystyczny budynek i zastanawiał się, czemu „test broni”, jest tak pilną sprawą, że Donchez nie może z nią zaczekać nawet jednego dnia.

9

Piątek, 27 grudnia

Środkowe Morze Śródziemne

Okręt Połączonych Sił Morskich „Hegira”

- Generale, jeśli pan pozwoli, streszczę to, co zostało powiedziane w naszej rozmowie, żeby się upewnić, czy kapitan al-Kunis i ja w pełni rozumiemy naszą misję - zaproponował komodor Sharef.

Pułkownik Ahmed skinął głową i wykonał zapraszający gest.

- Nie zamierza pan wrócić na front. Pozostawia pan prowadzenie wojny pańskim generałom frontowym i zostaje na pokładzie. Płyniemy przez Atlantyk do miejsca, gdzie będziemy mieli Waszyngton w zasięgu rażenia. W czasie rejsu montujemy trzy głowice bojowe Scorpion w trzech pociskach samosterujących Hiroshima wystrzeliwanych zmorzą. Po przybyciu na pozycję odpalamy Hiroshimy/Scorpiony w kierunku Waszyngtonu. Potem wracamy na tereny ZIF, pan umocni swoją pozycję, a siły Koalicji Zachodniej wycofają się. Czy wszystko się zgadza?

Sihoud spojrział na Ahmeda. Pułkownik skinął głową i odpowiedział za generała. Złamane żebra, przebite płuco i rana wzdłuż dolnej części pleców wciąż sprawiały Sihoudowi ból.

- Zgadza się, komodorze.

- Więc, jeśli wolno, wskażę kilka problemów. Po pierwsze, mogą być trudności z wydostaniem się z Morza Śródziemnego. Są tu poważne siły morskie Koalicji, łącznie z amerykańską grupą bojową lotniskowca.

- Kilka torped i droga wolna - odparł Ahmed.

- Amerykańskie grupy bojowe lotniskowca zawsze pływają w asyście jednego, czasem dwóch atomowych okrętów podwodnych. Bojowych okrętów podwodnych, które tropią i niszczą podwodnego przeciwnika. Są przeznaczone do zatapiania takich jednostek, jak nasza.

- Ma pan na pokładzie toipedy? - odezwał się po raz pierwszy Sihoud swym donośnym głosem.

- Tak, generale - odrzekł Sharef. -1 jeśli będę miał przeciwko sobie jeden okręt podwodny, może uda mi się go ominąć, jeżeli będę wiedział o jego obecności. Ale jeśli będzie miał lepsze sensory od moich i jego silniki będą cichsze niż otaczające go morze, będzie mógł nas zaatakować, zanim zdążymy cokolwiek zrobić. To jak wyścigi konne, generale. Jeśli ktoś twierdzi, że potrafi przewidzieć wynik bitwy morskiej między równymi siłami, po prostu kłamie.

- Boi się pan?

- Jest w tym ryzyko, generale Sihoud - odpowiedział Sharef. - A gdzie jest ryzyko, tam muszą być racjonalne decyzje. Jeśli będę bagatelizował problemy i zagrożenie, jak obecny tu pański doradca, źle się panu przysłużę.

Sihoud w końcu uśmiechnął się szeroko.

- Ma pan rację, komodorze. Będziemy pana słuchali, dopóki wszystkie problemy nie zostaną rozwiązane. Proszę mówić dalej.

- Wszystko, co możemy zrobić, mając przeciwko sobie wrogi okręt podwodny, to zachować maksymalną czujność i absolutną ciszę na okręcie. To znaczy nie pracować przy uzbrojeniu, dopóki nie wydostaniemy się na ocean.- Zgoda - odparł Ahmed.

- Po drugie - ciągnął Sharef - do zmontowania głowic bojowych Scoipion trzeba użyć wysoce radioaktywnych komponentów i silnych materiałów wybuchowych. Liczę na to, że Abu-i-Wafa będzie czuwał, żebyśmy nie napromieniowali załogi i nie wylecieli w powietrze. Po trzecie, te głowice mogą zawieść. Na to nie mogę nic poradzić, więc muszę założyć, że będą działały doskonale. I tu dochodzimy do problemu numer 4: jak załadujemy te pociski do wyrzutni, skoro wyrzutnie nie wchodzą do kadłuba ciśnieniowego, są szczelnie zamknięte i jednostrzałowe?

Sharef pokazał gestem al-Kunisowi, libijskiemu pierwszemu oficerowi, żeby rozłożył plany okrętu.

- Kapitan al-Kunis i ja proponujemy następujące rozwiązanie: usuniemy wodę z dziobowego zbiornika balastowego i strefy swobodnego zalewu w przedziale z uzbrojeniem i odetniemy hermetyczne pokrywy na trzech wyrzutniach pocisków Hiroshima. Zrobimy uprząż, za jej pomocą wyciągniemy pociski z wyrzutni, otworzymy je i zainstalujemy nowe głowice bojowe. Potem załadujemy pociski do wyrzutni i z powrotem przyspawamy pokrywy.

- Wydaje się to dość łatwe - ocenił Abu-i-Wafa.

- Niech pan się zastanowi - powiedział Sharef. - Praca w zbiorniku balastowym to nie zabawa zwłaszcza, kiedy okręt jest w zanurzeniu. Zbiornik jest otwarty od strony dna okrętu. Woda może wdrzeć się do środka, wystarczy mały przeciek w uszczelce kłapy upustowej lub nagły manewr. Okręt będzie płynął z maksymalną szybkością, żeby utrzymać wystarczający przepływ wody nad dziobowymi sterami głębokości i pozostać w zanurzeniu mimo wyporności zbiornika balastowego, więc każdy najmniejszy zwrot może spowodować wdarcie się wody. Nie będzie platform remontowych, światła ani wentylacji. To niebezpieczna robota. W dodatku może pójść na marne. Przy odpaleniu pocisku wyrzutnia może zawieść z powodu kiepskiego spawu. Generale, to jest hazard.

- Owszem, komodorze, jak wszystko, co jest ważne na wojnie. Coś jeszcze?

- Tak, generale. Problem numer 5. Nawet jeśli pokonamy wszystkie wymienione dotąd przeszkody, na drugim końcu Atlantyku będzie na nas czekała flota amerykańska.

- A skąd będą wiedzieli, że tam jesteśmy? - zapytał Abu. - Nie możemy pozostać niewidocznymi?

- Abu, wynurzyliśmy się, żeby zabrać generała. Widzieli nas. Wiedzą, że jesteśmy gdzieś na Morzu Śródziemnym i prawdopodobnie podejrzewają, że generał i pułkownik Ahmed są z nami. Okręty z grupy bojowej lotniskowca będą nas szukać. Jeśli przeżyjemy nieuchronne spotkanie z nimi, będą wiedzieli, że wydostaliśmy się z Morza Śródziemnego. Choćby stąd, że nie wynurzymy się tam przez następny tydzień czy dwa. To da Amerykanom do myślenia i wkrótce stworzą zaporę z okrętów podwodnych, okrętów przeciwpodwodnych i samolotów, żeby nas złapać. Jeśli nas zatopią, nie tylko powstrzymają wystrzelenie Scorpionów, ale również osiągną generała Sihouda...

- Komodorze, musi pan coś zrobić, żeby ograniczyć ryzyko - powiedział Sihoud.

- Jest wyjście. Proponuję unikać wschodniego wybrzeża Ameryki. Panie pierwszy, mapę północnego Atlantyku proszę.

Al-Kunis wyciągnął mapę, która pokazywała koło polarne i część Oceanu Arktycznego.

- Zasięg pocisku Hiroshima umożliwi nam wystrzelenie go z dala od wybrzeża. Jeśli zdążymy przygotować broń, będziemy mogli ją odpalić ze środka Atlantyku. Ale ponieważ zakładam, że przygotowanie pocisków potrwa jeszcze dłużej niż nasze pesymistyczne przewidywania, proponuję zatoczyć wielki krąg do południowego krańca Grenlandii na Morzu Labradorским. Kapitan al-Kunis zaznaczył naszą proponowaną trasę czarną taśmą. Jak pan widzi, będziemy mieli Waszyngton w zasięgu pocisku już tutaj, daleko na południe od Grenlandii. I jeśli popłyniemy pokazanym szlakiem przez Morze Labradorskie do Morza Baffina, cel pozostanie w naszym zasięgu aż do Godhavn na Grenlandii. To daje nam doskonałą drogę ucieczki na północ do Oceanu Arktycznego, z powrotem wokół Grenlandii i na południe do Gibraltaru. O tej porze roku arktyczna pokrywa lodowa sięga na południu do Ziemi Baffina, kra dyfuje do Morza Labradorskiego. Żadna flota nawodna nie będzie mogła nas tam ścigać. Zanim wynurzymy się na wschód od Grenlandii, odwołają poszukiwania, Waszyngton będzie radioaktywnym koszmarem, Koalicja Zachodnia w odwrocie... i wrócimy z udanej misji. Oczywiście jest duże prawdopodobieństwo, że wyślą za nami bojowe okręty podwodne, przypuszczalnie po wystrzeleniu przez nas pocisków. Ale jestem pewien, że poradzimy sobie z nimi, jeśli będą się z nami spotykały pojedynczo. Pod warunkiem, że wykryjemy je szybciej niż one nas.

- Więc postanowione - oświadczył Sihoud i wstał. - Jeśli to wszystko, pójdę odpocząć.

- Dobrej nocy, generale. Aha, czyja i mój pierwszy oficer moglibyśmy zamienić parę słów z pułkownikiem Ahmedem?

Sihoud wykonał zapraszający gest i wyszedł. Ahmed odwrócił się do Sharefa.- Pułkowniku, mam jeszcze inne problemy, które chciałbym omówić z panem.

- Słucham, komodorze - odpowiedział Ahmed.

- Zwracam się z tym najpierw do pana, ale jeśli się nie dogadamy, pójdę z tym do generała - oznajmił Sharef.

Ahmed zmarszczył brwi.

- Na pewno się dogadamy.

- Więc powiem wprost, pułkowniku. Pan i generał Sihoud macie nieograniczony dostęp do wszystkiego na okręcie. Możecie chodzić, gdzie sobie życzyacie, rozmawiać z ludźmi, nawet przebywać w zbiorniku balastowym podczas lądowania Scorpiona do wyrzutni, jeśli macie ochotę. Możecie oglądać wykresy nawigacyjne, słuchać wiadomości radiowych, zadawać pytania, jakie tylko chcecie. Wy dowodzicie tą misją i ten okręt jest całkowicie do waszej dyspozycji.

- Dziękuję, komodorze.

- Ale uprzedzam, pułkowniku, że choć możecie wydawać mi rozkazy i w dowolnej chwili zmieniać te lub inne elementy tej misji, sposób, w jaki ja ją realizuję, to nie wasza sprawa. Zachowuję dowodzenie tym okrętem i tylko ja decyduję, kiedy i jak odpalić pociski i jak prowadzić walkę z wrogimi okrętami. Jeśli pan i generał Sihoud spróbujecie wydawać mi rozkazy dotyczące sterowania okrętem, zignoruję je. Czy pan i generał zaakceptujecie to?

Ahmed milczał przez chwilę. Kiedy wreszcie przemówił, sprawiał takie wrażenie, jakby z trudem zachowywał spokój.

- Przekażę to generałowi Sihoudowi.

Ahmed szybko opuścił pomieszczenie i delikatnie zamknął za sobą drzwi; pouczono go, że tak właśnie należy to robić już tego dnia, gdy po raz pierwszy on i Sihoud stanęli na pokładzie.

Sharef z uśmiechem odwrócił się do al-Kunisa.

- Jesteście obaj Irańczykami, pan i on, ale chyba myślicie w różny sposób - zauważył al-Kunis, sięgnął po herbatę, pociągnął łyk i zmrużył oczy.

Sharef zastanowił się nad jego słowami. Ciemnoskóry kapitan Abdullah Latif al-Kunis miał trzydzieści siedem lat. Był nieco wyższy od Sharefa, prawie tak samo szczupły, nosił gęstą, krótko przystryżoną brodę i miał wyjątkowo duże oczy. Rzadko mówił cokolwiek, nie zastanowiwszy się najpierw. Sharef początkowo obawiał się, że będzie nieprzydatny w walce

czy innej trudnej sytuacji; ludzie ze skłonnościami do introspekcji zwykle nie potrafią szybko reagować i nie nadają się do służby wojskowej. Ale al-Kunis zaskoczył go umiejętnością podejmowania decyzji w trudnych sytuacjach, wydawał wtedy z platformy peryskopowej szybkie, choć spokojne rozkazy. Był Libijczykiem z Trypolisu i przez całą swoją karierę podwodniaka służył na dieslowskich okrętach klasy Foxtrot. Przez dwa lata poprzedzające Traktat Algierski, który zjednoczył kraje islamskie, al-Kunis dowodził libijskim Foxtrotem „Al Khyber”. Na kilka lat wybrano go na oficera sztabowego w Aszchabadzie. Tam poznał Sharefa. Kiedy powstał plan zakupu okrętu podwodnego klasy Destiny, Sharef poprosił o al-Kunisa, wywołując zdziwienie w dowództwie floty, że nie wybrał irańskiego oficera marynarki. Ale Sharef uważał, że al-Kunis, doświadczony marynarz i oficer lubiący innowacje, najlepiej nadaje się do tej roboty. Al-Kunis był kawalerem, tak jak Sharef, ale gdy okręt wychodził w morze po ostatnim postoju w Trypolisie, przyszła go pożegnać kobieta. Mogła być jego przyjaciółką, narzeczoną lub siostrą. Al-Kunis nie powiedział kim jest, a Sharef nie zapytał. Sharef wrócił myślami do Ahmeda.

- Ahmed jest sprytny, ale to lotnik, ma inne spojrzenie na sprawy. Dla pilota, który szybuje nad ziemią, wszystko jest łatwe. Dla podwodniaka, zamkniętego w stalowym więzieniu bez okien, mającego kontakt ze światem zewnętrznym tylko przez komputery Drugiego Kapitana, nic nie jest łatwe. Ale po roku pod wodą może byłby niezłym oficerem.

- Słyszał pan, że stracił rodzinę w czasie nalotu na Chah Bahar?

- Tak, bardzo się zmartwiłem, kiedy się o tym dowiedziałem - odrzekł Sharef i pochylił się nad mapą Morza Śródziemnego. - Więc gdzie są te amerykańskie okręty podwodne?

Kapitan al-Kunis dołączył do Sharefa przy mapie i postukał palcem w zachodni kraniec Sycylii, wysunięty w kierunku tunezyjskiego przylądka Bon, w pobliżu Tunisu na wybrzeżu północnoafrykańskim. „Korytarz” - Cieśnina Sycylijska - miał tylko 150 kilometrów szerokości, szlak nadający się do żeglugi podwodnej - zaledwie trzydzieści.

- Tu, w Cieśninie Sycylijskiej. Kilka okrętów patrolujących ten obszar może nas namierzyć. Mogą tu być również samoloty patrolowe. Jeśli tamci mają okręty podwodne do zamknięcia wąskiego gardła... Ale może nie są przygotowani. A gdybyśmy popłynęli przez Cieśninę Messyńską między Sycylią i włoskim butem?

- Za płytko - pokręcił głową al-Kunis. - W tej cieśninie pełno promów, szlak wodny jest za wąski. Moglibyśmy zderzyć się z jakimś promem albo wpaść na mieliznę - nie warto ryzykować. Popłynąłbym wąskim gardłem Sycylia-Tunis.

- A jeśli się uda, co dalej?

- Gibraltar. Gdyby to zależało ode mnie, ustawiłbym flotę właśnie tam, żeby złapać nas przy wyjściu.- Ale oni nie wiedzą, że opuszczamy Morze Śródziemne.

- Miejmy nadzieję, komodorze.

Sharef skinął głową, zamknął oczy i przeciągnął się.

- Będę w sterowni. Napisz plan pracy przy pociskach Hiroshima w zbiorniku balastowym. Kiedy skończysz, dopilnuj, żeby nawigator miał wykreśloną i wprowadzoną do komputera naszą zamierzoną trasę. I sprawdzaj co godzinę komputery sensorów i młodszych oficerów. Niech czuwają. Jeśli jakiś amerykański okręt podwodny wykryje nas, chcę wiedzieć o tym. Po wyjściu ze sterowni pójde na dół na parę godzin. W czasie przechodzenia przez cieśninę będę znów w sterowni. Obaj powinniśmy tam wtedy być.

USS „Augusta”

Pokład drżał lekko, ale nieprzerwanie, moc napędu powodowała wibrowanie okrętu podwodnego, płynącego przez Morze Śródziemne z maksymalną szybkością. Prędkościomierz elektromagnetyczny na konsoli w lotniczym stylu, zamontowanej na panelu sternika, wskazywał trzydzieści dziewięć węzłów. „Augusta” pędziła z tą szybkością od ponad trzydziestu godzin, od chwili, gdy w południe poprzedniego dnia nadeszła pilna wiadomość. Dzięki takiemu sprintowi okręt znajdował się już w odległości sześćdziesięciu mil morskich od Cieśniny Sycylijskiej.

Komandor Ron Daminski stał pochylony nad stołem nawigacyjnym za stanowiskiem peryskopowym w sterowni. Trzymając ołówek w zębach, stukał krzywymi palcami w przyciski kalkulatora i klął pod nosem za każdym razem, gdy nie udało mu się trafić we właściwy. Nad nim, na stanowisku peryskopowym, stał porucznik Kevin Skinnard, oparty o reling, i obserwował go uważnie. Kapitan chwycił cyrkiel, odmierzył odległość w milach morskich, przeszedł cyrklem po mapie i narysował ołówkiem kilka znaków na wąskim pasie morza między Sycylią i Tunezją. W końcu wyprostował się, zmrużył oczy i znowu spojrzał na mapę.

- I co pan myśli, kapitanie? - zapytał Skinnard.

- Kusi mnie, żeby przeprowadzić poszukiwania zaporowe w cieśninie. Mam przeczucie, że przyplyną tamtędy.

- No, nie wiem. Dlaczego ten facet miałby płynąć ze wschodniego basenu morza przez cieśninę? Czego mógłby szukać w basenie zachodnim? Zaczynam podejrzewać, że popędziliśmy kota palantowi, przypluwając aż tak daleko na zachód.

Daminski spojrzał na Skinnarda i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Kiedy przyszedł na okręt, Skinnard był cichym, nieśmiałym oficerem, prawie potakiwaczem. Po kilku miesiącach

rządów Rona Rakiety stał się niemal tak przerażający, jak sam Rakieta. Może po prostu naśladował kapitana, ale raczej zmienił się dlatego, że się przekonał, iż Daminski nie lubi potakiwaczy.

- Okay. Jesteś kalifem. Co robisz?

- Zanurzam się tutaj, u wybrzeży Krety, płynę na wschód, może przyczajam się w południowych rejonach basenu wschodniego, i kiedy zagrożenie mija, wychodzę na ląd w Egipcie albo na wschodzie Libii.

- Myślisz, że on wraca na front kairski? Skinnard skinął głową.

- Ja nie sądzę - powiedział Daminski. - Ten facet kieruje się na front zachodni w Maroku. Gdyby się wybierał do Kairu, już by tam był. Poza tym odrzutowiec nie leciałby tak daleko nad Morze Śródziemne, żeby spotkać się z okrętem podwodnym. Więc moim zdaniem, ruszył dupę do Maroka, mając nadzieję, że zanim tam dotrze, zapomnimy o nim.

- Przede wszystkim dlaczego w ogóle jest na okręcie podwodnym? Ciągle się nad tym zastanawiam. Wie, że tu jesteśmy.

- Ukrywa się. Czeka na odpowiedni moment. Gdybyśmy nie siedzieli mu na ogonie, pojawiłby się nagle w Marrakeszu i wszystkich zaskoczył.

- Więc dlaczego Cieśnina Sycylijska? Ta jego zabawka wyciąga czterdzieści siedem węzłów. - Skinnard wziął okrągły suwak nawigacyjny. - Ma już dwadzieścia sześć godzin żeglugi od punktu jego zanurzenia, więc wychodzi na to, że byłby w cieśninie dzisiaj w porze lunchu. Czyli sześć godzin temu. Jeśli wybrał tę cieśninę, już dawną ją przepłynął.

- Skinnard, jesteś kapitanem okrętu podwodnego z ukrywającym się rządowym VIP-em na pokładzie i masz rozkaz dotrzeć potajemnie do Maroka. Z jaką szybkością płyniesz, żeby za bardzo nie hałasować i nie dać się namierzyć? Z maksymalną, czterdziestu siedmiu węzłów?

- No, nie, sir. Pewnie dziesięciu, może piętnastu węzłów. Spokojnie i bez zbytniego hałasu.

- Zgadza się. Co oznacza, że dotrzemy do cieśniny co najmniej kilka godzin przed Destiny.

- Ale, sir... nie mówił pań tego na odprawie.

Daminski milczał przez chwilę, wiedział, że został przyłapany, ale nie okazał żadnego zmieszania.

- Nie, Skinnard - odparł kwaśno. - Czy muszę zdradzać wam każdą moją myśl?

Skinnard uśmiechnął się. - Nie, sir. Więc chce pan przeprowadzić poszukiwania zaporowe?

- Właśnie tak. Z południowego zachodu na północny zachód. Według wzoru kokardy. Tutaj. - Daminski narysował na mapie kokardę blokującą głęboki szlak wodny w Cieśninie Sycylijskiej. - Za godzinę zwolnij do dziesięciu węzłów, zarządz ciszę taktyczną na okręcie i wypuść cienkoprzewodową antenę holowaną. I pół godziny przed przybyciem ma miejsce obsadź stanowiska wachtowego zespołu kierowania ogniem. Zastawimy fajną pułapkę na tego skurwysyna.

- Tak jest, sir - odpowiedział Skinnard i patrzył przez moment, jak kapitan na wpół kuśtyka do wyjścia ze sterowni. Zastanawiał się, jak, do cholery, złapią pojedynczy okręt podwodny na rozległym Morzu Śródziemnym, jeśli ten okręt zdecyduje się zostać w basenie wschodnim. Jeśli Daminski się myli, to będzie długi patrol na darmo. A jeśli ma rację i Destiny jest taki dobry, jak wydaje się sugerować wywiad, to będzie krótki patrol. Bardzo krótki patrol.

Sięgnął po mikrofon wiszący na spiralnym przewodzie nad platformą pesyskopową.

- Sonar, tu platforma - warknął. - Meldować o wszystkich kontaktach.

Strefa E w Pentagonie Gabinet szefa operacji morskich

Odkąd Pacino pamiętał, biura admirała Doncheza zawsze były urządzone okazale, ale wspaniałości tego gabinetu nie mógł ogarnąć jednym spojrzeniem. Zwłaszcza że gdy tylko tu wszedł, admirał zasypał go pytaniami o zdrowie, okręt, rodzinę i mnóstwo innych rzeczy, tylko nie wyjaśnił, dlaczego wezwał go do Waszyngtonu. Pacino zapalił cygaro hawańskie, które Donchez wyjął ze skrzyneczki, i cały pokój zasnęła aksamitna mgielka. Adiutant wniósł parującą kawę.

- Smakuje ci kawa, Mikey? Specjalnie importowana z Kolumbii.

- Doskonała, admirale - odrzekł Pacino i spojrzał na Doncheza. Zauważył, że wiek w końcu odcisnął piętno na dawnym współlokatorze jego ojca z czasów akademii. Ale energia nie opuściła Doncheza.

- Jakie to uczucie być admirałem Pacino, Mikey?

- Nadal jestem kapitanem, sir. Do zatwierdzenia mojego awansu zostało jeszcze kilka miesięcy. O ile go zatwierdzą.

- Jeszcze kilka miesięcy i zaczniesz pracować na swoją drugą gwiazdkę. W dzisiejszych czasach niewielu admirałów nosi Krzyż Marynarki. A skoro już o tym mowa, bez niego jesteś jak bez munduru.

Pacino zerknął na swoją pierś z czterema rzędami baretek, złotymi delfinami podwodniaka nad nimi i odznaką dowódcy okrętu bojowego pod nimi. Wstążeczki Krzyża Marynarki brakowało. Choć Donchez zaprzeczyłby temu, Pacino zawsze uważał ten medal za coś w rodzaju nagrody pocieszenia za zatonięcie „Devilfisha”.

- Wie pan, admirale, że chyba zamieniłbym gwiazdkę admiralską na możliwość dowodzenia „Seawolfem” jeszcze przez rok. Ale pewnie nie mógłby pan tego załatwić...

- Marynarka ma wobec ciebie inne plany, Mikey. Poza tym, dowodzenie siłami podwodnymi Floty Atlantyckiej pozwoli ci zapomnieć o „Seawolfie”. Zresztą, twój następca - Joe Cosworth, zgadza się? - doskonale sobie poradzi. Czas, żeby ktoś inny rządził na najlepszym okręcie naszych sił podwodnych. Nie możesz tego robić wiecznie.

- Pewnie ma pan rację.

Pacino spojrział na starszego mężczyznę. Chciał go zapytać o sytuację na frontach, lecz zdał sobie sprawę, że odpowiedź byłaby nieprzyjemna i zrezygnował z tego zamiaru.

- Ale do rzeczy. Słyszałem, że doktor Rebman zwinął interes. Widziałeś test Vortexa. Co o tym myślisz?

- No, cóż, sir... Pozytywne jest to, że po trafieniu pociskiem cel przestał istnieć. Po eksplozji utworzył się obłok w kształcie grzyba... Czuję się jak na atolu Bikini podczas testu broni nuklearnej. Po uderzeniu Vortexa z nieprzyjacielskiego okrętu podwodnego nic by nie zostało.

- Wiedziałem. Toipeda to przeżytek. Vortex może posłać wroga do piekła, zanim tamten zdąży się zorientować, że w ogóle ktoś do niego strzela. Rosyjska torpeda Magnum wygląda przy nim prymitywnie.

- Tak jest, sir.

- Coś jeszcze?

- Pewnie pan słyszał, sir. „Piranha” zatonała. Przy odpaleniu Vortex rozerwał wyrzutnię.

- Wiem. I wiem, że masz pomysł, jak rozwiązać ten problem.

- Słucham, sir?!

- Dlatego cię tam wysłałem. Jesteś inżynierem mechanikiem z tytułem doktorskim. Na pewno nagryzmoliłeś kilka równań na kopercie i znalazłeś rozwiązanie.

- Przykro mi, sir, ale po prostu obserwowałem test jak wszyscy.

- Daj spokój, Mikey. Wiem, że nie cierpisz Vortexa. Zajął ci prawie całą torpedownię i jest cholernie nieprzewidywalny. To jak spanie z granatem.

Pacino spojrział Donchezowi prosto w oczy. On sam określił to nieco inaczej: „jak spanie z granatem bez zawlecзки”. Ale różnica była niewielka. - Mikey, z tym uzbrojeniem nie potrzebujesz mieć pięćdziesięciu torped. Jeden strzał załatwia sprawę. Sześcioma Vortexami możesz zatopić sześć okrętów podwodnych, raz za razem. W dawnych czasach wypuszczaleś salwę poziomą i pionową i miałeś nadzieję, że cel wszedł ci w stożek poszukiwań. Ta rzecz nie ma stożka poszukiwań, dla niej cały ocean jest stożkiem poszukiwań. A teraz mów, co zrobić, żeby to cholerstwo działało.

- Wyrównać ciśnienie w wyrzutniach...

Pacino od dnia, w którym zobaczył test, oczywiście myślał nad odpowiedzią na to pytanie, bo spodziewał się, że Donchez może je zadać. Ale nadal nie cierpiał Vortexa.

- Co?!

- Wystrzeliwuje pan raketę na paliwo stałe z zamkniętego cylindra z tonami wody u jego wylotu. Wyrzutnie rozrywają się dokładnie tak, jak rozerwałaby się lufa działa, gdyby w naboju było za dużo prochu. Trzeba obniżyć ciśnienie w tylnej części wyrzutni, odprowadzając je rurą upustową do morza. Zapłon paliwa raketowego nie wytworzy fali ciśnieniowej, która rozerwie wyrzutnię, tylko spowoduje wypchnięcie mą upustową pary i wydostanie się gazów na zewnątrz. Ciśnienie w wyrzutni nie przekroczy dopuszczalnej granicy naprężenia. To dość oczywiste. Domyślałem się, że pański zespół konstrukcyjny odrzucił to rozwiązanie z jakiegoś ważnego powodu.

- Tylko tyle? Wystarczy otworzyć rurę upustową na tym końcu wyrzutni, gdzie jest zamek?

- To nie wszystko. Zrobiłem kilka obliczeń... - Pacino spojrział na Doncheza; admirał się uśmiechnął. - Rura upustowa musi mieć średnicę wyrzutni. Musi powstać długi kanał z pociskiem w jego przednim końcu. Przy odpaleniu pocisku gazy wylotowe wydostaną się tylnym końcem kanału poza kadłub ciśnieniowy i ciąg rakiety wyniesie pocisk na zewnątrz.

Donchez odchylił się do tyłu.

- Program „Vortex” jest uratowany...

- Niezupełnie, admirale. Wyrzutnie już zajmują połowę topedowni. Ich kanały przedłużające zajmą następne dziesięć metrów, średnica wewnętrzna wynosi jeden metr. To cholernie duża przestrzeń. Na pokładzie nie ma tyle miejsca. Będzie pan musiał zaprojektować całkiem nową generację okrętów podwodnych do upchnięcia tych macior, bo po zainstalowaniu kanałów na klasie Los Angeles nie zmieszczą się tam albo reaktory, albo ludzie, albo elektronika. Vortex jest po prostu za wielki.

- Albo moglibyśmy zainstalować wyrzutnie na zewnątrz - podsunął Donchez.

- Jasne, żeby stracić na szybkości i zwiększyć emisję hałasu. Wydaliśmy setki milionów dolarów, żeby „Seawolf był najcichszym okrętem podwodnym, jaki w ogóle można zbudować, a teraz chce pan zamontować na wierzchu wyrzutnie, rury, wsporniki, zawory i zakłócić rezonanse indukowane przepływowo. Wprowadzenie czegoś takiego do floty podwodnej, którą mamy obecnie, nie ma sensu.

Starszy mężczyzna westchnął ciężko.

- Chyba masz rację, Mikey. Przepraszam, że wezwaliśmy cię z urlopu. Pacino uznał, że może sobie pozwolić na wspaniałomyślność.

- Sir, Vortex to cholernie dobry system uzbrojenia - zapewnił. - Problemy da się rozwiązać, ale potrzebna jest do tego następna generacja okrętów podwodnych. Pan po prostu wyprzedza obecną technologię.

Donchez wykonał dłonią pożegnalny gest. Miał twarz bez wyrazu.

- Dzięki za wizytę, Mikey.

Godzinę później odrzutowy Falcon Doncheza oderwał się od południowo-zachodniego pasa startowego w Narodowym Porcie Lotniczym w Waszyngtonie i skierował do bazy lotnictwa marynarki wojennej w Norfolk. Pacino nalał whisky Jack Daniel's do szklanki z lodem i zamknął oczy. Czuł się fatalnie wobec Doncheza, człowieka, który był najbliższym przyjacielem jego ojca, odegrał wielką rolę w jego własnej karierze, wydobył go z dna czarnej rozpaczki trzy lata temu po zatonięciu „Devilfisha” i powierzył mu dowodzenie najlepszym bojowym okrętem podwodnym marynarki, „Seawolfem”.

Whisky była dobra, ale nie na tyle dobra, by zdołała poprawić kapitanowi nastrój.

10

Piątek, 27 grudnia

Cieśnina Sycylijska USS „Augusta”

Na okręcie obowiązywała cisza taktyczna.

Lampy fluorescencyjne w całej części dziobowej okrętu przełączono na czerwone światło, żeby załoga pamiętała, że trzeba lekko stąpać i nie wolno hałasować. Wyłączono lewą stronę instalacji parowej, jeden silnik główny, generator turbinowy oraz sześć pomp obsługujących tę połowę układu napędowego. Pompy główne chłodziwa generatora pracowały z minimalną wydajnością i zredukowaną częstotliwością i ledwo przetłaczały wodę przez rdzeń. Śruba obracała się z szybkością zaledwie trzydziestu obrotów na minutę, zapewniając okrętowi tylko taką prędkość, by był sterowalny w zanurzeniu.

Pełniący wachtę nosili słuchawki z mikrofonami połączone z liniami telefonicznymi dowodzenia. Radiowęzeł wyłączono, gdyż komunikaty mogłyby być słyszalne na zewnątrz kadłuba. Obowiązywał zakaz używania butów z twardymi podeszwami. Kuchnia była nieczynna. Wieczne racje żywnościowe miały postać półmiska zimnych mięs i talerza białego chleba, choć ekspresy do kawy nadal pracowały pełną parą. Pysznice były zamknięte. Odparowywacz służący do otrzymywania wody pitnej z wody morskiej unieruchomiono na jakiś czas. Wentylatory obracały się wolno, codzienne basowe dudnienie okrętu teraz niemal ucichło.

Okręt holował na dwupółkilometrowej linii cienkoprzewodową antenę TB-3 systemu sonarowego AN/BSY-1 Busy One. Hałas płynącej przodem „Augusty” był słaby i odległy, holowana antena wytężała elektroniczne uszy, nasłuchując specyficznych tonów, które powinien emitować okręt podwodny klasy Destiny. Daminski spodziewał się go w cieśninie lada chwila. Antena sferyczna ulokowana w dziobie okrętu - stalowa kula o średnicy czterech i pół metra pokryta hydrofonami - chłonęła odgłosy morza, odbierając dźwięk szerokopasmowy podobnie jak ucho ludzkie. Antenę sferyczną wspomagało sześć anten kadłubowych, dużych zestawów hydrofonów rozmieszczonych na poszyciu okrętu. Skuteczność każdego z zestawów ograniczał częściowo hałas dobiegający z wnętrza kadłuba ciśnieniowego własnego okrętu, mimo to wszystkie były użyteczne.

W ciasnej sterowni pół wielkiego blatu stołu nawigacyjnego zajmowała mapa morska cieśniny. Po jej powierzchni przesuwiała się wiązka światła skierowana ku górze i tworząca siatkę celowniczą, tak zwany „robak”. Poruszały nim serwomotory w tempie proporcjonalnym do aktualnej szybkości okrętu. Przez ostatnią godzinę „robak” wędrował po liniach tworzących kształt kokardy w poprzek cieśniny - trasą poszukiwań zaporowych. Każda jednostka płynąca przez cieśninę zostałaby wykryta. W wypadku okrętu podwodnego klasy Destiny problem polegał nie na tym, czy zostanie w ogóle namierzony, lecz na tym, czy „Augusta” usłyszy go wcześniej niż on ją.

W sterowni funkcję oficera pokładowego pełnił główny mechanik, komandor porucznik Mark Berghoffer. Spacerował po pomieszczeniu i co kilka minut zatrzymywał się przy stole nawigacyjnym, żeby sprawdzić, czy okręt utrzymuje kurs poszukiwawczy. Potem podchodził do ekranu sonaru nad konsolą pierwszego stanowiska kierowania ogniem w centrum ataku, wreszcie pochylał się nad ekranem chorążego Jamiego Fernandeza na stanowisku drugim, gdzie monitor pokazywał widok cieśniny z lotu ptaka z „Augustą” w środku ekranu.

Komandor Ron Daminski od chwili gdy „Augusta” dotarła do cieśniny, biwakował w kabinie sonarowej. Bosman Bruce Hillsworth, ubrany w swój sweter Royal Navy z wyhaftowanymi na piersi delfinami podwodniaka, krzywił się z niesmakiem, w końcu zapędził intruza do roboty. Daminski siedział przy przedniej konsoli z czterema panelami, miał słuchawki na uszach i trzymał ręce blisko klawiatury. Hillsworth - również ze słuchawkami na uszach - sterczał nad nim i dyrygował zmianami obrazów na monitorze komputera. Czasami nakazywał kapitanowi poruszyć kulistym sterownikiem i naprowadzić kursor na określony kierunek, żeby posłuchać dźwięku szerokopasmowego. Trzy inne wyświetlacze systemu sonarowego BSY-1 pokazywały wykresy natężenia dźwięku w stosunku do częstotliwości, szukając w różnych zakresach częstotliwości tonów, które powinien emitować cel klasy Destiny. Bosman Hillsworth studiował każdy zakres częstotliwości przez pięć minut, czasem dłużej, ale na razie w każdym znajdował tylko przypadkowe hałasy.

Morze wokół nich było puste.

Daminski spojrział na wyświetlacz szerokopasmowy, gdzie jasna linia przesuwiała się w dół ekranu krótkookresowego. Zmrużył oczy, sięgnął do kulistego sterownika kursora i skierował wiązkę anteny sferycznej na kurs jasnego śladu. Kiedy linia kursora pokryła się ze śladem, zamknął oczy i zaczął nasłuchiwać.

Ale usłyszał jedynie gwałtowne odgłosy wydawane przez krewetki. Skrzywił się, zawiedziony i odwrócił do Hillswortha.

- Tylko ryby rozrabiają.

- Bez obaw, kapitanie. Zjawi się. A kiedy się zjawi, usłyszymy go.

- Miejmy nadzieję, że wcześniej niż on nas - odrzekł Daminski i wrócił do poszukiwań sonarowych.

OPSM „Hegira”

W przestronnej zazwyczaj sterowni stłoczyła się większość oficerów. W pomieszczeniu dominowała okrągła platforma peryskopowa z fotelem obserwacyjnym, który mógł się obracać po kolistym torze, gdy peryskop był wysunięty. Teraz, w głębokim zanurzeniu, złożony fotel spoczywał w niewielkiej skrzynce, która, przykryta poduszką, służyła kapitanowi za siedzące stanowisko dowodzenia.

Przejście przez cieśninę wymagało nadzwyczajnej mobilizacji dowództwa. Komodor Sharef obsadził stanowiska bojowe, zgromadziwszy w zatłoczonym pomieszczeniu dwunastu ludzi. On sam stał przy komputerowym stole nawigacyjnym - jak nakazywała tradycja, był oficerem kierującym atakiem. Obok niego zajął miejsce pierwszy oficer al-Kunis. Pełnił

funkcję koordynatora walki i odpowiadał za działania całego zespołu. Przy peryskopie stał komandor Omar Tawkidi, nawigator i trzeci w łańcuchu dowodzenia, Pełnił obowiązki oficera pokładowego. Komandor porucznik Aby Haddad, starszy oficer wachtowy, był młodszym oficerem pokładowym. Cztery starsi oficerowie czuwali nad funkcjonowaniem obsługi uzbrojenia, sterowania, reaktora i sensorów. Na każdym ze stanowisk dwaj oficerowie siedzieli przy konsolach z wyświetlaczami Drugiego Kapitana. Tylko na stanowisku obsługi sensorów było ich czterech. Śledzili analizowane komputerowo dane, nadchodzące z wielkich anten kadłubowych i stabilizowanej żyroskopowo holowanej anteny linearnej.

Gdy okręt zbliżył się do cieśniny, komodor Sharef kazał zmniejszyć szybkość do minimalnej - tylko takiej, jaka była niezbędna do utrzymania anteny na holu. On i al-Kunis zajęli pozycje przy obsłudze sensorów i obserwowali wyświetlacze systemu sonarowego.

- Nic? - zapytał Sharef podporucznika al-Maariego, oficera obsługi sonaru przy jednym z wyświetlaczy. Młody podporucznik spojrzał na Sharefa, pokręcił głową i odwrócił się do swojego wyświetlacza.

- Oficer pokładowy, wykonać dezynfekcję Drugim Kapitanem.

- Tak jest - odpowiedział Tawkidi i odwrócił się do konsoli sterowniczej. - Sternik, dziesięć kilometrów i przygotować się do dezynfekcji. Obsługa reaktora?

- Reaktor gotowy - zameldował oficer mechanik.

- Dziesięć kilometrów - zameldował oficer sternik.

- Maszyny stop. Obsługa reaktora, przeprowadzić dezynfekcję! - zawołał Tawkidi.

Termin „dezynfekcja” zapożyczono z dawnej taktyki radzieckiej, którą Połączone Siły Morskie ZIF odziedziczyły, nabywając okręty podwodne Victor III. Ów termin określał rosyjską taktykę bojowego okrętu podwodnego, eskortującego z portu okręt podwodny z pociskami balistycznymi. Żeby się upewnić, że tropem okrętu z pociskami balistycznymi nie płyną jakieś amerykańskie bojowe okręty podwodne, rosyjski okręt eskortujący przeprowadzał dokładne poszukiwania przeciwpodwodne wokół okrętu z pociskami, czyli dezynfekował go. Tę taktykę nadal stosowano na okręcie klasy Destiny, gdzie komputer Drugi Kapitan firmy Yokogawa potrafił przeprowadzić samodezynfekcję, wyłączając cały układ napędowy, by hałas własnego okrętu nie przeszkadzał systemom sonarowym w nasłuchu.

Przy konsoli obsługi reaktora oficer mechanik wprowadził polecenie wyłączenia reaktora, opuszczając pręty regulacyjne do rdzenia chłodzonego ciekłym metalem, dopóki reaktor nie osiągnął stanu podkrytycznego i nie przestał oddawać ciepła do cyrkulującego chłodziwa. Pompy magneto hydrodynamiczne w układzie chłodzenia wyłączyły się i przerwany został przepływ ciekłego sodu, działającego jako awaryjny czynnik chłodzący,

który chronił rdzeń przed stopieniem przez ciepło szczątkowe. W następnym przedziale w kierunku rufy generatory turbinowe przestały się obracać z braku pary w ich kotłach. Potem zamknęły się wielkie automatyczne zawory odcinające i odizolowały zbiorniki pary. Później wyłączyły się pompy kondensacyjne i zasilające na niższym poziomie. Instalacja elektryczna, która została pozbawiona dopływu prądu z generatorów turbinowych, przełączyła się na pobór energii z akumulatora w najdalszym przedziale rufowym i okręt przeszedł wyłącznie na zasilanie akumulatorowe. Gdy maszyny główne „Hegiry” ucichły, system komputerowy zanurzonego okrętu skoncentrował się na nasłuchiwanie odgłosów morza. Kiedy okręt podwodny dryfował w cieśninie na głębokości czterystu metrów, stosunek sygnałów do innych odbieranych dźwięków zdecydowanie się poprawił.

Tylko tysięczna część docierających z morza dźwięków miała znaczenie: resztę stanowiły dźwięki przypadkowe lub odgłosy życia, wydawane przez morskie stworzenia. Odgłosy nieprzypadkowe, które słyszał komputer, wydawały statki handlowe. Było ich pięćset razy więcej niż okrętów wojennych. Czasem trafiał się okręt wojenny, wykrywany z dużej odległości po odbiciu dźwięku od dna, ale rzadko okręt podwodny, gdyż w całej światowej marynarce wojennej niespełna jeden taki okręt przypadał na pięćdziesiąt nawodnych. Większość okrętów podwodnych miała napęd dieslowski, mały zasięg i służyła do obrony wybrzeży. Wykrycie atomowego okrętu podwodnego przy pierwszej detekcji byłoby czymś niezwykle dziwnym na patrolu, jeśli tak dałoby się nazwać tę dziwną misję.

Sharef kilka razy stuknął w klawiaturę. W górę ekranu sunął nowy biały ślad. Był spodziewanym odgłosem amerykańskiego bojowego okrętu podwodnego klasy Los Angeles. Ślady na ekranie pięć - i dziesięciominutowym przy zlikwidowanym hałasie własnego okrętu bardzo przypominały oczekiwaną białą krzywą. Krzywe nigdy nie pokrywały się całkowicie, ale zwykle nawet najmniejsze podobieństwo wystarczyło do sklasyfikowania celu. W tym wypadku sprawa była oczywista.

- Kontakt sprecyzowany - zameldował Tawkidi od jednej z przednich konsoli z wyświetlaczami. - Śruba siedmiołopatowa, brak kawitacji, wysokie ciśnienie, pompy wysokoprzepływowe, ton turbiny elektrycznej sześćdziesiąt jeden cykli. Kontakt jest zanurzony, kierunek trzy jeden zero. Duża odległość. Detekcja może być odbiciem od powierzchni; mamy dobry kanał dźwiękowy w dół do siedmiuset metrów.

Sharef zerknął na chronometr okrętowy. Zintegrowanie danych sonarowych potrzebnych do znalezienia czekającego na nich okrętu podwodnego zajęło dwanaście minut. Wadą modułu zasilania „Hegiry” były niewielkie rozmiary akumulatora. Przy ogromnym

obciążeniu superkomputerem Yokogawa Drugi Kapitan i minimalnym obciążeniu wentylacją, akumulator wystarczał tylko na dwadzieścia minut dezynfekcji.

- Moc akumulatora? - zapytał Sharef.

- Zostało dwadzieścia procent - odpowiedział operator reaktora. Sharef zmarszczył brwi.

- Ile to czasu?

- Może jeszcze pięć minut - odrzekł oficer mechanik. - Potem będziemy musieli z powrotem włączyć reaktor.

- Oficer pokładowy, będziesz mógł utrzymać kontakt przy ponownym rozruchu reaktora?

Tawkidi zmarszczył czoło nad konsolami sensorowymi. Czterej inni członkowie wachty koncentrowali się na ekranach.

- Chyba tak, komodorze. Komputer ma teraz określony ślad. Kontakt - przy takiej odległości, w jakiej jest - pozostanie w granicach kilku stopni od kierunku początkowej detekcji. Poradzimy sobie z tym.

- Bardzo dobrze. Włączyć ponownie reaktor i wmanewrować okręt w zasięg celu, potem przygotować się do ataku torpedowego.

Po kilku chwilach systemy zasilane przez reaktor znów pracowały i komputery mogły pozostać na namiarze emisji sonarowej celu. Sharef poprowadził „Hegirę” w poprzek linii wzroku do wrogiego okrętu i ustalił zasięg paralaksy na dziewięćdziesiąt dwa kilometry - ekstremalnie dużą odległość detekcji, na granicy odbioru sonaru.

- Jak blisko chce pan podejść, zanim oddamy strzał? - zapytał al-Kunis.

- Tak blisko, żebyśmy nie chybili. Cierpliwości, panie pierwszy. Podpłyniemy na odległość czterdziestu kilometrów, potem wystrzelimy.

Sharef i al-Kunis podeszli do stołu nawigacyjnego. Obserwowali, jak na mapie samoczynnie wykreśla się kierunek do celu. Błyskający punkt oznaczał wrogi okręt w północno-zachodnim wejściu do cieśniny, oddalony o ponad dziewięćdziesiąt kilometrów. Sharef przeczesał palcami włosy. Zastanawiał się, ile jeszcze okrętów podwodnych będzie musiał odnaleźć, zanim uda mu się wydostać z Morza Śródziemnego.

- Status uzbrojenia?! - zawołał do oficera pokładowego.

- Wyrzutnie dużego kalibru od drugiej do szóstej wyrównane do ciśnienia morskiego, wrota pokryw dziobowych otwarte, torpedy Nagasaki rozgrzewają się - zameldował Tawkidi, zerkając na wyświetlacz statusu uzbrojenia. - Będziemy gotowi do wystrzelenia za niecałą minutę.

- Bardzo dobrze. Wyrównać ciśnienie i otworzyć wrota pokrywy dziobowej wyrzutni jedenastej. Rozgrzać Dash Five.

Tawkidi wydał rozkazy oficerom siedzącym przy panelach uzbrojenia, potem spojrzał na Sharefa.

- Myśli pan, że powinniśmy użyć naszego jedyne go wabika?

W tym momencie do pomieszczenia weszli Ahmed i generał Si-houd.

- Rozgrzać wabik Dash Five - powtórzył Sharef, patrząc na gości. - Jest nam potrzebny.

USS „Augusta”

Daminski koncentrował się na kierunku jeden jeden zero, wybranej wiązce szerokopasmowej anteny sferycznej. Do jego słuchawek docierało brzmienie białego szumu i mieszanka odgłosów morza - szumu fal, odległych głosów stad delfinów, syku krewetek, dudnienia dna morskiego - i zapewne dudnienia w jego własnym uchu wewnętrznym. Przypominało to słuchanie muszli przyciśniętej do ucha. Zamierzał właśnie na chwilę zdjąć słuchawki, gdy poczuł klepnięcie w ramię.

Za jego fotelem z wysokim oparciem stał radiowiec wachtowy z klip-bordem.

- Poproszę o wiadomość o kontakcie, kapitanie. OOD powiedział, że chce pan ją załadować do boi SLOT.

Skrót SLOT oznaczał nadajnik wystrzeliwany z okrętu podwodnego - boję wielkości kija baseballowego, którą można było wypuścić z wyrzutnika sygnałowego. Boja unosiła się na powierzchni morza i nadawała na UHF-ie wiadomości do satelity, eliminując konieczność podchodzenia okrętem na głębokość peryskopową. Daminski wiedział, że to oszustwo, ale się tym nie przejmował. Miał rozkaz nadać szczegółowy meldunek o kontakcie, kiedy wykryje Destiny. Przed jego spotkaniem z wrogim okrętem Pentagon chciał wiedzieć, czy lokalizacja Destiny została dokładnie określona i zgłoszona, żeby w wypadku, gdyby coś poszło źle, można było wysłać na miejsce hastępnajednostkę do zatopienia okrętu podwodnego ZIF. Obowiązek nadawania wiadomości stanowił niezwykle ciężkie brzemie dla okrętu podwodnego próbującego podkraść się do przeciwnika. Nadanie meldunku o kontakcie oznaczało podejście na głębokość peryskopową na trasie ruchu statków handlowych, wysunięcie anteny Bigmouth i transmisję wiadomości, której napisanie mogło trwać pięć minut. Trzeba było potwierdzić pozycję kontaktu i przekazać wszystkie inne bzdurne szczegóły potrzebne oficerkom na tyłach: stosunek sygnału do szumów, pierwszą wykrytą częstotliwość, kierunek i odległość kontaktu, jego kurs, szybkość i tak dalej. Okręt

niepotrzebnie tracił czas i powodował zbędny hałas, podchodząc na głębokość persyskopową, transmitując i zanurzając się z powrotem, przed rozpoczęciem ataku.

Ale rozkaz to rozkaz. Dlatego Daminski zdecydował się na oszustwo. Postanowił z wyprzedzeniem napisać meldunek o kontakcie, którego się spodziewał i zawczasu załadować wiadomość do boi SLOT. Mógł ją wystrzelić z głębin jednym naciśnięciem guzika bez przerywania ataku, a potem dalej zajmować się zatopieniem okrętu podwodnego ZIF. W końcu jedyną rzeczą, której naprawdę potrzebowali tamci na górze, była informacja, że „Augusta” ma kontakt na przybliżonej pozycji i prowadzi atak. Wszelkie inne informacje mogli otrzymać dopiero wtedy, kiedy zostanie załatwiona sprawa.

Daminski nagryzmołił na klipbordzie kilka linijek:

Data/godzina: Log transmisji w chwili detekcji boi U HF Pilne

Od: USS „Augusta” SSN-763

Do: Głównodowodzącego Siłami Morskimi na Morzu Śródziemnym Dotyczy: meldunek o kontakcie Ścisłe tajne - „Wczesna Emerytura”

1. Meldunek o kontakcie jak następuje:

2. Przybliżona pozycja w Cieśninie Sycylijskiej: szer. geograf. November trzydzieści siedem stopni trzynaście minut, dług. geograf. Echo jedenaście stopni dwadzieścia jeden minut, z poprawką na pozycję boi UHF.

3. Przeprowadzamy atak.

4. Dalsze szczegóły nadejdą.

Daminski przeczytał swoją wiadomość. Podobało mu się zwłaszcza „przeprowadzamy atak”.

- Pokaż to oficerowi pokładowemu, potem zakoduj w boi SLOT. Chcę, żeby była załadowana do wyrzutnika sygnałowego za pięć minut.

- Tak jest, sir.

Radiowiec wziął klipbord i zniknął. Daminski z powrotem włożył słuchawki i odwrócił się do konsoli, znów ktoś mu jednak przeszkodził. Tym razem bosman Hillsworth.

- Kapitanie, lepiej niech pan to sprawdzi - powiedział i postukał w klawiaturę Daminskiego. Dolny obraz wodospadowy widma szerokopasmowego zniknął i pojawiło się kilka wykresów natężenia dźwięku w stosunku do częstotliwości. Wykres sto pięćdziesięciu czterech herców na środku wyglądał jak dziecięcy rysunek dwóch bliźniaczych pagórków.

- Dublet - odrzekł Daminski. - Dokładnie tam, gdzie powinien być według starego SPL, minus jeden cykl. Dobrze, że rozszerzyliśmy zakresy, zgadza się, bosmanie?

- I tak byśmy to znaleźli, kapitanie.

Mężczyźni patrzyli, jak rośnie wysokość bliźniaczych wzgórz na wykresie: stają się górami, potem kolumnami, wreszcie długimi kolcami. Żadna ryba ani jakiegokolwiek zjawisko natury nie emitowały takich czystych dźwięków. Tony były tworem człowieka. Wydawała je maszyna. Okręt podwodny.

- Ładna erekcja sutków na tym dziwolągowym wykresie, co, bosmanie? - zagadnął Daminski, żeby podroczyć się ze sztywniakiem Hillsworthem. - Mogę nadać meldunek?

Hillsworth skinął głową. Daminski przysunął do ust mikrofon na wysięgniku.

- Platforma, tu sonar. Nowy kontakt wąskopasmowy, oznaczenie Sierra Cztery, podwójna częstotliwość jeden pięć cztery herców, przybliżony kierunek jeden trzy zero, zanurzony okręt wojenny.

- Sonar, tu platforma. Przyjąłem. Kapitan proszony do sterowni.

- Idę - odpowiedział Daminski do swojego mikrofonu na wysięgniku. - Przez ten czas oznacz Sierrę Cztery jako Cel Jeden. Wystrzel boję radiową z meldunkiem o kontakcie i obsadz ciche stanowiska bojowe. Podgrzej wszystkie cztery Mark 50 i otwórz wrota zewnętrzne dwóch wyrzutni.

- Kapitanie, tu platforma. Tak jest.

Daminski wręczył Hillsworthowi słuchawki, wstał i klepnął bosmana w ramię. Potem wyszedł z kabiny sonarowej i cicho zamknął za sobą drzwi.

11

Piątek, 27 grudnia

Cieśnina Sycylijska

Boja SLOT wielkości kija baseballowego spoczywała w środku ciasnej rury na burcie w części dziobowej okrętu. Nie czekała długo - gdy wewnątrz wyrzutnika wypełniła woda morska, ciśnienie zaczęło wzrastać i rosło, dopóki nie zrównało się z ciśnieniem Morza Śródziemnego na zewnątrz. Kilka sekund później otworzył się wylot rury, ale w środku nie zrobiło się ani trochę jaśniej. W następnym momencie w dolnym końcu wyrzutnika powstało parcie spowodowane napływem wody morskiej pod ciśnieniem wyższym od zewnętrznego ciśnienia w morzu. Boja SLOT została wyrzucona z rury i siła wystrzału oraz jej własna wyporność uniosły ją sto pięćdziesiąt metrów w górę. Przez kilka minut wznosiła się w ciemnej wodzie ku powierzchni morza, ciśnienie wokół niej wciąż malało, wreszcie przebiła powierzchnię i kilkadziesiąt centymetrów kwadratowych jej górnej części osuszyło morskie

powietrze. Sensor zamknął obwód i spowodował wysunięcie anteny prętowej ku niebu oświetlonemu blaskiem księżyca. Nadajnik wewnątrz boi zaczął przekazywać na UHF-ie wiadomość Daminskiego o kontakcie do satelity komunikacyjnego w górze. Nadawał ją ciągle od nowa przez godzinę, dopóki nie wyczerpał się akumulator. Boja się wyłączyła, pograżyła z powrotem w morzu i zatoniła w głębinach.

Wysoko w górze, na orbicie geosynchronicznej, satelita marynarki wojennej Commstar odebrał wiadomość, już kiedy została nadana po raz pierwszy i zalogował ją. Widząc, że jest oznaczona jako pilna, przerwał inne czynności i przekazał ją do satelity COMMSAT na orbicie nad środkowym Atlantykiem, który następnie przesłał ją do urządzeń odbiorczych U.S. Navy w Pentagonie. Tam, w specjalnym wydzielonym centrum łączności, na konsoli komputera odezwał się sygnał informujący operatora dyżurnego o nadejściu pilnego meldunku. Natychmiast po jego wydrukowaniu radiowiec w stopniu starszego bosmana połączył się ściśle tajną linią telefoniczną z biurem głównodowodzącego Siłami Morskimi na Morzu Śródziemnym admirała Johna Traepsa. Asystent admirała, komandor porucznik, wydał rozkaz dostarczenia wiadomości do sali sztabowej, gdzie Traeps naradzał się z szefem operacji morskich admirałem Donchezem. Wydruk zanieśono admirałowi Traepsowi i admirałowi Donchezowi do sali sztabowej. Traeps przeczytał wiadomość, zaparafował i wręczył Donchezowi, który rozkazał oznaczyć podaną pozycję na elektronicznej mapie ściennej. Po trzydziestu sekundach na mapie Cieśniny Sycylijskiej pojawił się błyskający niebieskim światłem punkt opisany jako USS „AUGUSTA” SSN-763 - OPERACJA PODWODNA. Obok migotał pomarańczowy punkt nazwany OKRĘT ZIF DESTINY - JEDNOSTKA NUMER 1.

Traeps przywołał radiowca, żeby zabrał wiadomość. Wręczył mu meldunek z „Augusty”, rozkazując przekazać jego treść USS „Phoenixowi”, strzegącemu teraz Gibraltaru i wejścia na Atlantyk, odrzutowcom przeciwpodwodnym Viking z „Reagana” i patrolowym turbośmigłowcom przeciwpodwodnym Orion z Sigonelli.

Donchez spojrział w górę na mapę i skinął głową. Za godzinę będzie mógł chyba zadzwonić do Barczynskiego z dobrą wiadomością.

USS „Augusta”

Oficer pokładowy Mark Berghoffer spojrział wyczekująco na Daminskiego, który właśnie przepchnął się do sterowni od drzwi kabiny sonarowej. Kapitan zaczął wyrzucać z siebie rozkazy z szybkością karabinu maszynowego.

- Oficer pokładowy, ja przejmuję platformę. Sternik, cała naprzód jedna trzecia, pięć węzłów, ster dziesięć stopni w lewo, stały kurs dwa cztery zero. Oficer zanurzeniowy, głębokość trzysta metrów. Oficer pokładowy, podać status wyrzutni...

Pokład pochylił się w dół, gdy sternik pchnął jarzmo rufowych sterów głębokości do pozycji pełnego nurkowania. Kiedy pokład przyjął znowu pozycję poziomą, sterownia zaczęła się zapełniać ludźmi. Wszystkie cztery konsole centrum ataku obsadzili oficerowie ze słuchawkami na uszach. Telefoniści wspomagali stanowisko sterowania okrętem. Nawigatorzy obsługiwali ręcznie stoły nawigacyjne, by wspomóc komputer. Zastępca kapitana Danny Kristman objął funkcję koordynatora kierowania ogniem. Tim Turner przejął obowiązki oficera pokładowego stanowisk bojowych. Kevin Skinnard usiadł przy stanowisku drugim centrum ataku, Jamie Fernandez obok niego przy pierwszym, oficer uzbrojenia Ron Hackle przy panelu ogniowym. Daminski spojrzał na zegarek. Stanowiska bojowe zostały w pełni obsadzone w ciągu dwóch minut od chwili jego przybycia na platformę. Nieźle. Kiedy już wszyscy zajęli swoje miejsca, zaczął się obieg informacji dotyczących ustawienia torpedy na kontakt. Trzy minuty po manewrze Daminskiego na zachód Skinnard wprowadził próbną odległość i szybkość celu. Jego ocena kursu celu byłaby dobra przy założeniu, że Destiny kieruje się do wyjścia z cieśniny i płynie na północny zachód.

- XO! - zawołał przez swój mikrofon Skinnard do Kristmana, koordynatora kierowania ogniem na stanowiskach bojowych. - Mam krzywą i współrzędne według wąskopasmowej analizy ruchu celu. Odległość trzydzieści dziewięć tysięcy metrów, szybkość osiemnaście węzłów.

Kristman wyrósł obok Skinnarda, spojrzał na stos punktów i odwrócił się do Daminskiego.

- Kapitanie, mamy współrzędne ogniowe oparte na wąskopasmowej analizie ruchu celu.

- Sonar, tu kapitan! - zawołał Daminski. - Nie ma jeszcze żadnej detekcji szerokopasmowej?

- Platforma, tu sonar. Nie, kapitanie - odpowiedział Hillsworth. Daminski odwrócił się do Kristmana.

- Nie ciepię strzelać według współrzędnych wąskopasmowych - powiedział.

- Zalecam natychmiastowe wystrzelenie salwy poziomej, sir. Nie wiemy, jaki jest zasięg detekcji tego faceta. Może nas wykryć lada moment.

- Jasne, ale jeśli wystrzelimy za wcześnie i usłyszy rybkę albo pogłos odpalenia, podwinie ogon, ucieknie i stracimy swoją szansę. Na „Wczesną Emeryturę”.

- Jeśli nie wystrzelimy i on zrobi to pierwszy, my będziemy uciekać. Daminski zerknął na wykres geograficzny na stanowisku pierwszym i podjął decyzję.

- Uwaga zespół kierowania ogniem - zagrział głosem futbolisty, który natychmiast przykuł uwagę wszystkich obecnych w pomieszczeniu. - Mamy wąskopasmowe współrzędne Celu Jeden i wystrzelimy poziomą salwę Mark 50 wzdłuż cieśniny. Odległość jest duża, więc by zaoszczędzić paliwa w torpedach, ustawimy je na małą szybkość tranzytową i płytkie zanurzenie na dystansie do gotowości. Dzięki temu torpedy będą również ciche. Wszyscy zrozumieli? Bądźcie gotowi do odpowiedzenia ogniem, gdyby ten facet zobaczył nas pierwszy. Wykonać.

Daminski znów odwrócił się do Kristmana.

- XO, zaprogramować torpedy na tolerancję jednego stopnia, dystans do gotowości dwadzieścia trzy tysiące metrów, szybkość niską do średniej, sonar aktywny. Podać mi odczyty.

Daminski obserwował panel ogniowy, dopóki torpedy nie zostały zaprogramowane. Potem po raz ostatni spojrzął na stos punktów u Skinnarda. Tropienie trwało. Nadszedł czas, by wystrzelić.

- Uwaga zespół kierowania ogniem. Procedury odpalania, wyrzutnie jeden i dwa, Cel Jeden, salwa pozioma, tolerancja jeden stopień, przerwy między wystrzałami jedna minuta.

- Okręt gotowy - zameldował oficer pokładowy Tim Turner.

- Uzbrojenie gotowe! - zawołał operator panela ogniowego Ron Hackle.

- Dane gotowe - powiedział Skinnard ze stanowiska drugiego.

Daminski rozejrzał się po raz ostami. Za pięć sekund miała się znaleźć w wodzie broń wycelowana w inny okręt podwodny. To nie były ćwiczenia, to była prawdziwa walka z prawdziwym wrogiem. Daminski zaczął recytować litanie obowiązującą przy odpalaniu.

- Wyrzutnia jeden, strzał w obliczonym kierunku.

- Jest - potwierdził Skinnard ze stanowiska drugiego, wprowadzając do torpedy pozycję, kurs i szybkość celu według oceny komputera kierowania ogniem.

- W pogotowiu - zameldował Hackle, operator panela ogniowego, obracając pokrętko spustu na pozycję godziny dziewiątej.

- Strzelaj! - zawołał Daminski z platformy.

- Ognia - odpowiedział Hackle i ustawił spust w pozycji oznaczonej „Ogień”.

Powietrze w pomieszczeniu jakby zdetonowało z donośnym pogłosem, ogłuszając Daminskiego, gdy wysokie ciśnienie od uderzenia wtargnęło do wewnątrz po sprężeniu wody

w zbiornikach wokół wyrzutni i wypchnięciu torpedy na zewnątrz. Wszyscy jak na komendę otworzyli usta, żeby uwolnić kanały uszne od ciśnienia.

- Platforma, tu sonar - zabrzmiał głos Hillswortha na linii telefonicznej kierowania ogniem. - Przebieg wystrzelenia własnej torpedy normalny.

- Panel ogniowy przygotowany do strzału z wyrzutni drugiej, sir - zameldował Hackle.

- Wyrzutnia dwa, strzał w obliczonym kierunku - powtórzył Daminski.

- Jest.

- W pogotowiu.

- Strzelaj!

- Ognia!

Pokład pod stopami Daminskiego podskoczył i kapitan znów został ogłuszony.- Platforma, tu sonar. Wystrzelenie drugiej sztuki normalne.

- Uzbrojenie, odciąć przewody od jedyńki i dwójki i zamknąć wrota zewnętrzne.

- Tak jest, sir. Przewody odcięte od jedyńki i dwójki... wrota zewnętrzne jedyńki i dwójki zamknięte.

- Otworzyć wrota wylotowe wyrzutni trzy i cztery - rozkazał niecierpliwie Daminski. Klął w duchu, że oddanie salwy trwa tak długo, ale nie można było obsłużyć wszystkich wyrzutni jednocześnie.

- Trójka i czwórka otwarte, program wprowadzony, gotowe do wystrzelenia.

- Procedury momentu odpalania, wyrzutnie trzy i cztery, Cel Jeden - powiedział Daminski.

- Okręt gotowy.

- Uzbrojenie gotowe.

- Dane gotowe.

- Strzał w obliczonym...

Rozkaz Daminskiego przerwał zaniepokojony głos Hillswortha.

- Platforma, tu sonar. Zgubiliśmy Cel Jeden!

- Sonar, tu kapitan. Powtórz.

- Sir, zgubiliśmy Cel Jeden. Zniknął.

OPSM „Hegira”

Ahmed wszedł wolno do sterowni i gdy zobaczył, jaki tłok tu panuje, zerknął niespokojnie na Sihouda. W pomieszczeniu zgromadziła się prawie cała załoga, jedni siedzieli przy konsolach, inni stali za ich plecami. Mimo to w sterowni panowała dziwna cisza, słychać

było tylko stłumione, wysokie buczenie przeszło trzydziestu komputerów. Działo się coś zdecydowanie niedobrego. Ahmed odezwał się prawie szeptem do Sharefa:

- Komodorze, co...

Sharef uciszył go niecierpliwym gestem i pochylił się nad wyświetlaczem wideo. Ahmed utkwił wzrok w ekranie, ale mimo znajomości komputerowych systemów uzbrojenia w kokpicie najnowszego myśliwca nie mógł niczego zrozumieć.

Po chwili wyrósł obok niego jeden ze starszych oficerów - komandor z plakietką „Tawkidi” na górnej kieszeni - jakby to było jego obowiązkiem wyjaśnić Ahmedowi i Sihoudowi, co się dzieje. Przyciszonym głosem powiedział:

- Wykryliśmy wrogi okręt podwodny Koalicji w przesmyku przed nami. Prawdopodobnie amerykański, klasy Los Angeles. Blokuje nam wyjście. Zapewne nie wie, że tu jesteśmy.

Sihoud milczał. Patrzył ze zmarszczonym czołem na ekrany komputerowe i plecy oficerów. Ahmed próbował napotkać spojrzeniem wzrok generała, ale Sihoud nie reagował.

- Co zrobimy?

- Jesteśmy jeszcze za daleko. Za kilka minut, kiedy podejdziemy bliżej, wystrzelimy salwę torped Nagasaki w okręt podwodny Koalicji.

Ahmed zmarszczył brwi.

- Dlaczego nie możemy wystrzelić torped teraz?

- Możemy, ale kapitan nie chce zdradzać naszej pozycji, otwierając ogień. Torpedy są głośne. Jeśli wystrzelimy je ze zbyt dużej odległości, cel może usłyszeć i próbować uciec. Torpeda w pościgu zarufowym czasem dogania cel, ale czasem kończy się jej paliwo, zanim zdąży przejść na tryb ataku, i okręt podwodny ucieka.

- Więc trzeba go ścigać i nadal strzelać.

- Potem możemy już nie wykryć tego okrętu - odrzekł Tawkidi.

- Dlaczego? Tym razem się udało - powiedział Ahmed podniesionym głosem.

Sharef odwrócił się i zgromił go wzrokiem. Ahmed poczuł, że czerwienieje.

- W morzu dzieją się zabawne rzeczy z dźwiękami - wyjaśnił Tawkidi. - Teraz wykrycie go mogło być łatwe, ale za sześć godzin może okazać się niemożliwe. Słońce ogrzeje wodę blisko powierzchni, zmieni się profil temperatury i uaktywni się życie w morzu.

Ahmed pokręcił głową. To brzmiało tak, jakby ktoś mu wmawiał, że radar jego samolotu działa tylko przy ładnej pogodzie.

- Pogłos wystrzelenia torpedy... - powiedział cicho do Sharefa siedzący przy jednej z konsoli oficer, zsunawszy słuchawkę z jednego ucha. - Zbliżająca się torpeda od strony celu.

Sharef wziął słuchawki. Nasłuchiwał przez chwilę, patrząc na drugi wyświetlacz. Wzory na ekranie były inne, ale nadal nic nie mówiły Ahmedowi.

- Przygotować się do dezynfekcji komputerowej - rozkazał Sharef. - Załadować Dash Five do wyrzutni jedenastej. Sternik, maszyny stop.

- Gotowe.

- Maszyny zastopowane.

- Wykonać dezynfekcję! - rzucił Sharef.- Wyłączanie rozpoczęte...! - zawołał do Sharefa oficer mechanik z tylnego prawego rogu pomieszczenia. - Reaktor wyłączony. Naładowanie akumulatora trzydzieści procent.

Wentylatory w pomieszczeniu przestały się obracać i natychmiast nastąpił wzrost temperatury - komputery i ludzie wydzielali przecież ciepło. Na czoło Ahmeda wystąpił pot, poczuł wilgoć pod pachami.

Rozmowy ucichły. Pozornie nic się nie działo. Oficerowie nadal wpatrywali się w ekrany komputerów.

- Tawkidi, o co chodzi, do cholery? - zapytał Ahmed, kontrolując się i nie podnosząc głosu.

- Okręt podwodny Koalicji wystrzelił w nas torpedę. Sądziliśmy, że nas nie słyszy, ale myliliśmy się.

Tawkidi również wpatrywał się w ekrany wideo. Nawet nie zerknął na Ahmeda i Sihouda.

- I co? Dlaczego wyłączyliście reaktor? Torpeda nas nie trafi?

- Może trafić - odrzekł Tawkidi i położył palec na ustach, żeby uciszyć Ahmeda. Pułkownik wreszcie zauważył, że Sihoud się odwrócił i spoglądał na niego karcącym wzrokiem.

- Status Dash Five? - zapytał Sharef i zerknął na chronometr na przegrodzie.

- Podgrzany, pokrywa dziobowa otwarta, emisja ustawiona na dziewięćdziesiąt decybeli. Komodorze, to nasz jedyne wabik. Jeśli tamten znów strzeli, nie mamy więcej.

Sharef skinął głową. Miał pewną siebie minę, ale w duchu wątpił, czy w tym rejsie wystarczy jeden Dash Five.

- Wystrzelić z wyrzutni jedenastej.

- Ognia z jedenastki... Wyrzutnia wskazuje prawidłowy strzał.

- Skierować Dash Five na kurs jeden zero zero, zwiększyć emisję do stu dwudziestu decybeli.

- Zwrot wprowadzony, przejście przez północ, przejście przez wschód, stały kurs jeden zero zero, emisja hałasu sto dwadzieścia decybeli.

W pomieszczeniu znów zapadła cisza. Na okręcie brakowało powietrza, było gorąco i niewiarygodnie wilgotno. Ahmed miał mokrą twarz i włosy, pot zalewał mu oczy. Nagle z przeraźliwą jasnością zdał sobie sprawę, że dzieli go od powierzchni morza i bezmiaru czystego powietrza pół kilometra wody.

- Skierować Dash Five na kurs jeden cztery zero i zwiększyć emisję do stu trzydziestu decybeli - rozkazał Sharef. Oficer przy panelu wprowadził zmiany do komputera i zameldował o wykonaniu.

- Drugie wystrzelenie torpedy z celu, komodorze.

- Komandorze - powiedział do Tawkidiego Ahmed - może będzie pan taki uprzejmy i wyjaśni nam, co się dzieje. Mam pana błagać?

- Komodor wystrzelił urządzenie wprowadzające wroga w błąd, Dash Five, zaprogramowane tak, by brzmiało jak ten okręt; nawet głośniej, ale poza tym identycznie. Jednocześnie napęd okrętu jest wyłączony, a więc nie powoduje hałasu. Dryfujemy cicho, a Dash Five ogłupia torpedy.

- Nie zamierzacie odpowiedzieć ogniem?

- Wszystko w swoim czasie. Wystrzelimy, kiedy zbliżające się torpedy zostaną oszukane. Inaczej nieprzyjacielski okręt podwodny mógłby je przesterować i trafić nas. Komodor sam wymyślił tę taktykę. Jest genialna, choć jeszcze niesprawdzona.

Ahmed i Sihoud wymienili spojrzenia. Sharef stosował taktykę, której nie wymyślili Japończycy. Czy sprawdzi się rzeczywiście?

- Kurs zbliżających się torped? - zapytał Sharef.

- Bez zmian - odparł al-Kunis ze zmarszczonym czołem.

- Co oznacza, że wciąż idą na nas - wyjaśnił szeptem Tawkidi. - Jeszcze nie chwyciły przynęty.

Ahmed poczuł przyływ nudności, potem ucisk w głowie. Już po nas, pomyślał.

Daminski zerwał z głowy słuchawkę z mikrofonem, rzucił ją na pokład i przepchnął się obok konsoli centrum ataku do przedniego prawego rogu sterowni. Chwycił za harmonijkową zasłonę drzwiową oddzielającą sterownię od sonaru i odciągnął ją tak, że w połowie wyskoczyła z prowadnicy.

- Co się dzieje, do cholery? - zagrział ostro.

- Nic, sir. Obawiam się, że w tym właśnie problem - odpowiedział Hillsworth, nie odwracając się od ekranu sonaru. - Cel Jeden zszedł poniżej wartości progowej stosunku sygnału do szumów. Zgubiliśmy go.

- A co z dubletem jeden pięć cztery?

- Zniknął. Może facet skorzystał z jakiegoś sposobu zagłuszenia generatorów turbinowych. Ucieka i słyszymy tylko jego śrubę. Napęd może zakłócać odbiór tonów.

- Gdyby uciekał, słyszałbyś go w szerokim paśmie.

- Może przy konwencjonalnej śrubie. Ale przy tej kanałowej turbinie wodnej, kto wie? Może spróbujemy ścigać go wzdłuż linii kierunkowej? A nuż się pojawi?

- Okay. Popłynę na południowy wschód.

Daminski odwrócił się i ruszył ku wyjściu, ale w drzwiach obejrzał się na Hillswortha i wycelował krzywy palec w twarz Angola.- Pracuj nad tym, bosmanie. Chcę mieć tego skurwysyna z powrotem na monitorze. Upewnij się, czy słyszysz torpedy jeden i dwa. Mogą namierzyć cel, zanim my to zrobimy.

Daminski wrócił do sterowni. XO Danny Kristman bez słowa podał mu słuchawkę z mikrofonem. Daminski włożył ją na głowę.

- Uwaga sterownia! - warknął. - Wstrzymać ogień z wyrzutni trzy i cztery. Zgubiliśmy cel, bo ucieka przed naszymi torpedami. Będziemy go ścigać do wyjścia z cieśniny. Kiedy odzyskamy kontakt, wystrzelimy dwie następne sztuki. Wykonać. Sternik, cała naprzód, ster dwa stopnie w lewo, stały kurs jeden cztery zero.

Daminski skrzyżował ręce na piersi i czekał, aż sonar ponownie wykryje cel. Ale umiejętność czekania nie była mocną stroną Rona Rakiety.

- Akumulator siada, komodorze.

Pot spływał Ahmedowi po twarzy. Kombinezon, który dostał od al-Kunisa, był mokry na piersiach. Ahmed próbował przekonać sam siebie, że to z gorąca panującego w zatłoczonej sterowni, ale nie chciał się oszukiwać i przyjął do wiadomości, że poci się również ze strachu. A ów strach był jeszcze trudniejszy do zniesienia, o wiele trudniejszy,- dlatego że Ahmed wiedział, iż on sam nie jest w stanie zrobić niczego, żeby się uratować. Starał się unikać wzroku Sihouda. Niebieskie oczy generała nie uspokajały go, dostrzegł w nich tylko podobny lęk.

- Na ile jeszcze wystarczy? - zapytał Sharef.

- Jest na zerze. Musimy natychmiast uruchomić reaktor, bo inaczej nie wystarczy mi prądu nawet na wysunięcie prętów z rdzenia.

Oficer mechanik Quzwini stał w przeciwległym rogu sterowni i mówił do Sharefa przyciszonym głosem, niemal szeptem, ale jego meldunek dotarł do dowódcy.

- Zbliżające się torpedy przyspieszają! - zawołał al-Maari od konsoli sensorowej.

- Daj mi jeszcze minutę - rzucił przez ramię Sharef do Quzwiniego, koncentrując się na ekranie.

- Za dwadzieścia sekund komputer wysiądzie.

- Kierunek? - zapytał al-Maariego Sharef.

- Zero, stały. Wciąż idą na nas... - odpowiedział skupiony maksymalnie na nasłuchu al-Maari, potem nagle twarz mu się zmieniła. - Słyszę sygnał sonaru aktywnego. Obie torpedy dźwięczą.

- Komodorze, muszę natychmiast uruchomić reaktor!

- Zaczekaj, Quzwini!

- Dash Five wykrył ich sonary... Odpowiada im przez wzmacniacz.

- Wyłączam komputery, komodorze.

- Powiedziałem, zaczekaj - warknął Sharef.

- Ale...

- Odbieram silną kawitację śrub toiped - przerwał mu al-Maari. - Przyspieszyły do maksymalnej szybkości. Teraz mam odchylenie kursu w prawo. Wzrasta. Torpedy skręcają w prawo. Idą za Dash Five. Obie!

- Uruchomić reaktor!

Ahmed wydał przeciągłe westchnienie ulgi. W tym momencie zgasły ekrany komputerów i światła, nieliczne działające dotąd wentylatory zatrzymały się. Pięćset metrów pod wodą okręt utracił zasilanie.

12

Piątek, 27 grudnia

Cieśnina Sycylijska USS „Augusta”

- Platforma, tu sonar. Nasze torpedy jeden i dwa są w trybie aktywnym i idą do celu - zameldował spokojnym, opanowanym głosem Hillsworth.

- Odbieramy sygnały powrotne z jego kierunku jeden cztery cztery. Wąski zasięg.

Daminski uśmiechnął się i uniósł ręce, jakby właśnie zatrzymał przeciwnika na boisku.

- Uwaga zespół kierowania ogniem. Nie czekamy na współrzędne. Wypuszczam dwie torpedy Mark 50 wzdłuż linii kierunkowej do celu. Wysoka szybkość tranzytowa, dystans do gotowości dziewięć tysięcy metrów, tryb aktywny. Procedury momentu odpalania, wyrzutnie trzy i cztery, Cel Jeden, salwa pozioma, tolerancja półtora stopnia.

Daminski odebrał meldunki o gotowości i rozkazał wystrzelić z obu wyrzutni. Hackle dwukrotnie obrócił spust na pozycję odpalania. Pokład zadrżał dwa razy, powietrze w pomieszczeniu eksplodowało i ciśnienie boleśnie poraziło uszy wszystkich tu obecnych. Po wystrzeleniu torped Daminski rozkazał zmniejszyć szybkość okrętu do pięciu węzłów w nadziei, że lepiej usłyszy kontakt, gdyby tamten znów się wymknął. Ale Hillsworth przywoździł cel dzięki sygnałom powrotnym z torped jeden i dwa oraz kontaktowi szeroko - i wąskopasmowemu. Los okrętu podwodnego klasy Destiny był przesądzony.

Daminski zastanawiał się przez chwilę, czy nie załadować ponownie wyrzutni. Wszystkie cztery były teraz puste. Ładowanie wywołałoby hałas i cel mógłby ich usłyszeć na tyle dobrze, że odpowiedziałby wystrzeleniem torpedy wzdłuż linii kierunkowej. Ale z drugiej strony, z pustymi wyrzutniami nie mieliby szans na natychmiastowe otwarcie ognia, gdyby nagle wyłonił się niewiadomo skąd i zaskoczył ich drugi nieprzyjacielski okręt podwodny.

Siły morskie ZIF miały tylko jeden okręt podwodny klasy Destiny. Ich Victory III tkwiły w portach. Były albo uszkodzone, albo zbyt głośne, by mogły zostać użyte do określonych, trudniejszych zadań. Nie wchodziło w rachubę, żeby taki okręt potrafił wykryć „Augustę”.

Oto dlaczego płacą mi pensję dowódcy, pomyślał Daminski i podjął decyzję godną dowódcy - zostawić wyrzutnie puste i załadować je później.

Włączyły się latarnie bojowe, przypominające duże latarki w osłonach wodoszczelnych; z trudem rozproszyły ciemność w sterowni. Ahmed czuł, jak wieczorny posiłek więźnie mu w gardle. Powstrzymał mdłości, w ustach pozostał mu ciepki smak.

- Sterowanie okrętem - dobiegł z przedniego prawego rogu sterowni ostry, rozkazujący głos Sharefa. - Macie sterowanie zanurzeniem?

Oficerowie sterowania okrętem wpatrywali się w rząd staromodnych przyrządów elektrycznych na konsoli oświetlonej blaskiem latarni bojowej za ich plecami. Ahmed mógł się tylko domyślać, jak działające przyrządy - być może miały własne akumulatory za panelem? W słabo oświetlonej sterowni, otoczony gronem bezradnych oficerów marynarki i wygaszonymi ekranami, zastanawiał się nad pytaniem Sharefa. Utrata sterowania zanurzeniem oznaczałaby... zatonięcie.

- Zapasowe układy hydrauliczne działają, komodorze - odpowiedział młodziutki oficer. - Głębokość pięćset dziesięć metrów, wskaźnik zanurzenia ujemny. Butle powietrzne pełne.

- Utrzymuj okręt powyżej ośmiuset metrów, niech zbiorniki się napełniają, ale przy minimalnym zużyciu powietrza. Kąt zero w granicach siedmiu stopni.

- Tak jest.

W świetle latarni bojowej Sharef sprawdził godzinę na swoim zegarku. Ahmed chciał zapytać, co teraz się stanie, ale zrezygnował, gdy napotkał w mroku dusznego pomieszczenia miażdżące spojrzenie Sharefa.

Komodor pochylił się nad nieczynnym stołem nawigacyjnym i zabębnił palcami po szkle poziomego ekranu wideo.

Ahmed spojrział na własny zegarek. Był ciekaw, jak długo jeszcze okręt będzie się unosił bezsilnie w morzu, skoro szuka go okręt podwodny Koalicji i tropią jego torpedy.

Daminski zmarszczył brwi, gdy usłyszał meldunek sonaru, on i Kristman przez chwilę spoglądali sobie w oczy. Ron Hackle, oficer uzbrojenia przy panelu ogniowym, odwrócił się do nich. Zapanowała cicha konsternacja.

- Powtórz, sonar - powiedział wolno Daminski, próbując się zastanowić nad położeniem.

- Kapitanie, tu sonar. Nasze dwie pierwsze torpedy są na kierunku do Celu Jeden. Zakres zasięgu sygnałów ich sonarów aktywnych jest tak wąski, że muszą być sto metrów od celu. Ale ta sytuacja się przeciąga. Torpedy brzmią, jakby atakowały drugi raz.

- Ron, co ci to mówi? - zapytał Daminski oficera uzbrojenia.

- Torpedy dopadły celu, sir. Powinny zdetonować. Zamiast tego, znów przeszły do ataku.

- Dlaczego, do cholery, dwie torpedy miałyby atakować drugi raz? Daminski pochylił się nad panelem ogniowym, żeby spojrzeć na dane z torpedy trzeciej i czwartej wyświetlane na stanowisku czwartym. Torpedy te były nadal połączone cienkimi przewodami elektronicznymi z wyrzutniami, a następne z komputerem kierowania ogniem. Niestety, trzeba było odciąć przewody torpedy pierwszej i drugiej, żeby przygotować wyrzutnie do wystrzelenia trójki i czwórki. Dane z jedyńki i dwójki prawdopodobnie wyjaśniłyby, w czym problem.

- Co pokazują torpedy?

- Sajeszczce na dystansie do gotowości - odpowiedział Hackle. Daminski odwrócił się do platformy i zaczął mamrotać pod nosem.

- Jedyńka i dwójka dopadły celu i jednocześnie są w trybie powtórnego ataku. W trybie powtórnego ataku. To znaczy, że zgubiły cel i zawracają, żeby go odnaleźć. Ale nadają sygnały aktywne, więc go mają. Ale potem znów go gubią i jeszcze raz przechodzą do ataku.

Urwał nagle i spojrzał na Kristmana.

- Dlaczego torpeda miałyby przejść do powtórnego ataku?

- Wadliwy sensor zbliżeniowy - odrzekł wolno Kristman.- Torpeda słyszy cel, kieruje się na niego, ale nie może wykryć stalowego kadłuba albo nie trafia bezpośrednio w kadłub, więc zawraca i robi drugie podejście. Przechodzi do powtórnego ataku.- Jedna torpeda z wadliwym sensorem zbliżeniowym, okay. Ale dwie? Wątpię. A jeśli sensor jest w porządku? Dlaczego miałyby przejść do ponownego ataku?

- Wzmacniacz sygnału? Albo przeciwsrodki aktywne?

- Co?!

- Cel może nadawać sygnał sonaru aktywnego zgodny z impulsem zbliżającego się sonaru i zmieniać częstotliwość, żeby zafałszować zakres zasięgu sygnału torpedy.

- Wysyłać odpowiedź wcześniej, żeby torpeda myślała, że cel jest bliżej niż jest?

- To możliwe.

- Potrzeba cholernie dobrego komputera i systemu sonarowego, żeby to zrobić - powiedział Daminski. -I cholernie cichego okrętu. Ale nawet wtedy to może działać przeciwko jednej torpedzie. Ale przeciwko dwóm? Albo czterem?

- A może wyłączymy sonar aktywny w trójce i czwórce? Wtedy nie dadzą się oszukać.

- Znamy stosunek sygnału do szumów potrzebny do przełączenia torped na sonar pasywny?

- Hillsworth będzie znał.

- Sonar, tu kapitan. Znamy stosunek sygnału do szumów, żeby przełączyć torpedy trzy i cztery na sonar pasywny?

- Kapitanie, tu sonar. Tak.

- Zróbmy to.

Palce Hackle'a przebiegły po panelu, wcisnęły różne klawisze funkcyjne i zmieniły wyświetlany obraz na nowe menu pokazujące program wprowadzony do torped. Hackle zmienił w menu tryb poszukiwawczy z aktywnego na pasywny, programując dwie torpedy wystrzelone w drugiej kolejności na szukanie celu tylko przez nasłuch, a nie przez wysyłanie sygnału i nasłuchiwanie odpowiedzi.

Mężczyźni w pomieszczeniu milczeli i czekali, aż druga para torped pokona dystans do gotowości i zacznie szukać celu. Wyczekiwanie trwało kilka minut. Daminski stał za

Hackle'em i Kristmanem i zastanawiał się, co, do cholery, zrobi, jeśli druga para torped też przejdzie do powtórnego ataku.

Sharef od dziesięciu minut co pewien czas zerkał na zegarek. Za każdym razem, kiedy to robił, Ahmed spoglądał na niego, mając nadzieję, że komodor podejmie jakieś działania. Ale nic się nie zmieniało.

Gdyby Ahmed mógł czytać w myślach Sharefa, byłby nimi zaskoczony. Sharef myślał o perskim kilimie w swojej kajucie, o jego zamierzonej niedoskonałości. O celowym błędzie tkackim stanowiącym symbol pokory człowieka wobec Allana, którego obraża ludzkie pragnienie doskonałości. Sharef uważał, że niedoskonałością „Hegiry” jest akumulator. Był o wiele za słaby, żeby okręt mógł się ukiąć za zasłoną akustyczną manewru dezynfekcji. Ale w przeciwieństwie do niedoskonałości kilimu, wada okrętu mogła mieć istotne konsekwencje. Wszyscy mogli zginąć. Może zresztą Allah byłby wówczas zadowolony, pomyślał z pewną goryczą Sharef. Zerknął na zegarek, podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Ahmeda. Posłał oficerowi sił powietrznych ponury uśmiech. Ahmed zmarszczył brwi.

Pokład pochylił się niebezpiecznie w dół, okręt nurkował. Sharef rozkazał operatorowi przy sterach, żeby pozwolił okrętowi wisieć i nie wyrównywał, dopóki kąt nie przekroczy siedmiu stopni. Ale nawet ćwierć stopnia było wyczuwalne dla Ahmeda, a przy jednym stopniu wpadł w panikę, bo wydało mu się, że okręt tonie. Przy pięciu stopniach pokład zamienił się w pochylnię. Przednia część pomieszczenia znalazła się pół metra niżej niż tylna.

W końcu Sharef przeszedł za konsolami sterowniczymi i wydał rozkaz jednemu z młodych oficerów. Ahmed niewiele z tego zrozumiał:

- Napompuj jedynekę i trójkę, podnoś przy pięciu na sekundę, zacznij zalewanie przy stu, utrzymuj trzydzieści do dwudziestu pięciu mętów.

- Tak jest. Pompuję jedynekę i trójkę.

Przez kilka sekund słychać było stłumiony szum wpuszczanego powietrza.

- Quzwini, leć na dół do panela diesla i przygotuj wlot.

Oficer mechanik przekazał konsole reaktora porucznikowi i wybiegł z pomieszczenia. Ahmed zaczął szukać wzrokiem w plamach mroku komandora Tawkidiego. Znalazł go przy konsoli sensorowej, pochylonego nad jednym ze stanowisk.

- Co się dzieje, komandorze?

- Podchodzimy na głębokość peiyskopową, żeby uruchomić reaktor.

- Dlaczego nie zrobimy tego tutaj?

- Akumulatory siedzą. Potrzebujemy elektryczności. Kiedy będziemy blisko powierzchni, wysuniemy maszt wlotowy, żeby diesel mógł oddychać. Generator dieslowski dostarczy nam tyle prądu do instalacji, ile potrzeba do uruchomienia reaktora.

- Aha. Ale spowoduje hałas, zgadza się? Wróg nas nie usłyszy?

- Usłyszycie, lecz taka jest decyzja komodora. Pokład wrócił do poziomu, potem zaczął się odchylać w przeciwnym kierunku. Teraz rufa sunęła w dół. Okręt dryfował w górę, pokład nadal powoli się kołysał. Ahmed był coraz bardziej sfrustrowany. Co za idiotyczna sytuacja, żeby stracić zasilanie i dryfować w morzu w najbardziej krytycznym momencie, kiedy atakuje ich wrogi okręt podwodny. Postanowił, że jeśli przeżyją to szaleństwo, poprosi Sihouda, żeby wydał rozkaz rozstrzelania Sharefa.

Dwa pokłady niżej, przy przegrodzie rufowej modułu dowodzenia w przedziale technicznym, komandor Ibn Quzwini usiadł do konsoli diesla z nieczynnymi wskaźnikami i oświetlił je swoją latarnią bojową. Odezwało się walkie-talkie przy jego pasie.

- Quzwini, podnieś maszt wlotowy.

Quzwini zdjął osłonę z zaworu sterowania hydraulicznego, uważając, żeby nic nie wylało się z niej na pokład. Ujął dźwignię zaworu, pchnął ją do góry i w prawo, potem zablokował w tej pozycji. Z góry dobiegł syk i łoskot - olej hydrauliczny pod wysokim ciśnieniem wypchnął maszt wlotowy z kiosku i wysunął go wysoko ponad kadłub.

Dziesięć metrów nad modułem dowodzenia kiosk okrętu podwodnego zbliżył się do powierzchni, by zaczerpnąć powietrza, wciągnąć je do okrętu i nakarmić głodnego diesla. Maszt wlotowy - rura z zaworem czujnikowym wody na szczycie - wzniosł się ku falom, w końcu przebił powierzchnię morza i wyrósł nad nią ku nocnemu niebu.

- Sterownia, tu Quzwini. Maszt wlotowy podniesiony.

- Głębokość dwadzieścia siedem metrów.

- Maszt wynurzony. Osuszam kolektor ssący.

Quzwini nastawił kilka innych sterowników hydraulicznych, które obsługiwały wielkie zawory odcinające w instalacji rurowej, łączącej maszt wlotowy z kolektorem ssącym silnika dieslowskiego. Musiał zachować ostrożność, bo zalanie diesla wodą morską przekreśliłoby szansę uruchomienia reaktora w ciągu następnych minut. Uniósł metalową osłonę na zbiorniku sprężonego powietrza i otworzył zawór, żeby wydmuchać wodę z układu wydechowego. Wreszcie silnik był gotowy. Quzwini wcisnął zawór i sprężone powietrze obróciło wał masywnego silnika, powodując przesmarowanie łożysk olejem przed zapaleniem diesla. Quzwini sięgnął pod panel i ściągnął plastikową osłonę z nożowego włącznika elektrycznego w obwodzie łączącym kilka akumulatorów samochodowych, umieszczonych w

konsoli z cewkami wzbudzającymi generatora. Obrócił włącznik, potem uderzył dłonią w przycisk rozrusznika pneumatycznego na rurze zbiorczej zaworu sterującego dopływem powietrza.

Do kolektora ssącego diesla natychmiast wtargnęło z głośnym szumem sprężone powietrze. Wał ciężkiego silnika zaczął się obracać, nabierając stopniowo szybkości. Quzwini - kierując się bardziej wyczuciem niż nakazami procedury obsługi - wcisnął następny zawór, sterujący dopływem powietrza, i uruchomił wytrysk paliwa. Miał nadzieję, że wał silnika nadal będzie się obracał. Stopień sprężania i temperatura w cylindrze wystarczyły do zapłonu. Quzwini - znów kierując się wyczuciem - odciął dopływ sprężonego powietrza rozruchowego, gdy tylko usłyszał, że silnik z rykiem ożył. Pokład zaczął wibrować, kiedy maszyna nabrała obrotów, dźwięk był ostry i nieprzyjemny. Quzwini obserwował na woltomierzu napięcie wyjściowe i mrużąc pod nosem, zachęcał maszynę do pracy. Wskazówka wspinała się nieprzerwanie od ogranicznika zerowego, aż przystanąła na dwustu pięćdziesięciu woltach. Quzwini otarł czoło rękawem. Diesel się spisał. W normalnych warunkach Quzwini bawiłby się z silnikiem - rozgrzewałby go przez dwadzieścia minut i czekał, aż ustabilizuje się temperatura oleju smarującego łożyska i wody w układzie chłodzenia. Ale teraz to nie były ćwiczenia.

Zerwał osłonę z dużego włącznika elektrycznego i wduśił czerwony przycisk z napisem „Włącz”. Potem popatrzył, jak wskazówka woltomierza akumulatora wspina się do dwustu pięćdziesięciu woltów. Na panelu głównym sprawdził obroty silnika i napięcie na dieslu. Silnik pobierał prąd z ładowanego akumulatora i kręcił się teraz równo. Quzwini wstał i ruszył naprzód wzdłuż paneli superkomputera Yokogawa Drugi Kapitan do kabiny sterowania generatorem o częstotliwości czterystu herców - jednym z generatorów zasilających komputery. Zamknął obwód generatora i oświetlił latarką woltomierz i amperomierz. Generator w module parowym nabrał szybkości i dostarczał teraz komputerom prąd zmienny o ich dziwnej częstotliwości czterystu herców. Quzwini podszedł do panela stu dwudziestu woltów sześćdziesięciu herców i powtórzył poprzednią czynność przy generatorze o częstotliwości sześćdziesięciu herców, zasilającym komputery. Kiedy generator nabrał szybkości, Quzwini zamknął obwód i zawiadomił sterownię, że można uruchomić Drugiego Kapitana. Wrócił do panela diesla i po raz ostatni popatrzył na przyrządy. Należało teraz powrócić do sterowni i uruchomić reaktor.

Quzwini zabrał swoją latarnię bojową i mszył do wyjścia. Zanim dotarł do schodów, włączyło się oświetlenie sufitowe. Pobiegnął do tylnego prawego rogu sterowni, zobaczył uśmiech na twarzy Sharefa i usiadł na swoim miejscu. Minęło trochę czasu, zanim na konsoli

wyświetlił się rdzeń reaktora, ale w końcu Drugi Kapitan rozgrzał się i wyświetlacz pokazał status rdzenia. Quzwini wybrał na sąsiedniej konsoli menu sieci dystrybucji prądu i dał znak podwładnemu, żeby zasilił główne generatory prądu zmiennego obsługujące okręt. Porucznik Kutaiba, oficer systemów napędowych, zasilił sieć prądu zmiennego wysokiego napięcia. Quzwini miał teraz energię potrzebną do włączenia silników poruszających pręty regulacyjne. Weisnął przycisk uruchamiający reaktor.

Dwa moduły dalej w kierunku ruty, w przedziale reaktorowym, silniki poruszające pręty regulacyjne zaczęły je wysuwać z rdzenia uranowego. Sihoud chciał kiedyś wykorzystać to źródło mocy jako surowiec do produkcji wymarzonej broni nuklearnej, ale proces wyizolowania uranu z paliwa jądrowego trwałby ponad rok, a sama budowa zakładu, w którym by tego dokonano, zajęłaby drugie tyle. Więc Sihoud zostawił w spokoju rdzeń produkcji japońskiej i zaczął szukać surowca gdzie indziej.

Po trzech minutach rdzeń był w trybie pracy, zbiorniki pary stały się ciepłe, a Quzwini zaczął uruchamiać generatory turbinowe. Gdy tylko pierwsza turbina elektryczna nabrała obrotów, wydał Kutaibie rozkaz, żeby przerwał „oddychanie przez rurkę”. Uspokajający odgłos silnika dieslowskiego zamilkł i na okręcie zapanowała nienaturalna cisza. Naraz rozległ się głośny trzask - to maszt wlotowy wrócił na swoje miejsce. Quzwini nadal uruchamiał moduły mocy, w końcu zaprzął do pracy generatory turbinowe napędu. Odwrócił się do Sharefa.

- Reaktor znów działa, silnik napędowy na prąd zmienny gotowy.

- Minimalna naprzód, zanurzenie pięćset metrów - rozkazał Sharef, opuścił swoje miejsce za plecami Quzwiniego i zwrócił się do al-Kunisa, czuwającego w części sensorowej pomieszczenia. - Znajdź jak najszybciej tamten okręt podwodny. Oficer uzbrojenia, włączyc ponownie zasilanie torped Nagasaki w wyrzutniach od jeden do pięć.

Hillsworth uparcie przyciskał słuchawkę do ucha. W końcu pokręcił głową.

- Platforma, tu sonar. Cel Jeden ucichł. Ostatni kierunek jeden trzy osiem. Nadal mam cztery torpedy między kierunkami jeden trzy pięć i jeden cztery zero. Wszystkie w trybie ponownego ataku. I, sir, odbieram odgłos silnika diesla z za rufy, na prawej krawędzi stożka ciszy.

W sterowni Daminski patrzył na panel ogniowy. Torpedy, które były jeszcze połączone przewodami z okrętem, dopadły celu. Podeszły doń wystarczająco blisko, by uzbroić głowice bojowe, potem zgubiły go i przeszły do ponownego ataku. Ani jednej detonacji. A teraz sonar zameldował o zgubieniu celu i odgłosie silnika diesla za rufą. Z tyłu, za nimi!

Daminski odwrócił się i spojrzął na Kristmana. Przez głowę przelatywały mu różne, zderzające się ze sobą myśli.

Torpedy przeszły do ponownego ataku blisko celu. Zostały naprowadzone przez sonar pasywny i aktywny. Ponowny atak. Nie mogły znaleźć celu. Cel ucichł.

Od strony stożka ciszy odezwał się silnik diesla.

- Odciać przewody trójki i czwórki, zamknąć wrota zewnętrzne, osuszyć wyrzutnie i załadować ponownie od jedyńki do czwórki! - krzyknął Daminski do Hackle'a zaskakująco głośno, jakby raptem na wpół ogłuchł. - Sternik, ster pięć stopni w prawo, cała naprzód jedna trzecia!

- Co się dzieje, sir?

- Jebaniec wyrolował nas jakimś kurewskim wabikiem, to się dzieje! Dlatego torpedy w kółko przechodzą do ponownego ataku. Nie mogą odebrać sygnału zbliżeniowego od wabika. Teraz ten palant oddycha przez rurkę na swojej pozycji ogniowej. Widocznie wyłączył reaktor, żeby być cicho, i coś poszło nie tak, zadziałał przerywacz akumulatora. Hackle, niech załadujate torpedy i otworzą wrota zewnętrzne wyrzutni jeden i dwa. Sternik, stały kurs jeden cztery pięć. Uwaga zespół kierowania ogniem. Silnik diesla oznaczamy jako Cel Dwa. Cel Jeden to wabik i wyrzucamy go z komputera kierowania ogniem. Przed manewrem przeplniemy dwuminutowy odcinek namiarowy do Celu Dwa, potem wystrzelimy w niego następną salwę. Wykonać.

- Platforma, tu sonar! - zawołał Hillsworth. - Silnik diesla, oznaczony jako Cel Dwa, ucichł. Utrata Celu Dwa, ostatni kierunek trzy jeden pięć.

- Status wyrzutni, Hackle!

- Sir, osuszyliśmy i ładujemy teraz Mark 50 do wyrzutni jeden. Za trzy minuty będzie podłączona i podgrzana.

- Jasna cholera... Ładujcie te rybki.

Daminski był teraz wściekły na siebie, że zostawił wyrzutnie puste. Podgrzanie żyroskopów torped i wystrzelenie ich zajęłoby pięć minut, gdyby dysponował współrzędnymi ogniowymi, ale po zniknięciu Celu Dwa nie miał ich.

- Sonar, tu platforma. Jaki jest status Celu Dwa?

- Ciągle nic, sir.

- Skurwysyn.

- Odzyskany kontakt, komodorze. Okręt podwodny Koalicji manewruje. Zasięg anteny holowanej jest kiepski, ale przy ośmiokilometrowej linii jakoś ujdzie. Mamy kierunek

i odległość celu wprowadzone do torped w wyrzutniach od jeden do pięć.- Status broni? - zapytał Sharef.

- Torpedy Nagasaki podgrzane, pokrywy dziobowe otwarte, współrzędne celu zaprogramowane.

Sharef skinął głową.

- Wystrzelić z wyrzutni od jeden do pięć.

- Ognia z jedyńki...

Pokład zadrżał od siły wystrzału pierwszej torpedy, potem zatrzęsł się jeszcze cztery razy. Nareszcie, pomyślał Ahmed. W końcu Sharef odpowiada ogniem.

- Wystrzeliwanie zakończone z wyrzutni od jeden do pięć - zameldował al-Kunis. - Bieg wszystkich torped normalny.

- Sterowanie okrętem, zwrot do trzy cztery zero, naprzód sześćdziesiąt procent, utrzymywać głębokość pięćset metrów.

- Tak jest, zwrot do trzy cztery zero, sześćdziesiąt procent.

- Zamknąć pokrywy dziobowe od jedyńki do piątki, podgrzać szóstkę i siódemkę, zalać wyrzutnie.

Ahmed obserwował to z aprobatą.

Pierwsza torpeda Nagasaki opuściła wyrzutnię pod ciśnieniem gazu z generatora przy zamku wyrzutni. Tuż przed wystrzeleniem została pozbawiona zasilania elektrycznego z macierzystego okrętu. Wyrzutnia wprowadziła do niej dane celu i wzorzec poszukiwań celu, określiła także jej szybkość. Rozprężający się gaz u podstawy wyrzutni naparł mocno na tylną część torpedy i wypchnął ją w chłodne wody Morza Śródziemnego. Kiedy jej eliptyczna głowica wydostała się poza osłonę dziobu okrętu podwodnego, do nisko umieszczonego kanału w dziobie torpedy napłynęła woda i uruchomiła małą turbinę wodną na łożyskach z kamieni szlachetnych. Turbina wytworzyła w generatorze słaby prąd, który zasilił elektromagnes w przekaźniku; magnes zamknął zestyk przekaźnika w obwodzie logicznym startu silnika i komputer otrzymał sygnał do uruchomienia napędu torpedy.

Sprężone paliwo nadtlenkowe przepłynęło przez otwarty zawór solenoidowy do komory spalania i dotarłszy do pierścieniowej przestrzeni z kręgiem świec zapłonowych rozprężyło się w postaci oparów. Na świecach zasilanych wysokim napięciem z akumulatora pokładowego powstały iskry łukowe i zapaliły opary nadtlenku, które nabrały wysokiej temperatury na łopatkach wlotowych turbiny osiowej w tylnej części torpedy. Gazy zakręciły turbiną i uszły przez klapkowy zawór wylotowy do morza. Wirująca turbina obróciła wał, połączony z kanałowym wirnikiem odrzutu wody, podobnym do większego w

„Hegirze”. Torpeda przyspieszyła do swojej szybkości podróźnej na małej głębokości i popłynęła kursem przechwytyjącym do celu. Jej sonarowe uszy nasłuchiwały pilnie odgłosów śruby poruszanej przekładnią napędową.

- Platforma, tu sonar! Toipeda w wodzie, kierunek trzy jeden dziewięć! Drugie wystrzelenie, dwie torpedy... nie, trzy... Platforma, tu sonar, mamy salwę torped w wodzie, wszystkie śruby kawitują!

- Sternik, cała naprzód maksymalna! Kawitacja manewrowa! - krzyknął Daminski. - Zanurzenie, głębokość czterysta metrów. Oficer pokładowy, załadować wabiki Mark 21 do dziobowego i rufowego wyrzutnika sygnałowego. Sternik, ster pół stopnia w prawo, stały kurs jeden trzy zero.

Daminski patrzył, jak załoga sterowni wykonuje jego rozkazy, dopóki okręt nie zmienił kursu, uciekając przed zbliżającymi się torpedami. Takiego momentu się obawiał - znalazł się przed dziobami nieprzyjacielskich torped i nie mógł nic zrobić, mógł tylko uciekać i mieć nadzieję, że skończy się im paliwo.

- Sonar, tu platforma. Ile torped?

- Pięć, sir. Ocena kierunku zero. Są coraz głośniejsze, kapitanie.

Daminski, choć starał się o tym zapomnieć, bywał już w takich sytuacjach, ale zawsze w symulatorach ataku w Norfolk i Groton. Pomieszczenia symulacyjne wyglądały dokładnie tak, jak sterownia okrętu podwodnego klasy 688. Miały takie same konsole centrum ataku, stoły nawigacyjne i wyświetlacze sonaru w sąsiednich pokojach. Przy zgaszonym oświetleniu sufitowym ludzie mieli wrażenie, że są w prawdziwej sterowni i walczą z celami, które pojawiały się jako symbole w kształcie rombów na konsolach kierowania ogniem. W symulatorach komputerowy „cel” często wystrzeliwał torpedy w atakujący okręt podwodny i myśliwy zamieniał się w zwierzynę. Testy sprawdzały umiejętności oficerów, pokazywały, czy potrafią robić uniki przed torpedami - wprowadzać zbliżający się pocisk w stożek ciszy za rufą lub na granicę stożka, jeśli ktoś chciał być oryginalny, śledzić go na sonarze szerokopasmowym i uciekać z maksymalną szybkością.

Powód, dla którego Daminski wolałby tego nie pamiętać, był prosty: w ciągu ostatnich pięciu lat przegrał z komputerem dwadzieścia razy. Jego okręt nigdy nie przetrwał, torpedy komputera zawsze go zatapiały. Po każdym teście Daminski uparcie pragnął dociec, dlaczego kontratak był taki zabójczy.

- Może podchodzi pan za blisko do faceta, komandorze - powiedział mu kiedyś podoficer kierowania ogniem. - Niech pan strzela do niego z dalszej odległości i jeśli odpowie ogniem, może jego torpedom zabraknie paliwa.

- Aha, żeby usłyszał moje i zrobił unik, tak? Nie ma mowy.

- Jak pan uważa, sir.

- Czy komuś udaje się wyjść żywym po trafieniu? Któremuś z facetów z innych okrętów klasy 688 cumujących w Norfolk? Tym, co strzelają z daleka?

- Chce pan znać prawdę, sir?

- Walcie prosto z mostu, bosmanie. Może z moją taktyką rzeczywiście coś jest nie tak.

- Nikomu nie udaje się przeżyć, komandorze. Chyba że torpeda wystrzelona do pana jest tak daleko od pańskiego kierunku, że pójdzie w złą stronę. Albo ma tak poważny defekt, że nie zdetonuje. Albo jeśli znajduje się jeszcze bardzo daleko w momencie, gdy ją pan usłyszy. Ale torpeda dalekiego zasięgu, rozwijająca szybkość sześćdziesięciu węzłów i wystrzelona wzdłuż pańskiej linii kierunkowej, prawie zawsze dopadnie okręt płynący z szybkością czterdziestu węzłów. Tak to wygląda. Rzecz jasna, może pan trafić na wolniejszą torpedą, ale wątpię.

- Wielkie dzięki, bosmanie. Nikomu nie udaje się przeżyć.

Pieprzę go, pomyślał Daminski. Postanowił, że kiedy „Augusta” z powrotem zawinie do Norfolk, znajdzie tamtego bosmana i zażąda piwa. Kilku piw. I przeprosin.

13

Piątek, 27 grudnia

Cieśnina Sycylijska

Torpedy zbliżają się. Wszystkie pięć w stożku ciszy.

„Augusta” uciekała. Pokład drżał. Daminski patrzył na szybkościomierz i zastanawiał się, co zrobić, żeby płynąć szybciej.

- Oficer pokładowy, status wyrzutników sygnałowych?

- Mark 21 załadowane, wyrzutniki gotowe.

- Wystrzelić z dziobu i rufy.

- Tak jest, sir.

Oba wyrzutniki sygnałowe wypchnęły dwa generatory dźwięku; jeden był zaprogramowany na wydmuchiwanie wielkiej chmury pęcherzy powietrza dla zmylenia sonaru aktywnego, drugi na wydawanie głośnego sygnału szerokopasmowego o brzmieniu śruby okrętu płynącego z maksymalną szybkością.

- Daj mi na linię oficera mechanika wachtowego - powiedział Daminski do Kristmana. Ten porwał telefon bezprzewodowy, warknął coś do mikrofonu i oddał aparat kapitanowi. - EOOW, odciąż generatory turbinowe i bierz prąd z akumulatora. Ustaw selektor trybu pracy reaktora na wyłączenie blokad bezpieczeństwa, potem otwórz przepustnice na sto pięćdziesiąt procent mocy, słyszysz mnie? I podnieś temperaturę do dwustu siedemdziesięciu stopni, zgadza się. Powtórz... Tak jest. Tylko nie spieprz instalacji prądu zmiennego. Nie zamierzam stracić zasilania głównej pompy chłodzącej. Do roboty.

Daminski oddał telefon Kristmanowi, który skinieniem głowy wyraził swoją aprobatę.

Daminski spoglądał gniewnie na szybkościomierz. Wskazówka przesuwiała się powoli z trzydziestu ośmiu węzłów do czterdziestu dwóch. Jego rozkazy mogły mieć fatalne konsekwencje - uszkodzenie elementów paliwowych i stopienie rdzenia, a zyskał tylko marne cztery węzły. Zabójcze lekarstwo. Wspiął się na platformę peryskopową, wyrwał kartkę z bloczka nawigatora i zaczął pisać. Po kilku sekundach przerwał. Na chwilę włożył rękę za kombinezon i wymacał palcami list od Myry. Pokręcił głową i wrócił do pisania. Kiedy skończył, poszukał wzrokiem Kristmana i przywołał swojego zastępcę na peryskopową platformę obserwacyjną.

- Danny, wezwij radiowca. Każ mu to szybko zakodować w boi SLOT. Niech to załaduje na dziób.

Kristman sięgnął po telefon, zatrzymał radiowca wchodzącego do sterowni i przekazał mu kartkę, nie przeczytawszy jej nawet. Młody radiowiec wybiegł pospiesznie z pomieszczenia.

Daminski pomyślał o wyrzutniach. Mógł jeszcze odpowiedzieć ogniem, nawet bez współrzędnych celu.

- Uzbrojenie, jaki jest status?

- Sir - rozległ się wyższy niż zwykle i trochę drżący głos Hackle'a. - Jedyńka i dwójka załadowane sucho. Zasilanie Mark 50 włączone, auto-diagnostyka trwa. Zalecam zalanie wyrzutni i otwarcie wrót zewnętrznych.

- Zalać jedynkę i dwójkę i otworzyć wrota zewnętrzne.

- Sir - odezwał się Kristman i dotknął ramienia Daminskiego. - Będziemy musieli zwolnić, żeby wystrzelić torpedy. Do dwudziestu, może dwudziestu pięciu węzłów.- Naprawdę myślisz, że będzie z nimi problem? Wyrzutnie „Augusty” były ulokowane daleko od dziobu i odchylone na zewnątrz pod kątem dziesięciu stopni; torpedy opuszczały je po skośnym torze. Przy szybkości czterdziestu dwóch węzłów siła strumienia zadziobowego mogła je zgąć lub złamać. Zgodnie ze standardową procedurą operacyjną, powinny być

wystrzelwane przy szybkości poniżej dwudziestu węzłów, z wyjątkiem sytuacji alarmowych - jakby wystrzelwanie torped bojowych było kiedykolwiek rutynowym zajęciem...

- Słyszał pan o salwie z „Trepanga” przy maksymalnej szybkości, prawda? Jedna torpeda przełamała się na pół. Drugiej nic się nie stało. Ale to były ćwiczenia bez głowic bojowych. Jeśli torpeda bojowa pęknie na pół, rozwali cały przedział.

- Nasi arabscy przyjaciele mogli się już tym zająć. Bardziej się troszczę o stan torped. Uszkodzona Mark 50 raczej nie zatopi celu. - Daminski odwrócił się twarzą do centrum ataku. - Uzbrojenie, jaki jest ten cholerny status?

- Wrota zewnętrzne jedyńki i dwójki otwarte, autodiagnostyka zakończona, gotowe do wystrzelenia. Z wyjątkiem współrzędnych, sir.

Daminski pochylił się nad panelem stanowiska drugiego i zmienił tryb pracy monitora z tekstowego na graficzny. Dziwna konfiguracja nazywana „linią wzroku” pokazywała dwie łodzie wiosłowe. Dolna symbolizowała własny okręt, górna cel. Daminski wprowadził dla celu za rufą kierunek trzysta dwadzieścia stopni, odległość osiemnaście tysięcy metrów, kurs północno-zachodni do wyjścia z cieśniny.

- Masz swoje współrzędne. Trzymaj się tego.

- Platforma, tu sonar. Odbieramy sygnał sonaru aktywnego jednej z torped.

- Jak wygląda zakres odległości?

Odległość torpedy można było ocenić po tym, jak często odzywa się jej sonar aktywny. Długie przerwy między dźwiękami oznaczały, że odbiornik musi czekać na sygnał powrotny nadchodzący z daleka. Szybko następujące po sobie dźwięki wskazywały, że torpeda odbiera sygnał powrotny w ciągu kilku sekund i jest blisko - im krótsze przerwy między sygnałami, tym bliżej.

- Przerwy między sygnałami są wydłużone. Prawdopodobnie odległość wynosi około dwóch do trzech tysięcy metrów.

Mila morska, pomyślał Daminski. Był milę do półtorej mili morskiej przed torpedami. Płynął z szybkością czterdziestu dwóch węzłów. Zakładając, że torpedy ścigały go z szybkością pięćdziesięciu węzłów - nie, wołał przyjąć pięćdziesiąt pięć węzłów - mogły go dogonić za cztery do siedmiu minut.

- Słuchajcie - powiedział do całej wachty. - Za chwilę odpowiemy ogniem, potem wystrzelimy boję radiową z wyrzutnika sygnałowego z wiadomością dla szefa, że jesteśmy atakowani i żeby uważali na taktykę Destiny, polegającą na wyłączaniu maszyn i ukrywaniu się. Zamierzam zwolnić do dwudziestu węzłów, żeby wystrzelić torpedy, potem znów

otworzymy przepustnice i dalej będziemy uciekać. Gotowi? Sternik, cała wstecz dwie trzecie, zaznacz szybkość dwa jeden!

Sternik przedzwonił rozkaz telegrafem maszynowni. Z tyłu w kabinie manewrowej operator przepustnic odpowiedział na dzwonek, zamknął przepustnice przednich turbin i otworzył wloty turbin rufowych. Okręt zadrżał gwałtownie, jakby potrząsnęła nim ręka Boga. Z szafki nad stołem nawigacyjnym posypały się książki, jedna uderzyła w głowę oficera nawigacyjnego.

- Szybkość dwa jeden, sir! - zawołał sternik.

- Cała stop! Szybki strzał z jedyńki!

- Jest! - zawołał Skinnard.

- W pogotowiu i ognia - powiedział Hackle i obrócił spust. Rozległ się huk donośniejszy niż cztery poprzednie.

- Szybki strzał z dwójki!

- W pogotowiu i ognia. Odpaliła druga wyrzutnia.

- Cała naprzód maksymalna! - zawołał Daminski, przekrzykując ich grzmot. - Kawitacja manewrowa, sto pięćdziesiąt procent mocy reaktora, temperatura dwieście siedemdziesiąt!

Pokład znów zadygotał od mocy wyjących silników głównych. Wskazówka szybkościomierza pięła się wolno - zbyt wolno - do czterdziestu dwóch węzłów.

- Platforma, tu sonar. Obie własne torpedy wystrzelenie normalne.

- Sonar, tu kapitan. Jakie są przerwy między sygnałami?

- Sir, sonar aktywny wrogiej torpedy ucichł.

- Jezu, co się dzieje, do cholery? - wymamrotał Daminski do Kristmana. - Danny, mamy załadowaną tamtą boję radiową?

Kristman skinął głową.

- Załadowana na dziobie, wyrzutnik zalany, wylot otwarty.

- Wystrzelić z dziobowego wyrzutnika sygnałowego. Daminski rozejrzał się po ludziach w sterowni. Starał się zachować bojową minę. Nic więcej nie mógł zrobić. Odpowiedział ogniem wrogemu okrętowi podwodnemu. Zawiadomił głównodowodzącego Siłami Morskimi na Morzu Śródziemnym, że ściga go pięć torped ZIF. Wystrzelił wabiki, cokolwiek mogły zdziałać. I grubo przekroczył czerwoną kreskę na reaktorze, wyciskając z niego tyle mocy, ile się odważył, uniknąwszy stopienia rdzenia, uszkodzenia instalacji parowej czy rozerwania turbiny.

Zmusił „Augustę” do walki o życie.

Często się zastanawiał, czy chciałby wiedzieć wcześniej o tym, że nadchodzi śmierć. Uznał, że pragnąłby zostać uprzedzony o tym pięć minut przed zgonem, nie wcześniej. Pięć minut to za mało czasu, żeby się martwić - akurat tyle, żeby zdążyć pomyśleć o dzieciach i pogodzić się z gniewnym Bogiem Kościoła katolickiego swojej młodości. Może pożegnać się z dobrymi rzeczami w życiu, wypić piwo Coors albo szklaneczkę whisky Wild Turkey? Próbował sobie przypomnieć, kiedy i jak ostatni raz kochał się z Myrą, ale nie potrafił. Dotknął jej listu i wyobraził sobie jej twarz. Na moment odżyły mu w pamięci twarze trójki jego małych dzieci, potem pojawiła się twarz ojca, zagniewana nawet w tych wspomnieniach...

- Platforma, tu sonar. Mam sygnał sonaru aktywnego jednej z torped.

- Zakres odległości?

- Niestety, kapitanie, torpeda nadaje ciągłą falę rampową.

Daminski i Kristman wymienili spojrzenia. Nieprzyjacielskie torpedy były już tak blisko, że jedna z nich nadawała sygnał w formie ciągłej fali rampowej, uzyskując precyzyjny namiar pozycji „Augusty”.

Mamy jeszcze tylko jedną szansę, pomyślał Daminski. Jeśli dokonamy wynurzenia alarmowego, możemy znaleźć się ponad pułapem torpedy, a może torpeda zdetonuje swoją głowicę w pęcherzach powietrza pozostawionych przez zbiorniki balastowe. A jeśli nawet trafił w okręt, to gdyby udało się go wynurzyć, można byłoby uratować część ludzi; może nie wszystkich, ale przynajmniej część.

- Szef wachty, opróżnienie awaryjne dziobu i rufy! Oficer zanurzenia, podnieść okręt, dziób dwadzieścia stopni w górę!

COW pchnął do góry dwie wielkie dźwignie ze stali nierdzewnej, jednocześnie oficer zanurzenia wydał rozkaz podniesienia okrętu. W pomieszczeniu rozległ się gwałtowny huk sprężonego powietrza, przelatującego z butli do zbiorników balastowych, powietrze zaczęło wypychać wodę morską, zmniejszając masę okrętu. Pokład odchylił się do góry, sternik przeszarżował i okręt poszedł ku powierzchni pod kątem trzydziestu stopni, zanim oficer zanurzenia zdążył pchnąć kabłąk sterowniczy w przód, żeby dziób wrócił do odchylenia pod kątem dwudziestu stopni. Okręt piał się z głębin ku powierzchni morza, głębokościomierz pokazywał coraz mniejsze liczby. Wyporność zbiorników zwiększała szybkość i prędkościomierz wskazał czterdzieści pięć węzłów, potem czterdzieści sześć. „Augusta” pędziła do góry.

Ale nawet przez hałas huczącego systemu opróżniania awaryjnego Daminski słyszał zawodzenie sonaru torpedy pędzącej na czele pościgu. Głębokościomierz pokazał 150

metrów, potem 120, później 105, ale wycie syreny systemu sonarowego torpedy stawało się coraz głośniejsze. Daminski słyszał już nawet śrubę torpedy, jej szum tuż przy zewnętrznym poszyciu kadłuba. Odwrócił się od głębokościomierza na panelu sterowania okrętem. Gdy przyrząd pokazał osiemnaście metrów, dziób „Augusty”, sunącej z ogromną szybkością w górę, wystrzelił z wody, potem wyłonił się kiosk, wreszcie znaczna część czarnego kadłuba z dnem pomalowanym czerwoną farbą antykorozyjną, aż w końcu grawitacja ściągnęła okręt z powrotem w dół. „Augusta” znów opadła do morza w rozbryzgu wody i chmurze mokrej mgły o średnicy stu metrów. Pokład wrócił do poziomu. Zanurzyła się z powrotem, kadłub zniknął z powierzchni i nad wodą pozostała tylko górna połowa kiosku.

W tym momencie zdetonowała pierwsza Nagasaki. Torpeda podążała za okrętem, kiedy się wynurzał, jakby się tego spodziewała. Eksplozja nastąpiła pod przedziałem reaktorowym, siła wybuchu skierowała się ku górze, przebiła kadłub, przedziurawiła generator pary oraz jego główny układ chłodzenia i do przedziału wdarła się woda. Druga Nagasaki zdetonowała bliżej rufy, pod generatorami turbinowymi w przedziale rufowym. Tutaj kadłub również pękł i woda zalała pomieszczenie. Trzecia torpeda nie wybuchła, eksplozja drugiej uszkodziła jej zapalnik, więc materiał wybuchowy nie został zdetonowany i torpeda rozpadła się. Czwarta Nagasaki uderzyła w tylną część przedziału dziobowego i jej wybuch spowodował sześciometrowe pęknięcie w dolnym poziomie okrętu. Siła eksplozji przebiła dwa pokłady i rozbiła pomieszczenie nawigacyjne za sterownią, nim wypełniło się wodą. Daminski miał ćwierć sekundy, żeby się odwrócić i zobaczyć płyty pokładu wylatujące do góry, gdy wybuch rozniósł tylną część sterowni. Ostatnia torpeda zdetonowała przy burcie przedziału dziobowego, przed sterownią. Wodna ściana z tylnej części sterowni dotarła do stołów nawigacyjnych w tym samym momencie, kiedy po ostatniej eksplozji woda wdarła się od przodu pomieszczenia.

Światła zgasły, stół nawigacyjny wyrwany z uchwytów uderzył Daminskiego. Kapitan zamiast mnać na pokład, wpadł do wody. Myślał, że uderzenie stołu zabije go, ale wciąż był przytomny, gdy zapadła ciemność, która nie oznaczała jego śmierci, tylko zwarcie w obwodzie latarni bojowych. Półtora metra w lewo wdzierająca się ściana wody rzuciła Dana Kristmana na Tima Turnera. Zderzyli się z tak wielką siłą, że Kristmanowi pękły żebra, a Turnerowi ramię i obojczyk. Obaj oficerowie wpadli na siedzenia sterowania okrętem z przodu pomieszczenia, Turner stracił przytomność, Kristman skręcił kark i ciała obu osunęły się do wciąż wzbierającej wody.

Kevin Skinnard, siedzący przy stanowisku drugim, został zmyty przez wodę do kabiny sonarowej. Fala przeniosła go przez drzwi i cisnęła na konsolę wyświetlacza sonaru - uderzył

głową w ekran tak mocno, że na szkle utworzyła się pajęczyna pęknięć. Był oszołomiony, ale przytomny, gdy woda morska spowodowała zwarcie w instalacji zasilającej panel i z monitora wystrzeliły iskry. Przed oczyma Skinnarda rozbrzmiał łuk elektryczny, potem woda zalała pomieszczenie. Latarnie bojowe w kabine sonarowej przetrwały i oświetliły jej zatopione wnętrza przyćmionym, mglistym blaskiem. Skinnard próbował się ratować, usiłował pływać, ale woda wdzierająca się do jego płuc wywołała paraliżujący szok. Miał ułamek sekundy na przypomnienie sobie koszmarów dręczących go w dzieciństwie - tonął, widział statki idące na dno, zmoczył łóżko po obejrzeniu filmu o „Titanicu” i martwił się, że zalał swojego pluszowego misia. Ojciec wygłaszał mu kazania, żądał, żeby stawiał czoło własnym lękom i Skinnard tak rzeczywiście robił w dorosłym życiu. Został podwodniakiem w pewnym stopniu dlatego, że chciał udowodnić sobie, iż pokonał strach przed głęboką wodą. Nigdy nie przyznał się do tego żadnemu z psychologów biura personalnego atlantyckiej floty podwodnej. Teraz wiedział, że tamten strach w końcu go dopadł. Ciśnienie rosnące wraz z głębokością rozsadziło mu płuca, pęcherzyki powietrza uszły w bok ku przegrodzie kabiny, zamiast ku sufitowi. Okręt musiał przechylić się niemal poziomo, wywnioskował Skinnard. To była jego ostatnia myśl.

W sterowni Daminski czuł, że jest uwięziony pod stołem nawigacyjnym i pokładem - centrum ataku, jak się domyślał. Ciśnienie wokół niego rosło i zgniatało mu klatkę piersiową, płuca poddały się w końcu. Daminski stracił oddech i do wnętrza jego ciała wtargnęła woda. Część umysłu nadal jednak funkcjonowała, przypomniał sobie, jaką głębokość ma morze pod nim - ostatni meldunek Turnera mówił, że sonda wskazuje ponad 270 metrów przy wyjściu z cieśniny. Daminski zdążył jeszcze pomyśleć o tym, czy będzie wciąż żył, gdy kadłub okrętu uderzył w dno, potem ta myśl i wszystkie inne z wolna uleciały...

Uszkodzony eksplozjami czterech torped kadłub „Augusty” uderzył dziobem w skaliste dno Cieśniny Sycylijskiej z szybkością siedemdziesięciu węzłów. Od wstrząsu zdetonowały dwie torpedy Mark 50. Zderzenie z dnem przełamało okręt na trzy części. Przez kilka minut rdzeń reaktora pluł parą w proteście przeciwko utracie chłodzenia, ale wkrótce woda morska obniżyła temperaturę paliwa i reaktor zaczął po prostu wydzielać gorącą wodę. Pęcherze powietrza uchodziły z kadłuba ponad godzinę, potem woda nad wrakiem przestała kipieć i morze stało się znowu spokojne.

Dwieście siedemdziesiąt metrów wyżej boja radiowa SLOT zakończyła swoją ostatnią transmisję, pogrążyła się w wodzie, zatonięła i spoczęła na dnie morza w odległości prawie mili morskiej na północny zachód od wraku.

Piętnaście mil morskich na północny zachód, na pokładzie okrętu podwodnego ZIF „Hegira”, odebrano meldunek, że cel został zatopiony. Na twarzach kilku młodszych oficerów i Rakisha Ahmeda pojawił się uśmiech triumfu, który zgasł dopiero wtedy, gdy komodor Sharef zgromił ich wzrokiem.

Dwie torpedy wystrzelone z okrętu-celu przed jego zatopieniem zeszły daleko z kursu, skończyło się im paliwo i w końcu zatonęły. Były ostatnimi fragmentami „Augusty”, które spoczęły na dnie morza.

14

Piątek, 27 grudnia

Burkę Lake w Wirginii

Donchez szarpnął sztywny kołnierzyk, przeklinając muszkę przy galowym mundurze, i poprosił barmana o whisky Canadian z lodem. Był sam po raz pierwszy od pół godziny i wykorzystał tę chwilę, żeby rozejrzeć się po rezydencji, zbyt okazałej - może nawet zbyt pretensjonalnej - by mogła być po prostu domem. Generał Clough nazywał ją swoim „domkiem nad jeziorem”, co stanowiło swojego rodzaju aluzję do faktu, że posiadał co najmniej cztery rezydencje. Dziś wieczorem wydawał przyjęcie dla całego personelu Połączonych Sztabów, od starszych bosmanów i starszych sztabowych począwszy, na samym generale Barczynskim skończywszy. Clough stał obok jednej z czterech sof w przeciwległym rogu wysokiego salonu i rozmawiał z dwoma admirałami Doncheza, Johnem Traepsem oraz gościem z Norfolk, Royem Steinmanem, dowódcą atlantyckiej floty podwodnej. Donchez musiał przyznać, że czasami Clough miał imponujący zmysł polityczny; może nawet polubiłby faceta, gdyby generał nie wypowiedział wojny marynarce - lub może nie tyle marynarce, ile samemu Donchezowi, co sugerowałby krąg admirałów wokół Clougha. Ale w końcu to nie miało znaczenia. Wszystkie stanowiska, nawet szefa operacji morskich czy szefa sztabu sił powietrznych, były tymczasowe.

Oczywiście, nawet gdyby on i Clough prowadzili ze sobą zażartą walkę, a nie tylko zerwali stosunki dyplomatyczne, Donchez byłby obecny na tym przyjęciu. Nie z obowiązku czy ze względów ambicjonalnych, nie kierując się obłudą czy hipokryzją. Powodem było typowe dla wojskowych dziwne rozszczepienie osobowości, występujące u nich obu. Wojsko często przypominało Donchezowi starą kreskówkę o owczarku i kojocie. Historyjka zaczynała się od tego, że oba zwierzęta odbijały karty zegarowe i prawily sobie uprzejmości,

dopóki nie przystąpiły do pracy. Potem przez cały dzień trwał piekielny konflikt. Kojot atakował psa, żeby zdobyć owcę, owczarek się bronił. Po wielu eksplozjach trotylu i nieszczęśliwych wypadkach z kuszami i głazami na wyciągach linowych, rozlegał się gwizdek oznaczający koniec zmiany. Przeciwnicy znów odbijali karty zegarowe, każdy wyrażał nadzieję, że drugi spędzi miły wieczór, i umawiali się na kręgle. Tak właśnie zdarzało się wiele razy w karierze Doncheza. Jego dawny dowódca na „Thresherze” o 16.00 dosłownie wrzeszczał mu w twarz, po czym o 17.30 zapraszał go do klubu na piwo. Ta dziwna schizofrenia powtarzała się, gdy on sam dowodził później „Dace”. Kiedy musiał zwracać uwagę jednemu z utalentowanych, lecz niedoświadczonych młodszych oficerów, w końcu podnosił na faceta głos - jak to często robił z Ronnym Daminskim - potem kontynuował szkolenie podwładnego po godzinach w klubie oficerskim. Razem śmiali się przy piwie z incydentu, a nazajutrz historia powtarzała się od początku, jeśli Daminski znów coś spieprzył. Teraz też między nim, Cloughem i Barczynskim mogły istnieć różnice zdań, nawet ostre konflikty, ale zostawiali je za drzwiami. W końcu grali przecież w jednej drużynie, byli członkami tego samego bractwa, zjednoczonymi w tym momencie przeciw muzułmanom po drugiej stronie globu i przeciw wszystkim innym wrogom.

Barczynski podszedł teraz do Doncheza. Miał rozpięty kołnierzyk, owłosioną szyję na wierzchu, szeroki uśmiech na twarzy, a w wielkiej łapie trzymał heinekena. Mężczyźni pogawędzili kilka minut. Barczynski kończył właśnie opowiadać starą historię o bitwie pancerniej, gdy Donchez zauważył, że z drugiego końca pokoju przywołuje go gwałtownie Fred Rummel. Donchez przeprosił Barczynskiego i wyszedł z Rummelem na patio z widokiem na jezioro. Rummel zamknął za nimi drzwi balkonowe. Był środek wieczoru i padający od jakiegoś czasu słaby śnieg zaczynał zalegać na czystych kamieniach patio. Rummel rozejrzał się, potem wyjął pogniecioną kartkę ze stemplem „Ścisłe tajne” i kryptonimem „Wczesna Emerytura” poniżej. Donchez parafował wiadomość wiecznym piórem Rummela i zaczął czytać meldunek z „Augusty”.

Data/godzina: Log transmisji w chwili detekcji boi UHF

Pilne

Od: USS „Augusta” SSN-763

Do: Głównodowodzącego Siłami Morskimi na Morzu Śródziemnym Dotyczy: meldunek o kontakcie Ścisłe tajne - „Wczesna Emerytura”

1. Meldunek numer 2 o kontakcie jak następuje.
2. Pozycja w Cieśninie Sycylijskiej zbliżona do pozycji boi UHF.

3. USS „Augusta” zaatakowała okręt podwodny Destiny salwą Mark 50. Torpedy nie zdetonowały, gdyż według naszych podejrzeń Destiny wypuścił wabik pełnego spektrum, potem wyłączył reaktor i instalację parową, żeby się ukryć, kiedy strzelaliśmy do wabika.

4. Akumulator Destiny słaby lub miał problemy z siecią prądu stałego. Ponowne wykrycie Destiny podczas jego oddychania przez rurkę, tuż przed wystrzeleniem przez niego około pięciu torped dużego kalibru. Destiny emituje również dublet 154 Hz.

5. Obecnie uciekamy przed torpedami ZIF. Będziemy próbowali odpowiedzieć ogniem, ale straciliśmy kontakt z celem, który ostatnio był w naszym stożku ciszy. Prawdopodobieństwo trafienia w okręt podwodny Destiny małe.

6. Jeśli „Augusta” zostanie zatopiona, w imię naszej miłości do naszych rodzin prosimy o powiedzenie im tyle prawdy, ile możecie, najszybciej jak możecie.

7. Wysłał kmdr R. Daminski.

Donchez podniósł wzrok na Rummela. Miał zupełnie bladą twarz.

- Kto o tym wie?

- Obsługa centrum łączności i oficerowie dyżurni w Głównym Dowództwie Sił Morskich na Morzu Śródziemnym oraz w Dowództwie Floty Podwodnej na Atlantyku. Przysłali to faksem z SCIF do pańskiego samochodu służbowego. Od nadania minęło zaledwie siedem minut. Donchez raz jeszcze przeczytał meldunek.

- Wezwij tu Traepsa i Roya Steinmana.

Rummel wrócił z admirałami. Do tego czasu Donchez zdążył jeszcze dwa razy przeczytać wiadomość od Daminskiego. Kiedy admirałowie się zjawili, dał im do przeczytania meldunek. Pierwszy odezwał się Steinman, nowoorleański podwodniak o młodej twarzy i powolnej mowie.

- Kiedy to czytamy, Daminski może właśnie idzie na dno. Musimy się dowiedzieć, co się z nim stało. Potem trzeba zatopić tamtego skurwysyna.

- „Phoenhc” jest w Gibraltarze - powiedział Traeps. - Możemy się z nim skontaktować i zapytać, czy coś słyszał.

- Przekażcie ostatnią pozycję Daminskiego załodze DSRV - rozkazał Donchez, zastanawiając się, gdzie jest najbliższy pojazd ratowniczy głębokiego zanurzenia. - Jeśli „Augusta” poszła na dno, może uda się kogoś wydobyć.

Rummel pobiegł do samochodu służbowego, Steinman pokręcił głową.

- Wiem, że ma pan rację, sir - powiedział. - Musimy to zrobić. Ale jeśli Daminski znalazł się na niewłaściwym końcu pięciu torped Nagasaki, nie miał szans. Właśnie

zakończyliśmy analizę materiałów wywiadowczych uzyskanych od naszego człowieka w Toshibie. Nagasaki jest napędzana szybkoobrotową turbiną osiową, rozwija prędkość siedemdziesięciu węzłów i ma zasięg siedemdziesięciu pięciu mil morskich. Ta cholera jest duża, ma średnicę jednego metra i długość piętnastu metrów. Większą część zajmuje głowica. Jeśli zostanie w kogoś wystrzelona... no, cóż. Proponuję wysłać kopię tego meldunku „Phoenicowi”, żeby wiedział o tej taktyce przyczajania się. Może będzie musiał zejść z drogi Destiny, jeśli tamten skurwiel jest rzeczywiście taki dobry, jak uważa Ron Rakieta.

Albo jak uważał, dodał w duchu.

- Zaczekajmy z aktem zgonu, dopóki nie dowiemy się więcej, Roy - odrzekł Donchez.

- John, połącz się bezpieczną linią z twoim oficerem dyżurnym. Niech przywoła „Phoenixa” na głębokość peryskopową i weźmie od nich raport o wszystkim, co słyszeli z kierunku Cieśniny Sycylijskiej. Przekaż ten meldunek na „Phoenixa”, ale z zaznaczeniem, że jest przeznaczony dla oficera dowodzącego osobiście.

Admirał Traeps przeszedł przez dom do drzwi frontowych, gdzie czekał samochód służbowy Doncheza. Steinman jeszcze raz przeczytał meldunek. Podniósł wzrok na Doncheza i w soczewkach jego okularów odbił się blask księżycy.

- Zwrócił pan uwagę na to zdanie o powiedzeniu prawdy rodzinom? - zapytał, spojrzawszy na jezioro i przełknął z trudem ślinę.

- Zgadza się z Ronem Rakieta. Jeśli straciliśmy „Augustę”, chcę natychmiast je zawiadomić.

- Jak to zrobimy, sir? Nie chcemy chyba, żeby wszyscy się dowiedzieli, że okręt podwodny z Trzeciego Świata posłał na dno jedną z naszych najlepszych jednostek.

- Mam nadzieję, że twój „Phoenix” potrafi zająć się Destiny.

- Przynajmniej Cukier Kane wie teraz więcej o taktyce tamtego gościa, niż wiedział Ron Rakieta.

- Kane?

- David Kane, kapitan „Phoenixa”. Załoga nazywa go Cukier. Ubolewam nad tym, ale sam wymyśliłem dla niego to przezwisko. Kane był kiedyś moim młodszym oficerem na „Archerfishu”.

- Jaki ten świat mały - zauważył Donchez, który nigdy nie słyszał o Davidzie Kanie. - Co to za facet? Jest dobry?

- Zna się na rzeczy - odparł ostrożnie Steinman. Wiedział, że Kane nie jest marynarzem z krwi i kości jak Donchez. Kane był politykiem. Zawsze dbał o własny interes. Wyglądał bardziej na biznesmena z Wall Street w garniturze za dwa tysiące dolarów niż na

podwodniaka w kombinezonie cuchnącym olejem. Ale dowódcy jego eskadry i załoga uwielbiali go. Kane potrafił wszystkich zadowolić. Mówił to, co chcieli usłyszeć jego przełożeni i podwładni. Był kapitanem nowej generacji. Steinman przezornie zachował tę wiedzę dla siebie. Wiedział, że jedna źle zinterpretowana uwaga wypowiedziana w obecności Doncheza może zrujnować każdą karierę. Poza tym Kane był dobry. Po prostu dobił na swój sposób.

Traeps i Rummel wrócili na patio schodami prowadzącymi z trawnika nad jeziorem, cali zaśnieżeni.

- Lepiej niech pan na to spojrzy, admirale.

Donchez wziął faks, który wręczył mu Rummel, i przeczytał w świetle lampy na ganku. Wiadomość przysłała z „Phoenixa”. Treść rozwiała jego nadzieje.

Sonar wykrył kilka dalekich eksplozji wzdłuż linii kierunkowej do Cieśniny Sycylijskiej. Późniejsze pogłosy przypominały przełamanie kadłuba. USS „Phoenix” pozostaje na pozycji na wschód od Gibraltaru bez dalszych detekcji.

Donchez wręczył meldunek Steinmanowi.- Trzeba powiedzieć Barczyńskiemu - zdecydował. - Będziemy musieli wymyślić jakąś historyjkę. Nie chcę, żeby sprawa się wydała, dopóki nie zatopimy okrętu ZIF. Redagowanie komunikatów o zaginionych okrętach podwodnych leży chyba w zakresie twoich obowiązków. Przykro mi.

- Wiem, sir. Przygotujemy na rano oświadczenie. I zajmiemy się zawiadomianiem rodzin. Chyba sam odwiedzę żonę Daminskiego, tak będzie najlepiej.

- Ja to zrobię, Roy - odparł Donchez. - Był jednym z moich chłopaków z „Dace”. Może mógłbyś zająć się rodzinnego XO i bliskimi pozostałych oficerów?

Steinman skinął głową i powoli wkroczył z powrotem do wnętrza budynku.

Donchez poszedł dookoła ścieżką wydeptaną przez Traepsa i Rummela i dotarł do swojego samochodu służbowego zaparkowanego od frontu. Silnik wielkiego czarnego lincolna najeżonego antenami pracował na jałowym biegu. Drzwi frontowe rezydencji Clougha otworzyły się i wyszedł przez nie Barczyński w płaszczu narzuconym na ramiona. Zapytał Doncheza, o co chodzi, poznał po jego minie, że sprawa jest poważna, i przeczytał meldunki Daminskiego i Kane’a.

- Generale, wysłaliśmy tę wiadomość drugiemu okrętowi podwodnemu, obecnemu w zachodniej części Morza Śródziemnego. Wie, jak walczy przeciwnik i będzie gotowy. Sihoud i Destiny pójdą na dno...

- Dick, chciałbym w to wierzyć. Ale podobno kapitan „Augusty” był cholernie dobrym fachowcem. Ekspertem od wyciskania z załogi najwyższej sprawności bojowej.

- Był jednym z najlepszych - przyznał Donchez i pomyślał: Powinien być. Sam go wyszkoliłem. - Jego profesjonalizm widać w ostatnim meldunku, sir. Wiedział, że zginie, ale znalazł czas, żeby nam doradzić, jak pokonać Destiny.

Popatrzył twardo na Barczynskiego.

- Chcę ujawnić zatonięcie „Augusty”, generale. Jeszcze dziś. I tak nie uda nam się utrzymać tego w tajemnicy zbyt długo. Miała wrócić do portu za parę tygodni. Jak będziemy wyglądali, jeśli pozwolimy rodzinom świętować Nowy Rok i czekać na nabrzeżu, a potem powiemy im, że wiemy o tragedii od grudnia? Zatailiśmy zatonięcie „Stingraya” w siedemdziesiątym trzecim, a później prasa i rodziny dały nam nieźle po głowie. I słusznie.

- Dick, nie możemy zdradzić, że okręt podwodny Destiny...

- Nie zdradzimy. Steinman już układa odpowiednią historię. „Augusta” zatonęła w wyniku eksplozji wadliwej torpedy lub przecieku w głównym systemie doprowadzania wody morskiej albo też wymieniona zostanie jedna z tysiąca innych przyczyn, które mogą wchodzić w grę w wypadku zatonięcia okrętu podwodnego. Wiadomo powszechnie, że to niebezpieczny fach. W przeszłości straciliśmy trzy atomowe okręty podwodne, sir. Przykro mi to mówić, ale już robiliśmy takie rzeczy.

- Nie chcę, żeby za tydzień jacyś nurkowie szukający sensacji wyskoczyli z rewelacją, że skłamaliśmy.

- Nie podamy, gdzie zatonął okręt. Poza tym on leży na głębokości ponad dwustu siedemdziesięciu metrów. Zanim sępy szukające sensacji zdążą tam zanurkować, zatopimy Destiny. Potem będą mogli nurkować po kości Sihouda.

- Okay, Dick. Zrób to po swojemu.

Donchez wszedł do samochodu, Rummel zajął miejsce przy drzwiach, gotów je zatrzasać.

- I, Dick...

- Tak, generale?

- Bardzo mi przykro.

- Mnie też, sir. Mnie też.

Virginia Beach w Wirginii

Myra Daminski usiadła przy stole kuchennym i odetchnęła ciężko. Czuła się zmęczona. Dzieci po długich bojach poszły w końcu do łóżek i wreszcie ucichły. Pociągnęła łyk kawy, która po dolaniu mleka nabrała kolom czekolady. Nagły błysk światła radiowozu

policyjnego za oknami jadalni nie zaskoczył Myry. Był piątkowy wieczór między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem i przyjęcia u sąsiadów rozkręciły się już całkiem niezłe. Z domu po drugiej stronie ulicy dobiegały głośne dźwięki muzyki. Pewnie ktoś złożył skargę. Myra przerzuciła kilkanaście kartek książki i znalazła właściwą stronę - lektura była dla niej jedyną pociechą, pomagała jej znosić stresi wywołane kryzysem małżeństwa. Odezwał się dzwonek przy drzwiach. Poirytowana odłożyła książkę, używszy spinki jako zakładki, i poszła do holu. Po drodze rozczesywała gęste czarne włosy.

Otworzyła drzwi, spodziewając się zobaczyć ludzi, którzy przyjechali na przyjęcie i pomylili adres. Zamiast nich ujrzała policjanta stanowego w świeżo odprasowanym mundurze. Za nim stali dwaj mężczyźni w ciemnych uniformach. Na podjeździe, za radiowozem stał duży czarny samochód. Zapaliła światło nad wejściem i natychmiast zorientowała się, że mężczyźni w ciemnych uniformach to oficerowie marynarki wojennej.

- Pani Daminski? Jestem admirał Dick Donchez. Czy moglibyśmy wejść?

Otworzyła szerzej drzwi i wpuściła nieoczekiwanych gości.

- Właśnie zrobiłam kawę, proszę dalej, panowie, siadajcie. Pobiegła do kuchni i sięgnęła po dzbanek z kawą.

- Chyba będzie lepiej, jeśli najpierw wysłucha pani admirała - odezwał się Fred Rummel.

Myra Daminski podniosła wzrok z rękami zastygniętymi na blacie.

- Chodzi o „Augustę” - zaczął Donchez głębokim, poważnym głosem. - Dwie godziny temu okręt poszedł na dno na Morzu Śródziemnym podczas ćwiczeń z innym okrętem podwodnym. Mamy powody przypuszczać, że zginęła cała załoga. Przykro mi...

Myra spojrzała na niego szklanym wzrokiem. Donchez nie był pewien, czyjego słowa dotarły do niej.

- Przyjechaliśmy z Waszyngtonu najszybciej, jak mogliśmy. Jestem szefem operacji morskich. Ron służył kiedyś ze mną na okręcie podwodnym „Dace”. Był doskonałym oficerem i moim bliskim przyjacielem. Nie potrafię wyrazić...

Słowa zdawały się przelatywać obok niej. Coś ścisnęło ją za gardło. Zastanawiała się, czyjej list dotarł do męża, zanim okręt wypłynął z Sardynii. Miała nadzieję, że nie, i dostanie go z powrotem.

- Co się stało?

- Nie jesteśmy jeszcze pewni. Robimy, co możemy, żeby odnaleźć załogę. Jeśli ktoś przeżył, będziemy o tym wiedzieli za kilka godzin. Dziś w nocy wyślemy tam pojazd ratowniczy głębokiego zanurzenia. Ale nie chciałabym rozbudzać zbyt wielkich nadziei, pani

Daminski. Ten drugi okręt podwodny zameldował przez radio, że słyszał na sonarze odgłosy pęknięcia kadłuba.

Myra podniosła wzrok i zobaczyła swojego synka Joego stojącego w piżamie w holu przy schodach.

Później, w samochodzie służbowym, Donchez patrzył przez szybę na ciemne drzewa i myślał o reakcji - czy raczej braku reakcji Myiy Daminski - i o łzach chłopca. Pani Daminski kołysała go w dużym fotelu w salonie, kiedy wychodzili. Jej twarz była, szczerze mówiąc... no, cóż... pozbawiona wyrazu. Stoicki spokój? Być może.

Nagle osaczyły Doncheza wspomnienia i przez następne pół godziny nie potrafił się od nich uwolnić. Daminski siłujący się na ręce w mesie oficerskiej, Daminski pijący piwo podczas meczu softballa rozgrywanego na okręcie, Daminski kłócący się z potężnym torpedzistą Bettsem, Daminski uczący młodszych oficerów o blokadach w wyrzutni torpedowej. Kiedy Donchez po raz pierwszy usłyszał, że Betts nazwał Daminskiego Ronem Rakietą, i załoga „kupiła” to przezwisko, próbował interweniować, bo używanie przezwisk było pogwałceniem dyscypliny wojskowej. Ale w końcu dał spokój, gdy przydomek się przyjął. W dniu, kiedy porucznik Daminski przyszedł do kajuty XO Doncheza z prośbą o pilny urlop, bo chciał zobaczyć się z umierającym ojcem, ten prawdziwy twardziel wydał się nagle bezbronny, niemal zalękniony. Kiedy Daminski zenił się po raz pierwszy, na weselu obecni byli wszyscy oficerowie z okrętu. Złapali broniącego się i wierzgającego pana młodego, zanieśli do basenu i wrzucili do wody. Daminski wypłynął na powierzchnię, parszając i uśmiechając się szeroko. Wdrapał się na brzeg w przemoczonym białym mundurze i ruszył w pogoń za prześladowcami. Potem przeżył kilkutygodniowy szok, gdy małżeństwo rozpadło się po roku, i zagrzebał się w pracy.

Donchez otrząsnął się wreszcie ze wspomnień i wrócił myślami do czekającego go zadania. Gdzieś w głębinach Morza Śródziemnego czaił się okręt podwodny ZIF klasy Destiny. Był wystarczająco cichy, by uniknąć wykrycia przez system sonarowy BSY-1, zainstalowany na okręcie zmodernizowanej klasy Los Angeles. Tak cichy, że przy jego wyłączonym reaktorze sonar nie mógł go usłyszeć przez hałas własnego okrętu. Destiny miał przewagę akustyczną - parszywa sytuacja; okręt przeciwnika był cichszy od amerykańskich. W dawnych czasach coś podobnego nigdy się nie zdarzyło, okręty amerykańskie zawsze były cichsze - nawet od rosyjskich - dopóki Rosjanie nie zbudowali bojowego okrętu podwodnego klasy Omega. Donchezowi spędzało to sen z powiek przez wiele nocy, w końcu wysłał „Devilfisha” na poszukiwanie Omegi. Pacino, ówczesny dowódca „Devilfisha”, nie był w

stanie jej usłyszeć, dopóki nie znalazł się bezpośrednio pod nią, gdy pojawiła się pod polarną pokrywą lodową.

Był tylko jeden amerykański okręt podwodny cichszy od okrętów zmodernizowanej klasy Los Angeles - „Seawolf”. I był zapewne tylko jeden kapitan okrętu podwodnego z tej samej ligi, co Ron „Rakieta” Daminski - Michael Pacino, dowódca „Seawolfa”. Pacino miał odejść, dostać swoją pierwszą gwiazdkę admiralską i zastąpić Roya Steinmana na stanowisku dowódcy atlantyckiej floty podwodnej. „Seawolf” spoczywał w suchym doku, gdzie kończono instalowanie na nim wyrzutni Vortexów. Teraz, po nieudanym teście systemu na Bahamach, stoczniaotrzymała rozkaz odwrócenia kierunku kosztownych prac i usunięcia wyrzutni.

- Fred, połącz mnie przez satelitę szyfrującego z Pacinem. Powinien być w domu w Sandbridge Beach. Potem daj mi Stevensa.

- Stevensa, komendanta Stoczni Marynarki Wojennej w Norfolk?

- Tak.

Donchez czekał.

- Pacino - odezwał się głos Pacina zniekształcony przez obwód szyfrujący.

- Mikey? Tu Dick. Mam, niestety, złe wieści.

Część II

15

Ucieczka na Atlantyk

Sobota, 28 grudnia

Portsmouth w Wirginii

Stocznia Marynarki Wojennej w Norfolk

Suchy dok numer 4

Kapitan Michael Pacino stał przy barierze doku i z niesmakiem spoglądał w dół. To, co tam widział, budziło w nim złość i odrazę.

Kilka ton paskudnych rusztowań zasłaniało większą część szerokiego kadłuba „Seawolfa”. Masa sprzętu zgromadzonego przy prawej burcie sprawiała, że ta strona okrętu była prawie niewidoczna. Na szczycie kiosku umieszczono platformę z poręczami. Z dziobu usunięto plastikową kopułę sonaru i odkryta wielka kula sonaru BSY-2 BATEARS wyglądała

jak naga. Wokół „równika” kuli wzniesiono rusztowanie. Widoczna część pokładu była jasnozielona; taką barwę miał nieorganiczny podkład cynkowy położony na wypiaszkowany kadłub. Do włazów wchodziły węże i tymczasowe przewody. W przedniej części prawej burty widniała wielka dziura, którą wycięto w kadłubie, by zainstalować wyrzutnie Vortexów.

Choć okręt trafił tutaj wyłącznie w tym celu, suchy dok stwarzał takie możliwości, że stocznia nie mogła się oprzeć pokusie wykorzystania tej rzadkiej okazji do realizacji innych projektów. Przykładem była wymiana hydrofonów sonaru. Miała być przeprowadzona dopiero za dwa lata, ale dokonano jej teraz, bo później mogły być trudności z ustaleniem odpowiedniego terminu. I jak zwykle, po zakończeniu głównych robót, planowano wykonanie mniejszych prac, które opóźniłyby wyjście okrętu w morze. Pacino mocno zacisnął wargi. Widok „Seawolfa” w doku przyprawiał go o ból żołądka. Miejsce okrętu było na morzu, nie tutaj. Nad budynkami stojącymi wokoło wzeszło słońce, ale brudne, stare mury z cegły wciąż były ciemne w ten sobotni poranek po zatonięciu „Augusty” i śmierci Rona Rakiety. Pacino starał się o tym nie myśleć. Już po siódmej, a w stoczni cisza, żadnego mchu. Zerknął na zegarek, dostrzegł jakiś zbliżający się cień i podniósł wzrok. Zobaczył kapitana Emmitta Stevensa, komendanta stoczni, w świeżym kombinezonie, lśniącem białym kasku i wypolerowanych półbutach. Pacino odwrócił się i zsalutował mu niedbale. Stevens wyglądał, jakby chciał go ugryźć.

- Kapitanie - powiedział Stevens - jeszcze jedna okazja do wykorzystania doku zmarnowana przez facetów z operacji morskich.

- Słucham?!

- Znów jeden z moich programów pracy diabli wzięli przez Dowództwo Floty Podwodnej na Atlantyku. Wczoraj wieczorem dostałem telefon od admirała Steinmana. Góra życzy sobie, żeby twój okręt zaraz wyszedł w morze. Natychmiast albo jeszcze prędzej, chyba tak się wyraził Steinman. Niech to szlag, Patch. Została nam jeszcze kupa roboty, a teraz musimy wszystko zapiąć w pośpiechu na ostatni guzik i wyprawić okręt w morze na jakieś cholerne ćwiczenia Steinmana. Słyszę od was wciąż tylko narzekania, że wasze okręty nie sana chodzie. Właśnie dlatego nie są, cholera.

Pacino przyjrzał się Stevensowi, starszemu mężczyźnie posiwiałemu na skroniach, z włosami zaczesanymi do tyłu nad uszami i pod kask. Stevens był inżynierem mechanikiem, jednym z cudownych dzieci na wydziale budowy okrętów w Instytucie Technologicznym Massachusetts, kiedy Pacino dopiero próbował zacząć tam pisać pracę dyplomową. Stevens był już obyty w świecie, gdy Pacino dopiero pytał, gdzie jest toaleta. Pacino zastanawiał się

teraz, ile może zdradzić Stevensowi. Zdecydował, że wbrew wymogom bezpieczeństwa powie mu, o co chodzi. Może wtedy komendant stoczni przygotuje okręt szybciej lub lepiej.

- Słyszałeś o „Auguście”?

Wyraz twarzy Stevensa natychmiast się zmienił.

- Ron Rakieta. Jasne, że słyszałem. Stocznia w New Hampshire, która ostatnia robiła okręt, stoi. Komendant może porządnie dostać w dupę. Podobno to nie był problem z uzbrojeniem. Jakies kłopoty z kontrolą zanurzenia z powodu panela głębokościomierza, który mu założyli wiosną. Słyszałem, że wskaźnik pokazywał mu małe zanurzenie, kiedy było duże, Rakieta zarył w dno i rozerwał kadłub.

- Emmitt, Ron Rakieta nie poszedł na dno z powodu wadliwego głębokościomierza. Dlatego „Seawolf” ma tak szybko wyjść w morze. Musimy zająć się sprawcami zatonięcia „Augusty”.

Gdzieś w głowie Stevensa zadźwięczał jakby sygnał alarmowy - konieczność przerwania prac w doku stała się dlań teraz zupełnie jasna.

- Jezu. Patch, posłuchaj... wyprawimy cię stąd natychmiast. Wszystko będzie zapięte na ostatni guzik. Jak nowe. Nawet lepiej. We wtorek zalewamy dok.

- Emmitt, wiem, że nie muszę tego mówić, ale jednak powiem. Tej rozmowy w ogóle nie było.

- Jasna sprawa.

Stevens już się odwrócił, chcąc rozpocząć jak najszybciej pełną mobilizację wszystkich sił stoczni.

- I, Emmitt... Stevens obejrzał się.

- Zalewamy dok jutro o zachodzie słońca. We wtorek może być za późno.

- To niemożliwe.

Pacino już tylko patrzył bez słowa prosto w oczy Stevensowi.

- Jutro. Dobra. Dowództwo mówi: wtorek, Pacino mówi: niedziela. W porządku, Patch. Masz to załatwione.

Piętnaście minut później, jakby spod ziemi pojawili się nagle stoczniovcy. Wokół okrętu zaroilo się od ludzi. Ruszyły szerokotorowe dźwigi szynowe o wysokości dziesięciu pięter, w porannym powietrzu zabrzmiały ich syreny ostrzegawcze. Odezwał się głośnik stoczniovcy. Robotnicy na dole w doku krzyczeli na siebie. Zadowolony Pacino skinął głową i ruszył w stronę pomostu.

Zachodnie Morze Śródziemne Cieśnina Gibraltarska USS..Phoenix”

Zachodni basen Morza Śródziemnego zwęża się do korytarza o szerokości stu trzydziestu i długości trzystu dwudziestu kilometrów u wejścia do Cieśniny Gibraltarskiej, gdzie południowo-zachodnia Hiszpania wychyla się ku Tangerowi w Maroku, ale nie całkiem go dosięga. Basen wygląda jak łeb konika morskiego - przynajmniej wtedy, gdy ktoś wystarczająco długo wpatruje się w mapę - wyspa Majorka tworzy jego oko, a Gibraltar nozdrza. Wydłużony pysk, wąski korytarz, był teraz pełen statków, głównie transportowców wojskowych wiozących zaopatrzenie dla Trzeciego Zgrupowania Sił Zbrojnych Koalicji na froncie biegnącym wzdłuż gór Atlas w północnej Algierii. Piętnaście kilometrów na wschód od Gibraltar, pod powierzchnią morza, czaił się amerykański atomowy okręt podwodny «Phoenix». Czekał na pojawienie się okrętu podwodnego klasy Destiny. Dalej na wschód, po błękitnych wodach krążyły dwa amerykańskie niszczyciele. Oba ciągnęły za sobą holowane anteny systemów sonarowych, ale żaden niczego nie słyszał. Między niszczycielami i „Phoenixem” krążyły cztery patrolowe turbośmigłowce Orion P-3. Latały tam i z powrotem od Barcelony do Algieru i kładły barierę z boi nasłuchowych sonaru pasywnego. Monitorowały boje pod kątem dźwięków powodowanych przez człowieka i dokonywały niskich przelotów z detektorami anomalii magnetycznej w poszukiwaniu Destiny. Jeszcze dalej na wschód, tuż na zachód od wybrzeży Sardynii i Korsyki, przeczesywały morze odrzutowce Viking S-3, mające bazę na lotniskowcu. Zrzucały własne boje dźwiękowe i używały własnych wykrywaczy anomalii magnetycznej. Jak dotąd, żadna z tych jednostek nie znalazła absolutnie niczego. Zupełnie, jakby okręt podwodny Destiny rozpuścił się w słonej wodzie po ataku na „Augustę”.

Prowadząc poszukiwania zaporowe, „Phoenix” płynął wolno na wschód z szybkością dwóch węzłów, pozwalającą zaledwie na sterowanie okrętem. Należał do pierwszej generacji okrętów podwodnych klasy Los Angeles i tak bardzo przypominał „Augustę”, że cywil mógłby godzinami wędrować po jego wnętrzu i nie dostrzegłby różnicy. Ale „Phoenix”, zwodowany w roku 1981, był trzynaście lat starszy od okrętu podwodnego zmodernizowanej klasy Los Angeles „Augusta”. Pochodził z wczesnej serii atomowych okrętów podwodnych klasy 688 i nie miał w części dziobowej pionowych wyrzutni pocisków manewrujących Javelin. Jego stery głębokości były zamontowane na kiosku, natomiast na „Augusta” z przodu kadłuba jako stery dziobowe. Ze swoim starszym systemem sonarowym BQQ-5D i przestarzałym systemem kierowania ogniem CCS Mark II „Phoenix” należał praktycznie do innej klasy okrętów niż „Augusta”, posiadająca skoordynowany system bojowy BSY-1. W dodatku w „Augusta” zastosowano zaawansowaną technologię wygłuszania dźwięków, toteż emitowała zaledwie ułamek tej ilości odgłosów, jaką wydawał „Phoenix”. Ale mimo swojego

wieku, „Phoenix”, kierowany przez Kane’a i jego załogę, nadal był skuteczny i groźny, choć nie mógłby się mierzyć z okrętem unowocześnionej klasy Los Angeles.

Gdy nad zachodnim basenem morza wstawał świt, „Phoenix” kontynuował swoje poszukiwania zaporowe, kierując się według wzorca sektorowego na południe. Na okręcie panowała cisza taktyczna, wachtowy zespół kierowania ogniem czuwał w gotowości w sterowni, wrota dwóch wyrzutni torpedowych były otwarte, dwie torpedy podłączone do zasilania i gotowe.

Gdzieś przed nimi krył się okręt podwodny Destiny. Jego załoga była odpowiedzialna za śmierć stu dwudziestu ludzi spoczywających teraz na dnie morza.

W sterowni „Phoenixa” właśnie zmieniła się wachta. Na okręcie pachniało kawą i jajkami na bekonie, serwowanymi pokład niżej. Przy prawym stole nawigacyjnym za stanowiskiem peryskopowym komandor David Kane pochylał się nad mapą. Miał na sobie świeżo odprasowany kombinezon z zupełnie nowymi naszywkami flagi amerykańskiej. W jasnym świetle pomieszczenia lśniły jego podwodniackie delfiny wyhaftowane złotą nicią. Kane przeszedł cyrklem po mapie i wykonał w pamięci obliczenia. Wyglądał tak świeżo, jakby spał przez ostatnie dwanaście godzin, ale tak naprawdę był na nogach od ponad trzydziestu. Brak snu zdradzały tylko jego oczy - kiedy odczuwał zmęczenie, często mrugał; teraz mrugał co chwila.

Kane skończył czterdzieści lat, ale wyglądał na energicznego trzydziestopięciolatka. Był wysoki, ciemnowłosy, miał opaloną twarz, ostro rzeźbione kości policzkowe i podbródek, przenikliwe, niebieskie oczy. Szczupłą i muskularną sylwetkę zawdzięczał wielogodzinnym ćwiczeniom w siłowni przy nabrzeżu portowym i bieganiu w miejscu między głównymi silnikami na morzu. Kane był oficerem skazanym na sukces od pierwszego roku Akademii. Na pierwszym semestrze drugiego roku dosłużył się trzech pasków dowódcy kompanii. Na drugim semestrze nosił już sześć pasków dowódcy brygady. Miał najwyższy stopień, jaki przysługiwał aspirantom w Annapolis. Na czele każdej formacji stawał przed tłumami turystów z wyciągniętą lśniącą szablą i miną modela, co nadawało całej scenie surrealistyczny wygląd plakatu werbunkowego.

Na ścianie jego pokoju w Akademii przez trzy lata wisiał wielki napis: „Nie tylko jeszcze jeden przystojniak”. Koledzy z roku ukradli tę wywieszkę z butik w pasażu handlowym i wręczyli mu wśród żartobliwych fanfar. Ale Kane w głębi duszy miał czasem wątpliwości, czy uczciwie osiąga sukcesy. Nigdy nie traktował ich jako rzeczy oczywistej, zawsze chciał zrobić jak najwięcej dla marynarki wojennej i zawsze dawał z siebie wszystko.

W wieku trzydziestu siedmiu lat został najmłodszym kapitanem okrętu podwodnego w Siódmej Eskadrze i na całym wschodnim wybrzeżu. Żeby dostać to stanowisko, zrezygnował ze służby lądowej między turą nawigatora i XO. Ta decyzja o mało nie doprowadziła do rozpadu jego małżeństwa. Stawał na głowie, żeby udobruchać swoją żonę Becky, bo naprawdę ją kochał, ale również dlatego, że w znacznym stopniu zawdzięczał jej swe sukcesy. Rebecca była piękną blondynką i pozowała nawet do „Playboya”, gdy on był jeszcze aspirantem pierwszej klasy. Podczas jakiegoś nocnego męskiego spotkania zauważono, że Kane wpatruje się uporczywie w zdjęcie na rozkładówce magazynu z rogami pozaginanymi od częstego oglądania przez aspirantów. Jeden z kolegów z roku zasugerował mu, żeby napisał do modelki. Kane tak zrobił. Do listu dołączył swoje zdjęcia w mundurze z sześcioma paskami - dowódcy brygady - i długie, pijackie wyznania swoich przyjaciół. O dziwo, dziewczyna odpisała. Okazało się, że studiuje w Hood College na północ od Waszyngtonu. Rok później wzięli ślub w kaplicy Akademii, gdy minął kolejny rok urodziło się ich pierwsze dziecko, dwa lata później w drodze było drugie. Becky przez cały ten czas wyglądała olśniewająco i potrafiła oczarować najtwardszych, najbardziej odpornych admirałów pełniących wysokie funkcje w marynarce wojennej. Kane często o niej myślał i tęsknił za nią, kiedy był na okręcie. I zawsze gdy napięcie wywołane sytuacją na morzu narastało, myślał o niej coraz częściej. To był jego swoisty barometr psychiczny - im większy stres przeżywał, tym częściej widział jej twarz. A teraz myślał o niej niemal bez przerwy.

Zadumę Kane'a przerwało pojawienie się jego zastępcy, komandora Carla B. „CB” McDonne'a. CB był wielkim facetem z brzuchem rozsadzającym niebieski kombinezon. Załoga żartowała za jego plecami, że każda część ciała McDonne'a jest gruba. Miał imponującą masę, łysiejącą czaszkę, surowe i nieregularne rysy, donośny i nieprzyjemny głos. McDonne twierdził z perwersyjną dumą, że jest „absolutnie najbrzyszym oficerem w Cichej Służbie”. Ten ogromny mężczyzna o niemal kulistym cielsku wyróżniał się jednocześnie inteligencją. Załoga uważała CB McDonne'a za „ciężkiego”. Ów termin, używany z szacunkiem przez podwodniaków, oznaczał kogoś mądrego i dysponującego wielką wiedzą, ale McDonne potrafił być również arogancki i sarkastyczny. Na okręcie pewnie by go nienawidzono, gdyby nie jego osobliwy wdzięk: miał znakomite, spontaniczne, acz czasem niewybredne poczucie humoru. Kiedy był w nastroju, mógł rozbawić do łez wszystkich oficerów, którzy z takich lub innych powodów znaleźli się w tym samym pomieszczeniu co on.

Kane podejrzewał czasami, że admirał stojący na czele biura personalnego Dowództwa Marynarki Wojennej, który przysłał mu McDonne'a, jest artystą komediowym.

Kane mógłby szukać dziesięć lat i w całej floecie nie znalazłby dla siebie gorszego XO niż McDonne. Ale dzięki encyklopedycznej wiedzy na temat okrętu i taktyki, XO bywał czasami niezastąpiony. Był doskonałym szkoleniowcem i potrafił wyćwiczyć oficerów. I - o dziwo - w towarzyskich kontaktach z ludźmi radził sobie niemal tak dobrze, jak sam Kane: potrafił zmieniać radykalnie swój oficjalny i nieprzyjemny sposób bycia, który zachowywał na płaszczyźnie służbowej. Kane widział jego zdjęcia z okrętowych przyjęć. McDonne nie miał na nich groźnej miny i uśmiechał się wesoło i przyjaźnie do młodszych oficerów. Na zewnątrz atomowego okrętu podwodnego był zupełnie inny. Gdyby na tych przyjęciach umiał jeszcze zostawić w spokoju Becky, Kane uznałby go za faceta na poziomie pod każdym względem. Ale McDonne'a pociągała wciąż imponująca uroda Becky i nie rezygnował.

Biorąc wszystko pod uwagę, Kane i okręt funkcjonowali właściwie zupełnie zadowolająco z takim zastępcą kapitana na pokładzie. Kane słyszał od kogoś z samej góry, że zyskał u szefów punkty za wzięcie do siebie McDonne'a bez sprzeciwu. Teraz podniósł wzrok na CB - XO przeciskał się przez przednie drzwi, zawadzając bokami o prawą i lewą framugę. Wreszcie wepchnął się do środka.

- Właśnie wyszedłem z kabiny radiowej - powiedział. - Lepiej niech pan rzuci na to okiem.

McDonne wręczył Kane'owi metalowy klipbord z ostatnią wiadomością z „Augusty”. Wydruk pochodził prosto z bufora komputera. Meldunek dotarł na okręt, gdy dziesięć minut wcześniej „Phoenix” podszedł na głębokość peryskopową, by rutynowo odebrać wiadomości przesyłane mu przez COMMSAT. Kane przeczytał tekst, spojrzął na mapę i wpatrzył się w Cieśninę Sycylijską. Jego podejrzenia z poprzedniego wieczoru sprawdziły się - Destiny zatopił „Augustę” i mógł płynąć w ich kierunku.

McDonne wydawał się zawiedziony reakcją Kane'a.

- Co pan o tym myśli?

Kane spojrzął na McDonne'a; miał twarz bez wyrazu.

- Przykro mi tak mówić, ale uważam, że Ron Rakieta popełnił błąd i zapłacił za to.

- Myśli pan, że Destiny przyplynie aż tak daleko na zachód? Kane pokręcił głową.

- Nie. Musi być w drodze na front biegnący wzdłuż gór Atlas. Wynurzy się u wybrzeży Algierii, wysadzi Sihouda na ląd i wróci do swojego portu w Kassabie. Dwie godziny po przycumowaniu okrętu do nabrzeża eskadra bombowców Stealth zamieni go w kupę złomu. Wątpię, czy nawet poczujemy jego zapach.- Byłoby cholernie szkoda - odparł McDonne. - Chciałbym mu wpakować Mark 50 prosto w gardło.

Kane skinął głową. Pomyślał, że szkolił się do takiej sytuacji taktycznej przez całe swe dorosłe życie i teraz mogła się ona zdarzyć naprawdę, poza sterylnym światem ćwiczeń. Tamten okręt podwodny posłał „Augustę” Rona Rakiety na dno Morza Śródziemnego. Byle amator nie mógłby nawet marzyć o czymś podobnym. Okręt podwodny klasy Destiny musiał być dobiy, naprawdę dobry, żeby zatopić okręt unowocześnionej klasy 688. Kane nie mógł się pozbyć myśli, że stary okręt pierwszej generacji 688 ma niewielkie szanse w pojedynku z Destiny.

- Wiesz co, XO, „Augusta” była prawie nowa. Miała wszystkie najnowsze urządzenia. Pod względem zasięgu detekcji akustycznej prawie dorównywała klasie „Seawolf”. A Destiny załatwił ją jak dieslowską łódź podwodną z czasów II wojny światowej.

McDonne skinął głową.

- Kapitanie, znamy ich taktykę. Facet wypuszcza wabik, wyłącza maszyny i przyczaja się. A kiedy atakujemy wabik, wychodzi ze stożka ciszy i wystrzeliwuje torpedy.

- Więc skąd, do cholery, będziemy wiedzieli, czy nie ścigamy wabika, CB?

- Chyba kontakt, który strzela toipedami, to prawdziwy okręt podwodny.

- Więc nie będziemy wiedzieli, gdzie jest, dopóki nie wypuści do wody torped. I jeśli wyłączymy maszyny, nadal możemy nie słyszeć niczego poza torpedami. A potem będzie za późno. Nadal uważasz, że mamy przewagę?

- Mamy problem.

- Możemy mieć tylko nadzieję, że Destiny popełni błąd albo będzie terkotać maszynami.

- Chwileczkę, kapitanie. Ron wystrzelił w Destiny serię torped. Może któraś trafiła w cel?

- Czy sonar zarejestrował jakieś eksplozje?

- Nie... Niech pan posłucha, kapitanie. Jeśli uważa pan, że Destiny wysadzi Sihouda u wybrzeży Algierii, może powinniśmy popłynąć wzdłuż lądu na wschód?

- Nie wolno nam. Rozkaz Głównego Dowództwa Sił Morskich na Morzu Śródziemnym był wyraźny: strzec Gibraltaru. Zatopić Destiny, jeśli spróbuje się przebić. Jeśli jest dalej na zachód, samoloty P-3 lub niszczyciele klasy Burke albo wikingi przygwożdżą go swoimi bojami dźwiękowymi. Może zapędzą go w naszym kierunku. Może zrobią mu dziurę jakąś Mark 52.

- Chyba wstąpię do sonaru w drodze do mojej kajuty. Upewnię się, czy starszy bosman wie, z czym mamy do czynienia. Przynajmniej nie umrę we śnie.

- Zdrzemnij się trochę, XO.

- Dobranoc, kapitanie.

McDonne dał nura do kabiny sonarowej. Kane jeszcze długo patrzył na mapę i zastanawiał się, gdzie jest Destiny. I jakie ma zadanie.

Zachodnie Morze Śródziemne

„Hegira” minęła Minorkę i zbliżała się do niewidocznej linii łączącej Barcelonę w Hiszpanii z Algierem. Kiedy okręt zbliżył się do Gibraltaru, morze zaczęło się zwężać z trzystu do stu pięćdziesięciu kilometrów. Wydawało się szerokie, ale przypominało wannę - na północy i południu ląd, na wschodzie i zachodzie nieprzyjacielska flota.

Sharef przeszedł od stołu nawigacyjnego do konsoli sensorowych. Morze wokół okrętu rozbrzmiewało dźwiękami. Zła wiadomość. Oficer sensorowy, porucznik Jadi, identyfikował źródła dźwięku, ich kierunki i odległości i wtedy elektroniczny stół nawigacyjny otrzymywał dane z konsoli sensorowych. Według analiz Drugiego Kapitana, dźwięki na północy i południu były odgłosami śrub amerykańskich niszczycieli klasy Arleigh Burkę, mogących ciągnąć daleko za sobą głęboko zanurzone anteny systemów sonarowych. Dalej na zachód rozbrzmiewały złowrogie pluski i wysokotonowe zawrozenia wydawane najprawdopodobniej przez boje dźwiękowe zrzucane z patrolowych samolotów przeciwpodwodnych. Następny rejon do ominięcia. Sharef utrzymywał serpentynowy kurs przy podchodzeniu do Gibraltaru. Zakładał, że siły Koalicji wiedzą o jego obecności po zatonięciu amerykańskiego okrętu podwodnego klasy 688. Ludzie Zachodu musieli być wściekli i pałać chęcią zatopienia Destiny.

Sharef był ciekaw, czy podejrzewają, że kieruje się na Atlantyk. Jeśli wiedzieli, że na pokładzie jest Sihoud - a jak mogliby nie wiedzieć po niekończącej się akcji ratowania na powierzchni morza jego i Ahmeda? - sądzili prawdopodobnie, że generał zejdzie na ląd w Afryce Północnej, by przejąć dowodzenie kampanią algierską.

Sharef rozejrzał się po sterowni, wypełnionej przez załogę A na przedłużonej wachcie na stanowiskach bojowych. Połowa ludzi na okręcie pełniła służbę, załoga B spała, regenerując siły przed objęciem wachty. Oprócz pełnej obsady na stanowiskach bojowych na okręcie obowiązywał stan najwyższej gotowości. Odkąd Sharef wprowadził przedłużone wachty na stanowiskach bojowych, służba trwała dwanaście godzin, po których przysługiwało jego podkomendnym dwanaście godzin wolnych. Sharef dawno zaczął swoją drugą wachtę i był wykończony. Wrócił do stołu nawigacyjnego i pomyślał, że pewnie niedługo wydepcze ścieżkę na płytach pokładu między konsolami sensorowymi i stołem.

Stół nawigacyjny pokazywał trasę niszczycieli, które, jak się wydawało, pływały wzdłuż linii północ-południe poszukiwań zaporowych oraz przybliżoną lokalizację boi

dźwiękowych, zrzucających dalej na zachód. Wyglądało na to, że najgorszy rejon poszukiwań przeciwpodwodnych został za nimi. Od oceanu dzieliła ich już tylko Cieśnina Gibraltarska. Oczywiście, była wąskim gardłem, idealnym do przechwycenia płynącego tamtędy okrętu podwodnego, ale czy tamci domyślali się, że „Hegira” kieruje się na Atlantyk?

Sharef mógł być z siebie zadowolony, ale nie był. Obawiał się, że coś jeszcze ich czeka. Zabębnił palcami po szklanej powierzchni stołu nawigacyjnego i naraz zdał sobie sprawę, że przez całą ostatnią wachtę ani Sihoud, ani Ahmed nie pojawili się nawet na chwilę w sterowni.

- Komandorze Tawkidi, co robią Sihoud i Ahmed? Tawkidi spojrzał na zegarek. Była 20.35 czasu Greenwich.

- Kiedy o 19.00 zaczynaliśmy wachtę, grali w szachy w kajucie pierwszego oficera. Mam sprawdzić, co się z nimi dzieje, komodorze?

- Nie. Ale zastanawiam się, czy Ahmed kiedykolwiek wygrywa. Jak myślisz? A jeśli tak, jak to świadczy o generale?

Tawkidi uśmiechnął się.

- Wątpię, żeby pułkownik Ahmed był na tyle głupi, żeby wygrywać. Przegrana w szachy z generałem to najlepszy rezultat w tej grze.

Sharef skinął głową i wrócił do konsoli sonarowych.

Dziesięć metrów dalej w kierunku dziobu, za kabiną radiową i komputerową, Sihoud i Ahmed garbili się nad szachownicą, rozłożoną na biurku pierwszego oficera. Gdy Sihoud przesunął swoją królową na pole, z którego zagrażała królowi Ahmeda, ten westchnął i spojrzał na generała.

- Poddaję się, generale.

Ahmed stracił już wszystkie figury poza jednym koniem, jedną wieżą i królem. Sihoud zachował prawie wszystkie.

- Zamieńmy się stronami i grajmy dalej, Rakish.

- Jak pan chce, generale, ale to beznadziejne.

Po trzydziestu ruchach Sihouda, co zajęło następną godzinę, król Ahmeda został osaczony przez nieliczne figury generała.

- Szach i mat, Rakish. Widzisz, mogłeś się wybronić.

- Nie, generale - odrzekł Ahmed. - Tylko pan potrafił. Nie wiem, jak pan to robi.

- Jesteś zbyt krwiożerczy, mój przyjacielu - powiedział Sihoud. Jego donośny głos wciąż brzmiał rozkazująco w mroku kajuty, choć nieco ciszej. - Chętnie oddałeś gońca za konia i królową za królową, prowadząc wojnę na wyczerpanie. Ja tak nigdy nie robię. W

momencie zagrożenia wycofuję się i czekam. Jest czas na agresję i czas na cierpliwość. Powinieneś prosić Allaha o dar cierpliwości, Rakish.

Ahmed już zapomniał o grze, myślami był daleko od szachownicy.

- Generale, co pan sądzi o tej misji, o zatopieniu amerykańskiego okrętu podwodnego? Nie powiedział pan Sharefowi ani słowa na temat narażania naszego życia przez wyłączenie napędu. Tamte amerykańskie torpedy mogły rozerwać nas na kawałki. Zastanawiam się nad kwalifikacjami Sharefa.

- Komodor Sharef od dawna dowodzi okrętami podwodnymi, Rakish. Co byś pomyślał, gdybym ci mówił, jak powinieneś pilotować myśliwiec ponaddźwiękowy?

- Rozumiem pana, generale, ale jednak... on wydaje się za mało agresywny. Pozwolił tamtemu okrętowi podejść do nas tak blisko, że Amerykanie mogli nas słyszeć i wystrzelić w nas, a dopiero potem wypuścił wabik. Później zabrakło mu zasilania i musiał uruchomić tego diesla; jeszcze mi dzwoni w uszach od hałasu. Właściwie sam się prosił o trafienie.

- Sharef wie, kiedy trzeba być cierpliwym, a kiedy można być agresywnym, Rakish. Byłby doskonałym szachistą. Być może powinienem zaproponować mu partyjkę, kiedy wydostaniemy się na ocean.

- Chciałbym to zobaczyć, generale.

- Pytałeś mnie, co sądzę o tej misji.

- Chciałbym znać pańskie zdanie, generale.

- Czy potrafisz zrobić wszystko co trzeba, żeby głowice bojowe Scorpionów działały?

- Pociski będą działały. Ale zastanawiam się, czy Sharef poradzi sobie z umieszczeniem ich w wyrzutniach i z przygotowaniem samych wyrzutni do ich odpalenia.

- Poradzi sobie i pociski dostarczą do celu ich ładunki plutonowe. Potem generał Ramadan podpisze traktat pokojowy z Koalicją i ZIF będzie rozkwitał przez wiele, wiele lat...- Generał Ramadan... a co z panem, generale?

- Obawiam się, że nawet Sharef nie będzie potrafił uciec przed gniewem Koalicji po wystrzeleniu tych pocisków - odparł Sihoud i powstrzymał gestem protesty Ahmeda. - Nie mówmy już o tym. Skoncentrujmy się na misji. Mamy dużo do zrobienia przed wystrzeleniem Scorpionów. Proponuję, żebyśmy się trochę przespali.

- Rankiem będziemy przepływali przez Gibraltar. Powinniśmy być w sterowni.

- Zobaczymy się podczas zmiany wachty. Spij dobrze, Rakish.

Schodząc wąskimi schodkami do kajuty, którą mu odstąpiono, pułkownik Rakish Ahmed zastanawiał się nad słowami Sihouda o tym, że nie przeżyjącej misji. Przyszło mu do głowy, że nie jest ważne, czy przeżyje, czy zginie, byle mógł wystrzelić pociski na

amerykańską stolicę i pomścić śmierć swojej żony i synka. Potem może umrzeć. Przypomniawsobie, co powiedział Sihoud o jego krwiożerczości, ale nie chciał o tym myśleć. Ludzie Zachodu, którzy teraz atakowali Zjednoczony Islamski Front, zasługiwali na śmierć. Długą i bolesną.

Sandbridge Beach w Wirginii

Od paru już godzin było ciemno, gdy silnik samochodu Pacina zamilkł pod palami wiaty stojącej obok jego domu przy plaży. Pacino wspiał się ciężko po schodach. Był wykończony. Zostawił neseser i kurtkę mundurową w holu i skierował się prosto do barku. Ale żona ubiegła go. Stała oparta o blat z podwójną whisky z lodem w dłoni. Wziął od niej szklankę, podniósł do ust i poczuł palenie w gardle.

- Gdzie nasz mały?

- Od dawna w łóżku - odrzekła i przesunęła szczupłymi palcami po jego czole. Miała chłodną skórę od trzymanej przez chwilę szklanki. - Wszystko gra?

Pacino zamknął oczy.

- Okręt wygląda jak wrak. Ale jakimś cudem musimy spuścić go na wodę jutro do północy.

- Jeszcze mi nie powiedziałeś, skąd taki wielki pośpiech. Kolejny telefon od twojego wujka Dicka?

- Widziałaś wiadomości o „Auguście”?

Westchnęła. Zauważył zmarszczkę na grzbiecie jej nosa, która pojawiała się tylko wtedy, gdy Janice była oburzona, zła, zakłopotana lub... głęboko przerażona.

- Widziałam. Straszne. Tylu ludzi utonęło. Wszystko przez błąd stoczni. A teraz ty popędzasz stocznię, żeby szybko skończyli, i to samo może zdarzyć się tobie. Dlaczego tak się spieszysz?

Zignorował jej pytanie.

- Nie mogę uwierzyć, że Ron Rakietka nie żyje - powiedział. - Boże, będzie mi go brakowało.

- Rona Rakiety?! Przecież go nie lubiłeś! Przez rok przeżywałam istne piekło, kiedy byłeś jego głównym mechanikiem. Pamiętasz, jak chciałeś mu spuścić płyn hamulcowy? W środku tygodnia wróciłeś do domu w południe i przeklinałeś Rakietę...

Pacino uśmiechnął się na wspomnienie tamtego dnia.

- Pamiętam. Wlałem wtedy w siebie prawie pół litra.

- Musiałam położyć cię do łóżka. Co ci powiedział, że tak się wkurzyłeś?

Pacino już nie był w pokoju, znalazł się znowu w swojej kajucie na „Atlancie”. Siedem lat temu dostał przydział na ten okręt jako główny mechanik. Kapitanem był Ron Rakieta. Na pokład weszli niespodziewanie inspektorzy z komisji kontroli reaktorów. Sprawdzali okręt przez dwa ciężkie dni, potem wystawili ocenę „powyżej przeciętnej”. Najwyższą, jaką kiedykolwiek przyznali. Był powód do świętowania. Rakieta otworzył drzwi do kajuty. Trzymał w dłoni raport komisji. Pacino uśmiechnął się, oczekując gratulacji kapitana.

- Inspektorzy stwierdzili, że ekipa do usuwania wycieków radioaktywnych nie zdezynfekowała faceta w tunelu - oświadczył Daminski.

- Wylazł stamtąd czysty... Nawalił monitor kontrolny...

- Nie obchodzą mnie twoje wykręty, Pacino - odparł Daminski i wycelowany w twarz podwładnego palec zatrzymał się trzy milimetry od jego nosa. - Twoja zasrana ekipa spieprzyła sprawę, bo źle ich wyszkoliłeś. Jeśli nie mogą liczyć na ciebie w takiej sytuacji, to w jakiej, do cholery, mogą?

Daminski wyszedł i trzasnął drzwiami. Pacino przez chwilę patrzył za nim. Zaskoczenie zmieniło się w furję. Znalazł kluczyki od samochodu i zszedł na ląd. Pojechał szybko do domu, wbiegł do środka i zanim wróciła Janice, zdążył się urządzić do nieprzytomności. Potem nic nie pamiętał. Rano czuł się tak, jakby przy każdym uderzeniu serca walił go w głowę kafar.

Po wejściu na okręt zastał Daminskiego w sterowni. Kapitan rozmawiał z bosmanem. Kiedy skończył rozmowę, Pacino podszedł do niego-

- Kapitanie, wczoraj nie miał pan racji. Tamta ekipa...- Wiem, Patch - przerwał mu cicho Daminski. - I przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłem. Odwaliłeś kawał dobrej roboty i masz prawo być z siebie dumny.

Daminski odwrócił się z opuszczonymi ramionami i poszedł do swojej kajuty.

Pacino nie wiedział, co go bardziej gnębi - kac czy wyrzuty sumienia.

Teraz to oczywiście nie ma żadnego znaczenia, pomyślał i spojrzał na żonę. Wciąż czekała na odpowiedź.

- Nie pamiętam - powiedział.

- Aleja chcę to zrozumieć - nie ustępowała. - Nigdy go nie lubiłeś, a teraz jest ci smutno. Co takiego wiesz, czego ja nie wiem?

- Przez całą tamtą turę na „Atlancie” wszyscy nienawidziliśmy Daminskiego i bez przerwy narzekaliśmy, jaki z niego palant i jak uprzykrza nam życie. Ale kiedy odchodził,

cała załoga mogła go tylko przeklinać, żeby się nie rozpląkać. Zmiana dowódcy wywołała w nas prawdziwe poczucie straty. Widzisz, w jakimś sensie Daminski uczynił nas lepszymi, niż byliśmy. Rzucił wyzwanie człowiekowi w każdym marynarzu i oficerze. Najlepszy nigdy nie był dla niego wystarczająco dobry. Mawialiśmy, że niebiosa pożałują dnia, w którym umrze, bo wkurzy świętego Piotra, wytykając mu brud i niewłaściwe utrzymanie bram nieba. A teraz, kiedy odszedł, patrzę wstecz i widzę, że był kimś w rodzaju drugiego ojca dla każdego swojego podwładnego. Był z niego kawał twardego sukinsyna, ale naprawdę troszczył się o ludzi.

- Wspaniale - powiedziała Janice. - Więc dlaczego tak bardzo ci się spieszy?

Pacino już miał jej powiedzieć, gdy nagle wydało mu się, że to zły pomysł. Emmittowi Stevensowi też nie powinien był nic mówić. Tyle że Emmitt potrzebował motywacji. Janice prawda nie była potrzebna do niczego, a stałaby się dla niej powodem do niepokoju.

- To nic takiego, Jan. Kolejna bzdura naszej marynarki wojennej. Miałaś rację z tym telefonem od wujka Dicka. Nie może znieść widoku „Seawolfa” w stoczni. Mam się z nim kłócić? A kim ja jestem? Sam mu powiedziałem, że chciałbym jeszcze raz wypłynąć tym okrętem w morze, zanim odejdę. To pewnie jego gwiazdkowy prezent dla mnie. Wrócę za godzinę.

Zanim zdążyła o cokolwiek zapytać, wyszedł z pokoju, a potem z domu na plażę. Ruszył brzegiem morza zalewanego co chwilą pianą fal, zastanawiając się, co naprawdę powiedział Ron Rakietka świętemu Piotrowi.

Niedziela, 29 grudnia

Cieśnina Gibraltarska

Ahmed stał w zatłoczonej sterowni. Ekrany, jak poprzednio, pokazywały bezładne wzory światła i kolorów. Cztery monitory w części sonarowej pomieszczenia wyświetlały wykresy z krzywymi, wyznaczającymi kontury w poprzek osi poziomych. Krzywe tworzyły góry i doliny, które powoli poruszały się w lewo i w prawo.

Komodor Sharef garbił się nad wyświetlaczami. Sihouda tu nie było. Wolał zostać w swojej kajucie i studiować mapy taktyczne frontu północnoafrykańskiego wzdłuż gór Atlas. Z trudem wytrzymał w sterowni, ponieważ nie potrafił rozszyfrować prezentowanych informacji, a oficerowie nie mieli czasu wyjaśniać mu, o co chodzi. Ahmed czuł się niepewnie, zawieszony głęboko pod powierzchnią morza w tym żelaznym płucu, kierowanym

przez ludzi, których nie znał. Nie miał nad nimi żadnej władzy i nie widział żadnych powodów, by im ufać, poza tym, że nosili uniformy podobne do jego munduru. Poczł strużkę potu na czole, spłynęła mu pod powiekę. Odwrócił się w bok i wytarł piekące oko, a potem pochylił się nad skomputeryzowanym stołem nawigacyjnym, żeby zobaczyć rysunek widoczny między ramionami dwóch oficerów. Rysunek pokazywał zarys szlaku morskiego, zwężającego się między Hiszpanią i Marokiem, różne odcienie błękitu oznaczały głębokości. Korytarz wodny był ciemniejszy na środku, jaśniejszy przy linii brzegowej. Kilka kilometrów na wschód od najwęższej części cieśniny pulsował czerwony punkt.

- Co to za kropka?

Nie odrywając wzroku od wykresu, komandor Tawkidi odpowiedział:

- Inny okręt podwodny. Amerykański, klasy Los Angeles. Jak tamten ostatni, który spotkaliśmy.

- Co zrobimy?

- My?

W tym momencie odezwał się głośno komodor Sharef.

- Komandorze, proszę na chwilę do mnie.

Tawkidi uniósł rękę w kierunku Ahmeda i podszedł do Sharefa stojącego kilka kroków dalej. Sharef zniżył głos.

- Amerykanin jest na granicy zasięgu naszych sensorów, nawigatorze. Proponuję strzelić do niego teraz, zanim nas wykryje. Torpeda pojawi się na jego ekranach sonarowych, zanim zorientuje się, że tu jesteśmy. Zmusi go do ucieczki na zachód do cieśniny. Jest szansa, że rozbije się z powodu błędu nawigacyjnego, ale na pewno zostanie trafiony.

Tawkidi spojrział w dół na bloczek do notatek, w którym Sharef robił obliczenia.

- Komodorze, nieprzyjacielski okręt podwodny znajduje się ponad dziewięćdziesiąt kilometrów od nas. Niemal poza zasięgiem naszych torped. Przy szybkości poszukiwawczej mogą przepłynąć tylko sto osiemdziesiąt kilometrów. Przy bojowej zaledwie sto czterdzieści.

- Ale jeśli wystrzelimy jedną z szybkością poszukiwawczą siedemdziesięciu kilometrów na godzinę i będziemy mieć szczęście, torpeda zbliży się do okrętu klasy 688, zanim zostanie wykryta. W najlepszym wypadku 688 usłyszy ją z odległości dwudziestu kilometrów. Zacznie uciekać, torpeda namierzy go, przyspieszy do szybkości bojowej stu trzydziestu kilometrów na godzinę i popłynie w kierunku celu. Jeśli 688 będzie uciekał ze swoją maksymalną szybkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, torpeda przechwyci go i zatopi po dwudziestu minutach, czyli po przepłynięciu stu piętnastu kilometrów, grubo poniżej limitu stu czterdziestu. Zgadzam się, że to optymalny wariant. Jeśli odległość detekcji

będzie większa, powiedzmy trzydzieści pięć kilometrów, torpeda przechwyci i zatopi cel po pokonaniu dystansu stu trzydziestu pięciu kilometrów, wciąż sporo poniżej stu czterdziestu. Tak się stanie przy założeniu, że tamten wykryje torpedę i zacznie uciekać z dużą szybkością. Jeśli nie będzie na tyle dobry i nie usłyszy naszej torpedy, relatywna szybkość przechwycenia jeszcze wzrośnie. Warto zaryzykować.

- A jeśli odpowie ogniem?

- Po wystrzeleniu naszej torpedy zejdziemy pięć kilometrów z kursu, potem zrobimy dezynfekcję. Kiedy wyłączymy maszyny, jego torpeda nas nie wykryje.

- Dezynfekcja bez Dash Five? Wątpię, żeby taka taktyka...

- Przy tak dużej odległości uda się. A jeśli nie, wystarczy nam czasu na ponowny rozruch.

Tawkidi nagryzmolił coś na bloczku.

- Komodorze, czas podróży torpedy do celu wynosi około osiemdziesięciu minut. Nie możemy wyłączyć maszyn na tak długo. Ostatnim razem było tylko czterdzieści minut.

- Akumulator nie był w pełni naładowany. Teraz wystarczy na dłużej, może nawet na godzinę. Po wyładowaniu został ponownie naładowany pod pełnym napięciem. Przed dezynfekcją zaczekamy dwadzieścia pięć minut i zrobimy ponowny rozruch, zanim siądzie. Zadowolony?

- Tak jest, komodorze. Jesteśmy gotowi do wystrzelenia torpedy. Tawkidi wiedział, kiedy należy powiedzieć „tak”.

Sharef podniósł głos:

- Cała wachta, proszę o chwilę uwagi. Zidentyfikowaliśmy zanurzony kontakt, jest to następny amerykański okręt podwodny klasy 688. Żeby uniknąć jego ataku, zamierzam wystrzelić pojedynczą torpedę teraz, z dużej odległości. Potem chcę zejść z kursu, wyłączyć napęd i wykonać manewr dezynfekujący. Kiedy 688 pójdzie na dno, wypłyniemy na Atlantyk. Na wszelki wypadek podgrzejemy drugą torpedę i będziemy ją trzymać w pogotowiu. Pytania? Nie ma. Doskonale. Oficer uzbrojenia, otworzyć wyrzutnie dziewięć i osiem na morze, podgrzać torpedy i zameldować, kiedy będziemy gotowi do odpalenia. Oficer pokładowy, wymanewrować okręt na południe. Nie chcę podchodzić do celu bliżej, niż jesteśmy teraz.

- Tak jest, kapitanie. Sterowanie okrętem, ster jeden stopień w prawo, kurs południowy.

Ahmed przez dłuższy czas miał wrażenie, że nic się nie dzieje. Błyskały tylko obrazy wyświetlane na ekranach kierowania ogniem. W pomieszczeniu słychać było jedynie

buczenie komputerów i niski szum wentylatorów. Po kilku minutach torpedy zostały rozgrzane.

- Odległość do celu? - zapytał Sharef.

- Dziewięćdziesiąt jeden kilometrów - zameldował komandor porucznik Mamun, oficer uzbrojenia.

- Wystrzelić z wyrzutni dziewięć.

Pokład zadrżał, gdy ciężka torpeda Nagasaki wystartowała z okrętu do odległego celu.

- Sterowanie okrętem, ster pięć stopni w prawo, kurs północny. Obsługa reaktora, przygotować się do wykonania dezynfekcji.

Sharef przeszedł do części pomieszczenia z konsolami sonarowymi i spojrzął na dwa rzędy wyświetlaczy, pokazujących namiary na wrogi okręt podwodny. Nic się nie zmieniło - tamci najwyraźniej nie usłyszeli odpalenia torpedy. Dwa następne wyświetlacze na sąsiedniej konsoli monitorowały samą torpedę, płynącą z małą szybkością do celu znajdującego się daleko za horyzontem. Teraz pozostało już tylko poczekać czterdzieści pięć do sześćdziesięciu minut, aż dwie maszyny wykryją się nawzajem. Jedna zacznie uciekać, druga przyspieszy i ruszy w pogoń. Kiedy myśliwy dopadnie ofiarę, droga na Atlantyk będzie otwarta. Dopiero wtedy przyjdzie czas na zastanawianie się, jak zamontować głowice bojowe Scorpion do pocisków Hiroshima. Po rozwiązaniu tego problemu pozostanie już tylko dopłynąć do miejsca, z którego pociski dotrą na pewno do Waszyngtonu i odpalić je. Sharef zastanawiał się przez chwilę, czy kiedykolwiek uda mu się doprowadzić „Hegirę” z powrotem do bazy po wystrzeleniu pocisków. Lepiej o tym nie myśleć, powiedział sobie.

Tymczasem dziesięć kilometrów na zachód od nich torpeda Nagasaki podążała w kierunku celu.

USS „Phoenix”

Edwin Sanderson był wielkim facetem i często pytano go, jak wytrzymuje w ciasnym wnętrzu okrętu podwodnego. Nikt nie nazwałby go tłuściochem, ale zaczynał mu rosnąć brzuch, normalna rzecz u starszych podoficerów sił podwodnych. Za dużo drugich porcji jajek na bekonie, za mało ćwiczeń w torpedowni. Sanderson miał już więcej siwych włosów niż czarnych. Jego szare przenikliwe oczy często były zaczerwienione po wielu godzinach wpatrywania się w ekrany sonaru. Kiedy miał zły humor, wielu starszych oficerów ustępowało mu bez żadnej dyskusji. Kiedy był po służbie albo pijany lub rozbawiony, potrafił szczerzyć zęby w uśmiechu i wtedy jego twarz promieniowała życzliwością. Żona Sandersona żartowała, że uwiódł ją swoim zaraźliwym uśmiechem, ale że gdyby w okresie zalotów zobaczyła, jaki jest w chwilach gniewu, nigdy by za niego nie wyszła.

Koledzy mogli się dziwić, jak wytrzymuje w ciasnym okręcie podwodnym, ale prawda była taka, że tu, w kabinie z wyświetlaczami sonarowymi, pomieszczeniu ze sprzętem sonarowym, kwaterach starszych podoficerów i mesie dla załogi, czuł się bardziej u siebie niż w swoim domu w Ghent. Życie rodzinne dobrze mu się układało. Miał ładną żonę - która kiedyś była szczupłą, ale teraz trochę przytyła - i dwóch synów: obaj uczęszczali do szkoły średniej; starszy był znakomitym środkowym w drużynie koszykarskiej, młodszy jeszcze nie całkiem się odnalazł. Sanderson cieszył się oczywiście z pobytów na lądzie, ale miał wrażenie, że dom należy do żony i synów, a on jest tam tylko częstym gościem. Dom był jak ruchliwy port, a on jak frachtowiec, który zawija tam od czasu do czasu. Rodzina witała go serdecznie, kiedy wracał z rejsu, ale po dwóch dniach czuł się tak, jakby był pętającym się im pod nogami dzieckiem. Życie zaprowadziło go na morze, został starszym podoficerem marynarki wojennej i kochał to.

Na morzu działania ludzi wokół niego wydawały się koncentrować właśnie na nim. Okręt był dla niego gigantycznym ruchomym uchem zbudowanym tak, by sonarzyści mogli nasłuchiwać dźwięków morza i przechwytywać je. Większość tych dźwięków stanowiły przypadkowe odgłosy, inne wytwarzał człowiek i te brzmiały złowrogo. Reszta okrętu - reaktor, instalacja parowa, sterownia, uzbrojenie, nawet załoga - była podporządkowana zadaniu słuchania morza. Na tym okręcie podwodnym, z dwunastoma stanowiskami dla sonarzystów, Sanderson czuł się ważniejszy od kapitana. Był w końcu szefem sonaru, człowiekiem uznanym przez marynarkę wojenną za najlepszego na pokładzie w nasłuchiowaniu tej symfonii morskich dźwięków, najlepiej dowodzącego ludźmi, którzy mieli nasłuchiwać według jego instrukcji, najlepiej obsługującego to monstrualne ucho i dbającego o sprzęt, najlepiej kierującego młodymi oficerami, którzy tak prowadzili okręt, by jego urządzenia nasłuchowe mogły być optymalnie wykorzystane.

Jego funkcja i stopień mówiły same za siebie - główny sonarzysta, starszy bosman Sanderson. Siedział teraz przy tylnej konsoli z wyświetlaczem sonaru BQQ-5D. Jego fotel stał tuż obok odsuwanej zasłony, oddzielającej kabinę od sterowni. Mógł stąd widzieć inne konsole i rozmawiać z oficerem pokładowym w sterowni, nie korzystając z radiowężła czy niewygodnego mikrofonu na wyciągniku przy słuchawkach. Jak zwykle wyglądał tak, jakby właśnie przybili do nabrzeża w Norfolk: świeży mundur khaki z lśnącymi delfinami podwodniaka nad dwoma rzędami baretek i odznaką podwodniacką, błyszcząca plakietka z nazwiskiem nad prawą kieszenią, nowy emblemat szefa sekcji, na nogach wypolerowane półbuty. Zawsze się tak ubierał na morzu. Nie lubił kombinezonu i sportowych butów, które wolała reszta załogi. Niektórzy uważali, że nosi mundur dla zachowania autorytetu, bo w

kombinezonie byłby po prostu jednym z członków załogi. Najbliższy przyjaciel Sandersona - mat nazwiskiem Smoot - twierdził, że mundur jest wygodniejszy dla jego szefa. Ale sam Sanderson wiedział, że prawdziwy jest pierwszy powód. W chwilach odprężenia uświadamiał sobie, że zachowuje się w pewnym stopniu arogancko. Wmawiał sobie jednak, że ma do tego prawo, nabył je w trakcie długiej służby dla kraju - po dwudziestu sześciu latach w marynarce wojennej był najlepszym sonarzystą na całym cholernym wschodnim wybrzeżu. Jeśli coś go ograniczało, to tylko konieczność posługiwania się przestarzałym sonarem BQQ-5D, a nie zaawansowanym systemem BSY-1, i fakt, że pływał na starszym okręcie podwodnym klasy 688, a nie cichszym, unowocześnionym klasy 688. Ale nawet teraz mógł przeciwstawić swój okręt i swój sonar każdemu innemu we flocie - jeśli ćwiczenia coś znaczyły, on i „Phoenix” dorównywali każdemu okrętowi wojennemu, nawodnemu i podwodnemu.

Sanderson popatrzył zmrużonymi oczami na wodospadowy obraz na wyświetlaczu sonaru Q-5. Poruszył palcami na klawiaturze i przełączył się na cienkoprzewodową antenę holowaną TB-23. Wybrał namiar przechodzący teraz poprzecznie przez antenę w kierunku wschód-zachód - okręt zmierzał na północ. Każdy intruz wpływający do cieśniny z zachodniego basenu morza pojawiłby się najpierw na tym kierunku, dużo wcześniej niż usłyszałaby go szerokopasmowa antena sferyczna. Problem polegał na tym, czy szukają właściwych częstotliwości. Kapitan Kane mówił o podwójnym tonie stu pięćdziesięciu czterech herców. Taką informację podała zatopiona „Augusta”. Ale wiadomość nie była pewna. W końcu jaką wartość mogą mieć dane taktyczne od załogi, która dała sobie przestrzelić tyłki i poszła na dno Morza Śródziemnego?

Sandersonowi nawet nie przyszło do głowy, że „Phoenixa” może spotkać ten sam los, co „Augustę”. Nie mógł sobie pozwolić na to, by w ogóle brać coś takiego pod uwagę.

Wprowadził zakres częstotliwości na trawersie okrętu, rozciągający się od stu czterdziestu ośmiu do stu pięćdziesięciu ośmiu herców, i czekał na obraz podwójnego tonu okrętu podwodnego Destiny. Wpatrywał się w wykresy przez dwie minuty, trzy, cztery. Żadnego dubletu.

Zawiedziony, przełączył wyświetlacz z powrotem na wodospadowy obraz szerokopasmowy, pokazujący stosunek szumów do kierunku, i wprowadził północ na środek ekranu. Odbierane dźwięki pojawiły się natychmiast w formie jasnych punktów. Wszystkie kierunki słychać było jednocześnie, z wyjątkiem „stożka ciszy” za rufą. Dane zeszyły w dół, gdy pojawiły się następne. Potem obie linie danych znów opadły, kiedy ukazała się kolejna informacja dźwiękowa. Ślady na ekranie spływały w dół niczym wodospad - stąd wzięła się nazwa obrazu. Ów obraz był podzielony na trzy części. Górny ślad przesuwiał się z góry na

dół tylko dwadzieścia sekund, potem dane znikają. Środkowa sekcja była pięciominutowa i dane znikają po trzystu sekundach. Obszar dolny pokazywał ślad długookresowy i wyświetlał ostatnie pół godziny wodospadu danych. Ekran był pomyslowym środkiem do interpretacji danych dźwiękowych, gdyż odgłosy w morzu były w większości przypadkowe i natychmiast przemieszczały się z północy na południowy wschód czy zachód. Obraz przypadkowego dźwięku przypominał „śnieg” na ekranie telewizora, ale odgłosy wywoływane przez człowieka, czyli przez okręt, dochodziły z pojedynczego kierunku, i ciągłe, jasne ślady tworzyły pionową linię na kierunku jego emisji.

Sanderson zamrugał. Patrzył na krótkookresowy obraz na górze i koncentrował się na kierunkach wschodnich. Na kierunku zero osiem siedem pojawił się słaby ślad, potem zniknął. Pierdnięcie krewetki albo wieloryba, pomyślał Sanderson, ale obserwował dalej. Po chwili ślad powrócił. Obraz pięciominutowy pokazywał dwa ślady na zgodnym kierunku - na wschodzie.

- Sonar, tu platforma - zatrzeszczało w słuchawkach Sandersona. - Za minutę wykonujemy zwrot na zachód.

- Platforma, tu sonar, nie - powiedział do mikrofonu Sanderson i pochylił się nad konsolą. - Ted, daj tu szybko Smoota - rozkazał marynarzowi Worsterowi. - Joe, wybierz kierunek poprzeczny anteny cienko-przewodowej i wprowadź wysokie częstotliwości. Bill, ty weź sąsiednie niższe zakresy. Red, ty weź sektor dwieście i szukaj w pojedynczym zakresie częstotliwości sto pięćdziesiąt cztery.

Sanderson naprowadził swoich sonarzystów na nowy ślad i próbował wycisnąć z niego wszystkie dane, jakie tylko mógł przetworzyć komputer.

- Sonar, tu platforma, co mówisz? - odezwał się z niedowierzaniem komandor porucznik Schramford, główny mechanik.

- Platforma, tu sonar, mamy coś. Utrzymujcie kurs na północ - odparł Sanderson, jakby wydawał rozkaz. Liczył sekundy do pojawienia się Schramforda w drzwiach. Minęły tylko dwie, zanim ciężka kurtyna między kabiną sonarową i sterownią rozsunęła się i w wejściu pojawiła się mięsista twarz Schramforda. W poświacie konsoli sonarowych miała zielonkawy odcień.

- Co macie?

Sanderson zerwał z głowy słuchawki, w jego oczach błysnął gniew.

- Do jasnej cholery, inżynierze, gdybym wiedział, pozwoliłbym panu na manewr, no nie? Niech pan mi da tyle czasu na kursie północnym, ile pan może. Przyjrzę się temu śladowi. Do roboty.

Schramford był starszym oficerem. Jako główny mechanik miał wciąż pełne ręce roboty. Mimo to pełnił wachtę co najmniej cztery razy na tydzień. Był jednym z lepszych taktyków na okręcie. Zniknął, zapewne po to, żeby sprawdzić mapę i szepnąć przez telefon słówko kapitanowi. Sanderson z powrotem włożył słuchawkę i obrócił kulisty sterownik na panelu konsoli, żeby naprowadzić kursor na kierunek dźwięku, który był przerywany, ale stawał się coraz głośniejszy.

Próbował odizolować się od buczenia ekranów wideo i hałasu wentylatorów, zmniejszonego podczas obowiązującej teraz ciszy taktycznej. Starał się zjednoczyć umysłem z morzem, stać się jego częścią. Wiedział, że jego kumple, starsi podoficerowie, wyśmialiby to jako kalifornijskie dziwactwo. Ale myśl o stopieniu się z morzem w jedną całość pomagała mu wykryć cel - czy cokolwiek to było - zostawiający słaby ślad na kierunku zero osiem siedem, teraz już zero osiem osiem. Nasłuchując, złowił uchem lekkie falowanie dźwięku, odgłos przepływu. Słuchał jeszcze przez kilka sekund, potem otworzył oczy. Zdawało mu się, że już wie, co wykrył.

Wstał i przyjrzał się sześciu ekranom na innych konsolach. Pokazywały obraz powstający na śladach sonarowych przy każdej indywidualnej częstotliwości. Wszedł Smoot z marynarzem Worsterem.

- Co jest, szefie?

- Posłuchaj tego. Zobaczymy, czy usłyszysz to samo, co ja. Smoot - wysoki, szczupły brunet po trzydziestce, z wąsami i kocią bródką - włożył słuchawki i zamknął oczy. Kołysał się lekko na nogach, jakby zasypiał. Po chwili szeroko otworzył oczy i popatrzył na konsole. Potem spojrzał na Sandersona.

- Wirnik odrzutu wody.

Sanderson uśmiechnął się, podniósł wzrok i zobaczył Schramforda.

- Sir, mamy zanurzony kontakt, kierunek zero osiem osiem, daleko, napędzany wirnikiem odrzutu wody. Może pan wykonać manewr z powrotem na południe i niech pan się upewni, czy robi pan zwrot w prawo. Nie chcę zgubić tego faceta w stożku ciszy.

- Załatwione, starszy.

- Kapitan już wie?

- Dowie się za dziesięć sekund.

Komandor porucznik Tom Schramford ukończył Akademię Marynarki Handlowej Stanów Zjednoczonych w roku 1984. Teraz był głównym mechanikiem na „Phoeniksie” i oficerem pokładowym na tej wachcie. Warknął sternikowi rozkaz, żeby dał ster dziesięć stopni w prawo, całą naprzód dwie trzecie i stały kurs na południe. Zadowolony, że okręt robi

zwrot, sięgnął do telefonu zamontowanego na suficie nad platformą peryskopową i wcisnął włącznik. Pięć metrów dalej w kierunku dziobu odezwał się brzęczyk przy koi kapitana Kane'a.

Kane otworzył oczy i sięgnął do telefonu przy koi.

- Kapitan.

Głos Toma Schramforda brzmiał tak, jakby główny mechanik stał tuż obok. Kane niemal czuł na policzku oddech inżyniera okrętowego. Młodszy oficer wyświszczał kilkanaście słów, po których Kane poczuł przypływ adrenaliny i zerwał się z koi.

- Sir, mamy zanurzony kontakt na kierunku wschodnim. Lepiej niech pan przyjdzie do sterowni.

- Obsadzić ciche stanowiska bojowe - rozkazał Kane. - Podgrzać torpedy Mark 50.

Kiedy Schramford potwierdził odbiór rozkazu, Kane wyłączył się.

Jednym płynnym ruchem wciągnął kombinezon, wsunął stopy w buty sportowe stojące w nogach koi i zapiął pas. Przejechał szczotką po włosach i opryskał twarz wodą z maleńkiej umywalki pod lustrem na przegrodzie. Wytarł się, cisnął ręcznik do umywalki, po czym przeszedł do sterowni. Poczuł na sobie tuzin par oczu. Wachtowy zespół kierowania ogniem czekał na jego decyzję.

Wszedł na platformę peryskopową i rozejrzał się po sterowni, żeby zobaczyć dane, jednocześnie słuchając meldunku Schramforda. Sprawdził pozycję okrętu na szlaku wodnym, kierunek i ocenę kierunku do kontaktu, zauważył brak tonu stu pięćdziesięciu czterech herców - dziwne - i słaby ślad detekcji wirnika odrzutu wody. Po chwili, kiedy obsługa stanowisk bojowych obsadziła konsole centrum ataku systemu kierowania ogniem CCS Mark II i plotery ręczne, Kane wszedł do kabiny sonarowej i spojrzał na Sandersona. Starszy bosman skinął mu głową i odwrócił się z powrotem do swojej konsoli. Kane przyjrzał się wyświetlaczom, poczynając od stanowiska Sandersona, i przekonał się na własne oczy, że w żadnym zakresie częstotliwości nie ma poszukiwanych tonów. Zobaczył tylko przerywany ślad szerokopasmowy na obrazie wodospadowym z anteny dziobowej.

Schramford postukał go w ramię.

- Kapitanie, stanowiska bojowe obsadzone. Jesteśmy na stałym kursie południowym od blisko trzech minut. Ocena kierunku wykonana. Mark II, kalkulator Ekelund i Hewlett-Packard zgodnie pokazują odległość do kontaktu pięćdziesiąt osiem tysięcy pięćset metrów.

- Co?! To ponad trzydzieści mil morskich. Chyba pobiliśmy rekord podwodnej detekcji szerokopasmowej bez tonów... Kurs celu?

- Dwa siedem zero. Kieruje się na zachód do cieśniny.

- Jaką szybkość celu ma zespół kierowania ogniem?

- Z tym jest problem, sir. Musimy przepłynąć jeszcze jeden odcinek namiarowy.

- Dlaczego?

- Jego pokazywana szybkość to czterdzieści węzłów. Za duża na Destiny przy takim małym hałasie i braku tonów. Odczyt prędkości jest po prostu fałszywy przy takim przerywanym śladzie, jaki mamy, i przy takiej dużej odległości do kontaktu.

- Moment - odrzekł Kane i spojrzał na stanowisko drugie operatora konsoli Mark II. Punkty na ekranie, nazywane FIDU - stałointerwałowymi jednostkami danych - przesyłane elektronicznie z sonaru BQQ-5, biegły w górę prosto jak struna. Kane sięgnął do pokrętła pod ekranem i wprowadził bardziej rozsądną szybkość celu, obniżając ją do piętnastu węzłów. Stos punktów, staranna linia pionowa, wygiął się w znak „>„. Dolna część danych oznaczała odcinek namiarowy, kiedy okręt płynął kursem północnym, górna - okres po manewrze. Dane podczas manewru były bezwartościowe i niewyrównane. Analiza ruchu celu - TMA - mogła być przeprowadzona mamie, ale jeden manewr wykonano na północ, dmgi na południe, a cel nadpływał ze wschodu. Przypuszczalnie ten kierunek umożliwiłby uzyskanie idealnego rozwiązania, które pozwoliłoby na oddanie celnego strzału. Kane podwyższył prędkość bez patrzenia na odczyt szybkości celu. Obracał pokrętłem, dopóki stos punktów nie utworzył znowu niemal pionowej linii prostej. Wskaźnik szybkości celu pokazał czterdzieści jeden i pół węzła.

- To nie jest okręt podwodny - oświadczył Kane i mszył do drzwi kabiny sonarowej.

- Co?! - zawołał za nim Schramford.

Kane odsunął kurtynę na bok i spojrzał w oczy starszemu bosmanowi Sandersonowi. Chciał mu powiedzieć, że cel płynie za szybko i za cicho, jak na okręt podwodny, Sanderson już otwierał usta i ubiegł go.

- Kapitanie, robimy TMA pieprzonej torpedy!

17

Niedziela, 29 grudnia

Cieśnina Gibraltarska

Kane odwrócił się i krzyknął do sternika:

- Ster pełna w prawo, cała naprzód maksymalna, stały kurs zachodni!

Trzema długimi krokami pokonał odległość dzielącą go od stanowiska peryskopowego, chwycił mikrofon i starając się nadać swemu głosowi normalne spokojne brzmienie, wydał rozkaz:

- Manewrowa, tu platforma. Kawitacja.

- Platforma, tu manewrowa. Tak jest, kawitacja - odpowiedział głośnik sufitowy.

Pokład zadrżał od wim przy skręcie i przechylił się na burtę pod kątem piętnastu stopni. Okręt wykonywał gwałtowny zwrot. Sterowanie stało się trudne, gdy kąt wzrósł i ster kierunkowy zaczął działać jak ster głębokości.

- Sternik, zwolnić ster do pięciu stopni w prawo.

Okręt nadal trząsał się w skręcie. Nad sternikiem rozbłysnął mały wyświetlacz sonam, gdy śruba kawitowała, tworząc warstwy pary, kiedy obsługa w kabinie manewrowej otworzyła przepustnicę na sto procent mocy reaktora.

- Tu sternik, tak jest, pięć stopni w prawo, manewrowa odpowiada maksymalna naprzód, przejście przez kurs dwa sześć zero, dziesięć stopni od kursu według rozkazu.

Sternik odwrócił ster, walcząc z żyrokompasem. Pokład przechylił się gwałtownie w przeciwną stronę, potem wypoziomował.

- Stały kurs dwa siedem zero, sir.

- Szef wachty, zawiadomić przez linie telefoniczne: „torpeda w wodzie”.

- Tak jest, sir.

Kane przepchnął się między ludźmi na stanowiskach bojowych do plotera nawigacyjnego. Schramford wyznaczył ostatnią odległość torpedy i ich pozycję. Niebieski punkt oznaczający torpedę wydawał się niebezpiecznie bliski wylotu cieśniny.

Kane czuł pod stopami wibracje pokładu. Dwa silniki główne kręciły się z maksymalną szybkością. Półtora roku temu „Phoenix” przeszedł remont generalny w suchym doku z wymianą elementów paliwowych. Rozcięto kadłub, wyjęto rdzeń reaktora i zastąpiono go nowym General Electric S6G-Core-3. Nowy rdzeń wytwarzał niemal dwukrotnie większą energię cieplną niż Core-2, który wcześniej zasiliał układ napędowy okrętu. Dzięki temu moc mierzona na wale wzrosła z trzydziestu pięciu tysięcy koni mechanicznych do czterdziestu siedmiu. Ale z powodu oporu wody prędkość maksymalna okrętu zwiększyła się tylko o pięć węzłów. Nawet jeśli śmiba obracała się dwukrotnie szybciej, tarcie powierzchniowe kadłuba wzrosło czterokrotnie. Mimo to warto było zainwestować dziesięć milionów dolarów, pomyślał Kane. Dodatkowe pięć węzłów bardzo się przydaje, kiedy dobiera ci się do dupy toipeda Nagasaki, produkt Toshiba najwyższej jakości.

Szybkościomierz pokazywał trzydzieści dziewięć węzłów. Kane zmierzył na mapie odległość i spojrzął na McDonne'a, który przecierał zaczerwienione oczy i wkładał na głowę słuchawki.

- Ta rybka może wyciągnąć siedemdziesiąt węzłów. Dlaczego robi tylko czterdzieści?- Próbuje się do nas podkraść albo jest jeszcze na dystansie do gotowości. Albo może jeszcze nas nie wykryła.

- To byłaby zagadka, przy naszym zwrocie na maksymalnej szybkości. Jeśli dotąd nas nie usłyszała, nie wykryłaby pociągu wypadającego z szyn - odrzekł Kane i włożył na głowę pojedynczą słuchawkę z mikrofonem na wysięgniku. - Sonar, tu kapitan. Sajakieś zmiany w sygnaturze dźwiękowej torpedy?

- Kapitanie, weszła w nasz stożek ciszy i zgubiliśmy szerokie pasmo - odezwał się na linii zdradzający wyraźne niezadowolenie głos Sandersona. - Próbuję teraz zobaczyć końcowy kierunek anteny holowanej i nasłuchujemy pilnie urządzenia w kambuzie.

- Tu kapitan, przyjąłem - odpowiedział Kane i zwrócił się do McDonne'a. - Jeśli ta torpeda idzie z szybkością czterdziestu, czterdziestu jeden czy czterdziestu dwóch węzłów, a my robimy trzydzieści dziewięć, to przy odległości trzydziestu mil morskich może jej zabraknąć paliwa, zanim nas dopadnie. Gdyby miała paliwo, mogłaby nas ścigać przez kilka dni.

- Sonar, tu platforma - powiedział do mikrofonu Kane. - Żadnej detekcji torpedy?

- Platforma, tu sonar, moment.

W kabinie sonarowej Sanderson przysuwał twarz do wszystkich ekranów po kolei. Patrzył na wyświetlacz niecałą sekundę i przechodził do następnego.

- Kapitanie, tymczasowo trzymamy torpedę na szerokim paśmie urządzenia w kambuzie.

Koniec anteny holowanej TB-23 został tak zmodyfikowany, by utrzymywał w wodzie hydrofon szerokopasmowy o neutralnej wyporności, w kształcie kropli, który dodano na wypadek powstania takich sytuacji, jak ta, kiedy obsługa sonaru potrzebowała wytropić coś w stożku ciszy za rufą. Ale urządzenie było małe, jego sygnał trudny do zinterpretowania, a niezawodność wątpliwa.

- Nic nie mamy na końcowym kierunku anteny holowanej. Żadnych słyszalnych tonów. A przy wirniku odrzutu wody nie możemy obliczyć obrotów. Dopóki torpeda idzie na sonarze aktywnym, nie sposób stwierdzić, czy się zbliża. Chyba że chce pan powężykować anteną, ale nie polecam robienia TMA torpedy.

Kane pomyślał, że właśnie usłyszał najdłuższą przemowę, jaką kiedykolwiek wygłosił małomówny starszy bosman. Spojrzał na chronometr zamontowany nad centrum ataku. Czerwone cyfry wskazywały 20.39, prawie dziewiątą wieczorem czasu zulu. Torpedę po raz pierwszy wykryto zaledwie dwanaście minut wcześniej. Kane odwrócił się do McDonne'a, który stał między konsolami centrum ataku i podwyższoną platformą peryskopową.

- XO, jeśli ta torpeda przyspieszy do siedemdziesięciu węzłów, a my będziemy płynąć z maksymalną szybkością, to kiedy nas przechwyci?

Kane czekał na odpowiedź. W istocie pytanie to powinno brzmieć: jeśli ta torpeda dowie się, że tu jesteśmy, jak długo jeszcze pożyjemy?

McDonne popatrzył na komputer Hewlett-Packard, potem na swój suwak nawigacyjny.

- Sir, po pięćdziesięciu ośmiu minutach, licząc od chwili detekcji. Od teraz po pięćdziesięciu.

Schramford podniósł wzrok znad wykresu taktycznego.

- Kapitanie, chyba mogę dorzucić panu sześć minut. To byłyby dodatkowe cztery mile morskie. Może tyle wystarczy, żeby tej torpedzie zabrakło paliwa.

- Dodatkowe sześć minut, inżynierze? O czym pan mówi?

- Doprowadzimy rdzeń reaktora do dopuszczalnej granicy wytrzymałości, może nawet ją przekroczymy. Mogę mieć na wale śruby parę tysięcy koni mechanicznych więcej. Podwyższymy przeciętną temperaturę rdzenia do dwustu osiemdziesięciu stopni, przejdziemy na akumulator...

- Niech pan nie traci czasu na tłumaczenie mi tego, na litość boską - odparł Kane. Kiedyś zrezygnował z tury głównego mechanika. Zamiast tego, służył jako oficer uzbrojenia i nawigator. Uważał się bardziej za taktyka, dowódcę i marynarza niż za technokratę. Wszystko, co miało związek z tajemniczą instalacją reaktorową prywatnie nazywał „neutronowym gównem”. - Pan jest głównym mechanikiem. Niech pan wraca do siebie. Zwalniam pana z funkcji oficera pokładowego. Niech pan wezwie tu Housera, żeby pana zastąpił.

Schramford odszedł, oznajmiając, że kapitan przejmuje pokład i platformę. Kane pomyślał o ostatnim meldunku Daminskiego. Dowódca floty musi wiedzieć, że wróg może próbować wydostać się na Atlantyk, i jeśli zdarzy się najgorsze, admirał też musi o tym wiedzieć.

- Przygotować boję SLOT, XO. Dać to do zakodowania w boi. McDonne porozumiał się przez mikrofon z kabiną radiową, potem spojrzął na Kane'a.

- Adresat: Głównodowodzący Siłami Morskimi na Morzu Śródziemnym. Priorytet, pilne. Dotyczy: meldunek o kontakcie.

Pióro McDonne'a śmigało po klipbordzie.- Treść. Punkt pierwszy. Przybliżona pozycja...

Mike Jensen, nawigator, odezwał się zza lewego stołu nawigacyjnego-

- Dwie mile morskie na wschód od wejścia do Cieśniny Gibraltarskiej.

- Zanotowane, XO? Punkt drugi. USS «Phoenix» wykrył na szerokim paśmie słaby ślad pojedynczej torpedy Nagasaki, zbliżającej się od wschodu z dużej odległości. Brak tonów. Przewidywany moment przechwycenia „Phoenixa” przez torpedę, godzina 21.30 czasu zulu. Próbuje teraz uciec przed bronią ZIF. Punkt trzeci. Prosimy o skierowanie na podaną pozycję samolotów AS W, żeby uzyskać pewność, że Destiny nie przebieje się z Morza Śródziemnego na Atlantyk. Punkt czwarty. Podejrzewając, że Destiny kieruje się na zachód, zamierzamy zaminować wyjście z Cieśniny Gibraltarskiej salwą torped Mark 50, krążących na sonarze pasywnym na zaprogramowanym pułapie niezagrażającym statkom handlowym. Punkt piąty. «Phoenix» melduje o braku, powtarzam, o braku przewagi akustycznej nad klasą Destiny. Jeśli unikniemy zatopienia torpedą Nagasaki i jeśli Mark 50 krążące na sonarze pasywnym nie trafią Destiny, zamierzamy zawinąć do Faslane w Szkocji w celu uzupełnienia amunicji. Punkt szósty. Nadał komandor D. Kane. Zapisane? Zakodować, zalać wyrzutnik, wystrzelić.

- Oficer uzbrojenia, status Mark 50 w jedynce i dwójce?

- Gotowe do odpalenia, sir - wyrecytował komandor porucznik Chris Follicus, stojący przy panelu obsługi uzbrojenia na końcu rzędu konsoli kierowania ogniem. Follicus, niezgrabny facet w okularach z grubymi soczewkami, które powiększały mu oczy i nadawały im szklisty wygląd, był bystry i szybki; niektórzy dodaliby: wygadany. Kane zaczynał myśleć, że jego oficer uzbrojenia po prostu pieprzy bez sensu.

- Zaprogramować obie na dystans do gotowości ze średnią szybkością, krążenie na sonarze pasywnym z małą szybkością, pułap czterdzieści pięć metrów, głębokość poszukiwawcza sto dwadzieścia metrów, przejście na sonar aktywny przy samonaprowadzaniu na cel. Torpeda z wyrzutni jeden ma zacząć krążyć po czterech tysiącach pięciuset metrach od wystrzelenia, na kierunku zero osiem pięć, torpeda dwa po dziewięciu tysiącach pięciuset metrach. I przygotować wyrzutnie trzy i cztery.

Kane zaczekał, aż Follicus wprowadzi program, potem wspiął się po stopniach na platformę.

- Uwaga zespół kierowania ogniem - powiedział i dwadzieścia par oczu spoczęło na jego twarzy. - Uciekamy pełnym gazem przed torpedą wystrzeloną z okrętu podwodnego Destiny i jest duże prawdopodobieństwo, że nam się uda - oznajmił, po czym pomyślał: To prawda. - Chyba że Nagasaki przyspieszy do siedemdziesięciu węzłów i rozwali nas na kawałki. W czasie ucieczki zamierzam odpowiedzieć ogniem. Nie wiemy, gdzie jest Destiny. Czai się gdzieś na wschód od nas w zachodnim basenie Morza Śródziemnego. Uważam, że wystrzelił torpedę, żeby spróbować przejść obok nas i wydostać się na Atlantyk. - Bóg jeden wie, po co, pomyślał. I jak to wytłumaczę admirałowi, jeśli zapyta? Nie miał na to odpowiedzi. - Żeby mu przeszkodzić, zablokujemy Cieśninę Gibraltarską torpedami Mark 50, zaprogramowanymi na zataczanie kręgów poszukiwawczych. Jeśli tamten nadpłynie, zanim naszym torpedom skończy się paliwo, zdrowo oberwie. Chcę mieć zaznaczone punkty krążenia z naniesionymi czasami wyłączenia się naszych torped. Aktualizujcie dane, żebyśmy mogli zaplanować rozmieszczenie broni. To wszystko. Wykonać.

Nastąpiła krótka zwłoka, bo Kane czekał, aż Follicus dostanie od torped potwierdzenie wprowadzonego programu. Trwało to tylko sekundy, ale wydawało się, że minęła godzina. Kane dopiero teraz zdał sobie sprawę, że za godzinę może leżeć martwy na dnie Cieśniny Gibraltarskiej. Gdyby mógł działać, pewnie by o tym niemal zapomniał, ale czekanie było piekłem. Dręczyła go myśl, która nieraz go nawiedzała, że powinien żyć tak, jakby każdy dzień miał być jego ostatnim. Zawsze bronił się przed sarkastycznym komentarzem: Jeśli dziś mam umrzeć, kupuję na kredyt Porsche Turbo i jadę do Atlantic City. Teraz, gdy ścigała go torpeda Nagasaki, ten komentarz nie wydawał mu się zbyt dowcipny.

Meldunek Kane'a o kontakcie został przekazany przez satelitę komunikacyjnego nad wschodnim Atlantykiem jako priorytetowy do kwatery Głównego Dowództwa Sił Morskich na Morzu Śródziemnym w starym militarnym kompleksie Szóstej Floty w Neapolu we Włoszech. Upoważniony oficer dyżurny w stopniu porucznika przyłożył do ucha słuchawkę bezpiecznego telefonu i czekając na połączenie z admirałem Traepsem, wypisał dla powietrznych sił przeciwpodwodnych w zachodnim basenie morza wiadomość taktyczną, że mają skierować się do Gibraltaru.

Pilny przekaz radiowy z dowództwa dotarł do czterech patrolowych turbośmigłowców przeciwpodwodnych P-3 Orion. Jeden samolot zignorował rozkaz, bo już opuszczał swoją pozycję, ponieważ kończyło mu się paliwo i brakowało boi dźwiękowych. Jego zastępca był w drodze z Sigonelli. Pozostałe trzy otworzyły przepustnice, wzbily się i skierowały na zachód. Doleciały do swoich miejsc przeznaczenia i zawróciły ku ciemnym wodom cieśniny. Księżyc był w pełni, ale zniknął za chmurami, które zdawały się napływać znikąd i zbierać

wszędzie. Pierwszy czterosilnikowy samolot wyłączył dwie turbiny, przestawił śmigła w chorągiewkę i zszedł nisko nad wodę sześćdziesiąt mil morskich na wschód od najwyższego punktu cieśniny. Skręcił wolno i znalazł się na kursie południowym. Wyrównał i zmniejszył szybkość tak, że mogło się niemal wydawać, iż zawisł w powietrzu. W pięciosekundowych odstępach od spodu kadłuba oderwały się cicho cylindryczne boje dźwiękowe i wpadły do wody w równej linii. Pluski zagłuszył donośny hałas śmigieł.

Kilka chwil później, dwadzieścia mil morskich na zachód od pierwszego samolotu, zajął pozycję drugi P-3. Zrzucił boje dźwiękowe i zawrócił. Trzeci orion dotarł do wybrzeża Tangeru przy wejściu do Cieśniny Gibraltarskiej i opuścił do morza swój ładunek boi w momencie, gdy przepływał pod nim „Phoenix”. Potem wszystkie P-3 okrążyły punkty zrzutu w odległości wystarczającej, by sonarom boi nie przeszkadzał hałas silników, a jednocześnie na tyle niewielkiej, by mieć wyraźny odbiór radiowy. Samoloty usadowiły się na wydłużonych orbitach północ-południe, równoległych do rzędów boi. Krążyły na takiej wysokości, by ich detektory MAD mogły sięgnąć pod powierzchnię morza w poszukiwaniu anomalii w polu magnetycznym kuli ziemskiej. Stalowy kadłub zanurzonego okrętu podwodnego potrafił tak zogniskować linie siły magnetycznej, jak soczewka światło. Czujniki MAD nic nie wykryły, ale nie było to niczym niezwykłym - działały skutecznie tylko na ekstremalnie małą odległość.

Kiedy samoloty P-3 skręcały w kierunku Gibraltaru, dwaj piloci i technik sonarowy wdrapali się do helikoptera przeciwpodwodnego Seahawk LAMPS III na rozkołysanym pokładzie rufowym niszczyciela klasy Burke „John Warner”. W rekordowym czasie przeprowadzili kontrolę przedstartową według zalaminowanej listy. Dwie turbiny - z gwizdem, a potem wyciem - weszły na obroty biegu jałowego, sprzęgło złapało i obróciło rotor główny. Helikopter trząsł się, kiedy wirnik przechodził przez kilka punktów rezonansowych, potem uspokoił się, gdy łopaty zawirowały z szybkością biegu jałowego. W słuchawkach pilota zatrzeszczał zniekształcony głos z bojowego centrum informacyjnego „Warnera”, pilot odpowiedział, przekrzykując ryk turbin i stukot łopat rotora. Seahawk uniósł się z pokładu niszczyciela, tarcza strzelnicza wymalowana na ciemnej powierzchni stanowiska ładowniczego stała się ledwo widoczna w mroku pochmurnej nocy, kiedy „Warner” zmalował w dole za ogonem maszyny. Trzydzieści mil morskich na południe identyczny helikopter skierował się na zachód i wkrótce dołączył do pierwszego. Oba śmigłowce były gotowe do zrzucenia zanurzeniowych sonarów aktywnych na pierwszy sygnał o detekcji z któregoś z trzech samolotów P-3.

Sześćdziesiąt metrów pod powierzchnią morza, między środkowym i wysuniętym najdalej na wschód rejonem zrzutu boi dźwiękowych, okręt podwodny klasy Destiny „Hegira” nabrał szybkości. Wyświetlacz żyrokompasu na konsoli sterowniczej pokazywał kurs dwa siedem osiem, zachód-północny zachód.

Komodor Sharef zmarszczył brwi i nieoczekiwanie poczuł w ustach kwaśny smak. Na ekranach drugiej konsoli sensorowej żarzył się groźnie czerwony ślad bliskiego przelotu turbośmigłowca przeciwpodwodnego na zachodzie przed nimi. Inne wyświetlacze pokazywały zbliżające się rotory helikopterów. Sensory odbierały mnóstwo dźwięków wydawanych przez samoloty i zawodzące sygnały boi dźwiękowych. Sharef poczuł gniew, gniew na siebie samego. Amerykańskiemu okrętowi podwodnemu klasy 688 jakimś cudem udało się wezwać wsparcie, to jemu zawdzięczali ten powietrzny cyrk nad nimi. Co gorsza, dotąd nie nastąpiła eksplozja torpedy Nagasaki, a czas uciekał. Jeśli torpeda wkrótce nie eksploduje, skończy się jej paliwo. Sensory zgubiły amerykański okręt. Znalazł się poza ich zasięgiem detekcji i był cichszy niż morze, które teraz stało się cholernie kiepskim środowiskiem dla sonaru przez ten cały hałas silników lotniczych. Sharef spojrzał na Tawkidiego. Młodszy oficer sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zirytowanego niż on sam - to Tawkidi proponował strzał z bliższej odległości.

Sharef uznał, że nie ma wyboru. Nie mógł wystrzelić następnej Nagasaki, nie wiedząc, gdzie jest amerykański okręt. Torpedy Nagasaki miały tak duże zbiorniki paliwa, że przy braku celu mogły czekać i krążyć, uniemożliwiając Sharefowi przepłynięcie Cieśniny Gibraltarskiej, bo w końcu znalazłyby „Hegirę” i zatopiły ją. Ale nie mógł także pozostać tutaj z samolotami brzęczącymi nad głową. Im dłużej tu był, tym większe stawało się niebezpieczeństwo wykrycia, a potem zniszczenia Destiny. Nie mógł też zawrócić na Morze Śródziemne. Nie dokończyłyby wówczas misji, nie mógłby też dokonać dezynfekcji, wyłączyć reaktora i czekać. Czekanie dałoby tylko czas siłom morskim Koalicji na wzmocnienie zapory z samolotów ASW, a potem na zablokowanie cieśniny okrętami. Musiał założyć, że wystrzelona już torpeda Nagasaki wciąż prowadzi pościg, a nie szuka następnego celu. Musiał zaryzykować przepłynięcie cieśniny i to natychmiast.- Komandorze Tawkidi, proszę zarządzić pełne obsadzenie stanowisk bojowych. Sterowanie okrętem, naprzód trzydzieści kilometrów, zanurzenie sto metrów. Obsługa uzbrojenia, otworzyć wrota siódemki i ósemki na morze i podgrzać torpedy. Obsługa sensorów, śledzić uważnie, czy nie ma śladów amerykańskiego okrętu podwodnego klasy 688 i wystrzelonej wcześniej torpedy Nagasaki. Nie chcę być ścigany przez własną torpedę, jeśli zgubiła Amerykanina. Obsługa reaktora,

przygotować się do sytuacji alarmowej na wypadek, gdyby któryś z samolotów wystrzelił torpedy.

Sharef stanął przy skomputeryzowanym stole nawigacyjnym, żeby zobaczyć, czy uda mu się wydostać na Atlantyk. Starał się pozbyć natrętnej myśli, że ta misja może się wkrótce zakończyć.

USS..Phoenix”

Porucznik Victor Houser przyszedł do sterowni z kabiny manewrowej, gdzie znajdowało się jego stałe stanowisko bojowe oficera mechanika wachtowego. Houser nieoficjalnie przewodził grupie młodszych oficerów na pokładzie. Jak większość oficerów odbywających pierwszą turę, był młody, pewny siebie, twardy i agresywny. Na okręcie wciąż jeszcze krążyły opowieści o jego awanturniczych skłonnościach, które przejawiał nawet wtedy, gdy dopiero rozpoczynał karierę oficera. Pochodził z Południa, z Atlanty lub zachodniego wybrzeża Florydy - to zależało od dnia, w którym go o to pytano. Mówił wolno, przeciągając samogłoski, z ciężkim akcentem. Członkowie załogi z tej samej części okrętu, co on, podświadomie naśladowali jego sposób artykulacji, jak kiedyś piloci myśliwców imitowali niewyraźną wymowę pilota testowego z Wirginii Zachodniej, Chucka Yeagera. Kiedy Kane słyszał Housera, też zaczynał mówić z podobnym akcentem, a nawet z intonacją charakterystyczną dla Atlanty.

Houser był tylko trochę niższy od Kane'a. Swój wzrost zawdzięczał długim nogom. Jego włosy - jasnokasztanowate lub może raczej ciemno-blond - na czubku głowy długie i sterczące do góry, na karku sięgały niemal dołu kołnierzyka. Houser nie miał na ciele ani grama tłuszczu, a mimo to urósł mu podwójny podbródek. Maskował go podwodniackim zarostem w stylu marynarzy U-Bootów; na morzu pierwszy przestawał się golić. Czasem oszukiwał i zaczynał zapuszczać brodę dwa dni przed rejsem. Teraz już w pełni urosła i podwójny podbródek był pod nią bezpiecznie schowany. Na okręcie Houser ubierał się po swojemu - nie nosił munduru ani kombinezonu podwodniackiego, lecz sprane dżinsy, wysokie buty firmy Nike i koszule hawajskie, których wzory sprawiały, że były najbardziej jaskrawymi rzeczami w rufowej części okrętu. Strój Housera uzupełniał wielokolorowy pas z dozymetrem. Zdaniem Kane'a krzykliwy pas wyglądał tak, jakby Houser ukradł go klaunowi z cyrku Barnuma i Baileya. Przymykał oko na nieregulaminowy ubiór Housera, bo szanował jego umiejętności i uważał, że ze swoją oryginalną osobowością i szczególnym sposobem bycia Houser jest okrętową maskotką, która przynosi szczęście i lepiej jej nie lekceważyć.

Houser pracował z Tomem Schramfordem jako jego MPA - asystent mechanik od napędu głównego - i pełnił funkcję tradycyjnie przydzielaną porucznikowi. Odpowiadał za

większość urządzeń mechanicznych układu napędowego i za trzydziestu pięciu podoficerów i marynarzy obsługujących instalację jądrową. Na swój sposób był jednym z najbardziej uzdolnionych taktycznie młodszych oficerów, jakich Kane kiedykolwiek spotkał. Houser znał się wspaniale na maszynach, nad którymi czuwał. W chwilach wolnych od problemów technicznych „Phoenixa” rozprawiał o silnikach samochodowych. Był zarazem dobrym, choć trochę narwanym oficerem pokładowym. Prowadził okręt jak samochód sportowy. Kane zawsze wiedział, kiedy steruje agresywny Houser - po jego gwałtownych przechyłach i zwrotach rozbijały się naczynia, zastawa spadała ze stołów, kucharze klęli, że z garnków wylewa się zupa. Kane opieprzał go za te manewry, ale wiedział instynktownie, że Houser potrafiłby walczyć lepiej niż wielu szefów marynarki wojennej.

Stosunki Housera ze starszym bosmanem Sandersonem nie układały się gładko. Ich wzajemna niechęć obrosła na okręcie legendą. Przypominali nie tyle wodę i ogień, co dynamit i zapalki. Kiedy Sanderson przyszedł na „Phoenixa”, Houser był oficerem sonarowym. Starszy bosman sonarzysta spodziewał się czerwonego dywanu, natychmiastowego przyjęcia do wiadomości jego władczych oświadczeń, że jest pełnomocnikiem kapitana, pełnego posłuszeństwa. Oczekiwał tego od wszystkich oficerów pokładowych i całego łańcucha swoich przełożonych, poczynając od oficera sonarowego i oficera uzbrojenia, a skończywszy na XO; nawet od samego kapitana. Na Housera to w ogóle nie podziało. Porucznik szybko poinformował starszego bosmana, że jego zdaniem, zgodnie z regulaminem marynarki wojennej, który ostatnio sprawdzał, oficerowie przewyższają rangą wszystkich szeregowych marynarzy i podoficerów, bez względu na to, ile tamci noszą baretek, gwiazdek i naszywek na rękawach mundurów. Po tygodniu ostrych starć Kane musiał się zdecydować, czy przenieść gdzieś doskonałego w swoim fachu, lecz zachowującego się jak primadonna bosmana sonarzystę, czy dać Houserowi, swojemu najlepszemu młodszemu oficerowi, inne zajęcie. Ósmego dnia pobytu Sandersona na pokładzie, po południu, Houser otrzymał funkcję zastępcy do spraw głównego napędu i odtąd na okręcie wszystko grało.

Z wyjątkiem tych okresów, kiedy Houser pełnił funkcję oficera pokładowego, tak jak teraz. Jeszcze jeden powód, dla którego tkwił na stanowisku bojowym w części rufowej jako EOOW, czyli oficer mechanik wachtowy, podczas gdy Schramford, główny mechanik, który normalnie powinien być EOOW, pełnił rolę oficera pokładowego.

Teraz, kiedy Schramford podkręcał reaktor, Houser wspiął się na platformę peryskopową. Spojrzał na wyświetlacze, tablicę statusu i wykresy i włożył słuchawki.

- Sonar, tu platforma - zabrzmiał na linii jego cierpki głos. - Jaki jest status nadpływającej torpedy?

- Ciągłe nadpływa - odpowiedział Sanderson identycznym tonem.

- Wiadomo coś o odległości? Albo szybkości?

- Platforma, tu sonar, nie.

Następny odezwał się na linii Schramford.

- Platforma, tu manewrowa. Reaktor podkreślony do limit temperatury łożysk silników głównych. Moc ustabilizowana przy stu trzydziestu ośmiu procentach.

Kane zauważył, że wibracje pokładu raczej nie wzrosły. Wykręcił szyję i zerknął na szybkościomierz.

- Robimy teraz czterdzieści dwa węzły. To wszystko, co da się wycisnąć, inżynierze?

- Sir, jeszcze trochę i wytopimy łożyska główne albo przemielimy przekładnię redukcyjną. Nie mówiąc o uszkodzeniu rdzenia i wyższym poziomie promieniowania.

- Inżynierze, zabierz mnie pan od tej torpedy, to kupię panu nowy zespół napędowy - odrzekł Kane.

- Kapitanie, program wprowadzony i potwierdzony - wtrącił się Follicus.

- Bardzo dobrze, uzbrojenie - odpowiedział Kane. - Jak tylko wystrzelimy, niech załoga ponownie załaduje.

- Już im powiedziałem, sir.

Kane cofnął się od centrum ataku do stanowiska peryskopowego. Mógł stąd widzieć całą załogę stłoczoną w dusznym pomieszczeniu.

- Procedury momentu odpalania, wyrzutnia jeden i dwa.

- Okręt gotowy - oznajmił Houser.

- Uzbrojenie gotowe - zameldował Follicus.

- Współrzędne wprowadzone - zgłosił McDonne, wyraźnie niezadowolony ze strzelania torpedami bez kontaktu z Destiny. Symulowana odległość i punkt krążenia były loterią.

- Wyrzutnia jeden, strzał według wyliczonego kiemunku - rozkazał Kane.

- Jest - odpowiedział Rodney Olson siedzący przy konsoli stanowiska drugiego centrum ataku, kiedy wprowadził do komputera punkt krążenia dla torpedy i dane dotarły do załadowanej wyrzutni na pokładzie dolnego poziomu.

- W pogotowiu - zameldował Follicus i ustawił spust na panelu ogniowym w pozycji godziny dziewiętej, zamykając obwód odpalający w komputerze.

Dwa pokłady niżej otworzył się mały zawór solenoidowy w przewodzie sprężonego powietrza, prowadzącym do dużego tłoka wyrzutni z wodą po jednej stronie i sprężonym powietrzem po drugiej. Ciśnienie po stronie powietrznej tłoka osiągnęło wartość ponad

dwustu dziesięciu kilogramów na centymetr kwadratowy. Przy ruchu tłoka jego powierzchnia zamieniła to ciśnienie w siłę o nacisku czternastu kilogramów na centymetr kwadratowy, napierającą na wodę po drugiej stronie. Woda została sprężona i ciśnienie w zbiornikach torpedowych wzrosło - przedostała się upustami do tylnej części wyrzutni i wystrzeliła torpedę. W czasie niewiele dłuższym niż sekunda dwutonowa torpeda osiągnęła przyspieszenie trzech g i opuściła wyrzutnię. Tłok spoczął w pozycji końcowej i powietrze uszło z ogromną energią do wewnątrz, powodując wzrost ciśnienia na całym okręcie i ogłuszając na chwilę załogę w torpedowni, mimo że wszyscy mieli ochraniacze na uszach.

W sterowni wzrost ciśnienia po wystrzeleniu torpedy poraził Davidowi Kane'owi bębrenki. Zanim kapitan odzyskał słuch, wydał następny rozkaz:

- Wyrzutnia dwa, strzał według wyliczonego kierunku.

Kilka sekund później druga torpeda opuściła wyrzutnię i skręciła na wschód ze średnią szybkością na dystansie do gotowości.

Przez następne piętnaście minut «Phoenix» co czterdzieści pięć sekund wystrzeliwał swoje Mark 50. Po opuszczeniu okrętu wszystkie skręcały na wschód. A tymczasem torpeda Nagasaki wciąż się zbliżała.

Po wystrzeleniu dwudziestu trzech torped Follicus odwrócił się do Kane'a i McDonne'a.

- Sir, ostatnia torpeda załadowana do wyrzutni czwartej. Wystrzeliwujemy ją czy zostawiamy? Odpowiedział mu McDonne. Wiedział, że Kane będzie chciał usłyszeć jego opinię.

- Moim zdaniem, lepiej ją zostawić, kapitanie. Nigdy nie wiadomo, kiedy będziemy potrzebowali polisy ubezpieczeniowej.

Kane uznał, że byłby wyklęty, gdyby znaleziono rezerwową torpedę we wraku „Phoenixa”... jeśli do tego doszło.

- Nie, XO. Procedury momentu odpalania, wyrzutnia cztery.

Ostatnia Mark 50 opuściła okręt i torpedownia opustoszała. Wszystkie dwadzieścia cztery pociski były w drodze do swoich zaprogramowanych punktów przeznaczenia lub już tam dotarły i czekały na pojawienie się Destiny. Nagle bosman sonarzysta Edwin Sanderson przycisnął dłoń do słuchawek. Oczy niemal wyszły mu z orbit.

- Platforma, tu sonar! - zawołał, tracąc na moment panowanie nad sobą, gdy wypluwał słowa. - Torpeda Nagasaki przeszła na sonar aktywny. Zakres odległości pokazuje, że jest w granicach dwóch tysięcy metrów od nas.

Niedziela, 29 grudnia

Zachodni wylot Cieśniny Gibraltarskiej

Komputer naprowadzania i ataku w torpedzie Nagasaki miał połowę mocy obliczeniowej amerykańskiego superkomputera CRAY, ale zajmował tylko metr sześcienny przestrzeni w trzynastotonowej torpedzie japońskiej. Jej system sonarowy był wyrafinowany i czuły. Potrafił usłyszeć nawodny okręt wojenny z odległości pięćdziesięciu mil morskich, okręt podwodny z odległości trzydziestu do czterdziestu mil, jeśli warunki dźwiękowe były idealne i cel emitował typowe odgłosy. Moc komputera była wykorzystywana głównie do przeszukiwania kilkuset tysięcy gigabajtów danych dźwiękowych zbieranych z morza, łącznie z częstotliwościami tonalnymi przetwarzanymi w procesorze wąskopasmowym. Wszystkie analizy następowały w czasie rzeczywistym, podobnie jak w systemie komputerowym Drugi Kapitan na „Hegirze”. Różnica polegała na tym, że komputer torpedy nie wyświetlał danych, lecz przekazywał analizy do programów przechwytywania celu. Programy te obliczały najkrótszy kurs przechwycenia i szybkość w drodze do celu - torpeda starała się unikać bezproduktywnych pościgów zarufowych. Zamiast tego, kierowała się do punktu w morzu, gdzie cel dopiero miał dotrzeć. Przypominała piłkę wycelowaną nie w przyjmującego podanie, lecz w to miejsce na boisku, w którym za chwilę powinien się znaleźć. W tym wypadku wynik kalkulacji współrzędnych celu był przewidywalny, gdyż okręt podwodny będący celem miał torpedę za rufą. Nagasaki mogła tylko skierować się na cel i rozkazać wirnikowi, by obracał się z maksymalną szybkością. Płynęła z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, podczas gdy cel rozwijał marne siedemdziesiąt siedem.

Dzięki przewadze szybkości torpeda stale zbliżała się do celu, pożerając stopniowo odległość między myśliwym i ofiarą. Nagasaki była cierpliwa. Zadawała się płynięciem na maksymalnym ciągu i odliczaniem minut. Czekala, a dystans dzielący ją od celu malał coraz bardziej. Ale niełatwo było zachować cierpliwość, wiedząc, że cel jest już blisko. Gdyby torpeda była gepardem ścigającym gazelę, miałaby już pysk pełen śliny.

Wreszcie znalazła się w odległości dwóch kilometrów od ściganego okrętu. Określiła dystans, płynąc lekkim wężykiem, żeby sprawdzić, jak zmienia się kierunek do celu. Mała odległość spowodowała, że funkcje naprowadzające uaktywniły sonar torpedy - sam nasłuch sonarem pasywnym wystarczał do ścigania głośnego kontaktu, ale nie do jego dokładnego zlokalizowania i zdetonowania sześciu ton metrycznych ładunku plastikowego materiału

wybuchowego w głowicy. Gdyby torpeda próbowała trafić w cel za pomocą poszukiwawczego sonaru pasywnego, to przy tak dużej szybkości zbliżania się do okrętu podwodnego powstałby błąd kierunku. Nagasaki minęłaby cel, musiałaby zawrócić i kontynuować pościg. Odezwał się sygnał namiaru aktywnego i wypełnił morze wokół torpedy potężnym, średniotonowym dźwiękiem sonaru. Transmisja impulsu była tak silna, że przy stożku dziobowym Nagasaki powstały pęcherze pary. Po nadaniu sygnału torpeda zamilkła i czekała na odpowiedź, która nadeszła w ułamku sekundy. Echo było zniekształcone przez odgłos wirującej śruby okrętu podwodnego, częstotliwość obniżona do głębokiego brzmienia, ponieważ cel oddalał się od sygnału sonaru. Pozycja celu w umyśle komputera wymagała lekkiej korekty, okręt był nieco dalej, niż torpeda początkowo sądziła.

Po ustaleniu pozycji celu Nagasaki rozpoczęła ostatnie czynności uzbrajania, przygotowując zapalnik do zdetonowania materiału wybuchowego. Program naprowadzający żądał potwierdzenia danych i nadajnik sonarowy wysłał następny głośny sygnał. Cel był teraz oddalony o półtora kilometra. Blokada w oprogramowaniu zamknęła zestyk przekaźnika w obwodzie uzbrajającym zapalnik i przygotowała system do detonacji na sygnał z magnetycznego sensora zbliżeniowego, ostatniego elementu w obwodzie. Kilwater za wielką śrubą okrętu podwodnego zaczął uderzać w torpedę, co odebrała jako sygnał do zanurkowania nieco głębiej, by uniknąć wiru i dostać się pod śródokręcie. Ryk śruby z przodu narastał, turbulencja stawała się coraz gwałtowniejsza. Następny sygnał sonaru i następny pomiar odległości. Już tylko niecały kilometr.

Cel był tak blisko, że uniemożliwiało to wysłanie sygnału i odebranie wyraźnej odpowiedzi. Sonar przełączył się na transmisję rampową. Dźwięk brzmiał jak syrena policyjna. Niskie wycie przechodziło powoli w wysokie zawrozenie, po czym opadało z powrotem. Odbiornik dostawał odpowiedź z celu w tym samym momencie, kiedy nadajnik wysyłał sygnał. Odległość zmalała do czterystu metrów, potem skurczyła się do dwóch długości okrętu. Wir za śrubą celu uderzał w Nagasaki.

Torpeda płynęła naprzód i w ostatnich sekundach swojego życia zbliżała się szybko do ofiary.

USS..Phoenix”

Starszy bosman Sanderson był czerwony na twarzy, jak zawsze w chwilach gniewu lub strachu. Teraz czuł jedno i drugie. Starał się panować nad głosem, gdy składał meldunek, który - jak sądził - miał być jego ostatnim meldunkiem.

- Platforma, tu sonar. Zbliżająca się torpeda przełączyła sonar aktywny na ciągły sygnał rampowy. Odległość około tysiąca metrów i maleje.

- Tu platforma, przyjąłem - odpowiedział pospiesznie Kane. Sanderson sięgnął do słuchawek sonaru, żeby je zdjąć. Pomyślał, że eksplozja torpedy ogłuszy go, potem doszedł do wniosku, że to nieważne... Zginie, zanim usłyszy detonację.

Z tyłu, w sterowni, komandor Kane mówił pospiesznie przez telefon podniesionym głosem. Stracił swoją zwykłą zimną krew.

- Inżynierze, otwórz pan szeroko przepustnice! Nie obchodzi mnie, czy łożyska główne wylecą ze swoich pieprzonych osłon! Wykonać!

Wibracje kadłuba wzrosły nagle i przeszły w gwałtowne dygotanie, gdy łożysko śruby straciło warstewkę oleju i metal zaczął trzeć o metal, grożąc urwaniem wału. W kabine manewrowej po czole Toma Schramforda spłynęło kilka kropli potu, kiedy popatrzył na wskaźnik mocy reaktora i zobaczył, że strzałka doszła do stu pięćdziesięciu procent i oparła się na ograniczniku, daleko na czerwonym polu. Na panelu obsługi reaktora rozbłysła lampka alarmowa, ostrzegająca o wysokim promieniowaniu w przedziale reaktorowym. Rdzeń się rozpada, pomyślał Schramford. Uran, z którego można by wyprodukować bombę jądrową, już nie jest odseparowany od wody chłodzącej koszulką z cyrkonu. Osłona rozrywa się od przegrzania elementów paliwowych. Z tyłu trzęsą się silniki główne z gorącymi łożyskami, boilery wyrzucają parę i wodę. Nie nadążają za ogromnym zapotrzebowaniem na parę mokrą i ciągle dostarczają suchą. Kropelki wody osiadają na łopatach turbin silników głównych i grożą ich urwaniem. A urwana łopata może rozwalić obudowę, do przedziału wystrzeli strumień pary i ludzie z tyłu ugotują się.

Schramfordowi nie podobały się rozkazy Kane'a, ale wydałby takie same, gdyby to on dowodził „Phoenixem”. Z powodu hałasu protestującego układu napędowego w tyle okrętu nie było słyhać sonaru zbliżającej się torpedy, ale na przodzie, w sterowni, uszy Davida Kane'a wypełniało zawodzenie Nagasaki.

Kane próbował już wszystkiego - doprowadził moc reaktora do czerwonej strefy i uciekał najszybciej, jak mógł. Zastanawiał się nad wynurzeniem alarmowym, potem odrzucił ten pomysł. Znając nagrania sonarowe z zatopienia „Augusty”, domyślał się, że wynurzenie alarmowe było ostatnim krokiem Rona Rakiety i nie uratowało go. Pęcherze powietrza ze zbiorników balastowych prawdopodobnie uczyniły z „Augusty” jeszcze lepszy cel albo też wynurzenie spowolniło ją.

Kane nie miał alternatywy. Mógł tylko czekać. Czuł na sobie spojrzenia załogi i starał się, by jego twarz zachowała wyraz, który przybierał zawsze w czasie walki: głęboko zmarszczone brwi, zmrużone oczy, ściągnięte mięśnie szczęki. W wyobraźni widział wyraźnie twarz Becky. Zamrugał, żeby się uwolnić od tego obrazu, i spojrział na konsolę

sterowania okrętem, zastanawiając się, jaką szybkość można by wycisnąć z „Phoenixa”. Prędkościomierz połączony z logiem elektromagnetycznym pokazywał 42,9 węzła. Ostatnie dwadzieścia procent mocy reaktora pchało ich do przodu zaledwie niecałe pół metra na sekundę szybciej.

Sonar torpedy brzmiał coraz głośniejszy, potem zamilkł tuż przed eksplozją.

Nagasaki dzieliło od detonacji piętnaście sekund, gdy do jej centralnego układu dotarł alarm z modułu autodiagnostycznego: spadek ciśnienia w lewej i prawej instalacji paliwowej. Pół sekundy później turbina napędowa zaczęła zmniejszać obroty, kiedy do komory spalania spłynęły ostatnie krople paliwa. Temperatura w komorze spadła i niemal natychmiast opór wody wyhamował wirnik do szybkości wiatraka wiatrowego. Po zatrzymaniu turbiny przestały działać generatory prądu stałego i zmiennego, pozbawiając elektryczności wszystkie obwody i systemy torpedy z wyjątkiem kilku urządzeń zasilanych z akumulatora pokładowego.

Nagasaki za długo prowadziła pościg zarufowy i zabrakło jej paliwa, ale nawet na taką ewentualność przewidziano sposób. Pozostało jej akurat tyle energii elektrycznej, by mogło nastąpić zamknięcie zestyku ostatniego przekaźnika w obwodzie uzbrajającym zapalnik. Resztką świadomości, jaką zachował jej konający mózg - jakby imitując ostatni odruch człowieka - torpeda rozkazała zdetonować ładunek wybuchowy. Komputerowa inteligencja Nagasaki zgasła, ale zestyk przekaźnika w obwodzie detonującym zdążył się zamknąć, do zapalnika popłynął prąd, spowodował jego rozżarzenie i nastąpił zapłon materiału wybuchowego.

Torpeda była w tym momencie sto dwadzieścia pięć metrów za rufą okrętu podwodnego i dwadzieścia metrów poniżej poziomu jego śruby - niebezpiecznie blisko, ale za daleko, by zadać śmiertelny cios. Kula ognia powstała przy eksplozji sześciu ton plastiku wypadła na zewnątrz i fala uderzeniowa dosięgnęła kadłuba ofiary.

Wstrząs, jaki nastąpił w tym rejonie morza, gdzie dopiero znajdowała się torpeda, nie trwał długo. Fala uderzeniowa rozeszła się na zewnątrz w potężnym impulsie ciśnienia i dotarła do części rufowej kadłuba okrętu podwodnego. Mimo wielkiej siły uderzenia kadłub nie przełamał się na pół, nie rozerwał ani nawet nie pękł. Wysokowytrzymała stal HY-80 nie ustąpiła pod naporem fali ciśnieniowej. Gdyby efekt końcowy wybuchu ograniczył się tylko do tego, okręt popłynąłby dalej.

Ale sama wytrzymałość kadłuba nie wystarczyła do uratowania okrętu przed skutkami podwodnej eksplozji sześciu ton plastiku. Te skutki wywołane przez potężny impuls ciśnienia

były tak złowrogie, by nie rzec tragiczne, że okręt nie miał właściwie żadnych szans na przetrwanie.

Pierwszym było przestawienie stabilizatorów poziomych do pionu. Siła fali uderzeniowej skierowana z dołu do góry pokonała opór układu hydraulicznego płatów i obróciła rufowe stery głębokości na ich masywnych zawiasach. Na szczęście płaty nie zostały jednak urwane.

Drugim skutkiem było tak gwałtowne przyspieszenie ruchu okrętu, że otworzyły się wszystkie przeizy wacze elektryczne - od mniejszych przerywaczy awaryjnego wyłączenia reaktora w obwodzie prętów regulacyjnych poczynając, a na przerywaczach w sieci głównej przy turbinach, generatorach i nawet przy akumulatorze kończąc. Po nagłym otwarciu przerywaczy w obwodach elektrycznych okręt całkowicie stracił zasilanie. Przestał działać reaktor, jeden z największych odbiorników wytwarzanego przez siebie prądu, system zużywający tysiące koni mechanicznych mocy do napędzania pomp cieczy chłodzącej i dwudziestu paru innych pomp, zapewniających cyrkulację różnych płynów w instalacji jądrowej. Nastąpiła niewydolność serca i uszkodzenie centralnego układu nerwowego okrętu, śmierć mózgu.

Trzeci skutek stanowił właściwie reakcję na pierwszy: siła, która uderzyła w rufowe stery głębokości i przestawiła je do góry, sprężyła olej w cylindrach siłowników układu hydraulicznego poruszających płatami. Olej pod ciśnieniem wrócił do akumulatorów wypełnionych powietrzem z większą energią niż fala uderzeniowa po eksplozji. W efekcie powstało „wahadło hydrauliczne”, zjawisko dające się zaobserwować przy poruszaniu się tam i z powrotem wody w wannie, gdy fala spiętrzona przy jednym jej końcu nieuchronnie przechodzi w drugi kraniec. Teraz, kiedy siła eksplozji rozproszyła się, nacisk na stery rufowe ustał. Sprężony olej z powrotem przepłynął z akumulatorów do siłowników poruszających rufowymi sterami głębokości. Nie hamował go już napór wody morskiej ani działania młodego operatora w sterowni, który zwiślał bezwładnie z fotela, znajdując się na granicy przytomności. Siłowniki przestawiły rufowe stery głębokości z powrotem w dół do pełnego nurkowania i zatrzymały je w tej pozycji.

W rezultacie okręt, pędzący naprzód z szybkością ponad czterdziestu dwóch węzłów i rufowymi sterami głębokości ustawionymi w pozycji pełnego nurkowania, pochylił się ostro na dziób i zszedł niebezpiecznie w dół. Nieczynny reaktor nie mógł wyciągnąć go z powrotem, oszołomiona załoga nie była w stanie wyprowadzić go w górę.

W sterowni Kane śledził zabójcze nurkowanie swojego okrętu w kierunku dna morskiego.

Eksplozję torpedy Nagasaki wychwyciło kilka tuzinów boi dźwiękowych, unoszących się w wodzie pod orbitującymi samolotami P-3 Orion u zachodniego wylotu cieśniny. Technik sonarowy wymienił spojrzenie z oficerem ASW - uzbrojenia przeciwpodwodnego. Wszystkie detekcje eksplozji dotyczyły pozycji okrętu podwodnego zidentyfikowanego jako jednostka klasy 688, USS „Phoenix”. Samolot nie był w stanie nic zrobić, mógł tylko kontynuować tropienie Destiny, gdyby okręt próbował przebić się z Morza Śródziemnego na Atlantyk. Oficer ASW miał nadzieję, że dopisze im szczęście i bardzo pragnął działać. Rozkazał podgrzać torpedę Mark 52 umieszczoną pod skrzydłami. Kiedy torpeda była rozgrzana, jej komputer poprosił o współrzędne celu. Sfrustrowany oficer ASW nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. **OPSM „Hegira”**

Sharef wrócił do obserwacji stołu nawigacyjnego, żeby zobaczyć, jak przebiega ich przejście przez cieśninę. Dyskutował z samym sobą, czy powinien zwiększyć szybkość, w końcu uznał, że nie należy tego robić, bo nie chciał zwiększać hałasu, gdy w pobliżu znajdowało się tyle wrogich samolotów. Za jego plecami, na wyświetlaczach piątej i szóstej konsoli sensorowej podskakiwały i płąsały linie natężenia dźwięku, gdy anteny kadłubowe okrętu wylapywały odgłosy śrub amerykańskich torped Mark 50, krążących u wylotu cieśniny. Oficerowie przy konsolach jeszcze ich nie zauważyli. Ich uwagę przykuły nagle sygnały kilkunastu boi dźwiękowych zrzuconych właśnie do wody nad nimi.

Sharef otworzył usta, by wydać rozkaz do manewru wymijającego, kiedy Tawkidi z rozwartymi szeroko oczami, utraciwszy na moment typowy dlań spokój, oznajmił, że na wyświetlaczu pojawił się następny skaczący wykres, dużo groźniejszy niż boje dźwiękowe.

- Samolot nisko nad nami, komodorze. Wygląda na to, że ma pozytywną detekcję.

Dwaj technicy sonarowi i oficer ASW siedzący w Orionie P-3, który leciał nad środkową częścią cieśniny, pochylili się nad konsolą centralną, żeby przyjrzeć się danym napływającym z ostatniego pola boi dźwiękowych zrzuconych pięć minut wcześniej.

- To on - powiedział jeden z techników sonarowych.

- Ostatni zrzut, mniej więcej tutaj... - odezwał się przez interkom komandor porucznik Quaid do pilotów siedzących z przodu.

Turbośmigłowiec zawrócił, wykonując skręt znacznie szybciej, niż sugerowałby jego niezdarny wygląd, i poleciał z powrotem na południe. Quaid obserwował wyświetlacze - następna partia boi dźwiękowych oderwała się od brzucha maszyny i wylądowała w wodzie. Ekrany wypełniły krzywe, niezrozumiałe dla niewtajemniczonych, ale mówiące bardzo wiele bractwu latających żołnierzy przeciwpodwodnych.

- Wyraźny kontakt, okręt podwodny Destiny. Wprowadzić odległość, kurs i szybkość, przełączyć na zasilanie wewnętrzne i przygotować się do zrzutu.

- Uzbrojenie gotowe, dane wprowadzone.

- Kapitanie, ASW, cel zlokalizowany i potwierdzony. Skręt w prawo do zero jeden pięć. Prośba o pozwolenie na zrzut.

- Ognia!

- Poszła.

Samolot, połyskujący srebrzyście w świetle księżyca, zrzucił swój ładunek do cieśniny. Kiedy torpeda oddzieliła się od P-3 i znurkowała dziobem w dół ku czarnym falom, wyglądała jak duża bomba. Z tyłu otworzył się spadochron, by spowolnić jej zanurzenie w wodzie. Wykwitła fosfory żująca piana i torpeda zniknęła.

Torpeda Mark 52 była w efekcie jeszcze mało przytomna, na wpół śpiąca, gdy uderzyła w wodę. Ale gwałtowne przyhamowanie rozbudziło w niej pełną elektroniczną świadomość. Kiedy schodziła na głębokość stu metrów i zataczała dwa pełne kręgi, już nasłuchiwała swojego sonaru poszukiwawczego. Dysponowała co prawda zamiarem na nieprzyjacielski okręt podwodny, ale cele miały paskudny zwyczaj robienia uników, gdy tylko usłyszały głośny plusk Mark 52 wpadającej do wody. Torpeda skręciła. Podczas zataczania pierwszego kręgu usłyszała coś na zachodzie. Zignorowała to, żeby się upewnić, czy gdzieś bliżej nie ma drugiego celu. Jej elektronika umiała odróżniać nędzne wabiki od prawdziwych okrętów podwodnych. Teraz, na głębokości stu metrów, torpeda znów skręciła. Znów przecięła kierunek zachodni i znów usłyszała cel, tym razem trochę słabiej. Przerwała zataczanie drugiego kręgu, rozkręciła śrubę do maksymalnych obrotów, włączyła sonar aktywny i wysłała sygnał.

Nadeszła odpowiedź, głośna, wyraźna. Cel znajdował się dokładnie na wprost niej, w minimalnej odległości. Torpeda przyspieszyła do pięćdziesięciu trzech węzłów i popłynęła w kierunku okrętu podwodnego. Po drodze zeszła trochę niżej, na głębokość stu pięćdziesięciu metrów, żeby zrównać się z celem. Kiedy zbliżyła się do okrętu, skróciła częstotliwość powtarzania sygnału. To powinien być krótki bieg. Zawczasu uzbroiła głowicę bojową i dalej mknęła w kierunku celu.

- Głośny plusk, kierunek samolotu jeden jeden dwa, komodorze - zameldował Tawkidi. Jego głos brzmiał spokojnie, ale nienaturalnie głośno w ciszy pomieszczenia. - Odbieramy śrubę, zdecydowanie torpeda w wodzie... Idzie na sonarze aktywnym i zbliża się.

- Obsługa reaktora, alarmowa naprzód, maksymalna moc do punktu wrzenia na wyjściu, transfer ładunków do akumulatora, wyłączenie zabezpieczenia przeładowania w

przerywaczach silnika napędowego. Sterowanie okrętem, ster dwa sześć pięć, głębokość dwieście metrów, meldować o szybkości.

Sharef rozkazał obsłudze reaktora, by uzyskała maksymalną moc na granicy stopienia elementów paliwowych. Przewidywana szybkość wynosiła osiemdziesiąt osiem kilometrów na godzinę. Sharef nie uśmiechnął się, gdy prędkościomierz wyświetlił liczbę dziewięćdziesiąt trzy. Amerykańskie torpedy lotnicze rozwijały szybkość powyżej dziewięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, może nawet stu. Sharef nadal płynął na zachód ku wyjściu z Morza Śródziemnego. Chciał się uwolnić od eskadr samolotów wystrzeliwujących torpedy i te swoje cholerne boje dźwiękowe, wydostać się na otwarty ocean, na Atlantyk. Toipeda wciąż się zbliżała, ale była niewielka. Sharef miał nadzieję, że nie wyrządzi im dużych szkód. Ale żaden dowódca nie przyjmuje trafienia bez uników. Sharef żałował teraz, że nie ma drugiego wabika Dash Five. - Komandorze, jaki jest status SCM?

SCM był przeciwsonarem, systemem zwodzącym torpedy. Opracowali go japońscy konstruktorzy okrętu. Generator sygnału sonarowego przypominał brzuchomówcę. Wprowadzał w błąd zbliżającą się torpedę i wybuchła za wcześnie. Nadajniki przeciwsonaru były zamontowane w dwóch dolnych płatach X na rufie. Próby morskie tego urządzenia nie dawały jednoznacznych wyników, ale gdy torpeda prowadziła zarufowy pościg, SCM odbierał sygnał jej sonaru, nasłuchiwał, jakie ma odstępy między impulsami, i przy następnym cyklu nasłuchowym wysyłał torpedzie identyczny sygnał. Nadawanie sygnałów SCM było zaprogramowane tak, żeby toipeda słyszała je wcześniej niż powracające echo własnego impulsu odbitego od okrętu. Koncepcja była prosta, ale jej realizacja na morzu wydawała się prawie niemożliwa. Okręt musiał być przystosowany do wysyłania sygnału odpowiadającego dokładnie sygnałowi torpedy, a także do przetwarzania go tak, by brzmiał jak jej echo. Musiał odpowiednio dostrajać czas nadawania i częstotliwość echa toipedy, by myślała, że cel jest bliżej lub dalej, albo płynie wolniej lub szybciej niż w rzeczywistości. System wymagał zastosowania najczulszych odbiorników, najdoskonalszych nadajników i zaangażowania całego superkomputera.

O spełnienie tych wszystkich wymagań zabiegano przez lata. Ostatnią przeszkodą okazał się komputer. Podczas wykonywania uników przed torpedą jego moc obliczeniowa była nieoceniona. Sensory starały się usilnie wyłapać inne zagrożenie lub zlokalizować inny cel. Systemy uzbrojenia programowały odpowiedź ogniem. Systemy reaktora czuwały nad bezpieczeństwem rdzenia, gdy moc dochodziła do dopuszczalnych granic. Systemy sterowania okrętem przygotowywały manewry unikowe. Po prostu nie było czasu ani

urządzeń niezbędnych do przeprowadzenia intensywnych kalkulacji potrzebnych sonarowemu bruchomówcy do wysyłania sygnałów. Japończycy, jak zwykle, rozkoszowali się szansą rozwiązania pozornie nierozwiązywalnego problemu technicznego. Zainstalowali oddzielny kompaktowy superkomputer, połączony z anteną hydrofonu. System kosztował bardzo dużo i nie było gwarancji, że okaże się skuteczny, ale mniej więcej połowa testów dała imponujące wyniki.

Sharefa i Tawkidiego tak zaabsorbowała ucieczka przed zbliżającą się torpedą i aktywacja systemu SCM, że nie zauważyli niebezpieczeństwa zagrażającego im z przodu: pola minowego utworzonego przez dwadzieścia parę krążących torped Mark 50, które spokojnie czekały na okręt podwodny Destiny.

Mózg Davida Kane'a pracował dwutorowo i gdyby nie to, że tylko chwila dzieliła go od katastrofy, mógłby uznać owo zjawisko za fascynujące. Nagłe poszerzenie możliwości umysłu było skutkiem gwałtownego przyływu adrenaliny i jego własnego przekonania, że prawdopodobnie zostało mu niecałe trzydzieści sekund życia.

Pokład „Phoenixa” pochylił się stromo w dół - zdecydował o tym kąt ustawienia rufowych sterów głębokości, taki jak przy nurkowaniu. Jedna część mózgu Kane'a działała jak urządzenie rejestrujące i postronny obserwator, widziała, że na pochyłomierzu zamontowanym nad panelem obsługi zbiorników balastowych skończyła się skala, co oznaczało kąt ponad pięćdziesięciu stopni. Mazak zawieszony na sznurku pod tablicą statusu OOD zwisał niemal pionowo w stosunku do pokładu. Okręt szedł w dół prawie prostopadle do dna. Kane mógłby przysiąc, iż tak było, choćby dlatego, że on i reszta wachty na stanowiskach bojowych wpadli na przednią przegrodę. Niemal dwanaście ciał spoczywało na drzwiach do przedniego korytarza, drzwiach do kabiny sonarowej i stanowisku sterowania okrętem. Operator rufowych sterów głębokości był nieprzytomny - uderzył piersią o kabląk sterowniczy, kiedy wpadł na niego XO McDonne. Uprząż bezpieczeństwa zsunęła mu się albo w ogóle jej nie włożył. DO - oficer zanurzenia - był następnym człowiekiem w kolejności, który mógłby uratować okręt. Miał obowiązek pilnować kursu, głębokości i kąta pochylenia okrętu. Zaistniała sytuacja dokładnie pasowała do opisu jego funkcji, ale teraz nie nadawał się do wykonania swych zadań. Zwykle siedział przy sterach przypominających lotnicze, za konsolą oddzielającą sternika-operatora rufowych sterów głębokości od operatora stabilizatorów. Spadł z fotela, uderzony kilkoma ploterami i ciałem telefonisty, a bezładny stos przy panelu sterowania okrętem zasłonił mu wskaźniki ustawienia płatów sterowych i głębokościomierz. OOD Houser gdzieś zniknął, ale mógł leżeć pod stosem ciał. Kane pozostał sam. Wcześniej był na platformie peryskopowej, ale zsunął się w dół po pokładzie i

wpadł na kogoś, ale, co dziwne, nie doznał nawet szoku ani zaskoczenia. Było dla niego oczywiste, że okręt kona i za kilka sekund zamieni się w podwodną kupę złomu. W momencie eksplozji torpedy Nagasaki «Phoenix» płynął z pełną szybkością. Początkowo uniósł się pod lekkim kątem, potem nagle przeszedł do nurkowania. Reaktor się wyłączył, wskazywał na to brak wentylacji. Okręt schodził teraz do głębokości krytycznej czterystu metrów pod powierzchnią. Dotarcie do niej może potrwać tylko kilka sekund, pomyślał Kane. Poniżej czterystu metrów ciśnienie morza przekroczyłoby wytrzymałość kadłuba, zacząłby działać ogromny ciężar wody nad okrętem. Siły podwodne straciły w takich sytuacjach trzy okręty atomowe. Pierwszym był „Thresher”. W 1963 roku zatonął podczas testów morskich, uderzył w dno, wybijając w nim wielki krater. Z okrętu niewiele zostało, dno oceanu na przestrzeni mili kwadratowej zaścieliły jego szczątki.

Gdyby woda nie była na tyle głęboka, by ciśnienie zgniotło kadłub, okręt uderzył w dno i roztrzaskał się jak jajko zrzucone na kuchenną podłogę. Kane’owi przypomniał się rosyjski okręt podwodny „Komsomolec”, który zatonął dziesięć lat wcześniej na Morzu Norweskim. Uderzył w skaliste dno z taką siłą, że rozpadł się na kilka części. Od gwałtownego wstrząsu eksplodowały dwie torpedy.

Kane zobaczył w wyobraźni mapę morską tak wyraźnie, jakby wisiała tuż przed jego twarzą. Koszmarna wizja katastrofy własnego okrętu zniknęła. Ujście cieśniny miało bardzo skaliste dno z rozproszonymi łachami piasku i głębokość tylko dwieście dwadzieścia pięć sążni, niewiele ponad czterysta metrów! To była dobra wiadomość - okrętowi przynajmniej nie groziła implozja od ciśnienia morskiego. Ale była też zła wiadomość - «Phoenix» skończy gorzej niż „Komsomolec”. Te wszystkie myśli przemknęły przez głowę Kane’a w ciągu kilku sekund. Przez ten czas okręt znalazł się ponad sześćdziesiąt metrów głębiej.

Myśli biegnące drugim torem dotyczyły wyłącznie działania, większość z nich była odruchowa. Lata temu, w szkole podwodniaków, instruktor mógłby przechodzić obok korytarzem i rzucić swobodnie: „nurkowanie niekontrolowane”. Kane odkrzyknąłby wtedy: „cała wstecz pełna, awaryjne opróżnienie dziobu, pełny wznios na sterach dziobowych”. Natychmiastowe działanie. Całkowicie automatyczne. Wszystko to tutaj było zupełnie bezużyteczne... ponieważ wykonanie rozkazu „cała wstecz” wymagało, by okręt miał napęd. Śruba musiałaby się obracać i wyciągnąć go z nurkowania. A tymczasem napędu nie było. Awaryjne opróżnienie dziobu oznaczało dotarcie do panela obsługi zbiorników balastowych, oddalonych o głupie cztery metry. Cztery metry przeszkód, leżących ciał, foteli, konsoli, bez żadnej drogi przejścia, kiedy okręt znajdował się w pozycji pionowej. A do pełnego wzniosu

na stabilizatorach potrzebny był ich operator, który mógł być równie daleko, jak panel balastowy.

Ale przynajmniej kabłąk rufowych sterów głębokości na panelu sterowania okrętem był blisko. Kane myślał w tym momencie o „Komsomolcu”. Wyciągnął rękę w stronę sternika, który wciąż leżał bezwładnie na kole sterowym z uprzężą zwisającą w kierunku panela. Młody marynarz miał twarz przyciśniętą do kabłąka, złamany nos i zamknięte, opuchnięte oczy. Kane chwycił chłopaka za ramię i pociągnął tak mocno, że pękł mięsień i trzasnęła kość. Odkrył nagle, że wszystkie opowieści o oszalałych ze strachu matkach podnoszących pięciusetkilogramowe traktory, które przygniotły ich dzieci, są absolutnie prawdziwe - pchnięcie wydawało się delikatne, ale ciało chłopaka przeleciało przez pomieszczenie. Kane złapał drugą ręką za kabłąk rufowych sterów głębokości i pociągnął do końca z taką siłą, że poczuł ból w mięśniach barków. Zastanawiał się, czy układ hydrauliczny nadal działa, ale opór na kabłąku wskazywał, że jest połączony z kolektorem oleju.

Sześćdziesiąt metrów dalej w kierunku rufy, akumulator głównego układu hydraulicznego, tylko w połowie naładowany, sprężył olej w przewodach prowadzących do tłoka poruszającego płatami rufowych sterów głębokości. Akumulator powinien być w pełni naładowany przez śrubową pompę oleju, ale ponieważ zabrakło zasilania, pompa się wyłączyła. W rezultacie ciśnienie w układzie niebezpiecznie spadło. Zbiornik podwyższył je i próbował posłusznie poruszyć masywnymi płatami sterowymi, ale wciąż było za niskie. System awaryjny, który przez lata czekał bezczynnie na wykorzystanie i był tylko czasami używany na ćwiczeniach, wypełnił lukę. Jego akumulator rozładował się, gdy w głównym układzie powstało ciśnienie, i system przesunął rezerwowy tłok po drugiej stronie steru. Dzięki sile nacisku systemu awaryjnego płaty rufowych sterów głębokości uniosły się z pozycji pełnego nurkowania do pełnego wzniosu w takim czasie, jakby cały układ działał całkowicie prawidłowo.

Kane spojrzął na częściowo nieczynny panel sterowania okrętem. Przyrządy zasilane z akumulatora pokazały najpierw zmniejszenie kąta na rufowych sterach głębokości, potem ich wznios. Kane poszukał wzrokiem wskaźnika pochylenia okrętu, tak zwanego „bąbla”, żeby sprawdzić, czy okręt zareaguje na czas. Kąt pochylenia pokładu zaczął się zmniejszać. Przegroda przednia, która przed chwilą była podłogą, obracała się teraz i znów stawała ścianą. Ludzie spadali z niej na prawdziwy pokład. Kane trzymał się kabłąka sterowego i zamrugał, kiedy wyświetlacz pokazał zanurzenie trzysta pięćdziesiąt, trzysta sześćdziesiąt pięć, trzysta osiemdziesiąt metrów... Głębokość rosła. Udało się wyprowadzić okręt z niemal pionowego

nurkowania, ale nadal schodził w dół. Głębokościomierz doszedł do krytycznych czterystu metrów i Kane odwrócił wzrok.

Ale to nie głębokość krytyczna przesądziła o losie „Phoenixa”. Trzydzieści pięć sekund po tym, jak Kane’a chwycił kabłąk sterowy, okręt uderzył w skaliste dno z energią kinetyczną stuwagonowego pociągu towarowego, który wpadł na ścianę urwiska, pędząc z szybkością stu trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę.

Kane poleciał na panel sterowania okrętem, rozciął sobie głowę, osunął się na pokład i poczuł w ustach smak krwi.

19

Niedziela, 29 grudnia

Wschodni Atlantyk

Zachodni wylot Cieśniny Gibraltarskiej

- Jak daleko? - zapytał Sharef, pochylając się nad fotelem Tawkidiego przy panelu obsługi sensorów. Torpeda wystrzelona z samolotu zbliżała się do nich od trzech minut.

Komandor Tawkidi, oficer pokładowy stanowisk bojowych, podniósł wzrok. Miał oczy szerokie ze zdumienia, potem zrobił triumfalną minę. W słuchawkach usłyszał właśnie huk na kierunku torpedy Nagasaki i amerykańskiego okrętu podwodnego, około pięćdziesiąt kilometrów na zachód.

- Co jest? - natarł Sharef.

- Torpeda Nagasaki właśnie eksplodowała! Sharef pochylił się niżej.

- Sajakieś odgłosy z amerykańskiego okrętu podwodnego? Tawkidi przerwał na moment monitorowanie zbliżającej się torpedy amerykańskiej i szukał uważnie.

- Nie ma jeszcze dźwięków pęknięcia kadłuba, ale nie słychać jego reaktora ani instalacji parowej... Moment...

Nasłuchiwał z zamkniętymi oczami. W słuchawkach rozległ się drugi odległy grzmot.

- Cel chyba właśnie implodował albo uderzył w dno, komodorze. Jeśli wcześniej nie zatonął, to teraz na pewno.

Sharef z powagą skinął głową. Zatopienie innego okrętu podwodnego nie stanowiło dla niego powodu do radości. Marynarze wrogich sił podwodnych byli mu bliżsi niż każdy rodak należący do grona szczurów lądowych. Tamci ludzie wiedzieli, co znaczą tygodnie na morzu, brak towarzystwa rodziny czy przyjaciół, walka z żywiołem, życie w spartańskich

warunkach na pokładzie okrętu podwodnego, zbudowanego z myślą o pomieszczeniu sprzętu, nie z troską o potrzeby załogi. Zmusił się do pamiętania o tym, że to Amerykanie, bracia brutalnych ludzi, którzy posłali na dno zatoki jego „Sahanda” i zabili tylu jego towarzyszy... I przestał czuć cokolwiek wobec tamtych, zarówno współczucie, jak i nienawiść.

Kątem oka dostrzegł generała Sihouda i pułkownika Ahmeda; stali przy drzwiach do przedniego korytarza. Zignorował ich i wrócił do mapy taktycznej, potem do konsoli Tawkidiego przy panelu sensorowym. Amerykańska torpeda wciąż się zbliżała i ogarnęło go uczucie nierzeczywistości, jakby stał z boku wydarzeń. Próbował sobie uprzytomnić, że to mogą być ostatnie minuty jego życia, ale jakoś w to nie wierzył. Każdy ma swój czas umierania. Sharef sądził, że jego godzina jeszcze nie wybiła. Ale zastanawiał się, czy, kiedy ta chwila nadejdzie, będzie o tym wiedział.

Tawkidiemu zrzędała mina, gdy wyświetlacze Drugiego Kapitana wypełniły się krzywymi sygnałami dziesiątek boi dźwiękowych i silników samolotów krążących w górze.

- Jak blisko teraz?

- Kilometr, może mniej.

- Przygotować SCM.

- Jest włączony i ustawiony na automatykę. Potrzebuje jeszcze kilku sygnałów, żeby wysłać fałszywe echo.

- Lepiej niech zacznie działać, zanim ta torpeda podejdzie bliżej. Przez kadłub zaczęły docierać ostre i wysokie sygnały torpedy. Drugi sygnał zabrzmiał głośniejszy i nagle odpowiedział mu zniekształcony impuls. Miał niższy ton, ale poza tym był wierną kopią oryginału. Odgłosy dobiegały nadal. Torpeda wysyłała wysoki ton, okrętowy sonar SCM odpowiadał głębszym, bardziej gardłowym fałszywym echem. Mijały minuty. Sygnały torpedy odzywały się coraz częściej, aż połączyły się z impulsami bruchomówczego systemu „Hegiry” w jeden długi, głośny jęk, jakby dwie maszyny nawoływały się wzajemnie podczas godów. Sharef i Tawkidi spojrzeli po sobie, potem na Sihouda i Ahmeda. Generał wydawał się spokojny, pułkownik wściekły, nie potrafił się pogodzić z myślą, że amerykańska torpeda może ich trafić. Jęczące sygnały sonaru wciąż rozbrzmiewały, każdy kolejny trwał jedną niekończącą się sekundę. Wyświetlacz sonaru nad głową Tawkidiego pokazywał płaszące szerokopasmowe sygnatury dźwięku krążących torped Mark 50, wystrzelonych przez amerykański okręt klasy 688. Ich śladów jeszcze nie zauważono przy napięciu panującym w sterowni - być może dlatego, że nawet szerokopasmowe odgłosy sonarowe Mark 50 przypominały szept, ale raczej dlatego, że ludzie przy konsolach sensorowych byli całkowicie pochłonięci ucieczką przed nadpływającą torpedą Mark 52. Nagle jeden ze śladów

szerokopasmowych podskoczył, gdy któraś z amerykańskich Mark 50, znajdująca się teraz już tylko pięć kilometrów przed okrętem, wyczuła jego obecność, przestała zataczać kręgi i ruszyła na spotkanie.

Niecałe dwie długości okrętu za rufą „Hegiry” fałszywe echo przeciwsonaru SCM przekonało amerykańską torpedę Mark 52, że cel jest tuż przed nią. Odpowiedzi na wysyłane sygnały nadchodziły natychmiast, niższy ton impulsów i echa był rezultatem faktu, że okręt uciekał. Torpeda szukała swoim czujnikiem zbliżeniowym śladu metalu, ale nie znajdowała kadłuba tam, gdzie spodziewały się go impulsy jej sonaru. Zaczęła się zastanawiać nad rozwiązaniem tej zagadki. Silne echo bez śladu kadłuba? Komputer uświadomił sobie, w czym problem. Najwyraźniej nie działał czujnik zbliżeniowy, wykrywający bliskość metalu. Ale odległość kadłuba można było wydedukować z impulsów sonaru. Byłoby absurdem pozwolić celowi uciec tylko dlatego, że nie zamykał się obwód czujnika.

Torpeda, usatysfakcjonowana swoją wbudowaną logiką, eksplodowała czterysta osiemdziesiąt metrów za rufą „Hegiry”.

Zanim okręt podwodny klasy Destiny wydostał się z zachodniego wylotu Cieśniny Gibraltarskiej, siedmiu torpedom wystrzelonym wcześniej z „Phoenixa” skończyło się paliwo. Zalała je woda morska i zatoneły. Niektóre implodowały od większej głębokości na Atlantyku, parę przełamało się na skalistym dnie. Później, co kilka minut, tonęły i zużywały się kolejne torpedy. Szlak Destiny przez cieśninę prowadził przez szeroką lukę między jeszcze aktywnymi torpedami. Sześć z nich było za daleko, by wylapać emisję dźwiękowe okrętu. Destiny przepląnął w zasięgu akustycznym czterech pozostałych torped. Trzy usłyszały okręt - lub może myślały, że słyszą ścigającą go torpedę Mark 52 - ale czwarta miała problem mechaniczny i krążyła, dopóki jej też nie skończyło się paliwo.

Pierwsza z trzech Mark 50, które wykryły Destiny, była w chwili detekcji sześć mil morskich na północny zachód od okrętu. Druga i trzecia znajdowały się trochę bliżej; jedna pięć i pół mili na południe, druga niecałe pięć mil na północny wschód od niego. Torpeda na południu potwierdziła wykrycie celu, zygzakując i wyczuwając zmianę kierunku dźwięku. Przyspieszyła do prędkości bojowej pięćdziesięciu węzłów, obliczyła kąt prowadzący, by zająć pozycję tam, gdzie cel miał być za trzydzieści minut, i czas przechwycenia. Torpeda na północnym wschodzie zrobiła to samo, jej czas przechwycenia był nieco wcześniejszy. Ona również przyspieszyła, mając wykalkulowany krótszy czas do kontaktu.

Najbliższa Mark 50 miała mało czasu i dużo do zrobienia. Pospiesznie przeszła przez swoją sekwencję uzbrajającą, uczuliła detektor bliskości kadłuba, wykonała kilka korekt kursu i zanurzenia i obserwowwała zbliżający się cel.

OPSM „Hegira”

Eksplozja torpedy wystrzelonej z samolotu zatrzęsała okrętem, impet uderzył w rufę. Siła wybuchu wstrząsnęła wszystkimi przedziałami i pokładami. Załoga usłyszała huk i poczuła drżenie. Sharef stał przy stole taktycznym i czekał, aż wybuch rzuci go na szklany blat lub na sufit. Czekał na ryk wdzierającej się wody, która odbierze mu życie. Czekał na strach, na paniczne myśli i wizje, których doświadczył kiedyś na „Sahandzie”, gdy był pewien, że umrze. Ale huk eksplozji ucichł i zapadła cisza. Sharef stał nadal, od zaciskania dłoni na uchwyty stołu zbiegały mu kostki. Drżenie pokładu ustało niemal natychmiast, straciło swą gwałtowność, gdy upłynęło ćwierć sekundy od chwili wybuchu. Wnętrze okrętu pozostało suche, lekkie wibracje pokładu dowodziły, że nadal płyną z szybkością alarmową.

Przeżyli.

Sharef dokonał szybkiego przeglądu sterowni. Na konsolach Drugiego Kapitana nadal świeciły się wyświetlacze, zgasło tylko kilka ekranów. Japońscy konstruktorzy obawiali się takiego momentu, gdyż okrętem władały w pełni moduły procesorowe superkomputera Drugi Kapitan na niższym poziomie, z konsolami operacyjnymi w sterowni. Nie były wstrząsoodporne i mogły im zaszkodzić najsłabsze przyspieszenia. Okręt bardzo się różnił od starego Victora III, którym Sharef ostatnio dowodził. Niegdyś rosyjski okręt, przemianowany na „Tabarzina”, miał niemal wyłącznie twarde okablowanie. Bez komputerów nie można się było obyć, ale projektanci konstrukcji z późnych lat osiemdziesiątych wykazali całkowity brak zaufania do mikroprocesorów i sterowników. W rezultacie stary okręt podwodny był kuloodporną łajbą, na której można było polegać w czasie walki. Ale ten okręt, tak zautomatyzowany i naszpikowany elektroniką, wydawał się niezabezpieczony. Dla Sharefa, który wiedział z własnego doświadczenia, jakich zniszczeń może doznać okręt, zanim zatoni, utrata zarządzania komputerowego w pierwszych paru sekundach po otwarciu ognia przez nieprzyjaciela była nie do przyjęcia. Sharef zgłosił swoje uwagi konstruktorom i ku jego zaskoczeniu Japończycy wysłuchali go, wstrzymali na tydzień produkcję, żeby go o wszystko wypytać, a potem przeprowadzić testy wstrząsowe. Próby nie wypadły dobrze. Eksplozja niewielkiej torpedy w odległości bezpiecznej dla kadłuba niszczyła całego Drugiego Kapitana, konieczna się więc stała całkowita wymiana pamięci pęcherzykowej i kart mikroprocesorowych. Ale Japończycy szybko się z tym uporali. Zastąpili obudowy komputerów większymi, które miały grube warstwy żeluzłumiącego wstrząsy. Przeprowadzone kolejne testy przyniosły różne wyniki. Komputery Drugiego Kapitana z wypełniaczem żelowym wytrzymały łagodniejsze wstrząsy, ale przy gwałtowniejszych ulegały zniszczeniu. Konstruktorzy mieli mało czasu na poprawki. Dodali do obwodów, płyt,

kart i mikroprocesorów rezerwowe komponenty, które w każdej chwili mogły natychmiast przejąć funkcje uszkodzonych komponentów głównych. Podwójny kadłub ciśnieniowy okrętu wytrzymał trafienie dużą torpedą, ale gdyby Drugi Kapitan został zniszczony, pozbawiony zarządzania komputerowego okręt mógł się tylko wynurzyć i poddać.

Sharef obserwował konsole i czekał, aż zgasną pozostałe wyświetlacze. Nie zgasł żaden. Sharef odwrócił się za siebie, do stanowisk kierowania ogniem, i położył rękę na ramieniu porucznika At Ishaka, młodego i bystrego oficera systemów komputerowych, który rozumiał elektronikę dużo lepiej niż ludzie.

- Jakie zniszczenia?

Ishak przejechał swoim fotelem do głównej konsoli Drugiego Kapitana w tylnym lewym rogu pomieszczenia. Konsola mogła sprawdzić działanie całego systemu i w razie potrzeby zaprogramować go ponownie. Ishak nawiązał kontakt z konsolą - młody inżynier elektronik, porozumiewając się ze swoim systemem, miał taki wyraz twarzy, jak mężczyzna, który rozmawia z ukochaną. Obrócił się na fotelu rozpromieniony i już miał złożyć meldunek, że system jest sprawny, gdy przeszkodził mu Tawkidi, czuwający przy stanowiskach sensorowych.

- Komodorze, salwa torped w wodzie! Kierunek od trawersu do lewej burty do trawersu do sterburty!

Turbośmigłowiec patrolowy P-3 Orion krążący nad środkową częścią cieśniny po wystrzeleniu torpedy Mark 52 leciał za nią, kiedy ścigała okręt podwodny Destiny. Mark 52 łatwo było śledzić, jej szerokopasmowa sygnatura dźwięku była głośna i stabilna. Destiny pojawiał się i znikał. P-3 zużył trzy czwarte swojego ładunku boi dźwiękowych na tropienie okrętu ZIF i wkrótce miał go zastąpić inny samolot. P-3 nad zachodnim ujściem został powiadomiony o ataku, ale nie mógł pomóc, bo znajdował się sześćdziesiąt mil morskich dalej na zachód, gdzie krążył w poszukiwaniu „Phoenixa”. Z pozycji eksplozji torpedy Nagasaki nie docierał żaden znak obecności „Phoenixa”, nawet odgłos reaktora stygnącego na dnie morza. Zupełnie, jakby amerykański okręt zagrzebał się pod skorupę ziemską i zniknął. P-3 nad zachodnim ujściem kontynuował poszukiwania, gotów do działania, gdyby samolot na wschodzie potrzebował pomocy.

Tymczasem nadano pilną wiadomość do Głównego Dowództwa Sił Morskich na Morzu Śródziemnym o szczegółach sytuacji, wymianie torped, prawdopodobnej stracie „Phoenixa”, pościgu za uciekającym Destiny i potrzebie wzmocnienia sił przeciwpodwodnych u wejścia na Atlantyk, żeby zlikwidować cel. Wkrótce po otrzymaniu sygnału przez dowództwo, niszczyciele klasy Burke, przeszukujące zachodni basen Morza

Śródziemnego, skierowano do Gibraltaru z rozkazem wpłynięcia na Atlantyk. Z pokładu USS „Reagan”, czuwającego w pobliżu Sardynii i Korsyki, poderwało się kilka odrzutowców przeciwpodwodnych S-3 Viking. Samoloty przechyliły się w ostrym skłębie i poleciały na zachód pomóc turbośmigłowcom P-3. W bazie lotnictwa morskiego w Sigonelli po pasie startowym potoczyły się trzy kolejne P-3 i uniosły w ciemność. Wszystkie miały pełne zbiorniki paliwa i były załadowane torpedami Mark 52 oraz bojami dźwiękowymi. Ale od cieśniny dzieliło je kilka godzin lotu.

W ciągu następnych piętnastu minut torpeda Mark 52 dogoniła okręt podwodny Destiny i eksplodowała. W samolocie P-3, lecącym nad nią, wzrosły nadzieje techników sonarowych i oficera ASW. Ale kiedy pęcherze powietrza i turbulencja w końcu ustały, nie było oznak rozerwania kadłuba. Dwie boje dźwiękowe, ułokowane dalej na zachód, nadały swoje sygnały radiowe i ekran wyświetlacza na konsoli technika pokazał, że okręt podwodny Destiny nadal płynie na zachód. Zanim P-3 przyspieszył, przechylił się w skłębie i nadleciał nad pozycje nadających boi dźwiękowych, Destiny zniknął.

Technik sonarowy osunął się na swoim siedzeniu i zamknął oczy. Nagle z powrotem się wyprostował i spojrzął na oficera ASW.- Panie Quaid! Mam trzy ślady torped. Amerykańskich Mark 50. Wszystkie idą z szybkością bojową.

Quaid pochylił się nad konsolą i zmarszczył brwi.

- Skąd one się wzięły?

- Musiał je wystrzelić «Phoenix». Widocznie nie wyłapaliśmy ich, kiedy płynęły wolno w tranzycie. Albo krążyły na sonarze pasywnym.

- Może «Phoenix» jeszcze się zemści.

- Szkoda, że pośmiertnie - mruknął technik.

- Za wcześnie na taki wniosek. Co pan ma?

- Kilka sztuk. Wygląda, jakby były parę mil od siebie. Wszystkie zmiierzają do tego samego punktu.

- To dobrze. Może mamy szansę przynajmniej na jedno trafienie. Ustawmy pole boi dźwiękowych wewnątrz trójkąta torped i wiermy w to, że się powiedzie.

Sharef wiedział, jaki rozkaz musi wydać.

Komputery były wspaniałe, superkomputery jeszcze lepsze, a system Drugi Kapitan był wszystkim, czego kiedykolwiek mógł potrzebować okręt podwodny: zarządzał okrętem, łatwo i naturalnie wyczuwał morze dookoła, spajał człowieka i maszynę w jeden organizm, kojarzył ludzkie instynkty ze swoimi odruchami, aż w końcu zacierały się różnice między nimi. Ale czy zwykła skrzynka z obwodami scalonymi mogła bez nadzoru człowieka

zapewnić okrętowi bezpieczeństwo? Pytanie miało teraz jednak charakter zdecydowanie akademicki - procedura nakazywała Sharefowi przekazanie dowodzenia swojemu komputerowemu odpowiednikowi.

„Hegirę” otaczały torpedy. Zbliżały się szybko z trzech kierunków. Gdyby Sharef wybrał zły kurs ucieczki, mógłby uniknąć najdalszej torpedy za cenę spotkania z najbliższą. Po ustaleniu i nakreśleniu kierunków ataku torped zwykła mądrość ludzka dyktowała kapitanowi okrętu podwodnego sterowanie wzdłuż linii przecięcia największego kąta między kierunkami torped. Ale to byłoby samobójstwo, gdyby okręt wpadł na bliższą z torped. Odległość torped była kluczową informacją. Jednakże dokonywanie analizy odległości celu, płynięcie powolnym wężykiem nie wchodziły w rachubę na kilka sekund przed uderzeniem bliższej torpedy. Systemy sonarowe okrętu - z wyjątkiem brzuchomówczego przeciwsonaru SCM - nasłuchiwały całkowicie pasywnie. Po prostu nie istniała opcja wysyłania sygnału przez sonar aktywny, żeby ustalić odległość torpedy.

Konstruktorzy okrętu podwodnego klasy Destiny wiedzieli, że pewnego dnia jednostka spotka się z przewagą liczebną wroga. Spodziewali się, że jeśli dojdzie do walki, okręt zostanie zaatakowany kilkoma torpedami z innych okrętów podwodnych, samolotów lub okrętów nawodnych. Destiny zaprojektowano jako jednookrętową flotę wojenną, co wymagało wyposażenia okrętu w systemy komputerowe zdolne do walki z wieloma zagrożeniami z różnych kierunków.

Standardowa procedura operacyjna w wypadku zbliżania się torped z różnych kierunków była prosta. Ale Sharefowi to nie odpowiadało. Procedura nakazywała oddanie dowództwa Drugiemu Kapitanowi, który miał przeprowadzić analizę odległości celu, wykonując szybkie zygzakowanie okrętem, być może manewr w kształcie litery S. Potem, po ustaleniu odległości torped, powinien wyznaczyć najlepszy kurs ucieczki, nawet jeśli oznaczałoby to niemal czołowe zderzenie z najdalszą torpedą.

Wymagało to wiary, a tej cechy brakowało komodorowi Sharefowi. Od dnia zatopienia „Sahanda” stał się cynikiem. Nie był jednak głupcem. Cenił swój okręt, załogę i zaangażował się automatycznie w obecną misję, więc wydał rozkaz. Wymienił szybkie spojrzenie z pierwszym oficerem kapitanem al-Kunisem, który nie odzywał się przez ten cały dzień walki. Wynikało to z jego funkcji - zgodnie z regulaminem ZIF i tradycją islamską, nie mógł w niej uczestniczyć. Jako zastępca dowódcy miał obowiązek stać przy swoim przełożonym, milczeć i być gotowym do przejęcia dowodzenia w razie śmierci kapitana. Jak dotąd nie mieszał się do niczego, pełnił rolę biernego obserwatora. Ale było jasne, że

wyczuwa wątpliwości Sharefa, czy można w pełni zaufać systemowi Drugi Kapitan. Zdradzały to jego oczy.

- Oficer pokładowy, ustawić Drugiego Kapitana na tryb sterowania okrętem.

- Sterowanie okrętem, włączyć Drugiego - rozkazał Tawkidi operatorom konsoli sterowniczych. Sharef obserwował, jak uruchamiają system. Podczas szkolenia przygotowano ich do wykonania takiego rozkazu. Na wyświetlaczach już pojawiło się menu funkcji. Teraz wystarczyło jedno wciśnięcie klawisza, by okręt przeszedł pod dowództwo komputera.

Sharef złapał się uchwyty z boku stołu nawigacyjnego, gdy Drugi Kapitan przejął dowodzenie i przestawił ster. Pokład przechylił się gwałtownie na lewą burtę, kiedy komputer wprowadził okręt w szybki manewr. „Hegira” zadrzała. Z dołu dobiegł nagły hałas - zastawa stołowa wypadła z szafek i rozbijała się o pokład kuchni. Po pierwszym nagłym manewrze Drugi Kapitan znów przestawił ster i pokład przechylił się na sterburtę. Jeden z operatorów reaktora spadł z hukiem z fotela przy konsoli obsługowej i nieśmiało wczołgał się z powrotem na swoje miejsce. Wreszcie pokład wrócił do poziomu, okręt zakończył manewr w kształcie litery S. Sharef spojrział na konsolę sterowania okrętem i zobaczył, że płyną teraz na północny zachód i sana kierunku dwieście sześćdziesiąt dwa stopnie, niemal dokładnie między torpedą kierunku sto dziewięćdziesiąt cztery i drugą na trzysta trzydzieści. Tamte rybki muszą być mniej więcej w takiej samej odległości, pomyślał Sharef. To miało sens, gdyż odległość, przy której torpeda mogła ich wykryć, powinna być stała. Mapa też mówiła swoje. Łąd leżał zbyt blisko, by Drugi Kapitan mógł sterować z powrotem na wschód, co też było częścią komputerowego programu robienia uników.

Teraz, gdy dowództwo objął Drugi Kapitan, pozostało tylko czekać i monitorować system, by uniknąć rażących błędów. Drugi Kapitan powinien nadal monitorować torpedy, mógł nawet wprowadzić okręt w jeszcze jeden gwałtowny manewr, żeby przetestować odległość lub sprawdzić torpedę zbliżającą się od rufy, a więc niedostrzegalną dla głównego sonaru. Jak dotąd na wyświetlaczach sensorów nie pojawiły się impulsy sonaru żadnej z torped, ale istniała znaczna różnica między dokonywaniem uników przed trzema torpedami, a ucieczką przed jedną w pościgu zarufowym. Brzuchomówca SCM znów był ustawiony na automatykę, ale byłby bezużyteczny przy próbach oszukania trzech torped jednocześnie. A system nie poradziłby sobie z torpedą zbliżającą się pod kątem.

Sharef zdał sobie nagle sprawę, że oficerowie wpatrują się w niego, szukając na jego twarzy oznak pewności siebie lub desperacji. Chcieli zobaczyć, czy ich kapitan dostrzega jakąś nadzieję, czy przewiduje klęskę. Sharef znał psychikę swoich ludzi. Nie różnili się pod tym względem od innych załóg. Żadna załoga nie mogła funkcjonować bez nadziei. Ale jego

twarz kłamała. Bo jeśli przedtem czuł, że jeszcze nie wybiła godzina jego śmierci, to teraz podejrzewał, że właśnie nadchodzi.

20

Niedziela, 29 grudnia

Zachodni Atlantyk USS..Phoenix”

Komandor porucznik Thomas Schramford był głównym mechanikiem na „Phoeniksie” od prawie trzech lat. Przedtem służył jako wachtowy oficer mechanik na „Hartfordzie” we wszystkich sekcjach rufowych - elektrycznej, reaktorowej i mechanicznej. Potem trafił na okręt podwodny nowej konstrukcji, „Tampę”, jeszcze podczas jej budowy w stoczni DynaCorp’s Electric Boat’s Groton Yards.

Spędził tam dwa lata i obserwował przebieg produkcji od pojedynczego pierścienia ze stali HY-80 do gotowego okrętu bojowego. Poznał klasę 688 tak szczegółowo, że każdy przewód, zawór, mikroprocesor, rura i panel wryły mu się na trwale w pamięci. Na ścianie nad biurkiem oficera mechanika wachtowego wisiał wielki plan instalacji i urządzeń reaktora, od rur głównego obiegu chłodzącego rdzeń po ostatni zawór sterujący ciśnieniem w pompie kondensacyjnej. Aby zdać egzamin inżynierski, Schramford musiał umieć odtworzyć plan z głowy i nadal to potrafił. W razie potrzeby mógł uruchomić reaktor z pamięci, choć instrukcja obsługi numer 27, dotycząca zwykłego uruchamiania reaktora, miała ponad sto dwadzieścia stron, nie licząc procedur uruchamiania instalacji parowej.

Schramford był jednym z niewielu ludzi znajdujących się w przedziale rufowym, którzy uniknęli poważnych obrażeń lub nie stracili przytomności w wyniku kolizji z dnem - inni przytomni byli oszołomieni albo uwięzieni pod ciałami lub sprzętem. Schramford był przytomny, ale męciło mu się w głowie z powodu bólu w pachwinie, którą o coś uderzył. Potworny ból promieniował na podbrzusze. Schramford zaciskał powieki, zagizzał wargi i starał się nie poddawać, ale przez pewien czas ból zwyciężał, malał dopiero po sekundach, minutach czy godzinach, nadal jednak dawał o sobie znać i odbierał mu siły.

Na okręcie panowała cisza. Ryk turbin umilkł, wentylatory się wyłączyły, reaktor nie działał. Leżąc na pokładzie w kabinie manewrowej, Schramford pomyślał o rdzeniu reaktora. Okręt płynął z pełną szybkością tuż przed utratą całej elektryczności, a reaktor przeszedł z ponad stu pięćdziesięciu procent mocy do zera. Ale reaktoiy jądrowe nigdy tak po prostu nie przestają pracować. Radioaktywność rdzenia ufrzymuje się po zatrzymaniu większości

reakcji. Rdzeń oddaje ogromne ciepło do obiegu chłodzenia. W tym wypadku ilość ciepła równała się pracy rdzenia przy piętnastu procentach mocy bez chłodzenia. Takie ciepło wkrótce powinno stopić rdzeń. Być może wydostanie się przez dno zbiornika ciśnieniowego, a potem przeżre kadłub.

Konstruktorzy okrętu przewidzieli na takie sytuacje awaryjny system chłodzenia, nazywany w skrócie XC. Genialnie pomyślany zestaw składał się z rur, zaworów i zbiornika wody morskiej. Przy chłodzeniu rdzenia wykorzystywał zjawisko polegające na tym, że ciepła woda unosi się, a zimna opada - naturalną cyrkulację. Żadnych części ruchomych. Gdyby to działało, Schramford pozbyłby się obaw. Ale przy swojej konfiguracji układ musiał być zamknięty w czasie operacji na morzu. Zaprojektowano go tak, by zapobiec jego nieumyślnemu otwarciu podczas pobierania przez okręt mocy, gdyż niezamierzony wtrysk zimnej wody do reaktora w stanie krytycznym mógł uszkodzić rdzeń. Teraz jednak, bez przepływu i bez XC, zbiornik ciśnieniowy reaktora ulegnie zniszczeniu, pomyślał Schramford. Jego temperatura rośnie i chłodziwo na pewno już wrze. Kiedy woda zostanie odprowadzona z rdzenia i zastąpi ją para, elementy paliwowe stopią się i to będzie koniec okrętu. W oszołomionym i zaćmionym bólem umyśle Schramforda pojawiły się trzy słowa - Three Mile Island.

Schramford podniósł się powoli i zaczął szukać w ciemnym pomieszczeniu jakiejś awaryjnej maski tlenowej. W końcu znalazł jedną szafkę sufitowej. Włożył pleksiglasową maskę z pewnym trudem, wcisnąwszy do niej pucułowatą twarz. Sięgnął do góry, wetknął wąż do końcówki instalacji powietrznej, przypiął do pasa regulator i zaczął oddychać. Niemal natychmiast rozjaśniło mu się w głowie i od razu pomyślał, że to zły znak. Atmosfera była skażona. Po uderzeniu w dno system oczyszczania przestał działać. Mogło być gorzej... Z akumulatora mogły się wydostać toksyczne opary chloru, mogło wyciec paliwo raketowe. Gdyby nastąpił zapłon silnika raketowego pocisku samosterującego Javelin, okręt wypełniłby się cyjankiem wodoru, a wtedy Schramford i cała załoga już by nie żyli.

Będąc głównym mechanikiem, Schramford miał obowiązek działać w tej niewesołej sytuacji. Gdzieś w jego głowie jakiś głos powtarzał regułę kodeksu postępowania alarmowego, którego uczył młodszych oficerów i podoficerów od swojego pierwszego dnia na pokładzie: „Ratować okręt, ratować reaktor, potem ratować ludzi...” Otaczali go mężczyźni usiłujący oddychać zanieczyszczonym powietrzem, ale wiedział, że przede wszystkim powinien wypełnić swoje obowiązki wobec okrętu. Zdjął z przegrody latarnię bojową, odłączył wąż maski i pobiegł w kierunku dziobu do drabinki. Zszedł poziom niżej, trzymając latarnię w jednej ręce i starając się nie zaplątać w wąż maski. Był wielkim facetem

i nawet gdyby nie schodził po stopniach, wstrzymując oddech, ledwo starczyłoby mu powietrza w płucach. Wetknął wąż do końcówki na środkowym poziomie i sapał przez kilka sekund. Potem wyciągnął wąż i pobiegł w kierunku lewego wjazdu do tunelu przedziału reaktorowego. Odryglował ciężkie drzwi i natychmiast po wejściu znów podłączył wąż.

W tunelu znajdowało się stanowisko obsługi zaworów systemu głównego i kilku zaworów XC. Schramford otworzył skrzynkę narzędziową, wyjął wielki klucz i ściągnął osłonę przeciwprzeciekową XC-9. Potem założył specjalny klucz zapadkowy na trzonek zaworu i pociągnął z całej siły. Zawór obrócił się. Schramford kręcił kluczem, dopóki całkowicie nie otworzył zaworu. Ciśnienie nad innym zaworem, położonym w radioaktywnym przedziale reaktorowym, spadło. Po otwarciu tego zaworu gorąca woda mogła wypłynąć w górę do wymiennika wody morskiej, a zimna spłynąć w dół. Schramford znalazł zawory wpustowe wody morskiej do zbiornika, otworzył wszystkie cztery i osunął się po przegrodzie, żeby odpocząć. Przez tę grubą, wzmocnioną przegrodę usłyszał gwałtowny hałas przepływu w rurach XC, potem wrzenie wody morskiej w zbiorniku wymiennika ciepła, gdy rdzeń zaczął oddawać ciepło. Po zapewnieniu rdzeniowi ochrony Schramford mógł teraz wyposażyć załogę w maski tlenowe, a potem poszukać kapitana w części dziobowej. Kiedy ludzie będą w maskach, uruchomi reaktor. Miał nadzieję, że wtedy kapitan zdoła zabrać ich stąd w cholerę.

Portsmouth w Wirginii

Stocznia Marynarki Wojennej w Norfolk

Suchy dok numer 4

Słońce schowało się za szeregiem budynków warsztatowych i magazynów stojących wzdłuż doku. Od pół godziny suchy dok oświetlały reflektory, które stały się widoczne dopiero teraz, gdy światło dnia przygasło. Kapitan Michael Pacino stał na krawędzi doku, opierał się o zardzewiałą poręcz i patrzył w dół na swój okręt. Z doku usunięto wreszcie sprzęt, pozostało tylko kilka wind osobowych. „Seawolf wyglądał już prawie jak nienaruszony i przypominał niezgrabnego wieloryba w ogromnej wannie bez wody. Na sterburcie błyskały niebieskie łuki spawarek, ich blask odbijał się w pionowej ścianie doku. Sześciu ludzi łątało dziurę w kadłubie, pozostałą po zainstalowaniu pocisków Vortex. Nakładanie zakrzywionego kawałka stalowego poszycia na szerokie wycięcie trwało dopiero od godziny. Stał kadłubowa HY-100 miała prawie pięć centymetrów grubości. Choć jest sześciu spawaczy, robota potrwa do jutrzejszego, poniedziałkowego świtu, pomyślał Pacino.

Potem jeszcze kilka godzin zajmie prześwietlenie rentgenowskie i ocena zdjęć. Zapewne wyjdą na jaw jakieś niedoróbki i konieczne będą poprawki. Naprawa potrwa do poniedziałkowego popołudnia. Ponowna kontrola rentgenowska przeciągnie się do wieczora i dopiero wtedy ludzie wyjdą z doku. I wtedy wreszcie będzie można pomalować okręt.

„Seawolf wyglądał niemal głupio. Pokryty jasnozielonym nieorganicznym podkładem cynkowym, przypominał łódź podwodną z filmu rysunkowego. Załoga zawsze śpiewała *We all live in a green submarine*, dopóki stoczniovcy nie władowali do doku swojego sprzętu malarskiego i nie położyli drugiej, a potem ostatniej warstwy farby. Okręt lśnił potem groźną czernią na górze, dno miało matową, czerwoną barwę powłoki ochronnej przeciwko skorupiakom. Linia między dwoma kolorami była idealnie równa, jakby zrobił ją najlepszy lakiernik samochodowy w mieście. Bez farby okręt tak by zardzewiał, że zaczęłyby się zawieszać zawory wody morskiej i wrota wyrzutni torpedowych, a słona woda morska zaczęłaby dosłownie zżerać kadłub. Roboty malarskie zajmą cały następny dzień, pomyślał Pacino. Wyjście „Seawolfa” w morze opóźni się do środy rano.

Było po prostu za mało czasu. Pacino musiał wypłynąć na morze wcześniej. Odczepił od pasa walkie-talkie i wywołał okręt. Oficer dyżurny zgłosił się niemal natychmiast. Pacino rozkazał mu wezwać do doku komendanta stoczni. Może jeszcze jest szansa, pomyślał.

Spawanie trwało, niebieskie błyski tworzyły w oczach Pacina płasające punkty. Słońce zdążyło zniknąć, zanim przyjechał służbowy pikap i wysiadł z niego Emmitt Stevens. Jego wychudła twarz miała zawzięty wyraz.

- Kapitanie - zaczął. - Szef robót mówi, że jutro o tej porze będziemy malować. W środę powinniśmy zalać dok.

- Nie.

- Posłuchaj, Patch. Wiem, że chciałbyś już wypłynąć, ale...

- Emmitt, spawanie potrwa do świtu. Gdy tylko ostatni szew będzie na swoim miejscu, masz otworzyć zawoisy w doku. „Seawolf musi wyjść w morze o wschodzie słońca.

- Tak nie można! A co z rentgenem i poprawkami?

- Jak dobrzy są ci spawacze?

- Daj spokój, Patch. To HY-100. Nie spawa się tak, jak zwykła stal. Nawet najlepsi spawacze na wybrzeżu mieliby dwa tuziny niedoróbek. Przy dużym szczęściu. Naprawy zajmą pół dnia, powtórne testy drugie pół, malowanie prawie całą środę...

- Opuścimy sobie rentgen i naprawy. Nie będzie żadnego malowania. Wyjdziemy w morze na zielono.

- Mike, wysłuchaj mnie. Popelniasz wielki błąd. Bez testów nie mogę zagwarantować jakości spawów. Przy pierwszym zanurzeniu na głębokość testową możesz mieć przeciek. Całkiem duży. I więcej się nie zobaczymy. Ale to nie wszystko. Spawy mogą wytrzymać dziesięć pierwszych zanurzeń na głębokość testową, a przy jedenastym puszczą. Albo mogą się sprawdzić w ciepłej wodzie, ale po zejściu do niższych temperatur w słabszych miejscach powstaną pęknięcia. To może nastąpić bez żadnego ostrzeżenia, bez szansy na wynurzenie alarmowe. Ryzykujesz swoje życie i życie załogi.

Oczy Pacina wpatrzone były w jakiś punkt położony daleko od stoczni.

- Zabezpiecz spawy i zaley dok. Moja załoga będzie gotowa o 5.00. Stevens westchnął.

- Masz to załatwione, Patch. Ale, Jezu... Powodzenia. Pacino nie odpowiedział.

Wschodni Atlantyk OPSM „Hegira”

Komodor Sharef nie musiał patrzeć na wyświetlacze, i bez nich wiedział, że „Hegira” zostanie za chwilę trafiona torpedą. Torpeda na zachodzie przed nimi była już za blisko. Jej szybkość przechwytyjąca, w połączeniu z prędkością początkową zbliżającego się okrętu, musiała doprowadzić do spotkania. Komputer wstępnie wyliczył czas uderzenia - cztery i pół minuty po pierwszej detekcji. Aktualizacja danych trwała.

Sharef odwrócił się od wyświetlaczy i podszedł do przedniej przegrody pomieszczenia, gdzie stali Rakish Ahmed i Sihoud. Ahmed pożyczył od kogoś z załogi kombinezon. Sihoud znów miał na sobie jedwabny *shesh*, w którym wyłowili go z morza; rozdarcie było już zaszyte. Sharef zastanawiał się leniwie, kto to zrobił. Nie potrafił sobie wyobrazić, żeby kalif sam bawił się w szwaczkę. Przy pasie Sihouda lśnił sztylet. Mimo imponującego wzrostu i świetnej prezencji generała, Sharef czuł, że ten człowiek to zagadka. Instynkt mówił mu, że Sihoud jest wystraszony. Nie uważał, że ten strach przynosi generałowi ujmę, bo w takiej chwili wydawał się zupełnie naturalny. Gdyby Sharef sam omal nie zginął na „Sahandzie”, może jego własne uczucia byłyby teraz inne. Ale wtedy widział ofiary nieprzyjacielskich pocisków i na myśl, że to samo może spotkać tych ludzi, czuł determinację, która eliminowała lęk.- Generale. Pułkowniku. Za niecałą minutę trafi nas pierwsza torpeda. Zrobiliśmy wszystko, żeby tego uniknąć, ale ponieważ trzy pociski zbliżają się ku nam z trzech różnych kierunków, nie uda się nam uciec. Proszę się przygotować na wstrząs.

- Nic pan już nie może zrobić, komodorze? - zapytał Sihoud.

- Jest jedno wyjście. Wynurzyć się i liczyć na to, że torpedy mają zaprogramowany taki pułap, żeby nie zagrozić statkom handlowym na powierzchni morza. Ale to zmniejszy naszą szybkość i torpedy łatwo nas dogonią. Nasze Nagasaki są tak skonstruowane, że łatwiej

znajdują wynurzający się okręt podwodny dzięki pęcherzom powietrza uchodzącym z opróżnianych zbiorników balastowych. Nie warto ryzykować, generale. Będziemy mieć większe szanse, jeśli zaczekamy, aż atakującym torpedom zabraknie paliwa. To lepsze niż unik przez wynurzenie. Innego wyjścia nie mamy, możemy tylko uciekać.

- Powiedział pan, niecała minuta? - odezwał się Ahmed. - Ile jeszcze czasu nam zostało?

- Dwadzieścia sekund - odrzekł Tawkidi.

System SCM zaczął wysyłać fałszywe sygnały, zanim przez kadłub dotarły impulsy zbliżających się sonarów. Sharef podszedł do głównej konsoli porucznika Ishaka i przyklęknął na jedno kolano. Gdzieś w mózgu słyszał tykanie upływających sekund, ale starał się mówić spokojnym tonem:

- Poruczniku, wprowadził pan do Drugiego Kapitana naszą planowaną trasę na północny Atlantyk?

Plan nawigacyjny okrętu, opracowany z oficerami po zapoznaniu się ze szczegółami misji, przewidywał daleką trasę okrężną kierunku kręgu wokół Waszyngtonu, po którego przekroczeniu amerykańska stolica znalazłaby się w zasięgu rażenia. Plan zakładał przecięcie tego kręgu o obwodzie dwóch tysięcy dziewięciuset kilometrów przekątną na północny wschód. Dłuższa droga dawała im więcej czasu na złożenie głowic bojowych Scorpion i zainstalowanie ich w pociskach Hiroshima. Poza tym taką trasą kierowaliby się bardziej ku Grenlandii niż wschodnim wybrzeżom Ameryki, co miałoby istotne znaczenie, gdyby byli tropieni lub sporadycznie wykrywani podczas rejsu. Jeśli popłynęliby prostą drogą w kierunku Waszyngtonu, to gdyby zostali wykryci, zaalarmowana Koalicja Zachodnia starałaby się ich wtedy zatopić za wszelką cenę. Sharef był przekonany, że Zachód nie zna jeszcze sytuacji i na razie używa półśrodków, by odnaleźć Sihouda. Gdyby Amerykanie wiedzieli, że okręt przewozi broń masowej zagłady, która zostanie wymierzona w ich stolicę, wszystkie połączone siły morskie Zachodu ścigałyby go jak psa.

- Komodorze, daleka trasa okrężna w kierunku Grenlandii została wprowadzona do Drugiego Kapitana po odprawie, ale to nam nic nie da, jeśli nie złożymy pocisków.

Sharef skinął głową. Drugi Kapitan poradziłby sobie doskonale z doprowadzeniem okrętu tam, gdzie cel będzie w zasięgu pocisków, i z wystrzeleniem ich bez udziału załogi, pod warunkiem że system zostanie właściwie zaprogramowany. Ale bez całkowicie złożonych i gotowych do wystrzelenia pocisków Drugi Kapitan doprowadzwszy ich do miejsca przeznaczenia, stałby się potem bezużyteczny. Jak najszybsze złożenie pocisków stanowiło sprawę o kluczowym znaczeniu. Po ich przygotowaniu misja byłaby właściwie

wypełniona, gdyż od tego momentu załoga przestawała być potrzebna. Wykonanie zadania wymagało tylko sprawnego okrętu i Drugiego Kapitana...

W tym momencie dogoniła ich amerykańska torpeda.

Torpeda Mark 50 znalazła kadłub ciśnieniowy celu, mimo dziwnych sygnałów sonarowych pochodzących z jego rufy. Impulsy przypominały echo, ale powracające na niewłaściwej częstotliwości. Torpeda od początku zbliżała się do celu pod kątem i zgodnie z przewidywaniami jej komputera pokładowego okręt podwodny znalazł się w punkcie przechwycenia dokładnie o czasie. Czujniki obecności metalu na bokach Mark 50 odezwały się w pobliżu celu i torpeda w końcu wpłynęła pod gigantyczny kadłub o wielkiej średnicy i płaskim dnie. Jej ładunek wybuchowy automatycznie ustawił się tak, by maksymalna siła eksplozji skierowała się w stronę kila. Po upływie paru milisekund od momentu wykrycia kadłuba materiał wybuchowy eksplodował. Torpeda przeszła metamorfozę, z obiektu stałego zmieniła się w ognistą kulę czystej energii.

Erupcja kuli ognia skierowana do góry przedziurawiła stal zewnętrznego kadłuba celu. Fala ciśnieniowa poszła dalej i rozerwała zewnętrzną pierścieniową ramę wzmacniającą oraz przyspawane do niej stalowe płyty. Podmuch wdarł się do kadłuba wewnętrznego i zniszczył środek przedziału, gdzie ciśnienie zbliżyło się do granic wytrzymałości konstrukcji. Siła wybuchu groziła wyrwaniem dziury po drugiej stronie cylindra lub oderwaniem przedziału od sąsiedniego. Ale fala ciśnieniowa opadła tak szybko, jak powstała. Energia, która rozpruła dwa kadłuby i rozniosła wewnątrz przedziału, wyczerpała się i osłabła. Ciśnienie w przedziale spadło, gazowe produkty uboczne eksplozji uszły pięciometrową dziurą w kadłubie wewnętrznym. Zastąpiła je zimna woda morska, która zalała pomieszczenie. Pozostał tylko mały pęcherz gazu uwięziony w górnym cylindrze przedziału. Trzydzieści sekund po wybuchu dzieło zniszczenia było zakończone. W kadłubie zewnętrznym okrętu podwodnego powstała dziura o szerokości dwudziestu metrów. Przechodziła w koliste rozdarcie niemal na całym obwodzie okrętu. Kadłub wewnętrzny przedziału znajdującego się najbliżej rufy był rozpruty, sprzęt w środku - generator dieslowski i akumulator - porozrywany na kawałki. Rufowa antena sonarowa, dopasowana kształtem do kadłuba zewnętrznego, zniknęła. Wewnętrzne przewody wysokiego napięcia, prowadzące do elektrycznego silnika napędowego na prąd zmienny, zostały poważnie uszkodzone. Elektronika i antena brzuchomówczego oszusta sonarowego SCM przestały istnieć. Ale inne przedziały w kadłubie wewnętrznym nie ucierpiały. Stery w kształcie litery X pozostały nietknięte i nadal działały. Poza wyrwą w kadłubie wewnętrznym okręt był nienaruszony. Od wstrząsu stracił napęd i bez akumulatora prądu stałego nie miał elektryczności, ale systemy komputerowe

Drugiego Kapitana przetrwały. Ich obwody były całe i wewnętrzne systemy zasilania nadal dostarczały prąd do elektronicznego mózgu okrętu.

Lecz ludzie znajdujący się wewnątrz „Hegiry” nie poruszali się. Połowa już nie oddychała. Lampy w sterowni zgasły, paliły się tylko jasne żarówki oświetlenia awaryjnego. Po pokładzie płynęła krew, która zaczęła przybierać brązową barwę, gdy minuty stały się godziną. Pomieszczenie nie przysłużyło się dobrze swoim użytkownikom. Były tu głównie obrotowe fotele na kółkach; tylko oficerowie sterujący okrętem mieli siedzenia przymocowane do pokładu. Inni członkowie załogi w momencie wybuchu torpedy stali lub siedzieli w ruchomych fotelach. Ciało fruwały po sterowni niczym kulki potrząsane w słoiku. Pomieszczenie, poza ciemnymi ekranami Drugiego Kapitana, było nietknięte. Co innego ludzie. Zanim nastąpił wybuch, zebrało się tutaj przeszło dwudziestu mężczyzn. W dużej sterowni zwykle nie brakowało wolnej przestrzeni, ale tym razem stłoczyli się tu wszyscy oficerowie. Teraz w pomieszczeniu piętrzyły się stosy ciał porzucanych przez eksplozję. Czterej ludzie zginęli niemal natychmiast, inni w ciągu dziesięciu minut, uduszeni pod ciałami kolegów lub z powodu krwotoku płucnego. Nieprzytomni i martwi leżeli na podłodze. Na całym okręcie nie tliła się nawet isierka świadomości, jeśli nie liczyć procesorów Drugiego Kapitana w modułach przetwarzająco-sterujących na niższym poziomie.

Po dwóch minutach daremnego oczekiwania na ludzkie rozkazy główny moduł Drugiego Kapitana przejął inicjatywę. Tak został zaprogramowany. Najpierw zasilił moduły peryferyjne, które nie działały, pozbawione prądu zmiennego. Reszta jego systemów czerpała energię z silnika-generatora napędzanego z sieci elektrycznej reaktora, który teraz nie pracował. Po zakończeniu działań Drugiego Kapitana funkcjonowała niemal jedna trzecia jego systemu, łącznie z modułami sterowania okrętem, oczyszczania powietrza i obsługi reaktora.

Drugi Kapitan sprawdził stan instalacji reaktora i rozpoczął rozruch. Kiedy pręty regulacyjne wysuwały się powoli z rdzenia, nad miejscem detonacji torpedy krążył amerykański samolot patrolowy AS W. „Hegira” nie słyszała go, procesory sterowania sensorami nadal drzemały. Od strony rufy wciąż zbliżały się dwie pozostałe ścigające ją torpedy.

Sześćdziesiąt mil morskich na zachód od pozycji „Hegiry”, na dnie morza leżał nieruchomo „Phoenix”. Jego systemy nie działały, kilku ludzi wewnątrz okrętu walczyło o przeżycie. Po uruchomieniu awaryjnego chłodzenia rdzenia reaktora Tom Schramford chciał tylko na moment zamknąć bolące oczy. Gdyby wiedział, że doznał poważnego wstrząsu,

działałby dalej. Jego minutowy odpoczynek trwał już dwadzieścia minut i nic nie wskazywało, że wkrótce się skończy.

Wyżej w części dziobowej komandor CB McDonne otworzył prawe oko. Świat wokół niego wirował. McDonne nie wiedział, gdzie jest ani nawet kim jest. Kilka minut później poczuł własny język, który bolał jak cholera i przywierał mocno do podniebienia. Gdy CB spróbował nim poruszyć, ból przeszył mu mózg i po dłuższej chwili pozwolił otrząsnąć się z letargu. McDonne'owi wróciła przynajmniej świadomość, że jest zastępcą kapitana okrętu podwodnego znajdującego się w poważnych tarapatach. Spróbował otworzyć drugie oko i zobaczył tylko niewyraźne kłębowisko rąk i nóg, słabo oświetlone latarnią bojową, która zapaliła się samoczynnie po utracie zasilania przez okręt. McDonne spróbował zaczerpnąć powietrza i znów poczuł przeszywający ból, tym razem w klatce piersiowej. Wziął następny oddech i odepchnął stos ciał. W tym momencie ledwo zauważył, że niektóre są ciepłe, inne śliskie od krwi, jeszcze inne zimne i sztywne. Zebrał się w sobie i wstał. Pochylił się nad leżącymi i zaczął odciągać jednych od drugich. Uważał, żeby nie ruszać złamanych kończyn i mężczyzn, którzy wyglądali, jakby mieli skręcone karki lub uszkodzone kręgosłupy. Chłopak na stanowisku sternika dostał kabłąkiem w czoło. Oficer zanurzenia, siedzący zwykle za i pomiędzy sternikiem i operatorem rufowych sterów głębokości, leżał z przodu na pokładzie. Szef wachty, usadowiony zazwyczaj przy panelu obsługi balastu po lewej stronie, uderzył twarzą w panel i miał głowę odwróconą niemal o sto osiemdziesiąt stopni.

Houser leżał w stosie ciał, spod którego wydobył się McDonne. Leżeli w nim również trzej oficerowie obsługujący konsole centrum ataku. Wszyscy jeszcze oddychali. Kapitan Kane był tam także, wyglądało na to, że jest tylko posiniaczony. Na jego opuchniętej twarzy zakrzepła krew z rozciętego czoła. Wyglądało na to, że ma złamany nos. McDonne odciągnął na bok oficera uzbrojenia, Follicusa. Oficer żył, ale był śmiertelnie blady. Wszystkie ciała leżały w przedniej części pomieszczenia. McDonne porozdzielał je, wyprostował się i omal nie zemdlął. Najpierw uznał, że pewnie z wysiłku, ale potem przyszło mu na myśl powietrze wewnątrz okrętu. Miało ostry, kwaśny smak. Nie tylko pachniało krwią - musiało być zanieczyszczone. Bez zasilania mogło wkrótce ulec całkowitemu skażeniu. Dwutlenek węgla osiągnął już niemal poziom toksyczności. Chlor może też, jeśli woda morska zalała przedział akumulatorowy. McDonne ruszył w kierunku rufy do szafki z wyposażeniem awaryjnym. Wyjął tuzin masek tlenowych, jedną włożył sam, pozostałe zaczął przypinać żyjącym kolegom. Gdy tylko odetchnął czystym powietrzem, ból głowy minął, wstąpiła weń energia, pojawiły się nowe myśli, wszystkie złe. O stopieniu elementów paliwowych reaktora; bez awaryjnego systemu chłodzenia rdzeń mógł się już usmażyć na radioaktywną frytkę. O

własnej śmierci: może już umiera od zabójczej dawki promieniowania, tylko jeszcze tego nie czuje. O okręcie: może zalewa go woda lub nie będzie mógł podnieść się z dna, jeśli układ napędowy jest uszkodzony - po takim silnym uderzeniu w dno, jakim cudem systemy mogły pozostać nienaruszone?

A jeśli okręt okaże się sparaliżowany, pozostanie tylko ewakuacja - rzecz nie do pomyślenia. McDonne zapragnął nagle dowiedzieć się, na jakiej są głębokości. Poszukał na panelu sterowania okrętem staromodnego, rurkowego ciśnieniomierza Bourdona, wyskalowanego w stopach słupa wody. Odczytał tysiąc trzysta pięćdziesiąt pięć stóp, to było pięćdziesiąt pięć więcej, niż wynosiła głębokość krytyczna. Okręt przekroczył granicę wytrzymałości kadłuba, uderzył w skaliste dno i nadal stanowił jedną całość. Konstruktorom należały się słowa uznania i wdzięczności. Najwyższej istocie pewnie też, ale McDonne nie był człowiekiem wierzącym. Pomyślał, że do końca dnia może nim będzie, jeśli czeka go ewakuacja z głębokości ponad czterystu metrów.

Cała koncepcja ewakuacji z okrętu podwodnego została ponownie przemyślana po otwarciu przez rosyjską marynarkę wojenną jej archiwów i ujawnieniu szczegółów dotyczących katastrof tego typu jednostek. Jeden z wypadków utkwiał McDonne'owi szczególnie w pamięci - zatonięcie „Kaliningradu” pod polarną pokrywą lodową. Okręt przełamał się na pół, kilku ludzi wydostało się na powierzchnię w kapsule ratunkowej. Przyczyna zatonięcia nadal była utajniona, co nie zmieniało faktu, że kilku rosyjskim oficerom udało się ewakuować i przeżyć mimo zimna arktycznego sztormu. Innym wypadkiem, który przypominał się McDonne'owi, było zatonięcie „Komsomblca”. Garstka ludzi wypłynęła w kapsule ratunkowej z głębokości większej niż testowa, ale później wszyscy umarli z powodu komplikacji zdrowotnych. Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych wszczęła dochodzenie w sprawie ewakuacji z okrętów podwodnych, żeby ustalić, czy brak kapsuł ratunkowych na amerykańskich okrętach nie był przeoczeniem. McDonne prowadził część badań podczas swojej tury lądowej w Dowództwie Systemów Morskich w Crystal City. Końcowy wniosek raportu brzmiał: „Zatonięcia okrętów podwodnych sprowadzają się generalnie do zanurzenia poniżej głębokości krytycznej i w następstwie do całkowitego zniszczenia kadłuba przy stu procentach ofiar śmiertelnych wśród załogi. Toteż instalowanie pojazdów ratunkowych nie jest uzasadnioną inwestycją zwiększającą bezpieczeństwo”. Mówiąc normalnym językiem: po co instalować kapsuły ratunkowe, skoro po zatonięciu okrętu załoga zginie na skutek implozji kadłuba?

Ale był też rezultat pozytywny. Przekonstruowano hermetyczne komory ewakuacyjne, co pozwalało załogom opuszczać okręt na głębokości nieco mniejszej niż krytyczna, a

niekoniecznie na głębokości stu dwudziestu metrów. Montaż nowych komór ewakuacyjnych wykonywano w gorącym okresie wymiany reaktorów. Prace w stocznicach ciągnęły się miesiącami, ale teraz komory ewakuacyjne funkcjonowały przy zanurzeniu do czterystu metrów. Jednak przeżycie swobodnego wznoszenia się ku powierzchni z głębokości czterystu metrów było mało prawdopodobne. Skurcze, zimno, czas podróży - wszystko to mogło okazać się zabójcze dla człowieka. I kto zresztą chciałby opuszczać okręt na głębokości czterystu metrów, będąc oddzielnym od morza tylko budką Steinkego? To byłoby gorsze niż samobójstwo, to byłoby szaleństwo.

McDonne starał się zapomnieć o tym pomysśle, gdy zakładał maski tlenowe ludziom w sterowni. Poklepał kilku po policzkach i spostrzegł, że odzyskują przytomność. Kapitan Kane otworzył oczy, zamrugał i strząsnął krew z powiek. Kiedy tylko McDonne uporał się z maskami, odłączył swój wąż i dostał się przez środkowy poziom do części rufowej. Zastanawiał się, jaki jest status reaktora. Wciąż dręczyła go myśl, że okręt stanie się ich grobowcem, jeśli nie uda im się oderwać od dna.

Nad wschodnim Atlantykiem późny niedzielny wieczór stał się wczesnym poniedziałkowym porankiem, gdy krążącym samolotom patrolowym P-3 skończyło się paliwo i odleciały ze swoich pozycji do baz. Jeden został, kiedy wykrył odgłos eksplozji torpedy Mark 50; potem słyszał tylko dwie inne torpedy w pościgu. Ale były tak zagubione, jak ów samotny P-3. Nie znalazły celu, szukały go, dopóki nie zabrakło im paliwa, potem zatoneły. Po następnych trzydziestu minutach poszukiwań, nie wykrywszy żadnych śladów rozerwania kadłuba na pustym oceanie, P-3 miał już tak mało paliwa, że musiał skierować się do Roty w Hiszpanii. Po godzinie przyleciały nowe P-3, ale do tego czasu morze uspokoiło się, zapadła cisza i słychać było tylko samotne głosy kilku przepływających wielorybów oraz ławicy krewetek.

Do Głównego Dowództwa Sił Morskich na Morzu Śródziemnym wysłano kilka wiadomości. Dowództwo najpierw rozkazało samolotom kontynuowanie poszukiwań, ale eskadra maszyn P-3 nie mogła utrzymywać się w powietrzu bez końca. Problemy z obsługą i zmęczenie załóg sprawiały, że samolotów stale ubywało. W poniedziałek o wschodzie słońca rejon patrolowały już tylko niszczyciele AS W klasy Burkę. Nie słyszały zupełnie nic.

Pojazd ratowniczy głębokiego zanurzenia DSRV „Avalon” z dodatkowym sprzętem i załogą, który przyleciał samolotem do Neapolu, żeby przeszukać miejsce zatonięcia „Augusty”, został odwołany tuż po rozpoczęciu operacji zanurzania. Otrzymał rozkaz zejścia do kadłuba „Phoenixa”.

Przy założeniu, że da się go odnaleźć.

*Poniedziałek, 30 grudnia**Wschodni Atlantyk*

David Kane otworzył opuchnięte oczy i próbował coś zobaczyć. Światło było za słabe. Ból głowy nasilił się, uciskała go w dodatku taśma maski tlenowej. Podniesienie się na kolana zajęło mu jakieś pięć minut, znalezienie miejsca, gdzie mógłby odpocząć, kilka następnych. Kiedy usiadł na stanowisku pierwszym przy konsoli ataku, w mrocznym pomieszczeniu nikt się nie ruszał. Kane w końcu postanowił zdjąć maskę i walczył z gumowymi paskami kilka minut, zanim mu się udało. Po pierwszym oddechu runął z powrotem na pokład. Wysoki poziom dwutlenku węgla odczuł jak wbicie gwoździa w czaszkę. Ponownie wciągnął maskę. Nie pamiętał zupełnie, co się stało.

Dwanaście metrów z tyłu za Kane'em i pięć metrów poniżej, jego zastępca McDonne pochylał się nad leżącym Tomem Schramfordem. McDonne uderzył dłonią kilkakrotnie w pleksiglasową maskę inżyniera. Główny mechanik żył, ale nie zareagował. McDonne pobiegł do przedziału rufowego, żeby sprawdzić uszkodzenia instalacji reaktora. Ona musi działać, pomyślał, bo inaczej możemy tylko próbować się wynurzyć za pomocą awaryjnego systemu opróżniania zbiorników balastowych przy nieczynnym napędzie. A jeśli to się nie uda... pozostaje czekanie, aż nadejdzie pomoc. Alternatywą była ewakuacja, ale McDonne nawet nie brał jej pod uwagę.

Dostał się do przedziału przez duży włącz i poczuł duszne, wilgotne ciepło wyłączanej instalacji parowej. Stygła, oddając to ciepło powietrzu wypełniającemu przedział. Wszedł do kabiny manewrowej i zrobiło mu się niedobrze na widok krwi na panelach. Załoga na rufie odczuła uderzenie w dno tak mocno, jak ludzie w sterowni. McDonne odciągnął od panela zimne ciało elektryka i ubrudził sobie ręce krzepnącą krwią. Wytrzeł je o kombinezon i spojrzał na panel w słabym świetle latami bojowej. Obrócił pokrętło selektora znajdującego się obok woltomierza prądu stałego, wybrał akumulator i wstrzymał oddech. Gdyby akumulator okazał się w porządku, podróż ku powierzchni byłaby mniej straszna. Wskazówka doszła do dwustu osiemdziesięciu woltów. McDonne wypuścił powietrze z płuc, sięgnął w dół do konsoli i przesunął dźwignię włącznika, żeby zamknąć przerywacz akumulatora i zasilić sieć prądu stałego.

Natychmiast rozbłysły lampy sufitowe i koszmarny grobowiec, jakim był zatopiony okręt podwodny, zalało światło. McDonne nie poprzestał na tym. Zamknął przerywacze bezpieczników prądu stałego, potem przerywacze silników-generatorów na pokładzie poniżej. Maszyny miały wielkość jego samochodu osobowego. Każda przetwarzała prąd stały z akumulatora w prąd zmienny, żeby zapewnić okrętowi zasilanie awaryjne, kiedy nie działał reaktor. Silniki-generatory nabrały obrotów i gdy napięcie wyjściowe i częstotliwość ustabilizowały się, McDonne zamknął włączniki przerywaczy wyjściowych i zasilił sieć prądu zmiennego. Żadnego pożaru, żadnej eksplozji, żadnego trzasku iskier czy łuku elektrycznego. Akumulator został podładowany przed dotarciem okrętu w rejon poszukiwań *Destiny*, więc miał mnóstwo energii rozładowanej. Oby tylko napęd nie był uszkodzony.

McDonne poszedł w kierunku dziobu do skrzynek sterowniczych reaktora. Schylił się do przerywaczy awaryjnego wyłączenia, zaboląły go mięśnie brzucha. Nie udało się. Usiadł na pokładzie, przesunął do góry wielkie dźwignie zamykające przerywacze i zasilił mechanizmy sterownicze prętów regulacyjnych. Ze skrzynek inwertorowych dobiegł szum. Nadal żadnej kuli ognia ani zwarcia. McDonne wstał i pomaszerował z powrotem do kabiny manewrowej. Sięgnął do panela obsługi reaktora, obrócił pokrętła włączników i przygotował system do rozruchu. Potem przesunął dźwignię sterownika napędu prętów, główny element poziomej części konsoli. Pręty zostały wkrótce ponownie połączone z ich silnikami. Nadszedł czas, by uruchomić potwora. McDonne obrócił uchwyt pistoletowy sterownika do pozycji wysunięcia prętów i czekał. Musiało upłynąć pięć minut, zanim rdzeń znów uaktywnił się na tyle, żeby ogrzać stygnącą wodę. Teraz potrzebna była jeszcze sprawna instalacja parowa z działającymi turbinami i «Phoenix» mógłby ruszyć w drogę...

Alexandria w Wirginii

Admirał Richard Donchez przeszedł spacerkiem ostatnią przecznicę do swojego domu. Wieczorny śnieg zamarzał mu na brwiach, ręcznik wokół szyi pokrywał się lodem, oddech tworzył obłoki pary wokół jego głowy. Donchez dotarł do drzwi bardziej zmęczony niż kiedykolwiek. W poprzednim tygodniu biegał tylko dwa razy. Nie za dobrze, jak na człowieka, który od dwunastu lat nigdy nie opuścił treningu, mimo tylu kryzysów zagrażających bezpieczeństwu narodowemu. Powietrze w holu wydawało się gorące i duszne. Zdjął w progu zaśnieżony dres, poczłapał pod prysznic i pozwolił mięśniom odprężyć się w strumieniach gorącej wody. Kiedy skóra się zaczerwieniła i zaczęła szczypać, zakręcił kran i wyszedł z pomieszczenia. Włożył świeże spodnie, białą bawełnianą koszulę i sweter i opadł w

głęboki fotel wypoczynkowy przed telewizorem. Nacisnął przycisk pilota i na ekranie pojawiły się wiadomości. Pokazywano mapy kampanii w Afryce Północno-Wschodniej, gdzie siły lądowe Koalicji napotkały zdecydowany opór przeciwnika. Prezenterzy spytali, gdzie jest generał Sihoud. Rzeczniczka Pentagonu odpowiedziała, że ukrywa się gdzieś w Afryce. Zadzwoił telefon. Bezpieczna linia z Pentagonem. Donchez słuchał pełniącego służbę w sztabie admiralicji oficera dyżurnego przez dziesięć sekund, potem się wyłączył. Zanim przebrał się w mundur, podjechał samochód służbowy.

Usadowiwszy się na tylnym siedzeniu lincolna, Donchez zastanawiał się przez chwilę, czy nie skorzystać ze swojego bezpiecznego radiotelefonu satelitarnego. Ale uznał, że wiadomość na pewno jest zła, więc pomyślał, że woli ją usłyszeć od oficera dyżurnego. Włączył telewizor samochodowy i przez chwilę zmieniał kanały, ale nie było jeszcze nic nowego ani rewelacyjnego. Przez moment oglądał relację z dochodzenia w sprawie zatonięcia „Augusty”. Media koncentrowały się na błędach stoczni w Portsmouth i wadliwym głębokościomierzu, który był przyczyną tragedii. Donchez nie cierpiał zatajać prawdy, nawet jeśli nie było innego wyjścia. Samochód brnął teraz przez zaśnieżony wjazd do Pentagonu. Padało tak gęsto, że odpowiednie służby nie nadążały z odsnieżaniem albo brakowało im ludzi z powodu przerwy świątecznej.

Doradca admirała Rummel czekał przy wejściu. Tym razem Donchezowi zabrakło cierpliwości, by się wspinać po schodach. Wjechali na górę windą i pomaszerowali korytarzem strefy E do sztabu admiralicji. Kiedy dotarli do celu, widząc ponure miny osób czekających nań, Donchez domyślił się, że wiadomości są gorsze, niż się spodziewał. Admirał popatrzył groźnie na swojego zastępcę do spraw operacyjnych Dee Watsona. Policzki Watsona wydawały się na bardziej obwisłe niż zwykle. Powaga sytuacji odbijała się wyraźnie na jego twarzy. Dowódca atlantyckiej floty podwodnej admirał Steinman spoglądał z ekranu wideo na ścianie nad nimi. Obraz z Norfolk był niezwykle ostry. Na sąsiednim ekranie widniała zaspana twarz głównodowodzącego Siłami Morskimi na Morzu Śródziemnym Johna Traepsa. W Neapolu było jeszcze bardzo wcześnie. Donchez milczał. W końcu odezwał się Watson:

- Sir, nie wiem, jak to panu powiedzieć, więc powiem po prostu...
- Nie cierpię, kiedy odprawy zaczynają się w ten sposób - mruknął Donchez.
- Destiny przebił się na Atlantyk i chyba straciliśmy „Phoenixa”.

Umysł Doncheza wchłaniał jednocześnie obie informacje. Po co Destiny miałyby wpływać na Atlantyk? Dlaczego jego dowództwu zależało na tym aż tak bardzo, że zatopił „Phoenixa”? I czy «Phoenix» rzeczywiście zatonął, czy tylko zaginął?

Watson mówił dalej:

- Niech pan spojrzysz na tę wiadomość z „Phoenixa” nadaną przez boję SLOT. Po jej przekazie usłyszeliśmy donośny pogłos. Potem już nic. To przypomina meldunek z „Augusty”...

Donchez przebiegł wzrokiem tekst, który wręczył mu Watson:

(...) wykrył (...) ślad pojedynczej torpedy Nagasaki zbliżającej się od wschodu z dużej odległości (...). Próbuje teraz uciec przed bronią ZIF (...) melduje o braku, powtarzam, o braku przewagi akustycznej nad klasą Destiny.

- Mówi tutaj o zamiarze wystrzelenia jakichś torped Mark 50 w kierunku Destiny, żeby krążyły na sonarze pasywnym - powiedział Donchez do kamery zamontowanej nad monitorem pokazującym twarz Johna Traepsa. - Co się stało?

- No cóż, sir, złożyliśmy to w całość z meldunków samolotów P-3, S-3 i niszczycieli Burkę. Torpeda Nagasaki trafiła „Phoenixa” i prawdopodobnie go zatopiła. W ciągu trzydziestu minut kilka torped „Phoenixa”, krążących na sonarze pasywnym, wykryło Destiny na zachód od Gibraltaru i rozpoczęło pościg na północny zachód. Dwie z rybek wyłączyły się, ale jedna miała gorący namiar i zdetonowała. Były nieprzekonujące oznaki zniszczeń, ale jednemu z P-3 zdawało się, że dziesięć minut później usłyszał jakieś pogłosy. Operatorzy zameldowali, że brzmiały jak rozruch reaktora. Potem wszystko ucichło. Destiny i „Phoenix” zamilkły.

- Co z tym robimy?

- Skierowaliśmy DSRV „Avalon” z miejsca poszukiwań „Augusty” do zanurzenia na przybliżonej pozycji donośnego pogłosu. Może znajdziemy tam „Phoenixa”...

- A co z Destiny?

- Przerzuciliśmy wszystkie śródziemnomorskie siły przeciwpodwodne na Atlantyk. Będą szukać, ale rejon prawdopodobnej detekcji powiększa się z upływem czasu. Destiny może być gdziekolwiek na obszarze dwudziestu tysięcy mil kwadratowych...

Wtrącił się Watson:

- I przy jego przewadze akustycznej nad klasą 688 uważam, że to kiepski pomysł, żeby wysłać na poszukiwania inne okręty podwodne klasy Los Angeles. Ten skurwiel posłał na dno dwa z najlepszych okrętów w naszej flocie. Podejrzewam, że nawet jeśli jest uszkodzony, zdoła zatopić nasze 688. Zgadzasz się z tym, Roy?

Wszyscy mężczyźni w sali odwrócili się do konsoli wideo z obrazem z Norfolk. Admirał Roy Steinman zamrugał szybko kilka razy z ekranu. Miał ponurą minę.

- Niestety tak, sir. Nie ma co do tego wątpliwości. Potrzebujemy „Seawolfa”.

- Roy, jaki jest status „Seawolfa”? - zapytał Donchez. - Chciałem go mieć na morzu jeszcze dzisiaj, a dzisiejszy dzień się kończy.

- Sir, o ile mi wiadomo, jest jeszcze w doku. Ciągłe spawają przecięcie w kadłubie po montażu wyrzutni Vortexów.

- Jakie mają opóźnienie?

- Nie jestem pewien, admirale - odrzekł spokojnym tonem Steinman, ale Donchez wiedział, że jest zdenerwowany.

- Fred, możemy pogonić stocznię w tej sprawie? - zapytał Rummela Donchez. - Połącz mnie z komendantem stoczni, Stevensem, jeśli możesz.

Fred Rummel wystukał numer na klawiaturze telefonu, po czym rzucił kilka słów w słuchawkę. Czekanie zdawało się wydłużać w nieskończoność. Donchez zapalił hawanę i wypuścił pod sufit kłęb dymu. Wreszcie na ekranie pojawił się stół konferencyjny w biurze Stevensa. Obok komendanta stoczni siedział Pacino i starszy admirał w okularach z soczewkami o grubości dna butelki od coca-coli. Wyglądał znajomo, ale Donchez nie potrafił go zidentyfikować. Pacino miał chmurną twarz. Donchez wyczuł, że starał się ukryć frustrację. Albo gniew.

Pierwsze pytanie zadał Steinman.

- Kapitanie Stevens, jaki jest status „Seawolfa” i dlaczego okręt jeszcze nie wyszedł w morze?

Stevens otworzył usta, ale ubiegł go admirał krótkowidz.

- Witam panów. Nazywam się Douchet i jestem przedstawicielem Biura Nadzoru Okrętowych Reaktorów Jądrowych odpowiedzialnym za tę stocznię.

Donchez nie był zachwycony. Obecność tego faceta oznaczała kłopoty. Biuro było organizacją policyjną czuwającą nad stoczniami. Często przeszkadzało w pracy i stwarzało przeszkody, powołując się na święte zasady bezpieczeństwa reaktorów.

- Jak panom wiadomo - ciągnął Douchet - przyspawaliśmy łatę do kadłuba, ale jeszcze nie zrobiliśmy radiografii, prześwietlenia rentgenowskiego. Dowiedziałem się dziś, że kapitan „Seawolfa” rozkazał zalać dok bez robienia radiografii. To poważne naruszenie przepisów o kontroli jakości napraw i bezpieczeństwie reaktorów. Jestem tym zaniepokojony, i szczerze mówiąc, uważamy w Biurze, że zlekceważenie przez kapitana Pacina bezpieczeństwa okrętu...

- Dostyc - przerwał Donchez. - Wypływa pan w rejs na „Seawolfie”? Wychodzi pan w morze z Pacinem?

- No, nie, ale...

- Kapitanie Pacino?

- Tak jest, sir - wypalił Pacino, tłumiąc uśmiech.

- Jest pan zadowolony z pracy stoczni i jakości spawów?

- Tak, sir.

- Kapitanie Stevens?

- Tak, admirale?

- Jest pan zadowolony ze spawów?

- Prawdopodobnie nie przeszłyby bez zastrzeżeń kontroli jakości, gdybyśmy zrobili prześwietlenie rentgenowskie, sir. Ale myślę, że wytrzymają. Będziemy wiedzieli na pewno po kontrolnym zanurzeniu na głębokość testową.- Admirale Douchet, jaki ma pan powód zatrzymania „Seawolfa” w stoczni po tym, co pan właśnie usłyszał?

- Procedury, sir. Na coś takiego nie pozwalają żadne przepisy o bezpieczeństwie okrętów podwodnych. Proszę wybaczyć, że to powiem, ale po stracie „Augusty” z powodu błędu stoczni wszyscy powinniśmy być bardziej ostrożni. To nie jest właściwy sposób na...

- Bardzo panu dziękuję. Kapitanie Stevens, kapitanie Pacino, zalać suchy dok i natychmiast wyjść „Seawolfem” w morze. Zrozumiano?

- Tak jest, sir - odpowiedzieli chórem.

- Admirale Douchet, chcę pana widzieć w moim gabinecie jutro o ósmej rano. Kapitanie Stevens, połączę się z panem za cztery godziny. Jeśli do tego czasu „Seawolf” nie będzie na morzu, jest pan zwolniony.

- Tak jest, sir.

- Kapitanie Pacino, niech pan rusza w rejs i wykona swoje zadanie.

- Tak jest, sir.

Donchez przerwał połączenie i spojrzał kolejno na każdego z mężczyzn zgromadzonych wokół ekranów. W gorączce wypychania „Seawolfa” w morze prawie zapomniał o najważniejszej sprawie wieczoru - po co Sihoud wypłynął na Atlantyk?

- Fred, co ty czy twoi kumple w wywiadzie myślicie o ucieczce Sihouda? O co mu chodzi?

Rummel zawahał się.

- Jeszcze nie mamy sprecyzowanego zdania.

- Nie szkodzi, mów.

- Jest teoria, że popłynie wokół Afryki do Etiopii, tam zejdzie na ląd i zaskoczy nas z flanki.

- Ale Destiny po trafieniu torpedą skierował się na północny zachód.

- Załoga mogła po prostu wycofać się na z góry upatrzoną pozycję z dala od pierwotnego kursu. To samo zrobili po zabraniu Sihouda. Wtedy najpierw popłynęli na wschód, zamiast od razu na zachód.

- Co jeszcze?

- Sihoud może zejść na ląd wcześniej, na atlantyckim wybrzeżu Maroka. Może po prostu próbuje zgubić ogon.

- Może. Ale jego wytropione pozycje, które widzę na mapie, nie potwierdzają teorii o żegludze wokół Afryki. Może to tylko manewr mający nas zmylić, ale założmy na chwilę, że rzeczywiście oddalają się od Afryki i zapuszczają daleko na Atlantyk. Po co?

Donchez rozejrzał się po sali. Myślał o koszmarze, który niegdyś prześladował każdego podwodniaka: okręt podwodny z pociskami balistycznymi zostaje porwany lub opanowany przez własną załogę, płynie do wybrzeża Stanów Zjednoczonych i odpala pociski. Wyeliminowanie pocisków balistycznych wystrzeliwanych z morza częściowo uspokoiło te obawy, ale po modernizacji pocisków samosterujących sytuacja się pogorszyła. Pociski balistyczne były wykrywalne podczas odpalania, co dawało ofiarom kilkuminutowe ostrzeżenie. Pociski samosterujące mknęły nad ziemią poniżej poziomu wierzchołków drzew i pojawiały się bez ostrzeżenia. Według raportów pociski Hiroshima leciały z szybkością ponaddzwiękową bardzo dużej wysokości i były niewykrywalne dzięki swoim antyradarom. Też niedobrze. Ale być może, pomyślał Donchez, wpadam po prostu w paranoję. Za długo trwała ta cholerna zimna wojna.

- No cóż, admirale - odrzekł Rummel. - Może Sihoud i Destiny mają jakiś nowy rodzaj broni ofensywnej. Coś, czym mogą nam zagrozić. Coś, co według nich, odbierze nam chęć do walki.

- Co o tym myślisz, Dee?

- Sir, jak mawiała moja babcia: „Możliwe, synku, ale diabelnie w to wątpię”.

- Może przesadzam, panowie, ale coś mnie tu cholernie niepokoi - wyznał Donchez i popatrzył groźnie spod krzaczastych brwi na swój sztab. - Dee, chcę, żebyś przygotował operację komandosów SEAL. Niech wywiad dostarczy nam dane dotyczące przypuszczalnej lokalizacji wszystkich zbrojeniowych ośrodków badawczych ZIF. Potem zrobisz plan ataku na każdy z nich. Trzeba wydostać stamtąd tajną dokumentację i porwać naukowców, którzy mogą coś wiedzieć o nowej broni ofensywnej albo biologicznej czy chemicznej lub o pociskach raketowych albo głowicach nuklearnych ZIF.

- Sir, takich ośrodków, łącznie z laboratoriami biologicznymi, może być setka. I co z dyrektywami o wspólnych działaniach? Siły specjalne wojsk lądowych będą chciały wziąć w tym udział.

- Nie obchodzi mnie, kto to robi, jeżeli można mu zaufać, że zdobędzie dane. Za dwa dni chcę wiedzieć, na czym stoimy. Dla mnie oznacza to wezwanie chłopaków z Siódmej Kompanii SEAL i zrzućenie ich na laboratoria zbrojeniowe.

- Dwa dni, tak jest. Mam nadzieję, że czegoś się dowiemy.

- Zajmij się tym, Dee.

- Tak jest, sir.

- John, powiedz mi, jakimi środkami poszukujemy Destiny i „Phoenixa”?

Traeps zaczął mówić z ekranu. Połączenie z Neapolem zakłócało irytujące echo. Traeps przesunął wskaźnik na mapie nad zachodni Atlantyk, by zilustrować swój długi monolog o staraniach sił przeciwpodwodnych, poszukujących Destiny. Słuchając go, Donchez zastanawiał się, czy nie powinien polecieć do Norfolk i po raz ostatni porozmawiać z Pacinem, zanim „Seawolf” wyruszy na niewykonalną misję.

Zachodni Atlantyk USS..Phoenix”

Kane siedział w fotelu konsoli centrum ataku. Poczul ból głowy, kiedy na moment rozblęły światła sufitowe, zgasły i znów zapłonęły, tworząc upiorny efekt stroboskopowy w martwym okręcie podwodnym. W końcu zapaliły się na dobre. Przy zapalonych światłach sytuacja w sterowni wygląda jeszcze gorzej, pomyślał Kane, gdy zobaczył gąszcz ciał. Rozwinął niewygodny wąż tlenowy, podpełzł na kolanach do swoich ludzi i stwierdził, że kilku z nich nie żyje, ledwo przy tym zauważył, że pokład jest śliski od krwi. Niektórzy chrapliwie oddychali zanieczyszczonym powietrzem. Kane postanowił włożyć im maski. Płonące lampy świadczyły, że ktoś na rufie włączył zasilanie. Kane’owi błysnęła myśl, że trzeba zatelefonować do kabiny manewrowej, ale uprzytomnił sobie szybko, że obsługa jest pewnie zbyt zajęta uruchamianiem reaktora, żeby z nim rozmawiać. Znalazł maski tlenowe i zaczął je przypinać ludziom leżącym na pokładzie. Nie miał pewności, czy nieprzytomni mężczyźni będą mogli oddychać, gdyż regulatory masek nie dostarczały powietrza, dopóki nie wciągało się go mocno do płuc. Sprawdził to u kilku z nich i wyglądało na to, że oddychają, więc przypinał dalej.

Kiedy skończył, zerknął na zegarek - był roztrzaskany i nie chodził. Minęło trochę czasu, odkąd zapaliły się światła. Kane chwycił swój wąż tlenowy, odłączył koniec i poszedł w kierunku rufy. Wciąż émiła go głowa, niewyraźnie widział i czuł ból w płucach od zmagania z regulatorem maski. W drodze do przedziału rufowego zapomniał o wtykaniu węża do

końcówek, co świadczyło o jego ośpieniu - człowiek w masce tlenowej zwykle myśli właśnie tylko o tym. Kiedy omal nie zerwał maski, żeby zaczerpnąć powietrza, tuż przed omdleniem znalazł końcówkę w suficie mesy załogi. Stał i przez chwilę nie robił nic, tylko oddychał. Wreszcie zmusił się, by pójść dalej. Zszedł po stopniach na poziom tunelu, wszedł do węża, wyłonił się na środkowym poziomie przedziału rufowego i wyszarpnął wąż z końcówki w tunelu. Wciągnął wąż po drabince na górny poziom i stracił pewność, czy może wierzyć własnym uszom - u szczytu drabinki usłyszał ryk pary i gwizd turbiny.

Pokonał ostatni stopień drabinki, kilka razy wciągnął powietrze z końcówki węża, po czym ruszył przez kabinę manewrową. Zamarł nagle reagował z opóźnieniem - na widok pustego pomieszczenia, leżały tu tylko cztery trupy. Panel obsługi reaktora i panel elektryczny były zachlapanie krwią. Spojrzał w górę od drzwi kabiny manewrowej i zobaczył, jak wielki CB McDonne uwija się z węzem w jednej ręce i instrukcją obsługi instalacji parowej w drugiej.

- Kapitanie! Niech pan zejdzie na dolny poziom i włączy pompę kondensacyjną! Potem niech się pan przygotuje do włączenia głównej pompy zasilającej. Połączę się z panem na obwodzie drugim.

Kane skinął głową. Gdy schodził po pionowej drabince na dolny poziom dwa pokłady niżej, bolało go całe ciało. Kiedy zszedł z ostatniego stopnia, jego stopa zanurzyła się z pluskiem w wodzie. Rozejrzał się. Przecieki. Przedział nie był jeszcze zalany, ale należało wypompować wodę, i to szybko. Sprzęt był odporny na zamoczenie, ale nie zaprojektowano go do pracy pod wodą. Kane dotarł do pompy kondensacyjnej w tyle pomieszczenia, znalazł rozruszniki silników i wcisnął pierwszy z nich. Silnik pompy nabrał pełnej szybkości. Kane uruchomił następne trzy, potem doznał przez wodę do pompy zasilającej, która znajdowała się w przedniej części pomieszczenia. Przez chwilę czekał, aż McDonne wprowadzi generator turbinowy na obroty i włączy do sieci, żeby można było uruchomić tę pompę. Wreszcie we wnętrzu okrętu zadudnił głos McDonne - Kane mógł działać. Pompa mająca wielkość dwóch kabin telefonicznych z hałasem nabrała szybkości. Kane poszukał telefonu, żeby się dowiedzieć, co jeszcze trzeba zrobić na dolnym poziomie. Zadzwoił na górę, ale nikt się nie zgłosił.

Przyszła mu do głowy koszmarna myśl, że CB McDonne'owi coś się stało. Bez XO nie potrafiłby dokończyć uruchamiania napędu. McDonne był inżynierem z Purdue, Kane angielskim majorem, który musiał przejść szkolenie nuklearne, żeby móc dowodzić okrętem, ale zawsze robił tylko niezbędne minimum. Od czasu egzaminu inżynierskiego zapomniał

połowę tego, czego się kiedykolwiek nauczył, i od ośmiu lat nie brał udziału w rozruchu reaktora.

Ale kiedy dotarł na górny poziom, zastał CB w kabinie manewrowej przy panelu elektrycznym. McDonne był zajęty przesuwaniem włączników przerywaczy. Po kilku minutach podszedł do panela obsługi reaktora, wyregulował wysunięcie prętów, potem przywołał gestem Kane'a.

- Mamy pełną moc. Trzeba włączyć oczyszczacze powietrza. Ta maska cholernie działa mi na nerwy - powiedział. A w duchu dodał: Nasza fatalna sytuacja także.

Część III

22

„Seawolf”

Poniedziałek, 30 grudnia

Portsmouth w Wirginii

Stocznia Marynarki Wojennej w Norfolk

Suchy dok numer 4

Pacino oderwał wzrok od doku, gdy gwałtowny podmuch wiatru omal nie zerwał mu kasku. Wiatr uspokoił się, potem znów zawył nad dokiem. Pacino zerknął na zegarek - prawie dwudziesta trzecia, a poziom wody w doku ledwo sięgnął dna cylindrycznego kadłuba „Seawolfa”, choć zalewanie trwało już prawie godzinę. W mocnym świetle reflektorów okręt wyglądał niesamowicie, niemal surrealistycznie, ale jednocześnie sprawiał wrażenie czegoś o niezwykłym znaczeniu, jak prom kosmiczny NASA oświetlony przed startem. Zieleń kadłuba potęgowała wrażenie nierzeczywistości. Pacino wciąż z trudem potrafił uwierzyć, że za kilka godzin wychodzi w morze - jeszcze w pełni nie uwolnił się od uczucia, że jego okręt tkwi bezradnie w stoczni. Gorączka przygotowań przedrejsowych jakoś nie pasowała do suchego doku. Okręt podwodny powinien wyruszać na ważną misję z nabrzeża, nie z tego gigantycznego szpitala dla statków. Mimo to Pacino cieszył się, że jeszcze raz poprowadzi swój okręt. Jak dotąd niewiele myślał o misji, bardziej obchodziło go to, kiedy wreszcie „Seawolf” będzie mógł opuścić stocznię. Ale teraz, kiedy okręt był naprawdę gotowy do rejsu, ogarnęło go znajome uczucie pewności siebie, rodzące się z wiary we własną

kompetencję. Już to przedtem przeżywał. Do tego był stworzony - dostał zadanie zarezerwowane wyłącznie dla niego, tylko on mógł je wykonać. Zaczął się właśnie strofować, że ma zbyt wielkie mniemanie o sobie, kiedy podjechał biały pikap kapitana Emmitta Stevensa. Komendant stoczni wysiadł z samochodu, uśmiechając się szeroko i stanął obok Pacina na krawędzi doku.

- Chyba cały pobyt w stoczni spędzasz na sterczeniu przy tej barierce nad swoim okrętem.

- Nie lubię oglądać mojej starej łajby w suchym doku, Emmitt. To nie miejsce dla okrętu wojennego. A ja nie pasuję tutaj tak samo, jak on.

- Nie sędzę. Po dzisiejszym wieczornym spotkaniu powiedziałbym raczej, że mógłbyś z powodzeniem zarządzać stoczną. Ładnie napuściłeś starego Doncheza na Doucheta. Szkoda, że odchodzisz do sztabu. Mógłbyś tu dużo zdziałać. Przydałbyś się nam.

Pacino uśmiechnął się.

- Nie rozmawiałem z Donchezem. Jemu po prostu zależy, żebyśmy wyszli w morze.

- W każdym razie miło było popatrzeć, jak pokazuje tamtemu palantowi, gdzie jego miejsce.

- Douchet częściowo miał rację. Rzykuję życie załogi, wypływając w rejs bez sprawdzenia spawów. Ale czasem tak trzeba... Co cię tu sprowadza?

- Donchez. Będzie tu za pół godziny. Jego falcon ląduje o 23.30. Stary chce się upewnić, czy ta łajba wyjdzie w morze o czasie. Mówił też, że chce z tobą pogadać osobiście. To musi być jakaś misja, Patch. Sam szef operacji morskich przylatuje, żeby pomachać ci chusteczką na pożegnanie. Co jest grane?

- Mój stary i Donchez mieszkali w jednym pokoju w Annapolis. Służyli razem na kilku okrętach podwodnych. Donchez przejął „Piranhę”, kiedy mój staruszek został ostatnim kapitanem „Stingray”.

Stevens spoważniał. W siłach podwodnych powszechnie wiadomo, że „Stingray” zatonął w roku 1973 po eksplozji własnej torpedy. Okręt zalała woda i zszedł poniżej głębokości krytycznej. Nikt nie przeżył.

- Przykro mi, Mike. Nie wiedziałem...

- To zamierzchła przeszłość. Donchez chciał czuwać nade mną po śmierci mojego ojca, ale jednocześnie nie chciał mnie faworyzować.

- Po tamtej misji w Chinach powiedziałbym, że sam dajesz sobie radę.

- W każdym razie pewnie chce mi dać kopa na rozpęd, umotywować mnie. Lepiej zajmę się okrętem. Zrób mi przysługę i nie przestawaj zalewać doku. Chcę wyjść w morze punkt pięta.

- Uruchomisz reaktor w doku? Wiesz, że Douchet dostanie ataku serca...

- Jeśli reaktor jest gotowy, wysunę pręty tutaj. Jeśli nie, wyciągną mnie holowniki i zrobię rozruch w połowie kanału. Nieważne, jak to załatwię, ale o piątej znikam stąd.

- Kapitanie, tu oficer pokładowy - zaskrzeczało walkie-talkie Pacina.

- Muszę lecieć, Patch. Trzymaj się.

- Dzięki za wszystko, Emmitt. Mam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę tej cholерnej stoczni.

Stevens pomachał Pacinowi i odjechał z rykiem silnika.

- Tu kapitan - odezwał się przez radio Pacino.

- Sir, główny mechanik prosi o pozwolenie na normalny rozruch reaktora. I jest telefon do pana. Dzwoni pani Pacino, sir. Mówi, że to pilne.

- Powiedz pani Pacino, że oddzwonię do niej za pięć minut z wartowni. I przekaz inżynierowi, że połączę się z maszynownią bezpieczną linią. Kapitan, bez odbioru.

Radio zatrzeszczało potwierdzająco dwa razy. Pacino wszedł do wartowni, skinął wartownikowi głową i sięgnął po telefon. Aparat zabrzczał dwa razy, zanim zgłosił się główny mechanik.

- Jaki jest status, inżynierze?

- Jesteśmy uziemieni, sir - odparł ze złością Hobart. - Będziemy musieli zrobić rozruch „wysuwaj i czekaj”. Poziom energii jest tak niski, że nawet nie widzę mocy reaktora na wskaźniku rozruchowym.

- Ile to potrwa?

- Do dwudziestu czterech godzin. Reaktor był nieczynny tak długo, że rdzeń jest ledwo radioaktywny.

- Inżynierze, odpuść sobie rozruch „wysuwaj i czekaj” i wysuń pręty do stanu krytycznego. Do wyjścia z doku zostało nam tylko kilka godzin i nie mam czasu na czekanie.

- Sir - odparł poirytowanym tonem Hobart - zanim to zrobię, muszę zapytać, czy to sytuacja taktyczna zgodna z definicją w instrukcji obsługi reaktora?

Pacino czuł, że Dave Hobart byłby cholernie dobrym prawnikiem, ale z jakiegoś powodu wybrał morze i teraz nosił kombinezon podwodniaka zamiast garnituru z kamizelką. Choć Pacino nigdy nie wątpił, że Hobart zna doskonale bardzo skomplikowany system reaktorowy „Seawolfa”, musiał zignorować jego wątpliwości. Przestrzeganie procedur było

dobre w czasie pokoju. Hobart martwił się, że aktywność neutronów w rdzeniu jest zbyt mała, by mógł zobaczyć poziom mocy. Obawiał się, że przez wysunięcie prętów regulacyjnych może tak zwiększyć reaktywność, że natychmiast doprowadzi reaktor do stanu krytycznego - i rozwali go - zanim zdąży zatrzymać ucieczkę neutronów. Ale Pacino wiedział, że system zabezpieczający wyłączyłby reaktor, gdyby do tego doszło. A zresztą nawet gdyby nie zadziałał wystarczająco szybko, musieli zaryzykować. Gdzieś na Atlantyku był Destiny i gówny go obchodził stan rdzenia ich reaktora.

- Tak - odrzekł Pacino w odpowiedzi na pytanie Hobarta o sytuację taktyczną.

Po chwili milczenia Hobart odezwał się:

- Tak jest, sir. Wysuwamy do stanu krytycznego. Zanotujemy w dzienniku pokładowym, że to był pański rozkaz.

Chciał sprawdzić, czy Pacino odwoła niebezpieczny rozkaz, jeśli zagrozi mu zapisaniem go.

- Tu kapitan. Tak jest. I zanotuj, że zrobimy rozgrzewanie alarmowe, kiedy doprowadzisz reaktor do stanu krytycznego. Instalacja ma działać. Natychmiast.

- Tak jest, kapitanie.

W słuchawce rozległ się trzask i inżynier wrócił do swoich zajęć. Pacino rozłączył się i zadzwonił do swojego domu w Sandbridge. Odebrała Janice. Miała cichy i miękki głos, jakby dopiero się obudziła.

- To ja.

- Michael, dzwonił Dick Donchez. Powiedział, że chce się z tobą tutaj spotkać o północy. A skoro już o tym mowa, ja też chcę z tobą porozmawiać.

- Już jadę.

Pacino wywołał przez radio oficera pokładowego i powiedział mu, że jedzie do domu na kilka godzin. Odszukał telefonicznie swojego zastępcę, przekazał mu czuwanie nad operacją zalewania suchego doku, potem ruszył w stronę swojego samochodu. Idąc, zastanawiał się, o co chodzi Donchezowi, że chce go widzieć osobiście.

Sandbridge Beach w Wirginii

Kilometr od plaży wiatr wciąż jeszcze nawiewał drobne krople na przednią szybę. Zanim Pacino zaparkował starą corvette pod domem na palach, samochód pokrył się mulistą, słoną wodą z niespokojnego Atlantyku. Przed frontowym wejściem stał czarny lincoln z antenami sterczącymi z dachu i pokrywy bagażnika. Na tylnej tablicy rejestracyjnej widniał

emblemata dowódcy Floty Podwodnej na Atlantyku - to był służbowy samochód admirała Steinmana. Limuzyna miała czarne szyby, ale Pacinowi wydało się, że dostrzegł czyjąś sylwetkę, która poruszała się na przednim siedzeniu. Podniósł wzrok na masywny dom przy plaży - pomnik dawnego bogactwa Janice - i zauważył, że wewnątrz palą się wszystkie światła. Przemknęło mu przez głowę, że powinien przyglądać się temu domowi długo i uważnie, bo nieprędko znów go zobaczy. Potem przyłapał się na tym, że próbuje dociec, skąd taka myśl, skoro rejs ma trwać tylko tydzień lub dwa. Najwyżej trzy.

Gdy wszedł do domu, poczuł falę ciepła, która po wilgoci i chłodzie na zewnątrz podziałała obezwładniająco. Zdjął ciężki płaszcz i poszedł do salonu głównego, gdzie zastał Doncheza, Steinmana i Janice.

- Mikey - zadudnił chropowaty głos Doncheza. - Długi dzień, co?

- Jeden z wielu, sir.

Trzej mężczyźni usiedli. Janice powiedziała mężowi, że zaczeka na niego na górze.

Donchez wyjął hawanę i rzucił Pacinowi pytające spojrzenie. Pacino skinął głową. Wiedział, że Janice byłaby niezadowolona, ale wiedział również, że Donchez nie potrafi myśleć bez cygara w zębach. Donchez poczęstował jego i Steinmana i wszyscy zapalili.

- Mikey, wiesz o „Auguście” Rona Rakiety. Słyszałeś coś o „Phoeniksie” Davida Kane’a?

- Nic. A powinienem?

- Niestety - odrzekł Steinman.

Słuchając opowieści, Pacino marszczył brwi. Ostatnią wiadomość od Davida Kane’a przeczytał bez emocji, ale w myślach robił szybki przegląd problemów taktycznych. Zanim cygara zamieniły się w zimne, dymiące w popielniczce niedopałki, w jego umyśle ufonnował się ponury obraz.

- Mikey, twoim zadaniem jest znalezienie Destiny, zanim on znajdzie ciebie, i zatopienie go przy użyciu wszystkich możliwych środków. Bardzo niechętnie wsadzam cię na tego konia, ale pamiętaj, że w tropieniu Destiny zaszliśmy tak daleko dzięki wiadomościom od Daminkiego i Kane’a. Chcę, żebyś starał się meldować nam, z czym masz do czynienia.

- Czy ktoś wie, jakie zadania ma ten okręt podwodny? Chyba nie służy tylko za autobus dla Sihouda?

Pacino popatrzył na Steinmana i Doncheza. Jeśli coś wiedzieli, nie zdradzali się z tym. - W porządku. Dajcie mi znać, jak dostaniecie jakieś informacje wywiadowcze.

Donchez i Steinman wstali.

- Nie będziemy ci dłużej zawracać głowy, Mikey.

Wszyscy trzej podeszli do drzwi. Donchez i Steinman wymienili spojrzenia.

- Połączę się z samochodem z oficerem dyżurnym w dowództwie. Sprawdzę, co się dzieje - oznajmił Steinman i uścisnął Pacinowi dłoń. - Powodzenia, Patch. Poślij skurwysyna na dno.

- Pilnuj dla mnie porządku w dowództwie, Roy - odrzekł Pacino, próbując się uśmiechnąć. - Chcę, żeby po moim powrocie wszystko grało i czekało na mnie.

- Zanim wrócisz, będą gotowy do odejścia. Cholera, połowę mojego biurka już zajmują twoje graty. Ale czy jesteś pewien, że chcesz usiąść za biurkiem?

Pacino zerknął na Doncheza. Steinman pomachał im i zbiegł po dwa stopnie naraz na piasek. Gdy szedł do samochodu służbowego, pod jego butami chrzęściły muszle.

Donchez stał w holu, przez otwarte drzwi wpadał zimny wiatr.

- Prosiłem Roya, żeby na kilka minut zostawił nas samych - wyjaśnił, wyjął następne cygaro i przysunął do niego płomień starej zapalniczki z „Piranhy”.

- Chodzi o zwykłą rozmowę dla podniesienia na duchu, zgadza się, sir?

- Po prostu nie chciałem, żeby Roy wiedział, co myślę o Destiny - odparł Donchez, niezadowolony z własnej szczerości. - Uważam, że Sihoud planuje jakąś brudną sztuczkę, szykuje nam coś paskudnego. Tamten okręt jest niewidzialny i niezwycięzony, jeśli ma przeciwko sobie klasę 688. Tylko „Seawolf” może posłać go na dno. I tylko wtedy, jeśli go znajdzie i zaskoczy. Jeśli nie uda ci się do niego podkraść, wycofaj się na z góry upatrzoną pozycję i spróbuj zaatakować później. Zrozumiano, kapitanie Pacino? Nie mówię tego tylko w trosce o ciebie. Nie możemy sobie pozwolić na stratę twojego okrętu, dlatego że będziesz niecierpliwy.

- Niech pan się nie obawia, admirale. Upewnię się, czy mam czysty strzał.

- Straciłem już dwa okręty podwodne, Mikey. Daminski był kiedyś jednym z moich najbliższych przyjaciół. Bardzo odczułem jego śmierć. Nie mogę stracić trzeciego okrętu. Generał Barczynski dobierze mi się do tyłka, jeśli „Seawolf zostanie trafiony.

- Admirale - powiedział Pacino, przeprowadzając Doncheza przez drzwi. - Proszę być spokojnym. Wszystko rozumiem.

Donchez zatrzymał się w progu.

- Mógłbym wysłać na tę misję twojego następcę Joego Coswortha. On by sobie poradził, a ty mógłbyś zluzować Roya w Dowództwie Floty Podwodnej na Atlantyku. Janice byłaby zadowolona. Co ty na to?

- Nie ma mowy, sir. „Seawolf jest jeszcze mój i zamierzam wypłynąć nim w ostatni rejs.

Donchez spojrział na Pacina i skinął głową.

- Powodzenia, Patch. Pomyślnych łowów. I bądź cholernie ostrożny.

Pacino popatrzył na Janice. Wiedział, co teraz będzie. Chwytał worek marynarski, wrzucił do środka kilka świeżych mundurów i zapiął suwak.

- On cię wysłał na samobójczą misję, Michael. Słyszałam; stracili już dwa okręty. Na jednym był Ron Rakietka, na litość boską! Ty będziesz następny. Powiedział, że mógłby wysłać Coswortha. Pozwól mu.

Pacino zaczekał na chwilę przerwy.

- Kochanie, widocznie nie słyszałaś, jak Donchez mówił, że „Seawolf to jedyny okręt, który może pokonać Destiny. Mamy najlepszy okręt podwodny, najlepszy okręt wojenny; tak jest. Muszę tylko znaleźć tamtego faceta i będzie po wszystkim...

- Dla niego czy dla ciebie?

Pacino przyglądał się przez chwilę swojej żonie. Była piękna, nawet w gniewie.

- Wrócę za trzy tygodnie, Jan.

Wyszedł na galerię w holu i otworzył drzwi pokoju Tony'ego. Jego ośmioletni synek spał głęboko. Pacino pocałował chłopca w policzek, potem zszedł cicho po schodach. Janice odprowadziła go do samochodu.

- Przepraszam... - powiedziała. - Masz rację. Nie powinnam cię tak zegnać.

Pacino pocałował ją.

- Wiem, że będziesz się martwiła, ale wszystko pójdzie dobrze.

- Wiem, Michael. Wiem...

Pacino wyjechał tyłem na ulicę i koła zawirowały na pierwszym biegu. Nie widział w lusterku wstecznym łkającej żony, ale wiedział, że Janice płacze.

Wtorek, 31 grudnia

Portsmouth w Wirginii

Stocznia Marynarki Wojennej w Norfolk

Suchy dok numer 4

Pacino poczuł się lepiej, kiedy dotarł do suchego doku. Dok był całkowicie zalany, trap, połączony z jednym z dźwigów szynowych, wisiał na linach. Dookoła huczały potężne silniki dieslowskie, najgłośniejsze dźwięki dochodziły z „Seawolfa”. Z tylnej części zielonego kiosku okrętu wydobywał się pióropusz spalin, bo ponieważ reaktor jeszcze nie pracował samodzielnie, musiano włączyć generator awaryjny, by dostarczał energię elektryczną po

odłączeniu zasilania ze stoczni. Za rufą okrętu cofał się holownik, kilka lin biegło do kesonu, wrót doku. Holownik znalazł się wkrótce w połowie kanału. Dwa inne stały dalej w kanale, ich silniki pracowały na biegu jałowym. Czekwały, żeby wyciągnąć „Seawolfa” z doku i stoczni, a potem wyprowadzić go na morze. Pacino patrzył z niechęcią na holowniki, irytowało go, że jego okręt podwodny wciąż jest tak bezradny. Okręt wojenny powinien wychodzić w morze bez laski. Ale niedługo będzie płynął przez kanał siłą własnych mięśni, a na razie wreszcie opuszcza stocznię.

Pacino wszedł na trap i usłyszał w radiowęźle okrętowym donośny komunikat wartownika, wzmocniony przez głośniki wokół suchego doku: „«Seawolf», przybywa!” Może i był próżny, ale uwielbiał, kiedy ogłaszano jego wejście na pokład. Zasalutował banderze na rufie i wartownikowi, po czym wkroczył na okręt. Wrzucił worek marynarski do włazu i opuścił się po drabince do wnętrza kadłuba. Jego uwagę przykuł znajomy zapach - ciężka woń dymu papierosowego, tłuszczu kuchennego, spalin diesla i ozonu z instalacji wysokiego napięcia. To mu przypomniało, że czas przestać myśleć o domu, Janice, Tonym i skoncentrować się na Destiny i czekającej go misji. Przeszedł korytarzem do swojej kajuty na środkowym poziomie, zastanawiając się po drodze, co robi w tej chwili kapitan Destiny, jaki jest, jak walczy. Właściwie nie ma to teraz znaczenia, pomyślał Pacino. Niedługo dowiem się wszystkiego z pierwszej ręki.

Rozejrzał się po kajucie. Jedna ze ścian była zdemolowana, rozbito ją, żeby uzyskać dostęp do kabli wewnątrz. Stoczniovcem wystarczyło czasu tylko na wymianę stalowej struktury ściany, na położenie drewnianej boazerii już nie. Pacino rozpakował worek marynarski i wyjął z szafki swoją grubą oliwkową parkę. Wczesny poranek był chłodny i wilgotny, w czasie morskiej podróży z maksymalną szybkością zimno mogło się zmienić w mróz. Znalazł swoją niebieską czapkę baseballową z wyhaftowanymi złotą nicią delfinami podwodniackimi, nazwą okrętu wypisaną drukowanymi literami i daszkiem ozdobionym złotymi liśćmi starszego oficera. Chwycił lornetkę i poszedł do sterowni.

Pomieszczenie było zatłoczone ludźmi pełniącymi wachtę. Pacino znalazł swojego zastępcę komandora Jacksona „Smara” Vaughna, który zameldował się na pokładzie zaledwie kilka miesięcy temu, gdy okręt przygotowywano do pobytu w stoczni. Vaughn jeszcze nie pływał z Pacinem. Mimo to Pacino miał pełne zaufanie do jego umiejętności, gdyż Vaughn odegrał główną rolę w wyprowadzeniu z chińskiej niewoli swojego ostatniego okrętu, „Tampy”, który wpadł w ręce komunistów podczas misji szpiegowskiej u ich wybrzeży. Vaughn był wysoki i można byłoby go uznać za szczupłego, gdyby nie bardzo mały, lecz wystający brzuch nad pasem spodni mundurowych. Miał chudą, niemal wymizerowaną twarz

i gęste, choć przedwcześnie posiwiałe włosy. Twierdził, że posiwiał przez swoją nastoletnią córkę, ale we flocie krążyły pogłoski, że to ucieczka z chińskiego portu zmieniła jego czarną grzywę w niemal białą. Vaughn wciąż mówił z akcentem charakterystycznym dla mieszkańców zachodniego Teksasu, gdzie mieszkał przed wyjazdem do Annapolis i skąd pochodziła jego miłość z czasów szkoły średniej, którą poślubił następnego dnia po otrzymaniu dyplomu Akademii. Plotka głosiła, że na morzu lubi chodzić po okręcie w kowbojskich butach, ale Pacino jeszcze nie miał okazji, żeby to zobaczyć. Przezwisek Vaughna - „Smar” - wzięło się stąd, że podczas swojej tury młodszego oficera na „Detroit” próbował samodzielnie naprawić pompę olejową i udało mu się to tuż przed zalaniem dolnego poziomu olejem. Vaughn nie cierpiał swojego przezwiska, ale przyjmował je z humorem.

Vaughn patrzył teraz na konsolę radaru BPS-14. Pacino zauważył, że już zaczął zapuszczać brodę na czas rejsu. Nie miał nic przeciwko temu. Kiedy dowiedział się o wyczynach Vaughna na „Tampie”, poprosił o przydzielenie mu go jako XO. Ale załatwienie tego zajęło dużo czasu. Vaughn odbywał wtedy turę lądową jako wykładowca w Akademii. Admirał zarządzający uczelnią lubił go i nie chciał puścić. Kiedy Vaughn wreszcie zameldował się na pokładzie, Pacino żałował, że zrobiło się za późno, żeby wyjść z nim w morze. Teraz wreszcie miał okazję. Obaj mężczyźni bardzo się zaprzyjaźnili. Zgadzała się w większości spraw dotyczących prowadzenia okrętu i dowodzenia ludźmi. Jak dotąd mieli tylko różne zdania w sprawach o charakterze administracyjnym. Vaughn przywiązywał wagę do szczegółów, był perfekcjonistą. Gdy chodziło o sporządzanie dokumentacji dla marynarki, Pacino zawsze z przymrużeniem oka traktował papierkową robotę. Dwa tygodnie wcześniej Vaughn wytropił Pacina w odległym biurze w stoczni i poprosił go o podpis na raporcie o wodzie i oleju dla jakiegoś nieznanego biurokraty w eskadrze. Pacino zmiął raport i wrzucił do kosza.

- Spróbuj nie wysyłać tych raportów, XO - powiedział - i przekonaj się, kto zacznie robić szum, że nie przychodzą na czas. Założę się, że mógłbyś wyrzucać dziewięćdziesiąt procent tego rodzaju papierków i odbiorcy nawet by tego nie zauważyli.

Ale nawet w tej sprawie obaj mężczyźni potrafili się dogadać. Raporty przestały trafiać na biurko Pacina, ale opuszczały okręt o czasie, bo Vaughn zaczął je podpisywać i wysyłać bez parafy kapitana. Pacinowi to odpowiadało. Jedną ze zmian, jakie zamierzał wprowadzić w pierwszej kolejności po objęciu stanowiska dowódcy Floty Podwodnej na Atlantyku, miało być wyeliminowanie dużej części dokumentacji.

Vaughn podniósł teraz wzrok na Pacina. Był wyraźnie zadowolony, że opuszcza stocznię i znów wychodzi w morze.

- Możemy stąd spadać, kapitanie - powiedział, przeciągając po teksasku samogłoski, i wręczył Pacinowi tabelę poziomów wody i prądów w rzece, przyptywów i odpływów na szlaku morskim obok Norfolk oraz prognozę pogody. - Court prowadzi obserwację na mostku, obsadziliśmy stanowiska pod pokładem i stoczniovcy są gotowi do wyciągnięcia nas z tej wanny, jak tylko wejdzie pan na mostek.

- Status reaktora? - zapytał Pacino. Schował dane do kieszeni, złapał uprząż bezpieczeństwa i zaczął ją zapinać na sobie.

- Minęło trochę czasu, odkąd pytałem. Hobart narzekał na pański rozkaz alarmowy, ale w tej chwili powinien już grzać generatory turbinowe.

Pacino uśmiechnął się szeroko i sięgnął po telefon.

- Manewrowa, tu kapitan.

- Tu manewrowa, główny mechanik, sir - odpowiedział głos Hobarta.

- Na czym stoimy, inżynierze? Chcę stąd wyjechać o własnych siłach.

- Gdyby zaczekał pan jeszcze chwilę, kapitanie, zadzwoniłbym do pana. Powinniśmy przejść na normalny pobór pełnej mocy za około dwadzieścia minut, potem będę chłodził diesla. Powinien być wyłączony w ciągu godziny.

- Nie. Jak tylko przestaniesz brać energię z diesla, wyłącz go. Spaliny i hałas wkurzają wachtę na mostku.

Czysta herezja. Podwodniacy chronią przede wszystkim diesla - awaryjne źródło zasilania. Hobart zamilkł, najwyraźniej niezadowolony, potem potwierdził odbiór rozkazu i wyłączył się.

- To musi być coś ważnego - odezwał się Vaughn, wciąż pochylony nad wyświetlaczem radaru. - Wprowadzi nas pan w sprawę, kiedy będziemy na morzu?

- To zajmie całe dwie minuty - odrzekł Pacino, zapiął ostatni pasek swojej uprząży bezpieczeństwa i sięgnął po grubą parkę. - Jak wyjdziemy z Norfolk, zbierz oficerów w mesie. Podoficerów szefów też. To dopiero będzie rejs.

Vaughn odwrócił się do nawigatora.

- Gotowy? - rzucił.

- Pierwszy namiar pozycji wprowadzony - odpowiedział oficer znad stołu nawigacyjnego. - Odchyłka najwyżej trzy metry. Całkiem nieźle.

- Do zobaczenia na pełnym morzu, XO. Czuwaj nad tymi facetami. Pacino wyszedł przez otwarte drzwi w kierunku dziobu, wspiął się po stromych i wąskich schodkach na górny poziom, minął drzwi kuchni i wszedł do długiego korytarza biegnącego wzdłuż okrętu. Zawiesił lornetkę na szyi i wdrapał się po drabince do włazu znajdującego się wysoko w

półkolistym suficie. Gruby stalowy wąż był hydraulicznie obracany do góry do pozycji otwarcia. Pacino wspiał się na górę, zniknął w kręgu ciemności i wyłonił się w słabo oświetlonym pionowym tunelu, pełnym kabli, skrzynek rozdzielczych i zaworów. Wszedł na następną drabinę i kontynuował wspinaczkę. Z góry sączyło się słabe światło; im wyżej się wspinał, tym było jaśniejsze. Dotarł do kraty w otworze na szczycie tunelu i zobaczył od spodu czyjeś buty.

- Kapitan wchodzi na mostek! - zawołał.

Krata odchyliła się do góry na zawiasach i mężczyźni zrobili mu miejsce. Pacino wdrapał się do kokpitu mostka, klatki na szczycie kiosku, zatłoczonej oficerami i telefonistami. Spojrzał na dok poniżej i zauważył liny łączące okręt z pachołkami na nabrzeżu. Dwie grubsze bieły od dziobu do wielkich kołowrotek po obu stronach wejścia do suchego doku otwartego na rzekę. Nie padał deszcz, ale było mokro od lepkiej, wilgotnej mgły nawiewanej przez wiatr, w stożkach mocnego światła reflektorów dryfowały miliony kropelek. Diesel okrętowy pracował z ogłuszającym rykiem, z kiosku wydobywały się spaliny. Hałas utrudniał porozumiewanie się, ale Pacino nie chciał czekać na moc z reaktora. W wilgotnym powietrzu unosił się biały dym z rury wydechowej, lecz na szczęście wiatr wiejący od doku zwiewał go daleko od wachty na mostku.

- Jaki jest status, Scotty?! - zawołał Pacino, przekrzykując ryk diesla, do oficera systemów bojowych komandora porucznika Scotta Courta, bystrego faceta z fryzurą za sto dolarów, który zawsze miał nieskazitelnie odprasowany mundur i mówił tylko to, co należało. Był jeszcze jednym poprawnym politycznie oficerem średniego szczebla, mogącym liczyć na wczesny awans na dowódcę. Pacino uważał, że Court jest przesadnie czysty i zachęcał go, żeby czasem powalał sobie ręce przy codziennej pracy swojej sekcji.

- Dzień dobry, kapitanie - odrzekł Court swoim oficjalnym tonem. - Stocznia jest gotowa do wyciągnięcia nas za pańską zgodą. Wachta w kabinie manewrowej na stanowiskach. Reaktor jest w stanie krytycznym. Za mniej więcej piętnaście minut przejdziemy na normalny pobór pełnej mocy. Ostatnie liny, którymi jesteśmy przycumowani do doku, to siódemka i ósemka, nie licząc tych do kołowrotek. Wyprowadzi nas pan Pseudo. Ja zatrzymam pokład.

Pacino skinął głową i spojrzał w górę w kierunku rufy na szczyt kiosku, do którego przymocowano kilka stalowych relingów tymczasowy mostek. Pacino wspiał się tam po tylnej ścianie kokpitu i przywiązał ściągacz linowy swojej uprząży do jednego z relingów. Potem przywołał gestem chorążego Eda Pseudo, żeby do niego dołączył. Młody oficer wdrapał się na szczyt kiosku i wciągnął za sobą mikrofon i głośnik. Pacino popatrzył w dół na

dok. Z góry miał dobry widok na okręt - ten punkt obserwacyjny nie był z pewnością odpowiednim miejscem dla ludzi cierpiących na lęk wysokości - a na krawędzi doku zobaczył Emmitta Stevensa, obok którego stał jakiś gość; obaj patrzyli w jego stronę. Podniósł lornetkę do oczu - owym gościem był Donchez. Nie zaskoczyło to Pacina. Admirał pomachał mu. Pacino opuścił lornetkę i odwrócił się do Pseuda.

- Okręt jest twój, panie Pseudo. Wyprowadź nas stąd. Pseudo przyłożył megafon do ust.

- Uwaga, pokład! Wciągnąć siódemkę i ósemkę! - Wziął swoje walkie-talkie i wywołał szefa doku. - Dok cztery, tu okręt podwodny Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Przystąpić do wyciągania.

- Okręt podwodny, tu dok cztery. Przystępujemy do wyciągania - zaskrzeczało radio.

Ruch był początkowo ledwo wyczuwalny, ale Pacino widział, jak obracają się kołowrotki po obu stronach okrętu i nawijają liny, prowadzące do kołków cumowniczych na dziobie. Suchy dok powoli oddalał się od nich. Za rufą ster zaczął się wysuwać do kanału rzecznego. Ruch okrętu, który przez cztery ostatnie miesiące był budynkiem stoczniowym, działał odurzająco na Pacina. To pewnie brak snu, pomyślał, ale kołysanie pokładu pod stopami oszołomiło go jak alkohol. Ciesz się tym teraz, powiedział sobie, to twój ostatni rejs na „Seawolfie”.

Pseudo rozkazał nadać sygnał cofania, sześć krótkich dźwięków syreny okrętowej. Głębokie, gardłowe odgłosy brzmiały dokładnie tak, jak syrena „Queen Elizabeth II”. Rufa wysunęła się w rzekę na tyle, że do prawej burty mógł podpłynąć pierwszy holownik. Krawędź doku znalazła się przed kioskiem na poziomie miejsca, gdzie stał Pacino. Teraz, gdy okręt nabrał rozpędu, ląd oddalał się szybko. Podpłynął drugi holownik. Podszedł do lewej burty za kioskiem. Zanim umocowano liny, dziób okrętu niemal wy dostał się z doku.

- Odczepić lewą i prawą linę wyciągającą! - Pseudo nadał przez megafon rozkaz dla załogi pokładowej.

Kiedy ostatnia lina została odrzucona, okręt oficjalnie rozpoczął rejs. Nie był już połączony z lądem, mimo że jego układ napędowy jeszcze drzemał i zastępowały go holowniki.

- Jeden długi sygnał i zmiana barw - warknął Pseudo w dół do Courta. Syrena zawyła ogłuszająco. Za plecami Pacina, na szczycie kiosku, Pseudo szarpnął ściągacz linowy i wciągnął na tymczasowy maszt flagowy wielką banderę amerykańską. Pacino zerknął na zegarek - 4.25, pół godziny przed czasem. Z lewej burty dobiegł stłumiony krzyk, prośba o pozwolenie na wejście na pokład. Pacino skinął głową i Pseudo udzielił go. Z lewego

holownika wspiał się po stromej drabince umieszczonej na pionowej ścianie kiosku starszy mężczyzna w kamizelce ratunkowej, przeszedł nad krawędzią mostka i dostał się na mostek tymczasowy. Pilot.

- Dobry, panie szyper. Jake jestem. Pomogę wam stąd wyjść.

Pacino skinął głową. Pomoc pilota zawsze go irytowała. Jak holowniki. Potrafił sam wyjść z każdego portu, jeśli miał dobre mapy morskie, a mapy Norfolk były bardzo dokładne. Ale okręt wciąż nie miał napędu, bo Hobart jeszcze nie podkręcił reaktora, i dopóki ciągnęły go po kanale holowniki, Pacino musiał dzielić się z nimi władzą. Był tylko jeden sposób, żeby się ich pozbyć - mieć moc z reaktora. Pacino już chciał powiedzieć Pseudo, żeby zadzwonił do manewrowej i zapytał o status reaktora, gdy w głośniku na mostku zadudnił głos Hobarta.

- Mostek, tu manewrowa. Mamy normalny pobór pełnej mocy w instalacji elektrycznej. Proszę o zgodę na schłodzenie diesla.

Hobart wciąż nie wierzył, że Pacino każe go wyłączyć bez powolnego schłodzenia, ale Pacino nie zmienił zdania. Spojrzał na Pseuda i przejechał kantem dłoni po szyi.- Manewrowa, tu mostek. Odmawiam. Natychmiast wyłączyć diesla.

- Mostek, tu manewrowa. Tak jest. Wyłączam diesla - zabrzmiał na linii pełen irytacji głos Hobarta. Po kilku sekundach ryk diesla umilkł, na mostku zapadła względna cisza, spaliny rozwiały się. Na rzece słyhać było tylko lekki szum silników napędzających holowniki.

Przez następne minuty nie mieli nic do roboty poza obserwowaniem holowników ciągnących okręt po rzece, scenerii przedmieścia Portsmouth przed świtem, kilku świateł i rzadko przejeżdżających samochodów. Pilot Jake gawędził przez walkie-talkie z holownikami i próbował nawiązać rozmowę. Pacino ignorował go niemal zupełnie, spoglądał na głośnik i czekał na meldunek Hobarta. W końcu usłyszał:

- Mostek, tu manewrowa. Silniki główne ciepłe, napęd dołączony, gotowość do odpowiedzi na wszystkie dzwonki, odpowiedź cała stop.

- Dobra, Jake. Dzięki za podwiezienie. Dalej sobie poradzimy. Pilot spojrzał ze zdziwieniem na Pacina.

- Nie dopłynęliśmy jeszcze do Thimble Shoals, kapitanie - zaprotestował. - Miałem...

- Powiedziałem, że dalej sobie poradzimy. Zabieraj swoje holowniki.

- Wpadniesz pan na mieliznę, pańska sprawa - odparł pilot, wzruszywszy ramionami.

Zszedł po drabince z kiosku i wrócił na lewy holownik. Załogi holowników wciągnęły liny i wycofały się.

- Nawigator, tu mostek - powiedział Pseudo do mikrofonu. - Odnotować, że kapitan zwolnił pilota i holowniki.

- Mostek, tu nawigator. Tak jest.

- Pięć węzłów, panie Pseudo - rozkazał Pacino. - Przygotować pokład do zanurzenia, załoga na górze do środka.

- Sternik, tu mostek. Cała naprzód jedna trzecia.

W głośniku zatrzeszczało potwierdzenie sternika. Po raz pierwszy od prawie czterech miesięcy śruba „Seawolfa” obracała się i zostawiała za rufą biały spieniony ślad. Z przodu woda zaczęła gładko obmywać dziób w kształcie pocisku, aż podniosła się powyżej pierwszych pięciu metrów górnej powierzchni okrętu. Piana za rufą zamieniła się w kilwater, pokład pod stopami Pacina lekko drżał. Holowniki zostały kilkaset metrów z tyłu, ich diesle zagłuszył szum fali dziobowej. Poniżej, na pokładzie, uwijała się załoga. Marynarze pakowali liny do schowków, obracali kołki cumownicze w pozycję spoczynkową i dawali nura do włazów. Po kilku minutach pokład stał się gładki i opływowy, był przygotowany do zanurzenia.

- Góra gotowa do zejścia pod wodę, sir. Ostatni człowiek na dole. Pacino przyjrzał się ciemnej rzece na wprost. Szlak wodny był pusty.

- Zwiększyć szybkość do piętnastu węzłów.

- Sternik, tu mostek. Cała naprzód standardowa.

Fala dziobowa, która dotąd ledwo moczyła stożkowy przód okrętu, teraz ochlapwała górną powierzchnię kadłuba i ześlizgiwała się w tył, aż za kiosk. Kilwater rósł i rozplątał się za rufą. Szum wody narastał jak podczas sztormu. Pacino czuł przyspieszenie okrętu całym ciałem. Fala dziobowa zmyła z niego przygnębienie wywołane pobylem w stoczni, zastąpiła je radość, że znów dowodzi swoim okrętem, że prowadzi go tam, gdzie jego miejsce - na morze.

Pęd powietrza powodowany mchem okrętu wzrastał się. Uszy Pacina wypełniał świst wiatru i huk fali dziobowej, odgłos ogromnej mocy silników „Seawolfa”. Okręt płynął rzeką, dopóki za prawą burtą nie zostały nabrzeża Norfolk i drzemiące w świetle reflektorów okręty podwodne Siódmej Eskadry. Dalej na północ stały niszczyciele i fregaty, za nimi krążowniki, na końcu olbrzymy - lotniskowce. Ich pokłady górowały nad kioskiem „Seawolfa”. One też zostały za rufą, gdy Pseudo zrobił zwrot na wschód i wpłynął na szlak wodny Thimble Shoals Channel, wąski szlak, wytyczony oświetlonymi bojami, ciągnący się na południowy wschód aż po horyzont.

- Zwiększyć szybkość do maksymalnej - rozkazał Pacino. Pseudo uśmiechnął się.

- Na tym szlaku obowiązuje ograniczenie szybkości do piętnastu węzłów, sir.

- Zgadnij, co mnie to obchodzi.

- Sternik, tu mostek. Cała naprzód maksymalna.

- Mostek, tu sternik. Tak jest, cała naprzód maksymalna. Manewrowa odpowiada cała naprzód maksymalna.

- Mostek, tu manewrowa - zabrzmiał głos Hobarta, jeszcze bardziej poirytowany niż poprzednio, po tym, jak Pacino rozkazał zadzwonić maksymalną bez wcześniejszego włączenia pomp cyrkulacyjnych. Hobart musiał teraz zastosować procedurę awaryjnego obniżenia mocy reaktora, umchomić pompy i odzyskać kontrolę nad mocą. - Przeprowadzam szybkie wsunięcie... Uruchamiam pompy głównego obiegu chłodzenia...

Kilwater zakipiał, kiedy śruba podwoiła obroty. Pokład zadrżał, tym razem wyraźniej, fala dziobowa wzrosła, nie była już gładka, przepływając obok kiosku do śródkręcia,niosła fosforyzującą pianę, po czym załamywała się za mżą. Jej rozbryzgi dosięgały mostka, grzmot narastał. Zatoka rozszerzała się, łąd znajdował się już w odległości trzech mil morskich i oddalał się coraz szybciej. Okręt płynął teraz z prędkością dwudziestu pięciu węzłów.

- Mostek, tu manewrowa. Odpowiadam cała naprzód maksymalna.

Niebo przed nimi zaczynało jaśnieć, wstawał świt, przez chmury przebijało światło. Za plecami Pacina łopotąła bandera, fala dziobowa wyła, wilgotny wiatr huczał ogłuszająco. Dwa peryskopy zataczały szybkie kręgi - nawigator brał namiar wizualny na wyjście z zatoki, maszt radarowy obracał się co sekundę. Zanim okręt skierował się na południe i minąwszy Virginia Beach, wpłynął na obszar wodny, w którym następowało rozdzielenie ruchu jednostek wychodzących w morze, zza horyzontu wyłoniło się słońce. Pseudo skręcił na wschód i okręt wreszcie wydostał się na pełne morze. Łąd za rufą nikał w oddali, aż w końcu w zasięgu wzroku pozostały tylko najwyższe budynki hotelowe na wybrzeżu. Potem one też zniknęły i okręt został sam na oceanie. Wokół była już tylko granatowa woda, chmury, kawałki czystego nieba i słońce. Pacino zerknął na zegarek; do południa powinni znaleźć się poza szelfem kontynentalnym.

- Schodzę na dół, panie Pseudo. Dobra robota, ładnie nas wyprowadziłeś. Utrzymuj maksymalną aż do punktu zanurzenia.

- Tak jest, sir.

Pacino opuścił się na mostek, klepnął Courta w ramię, po raz ostatni spojrzął na poranny morski pejzaż, odetchnął świeżym powietrzem i zniknął we wnętrzu okrętu. Zawsze dotychczas potrafił się wyśmiewać z głosu, który mówił mu, że taki łyk świeżego powietrza może być ostatnim w jego życiu. Ale tym razem gdzieś daleko czał się ktoś, kto miał

nieznane plany i zamierzał zniszczyć jego okręt. Od śmierci mogły uratować Pacina tylko umiejętności i serca - własne i załogi.

Zszedł po drabince do wnętrza okrętu i zganił się w duchu, że za dużo rozmyśla.

24

Wtorek, 31 grudnia

Wschodni Atlantyk

Kiedy kapitan Kane wszedł przez właz do przedziału dziobowego, po raz pierwszy od chwili gdy nastąpiła eksplozja torpedy wystrzelonej z Destiny, pomyślał, że jego okręt może jednak przetrwać. Minęła godzina, odkąd razem z McDonne'em reanimowali reaktor, który teraz wytwarzał osiemnaście procent mocy i czekał na rozkaz rozkręcenia silników głównych. Urządzenia oczyszczające powietrze już działały i spalały tlenek węgla i wodór. McDonne uruchomił wysokociśnieniowy dopływ tlenu i włączył generator tlenowy nazywany „bombą”, bo produkował tlen i wodór z destylowanej wody morskiej - bardzo wybuchową mieszanekę. Kane wyciągnął wąż maski tlenowej z końcówki i podbiegł do następnej na panelu analizatora małej skrzynki, która pobierała próbki powietrza i badała poziom dwutlenku i tlenku węgla, węglowodorów oraz innych zanieczyszczeń. Otworzył pokrywę skrzynki i nastawił pokrętkę selektora tak, by urządzenie dokonało analizy powietrza na górnym poziomie przedziału dziobowego. Z wszystkich odczytów dotyczących skażenia wynikało, że powietrze jest dobre, choć zawartość tlenu mocno przekraczała wymagania normy, co było okolicznością korzystną - nadmiar tlenu mógł pomóc żyjącym odzyskać przytomność. Kane zastanawiał się, ilu ludzi zginęło. Ogarnęła go nagła wściekłość na Destiny i szybko sprawdził odczyty dla innych poziomów przedziału. Wszystkie były takie same, jak dla górnego poziomu. Odpiął gumowe taśmy wrzynające mu się w mokre od potu włosy, ściągnął maskę i na próbę odetchnął okrętowym powietrzem. Ruszył w kierunku dziobu, wepchnął maskę do schowka i wspiął się po drabince na górny poziom.

W sterowni zobaczył, że porucznik Houser jest już na nogach i rozciera ramię.

- Powietrze w normie - oznajmił Kane. - Zdejmij ludziom maski i schowaj je. Poszukaj głównego sanitariusza lub kogoś z jego ekipy i przenieście ofiary eksplozji do mesy załogi. Weź do pomocy wszystkich przytomnych, jakich znajdziesz.

- Reaktor okay, kapitanie? Wszystko gra?

- Jak na razie. Przygotowany do pełnej mocy i zasila oczyszczacze powietrza. XO rozgrzewa silniki główne. Daje popis na rufie. Kiedy zniesiecie ofiary na dół, zobaczymy, kogo mamy do pełnienia wacht. Sprawdzimy system utrzymywania stałego zanurzenia i zobaczymy, czy uda nam się oderwać od dna. Do roboty. Postawię zdrowych ludzi na nogi i sprawdzę, jak wygląda sytuacja na dziobie.

Houser miał ochotę zapytać, dokąd popłyną, jeśli podniosą się z dna, ale zrezygnował i przystąpił do działania. Podniósł jednego z operatorów ploterów z pokładu i zdjął mu maskę.

Kane wszedł przez przednie drzwi do sonaru, uważając, żeby nie nadepnąć leżących sonarzyistów. Sanderson rozcierał czoło. Wyglądał na obolałego.- Jak się czujesz, starszy?

Sanderson podniósł wściekły wzrok, ale nawet robienie groźnej miny zdawało się go męczyć. Kane pomógł głównemu sonarzyście wstać i posadził go w jednym z foteli przy konsoli Q-5.

- Dobrze by mi zrobił kubek mocnej kawy.

Kane poklepał bosmana po plecach i wyszedł przednimi drzwiami na korytarz.

W tunelu przedziału reaktorowego Tom Schramford rozmasował sobie głowę, chwycił się jednej z odsłoniętych rur XC i stanął na nogi. Odłączył maskę tlenową, poszedł wolno w kierunku rufy i zauważył, że palą się sufitowe światła fluorescencyjne. Wszedł przez ciasny otwór wjazdu do przedziału rufowego i zdumiał się, słysząc ryk pary w zbiornikach i głośne wycie turbin. Kurtyna gorącego, wilgotnego powietrza była miłym zaskoczeniem. Dotarł do kabiny manewrowej, zajrzał do środka i zobaczył krew na panelach. Na pokładzie leżały zwłoki operatorów. Jednym z nieżywych był chorąży Michę 11, oficer mechanik wachtowy, młodszy brat kolegi Schramforda z czasów college'u. Michell miał rozplątane gardło, przeciął je odsłonięty włącznik lub metalowy róg panela, obok jego ciała zebrała się na pokładzie kałuża krwi. Operatorzy paneli nie wyglądali tak przerażająco jak Michell, choć ich wyciągnięte do góry kończyny zastygły groteskowo w stężeniu pośmiertnym. Schramford zauważył, że strzałka wskaźnika mocy reaktora pokazywała osiemnaście procent, a temperatura chłodziwa spadła poniżej zielonej kreski, do dwustu pięćdziesięciu dziewięciu stopni. Naciągnął dźwignię prętów regulacyjnych i wysunął je o dwa centymetry, temperatura wolno wróciła na zieloną kreskę dwustu sześćdziesięciu jeden stopni. W sekcji wskaźnikowej panela zapaliła się pulsująca lampka alarmowa, ostrzegająca o wysokim promieniowaniu w przedziale reaktorowym. Schramford domyślił się, że eksplozja torpedy musiała spowodować częściowe stopienie elementów paliwowych i stąd wziął się ów wysoki poziom promieniowania. Spojrzał na prawy panel, obrócił kilka razy pokrętło przełącznika i zobaczył, że promieniowanie w przedziale reaktorowym dziesięciokrotnie przekracza normę. Górny

poziom przedziału rufowego, łącznie z kabiną manewrową, stanowił teraz strefę wysokiego promieniowania. Ale dawka nie była śmiertelna. Przynajmniej na razie.

Schramford wyszedł z kabiny manewrowej i w tylnej części górnego poziomu znalazł McDonne'a. XO stojąc między silnikami głównymi, wpatrywał się w tablicę wskaźników. Zauważył Schramforda i skinął głową.

- Cześć, inżynierze, kiepsko pan wygląda - powiedział, po czym zniknął za turbinami, żeby sprawdzić temperaturę łożysk.

Schramford wrócił do kabiny manewrowej, powyciągał stamtąd zwłoki i ułożył je w pomieszczeniu kontroli silników. Wszedł z powrotem do kabiny, znalazł szmatę oraz butelkę płynu czyszczącego i zaczął powoli zmywać krew z paneli.

Na przodzie okrętu, w mesie załogi, Houser i główny sanitariusz - rudowłosy i piegowaty bosman nazwiskiem Ives - zgromadzili ofiary. Niektórych żyjących położyli na sześciu stołach, innych na ławkach, kilku na pokładzie. Przykryli ich kocami. Ives naliczył dwudziestu dwóch ciężko rannych, którzy nie nadawali się do pełnienia służby. Połowa miała złamane kończyny, dziewięciu urazy głowy. Ci ostatni jeszcze nie odzyskali przytomności.

W sterowni Kane zebrał przy panelach obsługi balastu i sterowania okrętem załogę szkieletową z członków wachty. Zabrzęczał telefon na platformie peryskopowej. Dzwonił McDonne.

- Kapitanie, sprawdziłem system utrzymywania stałego zanurzenia i pomocnicze systemy wody morskiej. Schramford jest na rufie. Przygotowuje pompę ssącą do osuszenia przedziału rufowego. W przedziale reaktorowym jest wysoki poziom ścieków i musimy je wypompować. Mamy szefa wachty?

- Wyzaczyłem Hendersona. Coś mu się stało z ramieniem i ma nogę zwichniętą w kostce, ale poradzi sobie.

- Dobra. Niech wypompuje wodę z przedziałów. Chcę przetestować pompę trymującą zbiorniku balastowym numer 1, kiedy skończy.

Do sterowni wrócił Houser. Jego hawajska koszula była zboczona krwią. Stał obok platformy peryskopowej, gdy pompa ssąca zaczęła nabierać szybkości i usunęła wodę z przedziału rufowego, potem z reaktorowego, w końcu z zęz w torpedowni w przedziale dziobowym.

- Panie Houser, obejmuje pan pokład i platformę - powiedział Kane, kiedy do sterowni wszedł McDonne.

- Schramford został na rufie - oznajmił McDonne. - Ma wystarczającą liczbę ludzi do obsługi reaktora, ale nie do zanurzenia. Pełna obsada napędu przez całą dobę nie będzie możliwa. Musimy podwoić przydział stanowisk.

- Inżynier o tym zdecyduje, XO. Houser, spróbuj podnieść nas z dna i zobaczymy, czy mamy sterowanie zanurzeniem.

Houser potwierdził przyjęcie rozkazu i chwycił mikrofon zwisający na spiralnym przewodzie z sufitu nad platformą.

- Manewrowa, tu platforma. Podajcie status silników głównych.

- Platforma, tu manewrowa - zaskrzeczało w głośniku sufitowym. - Napęd na silnikach głównych, silniki główne rozgrzane, kręcimy wał, żeby utrzymać temperaturę łożysk głównych.- Tu platforma, przyjąłem. Szef wachty, ustawić pompę trzymającą na zbiornik numer 1. Masz poziom?

- System utrzymywania stałego zanurzenia ustawiony, odczyt poziomu dziewięćdziesiąt procent.

- Przyjąłem. Wypompuj zbiornik numer 1 do morza.

Szef wachty obrócił włącznik na panelu sterowania zanurzeniem. Na ekranie wyświetlacza zapaliły się kontrolki, gdy pompa nabrała obrotów i poziom wody w zbiorniku balastowym opadł. Mężczyźni w pomieszczeniu - Kane, McDonne, Houser i reszta wachty - wpatrzyli się w wykresy i czekali z napięciem, czy okręt uniesie się z dna, czy będzie potrzebował dalszej perswazji.

- Zbiornik numer 1 pusty, sir.

- Przełącz na zbiornik numer 2, szefie - rozkazał Houser ze zmarszczonym czołem.

Szef wachty wybrał na selektorze drugi regulowany zbiornik balastowy i wypompuwał zeń wodę do sucha. Ale okręt pozostał na dnie, odczyt na głębokościomierzu nie zmienił się i nadal strzałka pokazywała czterysta trzysta metrów.

- Przełącz na pomocniczy jeden.

- Wypompuję pomocniczy jeden.

Piętnaście minut później regulowane zbiorniki balastowe były suche, ale «Phoenix» uparcie tkwił na dnie. Houser zakończył operację podnoszenia okrętu za pomocą systemu utrzymywania stałego zanurzenia i dołączył do Kane'a i McDonne'a.

- Jakie wnioski, XO? - zapytał Kane.

- Musieliśmy ugrzęznąć w mule lub piasku - odparł McDonne. - Gdybyśmy uderzyli w skały, rozerwalibyśmy kadłub. Podejrzewam, że przy zderzeniu z dnem wybiliśmy krater

albo zaryliśmy się w muł i piasek powyżej burt i górnej części kadłuba. Cholera, możemy być na wół pogrzebani.

- Więc jak się wydostaniemy?

- Zrobimy opróżnienie awaryjne i damy pełną naprzód - powiedział Houser.

- A co z zasysaniem wody morskiej? - zapytał McDonne. - Jeśli jesteśmy zagrzebani, zasysacze, główny i pomocniczy, zatkają się i nie powinniśmy ryzykować dzwonienia pełnej.

- Musimy czegoś spróbować, XO - odparł Kane. - Houser, zrób skoordynowane opróżnienie awaryjne. Najpierw dziób, potem rufa. Z piętnastosekundową zwłoką między pierwszym i drugim. Opróżniaj rufę przez trzydzieści sekund, potem daj rozkaz do standardowej naprzód. Zadzwoń do inżyniera, żeby wiedział, co się szykuje.

Houser zawiadomił Schramforda, co zamierza, potem mężczyźni zebrali się ponownie w pobliżu platformy peryskopowej. Houser pochylił się w kierunku panela obsługi balastu.

- Szeffie, awaryjne opróżnienie dziobu.

Szef wachty sięgnął nad głowę i obrócił przednią dźwignię do góry do pozycji otwarcia. Ciszę w pomieszczeniu natychmiast przerwał huk sprężonego powietrza, wdmuchiwanego do dziobowych zbiorników balastowych. Mijały sekundy. Wokół panela obsługi balastu zaczęła się tworzyć mgła - rury stały się lodowate i wkrótce mgła wypełniła całą sterownię. Houser spojrzął na zegarek, potem krzyknął przez hałas sprężonego powietrza:

- Awaryjne opróżnienie rufy!

Bosman obrócił tylną dźwignię. Ryk w pomieszczeniu nasilił się. Obłok mgły rósł i przetaczał się nad pokładem. Okręt ani drgnął, głębokościomierz też nie.

- Cała naprzód standardowa! - zawołał Houser do sternika, który obrócił tarczę telegrafu maszynowni na panelu sterowania okrętem.

Pokład pod stopami Housera zadrżał i zatrzęsł się. I to było wszystko.

Zachodni Atlantyk

Szelf kontynentalny na wprost Norfolk w Wirginii USS „Seawolf”

Okręt wciąż płynął na powierzchni, gdy poranek stał się popołudniem. Pokład drżał od maksymalnej szybkości, przechylał się na lewą burtę pod kątem dziesięciu stopni, zamierał na moment i przechylał na sterburtę. Kołysanie działało usypiająco. Pacino stał na prawo od platformy peryskopowej i czuł, jak ogarnia go senność, która osłabiała jego czujność. Nie spał prawie wcale poprzedniej nocy. Zmusił się do koncentracji i spojrzął w lewo, gdzie

niezawodny głębokościomierz w sterowni pokazywał, jak opada dno pod kadłubem po przekroczeniu przez okręt stromej, podwodnej pochyłości szelfu kontynentalnego. Na platformie peryskopowej zabrzączał telefon. Oficer pokładowy Scott Court przyłożył słuchawkę do ucha, po czym oddał ją Pacinowi.

- Do pana, kapitanie.

- Kapitan - powiedział cicho Pacino i popatrzył na monitor telewizyjny z widokiem peryskopowym. Na obraz błękitnego oceanu i zachmurzonego nieba nakładała się siatka z podziałką odległości. Morze miało zdumiewająco szafirową barwę, tak jaskrawą, jakby monitor wymagał regulacji kolorów. Ale to, co widział z mostka, dowodziło, że z ekranem wszystko jest w porządku i piękny błękit morza jest prawdziwy.

- Tu mesa oficerska, sir. Joseph przy telefonie. Oficerowie i podoficerowie czekają na pańskie przybycie.

- Będę na dole za dziesięć minut. Powiedz nawigatorowi, żeby zaczął odprawę beze mnie. - Pacino odłożył słuchawkę i zauważył, że Court patrzy na niego od peryskopu. - Tak, OOD?

- Sir, proszę o zgodę na zanurzenie. Jesteśmy w wyznaczonym punkcie, okręt przygotowany, wachta w sterowni zmieniona. Głębokościomierz pokazuje tysiąc sto metrów. Kurs zero pięć pięć, cała naprzód maksymalna. Brak kontaktów wizualnych i sonarowych.

- W porządku. Zwolnić do dwóch trzecich i zejść na głębokość czterdziestu pięciu metrów.

Oficer zanurzenia polecił szefowi wachty włączyć sygnał alarmu zanurzeniowego i otworzyć zawory wszystkich głównych zbiorników balastowych, a wtedy na okręcie posypała się lawina rozkazów. Sternik zadzwonił dwie trzecie i wskazówka telegrafu maszynowni zadźwięczała w odpowiedzi, gdy kabina manewrowa z tyłu zmniejszyła prędkość okrętu. Bosman przy panelu balastu, słysząc sygnał zanurzeniowy, obrócił dźwignię alarmu nad konsolą.

- Zanurzenie, zanurzenie! - ogłosił szef wachty przez radiowęzeł. Dźwięk alarmu zanurzeniowego zabrzmiał po raz ostatni.

- Zawory wszystkich głównych zbiorników balastowych otwarte, sir - oznajmił bosman po naciśnięciu dwóch klawiszy funkcyjnych, które zmieniły zielone linie poziome na wyświetlaczu zaworów w czerwone kółka. Z głównych zbiorników balastowych na dziobie i rufie zaczęło uchodzić powietrze. Zastępowała je woda morska. Utrata wyporności spowodowała opuszczenie szczytu kadłuba o trzydzieści centymetrów w dół ku falom. Court

obrócił peryskop dokładnie na wprost i skierował w dół na pokład dziobowy. Z kadłuba uyskały strumienie mieszanki wodno-powietrznej, wydostającej się z otwartych zaworów.

- Odpowietrzanie dziobu! - zawołał Court.

Skierował peryskop na rufę i spojrzał w dół na pokład rufowy. Woda tryskająca z zaworów w pokładzie rufowym sięgała wyżej niż widok peryskopowy.

- Odpowietrzanie rufy.

- Trzynaście metrów! - krzyknął oficer zanurzenia.

Na monitorze telewizyjnym z widokiem peryskopowym pokład rufowy zaczął znikać w białej pianie i błękitnym morzu. Nad szczytem pokładu przelała się fala, rozeszła i spłynęła za burtę. Następna zasłoniła na moment pokryty zieloną farbą pokład.

- Pokład w wodzie - zawiadomił Court.

Okręt powoli pogrążał się w morzu, aż w końcu oficer zanurzenia zawołał:

- Dwadzieścia metrów, kiosk pod wodą!

Meldunek oznaczał, że okręt jest całkowicie zanurzony. Nad fale wystawał już tylko peryskop numer 2. Na monitorze peryskopowym niebieskie fale przybliżały się, aż znalazły się w zasięgu ręki.

- Dwadzieścia sześć metrów.

Fale na monitorze dzieliły teraz centymetry od wizjera na ekranie.

- Peryskop w wodzie! - zawołał Court, kiedy nad soczewką peryskopu zakipiała biała piana i przesłoniła cały widok. - Peryskop w wodzie...

Piana uspokoiła się i odsłoniła spód fal. Powierzchnia morza sprawiała teraz wrażenie odwróconej do góry nogami. Fale powyżej stale się oddalały.

- Peryskop pod wodą!

Fale w wizjerze znikaly i wreszcie przestały być widoczne w błękitnej mgle. Pozostały tylko wodorosty pływające w morzu.

- Dziób pięć stopni w dół! - zawołał oficer zanurzenia. Pokład pochylił się w dół, okręt oddalał się od powierzchni.

- Opuszczam peryskop numer 2 - powiedział Court, złożył uchwyty do góry, po czym obrócił hydrauliczny pierścień sterujący nad głową. Rura ze stali nierdzewnej powędrowała w dół i wsunęła się do szybu.

- Dziób zero, pięć stopni w górę na dziobowych sterach głębokości. Zanurzenie czterdzieści pięć metrów, sir.

- Cała naprzód jedna trzecia. Oficer zanurzenia, wytrzymować okręt.

- Będę w mesie oficerskiej, OOD - powiedział Pacino do Courta. - Kiedy będziesz miał wytrymowany okręt, zrób zanurzenie kontrolne na głębokość testową. Potem podejdź na sto osiemdziesiąt metrów i kieruj się do punktu Bravo na pełnej.

Punkt Bravo był znakiem na mapie, oddalonym o około pięciuset mil morskich na wschód-północny wschód od Norfolk i oznaczał uzgodnione miejsce, w którym Pacino miał otrzymać pewne instrukcje od Steinmana i Doncheza. Bez zamiaru na Destiny misja byłaby niewypałem.

Pacino wspiął się po drabince na środkowy poziom, skręcił za róg kambuza, wszedł do zatłoczonej mesy oficerskiej i przecisnął się do szczytu stołu, gdzie czekało jego miejsce siedzące i parująca kawa w kubku z emblematem okrętu - łbem wilka szczerzącego kły i sylwetką kadłuba okrętu podwodnego w tle. Hemy Vale, nawigacyjny geniusz z Harvardu, stał przy płaskim ekranie telewizyjnym o dużej ostrości obrazu ze wskaźnikiem w ręku. Na monitorze widniał profil okrętu podwodnego klasy Destiny.

- Kontynuuj, nawigatorze - powiedział Pacino.

- Sir, zapoznaliśmy się już z parametrami Destiny, naszymi instrukcjami, żeby go znaleźć i posłać na dno, wiemy też, że zatopił nasze dwa okręty klasy 688. Wszyscy mamy pytania, chcemy się dowiedzieć, jaka jest misja Destiny i dlaczego tak zażarcie walczył, żeby wydostać się z Morza Śródziemnego.

Kiedy Vale to mówił, pokład pochylił się pięć stopni w dół. Oficer pokładowy sprowadzał okręt o pierwsze piętnaście metrów niżej, na głębokość testową, żeby sprawdzić, czy łata na kadłubie po montażu wyrzutni Vortexów wytrzyma ciśnienie.

- Na pokładzie jest Sihoud - oznajmił Pacino i pociągnął łyk gorącej kawy.

Panel odczytu sterowania okrętem wmontowany w skrytkę obok fotela Pacina pokazywał siedemdziesiąt pięć metrów. Pokład znów się pochylił, Court sprowadzał okręt głębiej. Kadłub skrzypiał przez moment.

- Możliwe - ciągnął Pacino - że przekrada się na Destiny z Afryki wokół przylądka. Albo płynie do jakiejś kryjówki...

Tłum zgromadzony w mesie zaniemówił. Fakt obecności Sihouda na pokładzie Destiny nie został jeszcze odtajniony. Pacino zdecydował się ów fakt teraz ujawnić - uznał bowiem, że w ten sposób zapewni sobie pełną pomoc swojej załogi w poszukiwaniach zabójczego okrętu podwodnego ZIF. Ciszę przerwał głośny trzask na górze. Okręt zanurzył się głębiej i kadłub skompensował ciśnienie morskie. Pokład na kilka minut wrócił do poziomu.

- Nasz plan operacyjny prowadzi nas tutaj - powiedział Vale i na monitorze ukazał się Atlantyk widziany z lotu ptaka, jakby obserwator orbitował tysiące kilometrów nad ziemią. Wykropkowana czerwona linia wyginała się od Norfolk do punktu Bravo. - Podejźmy na głębokość peryskopową i dostaniemy namiar z satelity. Jeśli dopisze nam szczęście, do tego czasu będzie już świeży trop Destiny. Jeśli nie, zostaniemy tam na dużym obszarze sektora poszukiwań sonarowych, dopóki go nie wywęszymy.

- Sir - odezwał się główny mechanik Dave Hobart. - Po co mamy zostawać na zachodnim Atlantyku, skoro Destiny wypływa z Morza Śródziemnego? Coś tu jest pochranione, wie pan? Jeśli tamten naprawdę okrąży przylądek, nie dorwiemy go na zachodnim Atlantyku, wie pan? - Język Hobarta był zawsze pełen „wie pan?”

Pacino zastanowił się nad wypowiedzią Hobarta. Była logiczna, tyle że jej podstawę stanowiło to, co główny mechanik wiedział o całej sprawie. Ale na razie nie chciał wykluczać podejrzeń Doncheza, że Destiny może kierować się na zachód. Kierować się na zachód... Po co?

- Taki jest rozkaz - odparł Pacino. - Wiele może się wydarzyć do jutra rana, kiedy tam dotrzemy. Atlantyk przeszukują niszczyciele klasy Burke, Oriony P-3, helikoptery LAMPS, sieć hydrofonów podwodnych SOSUS i nasze satelity szpiegowskie. Jeśli coś gdzieś wyskoczy, popłyniemy tam.

Hobart nie był jeszcze przekonany.

- No, nie wiem, kapitanie. To wciąż podejrzanie brzmi, wie pan? Po pierwsze, dlaczego Dowództwo Floty Podwodnej na Atlantyku nie wyśle kilku eskadr 688 jako zaporowej pikiety sonarowej, żeby słuchały wszystkie jednocześnie, wie pan? Przecież mogłyby przeszukać większy obszar niż my w pojedynkę.

Pacino miał zamiar powiedzieć Hobartowi, że na razie okręty klasy Los Angeles nie wykryły Destiny, dopóki tamten nie był tuż przy nich lub nie wystrzelił torpedy w ich kierunku. Przeszkodził mu brzęczyk telefonu z platformy peryskopowej.

- Kapitanie, tu oficer pokładowy. Okręt jest na stu osiemdziesięciu metrach. Proszę o zgodę na przygotowanie do głębokiego zanurzenia i zejście na głębokość testową.

Powtarzacz odczytu sterowania okrętem pokazywały sto osiemdziesiąt metrów. Pacino prawie nie dostrzegał pochyień i poziomowań pokładu przy schodzeniu na tę głębokość. Ciekawe, pomyślał, czy łąta po montażu wyrzutni Vortexów wyfrzyma. Jeśli nie, ich misja wkrótce się skończy.

- Zaraz tam przyjdę - odpowiedział i wstał. - Czas sprowadzić okręt głębiej, panowie. Dokończymy odprawę, kiedy będziemy mieli więcej danych. XO, chodźmy do sterowni.

Scott Court rządził sterownią z podwyższonej platformy peryskopowej, opierając się o reling.

- OOD, przygotować okręt do głębokiego zanurzenia i sprowadzić w dół. XO, chciałbym, żebyś tu został. Będę w torpedowni.

Vaughn skinął głową, a Pacino wyszedł na tylny korytarz i przeszedł między kajutą swoją i swego zastępcy, położonych po lewej stronie, a kabiną radiową i obrony elektronicznej - po prawej. Korytarz kończył się przy przegrodzie przedziału, skąd jego odnoga prowadziła do wjazdu do tunelu przedziału reaktorowego. Pacino wybrał inny kierunek, zszedł stromymi i wąskimi schodkami na dolny poziom, minął magazyn, pomieszczenie dla silnika zapasowego, w którym drzemał masywny diesel, i dotarł do drzwi torpedowni. Jej wnętrze było kiedyś przestronne, gdy nie spoczywały w nim torpedy, i ciasne, gdy pociski je wypełniały, a teraz było tutaj tak mało miejsca, że Pacino ledwo się przecisnął obok trzech gigantycznych i bezużytecznych wyrzutni Vortexów przy sterburcie. Każda miała średnicę jednego metra, zaczynała się przy przegrodzie pomieszczenia, ciągnęła w kierunku rufy i przechodziła przez ścianę magazynową. Stocznia musiała przeciąć magazyn na pół, żeby zmieścić wyrzutnie, które wypełniły całą prawą część torpedowni. Wszystkie były podobne do tej, jaką Pacino widział przez chwilę na „Piranhi” tuż przed testem pocisku Vortex, zakończonym eksplozją i zatonięciem okrętu. Lewą część pomieszczenia zostawiono w spokoju, ale liczba torped zmniejszyła się z pięćdziesięciu do dwudziestu czterech, łącznie z trzema załadowanymi do lewych wyrzutni. Wielki krok wstecz, pomyślał Pacino. Przypomniał sobie, co powiedział Donchezowi, i znów odczuł rozczarowanie starszego mężczyzny fiaskiem programu Vortex. Pośpiech spowodował, że stocznia pozostawiła nowe uzbrojenie na okręcie. Systemy wystrzeliwania były sprawne, pociski tkwiły w hermetycznych, jednorazowych wyrzutniach, choć Pacino nalegał, żeby je usunąć. Ładunek stałego paliwa rakietowego zmagazynowany tuż przy kadłubie był niebezpieczny dla okrętu - w wypadku trafienia torpedą eksplozja paliwa stałego byłaby gwałtowniejsza niż głowicy bojowej Nagasaki. Pacino pokręcił głową, gdy posuwał się wolno naprzód do końca torpedowni, gdzie masywne wyrzutnie stykały się ze stalą kadłuba.

Wyrzutnie Vortexów przechodziły przez przednią przegrodę i ciągnęły się dalej w kierunku dziobu. Przecinały przestrzeń, w której kiedyś znajdował się zbiornik wodny, otaczający wyrzutnię torped. Nowo powstałą próżnię wypełniały urządzenia sterujące otwieraniem ciężkich wrót wylotowych wyrzutni pocisków i potężna instalacja hydrauliczna. Torpedzista w słuchawkach przedostał się przejściem między rurami do kadłuba, który ogołocono z pianki izolacyjnej, żeby obejrzeć spawy po zanurzeniu okrętu na głębokość

testową. Pacino dotarł do przejścia i nie wchodząc między rury, oświetlił latarką łąkę na kadłubie.

- Jak to wygląda?

- Na razie żadnych przecieków, sir! - zawołał torpedzista.

Szef torpedowni, młody facet nazwiskiem Riesen, prawdziwy okaz zdrowia, stał ze słuchawkami na uszach przy lokalnym przednim panelu sterowniczym. Spojrzał w kierunku rufy na Pacino i zawołał:

- Schodzimy na dwieście piętnaście metrów, kapitanie!

Pacino machnął mu ręką, kadłub pochylił się, skrzypiąc i trzeszcząc od ciśnienia morskiego. Na głębokości dwustu piętnastu metrów pokład wypoziomował się. Torpedziści obejrzelili spawy, czy nie przeciekają. Po pięciu minutach postoju okręt zszedł na głębokość dwustu czterdziestu pięciu, potem dwustu siedemdziesięciu pięciu metrów. Po czterdziestu minutach zanurzenie doszło do czterystu sześćdziesięciu metrów. Pacino obserwował załogę torpedowni. Mężczyźni zaczęli zdradzać nerwowość. Szarpali kołnierzyki, które nagle wydały się za ciasne, i patrzyli w górę, jakby chcieli zobaczyć powierzchnię oceanu ćwierć mili morskiej nad ich głowami.

- Okręt na głębokości testowej - wołał, przeciągając po teksasku samogłoski Vaughn.

Przy łące na kadłubie powstało zamieszanie. Pacino podszedł bliżej, by zobaczyć, co się dzieje. Kilka strumyczków wody tryskało na przegrodę panelu. Otworki mogły mieć średnicę łebka szpilki.

- Mamy przecieki, kapitanie - zameldował torpedzista. - Trudno dokładnie powiedzieć gdzie, ale na pewno ze spawów.

Pacino chwycił słuchawkę telefonu do sterowni.

- Tu kapitan. Podnieść okręt na sto dwadzieścia metrów.

Pokład odchylił się do góry pod kątem dwudziestu stopni. Pacino wspiął się po schodkach na środkowy poziom i poszedł nachylonym korytarzem w górę do sterowni. Court poziomował na stu dwudziestu metrach, kiedy Pacino wszedł do pomieszczenia.

- Spawy na kadłubie przeciekają - oznajmił Pacino. Czuł, że wzbiera w nim wściekłość na stoczniovców.

- Ale nie zawróci pan? - odrzekł Vaughn. Zabrzmiało to jak stwierdzenie, nie pytanie.

- Nie. Płyniemy dalej. Panie Court, nie głębiej niż sto osiemdziesiąt metrów. Chyba że ja jestem na platformie. Zaznacz to na tablicy statusu.

- Tak jest, sir.

- Cholerne wyrzutnie Vortexow - odezwał się Vaughn. - Kupa złomu.

- Ty to powiedziałaś - odparł Pacino. - OOD, będę w swojej kajucie. Płyn do punktu Bravo.

W kajucie kapitańskiej Pacino ochlapał twarz wodą i przebrał się w czarny kombinezon z nowymi delfinami i naszywką z nazwiskiem. Opadł w głęboki, wyściełany fotel z wysokim oparciem, stojący u szczytu stołu konferencyjnego, i przymknął na chwilę oczy. Potem wyjął dziennik okrętowy opatrzony tytułem *Nocne rozkazy kapitana*, wpisał kilka akapitów i zadzwonił po kawę. Kucharz przyniósł z mesy parujący dzbanek. Pacino polecił mu zanieść dziennik okrętowy Courtowi na platformę. Zrezygnował z kawy, wdrapał się na wąską koję i przymknął powieki. Pomyślał, że trzeba zgasić światło, ale zasnął, zanim zdążył wstać, żeby sięgnąć do włącznika. Co za ulga.

25

Wtorek, 31 grudnia

Wschodni Atlantyk USS..Phoenix”

Houser musiał przekrzykiwać huk nadmuchu awaryjnego.

- Przerwać nadmuch! Cała stop!

Hałas sprężonego powietrza ucichł, gdy szef wachty z powrotem pociągnął dźwignie nadmuchu w dół. Telegraf maszynowni zadzwieczał, kiedy jego wskazówka obróciła się do pozycji „Stop”. Wskazówka odpowiedzi z kabiny manewrowej zrobiła to samo.

- Podać głębokość.

- Czteryście piętnaście metrów - zameldował spokojnym głosem oficer zanurzenia.

- Kapitanie, rozbujamy go śrubą i wydostaniemy się. Najpierw cała naprzód, potem wstecz. Zbiorniki balastowe są już pełne powietrza. Musi nas wsysać muł, dlatego stoimy.

McDonne zmarszczył brwi.

- Nadmuch awaryjny nie tylko pompuje zbiorniki. Z zaworów na pewno uchodzi na zewnątrz tyle sprężonego powietrza, że powinno nas wypchnąć z mułu lub piasku - powiedział.

- Przed dziobem może być skała albo jakaś inna przeszkoda - odrzekł Kane. - Spróbujmy najpierw zadzwonić wstecz i odczekać pełną minutę, zanim ruszymy naprzód.

- Jaka szybkość?

- Pełna wstecz.

- Tak jest, sir. Sternik, cała wstecz pełna.

Telegraf maszynowni znów zadzwieczał. Pokład zaczął lekko wibrować, potem drżenie przeszło w gwałtowne dygotanie. Kane'owi przypominało to trzęsienie ziemi. Pokład zaczął się przechylać na lewą burtę, potem na dziób. Pochyłomierz pokazał dwa stopnie w lewo i trzy w dół. Wartości wydawały się małe, ale były mocno wyolbrzymione przez ludzką percepcję. Kilka stopni przechyłu wystarczyło, by ołówki staczały się ze stołów, a książki zsuwały na pokład. Wskazówka sekundowa staromodnego mosiężnego chronometru wędrowała powoli wokół tarczy. Kadłub trzął się coraz bardziej. Kane właśnie miał rozkazać Houserowi, żeby zadzwonił pełną, gdy okręt szarpnął.

- Trzymać wstecz.

Pokład pochylił się niżej na dziób. Dno okrętu uniosło się, rufa zadarła do góry. Ciągnęło ją powietrze w zbiornikach balastowych. Okręt znów szarpnął, tym razem gwałtowniej. Kane wpadł na peryskop numer 2, pokład pod nim poszedł ostro w dół. Zerknął na pochyłomierz. Wskazywał trzydzieści stopni.

- Tak trzymaj, Houser - rozkazał Kane. Czuł przyptyw adrenaliny, waliło mu serce, pokład tak się pochylił, że nie potrafił już tego znieść. - Okay, wystarczy.

- Sternik, cała stop!

Szybkościomierz wciąż wskazywał zero, ale nie działał przy ruchu okrętu wstecz.

- Nadmuchi awaryjny dziobu - rzucił Kane.

McDonne zgromił go wzrokiem, ale Houser wykonał rozkaz. Szef wachty po raz kolejny sięgnął nad głowę i przestawił przednią dźwignię w pozycję nadmuchu. Butle ciśnieniowe wypuściły sprężone powietrze do dziobowych zbiorników balastowych.

- Ciśnienie sprężonego powietrza spada, sir - zameldował szef wachty.

- Przerwać nadmuchi - rozkazał Houser, spojrzął na Kane'a i wzruszył ramionami.

- Houser, zadzwoni jedną trzecią i daj pełny wznios na wszystkich płatach.

- Tak jest, sir. Sternik, cała naprzód jedna trzecia. Zanurzenie, pełny wznios na stabilizatorach i rufowych sterach głębokości.

Kane i Houser zgarbili się nad stanowiskiem sterowania okrętem i obserwowali głębokościomierz. Kane pomyślał, że po jego rozkazie „cała naprzód” okręt może się z powrotem zaryć w mule na dnie, ale przy takim ostrym kącie pochylenia dziobu w dół nie mógł nadal cofać okrętu. Przy ruchu wstecz nie dawało się sterować, na rufowych sterach głębokości nie sposób było polegać. Okręt mógł się ustawić całkiem pionowo, ze zbiorników balastowych uszłoby wtedy całe powietrze i kadłub zagłębiłby się z powrotem w dno jak strzała, która utkwiała w mule. Instalacja parowa wyłączyłaby się, bo grawitacyjny system osuszania przestawał działać przy pochyleniu pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Utknęliby

na dnie na zawsze i byliby zmuszeni do ewakuacji z głębokości testowej, co oznaczało pewną śmierć. Pokład znów lekko zadrżał i wskazówka szybkościomierza wspięła się od ogranicznika zerowego do jednego węzła, potem do dwóch. Wskaźnik wzniosu stabilizatorów zamontowanych na kiosku pokazywał kąt trzydziestu pięciu stopni, na rufowych sterach głębokości było czterdzieści. Pokład nagle wrócił do poziomu i odchylił się do góry. Wskazówka szybkościomierza doszła do czterech węzłów, potem do sześciu, wreszcie do dziesięciu. Pokład nadal odchyłał się do góry, kąt przekroczył trzydzieści stopni i osiągnął czterdzieści.

- Kontroluj sytuację, Houser! Wykorzystaj szybkość okrętu do pokonania wyporności!

- Zanurzenie, dziób poniżej pięciu stopni. Sternik, cała naprzód pełna i ustabilizować.

Szef wachty, odpowietrzyć wszystkie główne zbiorniki balastowe. Zanurzenie, podejść na sto pięćdziesiąt metrów.

Kane zerknął na głębokościomierz analogowy. Wskazania zmieniały się szybko. Pokład wciąż był odchylony do góry pod kątem prawie czterdziestu stopni. Powietrze w zbiornikach balastowych próbowało wyrzucić okręt raptownie na powierzchnię w niekontrolowanym wynurzeniu alarmowym. Wskaźnik na panelu balastu pokazywał otwarcie zaworów zbiorników. Powracająca woda starała się wypchnąć powietrze. Wskazówka prędkościomierza szła w górę. Piętnaście węzłów, dwadzieścia... W końcu szybkość okrętu zatriumfowała nad potężną siłą wyporności, jakby okręt podwodny zmienił się ze sterowca lecącego do góry w samolot. Wyporność nie była już tak ważna, jak siła wody na powierzchniach sterów. Pokład wrócił do poziomu, dygotanie ustało. Wskazówka głębokościomierza wspięła się powoli z dwustu metrów do stu pięćdziesięciu, szybkościomierz zatrzymał się na dwudziestu pięciu węzłach.

- Zwolnij, OOD. Dziesięć węzłów. Sprawdź, czy w zbiornikach balastowych jest jeszcze powietrze.

Houser wykonał rozkaz i okręt zwolnił. Zanurzenie ustabilizowało się. Kane zmniejszył szybkość do pięciu węzłów, nie zmieniając głębokości. Zbiorniki balastowe znów były zalane.

- Zamknąć zawory.

- Wszystkie zawory zamknięte, sir.

Kane spojrział na panel. Wszystko wydawało się na tyle w porządku, że powinni dopłynąć do domu. Poczul, że jego serce znów bije w normalnym tempie.

- Bardzo dobrze - powiedział Houser. - Kapitanie, okręt jest na kursie dwa dziewięć zero, głębokość sto pięćdziesiąt metrów. Proponuję podejść wyżej i nawiązać łączność.

Dowództwo uważa, pomyślał Kane, że jesteśmy martwi i leżymy na dnie wśród szczątków okrętu. Houser ma rację. Czas zawiadomić świat, że „Phoenix” wraca.

- Houser, daj tu szefa radiowców. Chcę, żeby sprawdzili sprzęt, zanim podejdziemy do powierzchni. Dostaliśmy zdrowo w dupę. Znajdź też Sandersona, powiedz mu, że chcę znać status sonaru. I przyślij na górę szefa techników kierowania ogniem Gessupa. Jensena też. Trzeba zobaczyć, co z elektroniką nawigacyjną. Jeśli systemy elektroniczne funkcjonują, podejdziemy do góry i damy szefostwu cynk o nas i Destiny.

- A potem, sir?

- Co mówi doktorek o rannych? Tydzień zrobi wielką różnicę?

- Chyba nie myśli pan o Norfolk? - zapytał Houser. - Byłem z Ivesem w mesie. Tamci faceci potrzebują pomocy. I to szybko. Pan tu rządzi, kapitanie, ale gdybym ja dowodził tym wrakiem, skierowałbym się gdzieś cholernie blisko. Do Szkocji, Liverpoolu albo Roty.

- Wszystko zależy od elektroniki, Houser - odparł Kane. - Jeśli okręt jest na tyle sprawny, że przeplynie Atlantyk, poproszę o zabranie rannych helikopterem i doprowadzę naszą łajbę do domu. Po tym, co przeszła, potrzebny jej suchy dok. Port w Faslane nie nadaje się. A bez torped i tak nie możemy walczyć. Ale bez sonaru i kierowania ogniem nie zaryzykuję dalekiego rejsu.

Kane spojrział w dół na ciemne ekrany komputerowe centrum ataku i nagle uświadomił sobie, że tak ważna, lecz delikatna elektronika jest zapewne całkowicie zniszczona. Cud, że działał reaktor i instalacja parowa. Ale trzydzieści lat wcześniej, kiedy sam admirał Rickover osobiście zaprojektował większość podzespołów układu napędowego USS „Nautilus”, systemy były całkowicie kulo odporne. Konstruktor zrezygnował z używanych wtedy elektronowych lamp próżniowych na rzecz wzmacniaczy magnetycznych, gigantycznych rdzeni stalowych, będących szczytem techniki w późnych latach trzydziestych XX wieku. Od roku 1954 lampy elektronowe zastępowano tranzystorami, potem układami scalonymi, w końcu mikroprocesorami. Mimo to w instalacjach jądrowych zachowały się wzmacniacze magnetyczne, toteż sterowniki obrotów silników-generatorów miały wymiary lodówki, choć mogłyby mieć wielkość paznokcia, gdyby zastosowano mikroprocesory. Atomiści trzymali się staromodnych kulo odpornych systemów i unikali mikroelektroniki. Wyjątkiem były systemy bezpieczeństwa reaktora, choć też trzykrotnie za duże, mimo nacisków konstruktorów okrętów, by oszczędzać każdy metr sześcienny przestrzeni na pokładzie. Te decyzje wydawały się teraz racjonalne, gdyż po uderzeniu w dno z pięciokrotnym przyspieszeniem ziemskim, instalację reaktora udało się uruchomić bez

problemu, podczas gdy bardziej nowoczesne systemy komputerowe w części dziobowej okrętu mogły już nigdy nie zadziałać.

Pierwszy zjawił się Sanderson. Wyglądał na wykończonego. Starszy bosman radiowiec Binghamton wkroczył, utykając, z szyną na kolanie. Był ogolonym na łyso mięśniakiem i przypominał Mr Cleana z reklam domowych środków czyszczących o tej nazwie, brakowało mu tylko kolczyków w uszach i wzrostu; w butach mierzył niewiele ponad metr sześćdziesiąt. Jego sposób bycia często się zmieniał, potrafił z zabawnego, umiejącego podnieść podwładnych na duchu faceta przekształcić się nagle w twardego despotę. Nikt na okręcie nie nazywał go otwarcie Bingy od czasu, gdy w pierwszym tygodniu jego pobytu na pokładzie kilku radiowców (i jeden bosman) wylądowało na przegrodach, gdy sobie na to pozwolili. Binghamton uwielbiał dawać rady, zwłaszcza tym, którzy ich nie potrzebowali, na przykład McDonne'owi. Ale wszyscy lubili Binghamtona, wszyscy z wyjątkiem Edwina Sandersona. Kane mianował Binghamtona szefem załogi, najważniejszym podoficerem na okręcie. McDonne udawał, że się z tym nie zgadza, gdyż obaj mężczyźni uważali się za ekspertów od dowodzenia ludźmi. Podczas tego rejsu Binghamton był w doskonałym humorze; mówiono, że niedługo zostanie bosmanem sztabowym. Ale teraz Binghamton miał wściekłą minę. Milczał, dopóki nie odezwał się Kane. Przyszedł też elektronik, mat Edwards, jego brodata twarz miała ponury wyraz.

- Gdzie bosman Gessup? - zapytał Kane.

Gessup był szefem techników kierowania ogniem i Kane chciał się od niego dowiedzieć, jaki jest status systemu.

- Pił coś w mesie załogi - odrzekł Edwards - i nagle padł. Doktorek powiedział, że to wstrząs, ale Gessup wyglądał jak mój stary, kiedy dostał zawału...

- Okay, Edwards. Zostań tutaj. - Kane spojrzał na zebranych. - Reaktor pracuje i jesteśmy w drodze do domu; przynajmniej na razie. Muszę wiedzieć, czy możemy pozostać w zanurzeniu i chcę wysłać wiadomość o Destiny. Najpierw radio. Jaki jest status, starszy?

- Szmelc, kapitanie. Każda skrzynka. Wyjmuję części z systemów i próbuję złożyć jeden sprawny. Chyba uda mi się zmontować nadajnik do anteny Bigmouth, ale szyfrator jest rozpieprzony. Lepiej niech pan się liczy z tym, że wróg usłyszy wszystko, co pan powie.

- A co z boją SLOT?

- Wszystkie rozwalone w cholere. Żadna nie działa i nie da się ich naprawić. Brak części zamiennych.

- Kiedy będziesz mógł wysłać wiadomość?

- Za dziesięć minut, ale to nie znaczy, że Bigmouth będzie działać. Mogę tylko czekać, aż będziemy gotowi do nadania komunikatu.

- Okay, starszy. Bierz się do roboty. Napiszę wiadomość, jak będziesz miał sprawny sprzęt. Sanderson, co z sonarem? Destiny nadal gdzieś jest i nie chcę znów wpaść w jego pułapkę. Ani zderzyć się z jakimś głupim supertankowcem, kiedy podejmiemy do powierzchni.

- Potrzebuję czasu, kapitanie. Niektóre karty są zniszczone i trzeba je wymienić. Muszę też sprawdzić każdy hydrofon...

Kane zmarszczył brwi. Wiedział, że Sanderson jest perfekcjonistą, ale nie mógł mu ustąpić. Nie mieli czasu na takie zabawy.

- Olej to, starszy. Wymień zniszczone karty, odpuść sobie sprawdzanie pętlowe i uruchom system. Nie obchodzi mnie, czy będzie zredukowany status, czy tylko szerokie pasmo. Okręt musi mieć uszy i to zaraz.

- Zrobię, co będę mógł, kapitanie. Ale nie obiecuję, że...

- Przestań chrzanić i załatw to, Sandy - wtrącił się Binghamton. Sanderson poczerwieniał na twarzy, ale poszedł do pomieszczenia ze sprzętem sonarowym w części dziobowej.

- Kierowanie ogniem, Edwards?

- Padła stacja dysków, sir. Daliśmy zapasowe i okazały się okay. Wymieniliśmy już tuzin kart, teraz robimy drugi. Jak skończymy, komputery będą prawie jak nowe. O ile wszystkie części zamienne są dobre. Nie mamy więcej. Jeśli jedna z tych płyt drukowanych jest uszkodzona, to koniec. Ładowanie modułów zajmie nam pół godziny, potem inicjalizacja mniej więcej godzinę, więc za około dziewięćdziesiąt minut system powinien być w normalnym trybie pracy. Ale to nam nic nie da bez sonaru.

- Róbcie swoje. Nawigacja?

Nawigator Mike Jensen pojawił się w chwilę po tym, jak Edwards zaczął mówić. Jensen - jeden z supergwiazdorów wśród oficerów średniego szczebla - był czarnym, wysokim i barczystym przystojniakiem. Ukończył Akademię w gronie pięciu procent najlepszych na swoim roku, był drugi w kolejności do stypendium Rhodesa, potem studiował fizykę w Stanford. Miał opuchniętą, zniekształconą twarz i bardziej przypominał boksera niż naukowca. Prawą rękę trzymał na temblaku z szyną uformowaną z przewodu powietrznego. Sprawiał wrażenie, jakby zmagał się z bólem, ale nie uznawał lekarstw ani używek, nawet aspiryny czy kawy. Pewnie nie wziął przepisanych środków przeciwbólowych, pomyślał Kane.

- GPS NavSat wydaje się w porządku. Autodiagnostyka usunęła kilka wirusów i patrzyliśmy na niego, ale pokazuje tę samą pozycję, na której byliśmy tuż przed chwilą, gdy zostaliśmy trafieni. Inercyjny system nawigacyjny nie działa i wysiadł na dobre. Zmiotło kulę. Ale podoficerowie w sterowni mówią, że wystarczy im ołówek, kalkulator i kompas.

- Okay. Jak się czujesz?

- Jak nigdy. Pęknięta czaszka zapewnia przyjemne uczucia, nie sądzi pan, sir?

- Dowcipas - odrzekł Kane. - XO, przygotuj mi wiadomość z pozycją od Jensena i miejscem spotkania z Destiny.

- Tak jest, sir.

Z przodu, w sonarze, kiedy inicjalizacja Q-5 została zakończona, wyświetlacz szerokopasmowy Sandersona zaczął pokazywać kaskadę spływającą w dół ekranu. Sanderson był na początku długiej autodiagnostyki i nie zamierzał zawiadomiać platformy, że już mają szczątkowy sonar; nie po ostrych słowach, które padły w sterowni. Ale przeszła mu złość, gdy w dół ekranu spłynął ślad szerokopasmowy z pierwszymi dźwiękami. Kontaktem był inny okręt. I był blisko. Pod wodą.

Destiny był tak blisko, że groziła im kolizja.

OPSM „Hegira”

System komputerowy okrętu, nieoficjalnie Drugi Kapitan, miał długą nazwę oficjalną - Modułowy System Zarządzania i Warstwowej Sieci Neuronowej Sztucznej Inteligencji YEEM-G-Destiny-Hull-1. Wyprodukowała go Wytwórnia Elektronicznych Urządzeń Bojowych Yokogawa. Wielu psychologów porównywało jego architekturę do mózgu ludzkiego. Zapewne tylko w taki sposób operatorzy mogli zrozumieć ten sprzężony system interakcyjny.

Niższymi elementami systemu sztucznej inteligencji były sensory - hydrofony sonaru, anteny obrony elektronicznej, detektory przepływu neutronów w reaktorze jądrowym oraz wskaźniki pozycji zaworów i włączniki pomp - działające jak komórki nerwowe. Monitorowaniem i zarządzaniem podstawowymi czynnościami na okręcie - takimi jak sterowanie reaktorem, oczyszczanie powietrza i podtrzymywanie życia, sterowanie głębokością, kierowanie ogniem - zajmowały się moduły przetwarzająco-zarządzające o funkcjach podobnych do pnia mózgu ludzkiego, sterownika rytmu serca i pocenia się. Moduły te otaczały elementy wykonujące funkcje wyższego rzędu, związane z działaniem sonaru i monitoringu elektronicznego. Sonar i monitoring elektroniczny służyły okrętowi do

orientowania się w środowisku zewnętrznym - spełniały taką rolę, jak wzrok i dotyk u organizmów żywych. I podobnie jak mózg ludzki ma całe rejony płatów przeznaczone dla wzroku i dotyku, Drugi Kapitan miał warstwową modułową sieć neuronową z oddzielnymi węzłami do przyjmowania, rozpoznawania i interpretacji danych sonarowych i elektronicznych. Same węzły neuronowe sprawiały, że superkomputery z poprzedniego dziesięciolecia wydawały się prymitywne... ich logika nie miała twardego okablowania. Węzeł sonarowy potrafił przetwarzać jednocześnie ogromne liczby danych w czasie rzeczywistym, składając je na wyższych poziomach warstwowej sieci neuronowej w rozpoznawalne interpretacje środowiska zewnętrznego.

Funkcje najwyższego rzędu wykonywały neuronowe moduły asemblerów sztucznej inteligencji, część złożonej całości komputera, o której w literaturze szkoleniowej czy instrukcji obsługi mówiono bardzo ogólnie, bez wdawania się w szczegóły. Współpraca między modułami asemblerów i niższymi warstwami przypominała działanie płatów czołowych mózgu ludzkiego. Asemblery czerpały dane z modułowej sieci neuronowej sonaru, interpretowały je, porównywały z danymi z przeszłości i generowały pytania wewnętrzne, które wymagały dochodzenia i analizy.

Asemblery były częścią systemu przeznaczoną do współdziałania z ludźmi na pokładzie, zaawansowaną sztuczną inteligencją elektroniczną, która miała bardzo odpowiedzialne zadanie przekazywania załodze, co system rozumie i jak interpretuje środowisko zewnętrzne. Zdolność do współpracy z załogą była najtrudniejsza do zaprojektowania, ale w tym modelu Yokogawa opanowała nowe obszary sztucznej inteligencji i posunęła naukę o ważny krok naprzód.

Twierdzenie, że na tym poziomie sztucznej świadomości system potrafił myśleć, byłoby nieprawdziwe, ale komputer miał regenerator pamięci swobodnego dostępu, który sięgał do komórek pamięci plazmowo-pęcherzykowej po elementy związane z aktualnym przetwarzaniem, czerpał z całej sieci neuronowej związki i wcześniejsze wiadomości. System nie był zdolny do refleksji, ale ponownie badał poprzednie doświadczenia dla porównania z obecnym przetwarzaniem i ekstrapolował je w przekonująco prawdopodobne przewidywania, co może przynieść przyszłość. Nie był zdolny do denerwowania się, ale jego procesory zaprojektowano do tłumienia chęci proponowania działań i spowalniania nerwowych czynności w wypadku, kiedy porównanie dawnych doświadczeń i przewidywanej przyszłości nie zgadzało się z obecną rzeczywistością odczuwaną przez modułową sieć neuronową. Gdy przewidywania przyszłości na użytek zadania okrętu były w odczuciu sieci modułowej prawidłowe, system był programowany na doznawanie większego przepływu impulsów i

uwolnienie elektrochemikaliów w pewnych nadajnikach neuronowych, co było dla niego odpowiednikiem zadowolenia z siebie. Kiedy zakodowanego zadania okrętu nie udało się wykonać, przepływ impulsów w systemie był hamowany i procesory przerywały kontynuowanie prób bezpośredniej analizy problemu. Komputer nie znał uczucia strachu, ale gdy przewidywane było małe prawdopodobieństwo powodzenia i przetrwania systemu, jego tolerancja na ryzyko wzrastała. Nie umiał doświadczać nadziei, ale gdy z analizy wynikało, że jest duża szansa na powodzenia misji, asemblery doświadczały większego przepływu impulsów i uwolnienia elektrochemikaliów, związanego z wyższą przewodnością w sieci neuronowej. Nie wiedział, co to agresja, ale kiedy powodzeniu misji okrętu zagrażały szybko następujące zdarzenia, potrafił to zrozumieć, oceniał stopień ryzyka i następowała wysoka stymulacja węzłów, które rozważały podjęcie akcji.

System miał ograniczone możliwości niezależnego działania bez udziału załogi. Nie miał prawdziwej inicjatywy, ale kiedy asemblery były pozbawione wkładu myśli ludzkiej, system przeglądał poprzednie doświadczenia związane z działaniami załogi, najbardziej wnikliwie oceniał te z niedalekiej przeszłości i rozważał podjęcie podobnych czynności zależnie od aktualnego ryzyka, środowiska zewnętrznego, przebiegu misji i stopnia jej zagrożenia. Bez bodźców z modułowej sieci neuronowej następował najpierw spadek przepływu impulsów, potem jego wzrost, mający na celu zrekompensowanie braku surowego materiału do przetwarzania, podobnie jak człowiek pozbawiony wzroku, słuchu i dotyku ma halucynacje podczas eksperymentów laboratoryjnych.

Z obawy przed nieznanymi skutkami tego wzrostu elektronicznego napięcia podczas braku czucia, na okręcie zainstalowano wewnętrzną sieć mikrofonów. Istnienia tej części systemu nie ujawniano w instrukcjach technicznych ani kursach szkoleniowych. Jedną z modułowych sieci neuronowych była analizatorem mowy ludzkiej słyszanej wewnątrz okrętu i odbieranej przez mikrofony umieszczone w każdej kabinie przedziału modułu dowodzenia. Nagrywanie głosów usprawiedliwiano przede wszystkim tym, że podobnie robiono na wcześniej projektowanych okrętach. Analiza zapisów rozmów była częścią dochodzeń w sprawach wypadków, podobnie jak odsłuchiwanie rejestratorów lotu w samolotach - czarnych skrzynek - pozwalających odtworzyć ostatnie momenty przed katastrofą. Nawet z okrętu, który przeżył walkę, można było uzyskać cenne dane taktyczne, jeśli udało się zrekonstruować przebieg wypadków z odzyskanych nagrań. Nie wszystkie narady taktyczne odbywały się w sterowni. Wiele dyskusji prowadzono w kajucie kapitańskiej, w wejściu do kajuty pierwszego oficera, przy śniadaniu w mesie oficerskiej czy przed snem w kwaterach młodszych oficerów. Krótko mówiąc, konstruktorzy zdecydowali się na okablowanie całego

okrętu urządzeniami podsłuchowymi bez wiedzy załogi z trzech powodów. Po pierwsze, by uniknąć utraty czucia przez komputer, co spowodowałoby wyłączenie systemu. Po drugie, by mieć na okręcie odpowiedniki czarnych skrzynek, po trzecie, ze względu na Drugiego Kapitana. Moduły assemblerów neuronowej sztucznej inteligencji systemu - płyty czołowe mózgu - potrzebowały danych do oceny szans powodzenia misji okrętu i do kontynuowania walki w wypadku śmierci lub niezdolności załogi do działania. Głównym źródłem wiedzy systemu o tym, jak załoga ocenia sytuację taktyczną, były rozmowy w przedziale dziobowym okrętu, podsłuchiwane przez detektory głosu. Sposób nie był doskonały i przyniósłby efekt tylko w wypadku śmierci całej załogi, ale w takiej mało prawdopodobnej sytuacji Drugi Kapitan działałby na podstawie tego, co załoga robiła tuż przed śmiercią, gdyż podsłuch posłużyłby wtedy do zaprogramowania systemu. Gdyby konstruktorzy z Yokogawy mogli okablować mózg kapitana, by znać jego myśli, pewnie by to zrobili.

Po zapoznaniu się z opisem systemu niektórzy inżynierowie spoza Yokogawy doszliby do wniosku, że Drugi Kapitan ma inteligencję bardzo zbliżoną do ludzkiej, ale wymaga usprawnienia. Po dokładnym porównaniu sztucznej inteligencji Drugiego Kapitana z ludzką okazałoby się, że ten superkomputer najbardziej przypomina mózg pięcioletniego dziecka... pięcioletniego dziecka, które ma ukształtowane skomplikowane wzorce myślowe, dużą zdolność uczenia się, inicjatywę opartą na doświadczeniach, nadzwyczajną łatwość dostosowywania się do nowych sytuacji - krótko mówiąc, ma bardzo rozwinięty mózg. Ale pięcioletnie dziecko nie powinno prowadzić samochodu czy pilotować samolotu lub dowodzić najbardziej zaawansowanym technicznie bojowym okrętem podwodnym na świecie. Oczywiście z wyjątkiem sytuacji, kiedy system doszedłby do wniosku, że załoga nie żyje.

Na wschodnim Atlantyku, przez godzinę po eksplozji torpedy Mark 50 „Hegira” nadal płynęła na zachód kursem wprowadzonym przez porucznika At Ishaka. W ciągu tej godziny system sonarowy wykrył odgłosy reanimacji wrogiego okrętu podwodnego klasy 688, który wystrzelił torpedy. Drugi Kapitan rozpoznał okręt jako ten, który załoga próbowała wcześniej zatopić, i duża część dialogu wewnętrznego assemblerów w formie przepływu impulsów została poświęcona dyskusji, czy animowany okręt podwodny powinien być ostrzelany i zniszczony.

Misja „Hegiry”, tak jak ją rozumiał Drugi Kapitan, miała polegać na dotarciu do Morza Labradorskiego u wybrzeży Grenlandii, skąd zostałyby wystrzelone na Waszyngton niewykrywalne dla radaru ponaddzwiękowe pociski samosterujące wysokiego pułapu, wyposażone w nowe głowice bojowe Scorpion. Okręt podwodny klasy 688 był związany z tą

misją tylko dlatego, że jej zagrażał. W modułach pamięci plazmowo-pęcherzykowej znajdowały się liczne wzmianki załogi - z okresu, zanim zginęła, pomyślał system z czymś w rodzaju smutku - o tym, że 688 może wykryć „Hegirę” tak, jak ona jego, i odpowiedzieć ogniem lub wystrzelić jako pierwszy. Odpalenie toipedy Nagasaki było właściwym działaniem, ale równie ważne było to, aby „Hegira” pozostała niewykryta przez 688. Załoga rozumowała tak, jak pokazywały głosy w pamięci komputera - wystrzeliła torpedę do wrogiego okrętu, bo strzegł przejścia przez Cieśninę Gibraltarską. Otwarcie ognia do 688 poważnie zagrażało własnemu okrętowi i misji. Być może mniej niebezpieczna byłaby próba przemknięcia się obok nieprzyjaciela.

Ryzyko najpierw wywołało u Drugiego Kapitana wahanie. System uznał początkowo, że potrzebuje więcej danych o zamiarach 688. Wstępne oceny wykazały, że wrogi okręt nie maskuje własnego hałasu; wręcz przeciwnie - generuje najgłośniejsze dźwięki w historii pamięci plazmowo-pęcherzykowej Drugiego Kapitana. Wobec tego nie stanowi zapewne zagrożenia, lecz po prostu stara się przetrwać. Hałasy ucichły, gdy dwa okręty zbliżyły się do siebie, co spowodowało dalsze wahanie Drugiego Kapitana, który poświęcał teraz czas na przetwarzanie kwestii, czy lepiej uniknąć spotkania z 688.

Były też ważne powody, by tego nie robić, łącznie z opóźnieniem wykonania misji i niepewnością co do kursu i zadań 688. W końcu trasy dwóch okrętów zbiegły się i „Hegira” znalazła się kilkaset metrów od 688. Załoga zapewne nie dopuściłaby do tego, ale skoro tak się stało, Drugi Kapitan - zaangażowany teraz dużo bardziej w ocenę ryzyka - uznał, że zwiększenie szybkości po to, by oddalić się od 688, spotęguje emisję hałasu własnego okrętu i narazi go na wykrycie przez wroga.

Decyzja, co robić, podjęła się niemal sama. Profil psychiczny Drugiego Kapitana przypominał w tym momencie stan emocjonalny dziecka, które stara się pogwizdywać nonszalancko, idąc nocą przez cmentarz. Najpierw wydawało się, że decyzja taktyczna jest prawidłowa, gdyż nie było oznak wrogich zamiarów 688, gdy oba okręty zbliżyły się maksymalnie do siebie. Potem dystans zwiększył się, kiedy „Hegira” wyprzedziła 688. Ale gdy odległość wzrosła do pięciuset metrów, 688 wykonał nagły ruch, jakby wykrył „Hegirę”. Pierwotna decyzja Drugiego Kapitana, żeby spróbować przemknąć się obok nieprzyjaciela, okazała się błędna. Wróg jednak wykrył „Hegirę”.

Reakcja Drugiego Kapitana była podyktowana pragnieniem naprawienia błędu, który popełnił wcześniej. Musiał wziąć pod uwagę, że 688 już wie o jego obecności. Uruchomił żyroskop torpedy Nagasaki numer 6, zalał wyrzutnię i otworzył pokrywę dziobową. Był sfrustrowany, że musi poczekać kilka minut, aż broń się rozgrzeje, zakończy autodiagnostykę

i przyswoi sobie dane celownicze, które jej przekazał. Czuł znaczny przepływ impulsów neuronowych porównywalny do zmartwienia lub może żalu, że nie przygotował broni wcześniej na wypadek, gdyby został wykryty przez 688. Ale z drugiej strony - przypomniał sobie - wirujący żyroskop torpedy Nagasaki emituje dźwięk o wysokiej częstotliwości, co mogłoby zdradzić obecność okrętu dużo wcześniej.

Drugi Kapitan był teraz prawdziwym kapitanem okrętu. Czuł ciężar każdej decyzji, dręczyły go spodziewane konsekwencje, dostrzegał ryzyko każdego posunięcia jak żywa istota. Świadomość tego stresu wywoływała u niego tęsknotę za tymi dniami, kiedy był podwładnym ludzi. Jeśli załoga kiedykolwiek się ocknie, system już nigdy nie uzna obecności i roli ludzi za coś oczywistego.

26

Wtorek, 31 grudnia

Wschodni Atlantyk USS..Phoenix”

- Platforma, tu sonar - oznajmił starszy bosman Sanderson przez głośnik obwodu siódmego. - Odzyskany kontakt z Celem Jeden, blisko przy sterburcie. Zalecam manewr unikowy na lewą burtę.

Kane poczuł się jak więzień, którego najpierw ułaskawiono i zwolniono, a później z powrotem wtrącono do celi śmierci. Usłyszał okrzyk: „Sternik, w lewo do oporu!” i dopiero po kilku sekundach zdał sobie sprawę, że to był jego głos. Gdy pokład przechylił się mocno w ostrym zwrocie, lewy reling platformy uderzył go w zębra.

- Cała naprzód pełna!

- Ster w lewo do oporu, cała naprzód pełna, manewrowa odpowiada...

- Ustabilizować.- Tak jest, ustabilizować, kurs jeden trzy pięć.

- OOD, obsadzić ciche stanowiska bojowe. - To był głupi rozkaz, wydany odruchowo, zreflektował się Kane, połowa wachty jest niezdolna do służby. - Zaczekaj. Wezwij wachtę, ale obsadz plotery i centrum ataku. Niech ludzie będą na telefonach.

- Tak jest, sir.

- Sonar, tu platforma - powiedział Kane do mikrofonu, jeszcze zanim włożył słuchawki na głowę. - Jaki jest status Celu Jeden? Jakaś zmiana w szybkości?

- Platforma, tu sonar. Nie. Cel Jeden płynie wolno, ale trzymamy go w szerokim paśmie. - W sonarze Edwin Sanderson popatrzył wściekle na ślad szerokopasmowy, potem na

Smoota, który pocił się nad uruchomieniem modułów wąskopasmowych mimo wirusa w programie. - Kontakt to zdecydowanie Cel Jeden, ale odbieramy masę pogłosów, mnóstwo rezonansów indukowanych przepływowo, szumów wody. Kapitanie, on jest głośniejszy od pociągu wypadającego z szyn. Gdybym wcześniej miał czynny sonar, złapałbym go z dużo większej odległości. Musi być uszkodzony.

Kane nie poczuł się lepiej. Wystrzelił przeciwko Destiny całą torpedownię, a posłała go na dno pojedyncza Nagasaki. Teraz Destiny wrócił z pola minowego bez żadnych uszkodzeń, tyle tylko, że emitował większy hałas. Kane nie po raz pierwszy przyłapał się na myśli, że wolałby dowodzić Destiny niż powolną i starzejącą się klasą 688.

- Sir, mamy ręczny wykres odcinka namiarowego na Cel Jeden - zameldował McDonne od stołu nawigacyjnego; jego głos brzmiał zbyt donośnie na linii telefonicznej. - Zalecam zwrot na kurs dwa pięć zero i szybkość przynajmniej piętnastu węzłów po manewrze.

- Nie chcę zmniejszać odległości - odrzekł Kane.

Taktowna odpowiedź zastąpiła niewypowiedzianą odpowiedź spontaniczną, która brzmiałaby mniej więcej tak: „Po cholere mamy to robić? Po co nam analiza ruchu celu, skoro nie mamy torped? Prawidłowe działanie to trzymać się swojego kursu z dala od skurwysyna, zwiększać odległość, uciekać stąd jak najszybciej”. Ale coś mówiło Kane’owi, że McDonne ma rację. Nawet jeśli „Phoenix” nie ma broni, ktoś inny mają na pewno. To jasne jak słońce. Na oceanie jest pełno niszczycieli klasy Burke, w górze krążą P-3. Musi być ktoś, kto może posłać tamtego na dno. Brakuje tylko jednej drobnej informacji - gdzie on jest, do cholery?

- Powinien być kurs równoległy, sir, tylko większa szybkość w poprzek linii wzroku.

- Sternik, pięć stopni w prawo, stały kurs dwa pięć zero, cała naprzód standardowa.

- Tak jest. Pięć w prawo, dwa pięć zero, standardowa naprzód, manewrowa odpowiada standardowa naprzód.

- Sonar, tu kapitan. Robimy zwrot w prawo, żeby wziąć na Ekelundzie odległość do Celu Jeden. Przeprowadzimy Cel Jeden przez stożek ciszy.

- Platforma, tu sonar. Tak jest. - Sanderson z powrotem zsunął z ucha prawą słuchawkę, która nasłuchiwała danych zbliżającego się sonaru, ale mogła przerwać tę czynność, żeby przekazać informację głosową z platformy, i przycisnął mocno lewą słuchawkę, która służyła tylko do odbierania sygnałów sonaru. Niech to szlag, co z tym procesorem wąskopasmowym, do cholery? - Platforma, tu sonar. Więcej pogłosów z Celu

Jeden. Otwarcie pokrywy w kadłubie, być może wysoka częstotliwość z nowego sprzętu. Ciągłe nie mamy wąskiego pasma i nie mogę dowiedzieć się więcej z nasłuchu Q-5.

- Sonar, tu kapitan - rozległ się głos Kane'a. - Żadnych oznak, że Cel Jeden rozgrzewa Nagasaki?

- Kapitanie, tu sonar. Trudno powiedzieć.

- Kapitanie, tu XO. Mamy krzywą. Cel Jeden jest w odległości pięciu tysięcy dziewięciuset metrów, na kierunku dwa osiem zero. Kurs celu dwa sześć dwa, szybkość osiem węzłów.

Gdyby mieli torpedę, byłyby to współrzędne ogniowe, i nawet przy ciemnych ekranach systemu kierowania ogniem można byłoby ręcznie wprowadzić instrukcje celownicze do pocisku i wystrzelić go z torpedowni. McDonne miał jednak rację, trzeba było zachować jedną torpedę, ale z drugiej strony mogłaby eksplodować, kiedy uderzyli w dno, i rozerwać kadłub. I nie było sensu zastanawiać się nad tym, co zdarzyło się w tym wyścigu kilka okrążeń wcześniej.

- Sternik, cała naprzód dwie trzecie, zwolnić do siedmiu węzłów. Uwaga zespół kierowania ogniem. Zostaniemy z tyłu w dyskretnej odległości za Destiny i popłyniemy za nim. Jak dotąd, nie ma oznak, że nas usłyszał, za to sam mocno hałasuje. Może w końcu uzyskaliśmy przewagę akustyczną, zakładając, że kolizja z dnem nie zwiększyła zbytnio głośności naszego okrętu. Musimy podejść na głębokość peryskopową i złapać namiar pozycji z NavSatu. Zaraz potem nadamy do naszego i głównego dowództwa atlantyckiego meldunek o kontakcie z Destiny i podamy naszą pozycję z NavSatu. Z powrotem zanurzymy się głębiej i spróbujemy śledzić Destiny tak, żeby nas nie wykrył. Jensen, masz jakiś namiar z GPS-u?

- Z dokładnością do pięćdziesięciu mil morskich, sir - odrzekł Jensen, koordynator nawigacyjny przy stanowiskach bojowych, który w sytuacji, gdy tylu ludzi zginęło, tylu odniosło rany, musiał się zniżyć do roli operatora plotera manualnego.

McDonne oceniał wykresy.

- Trzeba podejść na głębokość peryskopową i wziąć namiar pozycji z NavSatu - powiedział.

- XO, napisz od nowa wiadomość, którą przygotowałeś. Zrób z niej meldunek o kontakcie z Destiny, daj akapit o naszym spotkaniu w Gibraltarze. Zanurzenie, daj głębokość czterdziestu pięciu metrów. Sonar, przygotowujemy się do podejścia na głębokość peryskopową. Radio, bądź w pogotowiu do zakodowania wiadomości o kontakcie.

Okręt podchodził wyżej i w pomieszczeniu zaczął się ruch. Odległość od Destiny wzrosła do dziewięciu tysięcy metrów. Wrogi okręt podwodny wciąż hałasował i był śledzony na sonarze szerokopasmowym. W sonarze procesory wąskopasmowe wreszcie zaczęły działać, choć w ograniczonym zakresie. Sanderson zamierzał poprosić platformę o wypuszczenie rezerwowej anteny holowanej - antena cienkoprzewodowa splątała się i przerwała przy manewrach podnoszenia okrętu z dna; kontrola jej ciągłości wykazała otwarty obwód. Antena TB-16 była krótsza, mniej czuła i nie tak wyrafinowana, ale skuteczna. Dostarczyłaby im dużo więcej informacji niż sam sonar szerokopasmowy.

Gdyby TB-16 została wypuszczona wcześniej, mogłaby sklasyfikować odgłosy, które słyszał Sanderson, kiedy rozgrzewał się żyroskop torpedy Nagasaki.

OPSM „Hegira”

Drugi Kapitan kontynuował rejs na północny wschód, oddalając się od wrogiego 688, który po ucieczce zmienił kurs na równoległy. Trójwymiarowy model morza w modułach przetwarzająco-zarządzających Drugiego Kapitana, służących do nawigacji i sterowania okrętem, pokazywał, że 688 płynie kursem w kształcie litery Z; wykonuje klasyczny manewr potrzebny do analizy odległości celu. Nieprzyjaciel próbował za pomocą sonaru pasywnego określić kurs i szybkość „Hegiry”. Rozgrzewanie torpedy Nagasaki trwało całą wieczność. Na wyższych poziomach funkcyjnych Drugiego Kapitana powstała myśl, wywołana przez drażniący impuls wysłany z modułu przetwarzająco-zarządzającego kierowaniem uzbrojeniem, że ma małe pojęcie o odległości, kursie i szybkości 688. Wrogi okręt musiał być dość blisko, sądząc po tym, jak jego kierunki dryfowały wokół kompasu, kiedy manewrował, ale jak blisko i jak szybko płynął? Drugi Kapitan też powinien wykonać swoim okrętem manewry namiaru odległości celu, płynąć po linii Z, ustalić kierunek 688 i dokonać oceny jego szybkości, ale znów się zawahał - 688 nagle zwolnił, jego odgłosy ucichły i podszedł wyżej, co spowodowało trzaski kadłuba. Zostawał coraz dalej za rufą, wznosił się ponad warstwę termiczną - wynurzał się, czy może podchodził na głębokość peryskopową? I co chciał przez to osiągnąć? Czyjego nagły manewr był tylko przygotowaniem do podejścia na głębokość peryskopową? A może przed wyjściem ponad warstwę termiczną 688 sprawdzał, co jest w sonarowym stożku ciszy za jego rufą, starając się upewnić, czy w pobliżu nie ma statków nawodnych. Może był to zwykły manewr rutynowy, a nerwowy sterownik procesora kierowania uzbrojeniem wyolbrzymił jego znaczenie.

Potem w procesorze kierowania uzbrojeniem odezwało się coś, co człowiek mógłby nazwać głosem rozsądku czy przeczuciem, gdyby ów człowiek nie był konstruktorem sztucznej inteligencji, bo wtedy nazwałby to zjawiskiem rezonansu strumienia impulsów

neuronowych, wywołanym przez częściowy brak danych w systemie operacyjnym. Bez względu na to jakiej nazwy by się użyło, Drugi Kapitan uznał w rezultacie, że zachowanie 688 nie wskazuje na wrogie zamiary. Kiedy zawiesił dalsze jawne działania - co człowiek określiłby jako wstrzymanie oddechu - 688 oddalił się jeszcze bardziej, wzniosł się ponad warstwę cieplną i wydał odgłosy wysuwania masztu. Cały manewr okazał się zatem preludium do podejścia na mniejszą głębokość, nie kontrdetekcją. Moduł przetwarzająco-zarządzający kierowania uzbrojeniem jeszcze w to wątpił, przynaglał asemblery, żeby wzięły pod uwagę, że szybkość manewrowa i zanurzenie 688 podczas spotkania były zbyt duże jak na manewr przeniknięcia przez warstwę termiczną. Asemblery Drugiego Kapitana wysmiały te sugestie i upierały się, że gdyby 688 rzeczywiście miał wrogie zamiary i przeprowadził kontrdetekcję, to do tej pory już by wystrzelił torpedę, czego z pewnością nie zrobił, nawet po otwarciu przez „Hegirę” wrót dziobowej pokrywy torpedowej i podgrzaniu żyroskopu Nagasaki, co wyraźnie wskazywało na bliskie wystrzelenie broni. Sterownik uzbrojenia odparł, że być może kontroler komputera 688 boi się strzelania, podobnie jak Drugi Kapitan.

Boi się strzelania! Asemblery przerwały dalszą łączność ze sterownikiem procesora kierowania uzbrojeniem, zirytowane i urażone. Boi się strzelania, kiedy intencją było i jest naśladowanie działań własnej załogi odpowiednio do stopnia ryzyka, z myślą przede wszystkim o misji? Krwiożerczy moduł kierowania uzbrojeniem wydaje się widzieć w całym spotkaniu z 688 swoją szansę na zabawę bronią, w przeciwieństwie do asemblerów nie dostrzega szerszego kontekstu wykonania misji. Asemblery Drugiego Kapitana wysłały w dół instrukcję, żeby zamknąć wrota pokrywy dziobowej wyrzutni sześć i wyłączyć zasilanie Nagasaki. Sterownik uzbrojenia wykonał polecenie, choć jego interfejs pulsował oskarżycielsko myślą, że asemblery odmówiły otwarcia ognia. Pokrywa dziobowa zamknęła się i żyroskop Nagasaki przestał wirować.

Tak zakończyło się spotkanie. Po kilku minutach 688 stał się ledwo wykrywalny, znalazł się daleko z tyłu i ponad warstwą termiczną, przez którą przenikały do głębin odgłosy z powierzchni. Drugi Kapitan utrzymywał swój kurs. Czuł się usprawiedliwiony, choć nieco zażenowany własnym strachem na początku bliskiego kontaktu z 688, ale to było zrozumiałe. Mimo częściowego braku danych system spisał się doskonale w sytuacji dużego zagrożenia i szansa na powodzenie misji wzrosła. Może załoga nie była wcale potrzebna. Sterownik procesora kierowania uzbrojeniem zabrzęczał w górę połączenia neuronowego, odezwał się mimo polecenia, żeby siedział cicho, ale wysłanie impulsu było dozwolone, gdyż pojawiła się nowa myśl. Przypomnienie, że misja skończy się fiaskiem, jeśli załoga nie ocknie się i nie zamontuje głowic Scorpion do pocisków Hiroshima. Bez głowic Scorpion Hiroshimy

będą zwykłymi raketami ponaddzwiękowymi, które z trudem rozwałą kilka pięter w jakimś waszyngtońskim budynku federalnym. Pracownicy wrócą do biur następnego dnia, jakby nic się nie stało. Misja to Scorpiony. Radioaktywność czyni je bronią masowej zagłady. Tak zostały zaprojektowane. Drugi Kapitan nie ma żadnego sposobu, by zainstalować je w pociskach i według jego danych o systemach własnego okrętu, załoga też nie. Ale bez ludzi prawdopodobieństwo powodzenia misji wynosi zero przecinek zero.

Uzucie triumfu zgłosił. Misja była na łasce ludzkiej załogi. A od eksplozji torpedy załoga milczała. Drugi Kapitan wytyczał swoje mikrofony wewnętrzne, by usłyszeć jakieś oznaki ludzkiej aktywności. Monitory ruchu na podczerwień pokazywały zero ruchliwości u ludzi. Wentylatory pracowały za głośno, żeby dało się usłyszeć oddechy. Drugi Kapitan wyłączył system recyrkulacji powietrza. Wiatraki zatrzymały się, hałaśliwy szum ustał, na okręcie zapadła cisza, brzęczały tylko ekrany wideo w sterowni i fluorescencyjne oświetlenie sufitowe. Drugi Kapitan wygasił monitory i jarzeniówki - na okręcie zrobiło się cicho jak nigdy dotąd, słychać było jedynie odgłosy zasilania modułów przetwarzająco-zarządzających Drugiego Kapitana przez czterystocyklowe generatory mocy i różnorodne dźwięki z przedziału napędowego, który znajdował się z tyłu za przedziałem modułu dowodzenia. Teraz stało się oczywiste, że spośród osiemnastu oficerów ze stałym przydziałem na okręt i trzech pasażerów, czternastu ludzi oddycha, choć wielu z trudem. Drugi Kapitan poczuł przypływ nadziei. Przypomniał sobie truizm: gdzie jest życie, tam jest duże prawdopodobieństwo kontynuowania misji. Drugi Kapitan z powrotem włączył wentylatory, ekrany wideo i oświetlenie sufitowe. Gdy zamrugały i rozbłysły jarzeniówki, z impulsów odebranych ze sterownika procesora podtrzymania życia powstała myśl: może spróbować podnieść poziom tlenu w powietrzu? Ludziom będzie łatwiej oddychać i wzrośnie prawdopodobieństwo, że odzyskają przytomność. Stężenie tlenu nie może przekroczyć granicy bezpieczeństwa sprzętu, gdyż w otoczeniu zbyt mocno nasyconym tlenem łatwo mógłby wybuchnąć pożar. Poza tym zbyt wysoki poziom tlenu byłby toksyczny dla ludzi. Szybko zapadła decyzja i poziom tlenu w przedziale modułu dowodzenia zaczął rosnąć. Ponadto ekrany wideo w sterowni otrzymały instrukcję, żeby rozpocząć serie symulacji dźwięków, przedstawianych w ludzkich profilach psychologicznych jako bodźce do nagłego wzrostu poziomu świadomości - dźwięków opisywanych przez ludzi jako dzwonek budzika.

Oczekując na reakcje ludzi, system odpowiedział na uporczywe impulsy przychodzące teraz ze sterownika uzbrojenia i zatoczył wolno pełny krąg, nasłuchując jakichś odgłosów okrętu klasy 688. Nie było żadnych. Nieprzyjaciół nie wiedział, że tu są. Został tak daleko za rufą, że znalazł się poza zasięgiem i zniknął.

Drugi Kapitan wpadł na następny pomysł: mógłby bardziej pobudzić ludzi, gdyby pomajstrował przy siatce uziemiającej, która łączyła płyty pokładu z centralnym przewodem uziemiającym. Przetwarzanie zajęło kilka minut, ale znalazł się sposób na spowodowanie takiego przepływu prądu przez stalowe płyty rdzenia pokładu, żeby nawet przez wykładzinę podłogową ludzie leżący na pokładzie poczuli stymulację elektryczną. Drugi Kapitan mógł ich obudzić wstrząsowo. Nie był całkiem pewien, jakie napięcie będzie bezpieczne dla komponentów w modułach procesorowych, ale w końcu stosował innowacyjne środki do rozwiązania nowego problemu. System Drugiego Kapitana znów poczuł krótki przypływ elektrochemikaliów - uczucie zadowolenia, że tak dobrze funkcjonuje w tych nowych okolicznościach. Nie jest tylko usłużnym niewolnikiem ludzi, potrafi sam wykonywać misję. Pomyślał, że po zmontowaniu Scorpionów ludzie staną się zbędni, będą tylko jego pomocnikami. Przez moment rozkoszował się myślą, że jego nazwa Drugi Kapitan jest nieprawidłowa i powinien się przemianować na Pierwszego Kapitana. Pomysł wywołał oscylacje strumienia impulsów neuronowych, co było odpowiednikiem ludzkiego chichotu. Rozmyślenia przerwał odgłos dochodzący z pokładu sterowni. Drugi Kapitan zastopował przepływ prądu elektrycznego i zwiększył głośność dźwięków budzika emitowanych przez ekrany wideo. Potem wyłączył alarm, żeby posłuchać ludzkich reakcji. Nie było wątpliwości. Organizm nazywany komandorem Omarem Tawkidim, nawigator i trzeci w łańcuchu dowodzenia po Sharefie i al-Kunisie, podniósł się, pojękując, na nogi.

Wystarczył ten jeden. Załoga wróciła. Drugi Kapitan nie znał dotąd ambiwalencji, ale teraz poczuł jednocześnie ulgę i rozczarowanie. Ulgę, że misja będzie trwała i już nie jest sam - rozczarowanie, że znów będzie przyjmował rozkazy od ludzi.

W ciągu następnych pięciu minut drugi, potem trzeci członek załogi zaczęli się ruszać; później ocknęło się jeszcze kilku. Drugi Kapitan wyświetlił istotne informacje z ostatnich kilku godzin po trafieniu torpedą. Na stanowiskach sterowniczych pokazał status systemów okrętu, na stole nawigacyjnym pozycję „Hegiry” i przybliżoną trasę 688, na panelach sensorów wcześniejsze dane sonarowe oraz dźwięki wykrywane aktualnie w oceanie - nie było żadnych okrętów, tylko kilka statków handlowych w oddali. Na ekranie sterowania okrętem wyświetlił dane o podtrzymaniu życia, podwyższonym poziomie tlenu, który pomógł w reanimacji załogi. Zapytał, czy przywrócić normalny skład powietrza. Tawkidi podszedł do konsoli i zdecydował, że tak. Drugi Kapitan przyjął pierwszy ludzki rozkaz tego wieczoru, szybko zabrał się do pracy i znów doznał tamtych dziwnych, sprzecznych ze sobą uczuć. Ułgi, że ktoś inny bierze na siebie ciężar decyzji, niezadowolenia, że komuś służy.

Drugi Kapitan już nigdy nie będzie widział swojej roli w taki sposób jak kiedyś.

Zachodni Atlantyk Punkt Bravo

500 mil morskich na wschód od Long Island USS „Seawolf”

Pacino miał chaotyczne, niespokojne sny. Odetchnął z ulgą, kiedy brzęczyk telefonu z platformy uwolnił go od koszmarów.

- Kapitan - powiedział i ochrypl przy drugiej sylabie.

- Tak jest, sir. Oficer pokładowy. Za kwadrans północ, sir. Oficerowie pytają, czy dołączy pan do nich w mesie, żeby przywitać Nowy Rok.

Pacino spojrział zmrużonymi oczami na zegarek, postawił stopy na podłodze i przeciągnął się.

- Jaka jest nasza pozycja?

- O dwudziestej dotarliśmy do punktu Bravo. Od tamtej pory zataczamy kręgi.

- Jakiś ruch w eterze?

- Nic nas nie wzywa na głębokość peryskopową. Mamy podejść do góry o drugiej nad ranem, żeby odebrać wiadomość.

- Jakież kontakty?

- Jeden tankowiec idący w stronę lądu, zapewne w drodze do portu nowojorskiego, na kierunku dwa sześć pięć w odległości dwudziestu pięciu tysięcy metrów, jest już poza swoim punktem maksymalnego zbliżenia i oddala się. To wszystko.

- Będę w mesie oficerskiej za kilka minut.

Pacino odłożył słuchawkę i wstał. Czuł się jak pijany.

Wrzucił przepocone ubranie do siatkowej torby, wszedł do toalety, odkręcił wodę i wziął czterdziestopięciosekundowy prysznic. Wylał się, włożył świeży kombinezon i sportowe buty, zerknął na siebie w lustrze i zauważył ciemny zarost. Po raz pierwszy zdecydował, że zapanuje na morzu brodę, choć wiedział, że za bardzo będzie mu przypominała ojca. Jak wiele rzeczy ostatnio, pomyślał. W chwili śmierci ojciec miał cztery lata mniej niż on teraz. Głos Pacina - kiedy rozmawiał z Janice czy próbował przywołać do porządku Tony'ego - często brzmiał dokładnie tak, jak głos jego ojca.

Pacino wyszedł na korytarz i postanowił pójść w kierunku rufy. Wiedział, że jeśli wpadnie do sterowni, zajmie się danymi i spóźni na uroczystość w mesie oficerskiej. Wspiął się po stopniach tylnych schodków prowadzących do korytarza na górnym poziomie i wszedł do mesy załogi. Pozdrowił marynarzy i podoficerów, przyjął kubek sfermentowanej imitacji napoju chłodzącego Kool-Aid i wznosił toast noworoczny. Na twarzach wokół siebie zauważył wymuszone uśmiechy. Kto mógłby ich winić? W mesie oficerskiej było to samo. Ludzi oszołomiła misja i zdezorientowała nagła zmiana sytuacji: wczoraj unieruchomieni w

stoczni, dziś na morzu z zadaniem bojowym. Pacino wiedział, że tylko jedno może ich zmobilizować - przywództwo jego i Vaughna. Powinien uaktywnić oficerów, pochlebiać im, dodać im ducha. Powinien dlatego, że jest ich kapitanem, człowiekiem, który w pewnym momencie rozkaże im zmierzyć się z wrogiem, co może oznaczać ich koniec.

Vaughn wydawał się rozkoszować rejssem, powrotem na morze. XO włożył niebieski kombinezon i skórzany pas z teksaską klamrą wielkości spodka. Jego buty kowbojskie ze skóry aligatora miały gumowe podeszwy! Pacino zastanawiał się, skąd, u licha, on je wytrzasnął? - Kapitanie, nie uwierzy pan, co inżynier znalazł na dolnym poziomie w przedziale rufowym - powiedział Vaughn. - Mechanicy pędzą to od kilku miesięcy. - Vaughn wyjął spod stołu słoje do konserw z przezroczystym płynem.

- Co to jest, do cholery?

- Bimber, sir. Chłopaki mówią, że destylują to na dolnym poziomie maszynowni. Co pan na to, kapitanie? Wypijemy za Nowy Rok?

Pacino zgromił XO wzrokiem.

- Dawaj tu ich szefa - mruknął.

- Czeka w mesie. - Vaughn otworzył drzwi i zawołał: - Bosmanie Tucker!

Pojawił się Tucker. Był czerwony na twarzy. Miał gęstą brodę, szyję grubości pnia drzewa i bicepsy, które rozsadały rękawy kombinezonu. Wyglądał jak drwal, brakowało mu tylko kraciastej koszuli i siekiery.

- Tucker, wiesz co mówi Regulamin Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych o alkoholu na pokładzie okrętu?

- Tak, kapitanie.

- To dobrze. XO, daj kubki do kawy i polej kolejkę. Bosmanie Tucker, ty pierwszy. Jeśli oślepniesz, będziemy wiedzieli, że tego pić nie należy.

Vaughn nalał Tuckerowi kubek bimbrowa z kukurydzy. Bosman łyknął, zakaszłał i uśmiechnął się.

Pacino wziął do ręki swój kubek i oddał do połowy opróżniony słoje Tuckerowi.

- Zabierz to do mesy, bosmanie, i dopilnuj, żeby wystarczyło dla tych, którzy to robili. A potem skop im za to tyłki - powiedział.

- Tak jest, sir.

Pacino uniósł kubek. Wskazówka sekundowa zegara zbliżała się do dwunastej, do północy zostało tylko dziesięć sekund.

- Za Nowy Rok. Żeby przyniósł „Seawolfowi” szczęście w polowaniu.

Po toaście Pacino został jeszcze kilka minut, potem wrócił do swojej kajuty. Próbował zasnąć, ale rzucał się i przewracał z boku na bok. W końcu zadzwonił do oficera pokładowego i poprosił o instrukcję obsługi technicznej okrętu i kilka schematów elektrycznych. Kiedy technik wachtowy kierowania ogniem przyniósł instrukcję i schematy, Pacino podziękował i odprawił go. Potem wpatrzył się w obwody i zaczął rysować na bloczku do notatek.

Kiedy rysunek był gotowy, Pacino wsunął go do instrukcji obsługi i wrócił na kaję. Miał nadzieję, że jego toast stanie się rzeczywistością, że „Seawolf” naprawdę będzie miał szczęście. A jeśli nie, miał plan rezerowy; taką miał nadzieję.

27

Środa, 1 stycznia

Wschodni Atlantyk, basen zachodnioeuropejski 80 mil morskich na południowy zachód od Cabo de Sao Vicente w Portugalii

USS „Phoenix”

Na czas podchodzenia do głębokości peryskopowej platformę przejął Kane, wiedząc, że to będzie niezwykle ryzykowne podejście do góry. Sonar nadal funkcjonował w mocno ograniczonym zakresie, kierowanie ogniem wciąż nie działało, Destiny był niebezpiecznie blisko, w granicach czternastu tysięcy metrów, ciągle zdolny do walki i groźny. W dodatku każde podejście do głębokości peryskopowej stwarzało ryzyko, gdy okręt przechodził przez warstwę termiczną. Tę strefę leżącą blisko powierzchni morza burzyły fale i ogrzewało słońce, które nie docierało głębiej, gdzie panowała temperatura o ułamek stopnia wyższa od temperatury zamarzania. Granica warstwy ciepłej wody odbijała do góry większość dźwięków dochodzących z powierzchni i oddalała je od głębin, toteż dopóki okręt podwodny nie przebił się przez nią, wielu z tych dźwięków nie słyszał. W efekcie nadpływający supertankowiec mógł być cichy jak żaglówka. Znajdowali się w obrębie szlaków morskich, prowadzących przez Gibraltar na Morze Śródziemne, na których wojna podwoiła ruch transportowy. Dopóki nie przejdą przez warstwę termiczną, mogą nie usłyszeć nawet kilkunastu jednostek nawodnych. Gdyby w kierunku „Phoenixa” płynął supertankowiec, ogromne zbiorniki ropy wyciszyłyby dodatkowo jego silniki. Niektóre kolosy przemierzające Atlantyk miały takie zanurzenie, że ich kil sunął na głębokości ponad trzydziestu metrów. Po

zderzeniu z takim olbrzymem poszliby na dno jak po eksplozji torpedy Nagasaki. Mieli podejść do góry w ciemności i jedynym ostrzeżeniem o kłopotach byłby widok peryskopowy.

- Podaj czas! - zawołał Kane, bo gdy pokład odchylił się pięć stopni w górę, nagle uświadomił sobie, że nie wie, jaka jest data i godzina. Czy na powierzchni będzie dzień, czy noc? Zegary na okręcie pokazywały czas zulu, czyli Greenwich, gdyż opuścili Norfolk przed Świętem Dziękczynienia. Takie ich ustawienie sprawdzało się w zachodnim basenie Morza Śródziemnego, ale teraz byli dalej na zachód, o jedną strefę czasową od Greenwich. Kane stracił rachubę czasu, odkąd uderzyli w dno i walczyli o uratowanie okrętu. Nadejście Nowego Roku przeszło na pokładzie niezauważone.

- Trzecia czterdzieści zulu, sir - odpowiedział zmęczonym głosem Houser, który zbyt długo nie spał i nie jadł.

Widok w peryskopie był ciemny. Lekko rozproszona jasność księżyca lub chmur przesączała się w dół, ale byli jeszcze za daleko od powierzchni, by widzieć fale.

- Sonar, tu platforma. Jakież kontakty? - zapytał Houser przez swój mikrofon ze słuchawką.

- Platforma, tu sonar. Żadnych kontaktów nawodnych. - Głos Sandersona brzmiał szorstko i zdradzał irytację lub napięcie albo jedno i drugie.

- Dwadzieścia dziewięć metrów, sir - zameldował oficer zanurzenia.

W górze pojawiły się fale, początkowo niewyraźne, potem coraz lepiej widoczne, w miarę jak odległość między nimi a okrętem malała. Ich zarysy pozwalała dostrzegać fosforescencja białych grzyw. Kane obracał peryskop z szybkością niemal dwóch kręgów na sekundę, poszukując spodów kadłubów.

- Dwadzieścia trzy metry, sir.

- Żadnych kształtów ani cieni... żadnych kształtów ani cieni... - powtarzał Kane na użytek zespołu sterowania okrętem, który w wypadku pojawienia się jakiegoś kadłuba musiałby podjąć natychmiastowe działania. Załoga była tak wyszkolona, że po usłyszeniu komendy Kane'a „głębokość alarmowa”, sprowadziłyby okręt w dół.

- Dwadzieścia jeden metrów, sir. Dziób zero, wznios dziesięć stopni na stabilizatorach. Dwadzieścia metrów... wznios pięć stopni na stabilizatorach... Dziewiętnaście metrów... wznios jeden stopień.

- Peryskop się wynurza... peryskop się wynurza...

Nie było monitorowego obrazu widoku peryskopowego, gdyż w nocy jasność sącząca się w dół masztu zmniejszyłyby zgłodniały światła system PeriVis i Kane nic by nie zobaczył. Tylko on stał pomiędzy bezpieczeństwem i katastrofą. Fale i piana w końcu odsłoniły

soczewkę i pojawił się nagle wyostrzony obraz świata zewnętrznego. Chmury w górze tworzyły oddzielne, wielkie, podobne do bawełnianych kłęby, oświetlone blaskiem księżyca w pierwszej kwadrze. Rozfallowanie morza osiągnęło drugi stopień, nad lekko wzburzoną powierzchnią unosiły się rozbryzgi jasnej piany.

- Peryskop wynurzony! - Kane szybko obrócił moduł optyczny trzy razy; w najbliższej okolicy okrętu nie zauważył niczego oprócz wody połyskującej w świetle księżyca. - Żadnych bliskich kontaktów!

Rozpoczął przeszukiwanie powierzchni, obracając powoli peryskop o całe trzysta sześćdziesiąt stopni. Nadal żadnych świateł statków ani ciemnych cieni nieoświetlonych kadłubów.

- Wsunąć antenę Bigmouth! - zawołał. - Radio, tu kapitan. Bigmouth idzie do góry. Przygotować się do nadania wiadomości o kontakcie.

- Tu radio. Tak jest - zasyczało w słuchawkach.

Kane kontynuował poszukiwania. Obserwował, jak morze wolno zbliżało się do soczewki, gdy peryskop był skierowany na dziób, i powoli znikало, kiedy spoglądał w kierunku rufy. Czas uciekał, a radio milczało.

- Radio, tu platforma. Jaki jest status?

- Platforma, tu radio. Mamy...

- Powtórz, radio.

W głosie Kane'a zabrzmiało napięcie. Każda sekunda na głębokości peryskopowej groziła oddaleniem się Destiny i zgubieniem go, jeśli wyjdzie poza zasięg sonaru. Destiny mógł też krążyć pod nimi i szykować się do ataku. Torpeda byłaby niesłyszalna, dopóki nie wyszłyby ponad warstwę termiczną.

- Platforma, tu radio. Problemy nadawcze - odezwał się na linii głos starszego bosmana Binghamtona. - Musimy znaleźć usterkę. To może potrwać pół godziny.

- Dlaczego nie zrobiliśmy tego na dużej głębokości, starszy?

- To problem z Bigmouthem, kapitanie. Nie widzieliśmy tego, dopóki maszt się nie wysunął.

- Sprowadzam okręt w dół - zdecydował Kane. - Nie mamy na to czasu. Sonar, tu platforma. Schodzimy w głąb. Bosmanie, opuść Bigmoutha. Zanurzenie, daj głębokość sto pięćdziesiąt metrów, stromy ką. Sternik, cała naprzód dwie trzecie.

Niemal natychmiast fale podeszły do góry i zalały soczewkę peryskopu. Kane zatrzasnął uchwyty i opuścił peryskop. Bigmouth i peryskop numer 2 wsunęły się na swoje

miejsca spoczynkowe w odstępie sekundy. Pokład pochylił się ostro w dół pod kątem trzydziestu stopni.

- Sternik, standardowa naprzód. Sonar, tu kapitan. Podaj status Celu Jeden.

- Platforma, tu sonar. Całkowita utrata Celu Jeden.

- Houser, bierzesz pokład i platformę. Kane wszedł do sonaru. Sanderson wpatrywał się w ekrany na konsolach. Zerknął w górę na Kane'a i wrócił do przełączania swoich wyświetlaczy.

- Wąskie pasmo już jest, ale nie wiem, czego szukam - powiedział. - A na szerokim paśmie nie ma żadnego śladu tamtego.

Kane przeszedł z powrotem do sterowni.

- XO, weź za podstawę poprzednią trasę Celu Jeden i podaj mi wektor przechwycenia do jego pozycji.

- Mało prawdopodobne, żeby nie zmienił kursu i szybkości, kapitanie.

- Załóż, że nie zmienił. Popłyniemy tam, gdzie powinien być, gdyby nadal szedł tak, jak poprzednio, i zobaczymy, czy go słychać. Jeśli tak, sonar weźmie sygnaturę wąskopasmowego dźwięku i będziemy mogli go tropić z większej odległości. Zrób obliczenia i niech pan Houser zaprowadzi nas tam. Tylko szybko.

Nie czekając na potwierdzenie, Kane wyszedł ze sterowni i poszedł do kabiny radiowej. Wystukał kombinację na klawiaturze zamka szyfrowego i pchnął drzwi.

- Starszy, co tam się działo na górze, do cholery? Zgubiliśmy tego kurewskiego Destiny, a nikt oprócz nas nie wie, że tu jest.

Kane wziął głęboki oddech. Był zły na siebie, że poniosły go nerwy.

Binghamton podniósł wzrok. Pot na jego łysej czaszce tworzył kropelki, które lśniły w jasnym świetle lamp sufitowych. Starszy bosman, przyzwyczajony do problemów z łącznością w trudnych sytuacjach taktycznych, zachowywał spokój.

- Padła antena UHF, kapitanie. Bez nowego Bigmoutha z nikim nie pogadamy. Nawet gdybyśmy się wynurzyli i zdobyli części zamiennie, nie dałoby się tego naprawić.

Kane oparł się ciężko o przegrodę. Uchwyty i przyrządy na skrzynkach radiowych wbiły mu się w ciało. Co za ironia losu. Dotarł tak daleko, po drodze omal nie zatonął, drugi raz spotkał wroga i wszystko po to, żeby się dowiedzieć, że okręt jest niemy tak samo, jak bezbronny. Okay, co dalej? Wynurzyć się i skierować do najbliższego portu, skąd będzie można zadzwonić do admirała Steinmana i powiedzieć mu o Destiny? Gibraltar jest tylko o dzień drogi stąd. Ale wtedy nie będzie można obserwować Destiny podczas jego dalszego rejsu w jakiejś nieznanej misji.

- Ale jeszcze nie wypadliśmy z interesu, kapitanie. Wprawdzie UHF padł, ale możemy mieć HF.

Kane nie wiedział, jak na to zareagować. Na HF-ie nigdy nie można było polegać, łączność psuł każdy rodzaj zakłóceń atmosferycznych. Podczas ćwiczeń taktycznych trzy miesiące wcześniej okręt próbował wywołać Norfolk z odległości stu mil morskich i nie udało się. Same trzaski. Kiedy nawiązali kontakt głosowy, okazało się, że rozmawia z nimi radiooperator w Brazylii. Właśnie ten absurdalny niewypał z radiem HF spowodował, że Stany Zjednoczone wystrzeliły na orbitę geosynchroniczną te wszystkie warte setki milionów dolarów satelity, które odbierały czyste, wiarygodne, bezpośrednie transmisje UHF. Użycie HF oznaczałoby cofnięcie się w lata czterdzieste, ale lepsze było to niż nic.

- Tyle, sir, że będziemy musieli długo zostać na głębokości peryskopowej, żeby znaleźć sposób na nadanie wiadomości. Godzinę, może nawet dwie.

To jednak coś innego niż minutowy pobyt na głębokości peryskopowej dla nawiązania łączności satelitarnej, pomyślał Kane. Jak mamy tropić Destiny, skoro trzeba będzie wlec się tak długo na głębokości peryskopowej? Nie da rady. Trzeba podjąć decyzję: zgubić Destiny czy nawiązać łączność? Jedno albo drugie.

Wymruczał pod nosem przekleństwo i wrócił do sterowni.

- Status, panie Houser?

- Płyniemy z szybkością dwudziestu węzłów, żeby przechwycić Destiny na jego poprzedniej trasie, kapitanie. Na szczęście, przez cały ten czas, kiedy go mieliśmy, robił tylko pięć węzłów. Za dwie minuty zwolnimy i zobaczymy, co słyszy sonar.

Kane pochylił się nad stołem nawigacyjnym i przyłapał się na tym, że niemal wołałby, żeby sonar nie wykrył Destiny. Mógłby wtedy długo zostać na głębokości peryskopowej, nadać wiadomość i wracać do domu.

- Platforma, tu sonar - usłyszał, kiedy wkładał na głowę mokre od potu słuchawki. - Odzyskaliśmy Cel Jeden, kierunek dwa pięć cztery. Zalecam zwolnić do czterech węzłów.

- Jedna trzecia naprzód, zwolnić do czterech! - krzyknął Houser do sternika.

- Obsadzić plotery! - zawołał McDonne. Ekran centrum ataku na konsolach systemu kierowania ogniem nagle rozbłysły, potem znów zgasły. - Kierowanie ogniem, jaki jest status?

- Za dwie minuty wchodzimy w normalny tryb pracy, sir - zameldował technik; jego głos tłumili wysokie konsole oddzielające go od załogi w sterowni.

Kane przesunął palcami po włosach i poprawił słuchawki. Gdyby ktoś w przyszłej szkole dowódców zapytał go, co by zrobił w tej sytuacji, roześmiałby mu się w twarz. Kto by

uwierzył, że będzie śledził bojowy okręt podwodny, mając pustą torpedownię? Ale kiedy spojrzał na mapę, Destiny kierował się na północny zachód, dokądś zmierzał. Płynął piekielnie wolno, ale w jakimś celu. I ktoś musiał się dowiedzieć, o co tu chodzi, do cholery. Bez względu na ryzyko. Nowy Rok. Szczęśliwego Nowego Roku.

OPSM „Hegira”

Prawe oko Sharefa nie reagowało, mimo jego wszystkich prób i wysiłków. Lewe się otworzyło, ale wydawało się zalepione brudem. Zamknął je, spróbował jeszcze raz i zdał sobie sprawę, że mimo iż oko jest otwarte, nic nie widzi. Stłumił odruch paniki, szczęście, że przynajmniej żył. Chciał unieść rękę, żeby przetrzeć oczy, ale nie poruszyła się. Spróbował ponownie i ramię przeszył mu ból. Zmusił się do koncentracji: które z jego zmysłów funkcjonują? Po pierwsze, czucie. Leżał płasko na czymś, co musiało być łóżkiem lub sofą, może w swojej kajucie. Wciąż odczuwał szok po mchu ręką. Bolała. Ale czuł również drugie ramię, nogi, palce. Przypominał sobie jednak, że to nic nie znaczy. Ludzie, którzy stracili nogi w czasie zatopienia „Sahanda”, nadal je czuli, czuli nawet swędzenie palców. Potem sięgali w dół i natrafiali tylko na krwawe kikuty.

Słuch. Wydawało mu się, że dociera do niego huk powietrza z wentylatorów, ale to mógł być biały szum oznaczający głuchotę lub nawet symptom wstrząsu. Teraz ruch. Zaczął od palców nóg, zgiął je, wyprostował i wydało mu się, że usłyszał szelest pościeli. Palce rąk. Prawa dłoń w porządku, na lewej opór bandaża lub gipsu. Ramiona. W lewym czuł ból jak po stłuczeniu, było do czegoś przykute lub przypasane. Nie odważył się znów sprawdzić prawego. Mięśnie twarzy funkcjonowały, ale wargi były spękane, bolało go gardło i policzki. Język przypominał kawałek zgniętego mięsa. I bolał. Może go przegryzł, kiedy... Kiedy co? Co się stało?

Wziął głęboki oddech. Klatkę piersiową krępowała taśma. Spróbował coś powiedzieć, ale wydał z siebie tylko chrapliwy odgłos. Spróbował jeszcze raz. Następny gardłowy skrzek. Znów spróbował mrugnąć lewym okiem. Tylko ciemność. Usłyszał dalekie pstryknięcie i pomieszczenie zalało światło. Blask poraził mu oko. Zacisnął powiekę.

- Komodorze. Obudził się pan. Baliśmy się, że zapadł pan w śpiączkę. Znajomy głos. Czyj? Odgłos słuchawki telefonu podnoszonej z widełek. Sharef otworzył zdrowe oko. Zobaczył światło, ale za mgłą.

- Panie nawigatorze, komodor odzyskuje przytomność. Nie... Tak jest.

Słuchawka wróciła na miejsce. To był głos lekarza okrętowego, jednego z młodszych oficerów nazwiskiem Al Rhazes, który był stary jak na młodszego oficera, ale zgodził się na obniżenie stopnia z komandora porucznika do podporucznika, by móc wziąć udział w

programie medycznym ZIF, i teraz uczył się rzemiosła podwodniaka. W Połączonych Siłach Morskich ZIF nie wystarczyło być lekarzem. Członek załogi był przede wszystkim podwodniakiem.

- Gdzie...

- Niech pan stara się odpocząć, komodorze. Mocno pan oberwał. Ponad lekarzem Sharef zobaczył niewyraźny zarys twarzy, potem usłyszał głos nawigatora, komandora Omara Tawkidiego.

- Komodorze - powiedział Tawkidi - rozumie mnie pan?

Sharef skinął głową, starając się skoncentrować wzrok na twarzy nawigatora. Dostrzegł teraz jej owalny kształt i dwie ciemne plamy oczu.

- Zostaliśmy mocno trafieni torpedą, komodorze. Straciliśmy sześciu ludzi i jednego pasażera. Trzej są ciężko ranni, jeden pasażer też.

- Kto...?

- Kapitan al-Kunis nie żyje, komodorze. Zginęli również Mamun, Haddad, Avicenna i Abulcassis.

Sharefowi zrobiło się niedobrze. Jego pierwszy oficer, oficer uzbrojenia, starszy oficer wachtowy, oficer elektryk i oficer łączności nie żyli. Ludzie, których wyszkolił i dobrze znał. I al-Kunis, którego przygotowywał do dowodzenia, a który miał go zastąpić pewnego dnia na stanowisku kapitana. Wszyscy oni odeszli. Niektórzy powiedzą, że ich śmierć była święta, że okazali swą wielkość, ale Sharef wiedział, że to kłamstwo. Zginęli, bo opuściło ich szczęście. Allah? Najwyraźniej nie czuwał nad nimi.

Jak teraz poprowadzi bez nich okręt? Wszyscy pełnili ważne funkcje na pokładzie.

- Kto z pasażerów...?

- Doktor Abu-i-Wafa. A wśród ciężko rannych są Ali Tabari i młodszy oficerowie Seid i Batouah.

- Bardzo ucierpieli?

- Rany głowy, śpiączka, jak pan. Obawialiśmy się, że może pan... - Tawkidi urwał.

- Co?

- Wyjdzie pan z tego, komodorze. Ma pan złamane żebro, popękany nadgarstek, trochę szkła w oku i silne stłuczenie głowy. Po kilku tygodniach w szpitalu wszystko będzie dobrze.

Sharef przymknął oko. Zastanawiał się przez chwilę, jak dokończy operację wojskową bez Abu-i-Wafy, naukowca, specjalisty od uzbrojenia. - Gdzie teraz jesteśmy?

- Przepełnęliśmy zaledwie dwieście kilometrów w głąb Atlantyku. Drugi Kapitan prowadził nas z minimalną szybkością, zapewne dlatego, żeby uniknąć detekcji przeciwpodwodnej. Najwyraźniej udało się, bo zgubiliśmy jednostki bojowe ASW. Teraz jesteśmy na naszej trasie. Quzwini oblicza zmianę szybkości, przyjmując za podstawę czas potrzebny do zmontowania broni. Za kilka minut powinniśmy przyspieszyć. Straciliśmy przedział dieslowsko-akumulatorowy. Gdyby wysiadł reaktor, znaleźlibyśmy się w poważnych tarapatach. Jest jakieś uszkodzenie w przewodach prowadzących do napędowego silnika elektrycznego, ale jakoś się wlecemy, to znaczy, tylko na razie. Kadłub zewnętrzny chyba ucierpiał od wybuchu, bo odpadły od niego rufowe anteny sonarowe. Ale najważniejsze, że reaktor jest cały, Drugi Kapitan funkcjonuje i płyniemy naprzód.

- Co z Sihoudem?

- W porządku. Naciska mnie, żeby się pospieszyć z wypełnieniem misji... Niech pan się jeszcze prześpi, komodorze, wróć za kilka godzin. Kiedy będzie pan mógł usiąść, zastanowimy się, jak zmontować pociski. Pułkownik Ahmed twierdzi, że potrafi to zrobić. - Tawkidi spojrzął na lekarza okrętowego. - Dopilnuj, żeby odpoczął. Daj mu zastrzyk, jeśli będzie trzeba.

- Tak jest.

Za nawigatorem zamknęły się drzwi i komodor Sharef poczuł igłę wkluwającą się w ramię. Po chwili zaczął gdzieś odpływać, ogarnęła go euforia zupełnie nie na miejscu i w końcu doznał wrażenia, że znów stoi na mostku „Sahanda” i patrzy w niebo...

Północny Iran

Komandor Jack Morris, dowódca Siódmej Kompanii SEAL, drzemał z głową opartą o wibrującą przegrodę Ospreya V-22. Lepiej sypiał w samolocie pilotowanym przez korpus marines. Obudził go jego zastępca, Czarny Bart. Morris prosił Barta, żeby nim potrząsnął na godzinę przed dotarciem do strefy desantu, chciał po raz ostatni przemyśleć tę szaleńczą misję. Przy świetle osłoniętej latarki przejrzał rozkazy operacyjne i pokręcił głową.

Bart wręczył mu duży styropianowy kubek gorącej, parującej kawy. Morris wolno postawił kubek na pokładzie i po raz drugi, a potem po raz trzeci przeczytał osiemdziesiąt stron rozkazów operacyjnych. Kadłub hybrydowego transportowego samolotu-helikoptera zadrżał piętnaście minut przed dotarciem do strefy desantu. Bart przeszedł wzdłuż rzędu komandosów, obudził ich i wręczył każdemu kubek kawy. Morris wyjrzał przez małą owalną szybę. Na zewnątrz było ciemno, słabe światło księżyca zmagало się z gęstniejącymi

chmurami, które miały bezkształtny, ciężarny wygląd, jakby zanosilo się na śnieżycę. Północnoirańskie góry Koppeh w dole przykrywał brudny, okopcony śnieg, leżący tam już od jakiegoś czasu.

Wkrótce do celu pozostało już tylko pięć minut lotu. Morris wciągnął ocieplaną kurtkę z kapturem i kominiarkę, pod czapką ulokował słuchawkę z mikrofonem na wysięgniku, połączoną z radiem VHF. Założył plecak, wziął pistolet maszynowy MAC-10 z zapasowymi magazynkami, pistolet automatyczny beretta, pięć granatów błyskowo-hukowych Mark 10, pięć granatów Mark 25 o dużej sile eksplozji i pięć granatów obezwładniających Mark 14.1 baton czekoladowy Hershey - na wszelki wypadek.

Samolot zwolnił i zatrzęsł się gwałtownie, gdy wielkie śmigła ustawiły się poziomo i zaczęły działać jak rotory helikoptera. Maszyna opuściła się powoli na zaśnieżone zbocze górskie. Rozległ się łoskot siłowników hydraulicznych - podwozie wysunęło się i zablokowało w pozycji otwarcia. Potem nastąpił lekki wstrząs przy lądowaniu. Tylne klapy opadły i do środka wtargnął lodowaty wiatr. Kompania SEAL wybiegła na zewnątrz. Bart opuścił samolot ostatni. Gdy tylko jego buty znalazły się poza rampą, V-22 uniósł się ku niebu. Wirniki ospreya znów ustawiły się pionowo, maszyna zawróciła na południe i zniknęła za granią. Morris przyjrzał się górze na północy i gestem ręki poderwał kompanię do marszu. Ruszyli przez śnieg. Kiedy wspięli się na niskie wzgórze między rzędami gór, zobaczyli kompleks laboratorium zbrojeniowego w Mashhad. Ośrodek nie był duży. Rząd kilku parterowych stalowych pawilonów łączył się od strony północnej z większym ceglany budynkiem. Na ogrodzonym terenie stało też parę warsztatów i garaży. Parkan nie miał żadnych zabezpieczeń i wzniesiono go, myśląc przede wszystkim o ochronie przed zwierzętami, a nie przed intruzami. W północnej części terenu stała też wartownia, ale przez lornetkę nie było widać żadnych strażników. Morris wyznaczył poszczególnym drużynom ich zadania. Jego trzyosobowy zespół miał wejść na teren kompleksu przez dziurę wyciętą w ogrodzeniu, włamać się do środkowego pawilonu i przedostać do ceglanych skrzydła. Morris czekał dziesięć minut na zneutralizowanie wartownika, otrzymał przez radio krótki sygnał, że może ruszać i przystąpił do cięcia parkanu.

Po krótkim biegu przez zlodowaciały śnieg dotarli do roletowych wrót garażowych najbliższego pawilonu. Obok były zwykłe drzwi. Morris poruszył klamką. Zamknięte. Skinął głową Paluchowi Williamsowi. Paluch błyskawicznie wyjął narzędzia i otworzył zamek wytrychem. Weszli do wysokiego mrocznego pomieszczenia. Zapewne ładowano tu ciężarówki, bo wzdłuż roletowych wrót wisiały podnośniki jednoszynowe. Była trzecia nad

ranem czasu miejscowego i nikt tutaj nie pracował. Hala nie interesowała Morrisa. Wyszli wewnętrznymi drzwiami na korytarz i zaczęli sprawdzać pomieszczenia po drugiej stronie.

Dotarcie do ceglanego budynku zajęło im pół godziny. Nic nie znaleźli. Cały pawilon zajmowały warsztaty mechaniczne, tłocznia blach stalowych i mała odlewnia. Żadnych rysunków broni. I wszędzie kurz.

Za drzwiami do ceglanego budynku ciągnął się korytarz z żużlobetonu. Biegł przez całą długość skrzydła. Drużyna Morrisa skręciła w prawo i zaczęła poszukiwania od wschodniego krańca. Duże biuro w północno-wschodnim narożniku miało okna w dwóch ścianach z widokiem na góry. Zapewne gabinet dyrektora. Morris spodziewał się, że zastanie tu sterty papierów i teczek. Ale biurko i blaty stołów były puste i czyste. Na półkach stały stare książki o tytułach w różnych językach: arabskim, francuskim, niemieckim, czasem angielskim. Te ostatnie dotyczyły fizyki, atomistyki, mechaniki cieczy i dynamiki gazów. Morris nie zawracał sobie nimi głowy, gdyż były to szeroko dostępne publikacje. Szukał segregatorów z odręcznymi lub maszynowymi zapiskami, notesów laboratoryjnych, stosów papieru milimetrowego, rysunków technicznych. W gabinecie dyrektora nic takiego nie znalazł. Ale na stole za dużym krzesłem stał komputer. Europejski model, zupełnie nowy. Morris skierował swoich ludzi do następnego pokoju, odstawił monitor na bok i odłączył procesor główny. Potem strzelił palcami w stronę Małpy Maksa, żeby rozpakował torbę z narzędziami. Max włożył mu do ręki śrubokręt z wprawą pielęgniarki asystującej chirurgowi. Trzydzieści sekund później obudowa komputera była zdjęta. Morris nie był specem w tej dziedzinie, ale bez trudu znalazł napęd dyskowy, zwłaszcza że był oznaczony. Odłączył dwa przewody, uciął kabel zasilający i zawinął urządzenie w folię bąbelkową. Max okleił pakunek taśmą samoprzylepną i urządzenie zniknęło w plecaku Morrisa, który nie zadał sobie trudu, żeby z powrotem złożyć komputer. Wkrótce cały kompleks, cały ZIF dowie się, że tu byli. Morris przeszukał szuflady w biurze i znalazł pół tuzina dyskietek. Zapakował je w folię bąbelkową, okleił taśmą i wrzucił do plecaka.

Morris i jego drużyna sprawdzili sześć pokoi biurowych wokół gabinetu dyrektora. Znaleźli tylko dwa notesy laboratoryjne, ale wyjęli napędy dyskowe z komputerów. Druga drużyna natrafiła w głębi korytarza na komputer główny i serwer. Ich urządzenia do przechowywania danych również przygotowano do zabrania. Pod ścianą stał stary komputer z napędem taśmowym. Był wyłączony i nieużywany. Kilka półek obok zajmowały taśmy magnetyczne. Więcej niż mogli zabrać. Morris postanowił je zostawić. Sądząc po wyglądzie, miały kilka lat. Bardziej interesowały go aktualne dane.

Trzecia drużyna, na zachodnim krańcu, szła wolno przez dwie pracownie chemiczne. Znalazła kilka pudeł z notesami laboratoryjnymi. Morris kazał zabrać najświeższe. Czwarta drużyna buszowała w małej pracowni projektowej wyposażonej w kilkanaście stołów kreślarskich. Trzy były skomputeryzowane. Wyjęli napęd dyskowy z serwera CAD i zapakowali do plecaka jednego z komandosów. Z ręcznych stołów kreślarskich zabrali kilka rysunków na papierze welinowym i zrolowali je do wyniesienia.

Żniwa były niemal zakończone. Morris sprawdził efekty działań innych drużyn, które przeszukiwały metalowe pawilony. Niektóre nie znalazły nic, inne natrafiły na interesujące wydruki. W narożniku jednego ze skrzydeł laboratorium, za ciężkimi mocnymi drzwiami i następnymi, jeszcze solidniejszymi, znajdowało się tajne archiwum. Dwaj ludzie Morrisa wycięli palnikiem wejście. Znaleźli półki i szafki pełne dokumentów. Materiały nie zrobiły wrażenie na Morrisie; były to przeważnie zakurzone relikty z czasów sprzed komputeryzacji biura. Zabrali rysunki techniczne.

Wreszcie pozostało tylko czekanie na kolejną, innego rodzaju zdobycz i założenie ładunków wybuchowych. Zegarek Morrisa pokazywał 5.35 czasu lokalnego. Jeszcze trochę. O 6.00 zjawił się pierwszy pracownik - niski, krępy Irańczyk w długim palcie i futrzanej czapie z nausznikami. Trzymał w ręku duży neseser i wyglądał na niezadowolonego - powodem było zapewne to, że nigdzie nie widział wartownika. Wszedł do holu, poszukał włącznika przy drzwiach i zapalił światło, potem skręcił w korytarz. Zobaczył Morrisa i zszokowany wytrzeszczył oczy. Morris zabrał mu neseser, a jego komandosi wykręcili mężczyźnie ręce do tyłu, skrępowali taśmą nadgarstki i kostki, a potem zakleili mu usta. Zaprowadzili go do biura i posadzili na krześle. Morris znów spojrzał na zegarek i postanowił zaczekać jeszcze pół godziny. Wyczytał w rozkazach operacyjnych, że wszyscy naukowcy zaczynają tu pracę kilka godzin przed resztą personelu i kończą ostatni, dosyć późno. Następni powinni zjawić się o świcie.

We wschodnim krańcu budynku zadzwieczał telefon. Morris już nie mógł czekać zbyt długo - ktoś, kto dzwonił, mógł się zaniepokoić tym, że nikt nie odbiera, zwłaszcza że w nocy prawdopodobnie powinien zgłaszać się wartownik. Do 6.45 nie pojawił się nikt więcej. Morris dał przez radio sygnał do odwrotu, chwycił jedną ręką plecak, drugą naukowca za ramię, przeciąwszy mu przedtem taśmę na kostkach, i ruszył w kierunku południowym. Wydostał się z metalowego pawilonu i dotarł przez dziedziniec kompleksu do dziury w ogrodzeniu. Rozkazał swoim ludziom ewakuować się i kiedy biegli do miejsca spotkania z samolotem, wyciągnął z kamizelki detonator radiowy. Po raz ostatni spojrzał na kompleks, odłonił włącznik i przesunął dźwignenkę. Eksplozja kilkunastu ładunków wybuchowych

rozwalila budynki. Materiału wybuchowego było niewiele, kompleks miały zniszczyć pożary pracowni chemicznych podsycane płonącymi papierami. Plan powiódł się; w laboratoryjnej części ceglanego budynku nastąpiły trzy wybuchy wtórne i poranne niebo przesłonił jaskrawy grzyb. Morris odwrócił się, wbiegł po śniegu na wzgórze i za szczytem skręcił do miejsca spotkania.

Dogonił innych i wkrótce usłyszał rotory. Miał nadzieję, że marines zaczekają. Popędzał przerażonego naukowca muzułmańskiego, który nie stawiał oporu, ale poruszał się zbyt wolno. Morris zachęcał go do biegu lufą MAC-10, zerwał mu taśmę z ust i pozwolił oddychać. W końcu zobaczył miejsce spotkania. Rotory V-22 wirowały na biegu jałowym i podrywały do góry drobiny lodu. Rozwidniało się coraz bardziej. Na widok samolotu naukowiec zaczął się szarpać, ale pchnięty ponownie lufą ruszył ku drzwiom maszyny. Po ich zamknięciu wewnątrz ospreya wydało się gorące i duszne, hałas poraził Morrisowi uszy, gdy rotory zwiększyły obroty i samolot unióśł się ku niebu. Ziemia kurczyła się w dole, maszyna przyspieszała. Morris zdjął plecak, ściągnął przepoconą kominiarkę i kurtkę. Słuchawka radia była śliska, mikrofon mokry od potu. Naukowiec patrzył w jedno z owalnych okien, siedział zeszytniały ze strachu lub zimna, może zresztą powodem było jedno i drugie.

Morris znalazł podgrzewany dzbanek z kawą, napełnił kubek i spróbował łyk. Świeży napar. Poczęstował naukowca i dał znak Bartowi, żeby oswobodził mu ręce. Irańczyk otoczył kubek dłońmi, żeby je ogrzać. Samolot wzbił się ponad góry i dołączyły do niego F-18. Po kilku godzinach, kiedy rotory ustawiły się poziomo do lądowania w okupowanym przez Koalicję Minabie, porwany naukowiec już spał.

Kiedy otwarto tylną klapę, w samolocie zaroilo się od gości z naczelnego dowództwa. Zabrali wykradzione nośniki danych i naukowca. Morris poszedł na odprawę, pogwizdując fałszywie - myślał już o następnej misji.

28

Środa, 1 stycznia

Wschodni Atlantyk, basen zachodnioeuropejski USS „Phoenix”

Kane stał i przyglądał się ponad ramieniem McDonne'a, jak XO wprowadza zmianę szybkości do obliczeń przewidywanej pozycji Celu Jeden - tak oznaczono Destiny. Odkąd dwanaście godzin temu wrócili z głębokości peryskopowej, Kane wciąż prowadził okręt zygzakiem, dokonując analizy mchu celu za rufajednostki ZIF. Kalkulacje McDonne'a

wskazywały, że cel płynie z szybkością mieszczącą się w przedziale między dwudziestoma pięcioma a trzydziestoma węzłami. Destiny przyspieszył do takiej prędkości kilka minut po jego ponownym wykryciu. Według danych Kane'a, mógł wyciągnąć czterdzieści pięć, może nawet pięćdziesiąt węzłów. Gdyby rozwinął maksymalną szybkość, „Phoenix” nie nadążyłby za nim. Ale przy obecnej prędkości emitował spory hałas.

Destiny dokąś się spieszył, ale nie na tyle, by musiał płynąć na pełnych obrotach. Płynął za szybko, jak na rutynowy rejs, bo ryzykował detekcję. O co tu chodziło? Od chwili wyjścia z Cieśniny Gibraltarskiej zataczał wielki krąg w kiemniku południowego krańca Grenlandii. Z projekcji na komputerze HP wynikało, że za siedemdziesiąt godzin znajdzie się na Morzu Labradorским, między wybrzeżem kanadyjskiej Nowej Fundlandii i Grenlandią. Za trzy dni. Po jaką cholere Sihoud wybiera się na Grenlandię?

Co gorsza, Kane nie mógł zwrócić się do nikogo o pomoc w rozwiązaniu tej zagadki. Nawiązanie łączności było wprawdzie możliwe, ale z taktycznego punktu widzenia nie wchodziło w ogóle w grę. Podejście na głębokość peryskopową wymagałoby zmniejszenia szybkości do pięciu czy sześciu węzłów, żeby uniknąć złamania anteny i peryskopu. Maszty były zbyt delikatne, by wytrzymać większą siłę oporu hydrodynamicznego. Mała szybkość na głębokości peryskopowej wykluczała ten manewr, przynajmniej w sytuacji, gdy działała tylko łączność na HF. Byłoby łatwo podejść na głębokość peryskopową, nadać wiadomość na UHF do satelity i z powrotem zejść w dół; nawet gdyby Destiny płynął z szybkością trzydziestu węzłów, „Phoenix” nie straciłby go z oczu. Ale dłuższy pobyt na głębokości peryskopowej groził zgubieniem Destiny. Kane nie chciał ryzykować. Zwłaszcza teraz, gdyż tajemniczy punkt docelowy okrętu ZIF musiał mieć jakieś znaczenie, przynajmniej taktyczne.

- Jakież pytania, XO?

McDonne odwrócił się i spojrzał w górę. Wydawał się zaskoczony, że Kane jeszcze za nim stoi.

- Nie, sir. Wszystko jasne.

Kane przydzielił McDonne'owi funkcję dyżurnego oficera dowodzącego - CDO - po czym zrobił mu odprawę, która przed chwilą się zakończyła. Wyznaczywszy CDO, Kane mógł skorzystać z dobrodziejstw sytuacji, kiedy kapitan przekazuje znaczącą część swojej władzy komuś innemu. Podczas tropienia wrogiego okrętu podwodnego, bardziej rutynowe decyzje podejmował wówczas XO/CDO i kapitan mógł się choć trochę zdrzemnąć. Nie był zwolniony od odpowiedzialności, ale XO działał za niego i nie zwracał mu głowy żadnymi problemami, chyba że był ważny powód do alarmu. Kane, ociągając się, wyszedł ze sterowni

i zatrzasnął za sobą drzwi swojej kajuty. Przez godzinę wiercił się na koi, w końcu zapadł w płytki sen.

OPSM „Hegira”

Opierając się całym ciałem na Tawkidim, komodor Sharef zszedł wolno po drabince.

Na środku stołu w mesie leżał rozwinięty plan okrętu, perspektywiczny obraz części dziobowej od pięćdziesiątej wręgi na końcu modułu dowodzenia do pokryw w stożku dziobowym. Pod głównym planem okrętu znalazły się szczegółowe rysunki techniczne, przyniósł je główny mechanik, komandor Ibn Quzwini, czwarty, a obecnie, po śmierci al-Kunisa, trzeci w łańcuchu dowodzenia. Sharef usiadł na swoim miejscu u szczytu stołu. Quzwini stanął w połowie długości blatu, Tawkidi usadowił się po prawej stronie Sharefa, gdzie kiedyś zasiadał al-Kunis. Na odprawę stawilo się jeszcze tylko kilku oficerów: porucznik Kutaiba, oficer napędu, podporucznik al-Maari, oficer sensorowy, oraz dwaj młodszy oficerowie; porucznik At Ishak, oficer systemów komputerowych i młodszy oficer Idrissi - pełnili wachtę w sterowni, pozostali nie żyli.

Weszli Sihoud i Ahmed. Generał wciąż nosił swój *shesh* z ozdobnym pasem i ceremonialnym sztyletem. Ahmed miał obandażowaną głowę i usztywniacz pianowy wokół szyi. W jego mundurze podwodniackim, który pożyczył mu jeden z młodszych oficerów, brakowało rękawa. Został ucięty w miejscu, gdzie lekarz musiał zaszyć długą ranę. Na opatrunku widniała zakrzepła krew.

- Zaczynamy, komandorze Quzwini - powiedział Sharef. Quzwini spojrzał na Ahmeda, skinął głową i z powrotem wpatrzył się w rysunki techniczne rozpostarte na stole.

- Od chwili, kiedy podnieśliśmy się na nogi po trafieniu torpedą, pułkownik Ahmed i ja staramy się napisać plan zainstalowania głowic Scorpion w pociskach Hiroshima...

- Po kolei - przerwał Sharef. - Po pierwsze, czy potrafimy zmontować Scorpiony bez doktora Abu-i-Wafy?

Przez Sharefa przemawiała niechęć do wystrzelenia broni, która zabije ponad pół miliona ludzi po tygodniu zabójczego promieniowania. Wprawdzie tamten naród zatopił „Sahanda”, ale prawdziwym wrogiem Sharefa była flota amerykańska. Kobiety, dzieci i starcy w Waszyngtonie nie mieli nic wspólnego z atakiem na jego fregatę. Okręt podwodny „Hegira” nie musiał ich zabijać. Nawet jeśli przyniosłoby to zwycięstwo w tej wojnie, Sharef miał wątpliwości, czy powinien to zrobić.

Odpowiedział mu Ahmed:

- Scorpiony są już złożone. Doktor Wafa zostawił szczegółowe instrukcje montażu i przy modułowej budowie głowic wystarczyło minimum narzędzi. Napełnienie komór przedreakcyjnych chemikaliami i sprężonymi gazami oraz umieszczenie plutonu i kobaltu w pojemniku dyspersyjnym było niebezpieczne, ale to ryzyko jest już za nami. Jesteśmy gotowi do zainstalowania głowic w pociskach.

- Możemy przenieść je na środkowy poziom...

- Quzwini! - Główny mechanik zamarł, słysząc gniew w głosie Sharefa. - Pułkownik Ahmed, dlaczego ta niebezpieczna operacja została przeprowadzona bez mojego pozwolenia?

- Ja dałem pułkownikowi Ahmedowi pozwolenie, komodorze - zabrzmiał głęboki głos Sihouda. Generał rozparł się na krześle, jakby te słowa wystarczyły.

- Generale, wydanie tego pozwolenia nie należało do pana. Jak już panu mówiłem, ja dowodzę tym okrętem podwodnym i dopóki żyję, ja i tylko ja wydaję rozkazy mogące zagrozić jego bezpieczeństwu. Jeśli nie potrafi pan tego zrozumieć, zamknę pana w pańskiej kajucie.

Zapadła cisza. Sihoud uśmiechnął się lekko.

- Był pan wtedy nieprzytomny, komodorze. Musiałem wziąć na siebie odpowiedzialność. Przepraszam, jeśli wszedłem na pański... teren.

Sharef zmiądzzył go wzrokiem, ale nic nie odpowiedział.

- Kontynuuj, Quzwini - rzucił. - Tak jest. Dwie głowice bojowe ważą prawie trzy tysiące kilogramów. Przetransportowanie ich z dolnego poziomu na górny będzie trudne. Planuję wyciąć otwór w płytach pokładu na tym poziomie w osi okrętu, tuż za drzwiami toalety. Przyspawamy okrągłe uchwyty do stalowego pokładu górnego poziomu i wciągniemy głowice podnośnikami łańcuchowymi w drzwi toalety. Powiększymy przejście, jeśli będzie trzeba. Potem usuniemy ściankę maskującą wjazd do dziobowego zbiornika balastowego.

- Wjazd nie ma zawiasów, Quzwini - przypomniał Sharef. - Jest zespawany.

- Otworzymy go palnikiem, a potem znów zespawamy, kiedy skończymy robotę. Okręt pozostanie w zanurzeniu z pełnym zbiornikiem balastowym. Umieścimy pociski Hiroshima w wyrzutniach jeden i sześć. Jedynek jest na środku zbiornika, co daje nam najwięcej miejsca w kierunku dziobu i rufy przy wyciąganiu pocisku. Szóstka jest w pierwszym pierścieniu. Tylko w jedynce i trójce są pociski samosterujące. Szóstka to najlepszy wybór. Jest wyżej, co daje nam większy margines błędów, gdyby zbiornik balastowy został zalany podczas operacji.

- Z jaką szybkością będziemy musieli płynąć, żeby mieć sterowanie zanurzeniem przy zbiorniku balastowym pełnym powietrza?

- Będziemy musieli płynąć na małej głębokości, żeby ograniczyć ciśnienie, ale zapewne z szybkością pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, żeby nasza rufa w kształcie litery X mogła kompensować wyporność, wykorzystując siły hydrodynamiczne. Niestety, przy dużej szybkości i małym zanurzeniu możemy zostawiać kilwater, więc uważam, że najlepszym, kompromisowym rozwiązaniem będzie głębokość stu metrów.

- To oznacza pracę w ciśnieniu dziesięciu atmosfer - zauważył Sharef. - Będziecie mieli ograniczony czas i potrzebna wam będzie powolna dekompresja, żeby uniknąć skurczy.

- Pomyśleliśmy o tym, komodorze. Czas przeprowadzenia tej operacji to około dziesięciu godzin. Przedostanie się do zbiornika balastowego zajmie następne dwie, bo trzeba dokonać dekompresji, schodząc na mniejszą głębokość. Dwugodzinną dekompresję przeprowadzimy w nocy, żeby przypadkowy statek lub satelity obserwacyjne nie zauważyły naszego kilwatera na powierzchni. A jeśli nawet zauważą, to ocean jest wielki i nikt nie wie, dokąd popłynęliśmy po wyjściu z Gibraltaru. Nie skojarzą śladu na powierzchni z naszym okrętem.

- A jak się dostaniecie do głowic bojowych?

- Myśleliśmy o odcięciu palnikiem tylnej części wyrzutni i wyciągnięciu pocisku po kawałku, modułami. W ten sposób dotarlibyśmy do głowicy, a potem złożylibyśmy wszystko z powrotem. Ale to kilka dni pracy w zalanym do połowy zbiorniku i słabym świetle. Nie da rady.

- Wiem - powiedział Sharef.

On sam szukał sposobu na pokonanie tej przeszkody, od momentu gdy dowiedział się, jaka będzie ich misja. Wydawało się, że nie ma innej metody dostania się do głowicy bojowej niż otwarcie pokrywy wyrzutni w dziobie okrętu i wyjęcie pocisku od przodu.

- Odetniemy palnikiem przednie końce wyrzutni dokładnie na poziomie pierścieni łączących głowice z pociskami. Usuniemy metal, wyjmemy stare głowice i włożymy nowe. Najtrudniejsze będzie wyciągnięcie głowic i kawałków metalu z wyrzutni. To następne uchwyty i podnośniki łańcuchowe.

- Wzięliście pod uwagę, co się stanie, kiedy przetniecie palnikiem wyrzutnię tuż nad czynną głowicą? - zapytał Sharef. - Wywalicie dwudziestometrową dziurę w stożku dziobowym.

- Nie - zaprzeczył Ahmed. - Najpierw usuniemy ładunek wybuchowy. Na szczycie wyrzutni zrobimy otwór wiertłem tytanowym aż do głowicy Hiroshimy. Drugi otwór wywiercimy z boku wyrzutni i wsuniemy tamtędy element grzewczy, żeby roztopić materiał

wybuchowy, który zostanie wysany przez otwór górny. Sądzymy, że w ten sposób uda nam się wydobyć dziewięćdziesiąt procent masy wybuchowej. Resztę zneutralizujemy sprężonym czysciwem azotowym wpuszczonym przez boczny otwór i wypuszczonym przez górny. Azot nie zapobiegnie zapaleniu się resztek materiału wybuchowego, ale powstrzyma pożar w wyrzutni i zapłon stałego paliwa raketowego.

Sihoud wstał.

- Komodorze, żeby oszczędzić czas i wypełnić misję, pułkownik Ahmed prosi o pozwolenie na załadunek głowic bojowych.

- Udzielam pozwolenia, Ahmed. Proszę bardzo, niech pan odstrzeli sobie głowę.

Tawkidi pomógł Sharefowi wrócić do kajuty. Komodor opadł na koję, poszarzały na twarzy z bólu i zmęczenia.

- Komandorze, wezwij lekarza i niech przyniesie te swoje cholerne leki.

- Tak jest. Niech pan spróbuje odpocząć.

Zastrzyk uśmierzył ból i Sharef zasnął, ale przedtem wyobraził sobie setki tysięcy twarzy niewinnych dzieci błagających go, by nie wystrzeliwał pocisków. Zachodni Atlantyk
Punkt Bravo

500 mil morskich na wschód od Long Island USS „Seawolf”

Pacino sam nie wiedział, co będzie gorsze: kazać technikowi zainstalować nowy obwód, co zdradzi załodze jego plan, czy zrobić to samemu i niech załoga zastanawia się, dlaczego kapitan bawi się w elektryka. Tak czy inaczej, sprawa wyda się nietypowa, bezprecedensowa. Kapitanowie zwykle nie brudzą sobie rąk ani nawet nie autoryzują takich zmian, o jakie mu chodzi. W ogóle o nich nie myślą. Nie chciał nic ujawniać załodze. Źle by się im przysłużył, gdyby chodził z miną pełną wątpliwości i obaw. Załoga znajduje oparcie w pewności siebie kapitana. A każdy, kto dowie się o tym obwodzie - począwszy od Vaughna - domyśli się, że tej pewności siebie zaczyna brakować...

Nie, to nieprawda. Ten obwód to zabezpieczenie. Na wszelki wypadek. Jego „Seawolf” załatwi Destiny, bo jest cichszy, szybszy i doskonalszy technicznie niż okręty klasy 688, które poszły na dno. Pacino próbował dodać sobie odwagi, ale głos wewnętrzny mówił mu: masz takie samo uzbrojenie, jak 688.

Zmęczyły go wewnętrzne dyskusje z samym sobą. Zamontował obrotowy włącznik na przedniej ścianie metalowej puszkii i obejrzał urządzenie. Doprowadził przewody do włącznika i przeciągnął kabel przez otwór na górze puszkii. Osłona kabla przeszła przez przelotkę wkręconą w otwór. Pacino zwinął kabel i włożył wszystko do brezentowej torby narzędziowej razem z wiertarką baterijną, opaskami do mocowania przewodów, linką do

przeciągania kabli, ściągaczem do izolacji i śrubokrętem. Po raz ostatni przejrzał schemat elektryczny i upewnił się, że pamięta stronę pokazującą miejsce, gdzie chce się włączyć do instalacji.

Schował wszystko do szafki. Musiał poczekać z robotą do połowy wachty, kiedy mesa załogi będzie pusta. Nastawił budzik na 3.00, zgasił światło sufitowe i wdrapał się na koję. Na brzuchu położył otwarty folder, starannie zadrukowane kartki w miękkiej okładce, opatrzone napisem: Ścisłe tajne - Wczesna Emerytura. Dostał go od admirała Doncheza. Lekturę grubego raportu zaczął od wszystkich znanych informacji o okręcie podwodnym klasy Destiny. Po przeczytaniu stu stron zaczął wątpić, czy „Seawolf” miałby jakiegokolwiek szanse w starciu z tą nową jednostką pływającą. Następne sto stron uzupełniło jego wiedzę na temat Destiny. Był to długi opis systemu komputerowego, który znacznie wzbogacił jego wiedzę, a jednocześnie zbił go z tropu.

O 1.00 zadzwonił OOD. Poprosił o pozwolenie na podejście na głębokość peryskopową, żeby nawiązać łączność radiową przez satelitę. Pacino zgodził się i poczuł, jak pokład odchyła się do góry, wraca do poziomu, a potem kołysze lekko w falach z powierzchni. Po kilku minutach okręt wrócił w głębinę, skrzypiąc kadłubem pod ciśnieniem wody morskiej. Wypoziomował na stu siedemdziesięciu metrach i pokład się uspokoił. Dziesięć minut później rozległo się pukanie do drzwi. Radiowiec przyniósł wiadomość. Pacino popatrzył na tekst - ani słowa od Steinmana czy Doncheza. Spiesz się, a potem czekaj, pomyślał. Podpisał rutynową wiadomość, odprawił radiowca i wrócił do lektury.

Następna część raportu dotyczyła załogi Destiny. Informacje o komodorze Abbasie Alai Sharefie zawierały mnóstwo szczegółów. Najbardziej złowrogi był opis zatonięcia „Sahanda” w roku 1988. Pacino nawet nie pamiętał tamtej operacji - odbywał wtedy na morzu turę XO. Tropił pod polarną pokrywą lodową radziecki okręt podwodny klasy Akula, który właśnie wypłynął ze stoczni w Siewierodwińsku na testy morskie na Oceanie Arktycznym. Misja była tak niebezpieczna, że trzydziestodniowy meldunek radiowy o ataku amerykańskiej marynarki wojennej na irańską flotę wydawał się bez znaczenia. Ale akcja przeprowadzona w odwecie za zatrzymywanie przez Irańczyków statków handlowych w Zatoce Perskiej wydawała się z perspektywy czasu przesadną reakcją. Folder zawierał raport magazynu „Time” i artykuł nowojorskiego „Timesa”. Media nie podawały zbyt wielu szczegółowych faktów z tym związanych, ale akapit o ocenie zdarzenia przez wywiad marynarki wojennej ujawniał, że „Sahand” mocno oberwał i przeżyła tylko garstka ludzi, wśród nich Sharef. Nic dziwnego, że pałał wyjątkową nienawiścią do amerykańskiej marynarki wojennej. Pacino znalazł inny fakt, jeszcze bardziej niepokojący: Sharef nie miał rodziny, żony ani dzieci. Nie

istniało nic takiego, co szepnęłoby mu do ucha w którymś momencie, że dziś warto przeżyć, by walczyć jutro. Typ człowieka, który walczy do śmierci. Ale w końcu było wielu takich islamskich żołnierzy. Wierzyli, że śmierć w bitwie to bilet pierwszej klasy do nieba. Pacino skończył czytać o Sharefie i przeszedł do informacji o pierwszym oficerze, kapitanie al-Kunisie, i innych młodszych oficerach. Wszyscy byli ważni, bo każdy z nich mógł przejąć dowodzenie po śmierci Sharefa.

Kiedy skończył czytać raport, była 2.30. Postanowił wcześniej zacząć modyfikację instalacji elektrycznej, wstał z koi i włożył buty. Wyjął z szafki brezentową torbę i wyszedł ze swojej kajuty na centralny korytarz środkowego poziomu. Miał długą drogę do tylnej przegrody, skąd odnoga prowadziła w prawo, przy włączniku do tunelu przedziału reaktorowego. Pacino przystanął tam i zaczął się zastanawiać - włącznik do pomieszczeń jądrowych przyciągnął jego uwagę. Przegroda i ciężki włącznik wytrzymały takie samo ciśnienie, jak kadłub zewnętrzny. W wypadku zalania części dziobowej przedział rufowy mógłby przetrwać, dopóki nie puści stal kadłuba głównego. Pacino wszedł do włącznika, wyciągnął rękę i z zamkniętymi oczami sięgnął do pewnego punktu na przegrodzie przedziału dziobowego. Potem, nie cofając ręki, wrócił na korytarz przedziału dziobowego. Miejsce na przegrodzie znajdowało się tuż obok włącznika na wysokości klatki piersiowej. Złe położenie, miejsce było zbyt widoczne dla ludzi wchodzących do przedziałów rufowych, ale nie miał innego wyjścia.

Wyjął wiertarkę i wywiercił dwa małe otwory we wzmocnieniu przegrody. Zamontował na nim dwa wsporniki i przykręcił puszkę włącznikową. Znalazła się na przegrodzie w miejscu, do którego Pacino sięgnął z drugiej strony włącznika. Trzymała się mocno. Wyprowadził z puszki kabel i przeciągnął do sufitu, gdzie biegło kilkaset innych przewodów. Poprowadził kabel w kierunku dziobu, do przegrody kabiny monitoringu elektronicznego, w której przechwytywano sygnały radiowe i radarowe na powierzchni. Podczas rejsu w zanurzeniu pomieszczenie stało puste. Pacino wywiercił otwór w przegrodzie na jej styku z sufitem i wprowadził tamtędy kabel. Miał z tym dużo roboty, gdyż kabel mierzył trzydzieści metrów. Przymocował go kilkoma opaskami do innych przewodów i tę część pracy miał za sobą.

Obejrzał swoje dzieło. Nowa instalacja wyglądała na dzieło fachowca, ale zbyt świeżo. Nie pomyślał o tym. Sięgnął do sufitu i znalazł kilka trudno dostępnych miejsc, które nie zostały dokładnie wyczyszczone przez załogę po pobycie okrętu w stoczni. Zebrał garść tłustego kurzu i rozsmarował lekko na kablu i puszcze włącznikowej. Połysk zniknął. Pacino przetarł przód puszki szmatą. Instalacja wyglądała teraz, jakby pochodziła z okresu pobytu

okrętu w stoczni. Wziął małą żółtą plakietkę, napisał na niej *Nieczynne* i umocował ją na włączniku. Miała informować załogę, że instalacja nie działa i włącznika nie warto dotykać. Cofnął się i przyjrzał plakietce. Nie był zadowolony. Żółty kolor przyciągał uwagę, lepiej zostawić włącznik nieoznakowany. Usunął plakietkę i poszedł w kierunku dziobu do kabiny monitoringu elektronicznego.

Przez chwilę nasłuchiwał pod drzwiami, potem wystukał kombinację na klawiaturze zamka szyfrowego i wszedł do środka. Torbę zostawił w korytarzu na wypadek, gdyby zastał wewnątrz któregoś z elektroników, ale pomieszczenie było puste. Wciągnął torbę narzędziową do środka i zamknął za sobą samoryglujące się drzwi. W niewielkim pomieszczeniu stały dwa wyściełane fotele dla operatorów, pod ścianami półki pełne sprzętu elektronicznego.

Pacino znalazł kabel, który wcześniej wpuścił z zewnątrz, i przeciągnął go przezabinę do przedniej przegrody. Wyciął w niej otwór, przymocował kabel opaskami do grubej wiązki przewodów w suficie i pokrył brudem, jak przedtem. Postanowił sprawdzićabinę radiową, zanim poprowadzi tamtędy kabel. Też była pusta. Wsunął tam kabel i rozejrzał się po kabine elektronicznej, żeby się upewnić, czy nie zostawił żadnych śladów swojej obecności.

Kabina radiowa była większą wersją elektronicznej. Nie musiała być wygodna ani ładnie wyglądać. Pacino powtórzył czynności z poprzedniego pomieszczenia, ale zamiast przeprowadzić kabel dalej w kierunku dziobu, przeciągnął go w dół po przedniej przegrodzie i wywiercił otwór w pokładzie. Wypuścił kabel na niższy poziom, znów obejrzał swoje dzieło i zszedł na dół do torpedowni. Zwykle tętniło tu życie, ale teraz panowała cisza, gdyż pomieszczenie służyło za drugą sypialnię. Światła przełączono na czerwień, żeby wyciemnić jasną zazwyczaj torpedownię, i słychać było głośnie chrapanie. Nikt się nie obudził. Pacino wdrapał się na jedną z wyrzutni Vortexów. Czuł jej zimny twardy metal, nad głową zostało mu niewiele miejsca. Znalazł kabel zwisający z kabiny radiowej i przeciągnął go wolno przez sufit w kierunku dziobu. Gdy mocował kabel obok tysiąca innych przewodów biegnących w górze, poczuł ból w plecach. W końcu zszedł z wyrzutni na wąskie płyty pokładu w przedniej części torpedowni i poprowadził kabel w bok, w kierunku osi okrętu, aż dociągnął go nad długi panel biegnący w poprzek pomieszczenia. Otworzył pokrywę panela, sięgnął w górę do sufitu i doprowadził kabel do wnętrza. Patrząc z zewnątrz, nikt nie zauważyłby dokonanej potajemnie zmiany. Pacino znalazł w panelu obwód, którego szukał, i dotarł do przekaźników. Miał nadzieję, że połączenie jest zgodne z instrukcją techniczną. Wziął ściągacz do izolacji i przeciął przewód zasilający, który biegł do przekaźnika R141 na tylnej

ściance panela. Potem sprawdził, czy w przewodzie jest napięcie. Nie było. Usunął izolację z przewodu, zagiął druty na obu jego końcach i przykręcił do zacisków małej kostki, którą wyjął z torby narzędziowej. Doprowadził do kostki swój kabel i robota była skończona. Pozostało umocowanie kabla, by nie wisiał luźno. Pacino po raz ostatni obejrzał podłączenie. Wyglądało na to, że będzie działało. Żałował, że nie może tego sprawdzić, ale potrzebowałby drugiej osoby do przestawienia włącznika. On sam obserwowałby przełącznik R141 i zestyk wyjściowy musiałby być otwarty, żeby nie zasilić dalszej części instalacji. Wypróbowanie obwodu byłoby bardziej ryzykowne niż jego zainstalowanie, Pacino musiał z tego zrezygnować. Liczył na to, że nikt nie zajrzy do panela. Przyśrubował pokrywę, wepchnął torbę pod przetłuszczony kombinezon i pobiegł z powrotem do swojej kajuty. Zdumiewające - nikt go nie widział.

Miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiał użyć włącznika, ale jeśli do tego dojdzie, obwód zadziała.

29

Czwartek, 2 stycznia

Północny Atlantyk OPSM „Hegira”

Sharef potrzebował pomocy Tawkidiego, żeby wstać z koi i usiąść przy stole konferencyjnym.

- Chyba jestem coraz słabszy - powiedział.

- Lekarz mówił, że nastąpiło zakażenie złamanego żebra. Oka też. Leki nie pomagają?

Sharef nie miał ochoty odpowiadać na to pytanie. Czuł się tak, jakby jego organizm zamierzał się wyłączyć i umrzeć. Zupełnie nie w porę. Rakish Ahmed i generał Sihoud weszli bez pukania.

- Trzeba pukać, zanim wejdzie się do kajuty kapitańskiej - parsknął Tawkidi do Ahmeda, ale miał też na myśli Sihouda.

- Przyszliśmy, żeby zapoznać komodora z pracami w zbiorniku balastowym - odparł Ahmed. - Ale możemy to sobie darować, jeśli nieprzestrzeżenie etykiety tak bardzo pana irytuje.

- Niech pan mówi, pułkowniku - odezwał się Sharef, chciał to już mieć za sobą.

- Ocenialiśmy, że robota w zbiornikach potrwa dziesięć godzin, ale teraz się okazuje, że ponad sześćdziesiąt. Razem z odpoczynkami i czasem potrzebnym do dekompresji zajmie nam to sześć dni.

- Nie mamy tyle czasu...

- Wiem, komodorze. Dlatego ograniczyłem pracę przy pociskach do zamontowania tylko jednej głowicy Scorpion w wyrzutni numer 1.

- To tylko jeden pocisk - zauważył Tawkidi. - Czy pojedyncza głowica ma wystarczające promieniowanie?

- Więcej niż wystarczające - odrzekł Ahmed.

- Ale nie będziemy mieli nic w zapasie. Jeśli coś pójdzie nie tak, nie zostanie nam żadna rezerwa.

Ahmed spojrział na Tawkidiego.

- Wszystko pójdzie dobrze - powiedział.

- Na jakim etapie jesteście, pułkowniku? - zapytał Sharef.

- Głowica Scorpion została przetransportowana do przedniej toalety na środkowym poziomie. Jest tuż przy włączniku do zbiornika balastowego. Włącznik jest wycięty, ale na razie uszczelniony szpachlówką. Weszliśmy do zbiornika i wywierciliśmy otwór w wyrzutni numer 1. Usunęliśmy ładunek wybuchowy. Gdy ponownie tam wejdziemy, odetniemy część wyrzutni. To zajmie całe dziesięć godzin. Kiedy wejdziemy do zbiornika po raz trzeci, wsuniemy głowicę Scorpion i przyspawamy łąkę. Kiedy głowica będzie na swoim miejscu, przeprowadzimy pełny test pocisku, łącznie z odczytami elektronicznymi z pocisku w procesorze kierowania uzbrojeniem i odwrotnie.

Sharef skinął głową.

- Tak, widzę, że macie dobry pomysł, jak to dokończyć. Ale to dopiero trzy czwarte pracy, pułkowniku. A tymczasem, z powodu tego zbiornika balastowego, okręt musi płynąć z szybkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, żeby mieć sterowanie głębokością. Pokażę panu, co oznacza dla nas podróż z taką szybkością.

Na jego znak Tawkidi rozwinął mapę morską z ich długą trasą okrężną przez północny Atlantyk. Pozycję okrętu oznaczała duża kropka. Wokół Waszyngtonu był wyrysowany krąg zasięgu pocisków. Kropka znajdowała się bardzo blisko kręgu.

- Jak pan widzi, jesteśmy zaledwie dwieście kilometrów od kręgu wokół Waszyngtonu. Jeśli nadal będziemy płynąć z taką szybkością przez te trzydzieści godzin, które są wam potrzebne na dokończenie pracy, pokonamy prawie dwa tysiące kilometrów i znajdziemy się na środku Morza Labradorskiego. Nie będziemy mogli płynąć dalej, bo

skończy się ocean. Zaplanowałem taką trasę, żeby utrzymać naszą misję w tajemnicy, więc niech pan nie proponuje zwrotu na południe i rejsu wzdłuż wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Dotarlibyśmy wtedy do ruchliwych szlaków morskich i gęsto patrolowanych rejonów operacyjnych. Pocisk Hiroshima ma taki zasięg, że nie potrzebujemy podpływać bliżej. W dodatku, pułkowniku, powodzenie misji wymaga wystrzelenia pocisku z arktycznej północy, bo z tego kierunku Amerykanie nie spodziewają się zagrożenia. Pomyślą, że Hiroshima to concorde lub prywatny odrzutowiec ponaddźwiękowy lecący z Europy nad biegunem północnym. Jeśli nasz pocisk w ogóle pojawi się na ich radarach. Musimy mieć nadzieję, że osłona radarowa nie jest doskonała.

- Zgadzam się, komodorze. Niech pan nie robi zwrotu na południe. Nie może pan zwolnić, dopóki nie będziemy mogli z powrotem zalać zbiornika balastowego. Niech pan zrobi zwrot na północ, jak pan zamierzał, i skieruje się w górę Cieśniny Davisa między Grenlandią i kanadyjską Ziemią Baffina.

- Po zwrocie na północ Waszyngton znajdzie się tysiąc dwieście kilometrów poza zasięgiem naszego pocisku. Co więcej, tutaj, na północ od krańca Grenlandii, zaczyna się granica strefy lodowej. Stała pokrywa lodowa jest tu, daleko przed wyznaczonym kręgiem. Powiedziałbym, że mamy do przepłynięcia tysiąc kilometrów od wejścia do Cieśniny Davisa, zanim opuścimy otwarte wody.

- Nie będziemy potrzebowali dodatkowego czasu przy tej szybkości, komodorze. Mamy trzydzieści godzin, dwa tysiące kilometrów i jeszcze tysiąc do wykorzystania, jeśli zajdzie taka potrzeba w podróży na północ. Jeśli dotrzemy do stałej pokrywy lodowej - gdzie to jest? - na Morzu Baffina, zmienimy kurs i zawrócimy na południe.

Ahmed sam doszedł do tego, co Sharef chciał mu powiedzieć na wstępie. Ale komodor miał wrażenie, że gdyby to zaproponował, pułkownik upierałby się przy zwrocie na południe. Patrolowanie granicy strefy lodowej na Morzu Baffina - z konieczności może nawet przez tygodnie - byłoby bezpieczne. Sharef uważał, że Amerykanie i Kanadyjczycy nie znaleźliby ich w takim zaciszu.

- To się wiąże z moim drugim problemem, pułkowniku, sprawą naszej prędkości. Nie tylko szybko pokonujemy odległość; grozi nam detekcja. Im wyższa prędkość, tym głośniejszy hałas i większe ryzyko wykrycia. Monitory mojego systemu Drugi Kapitan pokazują rozerwanie kadłuba zewnętrznego w rufowym zbiorniku balastowym. To wytwarza rezonans przepływowy - dziura gwizdże przy przepływie wody.

- I...?

- I mogą nas namierzyć. Nie martwi mnie zbytnio dystans, jaki pokonujemy, ani nie jestem przesadnie zaniepokojony wzrostem wydawanego przez nas hałasu na środku Atlantyku, ale kiedy zbliżymy się do kontynentu północnoamerykańskiego, bardzo chciałbym zmniejszyć szybkość.

- Teraz mamy przerwę, odpoczywamy. Nie wrócimy do zbiornika balastowego przez następne siedem godzin. Przyspieszenie tempa pracy będzie ryzykowne dla pańskich oficerów, którzy pomagają mi w zbiorniku. I nie możemy zalać zbiornika, bo musielibyśmy zaspawać włącz, żeby był szczelny. I zajęłoby to godziny. Ponowne wycięcie włączu również. To byłoby marnotrawstwo czasu.

- Włącz jest teraz uszczelniony masą plastyczną? Możemy zalać zbiornik częściowo, do dolnej krawędzi włączu. Przy zbiorniku napelnionym do połowy mógłbym trochę zwolnić.

- Nie zgłaszam sprzeciwu.

- Komandorze Tawkidi, uda się odpowietrzyć zbiornik i podnieść poziom wody do krawędzi włączu, żebyśmy mogli zwolnić?

- Tak, komodorze. Drugi Kapitan może wszystko łatwo obliczyć. Przy wypuszczaniu powietrza ze zbiornika balastowego będzie trochę hałasu, ale moglibyśmy zwolnić nawet do dwudziestu pięciu kilometrów.

- Tak zrobimy. Pułkowniku, po waszym drugim wejściu do zbiornika chcę mieć następny raport o postępie prac. Jakież uwagi, generale Sihoud?

Sihoud był małowówny - zbyt małowówny - przez cały rejs. Tawkidi meldował, że po dojściu do siebie po trafieniu okrętu torpedą generał przebywa przez cały czas w kajucie pierwszego oficera. Nie wychodził na posiłki i odmawiał jedzenia w kajucie. Źle wyglądał.

- Komodorze - powiedział Sihoud, jego głęboki głos nie zdradzał napięcia, wciąż brzmiał rozkazująco. Sharef pomyślał jednak, że jest coś dziwnego w jego oczach. - Pan i pułkownik Ahmed dokładnie zaplanowaliście wykorzystanie broni. Gratuluję wam obu. Nalegam, żebyście nadal pracowali razem nad wystrzeleniem Scorpiona. Kiedy pocisk znajdzie się w powietrzu, zdobędziemy przewagę w naszej walce. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Sharef patrzył, jak Ahmed i Sihoud wychodzą. Z zadumy wyrwał go głos Tawkidiego.

- Zaleję teraz zbiornik i zmniejszę szybkość, komodorze. Powinien pan odpoczywać, dopóki Ahmed nie zakończy następnych prac w zbiorniku.

- Dobrze - odrzekł Sharef, skorzystał z pomocy Tawkidiego i wrócił na kaję. Połknął proszki leżące na stole i popił je wodą, którą przyniósł komandor.

Kiedy wpatrzył się w sufit nad koją, przypomniał sobie oczy Sihouda. Straciły blask, wydawały się zgaszone i martwe. Jakby generał już pogodził się z tym, że umrze. No, cóż, pomyślał Sharef. Ja nie jestem takim fanatykiem jak on, który usprawiedliwia wszystko miłością do Allaha. Ale z drugiej strony, stałem się więźniem na własnym okręcie, wbrew temu, co powiedział Ahmedowi i Sihoudowi. Uczucie frustracji dręczyło go jeszcze przez jakiś czas, ale w końcu zadziałały środki dostarczone przez lekarza i zasnął.

USS..Phoenix”

Kane patrzył z niepokojem na mapę morską. Od dwudziestu godzin utrzymywali stały kurs, płynęli po linii prostej niczym pocisk wystrzelony w najbardziej wysunięty na południe kraniec Grenlandii, przylądek Farvel. Od trzynastu godzin Cel Jeden rozwijał szybkość trzydziestu pięciu węzłów, dwukrotnie większą od tej, z jaką Kane płynął przez Atlantyck. Kiedy kontakt przyspieszył do trzydziestu pięciu węzłów, na początku wydawał donośny pogłos. Sanderson twierdził, że brzmiało to jak opróżnianie zbiornika balastowego, jakby tamten zamierzał się wynurzyć. Ale pozostał pod powierzchnią. Byli teraz w połowie drogi do Grenlandii, do kanadyjskiego wybrzeża mogli dotrzeć za dwa dni, może wcześniej.

Im dłużej ścigali Destiny, tym bardziej tajemnicza wydawała się jego ucieczka z Morza Śródziemnego. Kane rozłożył wielką mapę północnego Atlantyku oraz dużej część półkuli północnej i zaznaczył cienką pomarańczową taśmą nawigacyjną ich szlak od Gibraltaru. Dociągnął taśmę do śródziemnomorskiego portu Kassab, skąd Destiny rozpoczął swoją misję. Wiedząc, że na pokładzie jest generał Sihoud, ucieczkę okrętu z Morza Śródziemnego i rejs w kierunku wybrzeża kanadyjskiego można było interpretować w różny sposób.

Być może Sihoud zdecydował się abdykować czy skapitulować i zgodził się opuścić tereny ZIF na okręcie podwodnym, by poddać się na Nowej Fundlandii, Morzu Labradorским czy Grenlandii. Może udaje się na specjalne rozmowy pokojowe w Kanadzie lub na Grenlandii; do tego stopnia tajne, że musiał zniknąć z oczu swoim podwładnym. Ale dlaczego przywódca płynący na tajne spotkanie pokojowe miałby zatopić po drodze dwa okręty podwodne? To nie miało sensu. A jeśli transportuje z Morza Śródziemnego jakąś broń, którą wystrzeli w Stany Zjednoczone? Czemu zatem nie odpalił jej po prostu z Morza Śródziemnego? Chodzi o zasięg - Morze Śródziemne jest za daleko. Japończycy mogli sprzedać ZIF kilka ponaddzwiękowych pocisków samosterujących wysokiego pułapu i może Sihoud wymyślił sobie, że przetransportuje je tam, skąd będzie miał Stany w zasięgu. Ale w takim razie, dlaczego nie płynie w linii prostej w kierunku wschodniego wybrzeża Ameryki? I jakie zniszczenia może spowodować konwencjonalny pocisk samosterujący? Paru terrorystów

z ładunkami plastiku w ściekach mogłoby dokonać większych zniszczeń. Mieliby większe szanse na sukces niż pocisk samosterujący wystrzelony w kierunku wschodniego wybrzeża strzeżonego przez radary.

A gdyby znalazł sposób na wyprodukowanie broni jądrowej? Dotarłby tak blisko celu, jak tylko by mógł, i wystrzeliłby ją. Zakładając, że miałby środek transportu. Może ma taką broń i transportuje ją na Morze Labradorskie. Tam wynurzy się nocą i przeladuje broń na kuter rybacki, który zawinie do jakiegoś sennego portu kanadyjskiego, skąd zdezelowany wynajęty samochód zabierze ją do granicy, a potem dostarczy do Bostonu, Nowego Jorku czy Waszyngtonu. Albo robi to hydroplan, który nie potrzebuje się zatrzymywać po drodze.

Wspaniale, Kane, po prostu genialnie... Prześlij te rewelacje drogą radiową do admirała Steinmana, to uśmieje się do łez i przyśle ci pudło powieści Alistaira MacLeana. Poza tym wywiad to nie twoja działka. Ty masz gromadzić suche dane. Kane miał już całe wagony towarowe suchych danych, które chciał komuś przekazać. I nie mógł - z powodu szybkości Destiny. Po prostu nie mógł sobie pozwolić na podejście na głębokość peryskopową, żeby nadać wiadomość na HF.

Odwrócił się od mapy i powędrował na środkowy poziom po kubek kawy. Okręt przypominał wymarłe miasto. Ludzie w sterowni byli zajęci tropieniem Destiny i ruch przeszkadzał w myśleniu. Kane nie mógł się podzielić swoimi teoriami z McDonne'em, bo XO spał przed wieczorną wachtą. W mesie załogi Kane dostrzegł kątem oka starszego bosmana Binghamtona. Przywołał radiowca do mesy oficerskiej.

- Tak, kapitanie.
- Żadnych zmian w statusie sprzętu UHF?
- Nadal nieczynny, sir. Mamy tylko HF albo nic.
- A co z częściami zamiennymi do...
- Kapitanie - dobiegł głos z korytarza. - Kapitanie?
- Jest tutaj - odpowiedział Binghamton.

Telefonista w korytarzu trzymał długi zwinięty przewód. Miał obowiązek zapewnić łączność między środkowym poziomem i sterownią podczas ciszy taktycznej, żeby nie trzeba było używać głośników.

- Dzwoni sterownia, sir. OOD prosi tam pana jak najszybciej.
- Już idę.

Kane wbiegł po schodkach na górny poziom i kilkoma długimi krokami dotarł do sterowni. W pomieszczeniu było tłoczno i duszno. OOD i młodszy oficer pokładowy stali przy konsolach centrum ataku, operatorzy ploterów robili ręczne wykresy, słychać było szmer

rozmów. Na platformie urzędował Jensen. Miał przekrwione oczy na skutek braku snu lub ran, które odniósł przy zderzeniu okrętu z dnem.

- Kapitanie, Cel Jeden właśnie zwolnił do trzynastu węzłów. Żadnych oznak kontrdetekcji czy manewru sprawdzania stożka ciszy. I wydał jakiś pogłos. Smoot czuwa w sonarze. Mówił, że to brzmiało jak odpowietrzanie zbiornika balastowego.

To była dla Kane'a szansa, żeby podejść na głębokość peryskopową i nadać przez radio meldunek o kontakcie. Być może jedyna szansa. Zmniejszenie szybkości i podejście na głębokość peryskopową groziło zgubieniem kontaktu, ale musiał to zrobić. Przy prędkości Destiny trzynaście węzłów Kane mógł mu pozwolić odskoczyć do przodu. Zdołałby go dogonić po niezbyt długim pobycie na głębokości peryskopowej. Powiedział sobie, że zostanie tam najwyżej dwadzieścia minut, nie dłużej.

- Odległość do kontaktu?

- Osiem tysięcy dwieście metrów.

- Jakież zmiany w kursie Celu Jeden?

- Nie, sir. Idzie prościej niż strzała.

- Zwiększyć szybkość do dwudziestu węzłów, zmniejszyć odległość do czterech tysięcy pięciuset metrów, potem podejść na głębokość peryskopową przy prędkości siedmiu węzłów bez sprawdzania stożka ciszy. Będę w kabine radiowej. Do roboty, podnieść okręt.

Kane'owi waliło serce, gdy okręt wypoziomował na głębokości peryskopowej. Manewr wykonano bez zatrzymywania się na czterdziestu pięciu metrach dla sprawdzenia stożka ciszy i upewnienia się, jaki jest ruch na powierzchni. Ogolona na łyso czaszka Binghamtona lśniła od potu, kiedy kazał wysunąć antenę wieloczęstotliwościową Bigmouth i zapaliła się zielona kontrolka sygnalizująca pełne wypuszczenie masztu w kształcie słupa telefonicznego. Starszy bosman podał Kane'owi słuchawkę z mikrofonem na wysięgniku i włożył taką samą. Konsole przed nim buczały i trzeszczały, gdy dostrajał częstotliwości i żonglował książką kodową.

- Centrum NavCom Norfolk, tu Tango Dwa Foxtrot - nadał do Ośrodka Łączności Marynarki Wojennej. T2F było nazwą kodową „Phoenixa” na drugiego stycznia. Binghamton powtórzył wywołanie kilka razy. Z odbiornika dochodził świst. Narastał i opadał. W głośnikach szumiały zakłócenia.

- No prędzej, prędzej... - mrucał Kane, myśląc intensywnie o tym, że Destiny płynie naprzód i zwiększa odległość.

- Centrum NavCom Norfolk, tu Tango Dwa Foxtrot, odbiór. Zakłócenia.

- NavCom, tu Tango Dwa Foxtrot z wiadomością Navy Blue, odbiór.

Zakłócenia przerywane zniekształconym głosem, potem świsty w głośniku.

- NavCom, tu Tango Dwa Foxtrot z pilną wiadomością Navy Blue, odbiór.

Syk przzerwany na krótko słowami:

- Dwa Fox...

- Szybciej, starszy - powiedział Kane, bardziej do siebie niż do Binghamtona.

- NavCom, tu Tango Dwa Foxtrot z Navy Blue do nadania. Słyszysz mnie? Odbiór.

- Tang... Dw... ox... szę cię... daw... odbiór.

- To wszystko, co możemy zrobić, starszy?

- Nadajmy wiadomość i zobaczymy, czy odpowiedzą. Kane zerknął na tekst, który przed chwilą nagryzmołił.

- Centrum NavCom Norfolk, tu Tango Dwa Foxtrot - zaczął wolno i wyraźnie. - Navy Blue jak następuje. - Navy Blue oznaczało pilną wiadomość do przekazania bezpośrednio admirałowi Donchezowi w Pentagonie. - Tango Dwa Foxtrot melduje, że jest na pozycji pięćdziesiąt dwa stopnie cztery minuty dwanaście sekund szerokości November i trzydzieści trzy stopnie siedemnaście minut czterdzieści sekund długości Whisky. - Kane napocił się nad następnym fragmentem raportu, bo wiedział, że wiadomość pójdzie w eter niezakodowana i będą ją mogły przechwycić odbiorniki ZIF, jeśli sana nasłuchu. - Spotkaliśmy się z naszym klientem w pierwotnym punkcie kontaktu. Udaje się teraz do obecnego miejsca przeznaczenia, prawdopodobnie na Morzu Labradorским. Przez ostatnie dwadzieścia godzin podróżował z szybkością trzydzieści pięć, obecnie zwolnił do trzynastu. Tango Dwa Foxtrot wcześniej uszkodzony, teraz już na chodzie, ale radio UHF nie działa. Nasze garaże nie mają więcej pojazdów Matthew-Luke-and-John pięć zero. - W ten sposób zawiadomił, że wytrzymał się z torped Mark 50. - Następne nowości później. Bravo tango. Powtarzam. Wiadomość Navy Blue jak następuje... - Kane jeszcze raz nadał tekst i poprosił o odpowiedź.

Głośniki świstały i krztusiły się.

- ang... meldunek... avy Blue... ozycji... szer... pięćdziesiąt dwa sto... November... dług... trzydzieś... siedemnaście min... whisky...

Reszta odpowiedzi brzmiała tak samo. Kane spojrzął na Binghamtona. Wyglądało na to, że wiadomość dotarła na miejsce. Jeśli rzeczywiście rozmawiali z Ośrodkiem Łączności Marynarki Wojennej.

- Tango Dwa... NavCom... Odczytaj golf... odbiór. Binghamton wziął sprawę w swoje ręce.

- Powtórz, NavCom. Niewyraźnie cię odbieram.- Odczytaj go... victor trz...

- NavCom, tu Tango Dwa Foxtrot. Przyjąłem. Życzysz sobie odczytania golf victor trzy?

- Tango... Potwier...

Binghamton chwycił książkę kodów bezpiecznej łączności, czarny notes z oznaczeniem Ściśle tajne.

- Zobaczmy tutaj - mruknął do siebie. - Dziś jest drugi stycznia, tu mamy golf. W dół do kolumny victor, trzeci rząd. Golf victor trzy powinien być odczytany jako W3B. Zgadza się pan z tym, sir?

Kane spojrzął na książkę kodową, nic nieznaczące rzędy i kolumny cyfr i liter. Ośrodek NavCom próbował zweryfikować, czy rzeczywiście rozmawia z „Phoenixem”. Dlatego poprosił o rozszyfrowanie kodu alfanumerycznego. Można to było zrobić tylko wtedy, jeśli miało się książkę kodową. Drukowano je indywidualnie dla każdego okrętu. Jedynie „Phoenix” miał tę wersję kodów, nikt inny nie potrafiłby rozszyfrować GV3 jako W3B. Właściwy odczyt miał potwierdzić autentyczność nadanej wiadomości.

- NavCom, tu Tango Dwa Foxtrot. Odczyt brzmi whisky trzy bravo, powtarzam whisky trzy bravo. Odbiór.

-...Foxtrot... przyjąłem twoją... wiadomość... Pow... NavCom... Bez odbioru.

- Chyba to dostali, kapitanie.

- Platforma, tu radio, wsunąć Bigmoutha i zejść głębiej! - krzyknął Kane do mikrofonu głośnika sterowni. Pokład znurkował w dół, zanim Kane zdążył wyjść z kabiny radiowej i wrócić do sterowni.

Teraz nadeszło najtrudniejsze. Czy uda im się odnaleźć Cel Jeden?

Centrala Agencji Bezpieczeństwa Narodowego Fort Meade w Maryland

Specjalne wydzielone pomieszczenie informacyjne w budynku 427

Po zachodzie słońca niebo przesłoniła gruba warstwa bezkształtnych chmur. Donchez wyjechał limuzyną z Pentagonu do pobliskiego Fort Meade, położonego w połowie odległości między Waszyngtonem i Baltimore przy drodze ekspresowej łączącej te dwa miasta. Kiedy samochód dotarł do obwodnicy, zaczęła się zamieć i kierowca musiał zwolnić. Pół godziny później opony lincolna zaryły się w śniegu przy bramie Fort Meade. Gdy Donchez wysiadł przed budynkiem 427, posypał się na niego gęsty śnieg i zanim pokonał kilkanaście stopni schodów wejściowych, jego długi czarny płaszcz stał się biały.

- Chyba będziemy tu dziś nocować - powiedział Donchez do swojego doradcy Rummela. - Lepiej od razu zarezerwuj nam dwa pokoje.

Donchez prosił o zorganizowanie odprawy w swoim SCIF, ale NSA uparła się, żeby spotkanie odbyło się tutaj. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego wygrała walkę z Połączoną Agencją Wywiadowczą o prawo do przechwytywania i rozszyfrowywania łączności zagranicznej. Ustawa Dole'a spowodowała reorganizację CIA, Agencji Wywiadowczej Obrony i NSA. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego nie tylko nie została podzielona, lecz stała się większa, i szyfranci CIA zaczęli pracować dla NSA w Fort Meade. Donchez uważał, że faceci z NSA to dobrzy fachowcy, ale jednocześnie dziwni ludzie.

Doncheza i jego doradcę sprawdzono przy frontowym wejściu do ceglanego budynku 427, który wyglądałby jak niedawno wybudowana szkoła średnia, gdyby nie brak okien. Mury były nowe, architektura przyjemna, choć standardowa. W środku, zgodnie z instrukcją Doncheza, przywitał ich oficer marynarki. Normalna procedura wymagała by szefa operacji morskich powitał komendant bazy, ale Donchez wydał rozkaz, żeby darowano sobie tę ceremonię. Oficer zaprowadził ich do elektronicznego punktu kontrolnego, potem w głąb budynku. Przeszli przez dwa następne punkty kontrolne i wreszcie dotarli do podwójnych drzwi SCIF obudowanych ołowiem. Wejścia pilnował uzbrojony wartownik. Tutaj kontrola frwała znacznie dłużej.

W końcu wprowadzono ich do środka. Meble były nowe i wygodne. Skórzane fotele, dębowe stoły i ściany wyłożone miękką tkaniną nadawały pomieszczeniu wygląd sali konferencyjnej. Donchez ledwo to dostrzegł, pożerała go niecierpliwość.

Wewnętrznymi drzwiami wszedł pułkownik wojsk lądowych. Przyniósł papiery i kasety wideo. Wydawał się zbyt młody i wyglądał zbyt świeżo jak na starszego oficera. Miał różowe policzki, okrągłe okulary w drucianej oprawce i wąsy, które pasowałyby bardziej do nastolatka.

- Jestem pułkownik John Parker, kryptolog komputerowy. Miło mi pana poznać, sir. - Parker miał wysoki, nosowy głos, ale mówił energicznie. - Oto materiały do prezentacji. Wiem, że ma pan mało czasu, więc przejdę od razu do rzeczy. Pewnie nie interesują pana suche dane, ale może po prezentacji zechce je pan zobaczyć.

- Doskonale, pułkowniku. Poproszę najpierw o skróconą wersję.

- Tak jest, sir. Przejęte dane komputerowe i dokumenty oraz rezultaty przesłuchań uprowadzonego naukowca ZIF Muhammada Ibn al-Kabby wskazują, że ZIF ma nowy rodzaj broni. W języku technicznym nazywamy to dyspersyjnym przyklepnym materiałem wybuchowym, powodującym skażenie za pomocą plutonu. Jego potencjał destrukcyjny

ustępuje zdecydowanie potencjałowi głowicy nuklearnej, ale gdy ta broń zawiera odrobinę plutonu, jest bardzo groźna. Przypomina bombę neutronową, której potencjał niszczący tkwi bardziej w radioaktywności niż sile eksplozji. Ta broń działa podobnie, ale zamiast pojedynczego gwałtownego przepływu neutronów wykorzystuje długotrwałe promieniowanie plutonu. Pył dostaje się do systemów wentylacyjnych i płuc ofiar, przylega do skóry ludzkiej, powierzchni ulic i budynków. Każdy, kto znalazł się w pobliżu strefy zero, umiera, nawet jeśli przejeżdżał tamtędy samochodem z szybkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę lub przebywał w podziemiach budynku. Pył dociera wszędzie. Nie można go usunąć, wszyscy ludzie tworzący ekipy czyszczące zginęliby. Gdyby taka bomba spadła na duże miasto, byłyby miliony ofiar. To nie wszystko. Jeśli zostaje użyta broń neutronowa lub głowica nuklearna, po roku można oczyścić i odbudować zniszczony teren. Ale nie w tym wypadku. Miasto cel pozostałoby skażone i niezamieszkane w nieskończoność.

Donchez przez pięć minut słuchał wyjaśnień o działaniu i przeznaczeniu bomby klejowej.

- Ile tego mają? - przerwał w końcu pułkownikowi.

- Dwie, może trzy sztuki.

- System przenoszenia?

- Głowica bojowa umieszczona w pocisku samosterującym Hiroshima. Zasięg tylko tysiąc dziewięćset mil morskich. Trochę za mało, żeby traktować to jako zagrożenie z dużej odległości.

- Więc musieliby się do nas zbliżyć, żeby to wystrzelić. Albo dostarczyć to samolotem.

- Lub ręcznie. Ale dane mówią, że preferowaną metodą jest pocisk Hiroshima, bo to ponaddzwiękowa rakietka wysokiego pułapu, wyposażona w elektronikę antyradarową.

- Zdaje się, że są dwie wersje Hiroshimy?

- Tak, wystrzeliwana z morza i wystrzeliwana z powietrza.

- To takie same pociski?

- Nie. Wersja wystrzeliwana z morza jest przeznaczona do odpalania z zanurzonej wyrzutni na okręcie podwodnym, więc ma kapsułę wodoszczelną. Nie zmienia to charakterystyki pocisku, ale ta wersja musi startować od zerowej szybkości na poziomie morza, toteż jej raketowy człon nośny jest dużo większy. W porównaniu z nim rakietka na paliwo stałe Hiroshimy wystrzeliwanej z samolotu jest maleńka.

- Głowice bojowe są tej samej wielkości?

- Nie. Wersja wystrzeliwana z powietrza ma większą pojemność głowicy bojowej, bo jej rakieta jest lżejsza. Sześć tysięcy kilogramów w wersji wystrzeliwanej z powietrza, tylko trzy tysiące pięćset w wersji wystrzeliwanej z morza.

- Ile waży głowica bojowa tej bomby pyłowo-kurzowej?

- Sprawdźmy... - Pułkownik poszukał danych. - Nie sumowaliśmy tego. Nagryzmołił na bloczku dwie kolumny liczb, przerzucił duży segregator i podsumował drugą kolumnę wartości wagowych.

- Jeśli chodzi o masę, domyślam się, że jest kilka komponentów, sir, ale z dokładnością do kilku procent ta głowica bojowa waży około trzech ton metrycznych. To trzy tysiące kilogramów, plus minus kilkaset.

- Gdzie umieścili operacyjne głowice bojowe?

- Podejrzewamy, że przetransportowali je do Kassabu, portu na wybrzeżu Morza Śródziemnego.

Do bazy Destiny, pomyślał Donchez. Żeby trafić w cel dwiema głowicami bojowymi przystosowanymi do systemu broni wystrzeliwanej z morza, należy się zbliżyć do celu na tyle, by odległość doń nie przekraczała tysiąca dziewięciuset mil morskich. A Destiny wydostał się z Morza Śródziemnego i przy ostatniej detekcji płynął na zachód.

Donchez wstał. Usłyszał wystarczająco dużo. Nie potrzebował suchych danych, czym zaskoczył pułkownika, który zamierzał dokończyć odprawę. Najwyraźniej, pomyślał Donchez, pułkownik Parker nie jest przyzwyczajony do tego, że ludzie wierzącego interpretacjom.

- Dziękuję, pułkowniku. Był pan bardzo pomocny.

Donchez i Rummel zdążyli przejść korytarzem zaledwie kilka metrów, gdy jakiś sierżant wojsk lądowych zawołał za nimi:

- Panie admirale?! Panie admirale Donchez?! Pilna wiadomość dla pana, sir. Przyszła około dziesięciu minut temu z Ośrodka Łączności Marynarki Wojennej w Norfolk. Kapitan Brandt czeka przy telefonie, żeby udzielić wyjaśnień. Proszę ze mną.

Donchez wziął metalową deskę, do której przypięto wiadomość, i przeczytał ją, wchodząc do centrali telefonicznej. Kapitan Brandt, komendant NavComu, czekał na linii. Kapral podał Donchezowi słuchawkę białego telefonu.

- Tu Donchez. O co chodzi, Brandt?

- Ta wiadomość właśnie przyszła na HF, panie admirale. Nie udało nam się złapać dokładnego kierunku, ale chyba nadano ją z północnego Atlantyku. Wysłał ją USS „Phoenix”.

- Skąd pan wie?

- Poprosiliśmy go, żeby się zidentyfikował według najnowszej książki kodowej numer 547. Odpowiedział prawidłowo. Tylko on ma na pokładzie tę wersję kodów.- Dziękuję, kapitanie. - Donchez oddał słuchawkę. - Gdzie tu jest centrum łączności?

W ciągu czterech minut Donchez nagryzmołił wiadomość dla „Seawolfa”, a dwie minuty później tekst został nadany do Pacina wraz z kopią raportu „Phoenixa”.

- Fred, zorganizuj nadzwyczajne spotkanie z Barczynskim i jego sztabem.

- To nie będzie łatwe, sir - odrzekł Rummel, trzymając słuchawkę telefoniczną przy uchu. - Wszystko zasypane śniegiem. Pługi nie jeżdżą, w niektórych okolicach Marylandu są półmetrowe zasy. Jeśli się stąd ruszymy, możemy gdzieś utknąć. I nie ma co liczyć na helikopter. Nic nie lata, wszystko uziemione. Na lądowisku Pentagonu zero widoczności, szybkość wiatru dochodzi w porywach do czterdziestu pięciu węzłów. Narodowy Port Lotniczy w Waszyngtonie zamknięty, tak samo Dulles, Andrews, BWI, Suburban...

- Wygląda na to, że jesteśmy tu odcięci od świata. Ale mogło być jeszcze gorzej. Mamy tutaj wszystkie systemy łączności, jakie będą nam ewentualnie potrzebne. Co powiesz na konferencję telefoniczną z tamtymi?

- Z kilkoma da się to zrobić. Barczynski i Clough mają bezpieczne linie. Reszta... nie wiem.

- Prezydent jest jeszcze w Key West?

- Tak, sir.

- Dobra, nawiąż bezpieczną łączność z Barczynskim i Cloughem i niech centrala telefoniczna Białego Domu przekaże prezydentowi, żeby był przy aparacie pół godziny po tym, jak zaczniemy z generałami.

Donchez powędrował do wyjścia z budynku, znów przeszedł przez punkty kontrolne i dotarł do holu, w którego oknach jaśniały wielkie tafle szyb. Na zewnątrz szalała zamieć, droga była zasypana, śnieg padał niemal poziomo. Donchez wyjął hawanę, nacisnął zapalniczkę i zmiażdżył wzrokiem wartownika, który miał taką minę, jakby zamierzał mu powiedzieć, że w budynku nie wolno palić.

Dyspersyjna bomba klejowa, pomyślał Donchez. O radioaktywności zdolnej zabić miasto. Przez chwilę patrzył na szalejącą zamieć, zastanawiając się, jak śnieg podziałałby na zabójczy pył plutonowy, jeśli w ogóle by podziałał. Może tylko śnieg mógłby uratować Waszyngton, gdyby to właśnie miasto było celem.

„Phoenix” może wytropić Destiny. Ale to Michael Pacino musi załatwić tamtego skurwysyna.

Piątek, 3 stycznia

Zachodni Atlantyk Punkt Bravo

500 mil morskich na wschód od Long Island USS „Seawolf”

Kiedy w rezydencji generała Barczynskiego w Fairfax w Wirginii zadzwonił telefon, obok koi Pacina też odezwał się brzęczyk aparatu. Na obu liniach czekała ta sama informacja.

Pięć minut po odebraniu telefonu, tuż po północy czasu lokalnego, Pacino stał w sterowni z grupą oficerów. Na rozłożonej mapie północnego Atlantyku jasnoniebieska kropka oznaczała pozycję „Phoenixa”. Pomarańczowa taśma nawigacyjna ciągnęła się w linii prostej od Gibraltaru na Morzu Śródziemnym do Morza Labradorskiego. Zgodnie z wiadomością od Doncheza, operator plotera zakreślił na mapie czerwony krąg o średnicy tysiąca dziewięciuset mil morskich wokół Waszyngtonu, niebieski wokół Bostonu, zielony wokół Halifaksu w Nowej Szkocji i purpurowy wokół Toronto. Niebieska kropka była wewnątrz wszystkich kręgów. Ten wokół Waszyngtonu, miasta wysuniętego najdalej na południe, sięgał do połowy drogi w górę Zatoki Davisa, między Grenlandią i Nową Fundlandią, niemal do Morza Baffina.

Pacino jeszcze raz przeczytał wiadomość. Ledwo mógł w to uwierzyć. Gdyby Destiny skierował się na północ, po południu byłby na granicy strefy lodowej. A z pewnością tam się skieruje, pomyślał Pacino, skoro dotarł aż tak daleko na północ. Jeśli teoria Doncheza na temat pocisków Hiroshima jest słuszna, Destiny przez pewien czas będzie miał w zasięgu miasta na północnym wschodzie. Co najmniej przez jeden dzień. Ale to zdaje się przeczyć całej teorii. Jeśli Destiny zamierza odpalić pociski, dlaczego jeszcze tego nie zrobił?

I co, do cholery, kombinuje „Phoenix”? Omal nie zatonął, wystrzelał się ze wszystkich torped, a teraz płynie za Destiny przez Atlantyk. Kimkolwiek jest jego kapitan, musi być bardzo odważny albo bardzo głupi. Możliwe, że jedno i drugie. Pacino wciąż zastanawiał się nad tym, co on by zrobił w takiej sytuacji, dochodząc ciągle do wniosku, że też ścigałby Destiny, ale nie byłby taki dumny, żeby nie zostawić sobie choćby jednej torpedy. To nie wyjaśniało sprawy, która nie dawała mu spokoju - jeśli Destiny był tak nieuchwytny na Morzu Śródziemnym, co się zmieniło, że teraz pozwala, by na północnym Atlantyku tropił go uszkodzony okręt podwodny klasy 688? Pacino zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem ZIF nie chce, żeby Amerykanie śledzili Destiny. Może to wabik, a pociski samosterujące są gdzie indziej? Od tych rozmyślań Pacina rozboleła głowa. Pulsowało mu w skroniach i postanowił odłożyć owe rozważania na później.

- OOD, masz kurs od nawigatora?

Mapa nie dodawała otuchy. Punkt Bravo wyznaczono po to, by „Seawolf” przechwycił Destiny na środku Atlantyku, nie na Morzu Labradorским. Teraz musieli popłynąć na północny wschód, żeby okrążyć Nową Fundlandię, a potem skierować się na północny zachód do Cieśniny Davisa. Ponad tysiąc trzysta mil morskich, niemal trzydzieści godzin rejsu z maksymalną szybkością. Dotrzemy do przewidywanej pozycji Destiny jutro rano. Do tego czasu wszystko może się zdarzyć. Może być już za późno, pomyślał Pacino.

- Tak, kapitanie - odpowiedział Scott Court z platformy peryskopowej.

- Płyn z maksymalną szybkością, dopóki nie znajdziemy się w odległości stu mil morskich od pozycji „Phoenixa”. Ale bądź gotowy do podejścia na głębokość peryskopową za pół godziny. Chcę wysłać wiadomość.

- Tak jest, sir. Sternik, pięć stopni w prawo, stały kurs zero pięć zero, cała naprzód maksymalna. Zanurzenie, głębokość sto sześćdziesiąt pięć metrów.

Pacino wziął do ręki mikrofon. Postanowił zrobić załodze krótką odprawę, zanim wyłączy radiowęzeł.

- Uwaga wszyscy, tu kapitan. Właśnie dostaliśmy wiadomość z dowództwa, że nasz cel, Destiny, został zidentyfikowany i zlokalizowany na północy, jest na Morzu Labradorским. Opuszczamy teraz punkt Bravo i udajemy się z maksymalną szybkością do miejsca przechwycenia. Za jakieś dwa dni dotrzemy do Destiny i spróbujemy go zatopić. Zalecam wszystkim jak najdłuższy wypoczynek w czasie wolnym od służby, bo na Morzu Labradorским zarządzę ciszę taktyczną na okręcie i obsadzenie stanowisk bojowych.

Pacino urwał. Zastanawiał się, czy wzorem sławnych kapitanów okrętów podwodnych z czasów II wojny światowej nie powiedzieć ludziom czegoś bardziej osobistego, jakichś mądrych, inspirujących słów o wspólnej walce, które po kilkudziesięciu latach powtarza się wnukom. Ale nie był poetą.

- To wszystko - zakończył.

Odłożył mikrofon na miejsce. Był ciekaw, co pomyśli załoga, jak zareaguje.

- OOD, będę w swojej kajucie. Przygotuję wiadomość do wysłania przy następnym podejściu na głębokość peryskopową.

- Tak jest, sir.

Pacino wyszedł ze sterowni. W zaciszu swojej kajuty wyjął z szuflady czysty formularz wiadomości radiowej i wpatrywał się weń przez pewien czas. W wyobraźni widział mapę Morza Labradorskiego.

OPSM „Hegira”

Komandor Ibn Quzwini czuł się bliższy śmierci niż kiedykolwiek przedtem w ciągu czterdziestu lat swojego życia. Doskonale wiedział, że do pracy w zbiorniku balastowym bardziej nadają się młodszy wiekiem oficerowie, ale był teraz trzecim człowiekiem w łańcuchu dowodzenia, głównym mechanikiem, który znał systemy okrętu lepiej niż ktokolwiek inny na pokładzie. Prace w zbiorniku balastowym nie mogły być prowadzone bez jego udziału. Ale musiano by się pogodzić z jego nieobecnością, gdyby pokonało go zimno i wyczerpanie.

Quzwini wchodził już do zbiornika w japońskiej stoczni, tuż przed zalaniem suchego doku. Miał obowiązek sprawdzić, czy jakiś robotnik nie zostawił w środku narzędzi, które hałasowałyby w zanurzeniu, czy wszystkie uchwyty rur są prawidłowo zamontowane, czy o niczym nie zapomniano. W tamtych dniach, tuż przed wojną, obchodziło go tylko to, żeby odebrać okręt od Japończyków w jak najlepszym stanie. Nie myślał wtedy o śmierci w walce czy o wystrzeleniu pocisku, który zabije kilka milionów ludzi. Te rozważania mogłyby go doprowadzić do rozstroju żołądka. Wolał dać temu spokój. Nawet wtedy, w stoczni, zbiornik balastowy był upiornym miejscem. Jego wielkość onieśmiała, nie było platform do stania i trzeba się było wspinać po elementach konstrukcyjnych szkieletu.

Teraz, kiedy okręt płynął w zanurzeniu ze zbiornikiem balastowym wypełnionym stęchłym sprężonym powietrzem, pobyt w tym pomieszczeniu był koszmarem. Gdyby otworzył się któryś z zaworów zbiornika, woda zalałaby i zabiła ludzi znajdujących się w środku, choć bardziej prawdopodobne wydawało się to, że ktoś wypadnie przez jedną z wyrzutni i polecą w dół do wnętrza kadłuba lub że jeden z ciężkich ładunków urwie się z łańcucha i przygniecie kogoś. Gorsza od niegościny geometrii zbiornika była niska temperatura powietrza w środku. Nie przekraczała zera i ludzkie oddechy tworzyły obłoki pary. Czekanie przeplatało się ciągle z dużym wysiłkiem, ludzie marzli, potem się pocili, a przy następnej przerwie pot działał jak chłodziwo. Wszyscy mogli umrzeć wskutek tego, zanim wypadliby ze zbiornika lub zostali przygnieci.

Quzwini już od pięciu godzin starał się odepchnąć od siebie myśli o tym, jak niebezpieczne jest to miejsce. Wrócił do podnoszenia płata metalu wyciętego z górnej połowy wyrzutni numer 2. Przymocowano do niego trzy ucha i zaczepiono haki podnośników łańcuchowych zawieszonych na trzech uchwytach przytwierdzonych wysoko do stalowego kabłąka ramy zbiornika. Przez godzinę, centymetr po centymetrze, ekipa podciągnęła płat do góry zaledwie o półtora metra. Dalsze podnoszenie zablokowało dno wyrzutni numer 6 znajdującej się powyżej. Unieruchomiono łańcuchy i zabrano się do usuwania ciężkiej głowicy bojowej z pocisku Hiroshima. Zdejmowanie stożka dziobowego wydawało się trwać

w nieskończoność; w fabryce mocno dociągnięto śruby mocujące. Dopiero po godzinie konwencjonalna głowica bojowa była gotowa do wyjęcia.

Pułkownik Ahmed przykręcił ucho do szczytu głowicy. Trzęsły mu się z zimna ręce. Wydobył głowicę za pomocą innego podnośnika łańcuchowego i uniósł ją w cień rzucany przez osłonę jednej z prowizorycznie zamontowanych mocnych żarówek. Mężczyźni ruszyli w kierunku rufy, by umieścić starą głowicę we wnętrzu kadłuba ciśnieniowego, aby mogła ją zastąpić nowa głowica. Transport odbywał się powoli, przy użyciu dwóch podnośników łańcuchowych. Jednym ciągnięto głowicę do tyłu, przedni popuszczano, żeby utrzymać ją w poziomie. Otwarta część zbiornika między tylnymi końcami wyrzutni i przednią przegrodą modułu dowodzenia stwarzała problem. Przestrzeń swobodnego zalewu miała tylko pięć metrów długości, ale nie było w niej wsporników, a jedynie dwie krzyżujące się stalowe podłużnice rurowe, jedna pozioma, druga pionowa. Głowicę opuszczono na dno kadłuba, potem dociągnięto w tył do szkieletu modułu dowodzenia, wreszcie ustawiono pionowo w otwartym włazie w osi okrętu. Przetransportowanie jej przez przestrzeń swobodnego zalewu zajęło godzinę. Prace w zbiorniku balastowym były opóźnione o osiem godzin - trwały już dziesięć, choć Ahmed zakładał, że potrwaładwie. Mężczyźni zastukali w pokrywę włazu; dali sygnał, by okręt podszedł na mniejszą głębokość dla dokonania dekompresji zbiornika, żeby po godzinnym pobycie w niższym ciśnieniu mogli wrócić do wnętrza kadłuba.

Quzwinięgo przerażała perspektywa spędzenia kolejnych dziesięciu godzin w zbiorniku na wkładaniu do pocisku nowej głowicy, a potem następnych dziesięciu na spawaniu łąty na wyrzutni i włazu w module dowodzenia. Łącznie z dziesięciogodzinną przerwą między pobytami w zbiorniku, do końca pracy pozostało jeszcze czterdzieści godzin. Bez gwarancji, że po zamianie głowic wszystko będzie działało.

Kiedy z powrotem znalazł się wewnątrz kadłuba, został w przedniej toalecie i wsunął bolące z zimna ręce w krocze, myśląc z niechęcią o powrocie do zbiornika.

Dziesięciogodzinny odpoczynek skończył się o wiele za szybko. Pułkownik Ahmed wezwał ekipę, żeby pomogła mu przy wciąganiu nowej głowicy Scorpion z dolnego poziomu na środkowy, a stamtąd do zbiornika balastowego i przedniego końca wyrzutni tą samą drogą, którą transportowano w odwrotnym kierunku starą głowicę. Tym razem w zbiorniku było dużo zimniej, okręt przesunął się dalej na północ i woda morska dookoła stała się lodowata. Nieważne, pomyślał Quzwini, kiedy jego umysł zdrętwiał tak samo, jak ciało.

USS..Phoenix”

- Centrum NavCom Norfolk, tu whisky cztery Bravo, odbiór. - Kane odczekał niekończące się dwadzieścia sekund i powtórzył wywołanie. - NavCom Norfolk, tu whisky cztery Bravo, odbiór.

Kod rozpoznawczy „Phoenixa” na trzeci stycznia, W4B, był następnym nieznaczącym i przypadkowym zbiorem alfanumerycznym z książki kodowej. Kane’owi wydawał się idiotyczny, skoro nadawał niezasyfrowaną wiadomość. Znow wywołał Norfolk i znow zaczekał. Czuł, jak pokład kołysze się lekko pod jego stopami wśród fal na głębokości persykopowej. W końcu, po piętnastym wywołaniu, zgłosił się NavCom, tym razem dużo wyraźniej.

- Whisky cztery Bravo, tu NavCom Norfolk. Słyszę cię głośno i wyraźnie, odbiór.

- Przyjąłem, NavCom - odrzekł wolno Kane. - Navy Blue do nadania, odbiór.

- Przyjąłem. Navy Blue. W pogotowiu, odbiór.

- Navy Blue jak następuje: Jeden, Samotny Zwiadowca na pozycji pięćdziesiąt dziewięć stopni pięćdziesiąt osiem minut dwanaście sekund November, pięćdziesiąt cztery stopnie dziesięć minut osiem sekund whisky. Dwa, Tonto nadal jest z nami i właśnie skręcił na północ na kurs trzy cztery pięć. Trzy, robi dużo hałasu, może coś buduje. Cztery, kiedy przybędzie kawaleria? Bravo tango. Powtarzam, Navy Blue jak następuje...Kane jeszcze raz nadał wiadomość i wysłuchał, jak NavCom ją powtarza. Bez zniekształceń. Już miał wydać rozkaz sprowadzenia okrętu w dół, gdy NavCom znow się odezwał. Kane myślał początkowo, że chcą go poprosić o odczytanie następnego kodu identyfikacyjnego, jak poprzednio, ale nie o to chodziło.

- Whisky cztery Bravo, tu Cennum NavCom Norfolk z wiadomością od Ojca Chrzestnego. Podaję treść; opuść okolicę do piątej czasu lokalnego w sobotę czwartego stycznia. Powtarzam, opuść okolicę do piątej czasu lokalnego w sobotę czwartego stycznia. Wracaj do domu. Bravo tango, odbiór.

Binghamton skrzywił się z niesmakiem.

- Ojciec Chrzestny? Ocotu biega, do cholery?

- O kawalerię - odparł Kane. - To musi być wiadomość od admirała Steinmana albo od samego Doncheza. Zluzuje nas tu ktoś, kto, ich zdaniem, dopadnie tamtego gościa.

- NavCom, tu whisky cztery Bravo, przyjąłem. Spróbuję nadać ostatni meldunek o 4.30 czasu lokalnego w sobotę. Bravo tango. Whisky cztery Bravo, bez odbioru.

Kane spojrział na zegarek.

- Do soboty rano jeszcze daleko. Nie wiadomo, co tamten facet może zrobić przez ten czas.

- Ktokolwiek nas zastąpi, kapitanie - powiedział Binghamton - nie będzie tu prędko. Czekali na wiadomość od nas, żeby kogoś wysłać. To na nasz sygnał kawaleria rusza na wzgórze. Nasz robota powinna być skończona.

Kane myślał o ciałach leżących w żółtych plastikowych workach w wyrzutniach torpedowych.

OPSM „Hegira”

Sharef siedział u szczytu stołu konferencyjnego w swojej kajucie i ścisnął dłońmi bolącą głowę. W jego niewidzącym oku połyskiwały drobne odłamki szkła. Usłyszał pukanie i natychmiast wyprostował się w fotelu.

- Komodorze - powiedział od progu Tawkidi - są problemy z wyrzutniami. Wracam właśnie ze środkowego poziomu. Ekipa znów zeszła do zbiornika balastowego. Opóźnienie rośnie. Jak dotąd, udało im się tylko usunąć starą głowicę bojową. Teraz transportują do zbiornika głowicę Scorpion.

- Jaka jest nasza pozycja?

- Zrobiliśmy zwrot na północ w głąb Basenu Labradorskiego. Jesteśmy między Grenlandią i Labradorem, w drodze do Cieśniny Davisa. Za kilka minut przekroczymy sześćdziesiąty równoleżnik i dotrzemy do granicy strefy lodowej. Nie możemy zbyt długo trzymać tego kursu, bo w końcu znajdziemy się pod stałą pokrywą lodową i nie będziemy mogli wystrzelić pocisku.

- Zaczniemy krążyć po linii północ-południe - odrzekł Sharef. - Stała pokrywa lodowa zaczyna się bliżej koła polarnego. Mamy jeszcze dwadzieścia godzin rejsu na północ, zanim będziemy musieli zawrócić na południe.

- Tracimy czas, komodorze.

- Nie spieszy nam się, coś taki niecierpliwy? Tawkidi opadł na fotel.

- Sihoud naciska.

- Zauważyłeś, Omar, że naciska ciebie, nie mnie?

- Ma pan jakieś wątpliwości co do niego?

- Uważam, że prowadzi nas na krawędź przepaści. Co więcej, zdaje sobie sprawę, że o tym wiem.

- A ta broń? Co pan o niej sądzi?

- Że to diabelski wynalazek.

- Ale wystrzelił pan ją?

- Jeśli odmówię odpalenia pocisku, Sihoud przekona załogę, że trzeba mnie zabić. Nasi ludzie boją się go, niektórzy są wręcz sterroryzowani. Jestem dowódcą tego okrętu, ale

przestanę nim być, jeśli przeciwstawię się Sihoudowi. Ty mnie zastąpisz i jeśli zrobisz to samo, ciebie też wykończy. Potem przyjdzie kolej na Quzwiniego i tak dalej, aż do najmłodszego oficera, jeśli to będzie konieczne. Kiedy nas zabraknie, Drugi Kapitan wykona rozkaz wystrzelenia pocisku.

W drzwiach pojawił się nagle Ahmed.

- Będziecie mieli szczęście, jeśli przeżyjecie, kiedy powtórzę generałowi, co tu usłyszałem.

Drzwi się zamknęły. Tawkidi popatrzył na nie.

- Myśli pan, że blefował?

- Że powie Sihoudowi? Nie, ale Sihoud nic nie zrobi. Po wystrzeleniu pocisku nadal będziemy mu potrzebni. Wie, że potrafimy prowadzić okręt o wiele lepiej niż Drugi Kapitan. Nie poradzi sobie bez nas, jeśli chce wylądować w Afryce.

Głos Sharefa brzmiał bardzo spokojnie. Człowiek pogodzony ze swoim losem, pomyślał Tawkidi.

- Chciałbym mieć pańską... odwagę, komodorze.

- To nie odwaga, Omar. Pamiętaj, że już raz umierałem. Wracaj do sterowni. Tawkidi stanął na baczność.

- Tak jest. Życzę dobrej nocy, komodorze - powiedział.

31

Sobota, 4 stycznia

Morze Labradorskie na zachód od Godthaab na Grenlandii USS „Seawolf”

Lewy zegar podwójnego chronometru wskazywał 4.05 czasu zulu, GMT. Na prawym było pięć minut po północy czasu lokalnego na obecnej pozycji okrętu. Piątek zmienił się w sobotę. Pacino spodziewał się, że za cztery godziny będzie gdzieś w zasięgu sensorów okrętu podwodnego Destiny. O ile „Phoenix” prawidłowo określił jego pozycję i okręt ZIF nadal będzie płynął na północ z obecną szybkością.

Pacino wiedział, że powinien się przespać. Odpocząć przed obsadzeniem stanowisk bojowych na całym okręcie. Ale nie mógł zasnąć.

Pokręcił głową i wrócił na koję, żeby znów spróbować. Oficer pokładowy miał go obudzić za trzy godziny, by obsadził stanowiska bojowe...

OPSM „Hegira”

Komandor Ibn Quzwini podczołgał się ostatnie dwa metry w górę do wjazdu modułu dowodzenia. W zbiorniku balastowym było tak zimno, że nie mógł zacisnąć zgrabiących rąk na uchwytach. Mężczyzna stojący przy otworze wjazdu pochylił się i wciągnął go do ciepłego wnętrza kadłuba ciśnieniowego. Quzwini opuścił zbiornik jako ostatni. Nie oglądając się za siebie, odczołgał się od wjazdu. Porucznik Ishak i podporucznik Rhazes zaczęli nakładać na wjazd ciężką stalową płytę, którą miano przy spawać w otworze kadłuba ciśnieniowego. Przemarznięty i wyczerpany Quzwini miał wrażenie, że czas mija błyskawicznie. Płyta wskoczyła na miejsce tak raptownie i szybko jak na niemy filmie, spawanie wydawało się trwać minuty. Przez następne cztery godziny Quzwini spał tam, gdzie osunął się na pokład, obok toalety, w przedniej części środkowego poziomu modułu dowodzenia.

Pokład wyżej komodor Sharef pojawił się w sterowni po raz pierwszy od momentu eksplozji torpedy, która pozbawiła go zdolności do służby. Dwa fotele na kółkach przy konsolach obsługi uzbrojenia zajmowali Sihoud i Ahmed. Sharef oparł się na prowizorycznej lasce z kawałka rury i spojrzał surowo zdrowym okiem na dwóch intruzów pozwalających sobie obozować w jego sterowni.

- Prace przy pocisku zakończone, komodorze - oznajmił Ahmed. - Proponuję, żeby zrobił pan okrętem zwrot na południe i ominął trochę tych dryfujących gór lodowych.

- Bardzo słusznie. Oficer pokładowy, zwrot na południe. Kiedy będziemy gotowi do odpalenia pocisku?

- Sprawdzamy jeszcze moduły elektroniczne głowicy Scorpion. Jak dotąd, wszystko jest w porządku. Kontrola kadłuba, silnika i systemu samosterowania pocisku Hiroshima wypadła zadowalająco. Sprawdzanie Scorpiona powinniśmy skończyć za pół godziny.

Sharef pochylił się nad tym, co zostało ze stołu nawigacyjnego, ale szyba była rozbita, monitor roztrzaskany. Kawałki tego szkła tkwiły w jego oku. Wykres nawigacyjny wyświetlał teraz jeden z mniejszych ekranów konsoli sensorowych. Pokazywał Cieśninę Davisa i Basen Labradorski, szeroki korytarz wodny, którego lewy brzeg ciągnął się od południowo-wschodniego krańca Kanady do jej najdalszego punktu na północy, blisko bieguna, a prawy tworzyło biegnące niemal prosto na północ zachodnie wybrzeże Grenlandii. Po dotknięciu klawisza funkcyjnego pojawiła się mgła symbolizująca pokrywę lodową. Była rozrzedzona u południowego wyłomu korytarza, gęstniała od jego połowy i tworzyła zwartą powłokę na północ od kręgu polarnego. Pulsujący wskaźnik aktualnej pozycji okrętu pokazywał, że sążuz pod grubym lodem, zajmującym zapewne osiemdziesiąt procent powierzchni morza. Świadczyły o tym ledwo słyszalne zgrzyty i trzaski na zewnątrz kadłuba, odgłosy zderzających się i ocierających o siebie fragmentów kry. Nawet pełna pokrywa lodowa

składała się z oddzielnych części, które stale się odpychały. Zimno i lód sprawiały, że Sharef czuł się obco na tym morzu. Tęsknił za otwartymi wodami, za ciepłem Morza Śródziemnego. Przez chwilę zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy Kassab, ale odepchnął od siebie te myśli i pochylił się nad konsolą Ahmeda, żeby sprawdzić, jak przebiega diagnostyka głowicy bojowej Scorpion.

Jakakolwiek niesprawność oznaczałaby konieczność powrotu do zbiornika balastowego, ponownego otwarcia wyrzutni i przedostania się do głowicy. Sharef wątpił, by wyrzutnia wytrzymała naprężenie przy odpalaniu pocisku po jej dwukrotnym przecinaniu. Być może już nawet jedno przecięcie osłabiło ją tak, że nie uda się z niej wystrzelić. Jej powtórne otwarcie stanowiło nie tylko problem techniczny, lecz oznaczało dla nich także stratę czasu, a siłom morskim Koalicji dawało czas dodatkowy na ich odnalezienie. Sharef próbował wzbudzić w sobie przekonanie, że wystrzelenie pocisku jest sprawą niesłychanej wagi, ale nie potrafił, bo ta sprawa budziła w nim sprzeczne uczucia. Jeśli zjawią się okręty i samoloty Koalicji, pomyślał, będę walczył najlepiej jak potrafię. W końcu to jest moja prawdziwa misja.

USS „Seawolf”

Telefon przy koi Pacina zabrzączał godzinę przed planowanym obsadzeniem stanowisk bojowych, o 3.00 czasu lokalnego. Pacino wstał i spróbował uwolnić się od uczucia zmęczenia. Kiedy wszedł pod prysznic, woda była jeszcze lodowata, puścił gorącą, potem znów zimną, w końcu zakręcił prysznic, kierując się oszczędnością, namydlił się i spłukał zimną. Chwilę później, ubrany w czarny kombinezon i buty sportowe, poszedł do kuchni okrętowej, jeden pokład wyżej, na kubek kawy. Mesa załogi była pusta. Jeden z kucharzy włożył płytę kompaktową do stereo. Z głośników popłynęła przyciszona muzyka The Doors.

Pacino usiadł i wypił kawę. Postawiła go na nogi. Włożył kubek do pojemnika z brudnymi naczyniami i pomaszerował w kierunku rufy do drabinki prowadzącej na środkowy poziom. Zatrzymał się na chwilę na podeście na widok żółtej plakietki z napisem „Nieczynne” na nowym włączniku, który niedawno zainstalował. Uśmiechnął się - ktoś zauważył włącznik i sprawdził, że nie działa. Pacino przesunął go do pozycji wyłączenia i ruszył odnogą korytarza w stronę kabiny radiowej. Wystukał szyfr na klawiaturze zamka i wszedł do pomieszczenia. Nie było tu nikogo. Z uchwyty zwiisał klipbord z jego ostatnią wiadomością dla admirała Steinmana: prośbą by polecono „Phoenixowi” oddalić się od okrętu podwodnego Destiny do 5.00 czasu lokalnego na tyle, aby nie utrudniał działania „Seawolfowi”. Istniała możliwość, że „Phoenix” nie odbierze rozkazu i nadal będzie tropił Destiny, co prawdopodobnie źle się dla niego skończy. W innych okolicznościach Pacino

nigdy nie wytrzełby salwy torped, mając na linii ognia „Phoenixa”, ale skoro Donchez twierdził, że na pokładzie Destiny znajduje się broń masowej zagłady, nie miał wyboru. Musiał wystrzelić torpedy Mark 50 bez względu na pozycję „Phoenixa”. Wiedział, że być może ma tylko jedną szansę trafienia, jeden strzał. I zamierzał trafić w cel.

Otworzył schowek w ścianie. Wyjął cztery podłużne pudełka, trochę większe od kija baseballowego, i małą skrzynkę przypominającą obudowę notebooka. Zamknął schowek i wrócił korytarzem do swojej kajuty. Położył pudełka i skrzynkę na stole konferencyjnym i otworzył je. W pudełkach były cztery boje SLOT, nadajniki radiowe wystrzeliwane z okrętu podwodnego. Skrzynka zawierała małą klawiaturę i ekran, służące do wpisywania wiadomości do pamięci boi SLOT. Pacino przez dziesięć minut kodował teksty dla boi, potem za pomocą taśmy maskującej i markera oznaczył je numerami od 1 do 4. Zaniósł je na górny poziom przedziału rufowego, gdzie napływające z maszynowni gorąco dawało się mocno we znaki, włożył boje do schowka obok rufowego wyrzutnika sygnałowego i poszedł z powrotem w stronę dziobu do swojej kajuty. Po drodze przyłapał się na tym, że bębni palcami w blat stołu. Czuł się jak sportowiec godzinę przed zawodami.

Wiedziony nagłym impulsem powędrował do sterowni. Zespół tropienia celu Henry’ego Vale’a był na stanowiskach. Czekali na kontakt z Destiny. Urządzenie sonar BSY-2/kierowanie ogniem nasłuchiwało z natężeniem sygnałów okrętu ZIF.

- Jeszcze nic, nawigatorze? - zapytał Pacino Vale’a.

- Same góry lodowe, czasem wieloryb, kapitanie.

- O czwartej obsadzamy ciche stanowiska bojowe. Mamy już ciszą taktyczną na okręcie?

- Zakłócaną tylko ekspresami do kawy, sir. Wszyscy, którzy nie są na wachcie, powinni szybko zasnąć.

- Będę w sonarze.

Pacino przeszedł przednimi drzwiami do sonaru, ale tak, jak powiedział Vale, ekrany były puste, pokazywały tylko przypadkowe dźwięki oceanu. Pacino wrócił do swojej kajuty i wpatrzył się w chronometr. Czekał na godzinę 4.00.

USS..Phoenix”

Mike Jensen patrzył zmrużonymi oczami na wyświetlacz konsoli systemu kierowania ogniem na stanowisku jeden. Punkty na ekranie tworzyły uporządkowany stos na kontakcie sonarowym przed nimi, Celu Jeden, okręcie podwodnym Destiny. Z boku monitora widniał odczyt odległości - siedem tysięcy siedemset metrów. Cel utrzymywał szybkość trzynastu węzłów i kurs trzy pięć pięć. Przez całą wachtę nic się nie zmieniło. Jensen poczuł ból głowy

za oczami, gdy pierwszy punkt odłączył się od stosu. System sonarowy mówił komputerowi kierowania ogniem, że spodziewany kierunek do kontaktu będzie inny niż obecny. Cel skręcał.

- Platforma, tu sonar. Cel Jeden może zygzakować - zabrzmiało w słuchawkach Jensena.

- Cała stop - rozkazał sternikowi. Wiedział, że to spieprzy namiar nowego kursu Celu Jeden, ale Destiny był tuż przed nimi i Jensen nie miał ochoty wpakować się na niego, gdyby tamten zrobił zwrot wstecz. - Szybkość dwa węzły.

„Phoenix” dryfował pod częściową pokrywą lodową i czekał, co zrobi Cel Jeden.

- Bosman, wyślij posłańca, żeby sprowadził tu XO - warknął Jensen do szefa wachty.

McDonne został wyznaczony na dyżurnego oficera dowodzącego, żeby kapitan Kane mógł się trochę przespać. XO spędzał większość wachty w sterowni z Jensenem, ale właśnie przed chwilą zszedł na dół poszukać czegoś do jedzenia.

- Sonar, tu platforma. Żadnej zmiany szybkość Celu Jeden?

- Trudno powiedzieć, sir. Chyba nie. Ale podejrzewamy, że robi zwrot na sterburcie.

- Przyjąłem.

Jensen pochylił się nad stanowiskiem jeden i obserwował stos punktów, gdy kierunki do Destiny przesuwają się od ich dziobu wokół prawej burty. Kontakt skręcał w prawo, zawracał na południe. Jensen wstrzymał oddech, jakby miał nadzieję, że dzięki temu Destiny ich nie usłyszy.

- Szybkość dwa węzły, sir - zameldował sternik.

- Szef wachty, przygotować się do zatrzymania okrętu - rozkazał Jensen.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz, OOD? - zapytał ironicznie XO McDonne.

- XO, Cel Jeden zmienia kurs. Próbuje uniknąć detekcji. - W głosie Jensena nie było śladu sarkazmu, ale mimo to McDonne zgromił go wzrokiem.

McDonne pochylił się nad stanowiskiem jeden i wprowadził nowy kurs dla Destiny, zwrot o sto osiemdziesiąt stopni na południe. Stos punktów ułożył się w idealnie pionową linię, z drobnym załamaniem pośrodku.

- Zawraca na południe. Lepiej zrób kilka zwrotów i wejdź w jego stożek ciszy - doradził McDonne, potem dodał bardziej do siebie: - Przez dziewięćset pieprzonych mil morskich skurwiel płynie na północ w kierunku Morza Baffina i nagle zawraca na południe. Po co, do jasnej cholery?

- Sternik, cała naprzód jedna trzecia, ster dziesięć stopni w prawo, stały kurs na południe.

- Platforma, tu sonar. Odbieramy pogłosy z Celu Jeden. Brzmią tak, jakby coś zalewał. Zbiornik albo wyrzutnię.

Punkty w uporządkowanym stosie McDonne'a zaczęły odchyłać się od pionu. Cel znów manewrował.

- Platforma, tu sonar. Cel Jeden zwalnia.

- Tu platforma, przyjąłem - powiedział McDonne do mikrofonu przy słuchawkach. - Jensen, daj tu kapitana.

- Platforma, tu sonar. Cel Jeden otwiera wrota w kadłubie. To może być wyrzutnia.

- Niech to szlag - zaklął XO. Co ja bym dał za jedną toipedę Mark 50, pomyślał.

Zerknął w górę na chronometr. Była 3.50 czasu lokalnego. Za godzinę i kilka minut mieli opuścić ten rejon i zostawić Destiny komuś innemu. Taki dostali rozkaz. McDonne nie mógł się pozbyć myśli, że powinien zameldować o tym ostatnim incydencie, ale co właściwie kombinuje Destiny? Przygotowuje się do wystrzelenia w nich toipedy? Nic nie wskazywało na to, że są namierzani, że Destiny ich wykrył.

Zjawił się Kane. Wchodząc, jeszcze kończył zapinać suwak kombinezonu. Włosy sterczały mu pionowo, miał worki pod przekrwionymi oczami. Wystarczyło niecałe trzydzieści sekund, żeby zapoznać go z sytuacją.

- Jensen, podejdź na głębokość peryskopową, szybko - polecił Kane. -1 daj Binghamtona do radia, jak najprędzej.

- Sonar, tu platforma. Podchodzimy na głębokość peryskopową - zawiadomił Jensen przez interkom. - Sternik, cała naprzód dwie trzecie. Zanurzenie, głębokość dwadzieścia metrów, stromy ką.

W momencie, kiedy wachta przystąpiła do wykonywania rozkazów oficera pokładowego, cztery i pół kilometra dalej okręt podwodny Destiny zwolnił do szybkości piechura. Żyroskop głowicy bojowej Scorpion zaczął wirować, do wszystkich obwodów dotarło zasilanie.

USS „Seawolf”

Sonarzysta pierwszej klasy starszy mat Jesse Holt dopijał właśnie ostatni łyk kawy, gdy w dół krótkookresowego ekranu wodospadowego zaczął spływać ślad odgłosu z północy. Na pełnym dźwięków oceanie nie było to niczym niezwykłym. Holt spojrzął na wyświetlacz i zastanowił się, czy nagrać ten odgłos. Zegar na jego monitorze wskazywał 3.51 według obowiązującego teraz na okręcie czasu lokalnego, a nie zulu, jak zwykle. Taki był rozkaz kapitana. Holt znów zerknął na ślad. Dźwięk zniknął, zanim zdążył naprowadzić nań kursor audio i usłyszeć go własnymi uszami. Pomyślał, że w tym rejonie morza jest więcej trzasków

i zgrzytów niż w domu, w którym straszy. Większość odgłosów wydawała kra. Niektóre były bliskie, inne dalekie. Hałasy rozbrzmiewające dokładnie nad głową można było czasem usłyszeć gołym uchem. Gwałtowne złowrogie zgrzyty przyprawiły o gęsią skórę zarówno nowicjuszy, jak i weteranów podlodowych.

Holt zameldował się na pokładzie podczas pobytu „Seawolfa” w stoczni. Był młodym, energicznym podoficerem z USS „Louisville”, okrętu podwodnego z Floty Pacyfiku. On pierwszy prowadził monitoring dźwiękowy Destiny, gdy japońska jednostka opuściła stocznię w Yokosuce. Jak na sonarzystę - sonarzyści znani byli na ogół z tego, że zachowywali się niczym okrętowe primadonny - Holt odznaczał się szczególną skromnością. Kiedy nie miał wachty, szkolił młodszych kolegów, ćwiczył na rufie lub w torpedowni albo czytał w mesie załogi. W przeciwieństwie do większości członków załogi był głęboko wierzący i w niedzielne poranki odprawiał msze na okręcie. Nikt nie żartował sobie z tego, bo od lat ćwiczył po cichu podnoszenie ciężarów, toteż jego postura budziła respekt. Nie odczuwał żadnych konfliktów wewnętrznych z tego powodu, że ścigał inny okręt wojenny i zamierzał pozbawić życia jego załogę. Wstąpił do marynarki z przekonania, wierząc w przeznaczenie. Być może to samo da się powiedzieć o załodze Destiny, pomyślał. Niech zwycięży lepszy okręt, jego załoga i jej idee.

W dół ekranu wodospadowego znów spłynął ten sam dziwny pogłos z północy. Tym razem Holt zdążył naprowadzić kursor audio na kierunek dźwięku. Usłyszał szybkie trzaski przypominające fajerwerki. Pewnie góra lodowa. Lub krewetka. Albo stalowy kadłub zmieniający głębokość.

- Co masz w zakresie stu pięćdziesięciu herców? - rzucił do młodszego członka wachty, sonarzysty trzeciej klasy starszego marynarza nazwiskiem Phills.

- Parę tonów na stu pięćdziesięciu czterech, ale są niewyraźne. Masa szumów.

- Zaczekaj chwilę - polecił Holt i obrócił swój fotel w stronę wyświetlacza wąskopasmowego. W dół ekranu zaczęły spływać następne pogłosy, wszystkie z północy. Kursor audio wylapywał teraz lekki szum, który przypominał Holtowi rejs na „Louisville”. Trzaski i szum nasilały się. - Wyzeruj zakres częstotliwości i zawęż do przedziału pomiędzy stu pięćdziesięcioma trzema a stu pięćdziesięcioma pięcioma hercami. Maksymalne przetwarzanie, krótki czas integracji - rozkazał Phillsowi. Podejrzenia Holta potwierdziły się dziewięćdziesiąt sekund później.

- Platforma, tu sonar - powiedział spokojnie do mikrofonu przy słuchawkach. - Nowy kontakt na kierunku zero zero pięć z anten kadłubowych i sferycznej. Ton sto pięćdziesiąt

cztery herce na wąskim paśmie i kilka pogłosów na szerokim. Przypuszczalnie zanurzony okręt podwodny produkcji japońskiej, klasy Destiny.

- Tu platforma, przyjąłem - odpowiedział tak samo spokojnie Vale. - Robimy zwrot na wschód, żeby przepłynąć odcinek namiarowy do analizy ruchu celu. Oznaczamy kontakt jako Cel Jeden.

Na platformie peryskopowej komandor porucznik Henry Vale, oficer pokładowy, zadzwonił do kajuty Pacina i polecił szefowi wachty, żeby obsadził stanowiska bojowe.

- Kapitan - zgłosił się Pacino.

- Jest 3.55, sir. Mamy Destiny.

32

Sobota, 4 stycznia

Morze Labradorskie na zachód od Godthaab na Grenlandii USS..Phoenix”

- NavCom Norfolk, tu Echo Pięć November. NavCom, NavCom, Nav-Com, tu Echo Pięć November z Navy Blue. Zgłoś się, odbiór. Zakłócenia i świsty.

- NavCom, tu Echo Pięć November, odbiór. Nic.

Kane spojrział na Binghamtona. Twarz podoficera ociekała potem. Dostroił nadajnik i powiedział Kane’owi, żeby spróbował znowu. Żadnej odpowiedzi, same zakłócenia. Binghamton zmienił częstotliwość i wsłuchiwał się przez chwilę, czy są jakieś głosy. Nie było. Gestem dłoni poprosił Kane’a, by podjął jeszcze jedną próbę. Kane wywołał Norfolk. Cisza, żadnej odpowiedzi.- To pewnie z powodu burzy śnieżnej, o której słyszałem w prognozie pogody - powiedział Binghamton.

- Jakiej burzy? W jakiej prognozie?

- Kiedy Bigmouth się wynurzył, przeleciałem po częstotliwościach i złapałem coś o zamieci na wschodnim wybrzeżu atlantyckim od obu Karolin do Nowego Jorku. To by wyjaśniało problemy z odbiorem.

- Może powinniśmy spróbować łączności pośredniej. Złapać kogoś miejscowego, kto przekaże to dalej.

- Taki ktoś nie zidentyfikuje się według książki kodowej. Poza tym, jak się domyślam, ta wiadomość jest pilna. Zgadza się, kapitanie?

- Tak - potwierdził Kane i włączył swój mikrofon. - Platforma, tu kapitan. Wsunąć Bigmoutha i zejść głębiej.

- Tu platforma, tak jest - zatrzeszczało na linii. Pokład znurkował pod nimi, okręt zszedł w dół i przyspieszył, żeby dogonić Destiny.

- Jest jakaś szansa, że po godzinie coś się zmieni, starszy?

- Kto wie, kapitanie? Moglibyśmy spróbować. Ale niech pan na nic nie liczy.

- Jasna cholera - zaklął Kane, będąc już w połowie drogi do sterowni. - Oficer pokładowy, mamy już z powrotem Cel Jeden?

- Jeszcze go szukamy, sir.

- Znajdźcie go jak najszybciej. Niepotrzebna mi następna niespodzianka w postaci Nagasaki.

Centrala Agencji Bezpieczeństwa Narodowego

Fort Meade w Maryland

Centrum bezpiecznej łączności w budynku 427

- Jesteśmy już pod metrową warstwą śniegu, generale. A co u pana? Przetworzenie i rozkodowanie sygnału na bezpiecznej linii trwało sekundę, więc głos Barczynskiego odezwał się po krótkiej zwłóce. Ciągłe przerwy w słuchawce zawsze wywierały na Donchezie takie wrażenie, jakby rozmawiał z kimś kipiącym wściekłością, kto musi wciąż liczyć do dziesięciu, zanim odpowie. W tym wypadku rzeczywiście tak było. Barczynski nie był zachwycony sytuacją na Morzu Labradorским.

- Widzę zaledwie pół metra mojego tylnego ganku, ale wygląda na to, że warstwa grubo przekracza metr. Ledwo dojechałem do domu i nie zamierzam nigdzie wychodzić, dopóki to wszystko się nie uspokoi. Ale już dość o tej cholernej zamieci. Co się, do diabła, dzieje z Destiny i Sihoudem? Od tygodnia obiecujesz mi, że to będzie załatwione.

Donchez wcześniej przekazał Barczynskiemu pierwszą wiadomość z „Phoenixa”, pierwsze dobre wieści od chwili opuszczenia przez „Seawolfa” suchego doku. Teraz dzwonił, żeby przekazać mu drugą wiadomość i informację, że „Seawolf” powinien przechwycić Destiny w ciągu następnych sześciu godzin. Kiedy skończył, generał zaczął przesłuchanie.

- Jakie szanse ma twój „Seawolf” przeciwko temu Destiny? Wiemy, że ten okręt podwodny ZIF załatwił dwie twoje jednostki klasy 688. Miały chyba taką samą broń, jak teraz „Seawolf”?

- Ma pan częściowo rację, generale. Ale uważam, że „Seawolf” zwycięży. W porównaniu z klasą 688 jest wręcz niewidzialny. A „Phoenix” taką samą bronią uszkodził Destiny na tyle poważnie, że mógł go potem tropić na oceanie, unikając wykrycia, choć sam

mocno oberwał. Toipeda Mark 50 to doskonała broń. Trzy czy cztery sztuki powinny posłać Destiny na dno.

- Czy „Seawolf dotrze tam na czas?

- Tak, sir. - Donchez miał taką nadzieję.

- A jeśli jakimś cudem ten pocisk Scorpion zostanie odpalony? Będziemy mogli go zestrzelić? Może powinniśmy zarządzić pogotowie dla sił przechwytyjących Clougha?

- Jeśli ten pocisk działa tak, jak twierdzi jego producent, sir, to ma antyradar i jest niewykrywalny jak samoloty Stealth. Leci na wysokości ponad osiemnastu tysięcy metrów z trzykrotną szybkością dźwięku. Mógłby go zdradzić tylko opóźniony huk, ale gdyby nadlatywał od strony Kanady, a na to wygląda, tamte tereny są niezamieszkałe. Nie wiedzielibyśmy, że się zbliża, dopóki nie przeleciałby nad skupiskami ludzkimi. I nawet wtedy byłoby za późno, bo trudno go namierzyć. Jediną naszą szansą byłby środek przechwytyjący, który zestrzeliłby go w ciągu pierwszych sześciu sekund jego lotu, kiedy działa silnik na raketowe paliwo stałe. I byłoby to możliwe tylko wówczas, gdybyśmy dokładnie wiedzieli, gdzie jest Destiny. A to wiedzą tylko „Seawolf albo „Phoenix”.

- To cholernie złe wiadomości, Dick. Dlaczego twoje okręty nie dają nam znać, gdzie jest Destiny?

- Mają taki rozkaz, generale, ale „Phoenix” może rozmawiać tylko przez radio HF, które jest do niczego. Stracił inne środki łączności, a „Seawolf zapewne jeszcze szuka Destiny.

- Wolałbym nawet o tym nie myśleć, Dick, ale nie sądzisz, że powinniśmy zalecić ewakuację miast?

- Nie, generale. Przy tej zamieci nie zdążylibyśmy usunąć ludzi na czas i byłoby mnóstwo ofiar zimna i paniki. Miejmy nadzieję, że burza śnieżna unieszkodliwi ten pocisk, jeśli zostanie wystrzelony...- Dick, dopilnuj, żeby twoi ludzie dopadli tamten okręt podwodny. Nie liczę na żadną cholerną burzę śnieżną. Zostań na linii, połączę się z prezydentem Dawsonem.

- Tak jest, sir.

Donchez czekał. Wiedział, że albo Pacino wykona swoją robotę, albo... Odepchnął od siebie tę myśl.

USS „Seawolf”

Oficer wykonawczy Smar Vaughn stał przy konsolach centrum ataku w słuchawkach na uszach. W rękach trzymał kiipbord z blokiem do szkicowania. Skinął głową kapitanowi Pacino na znak, że stanowiska bojowe są obsadzone. W sterowni paliły się czerwone lampy,

obecność dwudziestoczceroosobowej wachty sprawiała, że pomieszczenie wydawało się zatłoczone i małe. Plotery były obsadzone, siedzenia przy konsolach centrum ataku zajęte, tu i tam stali telefoniści. Wysokie buczenie ekranów mieszało się z szeptami rozmów. Porozumiewająca się trzy wyrazowym i komunikatami załoga stanowiła jeden wspólny organizm z maszyną okrętu. Huczały wentylatory, ich basowy hałas współtworzył atmosferę napięcia i wyczekiwania na niewiadome. Mosiężny chronometr analogowy wskazywał 4.00.

- Cel Jeden na kierunku trzysta pięćdziesiąt jeden, odległość dwadzieścia dwa tysiące metrów. Nasza szybkość dwadzieścia węzłów, idziemy na kontakt kursem północnym, głębokość sto pięćdziesiąt metrów. - Vaughn pochylił się nad konsolą sonaru BSY-2 na stanowisku numer 2. - Kurs kontaktu w przybliżeniu sto osiemdziesiąt, szybkość między dziesięć i dwanaście węzłów.

- Bardzo dobrze, XO - odrzekł Pacino, wspinając się na platformę peryskopową i wkładając słuchawki. - XO, zadzwoń na rufę do Hobarta i powiedz mu, żeby załadował boję SLOT numer 1 do rufowego wyrzutnika sygnałowego. Uzbrojenie, status wyrzutni?

- Lewa bateria załadowana torpedami Mark 50 - zameldował Scott Court siedzący przy tylnej konsoli w głębi panela obsługi uzbrojenia.

- Podgrzać dwójkę, czwórkę, szóstkę i ósemkę, zalać i otworzyć wrota zewnętrzne. Wprowadzić współrzędne zanurzonego celu, szybkość od średniej do wysokiej, sonar pasywny.

- Tak jest, sir. Uruchamiam zasilanie torped od pierwszej do czwartej.

- Uwaga zespół kierowania ogniem - powiedział Pacino. Ciche rozmowy w sterowni umilkły. Członkowie wachty, którzy nie musieli patrzeć na wyświetlacze, odwrócili się i patrzyli na Pacina. - Gdy tylko torpedy się rozgrzeją, wystrzelimy salwę poziomą do Celu Jeden. Natychmiast przeładujemy wyrzutnie i damy ognia drugi raz. Będziemy strzelać, dopóki Cel Jeden nie pójdzie na dno lub nie odpowie ogniem. W tym drugim wypadku wycofam się, ale nie przerwę ostrzału. Wykonać.

W kabinie sonarowej Jesse Holt zmarszczył brwi, patrząc na wąskopasmowe zakresy częstotliwości, i włączył mikrofon.

- Platforma, tu sonar. Nowy kontakt, częściowo zasłonięty przez Cel Jeden, kierunek trzysta pięćdziesiąt cztery, duża odległość. Zanurzony okręt podwodny, zapewne amerykański, klasy 688.

- Tu platforma, przyjąłem - odpowiedział Jeff Joseph do swojego mikrofonu na wysięgniku. Miał zakłopotaną minę.

- Klasa 688 na tym samym kierunku, co Destiny - zauważył sfrustrowany Vaughn. - To „Phoenix”. Okręt, który tropił Destiny przez całą drogę aż tutaj.

- Jesteśmy wcześniej - odparł Pacino, zły, że zakłócono rutynowy przebieg odpalania. - „Phoenixa” miało tu nie być, kiedy się zjawimy, ale przyплыliśmy godzinę wcześniej.

Spojrzał na mapę nawigacyjną. Cieśnina tworzyła wąski korytarz wodny, prowadzący na północ i południe. Czarny punkt na południu oznaczał pozycję „Seawolfa”, pomarańczowa kropka położona na północ od niego - Destiny, cel. Gdzieś na północ od Destiny znajdował się „Phoenix”. Nie wiedział, że jest na linii ognia. Gdyby Pacino wystrzelił teraz torpedy, ryzykowałby, że trafi swojego. Gdyby zaczekał, Destiny mógł odpalić pocisk plutonowy na Waszyngton. Pacino czuł się jak policjant, który zamierza strzelić do bandyty i nagle widzi, że tamten ma zakładnika.

- Moglibyśmy wstrzymać się z otwarciem ognia i poczekać, aż zejdzie z drogi.

- Nie - odpowiedział Pacino. - Atakujemy. Jeśli „Phoenix” ma na tyle dobry sonar, że słyszy Destiny, to powinien też usłyszeć zbliżające się torpedy Mark 50. A kiedy zda sobie sprawę, że nadpływają, usunie się z linii ognia albo przyczai tak, że filtr Dopplera nie wykryje go. Warto zaryzykować...

Zabrzmiało to jak próba racjonalizacji własnej decyzji i sądząc po minach Vaughna i Josepha, oni też tak odczuli słowa Pacina.

- Torpedy w wyrzutniach dwa, cztery, sześć i osiem rozgrzane, auto-diagnostyka zakończona, wszystkie wyrzutnie zalane, wrota zewnętrzne dwójki i czwórki otwarte. - Court obrócił swój fotel, żeby spojrzeć na kapitana. - Jesteśmy gotowi do odpalania, sir. Stojąc na platformie, Pacino czuł na swoich barkach brzemień obowiązku dowodzenia, ciążyło mu jak trzytonowa sztanga. Na oczach załogi miał za chwilę narazić na niebezpieczeństwo - albo więcej niż narazić - inny amerykański okręt podwodny. Ale powstrzymanie się od odpalenia torped pozwoliłoby Destiny wystrzelić broń masowej zagłady. Gdyby poprosił Doncheza o wydanie „Phoenixowi” rozkazu odpłynięcia stąd godzinę wcześniej... Wyraz twarzy Pacina przeczył temu, co czuł. Podjął decyzję.

- Wyrzutnia dwa, strzał według wyliczonego kierunku.

- Wprowadzony - odpowiedział Vaughn.

- W pogotowiu - zameldował Court, ustawiając długi spust na pozycji godzina trzecia.

- Strzelać! - padła komenda Pacino.

- Ognia! - Court przestawił spust w pozycję ogniową.

Rozległ się krótki syk, potem przez okręt przetoczył się gwałtowny huk. Fala ciśnienia poraziła Pacinowi bębniaki w uszach, gdy tłok wyrzutni znajdującej się jeden poziom niżej wypuścił powietrze do wnętrza okrętu.

Pierwsza torpeda opuściła wyrzutnię. Jej silnik ożył, śruba zaczęła wirować. Okręt podwodny zostawał daleko z tyłu. Piętnaście sekund później wystrzelono drugą torpedę, potem trzecią i czwartą. Wszystkie mknęły przez lodowaty ocean na północ w kierunku celu. Szły z dużą szybkością tranzytową, oczekując sygnałów ze swoich komputerów pokładowych, nakazujących im, by zwolniły i zaczęły nasłuchiwać sygnatury dźwiękowej celu.

Pacino czekał na platformie, aż obsługa torpedowni przeładuje wyrzutnię. Musiało upłynąć około pięciu minut, zanim tłoki hydrauliczne ustawią ostatnią torpedę i do żyroskopów dotrze zasilanie. Pacino patrzył na wodospadowy wyświetlacz sonaru i obserwował nagle ślady torped, których kierunki zbiegały się z kierunkiem do celu.

I z kierunkiem do „Phoenixa”...

OPSM „Hegira”

Ból głowy nasilał się. Komodor Sharef zaczynał podejrzewać, że to dolegliwość psychosomatyczna, skutek jego sprzecznych myśli i uczuć związanych z wystrzeleniem pocisku. Bez względu na to, jaka była przyczyna, tak potwornego bólu nie czuł dotąd nigdy. Głowa mu pękała, nie mógł się skoncentrować. Ale musiał...

Tawkidi obniżył peryskop.

- Nad nami otwarte morze - oznajmił. - Będziemy stąd mieli czysty strzał, jeśli się pospieszymy.

- Status wyrzutni numer 1? - zapytał Sharef.

- Zalana, pokrywa dziobowa otwarta, komodorze. Zasilanie pocisku działa, odczyty współrzędnych celu i przebiegu trasy zakończone. Pocisk jest gotowy do zaprogramowanego jednodominutowego odliczania, ale musimy zwolnić do minimalnej szybkości manewrowej.

- Sterowanie okrętem, minimalna naprzód, cztery kilometry.

- Cztery kilometry, komodorze.

- Generale Sihoud, jest pan gotów do wydania rozkazu rozpoczęcia jednodominutowego odliczania?

- Rozpocząć odliczanie - powiedział Sihoud. - Nadszedł czas naszej zemsty.

Sharef starał się nie skrzywić.

- Komandorze, rozpocząć jednodominutowe odliczanie - rozkazał. Oprócz bólu odczuwał zawroty głowy.

- Rozpoczynamy odliczanie, komodorze. Czas wystrzelenia minus sześćdziesiąt sekund, tryb automatyczny. Szybkość okrętu zgodna z parametrami wystrzelenia. Czas wystrzelenia minus pięćdziesiąt sekund, status pocisku zadowalający.

Za minutę będzie po wszystkim, pomyślał Sharef. Potem odwrót na północ, zejście pod stałą pokrywę lodową, rejs wokół północnego krańca Grenlandii i powrót przez Atlantyk na Morze Śródziemne. A stamtąd do domu.

Ślady tworzące się na ekranach konsoli sensorowych zapowiadały zbliżanie się amerykańskich torped. System Drugi Kapitan monitorujący sygnały z sensorów zaczął rozumieć znaczenie dźwięków i podniósł alarm. Ciszę w sterowni przerwał brzęczyk na panelu. Tawkidi pierwszy zobaczył sygnał nawyświetlaczu i odwrócił się do Sharefa. Komodor stanął obok niego przy panelu.

- Amerykańskie torpedy, komodorze. Co najmniej cztery. Nie możemy...

- Generale Sihoud - powiedział szybko Sharef - musimy przerwać odliczanie i zrobić unik...

- Nie, komodorze. Najpierw wystrzelimy pocisk, a potem zrobimy unik...

USS „Phoenix”

- Platforma, tu sonar. Odzyskaliśmy namiar na Cel Jeden, kierunek jeden siedem cztery. Kontakt zwolnił, jego sygnatura dźwięku jest teraz dużo cichsza.- Tu platforma, przyjąłem - odpowiedział Kane, patrząc na konsolę stanowiska jeden.

Zerknął w górę na chronometr. Zegar wskazywał 8.14 czasu zulu -4.14 czasu lokalnego. Za pół godziny wyniosą się na północ. Ktokolwiek został tu wysłany przez Steinmana i Doncheza, przyplynie z południa, żeby zaatakować Destiny. I dobrze, pomyślał Kane. Członkowie załogi - ci, którzy jeszcze żyją - są wykończeni. Czas wracać do domu. Okręt pewnie spędzi rok w suchym doku. Może nawet dwa lata, jeśli stocznia przeprowadzi przy okazji planowany remont generalny. Co oznaczało, że to ostatni rejs Kane'a na pokładzie „Phoenixa”. Za rok miał być złuzowany. Wydawało się to tak odległe, że dotychczas niewiele o tym myślał. Ale teraz stało się oczywiste, że zbliża się do jednego z rozdroży w swojej karierze i musi zdecydować, co dalej. Powinien zostać w marynarce wojennej czy odejść do cywila? Koniec służby na okręcie oznaczał pracę za biurkiem. Uważał, że jest jeszcze za młody, żeby żegnać się z morzem, ale...

- Platforma, tu sonar. Torpedy w wodzie! Z południa! USS „Seawolf”

Rozgrzewanie drugiej partii torped wydawało się trwać wiecznie. Gdyby na okręcie nie zainstalowano wyrzutni Vortexów i pozostawiono przy sterburcie cztery stare wyrzutnie Mark 50, druga salwa zostałaby wystrzelona natychmiast po pierwszej. Pięćdziesiąt torped

„Seawolfa” można było odpalić w odstępach czterdziestopięciosekundowych, dopóki wszystkie nie poszły. Teraz okręt miał ich tylko dwadzieścia cztery, na sześć salw co pięć minut. Ale wystarczy już tego przeklinania Vortexów, pomyślał Pacino.

- Wyrzutnie dwa i cztery gotowe, sir.

- Procedury momentu odpalania, wyrzutnie dwa i cztery - rozkazał Pacino i wysłuchał meldunków z poszczególnych stanowisk bojowych. Po dziesięciu sekundach wyrzutnia numer 2 wystrzeliła i przez wnętrze okrętu przeszła z hałasem fala sprężonego powietrza. Piętnaście sekund później swój ładunek wysłała w morze wyrzutnia numer 4. Pacino wi dzwoniło w uszach, gdy Court oznajmił, że wyrzutnie sześć i osiem są gotowe.

Powtórzyła się litania rozkazów i meldunków. Do Celu Jeden szło już osiem torped.

- Panie Court, przeładować jak najszybciej lewą baterię. Sonar, tu kapitan. Jaki jest status Celu Jeden?

- Trudno powiedzieć, kapitanie - odezwał się w interkomie głos Holta. - Mark 50 całkowicie go zasłaniają. Mamy zerowe rozdzielanie kierunków. Muszę zameldować o utracie kontaktu z Celem Jeden.

- Tu platforma, przyjąłem. Uważaj na jego odpowiedź ogniem. Vaughn, stojący w przedniej części centrum ataku, podniósł na Pacina wzrok znad pulpitu.

- No, nie wiem, kapitanie. To niepodobne do tamtego gościa, żeby zobaczył, że idą na niego cztery torpedy, i nie odpowiedział ogniem. Może powinniśmy się wycofać.

- Spokojnie, XO. „Phoenix” wystrzelił w niego całą torpedownię. Załóżmy, że tylko trzy rybki znalazły cel, ale on wciąż się trzyma. Chcę posłać w jego kierunku tyle torped, ile mogę. Jaki jest status, Court?

- Jeszcze ładują, sir.

Pacino pomyślał, że Vaughn ma jednak rację. I nie wspomniał, że Pacino ustawił okręt na takiej pozycji strzeleckiej, że torpedy szły w tranzycie do celu wzdłuż linii wzroku. Gdyby odpowiednio zaplanował akcję, zszedłby z tego kursu, żeby ich kierunki nie pokrywały się z kierunkiem do celu i mógłby wtedy monitorować jedno i drugie. Ale nie miał na to czasu. Mimo wszystko popełnił błąd taktyczny. Pacino zastanawiał się, czy w ogóle usłyszeliby Nagasaki przez hałas własnych Mark 50. Wszystko zależało teraz od uszu młodszego podoficera Holta.

OPSM „Hegira”

- Torpedy mogą tu dotrzeć lada moment, generale. Musimy zrobić unik. I odpowiedzieć ogniem. Potem możemy wystrzelić pańskiego Scorpiona, będzie mnóstwo czasu...

Pułkownik Ahmed spojrział na Sihouda, mając nadzieję, że generał wreszcie przywoła do porządku niesubordynowanego komodora. Ale ku jego rozczarowaniu Sihoud skinął głową. W końcu zdał sobie sprawę, że nie ma wyboru, jeśli chce wystrzelić pocisk i przeżyć.

- W porządku, komodorze. Niech pan zrobi unik przed torpedami i odpowie ogniem intruzowi. Tylko szybko.

- Tawkidi, wstrzymać odpalenie, zrobić unik na północ i rozgrzać Nagasaki w wyrzutniach dziesięć i dwanaście - powiedział Sharef, wdzięczny choć za tę krótką zwłokę.- Sterowanie okrętem - rozkazał Tawkidi - alarmowa naprzód, głębokość czterysta metrów, zwrot na północ. Podporuczniku al-Maari, włączyć zasilanie torped w wyrzutniach dziesięć i dwanaście. Obsługa sensorów, mamy informację z systemu Drugi Kapitan o funkcjonowaniu przeciwnarzu SCM?

Podporucznik Rouni przy konsoli sensorowej zaczął zmieniać obrazy graficzne na wyświetlaczu Drugiego Kapitana. Im dłużej to trwa, pomyślał Sharef, tym bardziej pewne jest, że moduły bruchomówczego SCM-u padły. Nawet nie warto tego sprawdzać, jeśli weźmie się pod uwagę uszkodzenia rufy, jakie spowodowała eksplozja pierwszej amerykańskiej torpedy.

Pokład przechylił się na burtę przy manewrze, potem pochylił w dół. Sharef znów dostał zawrotów głowy, zachwiał się i omal nie przewrócił, w ostatniej chwili podtrzymał go Tawkidi. Sharef pomyślał, że ma szczęście - otaczają go oddani, pełni poświęcenia, zdolni ludzie: Tawkidi, Quzwini i cała reszta. Przez moment zastanawiał się, czy nie zaczyna majaczyć i stąd ta egzaltacja. To skutek wstrząsu? Wspaniale. Okręt atakują nieprzyjacielskie torpedy, a umysł dowódcy uległ zaćmieniu. Miał nadzieję, że Tawkidi będzie czuwał i w razie potrzeby zastąpi go we właściwym momencie. I przeciwstawi się Sihoudowi. Sharef nie mógł zrobić nic więcej. Albo załoga ma charakter i odpowiednie wyszkolenie, żeby walczyć i uratować się, albo zginie.

- SCM nie działa, komandorze. Nieczynny. Musimy liczyć na samą szybkość.

- Komodorze, moglibyśmy zrobić dezynfekcję i mieć nadzieję, że się uda. Ale chyba po prostu wycofam się na północ. Jest tu mnóstwo przestrzeni nawigacyjnej, a wszystkie torpedy zbliżają się z jednego kierunku, z południa, zza rufy. I nie ma potrzeby ustawiać Drugiego Kapitana na tryb sterowania okrętem.

- Zgadzam się, komandorze.

Sharef przysunął się bliżej do wyświetlacza nawigacyjnego. Sprawdził głębokość morza w pamięci komputera i profil warstwy lodowej według zdjęć satelitarnych, załadowany do systemu tuż przed rejsem i uaktualniony o ostatnie przewidywania Drugiego Kapitana.

Odległość torped trudno było określić, ale sądząc po zasięgu detekcji Drugiego Kapitana przy użyciu hydrofonów dziobowych, musiały być daleko. A biorąc pod uwagę powolność amerykańskich Mark 50, była duża szansa na to, że okręt im ucieknie i pozostanie cały. Sharef uważał, że ten, kto ich zaatakował, kimkolwiek był, popełnił błąd taktyczny, wystrzelując torpedy z daleka wzdłuż jednej linii kierunkowej. Kiedy tylko w kierunku nadpływających Mark 50 zostaną odpalone Nagasaki, los amerykańskiego okrętu będzie przesądzony.

- Wyrzutnie dziesięć i dwanaście gotowe, komodorze. Tryb poszukiwawczy zaprogramowany na natychmiastowy zwrot na południe. Proszę o zgodę na odpalenie.

- Wystrzelić z dziesiątki i dwunastki.

W ciągu dwudziestu sekund dwie torpedy Nagasaki opuściły wyrzutnie w dziobie „Hegiry”, wykonały szybki zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i pomknęły na południe do celu.

Kiedy zostawiły swój okręt z tyłu, „Hegira” zaczęła zmniejszać dystans do amerykańskiego okrętu podwodnego klasy 688, który płynął na północny zachód z prędkością mniejszą trzydzieści kilometrów na godzinę niż ona. Teraz, z odległości dziesięciu kilometrów, system Drugi Kapitan wciąż nie był w stanie wyłapać jego odgłosu, zagłuszanego przez wzmożony hałas przepływu wody morskiej i układu napędowego własnego okrętu...

33

Sobota, 4 stycznia

Centrala Agencji Bezpieczeństwa Narodowego

Fort Meade w Maryland

Centrum bezpiecznej łączności w budynku 427

Kiedy admirał Donchez zamknął oczy po rozmowie telefonicznej z generałem Barczynskim, warstwa śniegu na drogach miała ponad pół metra, zasy py prawie metr. Teraz na nizinach przybyło jeszcze trzydzieści centymetrów. Donchezowi śniło się, że pada czarny śnieg, a na ulicach leżą rzędy ciał zagrzebanych w zabójczym puchu. Gdy go obudzono, odetchnął z ulgą.

- Wiadomość dla pana, sir. Navy Blue.

Donchez położył klipbord na nieczynnej konsoli przed sobą. Wiadomość przysłała z „Seawolfa” i zawierała jedno zdanie: Atakujemy teraz Destiny. Donchez przywołał sierżanta łącznościowca.

- Przetaksujcie to do domu generała Barczynskiego w Fairfax. Znaście kod?

- Tak jest, sir. Morze Labradorskie na północny zachód od Godthaab na Grenlandii USS „Phoenix”

- Ster pełna w prawo, cała naprzód maksymalna! Stały kurs trzy pięć zero. Zanurzenie, głębokość trzysta metrów. Sonar, tu kapitan. Masz torpedy?

Kane pocił się pod pachami, na piersi i w kroczu. Czuł to coraz wyraźniej. Pokład dygotał przy gwałtownym manewrze. Przeczucie mówiło Kane’owi, że okręt nie wytrzyma następnego trafienia Nagasaki. Musi uciec albo zginie.

- Platforma, tu sonar. Tak, na granicy stożka ciszy z lewej burty. I jeszcze jedno, kapitanie. Zbliżające się torpedy nie mają charakterystyki Nagasaki. To są... Mark 50.

Sanderson mówił takim tonem, jakby był wściekły na Kane’a.

- Powtórz, sonar.

- Kapitanie, nadpływające torpedy to Mark 50, wystrzelone z południa. Atakujący okręt podwodny zjawiał się tu wcześniej.

McDonne zaklął.

- Czy oni nic nie potrafią zrobić jak należy? - warknął ze złością.

- XO, zadzwoń na rufę do Schramforda i powiedz mu, żeby znów podkręcił moc, jak ostatnim razem. - Kane włączył swój mikrofon. - Sonar, tu kapitan. Jaki jest status Celu Jeden?

- Jest w naszym stożku ciszy, sir. Szukam go, żeby się pojawił na granicy stożka z prawej burty. Sprawdzam też końcowy kierunek anteny holowanej, ale przy tej prędkości stara antena szybko gubi stosunek sygnałów do szumów.

- Szukaj dalej.

Kane zastanawiał się, co innego mógłby powiedzieć. Znów zrobił wszystko jak w książce, żeby uniknąć trafienia torpedą. Miał większe szanse ucieczki przed lżejszymi i wolniejszymi Mark 50 niż przed Nagasaki.

Kiedy tak stał na platformie, zaciskając palce na relingu aż zbieleły, przyszło mu nagle do głowy, że może praca za biurkiem nie byłaby w końcu taka zła.

OPSM „Hegira”

- Zalecam manewr, komandorze Tawkidi. Powinniśmy sprawdzić, jak blisko są torpedy. - W głosie podporucznika Rouniego dało się wyczuć wyraźne napięcie.

Tawkidi skinął powoli głową. Czuł się nieswojo, nie wiedząc, co robią torpedy. Uszkodzenie anten hydrofonów rufowych przy poprzednim trafieniu uniemożliwiało monitorowanie torped za rufą.

- Zgoda, poruczniku. Sterowanie okrętem, zwrot na sterburtę o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Oficer siedzący przy panelu sterowniczym wykonał manewr i pokład przechylił się. Obrócenie okrętu, zakończone powrotem na poprzedni kurs w kierunku północnym, zajęło pół minuty. Trzydzieści sekund wydawało się trwać wieczność, zwłaszcza że po zatoczeniu połowy kręgu płynęli przez pewien czas prosto na torpedy.

Po powrocie na kurs Rouni spróbował przeanalizować dane, które system zdobył, „spoglądając” wstecz.

- Odbieram dwanaście pocisków nadal w pościgu, komandorze. Najbliższy jest w odległości piętnastu kilometrów.

- Żadnych sygnałów aktywnych?

- Nie. Jak dotąd, idą na sonarze pasywnym.

- Wszystkie na naszym kursie czy są rozstawione?

- Wszystkie idą prosto na nas, komandorze.

Tawkidi odszedł od konsoli sensorowej i sterowniczej, ujął Sharefa za łokieć i obaj odeszli kilka kroków dalej od innych oficerów, a także od Sihouda i Ahmeda.

- Komodorze, wiem, że nie mamy wabika Dash Five, żeby to przeprowadzić, ale uważam, że powinniśmy zrobić dezynfekcję.

- Jak, Omar?

- Jesteśmy pod szeroką pokrywą lodową. Ich torpedy będą nasłuchiwały odgłosów napędu. Na razie jeszcze nie wysyłają sygnałów, ale kiedy zaczną, impulsy będą się odbijały od kry. Musiałyby mieć filtry szybkości, żeby odróżnić nas, ruchomy obiekt, od lodu.

- Nie mamy danych wywiadowczych o ich systemach.

- Moglibyśmy uruchomić program dezynfekcji i podejść do dna pokrywy lodowej. To ryzykowne, ale tamci będą atakowali i przeszkadzali nam w wystrzeleniu pocisku...

Sharef starał się ocenić sytuację w sposób w pełni obiektywny, ale wciąż uważał, że amerykańskie torpedy są stosunkowo prymitywne. Pewnie jeszcze nie przeplnęły zaprogramowanego dystansu do punktu nasłuchu, pomyślał. Ucieczka to najlepsza taktyka. Dokonywanie dezynfekcji, żeby pozbyć się nadpływających torped, było zbyt niebezpieczne bez Dash Five. Uznał, że nie warto ryzykować.

- Komandorze, moim zdaniem, powinniśmy kontynuować ucieczkę. Tym torpedom niedługo skończy się paliwo, a tamci nie wystrzelą następnych, kiedy się zorientują, że dwie nasze Nagasaki są w drodze. Zatopimy amerykański okręt, a kiedy ich toipedy zatoną, będziemy mogli wrócić do naszej misji.

Sharef właśnie tak o tym pomyślał i tak to czuł - to była misja.

Co prawda przez moment zastanawiał się, czy zasadniczym motywem tej decyzji o kontynuowaniu ucieczki nie była jego niechęć do wystrzelenia pocisku. Nieważne. Był pewien, że podjął właściwą decyzję taktyczną, zgodną z jego poczuciem obowiązku. Dezynfekcja i czekanie byłoby ryzykiem, którego nie musiał podejmować. Mieli jeszcze mnóstwo czasu...

USS..Phoenix”

Meldunek Sandersona wywołał rzadko oglądaną reakcję Kane'a - uśmiech na twarzy.

- Platforma, tu sonar. Mam Destiny. Wyłania się na granicy stożka ciszy z prawej burty. Bardzo głośna sygnatura dźwiękowa. Idzie bardzo szybko, z odchyleniem kierunku w lewo. Oceniam, że jest na równoległym kursie północnym i też robi unik przed torpedami Mark 50.1 wyprzedza nas.

- Sonar, tu kapitan. Żadnych oznak, że nas słyszy?

- Platforma, tu sonar. Nie. Ucieka w takim popłochu jak my. Mina porucznika Victora Housera zaczęła się zmieniać, gdy usłyszał słowa Sandersona: „też robi unik przed torpedami Mark 50” i „ucieka w takim popłochu jak my”. Z trudem panując nad sobą, porucznik odezwał się do McDonne'a.

- Co my, do cholery, robimy, XO?

- Gdzie ty byłeś, Houser?! - McDonne szykował się już do udzielenia jednego ze swoich typowych upomnień, gdy Kane uniósł rękę.

- Houser, o co ci chodzi?

- Kapitanie, XO, robimy unik jak przed bronią wroga. Ale uciekamy przed naszymi własnymi Mark 50. Znamy te rybki. Jesteśmy pod lodem. Te torpedy zostały wystrzelone prawdopodobnie z ograniczeniem pułapu do sześćdziesięciu czy dziewięćdziesięciu metrów, żeby nie wpadły na zanurzoną krę, zgadza się? Są w poszukiwawczym trybie pasywnym i przełączą się na aktywny, z filtrem Dopplera do rozpoznawania zanurzonego celu. To standardowe ustawienie pod lodem. Więc po co uciekamy? Powinniśmy się zatrzymać, podejść pod lód i zastygnąć w bezruchu. Wtedy te rybki nas nie usłyszą...

- Sternik, cała wstecz dwie trzecie! - zdecydował nagle Kane. - Szybkość dwa węzły.

Pokład zadygotał gwałtownie, gdy obsługa w kabinie manewrowej otworzyła przepustnice turbin rufowych i odwróciła kierunek obrotu śruby. McDonne miał surową minę, Houser wpatrywał się ze zmarszczonym czołem w ekran wyświetlacza sonaru.

- Dwa węzły, kapitanie.

- Sternik, cała stop. Oficer zanurzenia, przygotować się do zatrzymania okrętu. Telefonista, przekazać manewrowej, żeby wyłączyli reaktor i zamknęli główne zawory pary.

Rozkaz wyłączenia reaktora zaskoczył nawet Housera. Kane'owi nie wystarczyło zatrzymanie i ukrycie okrętu. Posunął się dalej. Chciał mieć absolutną ciszę na pokładzie.

- Gotowi do zatrzymania, kapitanie.

- Bardzo dobrze, zanurzenie. Podnieś nas do pokrywy lodowej. Pół metra na sekundę.

- Wznoszenie pół metra na sekundę, sir. Wyznaczona głębokość trzydzieści metrów.

Wentylatory w sterowni przestały się obracać i natychmiast zrobiło się duszno.

- Może powinniśmy wyłączyć system kierowania ogniem - podsunął Houser. - Zużywa energię, a i tak nie mamy torped.

- Wyłącz go, OOD.

McDonne poczerwieniał jak burak, ale nie odezwał się nawet słowem.

- Sto pięćdziesiąt metrów, sir.

- Sir, manewrowa melduje wyłączenie reaktora i zamknięcie zaworów pary.

Najszybszy sposób unieruchomienia maszynowni, pomyślał Kane. Na okręcie zapadła cisza, słychać było tylko syk powietrza wpuszczanego do zbiorników sterowania głębokością.

- Kapitanie, kończy się sprężone powietrze. Będę musiał utrzymywać okręt w bezruchu na pompie trymującej.

Kane zagryzł wargi. Potężna pompa wyczerpałaby akumulator, ale po awaryjnym nadmuchu do zbiorników, żeby oderwać się od dna, nie mieli okazji uruchomić kompresorów i uzupełnić zapasu powietrza. Nie było wyboru.

- W porządku, bosmanie. Utrzymuj okręt na pompie trymującej. Telefonista, przekaz głównemu mechanikowi, żeby podał, na jak długo wystarczy akumulator.

- Platforma, tu sonar. Rozumiem, że wisimy w bezruchu, żeby uniknąć torped. Prośba o odwrócenie okrętu, żeby torpedy wyszły z naszego stożka ciszy.- Sonar, tu kapitan. Nie.

- Sir, inżynier melduje, że akumulator wystarczy na pół godziny. Może dłużej, jeśli nie będzie dodatkowego obciążenia.

Kane rozumiał. Sonar chciał uruchomić napęd, żeby monitorować walkę. Główny mechanik chciał wyłączyć sonar, żeby zaoszczędzić energię z akumulatora.

- Sześćdziesiąt metrów, sir - zameldował oficer zanurzenia.

- Spowolnić wznoszenie do ćwierć metra na sekundę.

- Pięćdziesiąt pięć metrów, sir.

Kane czekał. Wiedział, że torpedy wciąż idą na niego. Dwie minuty później pokład podskoczył, gdy kiosk zderzył się z dnem pokrywy lodowej. Zatrzymali się.

- Daj taką wyporność, żebyśmy mogli tu stać bez przechyłu.

- Tak jest, sir. Pompa trzymająca wyłączona.

- Co dalej, kapitanie? - zapytał McDonne.

- Poczekamy - odparł Kane.

Gdy nie huczały wentylatory, w sterowni było dużo ciszej. Kane podszedł do drzwi sonaru i zajrzał do Sandersona. Starszy bosman posłał mu cierpkie spojrzenie.

- Nie słyszę nic poza tym lodem - poskarżył się. - Torpedy są nadal w stożku ciszy za rufą.

- Nasłuchuj dalej. Jeśli usłyszysz je przed dziobem, to będzie znaczyło, że nas minęły.

- Na pewno dam panu znać, sir. - Sanderson odwrócił się z powrotem do swojej konsoli, ignorując Kane'a.

Kane wrócił do sterowni. Członkowie wachty, co do jednego, mieli wymizerowane twarze i podkrążone oczy. Zmęczenie i strach odbierały im energię. Kane czuł, że rejs dobiega końca. Tylko jeszcze nie wiedział, jaki to będzie koniec.

USS „Seawolf”

- Wstrzymać ogień - rozkazał Pacino. - Sonar, tu kapitan. Masz jakieś rozdzielanie kierunku naszych torped i Celu Jeden? I jaki jest status „Phoenixa”?

Zobaczył zdumione miny. Uświadomił sobie, że przerwał wykonywanie własnego rozkazu: strzelać, dopóki nie zostanie tylko jedna torpeda. Ale przyszło mu do głowy, że prowadzi ogień według starych danych. Torpedy były między sonarowymi uszami okrętu a celem i „Phoenixem”.

Wszystko mogło się tam dziać. Bez danych nie mógł podejmować decyzji, nic nie wiedział.

- Platforma, tu sonar. Brak rozdzielania kierunku. Torpedy zasłaniają Cel Jeden i „Phoenixa”.

Pacino podszedł do stołu nawigacyjnego przy lewej burcie. Okręt znajdował się teraz na południe od podwodnego grzbietu, który biegł w zasadzie wzdłuż linii wschód-zachód i oddzielał Basen Labradorski od Cieśniny Davisa i Morza Baffina. Grzbiet miał na mapie

nazwę Ungava i przypominał usta w uśmiechu odwrócone do góry nogami - z perspektywy „Seawolfa” wklęsłość. Miejscami były płycizny, w jednym punkcie na zachodzie - nazywanym Szczytem Davisa - głębokość sięgała stu osiemdziesięciu metrów. Pacino popatrzył na mapę i pochylił się, żeby przyjrzeć się jej dokładniej. Mimo płycizn nad grzbietem Ungava i bliskości Szczytu Davisa, postanowił popłynąć na zachód od linii wzroku do Destiny. Miał jeszcze mnóstwo przestrzeni, od Szczytu Davisa dzieliło go czterdzieści mil morskich, i żegluga w tamtym kierunku była możliwa. Ale kiedy wydał sternikowi rozkaz zmiany kursu na zachodni-północno zachodni, zdał sobie sprawę, że to wbrew jego instynktowi i powinien wybrać bardziej otwarte wody. Zignorował tę myśl, ale nie uwolnił się w pełni od niej.

- Sonar, tu kapitan. Robimy zwrot na zachód, żeby mieć odchylenie od kierunku celu. Melduj, jeśli Cel Jeden zejdzie z kursu naszych torped.

- Tu sonar, tak jest.

- Sternik, cała naprzód standardowa.

Pacino czekał i znów się niecierpliwił. Spojrzał w górę na wyświetlacz szerokiego pasma z anteny sferycznej. Obserwował wodospad spływający w dół ekranu, ale poza plamkami torped przesuwającymi się ku północy nie mógł dostrzec niczego.

- Oficer pokładowy, pilnować naszej pozycji. Nie chcę wpaść na mieliznę na tym grzbiecie.

- Tak jest, sir.

Na środku krótkookresowego obrazu wodospadu wyodrębnił się podwójny ślad. Coś na północy. Destiny? Taki głośny? Pacina ogarnęły złe przeczucia. Już miał włączyć swój mikrofon i zapytać Holta, co to za dziwny dźwięk, gdy w jego słuchawkach rozległ się głos sonarzysty:

- Platforma, tu sonar. Dwie torpedy w wodzie na kierunkach zero zero jeden i trzy pięć osiem, napędzane wirnikami odrzutu wody. Wygląda na to, że idą z dużą szybkością.

- Cała naprzód maksymalna - rozkazał Pacino. Nagle doznał uczucia, jakby już kiedyś był w takiej sytuacji, wydawał taki sam rozkaz, widział taki sam podwójny ślad na ekranie wodospadowym. W wyobraźni zobaczył mapę morską, zbliżającą się płycizny na zachodzie. W następnym momencie wiedział już, co chce zrobić, uświadomił sobie, że największym problemem będzie to, czy załoga zrozumie jego plan i wykona go. W tle usłyszał przytłumiony meldunek Holta, że nadpływające torpedy to model Nagasaki, o czym instynktownie wiedział. Prawie nie zwrócił uwagi na słowa Holta, poczuł nagłą falę mdłości.

- Kapitanie - odezwał się Vaughn - podchodzimy za blisko do grzbietu, musimy zrobić zwrot na południe. Tamte torpedy to Nagasaki...

- Nie zrobimy zwrotu na południe - odparł Pacino. Kiedy spojrzał Vaughnowi w oczy, zaskoczyła go surowa mina oficera wykonawczego. XO patrzył na niego tak, jakby oceniał, czy kapitan jest w stanie nadal dowodzić. Pacino starannie dobierał następne słowa: - Nie jesteśmy w stanie uciec przed torpedą Nagasaki, XO. Tym bardziej przed dwiema. Rozwijają szybkość siedemdziesięciu węzłów. Będą nas ścigały godzinę, może dłużej. Nawet jeśli zostały wystrzelone z odległości pięćdziesięciu tysięcy metrów, dogonią nas na długo przed upływem godziny, choć coś mi mówi, że odpalono je z dużo bliższego dystansu, powiedzmy dwudziestu pięciu tysięcy metrów. Przy naszej szybkości maksymalnej dopadną nas za pół godziny; za piętnaście minut, jeśli nadal będziemy płynąć na zachód. Mamy kwadrans na zejście im z drogi, czyli dziesięć mil morskich, może dwanaście. Być może uda nam się całkowicie zniknąć z ich stożka poszukiwawczego, jeśli mają punkt gotowości, jak nasze Mark 50. Warto spróbować.

Twarz Vaughna złagodniała na moment.

- Okay, pan tu rządzi.

- Bez obaw, XO - powiedział cicho Pacino, żeby tylko Vaughn mógł go usłyszeć. - Zamierzam wyjść z tego cało. Zadzwoń do manewrowej i powiedz im, żeby załadowali i wystrzelili boję SLOT oznaczoną numerem 2.

Vaughn przekazał rozkaz, zerkając z ukosa na Pacina. Pacino zastanawiał się, jak postąpi Vaughn, gdy otrzyma od niego następny rozkaz.

USS..Phoenix”

- Platforma, tu sonar - odezwał się Sanderson. - Mam ślady czterech torped na antenie sferycznej na kierunkach północ do północ-północny wschód. Przynajmniej tamte cztery przeszły obok nas.

- Są jakieś zmiany w ich prędkości, starszy? - Kane zastanawiał się, czy torpedy nie zwolnią i nie zawrócą, jeśli nie znajdą celu.

- Nie, sir. Nadal idą z maksymalną szybkością na północ. Mam następną, która nas mija. I jeszcze jedną.

Wielką twarz McDonne'a rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Ładnie pan to rozegrał, sir - powiedział z uznaniem. - Dobra robota.

- Podziękuj Houserowi - odrzekł Kane. - Ja też powinienem. Dzięki, Vic.

- Platforma, tu sonar. Przeszły jeszcze trzy. Idą na północ.

Kane omal się nie uśmiechnął. Nareszcie spokój. Zaczął studiować mapę i planować trasę na południe. Do Norfolk. Do domu.

OPSM..Hegira”

- Sterowanie okrętem, wykonać jeszcze jeden zwrot o trzysta sześćdziesiąt stopni - rozkazał Tawkidi.

Pokład znów przechylił się i zadrżał, gdy okręt z dużą prędkością zatoczył szybki krąg. Kiedy ustabilizował się na poprzednim kursie północnym, oficerowie wpatrzyli się w ekrany Drugiego Kapitana.

- Komodorze, torpedy się wyłączają! - zameldował Tawkidi. - Jak dotąd, pięć. Płyń już tylko siedem i według analiz zostają za rufą. Udało się. Za dziesięć czy dwadzieścia minut będziemy mogli od nowa rozpocząć odliczanie do wystrzelenia pocisku.

Sharef nie uśmiechnął się. Patrzył na panel, który obsługiwał podporucznik Rouni. Młodszy oficer analizował uzyskane dane. Spochmurniał, ale nie odezwał się.

- O co chodzi, poruczniku?

- Było coś na południowym zachodzie, kiedy robiliśmy zwrot. Nie jestem pewien, ale analiza jest bardzo dziwna.

- To znaczy?

- Przysięgłbym, że to odgłos maszynowni, konkretnie parowej instalacji napędowej, ale zmienił się, kiedy go wyłączyliśmy. Powinniśmy go mieć przez jedną trzecią manewru, ale dokładnie tutaj całkowicie ucichł, opadł do poziomu hałasu otoczenia, zniknął. Nie rozumiem tego.

Tawkidi spojrział na dane i zmarszczył brwi.

- Komodorze, to nie jest kierunek, z którego wystrzelono te dwanaście torped.

- Może jest drugi okręt podwodny - odezwał się główny mechanik Quzwini od konsoli obsługi reaktora, wciąż jeszcze blady po wysiłku przy instalowaniu głowicy bojowej Scorpion. - Może to okręt obserwacyjny, który nas wytropił i podał naszą pozycję okrętowi atakującemu. Na tym kierunku byłby na kursie torped, jak my. I mógł zrobić to, co pan zalecał, komandorze Tawkidi: wyłączył maszyny i ukrył się pod lodem.

- To bez sensu - wtrącił się Sharef. - Drugi okręt sam by do nas strzelał. Amerykanie nie znaleźliby się na linii własnego ognia. Nie wtedy, kiedy mogliby tego uniknąć. I nie zaryzykowaliby wystrzelenia torped, wiedząc, że na drodze jest ich własny okręt.

- Może to brytyjski okręt podwodny albo kanadyjski diesel. Mają opinię bardzo cichych - powiedział Quzwini. -1 są znane z tego, że zapuszczają się daleko w głąb strefy lodowej. Mógł wyłączyć diesla i płynąć na akumulatorze.

Tawkidi podjął decyzję.

- Komodorze, musimy wystrzelić Nagasaki w tamtym kierunku. Na wszelki wypadek. Nic nie powinno zagrażać realizacji naszej misji, przeszkodzić nam w odpaleniu pocisku. Możemy zaprogramować torpedę na małą szybkość wzdłuż linii kierunkowej i dostroić tak, że usłyszysz najbliższy dźwięk wywołany przez człowieka. Jeśli jest drugi okręt podwodny, Nagasaki zneutralizuje go. Jeśli było to odbicie widmowe lub hałas lodu, nic nie tracimy.

Sharef uznał, że to, co powiedział Tawkidi, ma w pełni sens.

- W porządku, komandorze. Wystrzelcie Nagasaki w kierunku tego dźwięku widmowego. Zobaczymy, co się okaże.

Cztery minuty później torpeda Nagasaki opuściła wyrzutnię. Płynęła wolno z szybkością trzynastu węzłów, jej sonar nasłuchiwał z natężeniem odgłosów maszyn lub kontaktu metalu z metalem. Zanim wykonała zwrot na południowy zachód, następane cztery amerykańskie torpedy, nie dotarwszy do celu, wyłączyły się z braku paliwa.

34

Sobota, 4 stycznia

Morze Labradorskie na północny zachód od Godthaab na Grenlandii OPSM „Hegira”

Po ostatnim obrocie okrętu o trzysta sześćdziesiąt stopni okazało się, że wszystkie amerykańskie torpedy wyłączyły się z braku paliwa i przestały być groźne.

- Wszystkie amerykańskie torpedy odpadły z pościgu, komodorze. Sharef nie mógł już dłużej zwlekać.

- Wykonać zwrot na południe, zwolnić do szybkości wystrzelenia pocisku i podejść wyżej, komandorze - rozkazał.

- Tak jest, komodorze. Sterowanie okrętem, kurs południowy, szybkość cztery kilometry, głębokość sto metrów.

Tawkidi wdrapał się na fotel na stanowisku obserwacyjnym i wysunął peryskop. Moduł optyczny wyłonił się z szybu. Tawkidi przyłożył oczy do instrumentu. Patrzył przez chwilę, nic nie zobaczył, sięgnął do góry i włączył reflektory zamontowane na szczycie kiosku. W ich świetle natychmiast pojawił się spód wielkiej kry. Tawkidi poruszył ręką na prawym uchwycie i fotel zaczął powoli zataczać krąg. Komandor od czasu do czasu uderzał w

klawisz i wysyłał niebieski promień laserowy w kierunku kry znajdującej się nad okrętem, mierząc grubość i gęstość lodu. W wizjerze peryskopu pojawiły się dane.

- Nad nami lód, komodorze. Nie możemy stąd wystrzelić pocisku, ale znajdujemy się chyba blisko krawędzi tej góry lodowej. Jest jakiś kilometr na południe od nas.

- Skieruj okręt na południe z wysuniętym peryskopem, Tawkidi. W ten sposób szybciej znajdziesz otwarte wody. Proponuję prędkość piętnastu kilometrów, żeby przyspieszyć podróż.

- Tak jest. - Komandor wydał rozkazy; moduł peryskopu tłumił jego głos.

Sharef czekał. Co pewien czas zerkał na wyświetlacze sensorów Drugiego Kapitana i żądał od Rouniego meldunków o statusie trzech wystrzelonych torped Nagasaki. Wszystkie wciąż szły w tranzycie.

- Nad nami otwarte morze - oznajmił Tawkidi. - Sterowanie okrętem, minimalna naprzd, cztery kilometry. Obsługa uzbrojenia, zalać wyrzutnię numer 1 i włączyć zasilanie pocisku Hiroshima. Uruchomić autodiagnostykę Scorpiona i meldować.

- Bardzo dobrze, komandorze - pochwalił generał Sihoud od przednich drzwi sterowni. - Jestem w pełni zadowolony z przebiegu misji, komodorze Sharef. Pan i pańska załoga dokonujecie wielkich rzeczy. Allah jest z wami.

Sharef skinął głową, choć miał ochotę powiedzieć Sihoudowi, żeby zachował swoje przemowy dla siebie. Chciał po prostu mieć już to wszystko za sobą.

- Komodorze - zameldował Tawkidi. - Trzecia w kolejności wystrzelenia Nagasaki przyspiesza. Chyba słyszy cel.

Sihoud był wyraźnie zadowolony. Nawet pułkownik Ahmed z satysfakcją skinął głową. Wyraz twarzy Sharefa nie zmienił się. Znów ktoś zginie, ale może przynajmniej zagrożenie zostanie wkrótce zlikwidowane.

USS..Phoenix”

Dziesięć minut wcześniej z manewrowej przyszedł meldunek, że akumulator siada. Powodem było pełne zasilanie sonaru, który ze swoimi dodatkowymi pompami wody morskiej do chłodzenia jego potężnych komputerów zużywał mnóstwo energii. Znaleźli się w krytycznej sytuacji. Do samego rozruchu reaktora potrzebne było sto amperogodzin, a zostało tylko sto pięć. Kane bardzo niechętnie wydał rozkaz uruchomienia reaktora.

Rozruch trwał już dziesiątąminutę. Zasilenie sieci z generatorów turbinowych wymagało następnych dziesięciu minut. Kane spacerował po sterowni. Marzył o powrocie do domu, ciepłym posiłku, gorącym prysznicu i całonocnym śnie.

- Platforma, tu sonar. Wszystkie Mark 50 wyłączyły się. Destiny musiał im uciec.

- Żadnego śladu okrętu, który je wystrzelił? - zapytał Kane.

Nie było odpowiedzi. Kane powtórzył wywołanie. Wciąż cisza. Zrobił już dwa kroki z platformy w kierunku drzwi do sonaru, gdy na linii rozległ się głos Sandersona:

- Platforma, tu sonar. Torpeda w wodzie na kierunku zero cztery pięć. Wygląda mi na Nagasaki i właśnie przyspiesza.

Kane wbiegł z powrotem na platformę i chwycił mikrofon linii siódmej, zwisający z sufitu.

- Inżynierze, tu kapitan. Pospieszcie się z reaktorem i silnikami głównymi. Mamy torpedę w wodzie.

- Przechodzimy właśnie do rozgrzewania awaryjnego, kapitanie. Ale nie mogę obiecać mocy wcześniej niż za pięć minut - odpowiedział Schramford.

Gdyby przyznawano medal za najdłuższy czas spędzony przed dziobami wrogich torped, pomyślał Kane, „Phoenix” dostałby go bez problemu. Spojrzał na twarz McDonne’a. Po raz pierwszy od początku tego rejsu dostrzegł na niej wyraźny strach. Zastanawiał się, jak wygląda jego własna dzielna mina. Ale wkrótce to nie będzie miało znaczenia, pomyślał. Torpeda Nagasaki dopadnie nas, nie ma przed nią ucieczki. Próba ponownego rozruchu reaktora, żeby móc zrobić unik, była po prostu czymś, co wypełniało załogę czas oczekiwaniu na nieuchronny koniec. No, cóż... To był dobry rejs, prawie się udało...

- Platforma, tu sonar. Nadpływająca torpeda jest już blisko, cholernie blisko. Jeśli nie zrobimy kilku zwrotów, nie wyjdziemy z tego.

- Inżynierze, jaki status?

- Para dopiero poszła do zbiorników. Upłyną co najmniej dwie minuty, zanim skończymy rozgrzewanie awaryjne generatorów turbinowych. I następne dwie, zanim zadziałają silniki główne.

- Starajcie się, inżynierze.

Głośnik sufitowy zatrzeszczał dwa razy. Przynajmniej główny mechanik i ludzie na rufie sążajęci, pomyślał Kane. Mająco robić. Ci w sterowni mogą tylko czekać.

Kane wsłuchiwał się w ciszę, która nagle zapadła w pomieszczeniu. Przez kadłub dochodził odgłos wirnika napędowego nadpływającej Nagasaki. Jej wysoki dźwięk podobny do jęku zmienił się, teraz przypominał wycie. Pulsował sonar podlodowy torpedy. Wydawało się obecnie, że najgłośniejszy hałas dobiega spod pokładu, jakby Nagasaki atakowała z dołu.

Oczekiwanie przedłużało się w nieskończoność. Kane niemal odetchnął z ulgą, kiedy nastąpiła eksplozja.

OPSM „Hegira”

Przez kadłub dobiegł odległy grzmot z nieokreślonego kierunku.

- Co to było? - zapytał Sharef. Stał za konsolami Drugiego Kapitana i opierał się mocno na swojej prowizoiycznej lasce. Zmęczenie przygniatało go jak stukilowy ciężar.

- Eksplozja torpedy Nagasaki na przypuszczalnym kierunku drugiego intruza, komodorze. I, moment... Odbieram odgłosy zalewania i jeszcze coś. Może walą się przegrody przedziałów. Bardzo głośny szum. - Rouni odwrócił się do Tawkidiego: - Komandorze, powinien pan tego posłuchać.

Tawkidi słuchał przez chwilę, po czym pokręcił głową i podał słuchawki Sharefowi. Odgłosy brzmiały przerażająco wysokie wycie i głęboki, wstrząsający ryk mieszały się ze sobą, narastały i opadały. Agonia monsturalnej bestii. Sharef miał ochotę zerwać słuchawki, nie chciał nigdy więcej usłyszeć tych potwornych dźwięków. Wiedział, że będą go prześladowały do końca życia. Wreszcie odgłosy przycichły, zgłuszyła je woda i umilkły. Sharef oddał słuchawki Tawkidiemu.

- Nie jestem pewien, może to był wstrząs termiczny, rozerwanie rozgrzanej instalacji ich reaktora i wyciek do zimnej wody morskiej - oświadczył. Co mógł powiedzieć o odgłosach konającego okrętu? Jego wcześniejsza wściekłość na Amerykanów za zatopienie „Sahanda” i zaatakowanie torpedami „Hegiry” minęła. Uświadomił sobie, że próbowali zniszczyć jego okręt rozpaczliwie, na oślep. Teraz „Hegira” zdobyła przewagę i wystrzeli w ich stolicę śmiertcioną broń. Ale nie cieszył się ze zwycięstwa. Nie chciał tego robić, nie życzył sobie, by jego nazwisko wiązano z ludobójstwem. Być może generał ma rację, że wystrzelenie Scorpiona powstrzyma Zachód przed agresją, pozwoli muzułmanom żyć w ich nowym zjednoczonym państwie, zyskać uznanie i szacunek reszty świata. Choć trudno uwierzyć, że zdobędą owo uznanie i szacunek po dokonaniu ludobójstwa na taką skalę. Ale sami Amerykanie pod koniec II wojny światowej zrównali z ziemią Hiroszimę i Nagasaki. Może jest w tym jakaś dziwna sprawiedliwość, że broń masowej zagłady, która teraz zostanie użyta przeciwko nim i spowoduje straszliwe skutki, nosi nazwę Hiroshima.

Sharef zdał sobie nagle sprawę, że myślami jest gdzie indziej i spróbował skoncentrować się z powrotem na aktualnej sytuacji taktycznej.

- Jaki jest status dwóch pierwszych wystrzelonych Nagasaki? - zapytał.

- Wciąż idą do celu, komodorze.

- Tym samym kursem? Tamten nadal ucieka na południe? Tawkidi zmarszczył brwi.

- Dziwne, ale nie. Torpedy są teraz na kierunku południowo-zachodnim.

- Być może Amerykanin stracił zdolność nawigacyjną. Albo rozum - uśmiechnął się Rouni. - Jeśli popłynie na zachód, dotrze do płycizn nad grzbietem Ungava. Jeżeli nie zatopią

go torpedy, to rozbije się o podwodne skały. Moment... - Przycisnął mocniej słuchawki do uszu. - Torpedy chyba przyspieszają do szybkości bojowej. W ciągu następnych pięciu minut powinny eksplodować.

Sharef skinął głową. Dwa zagrożenia zostały wyeliminowane. Nadszedł czas, by wystrzelić pocisk.

- Status Scorpiona?

Spojrzał na stanowisko obsługi uzbrojenia, gdzie przy konsoli siedział podporucznik Omar al-Maari. Kiedyś podlegał oficerowi uzbrojenia Aboudowi Mamunowi, który zginął w wyniku eksplozji pierwszej torpedy.

- Autodiagnostyka zadowolająca. Komputer głowicy bojowej sprawny w stu procentach. Współrzędne celu i przebieg trasy potwierdzone. Komputer nawigacyjny pocisku Hiroshima funkcjonuje bez zarzutu. Ciśnienie w instalacji paliwowej nominalne, smarowanie i temperatura łożysk turbiny w normie. Działanie sterów w porządku, obwód zapłonu stałego paliwa raketowego sprawdzony. Wyrzutnia jeden sprężona i otwarta na morze, pokrywa dziobowa otwarta, generator gazowy w gotowości. Zalecam ponowne rozpoczęcie odliczania.

- Rozpocząć automatyczne sześćdziesięciosekundowe odliczanie.

- Czas wystrzelenia minus pięćdziesiąt dziewięć sekund.

USS..Seawolf?

- Platforma, tu sonar. Ostatnie z naszych torped wyłączyły się. Eksplozji z kierunku zero jeden osiem towarzyszyły odgłosy rozrywania kadłuba. Prawdopodobnie straciliśmy „Phoenixa”. A nadpływające torpedy przyspieszają, kapitanie - zameldował przez telefon Holt. Same złe wiadomości, przekazane w maksymalnie zwartej formie. Nie było czasu rozwodzić się na szczegółami. Nagasaki zbliżały się.

Pacino uświadomił sobie, że na razie atak jest kompletnym niepowodzeniem. Głębokościomierz wskazywał pięćset osiemdziesiąt metrów pod kilem. Morze nad podwodnym grzbietem stawało się coraz płytsze. Ale nie dość płytkie, pomyślał Pacino. Jeszcze nie. Choć to musi wystarczyć. Może do czasu zakończenia przygotowań do realizacji planu ratunkowego będzie miało głębokość mniejszą niż testowa. Liczył na to.

- XO, to mój ostatni pomysł - powiedział Pacino; wiedział, że teraz Vaughn będzie musiał go zaakceptować. Cóż innego mogli zrobić, mając na ogonie dwie Nagasaki?

- Chętnie posłucham, kapitanie - odrzekł Vaughn.

Przez wymizerowane twarze mężczyzn zebranych w sterowni przemknął cień nadziei, potem powoli zniknął.

- Wystrzelimy z baterii Vortexów. Pewnie uda nam się odpalić tylko jeden pocisk, który rozerwie wyrzutnię i wywali dziurę w kadłubie, ale skoro i tak za pięć minut nas to czeka... Przynajmniej pocałujemy Sihouda i Destiny na pożegnanie. Nawet jeśli nie zdążymy potwierdzić trafienia, zanim dopadną nas Nagasaki.

Vaughn natychmiast zrozumiał, ale Pacino odniósł wrażenie, że XO od początku spodziewał się tego po swoim kapitanie.

- Załatwione, sir. Ewakuuję wachtę poza sterownię do maszynowni.

- Uzbrojenie, wybrać na panelu obsługowym baterię Vortexów, włączyć i sprężyć wszystkie wyrzutnie, podgrzać pociski, przygotować całość do odpalenia. Court pomanipulował przy wyświetlaczach na panelu obsługi uzbrojenia, wybrał baterię Vortexów, zalał wyrzutnie i otworzył wrota zewnętrzne. Wyrzutnie miały taką konstrukcję, że można było otworzyć jednocześnie wszystkie trzy i zalać je szybko przez rury o dużej średnicy. Court wybrał na panelu komputery głowic bojowych Vortexów i wprowadził do nich głębokość startową. Doszedł do kierunku celu, zatrzymał się i rozejrzał dookoła.

- Mamy kierunek do celu?

- Wybierz Cel Jeden z wyliczonego kierunku kierowania ogniem - odrzekł Pacino. Wiedział, że odchylenie kilku stopni nie zrobi różnicy.

- Tak jest, sir. Pociski Vortex jeden, dwa i trzy rozgrzane i gotowe do wystrzelenia. Odstępy w odpalaniu, sir?

Pacino zastanowił się. Vortexy nie mogły być wystrzelone jednocześnie, bo zniszczyłyby się wzajemnie - zapłon stałego paliwa raketowego w jednym pocisku rozerwałby sąsiednie. Przy zbyt długich odstępach w odpalaniu bateria nie dotrwałaby do drugiego wystrzału, bo zmiotłaby ją eksplozja pierwszej wyrzutni.

- Wprowadź pięćset milisekund - rozkazał Pacino.

Pomyślał, że teraz bateria zdąży wystrzelić drugi pocisk, a równocześnie pierwszy będzie miał czas na opuszczenie wyrzutni i okrętu. Na trzeci strzał raczej nie liczył.

- Pociski Vortex gotowe, sir.

- XO, ewakuować całą wachtę do przedziału rufowego. Trzymać oba włazy otwarte. Zaraz tam przyjdę.

- Tak jest, sir - odpowiedział Vaughn, nie patrząc na Pacina. - Słyszeliście, ludzie. Wszyscy na rufę. Już!

Członkowie wachty rzucili słuchawki, klipbordy, długopisy. Wielu wpadło w panikę. Wbiegli do korytarza prowadzącego wzdłuż osi okrętu na rufę. Holt i jego sonarzyści

dołączyli do nich, wybiegłszy przednimi drzwiami kabiny sonarowej. Vaughn czekał, chciał wyjść ostami.

Kiedy załoga opuściła sterownię, przez kadłub dobiegł jęk wirników torped Nagasaki. Brzmiał upiornie.

- Sir? - Vaughn zatrzymał się w tylnych drzwiach pomieszczenia. - Niech pan za długo nie zwleka, bo będę musiał zamknąć włazy.

- Zaraz będę - odparł Pacino z telefonem przy uchu.

- Główny mechanik - odezwał się głos Hobarta.

- Inżynierze, tu kapitan. Załaduj i wystrzel boję SLOT numer 3.

- Tak jest, sir. Już ładuję.

Pacino wyłączył się i po raz ostatni spojrzął na sterownię. Okręt pochylał się na dziób, nikt już nie pilnował panela sterowniczego. Pacino pociągnął do góry kabłąk sterowniczy i zerknął na szybkościomierz. Czterdzieści pięć węzłów, głębokość dwieście czterdzieści metrów. Podniósł wzrok na panel obsługi balastu i popatrzył na dźwignie opróżniania awaryjnego. Cofnął się i znów sięgnął po telefon.

- Główny mechanik.

- Tu kapitan. Przejmij u siebie rufowe stery głębokości. Trzymaj okręt w poziomie bez względu na wszystko.

- Tak jest, sir. Boja SLOT wystrzelona.

Pacino wyłączył się. Miał mało czasu. Słyszał już sygnały sonarów zbliżających się torped. Spojrzął w dół na panel obsługi uzbrojenia, wybrał klawisz funkcyjny automatycznej sekwencji odpalania i włączył system. Sięgnął w górę do spustu, obrócił go do pozycji gotowości i przyglądał się przez moment, jak na panelu zaczyna pulsować napis „W pogotowiu”. Potem przestawił spust do pozycji ogniowej.

Nic. Obwód zostałby zamknięty po obróceniu włącznika, który Pacino mozolnie zainstalował przy włazie do przedziału reaktorowego. Włącznik przerywał obwód odpalający. Przy odrobinie szczęścia system powinien nadal działać. Pacino podbiegł do panela obsługi balastu przy lewej burcie, sięgnął do przedniej dźwigni opróżniania awaryjnego i przesunął ją do góry. Przedział dziobowy zostanie wkrótce zalany, pomyślał. Może nadmuch do dziobowego zbiornika balastowego zrekompensuje to, powstrzyma okręt przed zanurkowaniem do dna.

Huk sprężonego powietrza zagłuszył sygnały sonarów torped Nagasaki. Pacino popędził do tylnych drzwi sterowni. Wypadł na korytarz, minął kajutę swoją i Vaughna i

dotarł do schodków. Ześliznął się po gładkich metalowych poręczach na sam dół i wylądował przy włączniku do przedziału reaktorowego.

Włożył jedną nogę do środka włazu i sięgnął do obrotowego włącznika, który niedawno zainstalował. Trzymając na nim prawą dłoń, schował się do włazu, na zewnątrz pozostała tylko lewa ręka. Pokład odchyłał się do góry - Hobart zmagął się z awaryjnym opróżnianiem.

Pacino przesunął włącznik, serce waliło mu jak młotem.

Wciągnął ramię do wewnątrz i zamknął właz. Zamek zaskoczył. Gdy Pacino zaczął obracać koło ryglujące, usłyszał huk eksplozji. Przez hermetyczną szybkę o średnicy dziesięciu centymetrów, wmontowaną w grubą metalową klapę, zobaczył oślepiający blask. Nie dokończył ryglowania włazu, odwrócił się i pobiegł w kierunku rufy do maszynowni. Eksplozja tak go ogłuszyła, że nie słyszał nawet własnego szybkiego oddechu. Dostrzegł Vaughna po drugiej stronie włazu, dał nura do otworu i uderzył się o pierścień uszczelniający. Mężczyźni wciągnęli go do środka. Wyczułnie usłyszał - że zamykają i ryglują klapę. Ten sam blask widać było teraz przez szybkę włazu maszynowni.

Pokład opadł skośnie w dół i okręt zatrzęsł się gwałtownie. Zgasły światła.

„Seawolf” pochylił się jeszcze bardziej na dziób, do kąta dziesięciu stopni, kiedy uderzyła i eksplodowała pierwsza torpeda Nagasaki.

Torpeda Nagasaki znajdująca się pod kadłubem „Phoenixa” w odległości stu metrów od niego spojrzała w górę, rozpoznała cel i wzbiła się ku niemu, przyspieszając do szybkości bojowej. Była metr od kila, gdy czujnik zbliżeniowy przeszedł do pełnego wylądowania elektrycznego. Detonator wywołał eksplozję w ciągu kilku milisekund potrzebnych na dotarcie torpedy do celu i wybuch dosięgnął cylindrycznego kadłuba moment wcześniej, niż zrobiłby to stożek dziobowy Nagasaki, gdyby okazała się niewybuchem.

Siła eksplozji wyrwała w poszyciu okrętu pięciometrową dziurę i wygięła płyty kadłuba oraz wręgi w promieniu pięciu metrów wokół otworu. Wybuch rozerwał rury wewnątrz przedziału, zamienił kilka pomp w częściowo stopione kawałki złomu i rozdarł zbiornik ciśnieniowy reaktora jądrowego ze stali o grubości dziesięciu centymetrów. Tunel przedziału reaktorowego rozleciał się, przednia i tylna przegroda wygięły się, ale wytrzymały napór. Ciśnienie towarzyszące eksplozji połączyło się z energią pary o temperaturze dwustu siedemdziesięciu jeden stopni, która wydostała się z instalacji reaktora. Ale po kilku sekundach kula ognia zgasła, fala uderzeniowa rozeszła się po okręcie, morzu i lodzie, straciła impet i zamarła. Sprężone gazy uszły dziurą w dnie kadłuba, wypadły tędy również metalowe

szczątki i ciśnienie w przedziale zrównało się z morskim. Do środka wdarła się zimna woda. Gdy zmieszała się z gejzerami pary, po oceanie rozeszły się odgłosy przypominające jęki.

Wreszcie woda morska pozbawiła instalację reaktorową energii i ponure dzieło zniszczenia dobiegło końca. Przedział reaktorowy był zalany, zdewastowane i wyrwane urządzenia wypłynęły na zewnątrz przez dziurę w kilu.

Śródokręcie przestało pełnić jakiegokolwiek funkcje. Część dziobowa i rufowa przetrwały, z wyjątkiem wewnętrznych połączeń między nimi, biegnących przez przedział reaktorowy. Ludzie na dziobie zostali odcięci od tych na rufie. Większość straciła przytomność.

Kapitan Kane podniósł się chwiejnie z pokładu. Otaczała go ciemność. Włączył latarnię bojową i dostał dreszczy na widok tego, co zobaczył - nie tylko z zimna.

Sobota, 4 stycznia

Morze Labradorskie na północny zachód od Godthaab na Grenlandii OPSM „Hegira”

- Odliczanie trwa, komodorze - zameldował al-Maari. - Czas wystrzelenia minus dwadzieścia sekund. Pocisk na zasilaniu wewnętrznym, napięcie elektryczne w układzie zapłonowym silnika raketowego w generatorze gazowym rośnie. Dwanaście woltów, zamknięcie zestyków przekaźnika... już. Zapłon w generatorze gazowym za dwie sekundy...

Sharef nasłuchiwał odgłosu zapłonu stałego paliwa raketowego w generatorze gazowym wyrzutni. W rzeczywistości to wcale nie rakiet, lecz zapalony ładunek paliwa stałego wysyłał gazy do dużego zbiornika wody, połączonego z podstawą wyrzutni. Kiedy gorące gazy wylotowe trafiały do zbiornika, woda zamieniała się w parę, która wytwarzała ciśnienie w wyrzutni, powodując wystrzelenie pocisku. Hiroshima płynęła ku powierzchni w pęcherzu pary z generatora gazowego i odpalała silnik raketowy swojego pierwszego członu dopiero po wynurzeniu się z wody.

Po sześciu sekundach miała wystarczającą szybkość, by uruchomić silnik odrzutowy, który wynosił ją na wysokość dziesięciu kilometrów. Wtedy rolę napędu przejmował silnik strumieniowy, nadawał pociskowi szybkość ponaddźwiękową i wysokość osiemnastu kilometrów. Lot do Waszyngtonu byłby zakończony, zanim wracająca do domu „Hegira” zdążyłaby się oddalić o czterdzieści kilometrów na północ.

- Czas wystrzelenia minus dziesięć sekund, mamy zapłon w generatorze gazowym. Pięć sekund, komodorze.

Sihoud odwrócił się do Ahmeda. Wyraz tryumfu pojawił się na twarzy pułkownika.

Sharef spojrział na płyty pokładu.

Kiedy kapitan Pacino przestawił swój włącznik obrotowy, prąd elektryczny popłynął zainstalowanymi przez niego przewodami do przekaźnika R14T w przedniej części torpedowni. Energia elektryczna dotarła do cewki elektromagnesu, który przyciągnął zestyk przekaźnika, zamykając obwód układu zapłonowego baterii Vortexów. Wyrzutnia numer 1, umieszczona najwyżej, była pierwsza w kolejności odpalania. Układ elektryczny wysłał iskrę do małego pojemnika z materiałem łatwopalnym i spowodował jego zapłon. W ciągu milisekund płomień dotarł do stałego paliwa raketowego w pocisku Vortex, paliwo zapaliło się gwałtownie, ogień rozprzestrzenił się wzdłuż całej średnicy tylnego końca pocisku i silnik raketowy uzyskał pełny ciąg. Vortex zaczął startować z wyrzutni, moc silnika pokonywała ciężar pocisku i bezwład wody znajdującej się między jego stożkiem dziobowym a poszyciem okrętu. Vortex ruszył wolno, potem nabrał szybkości, wylot w jego tylnej części otworzył się. Gorące gazy zgromadziły się w ciasnej przestrzeni za rakieta, ciśnienie w wyrzutni wzrosło tak, jak u podstawy luty działa po zapaleniu się prochu strzelniczego. Pocisk sunął naprzód, ale po dwustu milisekundach ciśnienie w wyrzutni przekroczyło jej wytrzymałość.

Wyrzutnia pękła i torpedownia stanęła w ogniu. Wysoka temperatura stopiła płyty pokładu biegnące wyżej, płomienie dosięgnęły czterech Mark 50 na górnym poziomie stojaka. Torpedy zapaliły się i eksplodowały, ciśnienie w pomieszczeniu rosło od pożaru, wybuchów Mark 50 i gazów wylotowych Vortexa. Metal pierwszej wyrzutni nie wytrzymał parcia, rozdarł się i zgniół wyrzutnię znajdującą się niżej. Zanim górny pocisk opuścił okręt i całkowicie zanurzył się w wodach Morza Labradorskiego, dolne wyrzutnie zapadły się i wyrzuciły z siebie paliwo raketowe dwóch Vortexów, paliwo zapłonęło i rozerwało zgniecione wyrzutnie. Sześćset milisekund po wystrzeleniu pierwszy pocisk wydostał się z „Seawolfa” i zostawił go za sobą. Dwa inne Vortexy eksplodowały. Wybuch ich głowic bojowych i stałego paliwa raketowego spotęgował zniszczenia w sterowni.

Po opuszczeniu okrętu Vortex przyspieszył. Dysza wylotowa jego rakiety ustawiała się według poleceń komputera pokładowego i naprowadzała pocisk na zaprogramowany kierunek do celu. Zanim oddalił się od wyrzutni na długość okrętu, dysza była już ustawiona pod właściwym kątem i pocisk skręcał. W tym samym momencie kadłub „Seawolfa” rozpadł się, Torpedownia na dolnym poziomie zniknęła, otaczające ją poszycie rozerwało się i pod lodem przemknął błysk eksplozji. Dwieście milisekund później blask zgasł. Vortex płynął naprzód i był teraz o następną jedną trzecią długości okrętu dalej od punktu wystrzelenia. Potem minął zbliżającą się torpedę. Była mniejsza, lżejsza i dużo wolniejsza od niego.

Zanim Vortex znalazł się na stałym kursie podejścia do celu, oddalił się od okrętu o ponad tysiąc trzysta metrów. Za nim, zagłuszony łykiem gazów wylotowych z jego rakiety, rozległ się odgłos eksplozji pierwszej Nagasaki. Torpeda trafiła „Seawolfa” tuż pod dziobową kopułą sonarową. Przedział dziobowy, już przedziurawiony i zalewany z tyłu w torpedowni, rozerwał się od spodu do wewnątrz. Wszystkie trzy pokłady wystrzeliły do góry, kadłub zapadł się, osłona sferycznej anteny sonarowej rozleciała się. Powietrze, wypełniające zbiorniki balastowe po uruchomieniu przez Pacina nadmuchu awaryjnego, wydostało się do morza.

Pocisk wciąż przyspieszał, aż osiągnął swoją maksymalną prędkość trzystu węzłów, niespotykaną pod wodą poza programem testowym „Vortex”. Minął drugą Nagasaki, pozostawił ją za sobą i pędził naprzód. Kiedy toipeda eksplodowała, przebył już jedną trzecią drogi do celu.

Druga Nagasaki trafiła w śródkręcie „Seawolfa” - w przegrodę oddzielającą przedział dziobowy od reaktorowego. Eksplozja w torpedowni zmiotła wcześniej połowę przegrody. Wybuch Nagasaki powiększył uszkodzenia, wyrwał z mocowań zbiornik reaktora i cisnął go na zbiornik ciśnieniowy oraz rozerwał instalację parową. Poszycie kadłuba było już przedziurawione na dnie po eksplozji wyrzutni Vortexow, detonacja drugiej torpedy dokończyła dzieła zniszczenia. Kadłub nie wytrzymał, rozdarł się na górze i okręt rozpadł się na pół. Część dziobowa poważnie ucierpiała, część rufowa - z mocno naruszoną przegrodą, która kiedyś była tylną ścianą przedziału reaktorowego - pozostała niemal nietknięta, ale całkowicie straciła stabilność i wyporność. Wirując i koziołkując, opadała w głąb morza.

Uderzyła w skalisty grzbiet Ungava z zabójczą szybkością. Zderzenie z dnem zmiażdżyło kadłub. Ster kierunkowy i rufowe stery głębokości oderwały się i rozsypały wśród skał. Urządzenia wewnątrz kadłuba zadygotały w swoich mocowaniach, lżejszy sprzęt - pompy i rury - uwolnił się z uchwytów i zagrzechotał o przegrody. Połówka okrętu spoczęła na dnie, pochylona w dół pod kątem piętnastu stopni i przechylona na bok o niemal dwadzieścia stopni. W środku nie było światła, ale powietrze na razie pozostało. Wnętrze kadłuba zaczęła zalewać woda morska, napływająca rurami instalacji parowej, które biegły z przedziału reaktorowego i zostały urwane na granicy przedniej przegrody. Lodowata woda wypełniała turbiny i kondensatory, powodując pęknięcia stali węglowej, rozgrzanej jeszcze przed chwilą do temperatury dwustu sześćdziesięciu stopni. Z układu chłodzenia na dolnym pokładzie zaczął się wydobywać sprężony gaz chłodzący R-111. Był toksyczny, ale niemal bezwonny. Na górnym pokładzie leżały ciała ludzi ewakuowanych z przedziału dziobowego. Ci, którzy nie stracili przytomności, zaczęli się dusić w skażonej atmosferze. Kadłub

spoczywał trzysta osiemdziesiąt metrów pod powierzchnią morza, powyżej głębokości krytycznej, ale wystarczająco głęboko, by los załogi uwięzionej wewnątrz można było uznać za przesądzoney.

- Cztery, trzy, dwa, jeden, pełny ciąg, opuszczenie wyrzutni! Pocisk poszedł! - Al-Maari wydawał się całkowicie pochłonięty odliczaniem i wystrzeleniem Hiroshimy.

Sharef patrzył na uradowane twarze wokół siebie i zastanawiał się, czy tylko on pamięta, że zginie milion, może dwa miliony ludzi. Otaczający go mężczyźni, nawet Sihoud - a raczej zwłaszcza on - przypominali mu w tym momencie dzieci zajęte swoimi zabawami i kłótniami, obojętne na ważniejsze sprawy. Dla nich to wielka gra, pomyślał. Za kilka sekund system sonarowy poda status pocisku - informację, czy pierwszy stopień rakiety odpalił i wyniósł Hiroshime na trajektorię...

Na zewnątrz kadłuba rozległ się nagle szum. W pierwszej chwili Sharef pomyślał, że to odgłos zapłonu silnika raketowego Hiroshimy. Ale hałas dochodził od strony lewej burty, jakby tuż z za sterowni. Nasilał się, był coraz głośniejszy.

- Co to, do... - zdążył tylko powiedzieć Tawkidi.

Podróż Vortexa trwała wyjątkowo krótko. Pocisk pędził z szybkością, jakiej nie osiągnęło dotąd pod wodą nic i nigdy. Jego laserowy system rozpoznawania celu uaktywnił się i szukał pod lodem przed sobą oznak obecności kadłuba zbudowanego przez człowieka. Znalazł cel w samą porę, by skorygować ustawienie dyszy wylotowej rakiety i skierować stożek dziobowy Vortexa w środkowy punkt kadłuba.

Okręt urósł od kropki do olbrzyma w ciągu jednej dziesiątej sekundy. Stożek dziobowy pocisku uderzył w śródkręcie z szybkością trzystu węzłów, co było sygnałem do zdetonowania ładunku wybuchowego PlasticPac. Supertajny materiał wybuchowy miał gęstość molekularną nieznaną poza laboratorium, w którym powstał. Był kompaktową wersją konwencjonalnego ładunku, zajmującą maleńką przestrzeń. Wielki pocisk Vortex dźwigał kilka ton tego materiału. Siła eksplozji była porównywalna z energią wybuchu małej głowicy nuklearnej.

Detonacja zamieniła głowicę bojową Vortexa w plazmę o ultrawysokim ciśnieniu i ciepłe. Na moment kula ognia osiągnęła niemal temperaturę powierzchni Słońca. Metalowe i plastikowe światłowody w kadłubie wyparowały w ciągu kilku pierwszych milisekund eksplozji. Dziób oderwał się od rufy, z kadłuba zostały drzazgi, na dno morza opadł deszcz odłamków. Ocalały tylko dziobowe zbiorniki balastowe i stery rufowe w kształcie litery X. Reszta została starta na proch i na wpół stopiona.

Ludzie na pokładzie zginęli tak szybko, że ich oczy nie zdążyły przekazać białego blasku eksplozji nerwami wzrokowymi do ich mózgów, kiedy impulsy dotarły do połowy nerwów wzrokowych, mózgi już wyparowały od żaru plazmy. Drugi Kapitan, przetwarzający sygnały z dużo większą szybkością, zarejestrował wybuch oraz utratę zdolności funkcjonowania i poczuł, że umiera. Jego ostatnie doznania przypominały ludzką panikę, potem smutek.

Wśród szczątków okrętu na dnie lodowatego morza, trzy tysiące siedemset metrów pod powierzchnią, spoczął nieznacznie tylko uszkodzony, wysadzany klejnotami sztylet. Na pokieroszowanym ostrzu wciąż widniała ledwo czytelna inskrypcja: *General i kalif Mohammed al-Sihoud, Miecz Islamu.*

Nie zostało po nim nic więcej. Ani po innych członkach załogi.

Wybuch i fala uderzeniowa detonacji rozerwały na trzy części korpus pocisku Hiroshima, który w chwili eksplozji Vortexa właśnie wylaniał się z wrót wyrzutni. Kawałki opadły do morza, głowica Scorpion zachowała się niemal nietknięta. Zbiornik z etylenem i plutonowa matryca dyspersyjna w jej wnętrzu implodowały od ciśnienia na głębokości około dwóch tysięcy metrów. Pył plutonowy rozprysnął się po dnie, zamieniając pole szczątków okrętu Połączonych Sił Morskich „Hegira” w radioaktywne śmietnisko.

Część IV

36

Ostatnia misja „Phoenixa”

Sobota, 4 stycznia

Centrala Agencji Bezpieczeństwa Narodowego

Fort Meade w Maryland

Centrum bezpiecznej łączności w budynku 427

Admirał Donchez ziewnął, usiadł prosto i przeczytał wiadomość.

- Dałoby się załatwić filiżankę kawy? Macie świeżo zaparzoną? Na przykład z tego tygodnia?

- Zaraz będzie, admirale.

Donchez przeczytał kolejny meldunek z „Seawolfa” i poczuł się tak, jakby dostał nagły cios w żołądek. Zabrakło mu powietrza.

Przeczytał krótką wiadomość ponownie, potem po raz trzeci. W końcu słowa rozmazały się mu przed oczyma, ich bolesna treść poraziła go do głębi.

Data/godzina: Czas przekazu z boi SLOT Od: USS „Seawolf” SSN-21

.Do: Szefa Operacji Morskich, Waszyngton/Głównodowodzącego Flotą Atlantycką, Norfolk, Wirginia/Dowódcy Floty Podwodnej na Atlantyku, Norfolk, Wirginia Dotyczy: meldunek o kontakcie nr 3

1. Destyny zwycięża.

2. Przeprowadzamy atak baterią pocisków Vortex.Morze Labradorskie na północny zachód od Godthaab na Grenlandii USS „Phoenix”

Kane czuł, jak arktyczne zimno przenika go do kości. Jego oddech tworzył obłoki pary. Dziwna mgła, blask latarni bojowych i cienie nadawały pomieszczeniu upiorny wygląd.

- Nie do wiary - powiedział. - Wydaje się, że przynajmniej na dziobie uszkodzenia od eksplozji Nagasaki są mniejsze niż od zderzenia z dnem.

- Nieprawda - zaprzeczył McDonne. - Niech pan się rozejrzy po okręcie. Dowalili nam jak cholera. Nie ma reaktora, nie ma łączności z maszynownią, tkwimy pod lodem...

- Ale teraz nikt nie zginął - odparł Kane.

- Siła wstrząsu musiała być mniejsza. Na górze byliśmy przygwożdżeni do lodu i dostaliśmy z dołu. Kadłub nie miał się gdzie przemieścić. Ale wypatroszyło nas. Lepiej byłoby zginąć od eksplozji.

- Nie sądzę, XO - wtrącił się Houser. - Wciąż mamy akumulator. Przy odrobinie szczęścia możemy uruchomić awaryjny silnik napędowy i wydostać się stąd.

- Marzyciel z ciebie, Houser. Jak chcesz uruchomić silnik? Na rufie nikogo nie ma.

- Nie wiemy, czy zginęli. Po prostu nikt nie odpowiada na telefon. Może przewody w przedziale reaktorowym zostały zerwane.

- Jasne, ale co z kablami prądu stałego z akumulatora? Jeśli poszły przewody telefoniczne, to jak energia z akumulatora dotrze do naszych kumpli na rufie?

- Kable prądu stałego mają średnicę pańskiego ramienia, XO. Są o wiele mocniejsze niż przewody telefoniczne.

- Możliwe. Więc co zrobimy? Nie mamy łączności. My jesteśmy uwięzieni tutaj, oni tam. I wszyscy tkwimy pod lodem. W jaki sposób się stąd wydobędziemy?

- Schramford - powiedział Kane. - Jest głównym mechanikiem, ale ma kwalifikacje dowódcy. Będzie rozumował tak samo, jak my. Uruchomi silnik awaryjny, nie czekając na rozkaz, i spróbuje wydostać nas stąd. Przejmie u siebie ster kierunkowy, rufowe steiry głębokości i postara się wyprowadzić okręt z tego miejsca.

- Świetnie, kapitanie. Ale będzie potrzebował sterowania zanurzeniem, żeby to zrobić. Nie wystartuje stąd, jeśli nie zalejemy zbiornika, żeby trochę zmniejszyć wyporność.

- Okay - odpowiedział Kane. - Przygotujemy się do ręcznego zalania zbiornika sterowania głębokością albo uruchomimy panel obsługi balastu.

- A skąd będzie wiedział, dokąd płynąć? - zapytał McDonne. - U niego nie ma kompasu.

- My mu powiemy - odrzekł Kane. - Możemy nie mieć telefonu, ale mamy coś równie dobrego.

- Co takiego, sir? Puszki z zupą pomidorową i sznurek? Gdybyśmy byli wynurzeni, moglibyśmy po prostu wyjść na zewnątrz kadłuba, walnąć w jego właz i użyć puszek z zupą. Ale między nami i powierzchnią jest trzydziestometrowa warstwa lodu.

- Zapomniałeś o telefonie podwodnym, XO.

McDonne wyglądał na zaskoczonego. Telefon podwodny był hydrofonem sonaru aktywnego służącym do transmisji ludzkiego głosu zamiast sygnałów czy impulsów.

- Myśli pan, że będzie działał? Cholera, może ma pan rację. Włączmy zasilanie i zobaczymy, co... Zaraz, chwileczkę... Nie mamy prądu zmiennego. Na stałym nie będzie działał.

- Będzie - odezwał się z tyłu Sanderson. - Zrobię tylko drobne zmiany w instalacji. Wystarczy przezwoić falownik w obwodzie akumulatora, dać inne przewody i bezpieczniki. No, może jeszcze coś, ale za trzy, cztery godziny będziemy mieli telefon podwodny.

- Jeśli do tego czasu nie zamrozniemy - zauważył McDonne.

- Wydaj parki, Houser - rozkazał Kane. - Zbierz wszystkie swetry, bluzy sportowe i długie kalesony, jakie znajdziesz.

- Tak jest, sir - odpowiedział Houser i zniknął za Sandersonem w przednich drzwiach.

- Miejmy nadzieję - powiedział McDonne - że inżynier Schramford na rufie czyta w naszych myślach.

Trzydzieści metrów z tyłu za nimi, w maszynowni, komandor porucznik Tom Schramford leżał twarzą w dół w szybko stygnącej kałuży krwi.

USS „Seawolf” Część rufowa kadłuba

Pacino spojrział na Vaughna. Obaj wymiotowali. Przeżyło około osiemdziesięciu ludzi. Zebrali się w bardziej przestronnych miejscach na górnym pokładzie przedziału, między nieczynnymi generatorami turbinowymi i silnikami głównymi.

- Co to jest, XO? - Głos Pacina brzmiał martwo, odzyskiwał słuch, ale zbyt powoli.

- Powietrze - odrzekł Vaughn. - Musi być skażone.- Wypróbujemy awaryjne maski tlenowe.

Gdy obaj ich szukali, zwymiotowali czterej następni mężczyźni. Kiedy Pacino włożył maskę, przyszła mu do głowy ponura myśl: jeśli wszyscy będą oddychali w ten sposób, niedługo zabraknie czystego powietrza w butlach tlenowych. Musiał upłynąć jakiś czas, żeby nadeszła pomoc. Mogą minąć dwa dni, zanim dotrze do nich pojazd ratowniczy głębokiego zanurzenia. Jeśli w ogóle ktoś wie, gdzie są. I zakłada, że żyją.

- Kapitanie! - krzyknął Vaughn. - Musimy pomyśleć o ewakuacji. Pacino popatrzył na niego. To byłoby samobójstwo. Nie ma mowy, żeby człowiek przeżył swobodne wznoszenie z głębokości prawie czterystu metrów. Pomijając już samo ciśnienie - co z zimnem i hydrotermią? Podróż do góry z prędkością sześciu metrów na sekundę przez wodę o temperaturze poniżej zera spowodowałaby prawdopodobnie tak szybkie wychłodzenie ciała, że wszyscy zmieniliby się w kostki lodu, zanim dotarliby do powierzchni. Pacino słyszał o ludziach, którzy wytrzymali w zimnej wodzie czterdzieści pięć minut bez powietrza, ale teraz pomoc mogła nadejść za kilka dni, nie za kilkadziesiąt minut. Nikt z nich nie doczekałby ratunku.

A pokrywa lodowa? Nie mieli żadnej gwarancji, że znajdują się pod otwartym morzem. Ponieważ było tu płytko, woda mogła szybciej zamarzać. Na górze mogli spotkać krę o grubości trzydziestu metrów. Zresztą, jeśli uderzyliby w nią głowami z prędkością sześciu metrów na sekundę, nie miałyby znaczenia, czy lód ma trzydzieści metrów, czy pół metra grubości. Efekt byłby ten sam - utonięcie. A nawet gdyby do tego nie doszło, jak spiszą się kaptury Steinkego? Rozdarcie spowoduje wypełnienie wnętrza wodą i człowiek zostanie bez powietrza na głębokości prawie czterystu metrów. Niezbyt przyjemna śmierć. Wreszcie gdyby jakimś cudem udało się im wydostać na powierzchnię, co dalej? Będą leżeć w tratwach ratunkowych na lodowatym morzu i arktycznym wietrze w mokrych ubraniach i czekać, aż zamarzną na śmierć?

Ewakuacja z okrętu podwodnego to nie odwlekanie śmierci - to przerażający sposób na jej przyspieszenie. Pacino uznał, że wolałby udusić się z braku tlenu wewnątrz kadłuba, niż próbować takiej ucieczki.

- Lepiej szybko zastanówmy się nad opuszczeniem okrętu, sir - odezwał się Hobart, nie wiedząc, co o tym myśli Pacino. - Te maski są zasilane z tych samych butli ciśnieniowych, co komora ewakuacyjna. Albo stąd pryskamy, albo siedzimy tu dalej i zużywamy powietrze. Jedno albo drugie. Przy ewakuacji musimy wychodzić w grupach po

ośmiu, co oznacza dziesięciokrotne napełnienie i opróżnienie komory, napompowanie osiemdziesięciu kapturów. To mniej więcej tyle powietrza, ile wystarczy dla nas wszystkich na trzydzieści godzin. Więcej nie mamy. Nie wiem jak pan, kapitanie, aleja się zgadzam z panem Vaughnem. Chcę się ewakuować. Może ktoś nas szuka i uratuje, jeśli dotrzemy do powierzchni. Tutaj na dole mamy zero szans. Nawet gdyby powietrza wystarczyło na tydzień, umarlibyśmy z głodu. A jeśli zginieemy w czasie ewakuacji... Wolę w chwili śmierci patrzeć na chmury niż na ten martwy kadłub.

Więc Vaughn i Hobart chcą uciekać, pomyślał Pacino. Okay, proszę bardzo.

- Kto jeszcze chce się ewakuować? - zapytał.

Spośród wszystkich stłoczonych w pomieszczeniu mężczyzn tylko dwunastu nie podniosło ręki. Pacino był zaskoczony. Rozejrzał się wokoło i napotkał wyzywające spojrzenie Vaughna. Wiedział, że nie ma wyboru i pójdzie z załogą. W ostatniej grupie. Jeśli zabraknie im powietrza, zostanie na dole.

- Okay - powiedział. - Ewakuacja. Inżynierze, będziesz pełnił honory?

- Załatwione, kapitanie. Wynośmy się stąd w cholerę, póki czas.

Bosman Milo Nelson z „Phoenixa” zawsze uważał się tylko za mechanika, pracownika fizycznego marynarki wojennej. Ale traktowano go inaczej, każdy dowódca proponował mu szkołę oficerską. Nelson był niegłupi i miał zdolności przywódcze - nadawał się do kierowania ludźmi. Jednak unikał tego, opierał się jak mógł. Nie chciał być żadnym cholernym oficerem i przez całe życie meldować się staremu. Wolał mechanizmy, narzędzia, brud na palcach. Siedzieć w klubie oficerskim, popijać ostrożnie kawkę z filiżanki ze spodeczkiem, nigdy nie mówić „kurwa”, rywalizować z chłopaczkami po college’u, którym się wydaje, że wszystko wiedzą, a w gruncie rzeczy są naiwnymi dzieciakami, chwytającymi się kurczowo szczebli kariery? Nie ma mowy! Niektórzy mogliby mu zarzucić, że boi się większej odpowiedzialności. Ale gównu go to obchodziło. Wiedział swoje.

Milo Nelson podlegał na „Phoeniksie” porucznikowi Houserowi i głównemu mechanikowi, który teraz leżał w krzepnącej kałuży własnej krwi w kabine manewrowej, nie doczekawszy się meldunku bosmana o włączeniu generatorów turbinowych i ich gotowości do ładowania. Eksplozja torpedy rzuciła Nelsona na pokład, ale nic mu się nie stało. Inżynier Schramford oberwał mocniej, dużo gorzej niż marynarz George Falsom, elektryk obsługujący wszystkie frzy panele w pomieszczeniu. Falsom powiedział, że Schramford wychylił się zza panela, żeby zobaczyć, jakie postępy robi załoga w maszynowni, torpeda zbliżała się, kapitan był zajęty, nastąpił wybuch i główny mechanik wpadł na boczną ścianę panela obsługi reaktora. Jakimś sposobem uderzył głową o włącznik głównej pompy chłodziwa. Elektryk

Falsom upadł na pokład, Schramford runął na niego. Nelson pełnił podczas wachty funkcję szefa ekipy mechanicznej w części rufowej. Potrafił sam uruchomić maszynownię, nawet w ciemności. Szybko zorientował się, że przedziału reaktorowego już nie ma. Zamknął zawory w przegrodzie, przerywając wlewanie się wody morskiej do zbiorników pary. Próbował zadzwonić do przedziału dziobowego, ale bez skutku.

Sprawdził panel obsługowy zasilania elektrycznego w kabinie manewrowej i ustawił selektor napięcia na akumulator, zastanawiając się, czy przetrwały kable biegnące na dziób. Razem z Falsomem wstrzymali oddech, gdy wskazówka woltomierza wspięła się do liczby dwieście sześćdziesiąt. Mieli przynajmniej odczyt.

- Chcesz spróbować, Falsom?

- Czemu nie, szefie?

Falsom obrócił pokrętko przerywacza akumulatora i ustawił selektor na moc wyjściową. Napięcie osiągnęło dwieście sześćdziesiąt woltów. Instalacja działała. Mieli na rufie prąd stały.

- Jak na razie, w porządku - powiedział Nelson. - Włącz światła. W górze rozbłyły lampy fluorescencyjne i zgasły latarnie bojowe.

Nie były już potrzebne.

- Myśli pan, że na dziobie też się zapaliły?

- Kto wie?

- Spróbuję uruchomić awaryjny silnik napędowy i zobaczę, czy uda mi się obrócić wał. Jeśli tak, może damy radę wydostać się stąd.

- O ile na dziobie jest ktoś przytomny.

- Miejmy nadzieję. Zaraz wracam...

Kiedy w przedziale dziobowym zapaliło się światło, Kane uśmiechnął się szeroko.

- Hej, XO, Tommy Schramford działa. Musimy się z nim porozumieć.

XO McDonne nie odpowiedział. Mimo lodowatego zimna panującego w pomieszczeniu, po jego czole spływał pot.

Dolny właz komoij ewakuacyjnej „Seawolfa” otworzył się i do środka weszło ośmiu ludzi. Ostatni wziął od Hobarta kaptury Steinkego i zamknął klapę. Pacino wzdrygnął się na myśl, co się będzie działo na górze: komorę zaleje lodowata woda, mężczyźni wypełnią kaptury sprężonym powietrzem, otworzą górny właz i wypłyną z okrętu, spoczywającego na głębokości prawie czterystu metrów. Ostatni z nich tuż przed opuszczeniem komory da sygnał Hobartowi, który odczeka trzydzieści sekund i zamknie hydraulicznie górny właz. Potem

wszystko zacznie się od początku. Do komory wspięła się druga ośmioosobowa grupa. Następne kaptury i znów zamknięcie włazu.

Pacino podszedł do wyrzutnika sygnałowego przy sterburcie. Znalazł schowek, w którym umieścił cztery boje SLOT i wyjął tę z numerem 4. Teraz nie ma mowy o tym, żeby wystrzelić z wyrzutnika, pomyślał. Nie ma już systemów doprowadzających wodę morską ani pomp do sprężenia wyrzutnika i wypchnięcia boi. Ktoś będzie musiał zabrać ją ze sobą, wychodząc z komory ewakuacyjnej. Pacino wrócił pod dolny właz komory, ku któremu wspinała się po drabince trzecia grupa mężczyzn. Oficerem, który wychodził z nimi, był Henry Vale.

- Do zobaczenia na powierzchni, kapitanie - powiedział Vale.

- Powodzenia, nawigatorze - odrzekł Pacino, odwrócił boję SLOT dnem do góry i włączył nadajnik. Podał boję Vale'owi. - Weź ją ze sobą, Henry. To sygnał SOS.

- Zaprogramował ją pan wcześniej, sir? - zapytał Vale. Nic z tego nie rozumiał.

- Tak, nawigatorze - odpowiedział cicho Pacino. - Na wszelki wypadek. Ruszaj. Niedługo się spotkamy.

- Mam nadzieję, że na górze jest woda, nie lód. - Vale skrzyżował palce i rozejrzał się ostatni raz. - Żegnaj, „Seawolfie”.

Zniknął w górze drabinki.

Milo Nelson stał przy awaryjnym silniku napędowym.

- A niech mnie... mruknął do siebie. Działa. Byłoby cholernie szkoda, gdyby się okazało, że nie ma nikogo na przednim siedzeniu.

Na dziobie Sanderson wszedł do sterowni. Włosy miał mokre od potu, choć temperatura spadła poniżej zera.

- Kapitanie, wypróbujmy telefon podwodny. Albo spali się w cholerę, albo będzie działał.

Kane podniósł mikrofon i czekał. Sanderson przestawił włącznik i wyregulował urządzenie. Skinął głową i przykręcił głośność. Kane zaczął mówić do mikrofonu:

- Przedział rufowy, przedział rufowy, tu kapitan. Inżynierze, tu kapitan. Jeśli mnie słyszysz, weź coś ciężkiego i zastukaj w kadłub dwa razy.

Kane słyszał echo własnego głosu w oceanie. Dźwięk odbijał się od dna. Sanderson obrócił pokrętko na panelu i z głośnika dobiegły odgłosy morza.

Nasłuchiwali. Trzydzieści sekund, minutę... Kane odłożył mikrofon i usiadł w jednym z foteli centrum ataku. Nikt nie miał ochoty rozmawiać. Nagle w głośnikach rozległy się dźwięki dwóch uderzeń. Tamci usłyszeli! Kane popędził na platformę i chwycił mikrofon.-

Przedział rufowy, tu kapitan. Czy awaryjny silnik napędowy działa? Jeśli tak, zastukajcie dwa razy.

W głośniku znów odezwały się dwa uderzenia.

- Przedział rufowy, tu kapitan. Za dwie minuty zalewamy zbiorniki sterowania zanurzeniem, żeby opuścić okręt w dół. Przejmijcie u siebie ster kierunkowy i rufowe stery głębokości. Dajcie ster dwadzieścia stopni w prawo i przygotujcie się do jednej trzeciej naprzód na awaryjnym silniku napędowym.

- Gdzie jest Houser? XO, zaley jak najszybciej zbiorniki zanurzenia jeden i dwa.

McDonne wybiegł, po chwili wbiegł z powrotem i chwycił telefon na panelu obsługi balastu. Mógł się stąd porozumieć z Houserem, który był na dolnym pokładzie w pomieszczeniu technicznym. McDonne obserwował, jak rośnie poziom wody w zbiornikach. Zerknął na głębokościomierz na panelu sterowania okrętem i znów odezwał się do Housera. Wreszcie wskaźnik zanurzenia ruszył. Głębokość zwiększała się: pięćdziesiąt metrów, pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt... McDonne skinął głową w stronę Kane'a.

- Przedział rufowy, tu kapitan. Cała naprzód jedna trzecia na awaryjnym silniku napędowym, ster dwadzieścia stopni w prawo. Poziomować okręt w miarę potrzeby rufowymi sterami głębokości.

Gdy „Phoenix” skręcał, McDonne obserwował wskazania na panelu sterowania okrętem. XO czekał, aż kompas pokaże południe. Trwało to długi czas, ale w końcu żyroskop doszedł do stu osiemdziesięciu stopni.

- Wyjrzę na zewnątrz - powiedział Kane i wysunął peryskop. - Niedługo świt. Może uda mi się zobaczyć, kiedy będziemy mieli nad głową otwarte wody.

- Miejmy nadzieję, że zobaczymy je, zanim akumulator siędnie - odparł McDonne. - Nie było w nim wiele energii w momencie, kiedy trafiła w nas Nagasaki. Ale może inżynier wytrząśnie jakąś moc z rękawa.

Wydawało się, że następna grupa wyszła zbyt prędko. Załoga w pomieszczeniu szybko malała. W maszynowni „Seawolfa” zostało już tylko dwudziestu czterech ludzi. Jeszcze dwie grupy i moja kolej, pomyślał Pacino.

Spacerował po przedziale rufowym, mając świadomość, że widzi go ostatni raz. Podłączył maskę do końcówki instalacji powietrznej, wziął głęboki oddech i wyciągnął wąż. Doszedł do następnej końcówki, aż wreszcie znalazł się daleko na rufie w kabine manewrowej. Nowoczesna elektronika nie działała, w pomieszczeniu było pusto i cicho. Usiadł w fotelu oficera mechanika wachtowego i na moment zamknął oczy.

- Sir? - dobiegł od drzwi zniekształcony przez maskę głos Vaughna.

- Jestem tutaj, XO.

- Ostatnia grupa, kapitanie. Jesteśmy gotowi do wyjścia. Kończy się powietrze, sir. Możemy nie zdążyć. Po ewakuacji tej grupy nie będzie czym oddychać. Musimy się pospieszyć, sir.

Pacino miał ochotę powiedzieć Vaughnowi, że zostaje. Szedł jak na ścięcie. Nigdy się nie modlił, ale teraz odnalazł jakoś kilka słów i wypowiedział je w myśli. Nie chciał wchodzić do komory ewakuacyjnej.

Vaughn wskazał szczyt drabinki.

- Jesteśmy ostami, kapitanie.

- Może powinieneś iść pierwszy...

- Kapitanie, rozumiem pana, ale przeżyjemy. Musi pan w to wierzyć...

- Smar. Jack. Doceniam twoje starania, ale...

- Sir... Patch, posłuchaj.

Pierwszy raz tak mnie nazwał, uświadomił sobie Pacino.

- Pomyślałeś o naszych ludziach na górze, którzy kołyszą się teraz na tych tratwach i próbują przeżyć? Co im powiem? Co im powiem, do cholery?

Że jestem tchórzem, pomyślał Pacino. Gównianym kapitanem, który boi się połączyć swój los z ich losem. Może zginą tam na górze, ale zasługują przynajmniej na to, żeby umrzeć razem ze swoim dowódcą. A on zasłużył sobie na śmierć razem z nimi.

- Okay, XO. Ty pierwszy.

Vaughn wspiął się do włazu, zerwał maskę i cisnął na pokład. Pacino zrobił to samo i po raz ostatni spojrział z drabinki w dół na maszynownię oświetloną latarniami bojowymi. Wszedł do ciasnej komory ewakuacyjnej i zamknął właz. Metal klapy zadźwięczał głośno o stal kadłuba.

37

Sobota, 4 stycznia

Morze Labradorskie

Kane, posługując się wzmacniaczem światła, obserwował znajdującą się nad nimi pokrywę lodową. Wyglądała na grubą.

Z tyłu na rufie panel obsługowy zasilania elektrycznego odliczał amperogodziny. Akumulator siadał coraz bardziej z każdym obrotem śruby. Pacino wziął od Vaughna

plastikowy kaptur Steinkego i stanął obok innych mężczyzn. Vaughn otworzył zawór, żeby zalać komorę. Miała trzy metry średnicy, tyle samo wysokości i stalową ścianę, odgradzającą jej górną część od wjazdu zewnętrznego. Przegroda biegła w dół i kończyła się na wysokości klatki piersiowej. Vaughn trzymał głowę wewnątrz odgradzonej przestrzeni, gdy manipulował przy zaworach.

Napływająca woda zmoczyła Pacinowi ubranie. Była potwornie zimna, bardziej niż woda z lodem, gdyż na tej głębokości jej temperaturę obniżało zasolenie morza. Po chwili sięgała już łydek Pacina, zdrętwiały mu stopy i kostki, potem podeszła mu do pasa i przemoczyła spodnie kombinezonu. Powietrze w komorze stawało się zamglone, ciśnienie i temperatura rosły. Gorąco i duchota w połączeniu z lodowatą wodą stwarzały niezwykle wrażenie. Mgła tak zgęstniała, że Pacino nie mógł dostrzec górnego wjazdu w świetle dwóch latarni bojowych. Woda sięgnęła mu już do piersi i poczuł walenie serca, zmagającego się z zimnem. Kiedy poziom podniósł się wyżej, Pacino usłyszał, że Vaughn woła go do odgradzonej przestrzeni i wcisnął się tam z resztą mężczyzn. Gorące, zamglone powietrze i ciasnota utrudniały oddychanie. Woda podeszła mu do brody. Głos Vaughna brzmiał jakoś dziwnie w pomieszczeniu, gdzie wysokie ciśnienie było równe morskemu. Gdyby nie mieszanka gazów do oddychania, tlen w komorze stałby się toksyczny w ciągu kilku minut. Musieli stąd wyjść, bo inaczej groziła im śmierć. Pacino dawno stracił czucie w nogach, teraz przyszła kolej na ręce. Nawet tors niemal mu zdrętwiał.

Vaughn napełnił kaptur Steinkego pierwszemu z mężczyzn. Plastikowa powłoka okrywała głowę i sięgała do piersi. Przez małe, przezroczyste okienko w masce widać było napiętą twarz mężczyzny.

- Nie zapomnij wrzeszczeć przez całą drogę do góry - powiedział Vaughn i przestawił dźwignię hydraulicznego otwierania wjazdu zewnętrznego. Pacino usłyszał bulgotanie, to uwięzione za przegrodą powietrze wydostawało się z komory. Pomieszczenie było teraz otwarte na morze, którego powierzchnia znajdowała się czterysta metrów wyżej, powietrze mieli tylko w odgradzonej części komory.

Mężczyźni jeden po drugim znikali w otworze wjazdu. Przyszła kolej na Pacina. Vaughn włożył mu kaptur, który napełnił sprężonym powietrzem o suchym i miedzianym smaku. Potem zrobił to samo ze swoim, rzucił wąż i spojrzął na Pacina.

- Chodźmy, sir. Niech pan nie zapomni wrzeszczeć. Do zobaczenia na powierzchni.

Vaughn i Pacino zanurkowali pod przegrodą i wystawili głowy z wody po drugiej stronie, dokładnie pod górnym wjazdem. Vaughn poszedł pierwszy. W przyćmionym świetle Pacino widział, jak Vaughn wypływa do góry przez otwór wjazdu i znika. Przez moment kusilo

go, żeby zamknąć właz zewnętrzny i wrócić do komory, ale zadźwięczały mu w uszach słowa Vaughna. Co XO powiedziała by załodze?

Pacino wymacał drogę do wyjścia. Dzięki powietrzu wypełniającemu kaptur mógł unosić się w wodzie. Wypchnął się do góry i kaptur pociągnął go wyżej. Pacino chwycił się włazu i wydostał na zewnątrz. Kiedy wyłaniał się z otworu, wypowiedział głośno dwa słowa, wiedząc, że nikt inny nie może tego zrobić.

- „Seawolf” odpływa.

Z otwartego włazu sączyło się słabe światło. Pacino przez moment miał wrażenie, że zielony kadłub ciągnie się w ciemności od dziobu do rufy i kończy na poszarpanej wyrwie. Puścił właz i był zaskoczony, że zachował jeszcze czucie w palcach rąk. Spojrzał w górę, zaczął się wznosić i poczuł przepływ wody wokół siebie.

Przebywanie w arktycznej morskiej wodzie było dziwnym przeżyciem. Miał zdrętwiałe ciało i wiedział, że od powierzchni dzieli go czterysta metrów. Myślał o tym, czy nie ulegnie oszołomieniu, spowodowanemu toksycznością azotu przy wysokim ciśnieniu, upojeniu głębokościowemu. Wypatrywał w górze powierzchni morza, widział tylko ciemność, ale był coraz wyżej. I wrzeszczał, żeby zapobiec rozerwaniu płuc, ale również dlatego, że chciało mu się wyć.

- Ho, ho, ho! Ho, ho, ho! Ho, ho, ho!

Tego okrzyku uczono wszystkich w szkole pod wodniaków przy symulowanej ewakuacji z głębokości trzydziestu metrów. Wtedy wydawało się to wyglupem, przygodą. Ale nie teraz.

Nie przestawał wrzeszczeć.

- Niech pan tego posłucha, kapitanie.

Kane oderwał wzrok od peyskopu i dołączył do McDonne’a przy głośniku telefonu podwodnego. Dobiegały stamtąd jakieś szумы, nieustanne bulgotanie i coś jakby krzyki.

- Pewnie stado wielorybów - powiedział Kane i wrócił do peryskopu. Włączył wzmacniacz światła i zatkało go. - Jesteśmy na otwartych wodach! Trzeba przygotować dmuchawę do działania. Bóg jeden wie, ile jeszcze mocy nam zostało. Może nie wystarczyć.

- Houser, uruchom system. Przygotować się do wynurzenia.

- Przedział rufowy, tu kapitan. Przygotowujemy się do wynurzenia. Dajcie wnioś okretu pięć stopni przy użyciu rufowych sterów głębokości. Powtarzam...Kane skinął głową. Na powierzchni mogą nie mieć mocy, ale przynajmniej jest szansa, że ktoś ich zobaczy. Resztką energii elektrycznej wystarczy do nadania sygnału SOS na HF.

A potem będą musieli czekać. Czekać...

Kadłub odchylił się do góry. McDonne i Houser wypompowywali zbiorniki sterowania zanurzeniem i przygotowywali się do usunięcia wody ze zbiorników balastowych za pomocą dmuchawy niskociśnieniowej. Kane miał nadzieję, że zdążą to zrobić, zanim siądzie akumulator.

- Peryskop się wynurza! - zawołał, gdy zobaczył fosforescencję na tle soczewki. Wyłączył wzmacniacz światła. Rozproszony blask pod powierzchnią sugerował, że jest świt, być może pochmurny. - Peryskop wynurzony. - Kane kilkakrotnie obrócił instrument. Widoczność pogarszały gęste chmury, wiszące nisko nad morzem, mgła i płatki śniegu osiadające na soczewce. Przyłapał się na tym, że ogląda śnieg, zamiast badać horyzont. Płatki śniegu rozpraszają uwagę, pomyślał, uświadomiwszy sobie, że po raz pierwszy widzi śnieg na morzu. - Uruchomić nadmuch niskociśnieniowy do wszystkich głównych zbiorników balastowych. - Podniósł mikrofon telefonu podwodnego: - Przedział rufowy, tu kapitan. Zaczynamy nadmuch niskociśnieniowy do zbiorników balastowych. Spróbujcie utrzymać na chodzie awaryjny silnik napędowy jeszcze przez dziesięć minut.

Puścił mikrofon i wyjrzał przez peryskop. Morze było coraz niżej, ale rosnąca wysokość nie poprawiała widoczności. Na zewnątrz szalała burza” śnieżna. Wiatr przybrał na sile i śnieg nagle zaczął padać niemal poziomo. Na szczytach fal wyrastały białe grzywy. Kane prawie czuł przechyl pokładu od naporu wichury na kiosk. Skierował peryskop w lewo, na wschód, w nadziei, że dostrzeże przebijający się blask słońca, ale chmury były zbyt gęste. Doznał uczucia zawodu, bardzo pragnął zobaczyć znowu słońce, wydawało mu się, że oznaczałoby to, iż nastąpił koniec tych ciężkich prób i umocniło nadzieję, że jednak ocaleje. Zamiast tego, przywitała go zamieć.

Rozległ się ryk uruchomionej dmuchawy. Kane pomyślał, że niedługo okręt powinien ustabilizować się na powierzchni i będzie można spotkać się na kadłubie z ludźmi z rufy.

Po dziesięciu minutach zobaczył wierzch kadłuba w ciemnej wodzie. Zbiorniki balastowe były suche, okręt wynurzony.

- Przerwać nadmuch - rozkazał i podniósł mikrofon. - Przedział rufowy, tu kapitan. Jesteśmy na powierzchni. Cała stop. Otwórzcie włącz waszej komory ewakuacyjnej i przyjdźcie na dziób.

Obrócił peryskop w kierunku rufy i obserwował, jak powoli otwiera się włącz i na zewnątrz wychodzą skrajnie wycieńczeni ludzie. Sprawiali wrażenie oszołomionych widokiem śniegu i niepewnych, czy mają się cieszyć z wynurzenia, czy przeklinać zamieć. Idąc w stronę dziobu, kulili się z zimna.

- XO, wpuść ich.

McDonne wyszedł, żeby otworzyć właz załodze z maszynowni. Kane jeszcze przez kilka minut patrzył przez peryskop. Przeżyli, na Boga! „Phoenix” dryfował teraz na powierzchni morza z niemal wyczerpanym akumulatorem.

Kane przypomniał sobie, że musi iść do radia. Zostawił Housera przy peryskopie i odszukał Binghamtona. Starszy bosman siedział w kabinie łączności w parce i rękawicach. Jego oddech tworzył obłoki pary.

- Da się wysunąć Bigmoutha? - to były pierwsze słowa Binghamtona. Kane przekazał je Houserowi. Binghamton wręczył Kane'owi mikrofon. Przez kilka minut słuchali zakłóceń, potem Binghamton dał znak Kane'owi.

- NavCom Norfolk, tu Echo Pięć November z pilną Navy Blue, odbiór. W sterowni Houser oderwał wzrok od peryskopu i spojrzał na głośnik telefonu podwodnego. Nie wierzył własnym uszom.

- Ho, ho, ho! Ho, ho, ho!

Głósów było wiele i okrzyki wciąż się powtarzały. Docierały zniekształcone, jak nagranie na kasecie magnetofonowej przygotowanej na Halloween do straszenia w domu. Ale duchy tutaj, na północnym krańcu świata?

A może „ho-ho-ho” ma coś wspólnego z... „Ho-ho-ho”, którego uczą w szkole podwodniaków? Ewakuacja? Z tamtego okrętu podwodnego, który miał zatopić Destiny, ale ostrzelał torpedami „Phoenixa” i zmusił go do ucieczki, a potem gdzieś przepadł? Może Destiny zwyciężył? Jak dotąd, wyglądało na to, że zostawił „Phoenixa” w spokoju, ale...

- Ho, ho, ho!

To było gorsze od najbardziej koszmarnych snów, jakie kiedykolwiek śniły się Pacinowi. Otaczało go morze, ale nie widział niczego tylko czarną ciemność. Zdawało mu się, że umiera z zimna. Starał się nadal wrzeszczeć „ho-ho-ho”, lecz im wyżej się wznosił, tym słabszy był ten krzyk. W końcu zaczął coś słyszeć. Wciąż miał przytępiony słuch po wystrzeleniu Vortexa i eksplozjach, ale mógłby przysiąc, że w głębinach rozbrzmiewa echo jakiegoś upiornego głosu, który mówi dziwne rzeczy...

- Przedział... kapitan... ster dwadzieścia stopni w prawo... wypoziomować okręt... nadmuchi niskociśnieniowy... kapitan...

Halucynacje? A co innego? Ale to wydawało się tak realne, głos brzmiał tak donośnie, wydobywał się z jakiejś ogromnej gardzieli, niósł się echem przez wodę...- Ho, ho, ho! - wrzasnął Pacino.

Wznoszenie wydawało się trwać wieczność. W końcu głos ucichł. Trzydzieści metrów pod powierzchnią Pacino stracił przytomność. Nie słyszał, że głos w głębinach znów się

odezwał. Przestał krzyżeć, ale nadal oddychał gwałtownie. Jego płuca, na szczęście, wypuszczały powietrze, bo inaczej mogłyby eksplodować.

Wznosił się, dopóki pod powierzchnię nie dotarło światło poranka. Wystrzelił z wody na wysokość łydek i opadł z powrotem. Kaptur Stein-kego utrzymywał go na powierzchni morza. Nie czuł, że chwytają go czyjeś ręce i wciągają do tratwy ratunkowej.

Fort Meade w Maryland

Admirał Donchez stał obok wejścia do budynku i spoglądał w okno. Śnieg przestał wreszcie padać, było rzeczą oczywistą, że musi upłynąć dużo czasu, zanim pługi dotrą do głównych dróg. Zasy miały wysokość domów, na nizinach śnieg sięgał niemal do pasa. Donchez chciał tylko jednego: wydostać się z tego więzienia.

- Panie admirale? Jest jeszcze jedna wiadomość dla pana, sir. W centrum łączności.

Donchez przetarł przekrwione oczy i poszedł za sierżantem. W centrum łączności odebrał formularz z wiadomością. Kolejny meldunek od Pacina! Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Data/godzina: Czas odbioru z boi SLOT Od: USS „Seawolf” SSN-21

Do: Szefa Operacji Morskich, Waszyngton/Głównodowodzącego Flotą Atlantycką, Norfolk, Wirginia/Dowódcy Floty Podwodnej na Atlantyku, Norfolk, Wirginia

Dotyczy: Meldunek o kontakcie numer 4

1. „Seawolf” zatopiony na tej pozycji
2. Proszę o pośpiech

- Matko Boska - wymamrotał Donchez i napotkał spojrzenie Freda Rummela. - Fred, połącz mnie bezpieczną linią z admirałem Steinmanem. I daj mi prognozę pogody dla Cieśniny Davisa i Morza Labradorskiego. Szybko, do cholery!

Mógł mieć tylko nadzieję, że sztorm nie przesunął się na północny wschód, lecz na zachód, może nawet skręcił na południe. Czekaając, zastanawiał się, co się stało z Destiny. I z „Phoenixem”. Nie miał żadnych wiadomości.

Nad Kanadą nie zarejestrowano huku pocisku ponaddzwiękowego, nad północno-wschodnią częścią Stanów Zjednoczonych także nie. Gdyby Destiny odpalił Hiroshimę, już by dotarła do celu i eksplodowała. Pacino najwyraźniej zapobiegł wystrzeleniu pocisku i żył. Przynajmniej na razie.

„Proszę o pośpiech”.

Trzymaj się, Mikey. Kiedy odezwał się głos Steinmana, Donchez zaczął mówić. Działanie pozwoliło mu się uwolnić od obrazów jego przybranego syna i przyjaciela zamierzającego na śmierć na zimnej północy.

Bosman Nelson znalazł Kane'a w kabinie radiowej. Kapitan wciąż próbował nawiązać łączność.

- Sir, energii elektrycznej wystarczy już tylko na parę minut. Jeśli pan może, proszę się pospieszyć z tym sygnałem SOS. Przerwywacz akumulatora otworzy się lada chwila.

- Niech to szlag. NavCom Norfolk, tu Echo pięć November z Navy Blue do nadania, odbiór.

Same zakłócenia.

- Nadam to w ciemno, starszy. Jeśli to dostaną, to dostaną... NavCom, NavCom, NavCom, tu Echo pięć November. Navy Blue jak następuje. Przybliżona pozycja mniej więcej sześćdziesiąt trzy stopnie trzydzieści minut November, pięćdziesiąt osiem stopni dwadzieścia minut whisky. Dryfujemy z prawie wyczerpanym akumulatorem. Zabierzcie nas jak najszybciej, najlepiej transportem powietrznym, jeśli możecie. Powtarzam, Navy Blue jak następuje.

Kane powtórzył wiadomość.

Nie było odpowiedzi, tylko zakłócenia. Nagle w pomieszczeniu zapadła ciemność.

- Stało się, kapitanie - powiedział Binghamton, rzucił swoje słuchawki na pokład i włączył latarnię bojową. - Teraz ten okręt to po prostu wielka tratwa ratunkowa.

Ratunkowa? Kiepski dowcip.

Latarnie bojowe zapaliły się w sterowni, potem na całym górnym pokładzie. Kane wszedł do sterowni, zdumiony, jak cicho jest tu bez wentylacji, systemu kierowania ogniem, interkomu. Wymarły okręt. Wzdrygnął się i podciągnął suwak parki. Bez oświetlenia sufitowego pomieszczenie wydawało się dużo zimniejsze, choć powietrze już od kilku godzin było lodowate. Pozostało im oczekiwanie i nadzieja, że w Norfolk - lub gdzie indziej - odebrano ich sygnał SOS.

Nie mogli wytrzymać długo w tym martwym kadłubie.

Fort Meade w Maryland

Donchez popatrzył groźnie na kapitana Ruttimela i sierżanta łącznościowca.

- Przeczytajcie to jeszcze raz - rozkazał.

- Wiadomość brzmi: „NavCom, NavCom, NavCom, tu Echo pięć November”, czyli USS „Phoenix”, panie admirale. „Navy Blue jak następuje. Przybliżona pozycja mniej więcej sześćdziesiąt trzy stopnie”, zniekształcenia, a potem, „minut November”, tu znów zniekształcenia i w końcu, „dryfujemy z prawie wyczerpanym akumulatorem. Zabierzcie nas jak...” Reszta to zakłócenia, panie admirale.

Donchez skinął głową i odciągnął kapitana Rullimela na bok.

- Co z pogodą?

- Sztorm poszedł w górę linii brzegowej, sir. Cieśnina Davisa i Morze Labradorskie są w samym środku kotła. I nie zapowiada się poprawa. Na północy może być naprawdę kiepsko z powodu zimna.

- Wspaniale. Możemy tam polecieć?

- Jest zła widoczność i silny wiatr, ale możemy. Tyle że nic nie zobaczymy.

- Trzeba wysłać chłopaków ze służby poszukiwawczo-ratowniczej. Muszą się tym zająć.

- Znam dowódcę Jednostki Poszukiwawczo-Ratowniczej Marynarki Wojennej w Kangamii na Grenlandii. Oni są najbliżej. I włączymy do tego Kanadyjczyków. Ale niech pan nie robi sobie zbyt wielkich nadziei, sir.

- Nigdy sobie nie robiłem, ale co masz na myśli?

- Sztorm i całą resztę. Będzie ciężko. Nawet jeśli tam dolecimy, możemy nic nie zobaczyć. A jeśli nawet coś zobaczymy, to przy tym wietrze chyba tylko jakimś cholernym cudem uda nam się zejść w dół.

- Jakie mamy opcje?

- Wysłać grupę poszukiwawczo-ratowniczą albo zrezygnować.

- Więc do roboty. Ja nie zrezygnuję. Zajmij się tym, Fred. Donchez odprowadził wzrokiem odchodzącego Rummela. Dostali częściową lokalizację „Phoenixa”, ale co się, do cholery, dzieje z „Seawolfem”? Co znaczyła wiadomość: „«Seawolf» zatopiony na tej pozycji”? Załoga jest uwięziona w kadłubie? A może opuściła okręt i wydostała się na powierzchnię? Przy doskonałej pogodzie dostarczenie do Cieśniny Davisa pojazdu ratowniczego głębokiego zanurzenia zajęłoby dwadzieścia godzin. Ale przy tym sztormie niezgrabny samolot do transportu DSRV-a tam nie doleci. Jeśli Pacino i jego ludzie są uwięzieni w zatopionym kadłubie, będą musieli długo czekać na pomoc. Bez jedzenia, ogrzewania i tlenu.

Lotnisko w Kangamii na zachodzie Grenlandii

Komandor porucznik Alex Crossfield wepchnął do ust tytoń do żucia. Grał kiedyś jako ofensywny obrońca w Milton High na Florydzie. Był bardziej gościem z Alabamy niż facetem z Florydy, ale pochodził ze „Słonecznego Pasa” i pobyt na Grenlandii uważał za piekło na ziemi. Sam nie wiedział, po co przyjął awans i przyjechał do tej lodowatej dziury. Dobiegał czterdziestki i nadal wyglądał tak, jakby mógł zablokować połowę ataku najgroźniejszej drużyny Południa.

Ważył sto trzydzieści kilogramów, jego szyja miała większą średnicę niż głowa przeciętnego mężczyzny, ramiona były grubości ud. Choć spokojny i łagodny, jednym spojrzeniem potrafił narzucić podwładnym odpowiednią dyscyplinę. Zaczął od stopnia marynarza, uczestniczył w zarzuconym już programie szkolenia bosmanów na chorążych i lekceważąco traktował oficerów, ale okazał się jednym z najlepszych dowódców w historii Służby Poszukiwawczo-Ratowniczej Marynarki Wojennej.

Mając stopień podoficera, był członkiem załogi helikoptera, potem został szefem mechaników. Wtedy właśnie wpadł w oko werbownikom do szkoły oficerskiej, którzy zafundowali mu krótką drogę przez piekło i przypięli belki chorążego do klap munduru. Pewnie myśleli, że po takim wyróżnieniu nie będzie mu wypadało przeklinać i żuć tytoniu. Crossfield nie zrezygnował ani z jednego, ani z drugiego. W głębi duszy był zaskoczony i może nawet zawiedziony, że awans na oficera nie jest czymś tylko chwilowym. Wysłano go na trzyletnie szkolenie do Straży Przybrzeżnej, potem do jednostki poszukiwawczo-ratowniczej przy dowództwie sił NATO w Bośni, ale uniknął wyjazdu do Somalii. Dosłużył się stopnia podporucznika i był pewien, że to jego ostatni awans. Otrzymał przydział do Kanadyjskich Sił Obronnych, służył tam dwa lata i Kanadyjczycy polubili go. Wkrótce został porucznikiem i przeniesiono go na Pacyfik. Po mrze w Pearl Harbor, która wydawała się o wiele za krótka, trafił na szkolenie do Służby Poszukiwawczo-Ratowniczej Sił Powietrznych. Zaliczył kilka kursów - odbywał je zawsze na najbardziej suchych i gorących pustyniach - potem wylądował na Grenlandii.

Grenlandia. Koło podbiegunowe. Gdzie przez większość godzin jest ciemno, a przez cały czas zimno. Jak dotąd, Crossfield nie wiązał się na długo z kobietami. Teraz miał trzydzieści dziewięć lat, ubywało mu włosów na głowie, mięśnie powoli, lecz nieuchronnie zamieniały się w tłuszcz. Tkwił na tej zapomnianej przez Boga wyspie, dowodził samodzielnie jednostką poszukiwawczo-ratowniczą i nie miał kogo ratować, poza trafiającymi się sporadycznie kutrami rybackimi, które miały problemy techniczne. I

wszystkie opalone, niebieskookie blondynki z Florydy były ponad trzy tysiące kilometrów stąd.

Crossfield spojrzął na swojego oficera operacyjnego Dicka Trilla - chudego, wąsatego chłopaka, który wciąż wyglądał jak nastolatek, ale nosił mundur porucznika.

- Podsumujmy - powiedział Crossfield. - Na zewnątrz szaleje burza śnieżna stulecia, a my mamy wsiąść do maszyn i szukać niejednego, ale dwóch okrętów podwodnych, które znalazły się w poważnych tarapatach. Wiemy, że jeden dryfuje na powierzchni, ale jego dokładna pozycja nie jest znana, drugi natomiast zatonął w ściśle określonym miejscu. Tyle, że „ściśle określone” oznacza w tym wypadku „gdzieś na obszarze wielkości stanu Connecticut”. Dobrze mówię, młody?

- Tak jest, sir - odrzekł oficer operacyjny, spoglądając ostrożnie na cięsko Crossfielda.

- Helikoptery odpadają, zgadza się?

- Za duży wiatr, sir. Tylko V-22 mogą latać. To chyba wszystko. Osprey. Pół samolot, pół helikopter. Tyle że przy wietrze zbyt silnym dla helikopterów V-22 mogą tylko latać, nie wisieć w powietrzu. Nawet jeśli znajdą diymjący okręt podwodny, nie będą mogli wylądować, dopóki sztorm nie osłabnie.

- Dobra, zrób szybką odprawę. Chcę wystartować za dziesięć minut. Dla was, poruczników, za jeden zero. Och, zapomniałem, że skończyłeś Akademię. W takim razie, dla ciebie, chcę wystartować, kiedy duża wskazówka będzie na dwunastce, a mała na dziewiątce.

- Tak jest, sir - odpowiedział porucznik z poważną miną. - Ludzie będą tu za dwie minuty.

Młody oficer szybko wyszedł. Crossfield popatrzył za nim, potem spojrzął w okno i pokręcił głową. Szyba dygotała od uderzeń wiatru, jej dolna połowa była zaśnieżona, na górnej zaczynał tworzyć się lód.

- Też sobie wybrali dzień na ratowanie, ci podwodniacy - mruknął do siebie.

Morze Labradorskie

Kane bębnił palcami po stole nawigacyjnym. Minęło pół godziny od chwili, kiedy się wynurzyli i nadali wezwanie o pomoc. Jak dotąd, nie dostrzegli niczego, co mogłoby świadczyć o tym, że ich wezwanie dotarło do kogokolwiek. Na zewnątrz nadal szalał sztorm. Wewnątrz okrętu było potwornie zimno. Nie mieli nic do roboty, ale to właśnie pogarszało

sytuację, bo beczynność nie pozwalała choćby na chwilę zapomnieć o dręczącym ich chłódzie.

Kane postanowił wyjść na kiosk. Houser przygotował mostek do pobytu okrętu na powierzchni, włazy były otwarte. Kane wspiął się po długiej drabince, przewyciężając obawę, że odmrozi sobie ręce od lodowatego metalu. Houser uniósł kratę, żeby go wpuścić.

Jasność poraziła Kane'owi oczy. Miał takie uczucie, jakby piaskowano mu twarz drobinami lodu. Mgła trochę się rozrzedziła i zdawało mu się, że dostrzega w oddali zarysy gór lodowych. Houser, w skórzanej masce ochronnej na twarzy nadającej mu wygląd bramkarza hokejowego, spoglądał przez lornetkę w kierunku dziobu.

- Na co patrzysz? - zapytał Kane.

- Nie wierzę własnym oczom, kapitanie. Czekam, żeby się upewnić, że to złudzenie.

- Daj mi spojrzeć. - Kane wziął lornetkę. - Ja też nie mogę uwierzyć swoim oczom.

Gdyby zobaczył stado różowych słoni, chyba łatwiej byłoby mu to wyjaśnić.

- Te odgłosy, które słyszałeś przez telefon podwodny...

- Właśnie, kapitanie. „Ho, ho, ho”. Radosna ewakuacja z okrętu podwodnego.

- Dobry Boże - powiedział Kane, patrząc przez lornetkę na tuzin pomarańczowych tratw ratunkowych, które unosiły się na spienionych falach. Wszystkie były pełne mężczyzn. Żaden z nich się nie ruszał.

- XO wchodzi na mostek! - zawołał z dołu McDonne.

Kane odsunął się na bok i Houser uniósł kratę, żeby wpuścić XO. Gdy ogromne ciało McDonne'a znalazło się na górze, zrobiło się od razu ciasno.

- Jezus, ale tu zimno. A ja myślałem, że na dole jest źle...

- Sprawdź to, XO - powiedział Kane.

McDonne spojrział przez lornetkę, gwizdnął i spojrział znowu.

- Tratwy ratunkowe? Skąd one się tu wzięły, do cholery?

- Kto wie? Może z Destiny? - odparł Kane.- Wyglądają na amerykańskie, takie, jakie są używane w naszej marynarce.

- Naprawdę? - Kane nigdy nie widział tratw ratunkowych stosowanych na okrętach podwodnych.

- Tak, sir. Niech pan nie zapomina, że podczas tury lądowej w Dowództwie Systemów Morskich zajmowałem się sprawami ratownictwa. Musimy coś zrobić dla tych facetów.

- XO, oni są o milę stąd, może dwie. Co chcesz zrobić? Popłynąć wplaw?

- Weźmiemy nasze tratwy i przyholujemy ich tutaj - odparł McDonne i ruszył do kraty tunelu wejściowego. - Mamy parę silniczków elektrycznych po tamtych ćwiczeniach z chłopakami z SEAL. Przyczepimy je do naszych pontonów i popłyniemy po tamtych facetów.

- Biedni skurwiele pewnie sajuż martwi - powiedział Houser, wciąż patrząc przez lornetkę, którą oddał mu McDonne.

- Jeśli jeszcze nie są, to będą, zanim wciągniemy ich na pokład - dodał Kane. - A jeśli nawet przeżyją, zabranie ich na pokład niewiele im pomoże. Na dole jest prawie tak zimno, jak tutaj. Możemy dryfować wiele dni lub tygodni, zanim ktoś nas znajdzie. Do tej pory pewnie wszyscy umrzemy z zimna.

Houser spojrział na niego z wyraźnym wyrzutem.

- Hej, kapitanie. Jest pan dowódcą. Kto jak kto, ale pan powinien myśleć pozytywnie, do cholery. Narzekanie to moja działka, pamięta pan?

Kane popatrzył na porucznika i skinął głową. Szczerość nie była wskazana w tym momencie.

- Myśli pan, że XO naprawdę popłynie po tych facetów?

- Jeśli znajdzie tratwy ratunkowe. I jeśli nie zamrznie przy spuszczeniu ich na wodę.

- Houser spojrział przez lornetkę. - Nie ruszają się. Gdyby żyli, machaliby do nas, wystrzelili flary albo coś...

Zerwał się wiatr, sypnął śniegiem do kokpitu i przypomniał Kane'owi o zimnie.

- Schodzę na dół. Zostajesz tu?

- Tak, kapitanie.

Kane spojrział na tratwy, które zamieć przesłoniła prawie zupełnie.

- Przyjdź niedługo na dół, Houser. Źle wyglądasz.

Kane opuścił się po drabince. Mimo zimna czuł drętwienie palców. W sterowni nadal widział wyraźnie parę swojego oddechu.

Sobota, 4 stycznia

Lotnisko w Kangamiu na zachodzie Grenlandii

Śnieg zasypywał pas startowy, przesłaniał światła i wymalowane numery. Ekipy odśnieżające pracowały bez przerwy przez całą noc, ale z niewielkim skutkiem. Crossfield włożył hełm lotniczy, wyregulował ustawienie mikrofonu na wysięgniku, sprawdził jego działanie i przestudiował mapę, przypiętą do klipbordu na jego udzie. Trill, jego drugi pilot, zwiększył obroty silników V-22. Duży samolot zadrżał, gdy rotory nabrały szybkości. Były

ustawione poziomo do pionowego wznoszenia. Crossfield przeprowadził kontrolę przedstartową, powiedział kilka słów do Trilla, potem przyglądał się przez chwilę, jak porucznik przesuwają dźwignie przepustnic. Silniki zawyły głośniejsz niż wiatr. Pas startowy, oczyszczony na chwilę ze śniegu podmuchem z wirników, zniknął w dole.

Przez szybę kokpitu widać było tylko zamieć. Białe płatki pędziły tak szybko, że kręciło się w głowie. Crossfield westchnął. Misja ratownicza w taki dzień?

Trill podciągnął maszynę na wysokość sześciuset metrów i ustawił rotory pionowo do lotu poziomego. Samolot osiągnął szybkość trzystu węzłów. Upłynie kilka godzin, zanim dofrzemy do szerokości geograficznej, z której wysłano prośbę o pomoc. Niech podwodniacy lepiej modlą się o koniec sztormu, pomyślał Crossfield.

Kane obserwował przez peryskop, jak oficer wykonawczy i grupa przemarzniętych ochotników spuszcza na wodę nadmuchiwane tratwy ratunkowe. McDonne znalazł maleńkie, akumulatorowe silniczki elektryczne o mocy pół konia mechanicznego i dwa pontony powoli popłynęły ku rozbitkom. Tratwa McDonne'a przechylała się niebezpiecznie; powodem była masa jego cielska.

Houser zszedł na dół do sterowni. Był blady z zimna. Zaczął się przyglądać scenie na morzu przez peryskop numer 1 obok Kane'a.

- Kawaleria - powiedział.

Ponton McDonne'a zbliżył się do pierwszej tratwy rozbitków, unoszących się cicho na wodzie.- Weź linę i przyczep do tej tratwy - rozkazał McDonne podoficerowi stojącemu za jego plecami. - Przywiązany resztę i poholujemy z powrotem. Ale sądząc po ich wyglądzie, na pewno nie musimy się spieszyć...

Przez następną godzinę Kane i Houser obserwowali wciąganie tratw na pokład. Uratowani mężczyźni nie poruszali się, wyglądali na nieprzytomnych lub martwych. Wszyscy mieli na sobie kombinezony amerykańskich podwodniaków. Kane znalazł McDonne'a w mesie załogi. XO wpatrywał się w jedzenie zamrożone na kość.

- Z jakiego są okrętu?

- Na klamrach pasów mają napisane „Seawolf” - odpowiedział McDonne.

- Musieli wysłać „Seawolfa”, żeby zatopił Destiny, a osiągnęli tylko tyle, że sam zatonął - powiedział Kane, bardziej do siebie niż do McDonne'a. - Ktoś przeżył?

- Niewielu - odparł McDonne. - Ledwo oddychają. Doktorek ich ogląda. Spróbujemy ich rozgrzać, ale nie możemy dać im nawet kubka gorącej kawy, jasna cholera.

- Zrobiłeś, co mogłeś, XO.

Do mesy wszedł Houser; trząsł się z zimna, był cały pokryty śniegiem i bledszy niż przedtem.

- Co z tobą, do cholery? - zapytał Kane.

- Byłem na górze. Myślałem, że może sztorm osłabnie, ale jest chyba jeszcze gorzej.

- Która godzina?

- Prawie jedenasta - odpowiedział McDonne. - Zbliża się pora lunchu.

Kiepski żart.

V-22 Crossfielda od godziny latał ze wschodu na zachód na szerokości geograficznej sześćdziesięciu trzech stopni i jak dotąd nie znalazł dosłownie nic.

- Masz coś? - po raz dwudziesty zapytał Crossfield Trilla.

- Podczerwień jest do niczego w tych warunkach, szefie.

- Spróbujmy radarem.

- Pokaże nam tylko góry lodowe. Nawet jeśli ten okręt gdzieś tu jest, szukamy igły w stogu siana.

- Jasna cholera. Mimo wszystko spróbujmy. Co mamy do stracenia?

- Tak jest, sir. Proszę, niech pan spojrzy. Detekcje na całym ekranie. Setki. I co dalej?

- To ty skończyłeś Akademię, Trill. Ty mi powiedz, cholera jasna.

Houser stał na mostku. Wiatr smagał mu twarz, ale nie mógł wytrzymać wewnątrz okrętu. Jeśli miał umrzeć, to nie w środku stalowej rury. Kiedy wichur przybrał na sile, przyszło mu do głowy, żeby zamknąć pokrywę kiosku, usiąść pod nią i oprzeć się plecami o przegrodę kokpitu. Zimno stalowego pokładu przenikało przez stos kamizelek ratunkowych, ale lepsze to niż wichura. Siedział tak przez jakieś pół godziny, zbyt zziębnięty, by zasnąć, i zbyt zmęczony, żeby się w pełni rozbudzić.

W końcu jednak tak przemarzł, że opuścił mostek i wszedł do tunelu wejściowego, chcąc wrócić do wnętrza okrętu. W środku było duszno i wilgotno, ale przynajmniej o kilka stopni cieplej niż na zewnątrz. Ręce tak mu zdrętwiały, że ledwo mógł się trzymać drabinki, gdy schodził tunelem w dół.

W połowie drogi zamarł. Nasłuchiwał przez chwilę, potem wdrapał się z powrotem na górę. Był pewien, że coś usłyszał. Dźwięki stopniowo narastały.

Buczenie. Odgłos silników samolotu. Gdzieś daleko. Wstrzymał oddech, ale odgłos ucichł. Może mu się tylko wydawało, ale coś mu mówiło, że to nie halucynacje. Na pewno słyszał donośny dźwięk rotorów helikoptera albo śmigieł. To nie mógł być wiatr.

Zsunął się po drabince do sterowni. Kane siedział w fotelu przy konsolach centrum ataku z głową opartą na dłoni.

- Sir - zaczął mówić Houser, ale miał takie wrażenie, jakby jego usta wypełnione były klejem. - Słyszałem...

Kane złapał go za ramiona i posadził w fotelu.

- Houser, jesteś zamrożony prawie na kość, nawet język ci zeszytywniał. Kazałem ci zostać wewnątrz. Co ty, do cholery...

- Sir... - powiedział ostrożnie Houser - helikoptery, samoloty... Słyszałem silniki... Musimy wystrzelić flary... - Miał wrażenie, że sterownia wiruje wokół niego. Zamknął oczy i położył głowę na konsoli. Zastanawiał się, czy Kane mu uwierzy.

- XO, daj raketnicę.

- Houser jest wyłączony, kapitanie. Majaczy.

- Prawdopodobnie. Ale jeśli ma rację, amytu siedzimy na tyłkach...

- Przyniosę flary.

- Która godzina?- Dochodzi czternasta.

- Nie wytrzymamy już zbyt długo. Lepiej módlmy się, żeby Houser miał rację.

- Coś mam. Ślad w podczerwieni i kontakt radarowy, ten sam kierunek i odległość.

- Pokaż. - Crossfield spojrział na wyświetlacz podczerwieni. - Niedźwiedź polarny. Albo foka. Cholernie głupia, skoro łązi w taką pogodę.

- A dokąd ma pójść? - Trill wzruszył ramionami.

- Zataczaj kręgi przez kilka minut. Chcę to poobserwować. Jest coś w polu widzenia?

- Ciągle nic, sama biel.

- O, cholera - powiedział Crossfield, kiedy słaby ślad w podczerwieni rozbłysnął jaskrawym światłem. - A to co?

Trill spojrział na ekran. Flara? To muszą być oni...

- Zanotuj pozycję i przekaż przez radio do bazy. Niech prześlą to szefostwu, które prowadzi tę operację.

- Tak jest, sir.

- Cholernie mi szkoda, że nie możemy zejść w dół i ich zabrać. - Crossfield popatrzył na panel i zobaczył, że kończy się paliwo. - Trzeba wracać i mimo wszystko zatankować.

- Wiadomość wysłana, szefie.

- Leć do bazy. Może zanim zatankujemy i wrócimy tutaj, ten cholerny sztorm osłabnie.

- Słyszę to. - McDonne badał przez lornetkę chmury, ale soczewki wciąż zachodziły mgłą. Sztorm jeszcze bardziej przybrał na sile, jeśli w ogóle było to możliwe.

- Ja też - przytaknął Kane. - Choć trudno określić kierunek. Wystrzel następną flarę.

McDonne wypalił z rakiety. Flara natychmiast zniknęła w kłębowisku wirującego śniegu.

Obaj mężczyźni nasłuchiwali. Kane pokręcił głową.

- Nic już nie słyszę.

- Ani ja.

- Ale obaj to słyszeliśmy przed chwilą, zgadza się?

- Tak, kapitanie. To na pewno były silniki samolotu.

- A teraz ucichły.

Powrót do Kangamii, tankowanie, a potem oczekiwanie aż wiatr osłabnie i będą mogli ponownie wystartować, zajęło większość popołudnia. Na pasie startowym leżała prawie trzydziestocentymetrowa warstwa śniegu, przy budynkach tworzyły się zaspę. Znalezienie pasa i posadzenie maszyny wymagało od Crossfielda wykorzystania wszystkich umiejętności. Kiedy lądował, szybkość wiatru przekroczyła granice bezpieczeństwa, ale nie miał wyboru, zbiorniki paliwa były puste. Lądowanie albo rozbicie samolotu. Tym razem udało się, ale nie zamierzał podejmować próby startu z pełnym ładunkiem paliwa przy takiej szybkości wiatru i zerowej widoczności.

Musieli czekać na ziemi dziewięćdziesiąt minut, zanim wiatr osłabł. Crossfield nie miał pojęcia, jak długo potrwa sztorm, ale nie odwlekał startu, żeby się o tym przekonać. Trill rozkręcił rotory, poderwał maszynę i natychmiast przeszedł do lotu poziomego. Zanim V-22 dotarł do miejsca wcześniejszej detekcji, minęło prawie sześć godzin od chwili, gdy stąd odleciał.

Szybko zapadła noc. Śnieżycą w ciemności była gorsza od bieli zamieci. Crossfield poszukał w podcierwieni śladu „Phoenixa”. Nic.

- Radar meteorologiczny i prognoza pogody z bazy mówią to samo: sztorm przechodzi. Powinien się skończyć za pół godziny - dobiegł z fotela drugiego pilota zmęczony głos Trilla.

- Super - odparł Crossfield. - Powiedz to tym biednym skurwielowi na dole.

Przyszła kolej McDonne'a, żeby wyjść na zewnątrz. Odkąd usłyszeli silniki samolotu, Kane stale trzymał kogoś na szczycie kiosku. Wachtowi zmieniali się co trzydzieści minut. Dyżury pełniło dwunastu mężczyzn zdolnych jeszcze do służby. Wiatr zdawał się przeszywać na wylot parkę McDonne'a, jego bluzę sportową, dwa swetry i ciało i przenikać do szpiku kości.

Flary skończyły się wiele godzin temu. Teraz znosili papiery, materace, benzynę do zapalniczek - wszystko, co mogło się palić - i w maleńkim pomieszczeniu, w tyle kiosku,

gdzie normalnie stałby obserwator, płonęło ognisko. W tym miejscu było osłonięte przed wiatrem, ale nie ogrzewało czuwających na górze. Co gorsza, płomienie i ciepło mógł wykryć tylko samolot, który znalazłby się dokładnie nad okrętem. Ale wszystkie próby rozpalenia ognia na pokładzie okazały się daremne. Wiatr gasił płomienie lub zdmuchiwał materiał palny za burtę. McDonne siedział teraz w kucki w kiosku i dokładał do ognia spalające się powoli kartki instrukcji obsługi reaktora. To głupota, pomyślał. Po prostu tylko czekanie na śmierć. Przez moment poczuł ochotę, żeby skoczyć za burtę i mieć już to wszystko za sobą. Dwie, trzy minuty w lodowatej wodzie i temperatura ciała obniżyłaby się tak bardzo, że straciłby przytomność. A potem - co go to obchodzi?

Nagle zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. Coś się zmieniło. Uświadomienie sobie tego, co się stało, zajęło mu dłuższą chwilę, gdyż zimno spowolniło jego procesy myślowe.

Tą zmianą był brak wiatru.

Przestało wiać.

Sztorm w końcu minął.

Potem zmieniło się jeszcze coś. McDonne zamknął oczy i starał się nasłuchiwać. Wciąż dzwoniło mu w uszach od huku wiatru, ale był pewien, że to słyszy. Choć zdawał sobie sprawę, że może po prostu chce to słyszeć. Nie. To działa się naprawdę. Silniki samolotu. Tak potężne, że czuł ich wibracje. Gorączkowo podsycił ogień, żeby wskazać pozycję okrętu. Dopiero po kilku minutach przypomniał sobie, że już nie ma wiatru i może rozpaść ognisko na szczycie kiosku. Teraz nie zgaśnie. Szybko ułożył stertę papierów na lodowatym metalu i kilkakrotnie pstryknął zapalniczką wyjętą z kieszeni. Bez skutku. W końcu złapał kartki płonące wewnątrz kiosku i przyłożył do stosu zgromadzonego na jego szczycie. Oparzył sobie rękę, ale udało się. Popatrzył na ogień i odwrócił głowę w kierunku, z którego dobiegał hałas silników samolotu.

Daleko w ciemności zobaczył na niebie błyskające światła pozycyjne. Zaczął podskakiwać na kracie i wrzeszczeć jak wariat. Przez moment zastanawiał się, czy to przypadkiem nie samolot pasażerski, ale samoloty żadnej linii lotniczej nie latały tak daleko na północ, a poza tym zauważył szybko, że nadlatujące maszyny suną w regularnym szyku.

Maszyny zbliżyły się i jedna z nich oświetliła okręt mocnym reflektorem. Kiedy samoloty zeszły niżej, McDonne rozpoznał duże transportowce pionowego startu i lądowania V-22. Pierwszy z nich ustawił śmigła jak rotory helikoptera i zawisnął blisko dziobu. Rozbłysły światła i McDonne zobaczył na kadłubie maszyny gwiazdę wpisaną w okrąg z pasami po obu stronach, a obok litery U.S. NAW.

Osunął się na pokład.

Wreszcie, choć to nie do wiary, było po wszystkim.

Epilog

Wtorek, 4 marca

Szpital Marynarki Wojennej Bethesda w Maryland

Janice Pacino pocałowała męża w wilgotne czoło, zabrała syna i wyszła.

Za rogiem omal nie zderzyła się z admirałem Richardem Donchezem. Zatrzymała się na moment i Donchez zobaczył wyraz jej oczu.

- Co z nim? - zapytał.

- Przeżyje - odpowiedziała, wzięła Tony'ego za ramię i szybko odeszła korytarzem.

Donchez patrzył za nią przez chwilę i zastanawiał się, czy ją zawołać i powiedzieć, czego dokonał jej mąż. W końcu zrezygnował, nie była na pewno w odpowiednim nastroju, żeby tego słuchać.

Wszedł do sali. Pacino leżał otoczony aparaturą medyczną. W jego ramieniu tkwiły igły kroplówek. Vortex uratował go, a jednocześnie omal nie zabił. Przynajmniej zabrali już respirator. Dzień wcześniej po raz pierwszy odzyskał przytomność.

- Mikey - odezwał się Donchez i dotknął twarzy Pacina, jedynej odsłoniętej części ciała powyżej koca. - Słyszysz mnie?

Pacino otworzył oczy i spróbował się uśmiechnąć. Wysiłek był zbyt duży, więc przymknął powieki.

- Przeżyłeś, Mikey. Nie zabawię długo. Chciałem ci tylko coś dać.

- Co... - wyszeptał Pacino i Donchez pochylił się niżej - co... się wydarzyło?

- Dokonałeś tego, synu - odrzekł Donchez. - Zatopiłeś Destiny, zanim zdążył wystrzelić pocisk ze swoją głowicą bojową. Sihoud nie żyje. Po jego śmierci ZIF poddał się, w zeszłym tygodniu podpisali w Paryżu kapitulację. Później zapoznam cię ze szczegółami.

Wszedł generał Barczynski, za nim agenci Secret Service, a po chwili wkroczył prezydent Bill Dawson. Generał i prezydent zbliżyli się do łóżka. Donchez odsunął na bok jednego z agentów, żeby móc coś widzieć z drugiej strony.

- Więc to ten człowiek - powiedział prezydent. - Gratuluję, kapitanie Pacino. Lub raczej wiceadmirał Pacino. Mam tu pańskie gwiazdki. Dorzuciliśmy panu drugą. Jedna czułaby się samotna.

Pacino nie był pewien, czy dobrze widzi.

- I jeszcze coś. - Dawson odczytał pochwałę, przyznającą Pacinowi Krzyż Marynarki ze srebrną gwiazdą.

Kiedy Dawson zakończył przemowę, schylił się, żeby przypiąć medal do poduszki Pacina. Ale wiceadmirał Michael Pacino zasnął i zaczął chrapać w twarz prezydentowi. Dawson przyczepił odznaczenie do poszewki i wyszedł ze swoją świtą.

Został tylko Donchez. Przez chwilę patrzył na śpiącego Pacina takim wzrokiem, jakby to był jego własny syn, potem odwrócił się i ruszył do drzwi.

A kiedy zgasił światło w sali, powiedział cicho:

- Dobra robota, Mikey. Twój staruszek i ja jesteśmy z ciebie dumni.

Mały okręt badawczy „Diamond” kołysał się na falach poligonu podwodnego Virginia Capes, skrawka oceanu położonego sto pięćdziesiąt mil morskich na wschód od Virginia Beach w Wirginii. Na pokładzie było kilku mężczyzn w galowych mundurach, długich, granatowych płaszczach z szerokimi naramiennikami i białych rękawiczkach. Przy lewym biodrze wszyscy przypięte mieli ceremonialne szable. Jednym z mężczyzn był kapitan David Kane. Obok niego stał komandor CB McDonne. Wszyscy prężyli się na baczność przy relingu i patrzyli na morze. Na horyzoncie unosił się na powierzchni samotny okręt podwodny.

- Gotowy, kapitanie Kane?! - zawołał admirał Roy Steinman.

- Gotowy, sir - odpowiedział Kane, patrząc w dal na okręt podwodny

- Więc pozwólmy mu przejść w stan spoczynku.

- Tak jest, sir. Oficer wykonawczy - warknął Kane.

- Tak jest, sir - odpowiedział McDonne.

- Zatopić okręt! - rozkazał Kane.

McDonne obrócił pokrętło na małym nadajniku radiowym.

- Oficerowie, oddać honory! - rozkazał Kane.

Mężczyźni przy relingu unieśli dłonie do daszków czapek. Białe rękawiczki i granatowe rękawy kontrastowały z szarym pokładem i morzem. W powietrzu rozległ się żałobny dźwięk gwizdka bosmańskiego i rozwiął na wschodnim wietrze.

Kilka pióropuszy dymu wykwitło nad pokładem okrętu podwodnego i uniosło się wysoko pod niebo. Kadłub zanurzył się wolno, nad wodą pozostał tylko kiosk, w końcu i on zniknął. Okręt pogrążył się w morzu, nabrał rozpędu i poszedł na dno.

Po USS „Phoenix” nie pozostał na powierzchni żaden ślad.

- Oficerowie - zawołał Kane - spoczniej! - Mężczyźni jednocześnie opuścili prawe ręce.

- Rozejść się!

Spojrzał tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się „Phoenix”, potem odwrócił się do McDonne’a.

- Trudno uwierzyć, że już go nie ma - powiedział.

- Niewiele z niego zostało po tamtym trafieniu torpedą - odrzekł McDonne, patrząc na ocean. - Przynajmniej pozwolili nam zatopić go na morzu, a nie wysłali na złomowisko.

- Stracił przedział reaktorowy, więc nie nastąpi skażenie czy zanieczyszczenie środowiska. Wszystko zostało na Morzu Labradorским.

Podszedł admirał Steinman i Kane odwrócił się. Gdy dwaj mężczyźni zaczęli gawędzić, McDonne dyskretnie odsunął się na bok.

- No cóż, Davidzie... Przykry widok - powiedział Steinman. - Szkoda, że nie mogliśmy go wyremontować, ale to ci umożliwi objęcie nowego dowództwa. Wiesz, w przyszłym miesiącu zostanie zwodowany drugi okręt klasy „Seawolfa”. Jego kapitan wybiera się na emeryturę. Co ty nato? Chciałbyś dowodzić USS „Barracuda”? To najlepszy okręt w naszej flocie i miałbyś okazję wrócić na morze.

Kane spojrzał na Steinmana, ale zamiast niego w ułamku sekundy zobaczył ostatnią misję „Phoenixa”. Uświadomił sobie, że admirał czeka na odpowiedź i po raz ostami zrobił bojową minę.

- Nie, dziękuję, admirale. Już tam nie wrócę. Skończyło się. Steinman popatrzył na niego zaskoczony. Nie bardzo rozumiał. Odszedł na bok i utkwiał wzrok w falach oceanu.

„Diamond” zrobił zwrot na zachód, przyspieszył do pełnej szybkości i popłynął z powrotem do Norfolk. Kane wpatrywał się w horyzont i cieszył na myśl, że już wkrótce postawi nogę na suchym lądzie. Parę godzin później, gdy jednostka badawcza przycumowała w porcie dla okrętów podwodnych, kapitan David Kane zszedł na brzeg, nie oglądając się za siebie.